

Alex Scarrow

Gdy zgasną światła

Last Light

Przełożył
Robert P. Lipski



*Dla mojego syna Jacoba, bystrego,
z wyobraźnią, być może w przyszłości
także rywala. Kocham cię.*

Tylko dla oczu Jacoba:

*VQ BMJJN RJXB GR ZWB BDWCB RNBADC FADNSRMPR
OQXL CGN JRMP NO RWZTDUZWC*

Podziękowania

Oto krótka lista osób, które zasługują na wzmiankę za pomoc przy powstaniu tej książki. Nie ma żadnego ustalonego porządku, w jakim chciałbym ich wymienić, więc uczynię to następująco:

Robin Carter za wnikliwą korektę i cenne komentarze. Tak... jego imię i nazwisko pojawia się w tej książce, o czym już wkrótce się przekonasz, drogi czytelniku. Rzecz jasna, z powodów natury prawnej muszę powiedzieć, że wszelkie nazwiska i postacie są fikcyjne, a zbieżność z autentycznymi to wyłącznie dzieło przypadku - i takie tam bzdury. To dobre imię i nazwisko dla postaci książkowej. Chciałbym także podziękować Andy'emu Canty'emu za lekturę pierwszej wersji i komentarze... cóż dodać, także jego imię pojawia się w książce. Dziwny jest ten świat.

Pragnę też podziękować komuś, kogo ze względu na kwestie bezpieczeństwa nie mogę wymienić z nazwiska, a kto przekazał mi szczegółowe informacje na temat życia „na ulicach” w Iraku. Wie, że dziękuję mu anonimowo, i tak właśnie być powinno.

Chciałbym podziękować mojej żonie Frances za przeczytanie pierwotnej wersji tej książki. Udzieliła mi licznych cennych komentarzy; nie masz nawet pojęcia, czytelniku, jak cennych. Dziękuję mojemu tacie Tony'emu i bratu Simonowi za słowa zachęty. Dodatkowe podziękowania dla Jerry'ego Stuttersa za wsparcie w kwestiach wojskowych.

Na koniec dziękuję mojemu wydawcy Jonowi Woodowi i mojej agentce Eugenie Fumiss za współpracę przy tej książce, pomoc w jej finezyjnym doszlifowaniu i wyniesieniu na wyższy poziom.

GRUDZIEŃ 1999

Pokój 204

Spojrzała na drzwi pokoju 204.

Jak wszystkie inne w całym korytarzu były z drogiego ciemnego drewna, a tabliczka z numerem oraz klamka - pozłacane.

Cholernie tu drogo, tak powiedział tato.

Bawcie się dobrze... przypuszczalnie już nigdy nie będziecie mieć okazji, aby zamieszkać w tak drogim hotelu.

Potem żartował z mamą, że można by zwinąć stąd parę szlafroków i sprzedać je na jakimś „ii-beju”.

W korytarzu było cicho, po wyjściu z windy jej kroki wytłumił gruby dywan - nie słyszała nawet zduszonego gwaru rozmów czy dźwięków z telewizji dochodzących z któregoś pokój; drzwi były naprawdę grube i ciężkie.

Nadszedł czas na podjęcie decyzji... wiedziała, że tak będzie jeszcze w drodze na górę z foyer, gdzie zostawiła mamę czekającą niecierpliwie. Wiedziała, że jeszcze w windzie, jadąc na górę, zapomni numer pokoju, była zbyt zajęta rozmyślaniami o tym, co kupi za kieszonkowe, jakie tato dał jej na tę wyprawę.

204? To był numer 204, prawda?... A może 202?

Leona zastanawiała się, czy tato skończył już swoje sprawy, czy może wciąż czeka na tajemniczego gościa. Był trochę zdenerwowany i gwałtowny, kiedy zmusił ją i mamę, aby wybrały się na przechadzkę po sklepach; spięty, podenerwowany, tak jak Leona podczas pierwszego dnia w prawdziwej szkole wcześniej tego roku.

Zdenerwowany - właśnie tak.

Mama była prawie pewna, że do tej pory spotkanie już się skończyło. Odkąd je odprawił parę godzin temu, odwiedziły duże centrum handlowe pełne błyszczących świątecznych dekoracji, wypily kawę i zjadły po ciastku w zatłoczonej kafejce z widokiem na rojne ulice wokół Times Square. Ponadto tato zapewnił je, że jego bardzo ważne służbowe spotkanie niedługo się skończy.

Leona miała nadzieję, że ojciec zdoła do nich dołączyć, zjedzie z nią na dół, teraz, kiedy „robocza” część ich rodzinnej wyprawy do Nowego Jorku dobiegła końca. Bez niego to nie było to samo. Ale tak czy owak naprawdę musiała kupić tę lalkę Wesolą Sally za

kieszonkowe, jakie dostała od taty. Przez ostatnie dwie godziny zobaczyła całe mnóstwo rzeczy, które musiała mieć.

Uznała, że mieszkali jednak nie w 202, ale w 204. Zaciśnęła dłoń na staroświeckiej mosiężnej klamce. Przez dziurkę od klucza dostrzegła błysk światła.

Czy tato nerwowo krążył po pokoju? A może jego spotkanie właśnie się zaczęło? Już miała się nachylić i zajrzeć przez dziurkę, aby upewnić się, że nie przeszkadza ojcu w interesach, ale zbyt mocno nacisnęła na klamkę i zamek puścił z cichym trzaskiem, a ciężkie drzwi otworzyły się powoli.

Trzej mężczyźni spojrzeli na nią, ich rozmowa urwała się, jak nożem uciął. Stali przy wielkim, masywnym łożu; trzej mężczyźni, starzy mężczyźni, bardzo inteligentni mężczyźni - i patrzyli na nią. Dostrzegła też czwartego, młodszego, ciemnowłosego mężczyznę stojącego z boku, w stosownej odległości od pozostałych. On pierwszy otrząsnął się z odrętwienia, ruszając szybkim krokiem w jej stronę i sięgając dłonią do kieszeni.

- Nie - wyszeptał jeden z trzech.

Tamten natychmiast się zatrzymał, choć nie wyjął ręki z kieszeni.

Ten, który się odezwał, odwrócił się do Leony i lekko się przygarbił.

- Wydaje mi się, że pomyliłaś pokoje, moja droga - powiedział miłym, ujmującym głosem jak troskliwy dziadek. Uśmiechnął się do niej ciepło. - Wydaje mi się, że twój pokój jest tuż obok.

- B-bardzo przepraszam - wykrztusiła Leona, robiąc potulnie krok w tył, wychodząc z pokoju na korytarz i zamykając za sobą drzwi.

Drzwi zamknęły się z cichym metalowym szcęknięciem i zapadła długa cisza, zanim jeden z dwóch starszych mężczyzn, którzy do tej pory milczeli, zwrócił się do pozostałych.

- Widziała nas wszystkich. Nas trzech. Razem.

Chwila przerwy.

- Czy to może stanowić jakiś problem?

- Bez obawy. Nie wie, kim jesteśmy i nie wie, po co się tu znaleźliśmy.

- Podstawą jest dla nas anonimowość... zawsze tak było, odkąd...

- To tylko mała dziewczynka. Za kilka lat będzie pamiętać jedynie, co dostała w prezencie na Gwiazdkę i fajerwerki milenijnego sylwestra. A nie trzech starych znudzonych mężczyzn w hotelowym pokoju.

OBECNIE

Poniedziałek

Rozdział 1

godz. 8.05 czasu Greenwich BBC,
Shepherd's Bush, Londyn

- Chyba trochę schudł - stwierdził Cameron.

- Naprawdę? A mnie się wydaje, że przytył.

Cameron wlepił wzrok w monitory nad stołem mikserskim. Na ekranach Sean Tillman i współprowadząca Nanette Madeley wymieniali kilka improwizowanych żarcików pomiędzy kolejnymi tematami.

- Nie, to widać po twarzy Seana. Nie ma takich zwisających woli.

Asystentka producenta Sally zmarszczyła nos, słysząc tę opinię.

- Nie wydaje mi się, aby schudł. Sądysz, że czuje się zagrożony przez młodszą ekipę prezenterów ze Sky'a?

- Na Boga, tak. W sumie wcale mu się nie dziwię - odrzekł Cameron. - Powiedzmy sobie szczerze, gdy rano się obudzisz i skaczesz po kanałach, czyją twarz chciałabyś widzieć na ekranie? Sflaczałego, podstarzałego Seana Tillmana czy kogoś, kto wygląda jak młodszy, seksowniejszy brat Robbiego Williamsa?

- Hmm, trudny wybór - rzekła Sally, zerkając jakby od niechcienia na ekran, u dołu którego przesuwiał się pasek wiadomości.

Podawano właśnie informacje z kraju, nudy na pudy o sporze między farmerami w Norfolku, podczas gdy Reuters donosił o wyniku wyborów w Indonezji. W sumie nic ciekawego.

Cameron spojrział na monitor, by zobaczyć, jak Sean Tillman przegląda się w małym ręcznym lusterku.

- Wiem, że Sean martwi się też o błyszczący podbródek.

Sally parsknęła z rozbawieniem.

- Tak to nazywa. Wkurzył się, że w zeszłym miesiącu wymieniono w studiu całą wykładzinę na nową, z jaśniejszego linoleum. Słyszałem, jak skarżył się do makijażysty Karla, że podłoga odbija oświetlenie w studiu. I że jest przez to podświetlony od dołu.

Cameron wychylił się do przodu i spojrział w monitor, obserwując zarówno Seana, jak i Nanette przygotowujących się do odczytywania informacji z promptera.

- Ma rację. Faktycznie gorzej się teraz prezentuje. Ale Nanette wygląda lepiej, promienniejszy, odkąd wymieniono...

- Cameron - szepnęła Sally.

- ...wykładzinę. Biedny Sean. Teraz wydaje się, jakby całe jego ciało pod brodą się błyszczało. I jeszcze w dodatku widać lekko falujące fałdki...

- Cam! - rzuciła Sally nieco natarczywiej.

- Co?

Wskazała na ekran podający informacje Reutersa.

Odczytywał kolejne słowa pojawiające się na pasku informacyjnym i stopniowo uświadamiał sobie ich sens.

- O cholera! - rzekł, odwracając się do Sally. - Będziemy potrzebować sporo grafiki. To będzie czołówka wszystkich programów informacyjnych przez cały dzień.

- To chyba nie jest aż tak poważna sprawa?

- Żartujesz sobie, prawda?

Sally wzruszyła ramionami.

- Jeszcze jedna bomba. Przecież codziennie donosimy o dziesiątkach takich zamachów w Ira...?

- Ale to nie Irak, zgadza się? - warknął Cameron.

Aż drgnęła, słysząc ton jego głosu, i pomimo wrażenia narastającego napięcia i pierwszych oznak migreny uznał, że zasłużyła na choćby parę słów z jego strony.

- Uwierz mi, ta historia szybko zacznie się rozrastać i nie chcielibyśmy, aby się nam wymknęła. Wyprzedźmy fakty i przygotujmy wszystko, co może nam być potrzebne. Dobra?

Sally pokiwała głową.

- Jasne, zajmę się tym.

- Dzięki - mruknął, patrząc, jak wychodziła z pomieszczenia. Raz jeszcze spojrzął na pasek informacyjny Reutersa, akurat gdy pojawiły się nowe szczegóły

W pomieszczeniu prócz Camerona było jeszcze kilka osób obsługi; wszyscy patrzyli na niego w milczeniu, oczekując na polecenia. Zwykle wyręczała go w tym Sally. Ale skoro jej nie było, bo zajmowała się gromadzeniem niezbędnych rzeczy, musiał zwrócić się do nich bezpośrednio.

- Dobra, Tim, połącz mnie z Seanem i Nanette. Chyba lepiej będzie, jeżeli powiadomię ich, co się stało.

Rozdział 2

godz. 8.19 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Jennifer Sutherland przeskoczyła niezdarnie po zimnych płytkach kuchennej posadzki, próbując równocześnie zasunąć suwak z tyłu spódnicy i dojść do ładu z włosami przy użyciu prostownicy. Za dużo rzeczy do zrobienia, za mało rąk i czasu. Ten cholerny budzik znów ją zawiódł.

Jenny spojrzała na zegarek; do przyjazdu taksówki miała jeszcze dziesięć minut; wystarczy, by wypić szybko kawę. Włączyła czajnik elektryczny.

Dziś, jeśli wszystko dobrze pójdzie, rozpocznie nowy rozdział swojego życia, całkiem nowy, po poprzednim, długim i rozdzierająco smutnym, trwającym aż dwadzieścia lat. Musiała zdążyć na pociąg z dworca Euston do Manchesteru, gdzie ma odbyć rozmowę kwalifikacyjną w związku z pracą, którą rozpaczliwie chce, ba, musi zdobyć.

No i tyle.

Jeżeli zaoferują jej pracę, będzie mogła się wycofać z tego, co dla niej i Andy'ego stało się bolesnym bałaganem. Cała sytuacja raniła jego bardziej niż ją. To ona odchodziła i wiedziała, że kiedy kurz opadnie, a rodzice ich obojga dokonają autopsji tego związku, winą za jego rozpad obciążą wyłącznie ją.

Jenny się nim znudziła. Stawiała siebie przed dziećmi i przed Andym.

Ale to nie wszystko...

Wiesz, że miała romans, prawda? Drobnym flirt w pracy. On dowiedział się o tym i wybaczył jej, a ona odplaca mu w ten sposób.

Woda się zagotowała, a ona sięgnęła do kredensu, powyżej, po ostatni kubek. Reszta była spakowana w jednym z wielu kartonowych pudeł walających się po całym domu; na każdym kartonie widniało albo „Jenny”, albo „Andy”. Jennifer zajmowała się tym przez cały ubiegły tydzień, podczas gdy Andy wyjechał na kolejne zlecenie. Podzieliła też rzeczy nagromadzone przez dwie dekady.

Dom wystawiono na sprzedaż, na co oboje wyrazili zgodę bez większego wahania, skoro ich drogi miały się rozejść. Po tym jak nie bez żalu doszli do wniosku, że to już jednak koniec, wspólne życie pod jednym dachem było prawdziwym koszmarem: mijanie się bez

słowa w korytarzu, czekanie, aż drugie wyjdzie z pokoju, aby swobodnie można było tam wejść, przyrządzanie posiłków dla jednej osoby i spożywanie ich w samotności.

Niezbyt to przyjemne.

Doktor Andy Sutherland, tamten przemądrzały student geologii z Nowej Zelandii, którego poznała przed dwudziestu laty, który uwielbiał The Smiths i The Cure, który potrafił z pamięci zacytować kwestie z każdego niemal odcinka oryginalnego *Star Treka*, który świetnie naśladował Bena Eltona, człowiek, którego kiedyś pokochała i którego poślubiła, mając zaledwie dziewiętnaście lat, ten sam Andy jakimś dziwnym trafem stał się niepotrzebną i obcą osobą w jej życiu.

Wsypała do kubka łyżeczkę kawy rozpuszczalnej i zalała wrzątkiem.

Ale to nie była wyłącznie jej wina. Częściowo był za to odpowiedzialny także Andy.

Jego praca... ciągle ta jego cholerna praca...

Lecz nie chodziło tylko o pracę. To było coś więcej. Chodziło o obsesję, jakiej się nabawił, obsesję, która wzięła początek od zleconego mu raportu, szczególnego raportu, o którym nie wolno mu było rozmawiać. Kontraktu za grube pieniądze, za które kupili ten dom i wiele innych rzeczy. No i rzecz jasna, z raportem tym wiązała się jakże miła rodzinna wyprawa do Nowego Jorku, aby osobiście mógł oddać sporządzony projekt. Zarobił dzięki niemu sporo pieniędzy, ale w efekcie kosztowało go to małżeństwo.

Ściany jego gabinetu były obwieszane wykresami i mapami, w tym także geologicznymi, jeżeli chodziło o tę jego fixację, stał się monotematyczny. To go odmieniło. Z zabawnego, interesującego, czarującego człowieka, jakim był, stał się chorobliwym pasjonatem. Jedyne, co miał jej do powiedzenia, to kolejne zawołowane groźby wiążące się w bardziej lub mniej bezpośredni sposób z autodestrukcyjną fascynacją końcem świata, jaka go przepelniała.

Pamiętała doskonale, że wszystko to zaczęło się od zleconego mu raportu.

Kiedy po raz pierwszy się natknął na... to... i podzielił się z nią tą nowiną z zapierającym dech przejęciem - co powinni zrobić, aby byli przygotowani, gdyby to nastąpiło - była przerażona i bardzo bała się o dzieci. Długo i uważnie przyglądali się swojemu miejskiemu stylowi życia, by stwierdzić, że jeśli odpowiednio się nie przygotowują, będą skończeni, podobnie jak wszyscy inni. Na samym początku wspólnie poszukiwali odludnych posesji, ukrytych wśród gęstych lasów albo w dalekich walijskich dolinach. Prawie udało mu się przekonać ją do przeprowadzki do Nowej Zelandii - wszystko, aby tylko znaleźć się z dala od gęsto zaludnionych metropolii i od ludzi w ogóle. Jednak, co nieuniknione, życie - zwykła szara codzienność, zarobki, rachunki, posłanie dzieci do naprawdę dobrych szkół - przeszkodziło im w realizacji tych planów. Dla Jenny widmo nadciągającej katastrofy na

pewien czas przybladło.

W przypadku Andy'ego zaś rozrastało się niczym nowotwór.

Jenny dopiła kawę, kiedy już się uporała ze swoimi kasztanowymi włosami, z którymi walczyła za pomocą prostownicy

Chrzanić to. Na razie wystarczy. Makijaż zrobi już w pociągu.

Rozmowa była wyznaczona na pierwszą. Dziwiło ją, że tak się denerwuje perspektywą stanięcia za parę godzin przed obliczem kilku nieznanym osób i „spodobania się im”. Jeżeli dostanie tę pracę, zabierze Jacoba ze szkoły z internatem, tej samej, do której go przyjęto po jej wielkich staraniach. Jake pojedzie z nią na północ, do Manchesteru. Leona natomiast dopiero zaczęła naukę na Uniwersytecie Anglii Wschodniej; jej domem był obecnie kampus i pozostanie w nim przez dwa kolejne lata.

Jenny mierziło, że miała stać się narzędziem dokonującym ostatecznego rozłamu ich rodziny, ale nie mogła być dłużej z Andym. Zamierzała założyć nowy dom dla siebie i Jake'a; zawsze też znajdzie się w nim łóżko dla Leony, niezależnie od tego, gdzie koniec końców osiadzie.

Naturalnie najgorsze mieli dopiero przed sobą. Żadne z dzieci nie wiedziało, jak kiepsko przedstawia się sytuacja, ani że ona i Andy postanowili pójść każde w swoją stronę. Leona być może się domyślała, że coś jest na rzeczy, ale dla Jake'a, zaledwie ośmiolatka, dla którego najważniejsza była nowa seria kart z postaciami z mangi i anime Yu-Gi-Oh, mogło to być jak grom z jasnego nieba.

Usłyszała klakson taksówki. Dopiła resztę kawy, sięgnęła po torebkę i wyszła do holu. Otworzyła frontowe drzwi i nagle się zawahała, spoglądając w głąb domu, podczas gdy taksówka czekała na zewnątrz.

Choć zamierzała tu wrócić za kilka dni, aby uporządkować niedokończone sprawy, odniosła niepokojące wrażenie, jakby wychodziła stąd po raz ostatni; zupełnie jak gdyby właśnie w tej chwili ostatecznie żegnała się z domem należącym do ich rodziny.

A także z Andym.

Rozdział 3

godz. 8.31 czasu Greenwich

Uniwersytet Anglii Wschodniej, Norwich

Leona drgnęła, powoli się budząc. I wciąż jeszcze zaspana przypomniawszy sobie, z kim dzieliła łóżko. Zadrżała z zawadiackiej, sekretnej rozkoszy, jakby trzymała w ręku zwycięski los na loterię, ale nikomu o tym nie powiedziała.

Danny przez sen poruszył się na łóżku obok niej. Usiadła i spojrzała na niego. Miał głęboki, miarowy oddech, wciąż jeszcze przebywał w krainie snów, a na jego ustach błąkał się uśmiech zadowolenia.

Daniel Boynan.

Wyglądał jeszcze cudowniej z zamkniętymi oczami i wydętymi ustami, kiedy nie robił kretyńskich min, aby ją rozbawić. Po prostu anielsko. Gęste ciemne włosy były rozrzucone na poduszce wokół głowy, a ciemne brwi złączyły się w pojedynczą linię, gdy jego sen przez moment coś zakłóciło. Leona wypatrzyła go pierwszego dnia, podczas rejestracji w kolejce po przepustkę na kampus i legitymację studencką.

Donnie Darko, pomyślała. Oto kogo jej przypominał.

Przez większość pierwszego semestru Leona śledziła go, rzecz jasna, dyskretnie. Nie okazywała zbytniego zainteresowania, tylko takie, by w końcu załapał, o co chodzi.

Boże, chłopcy niekiedy nie dostrzegają tego, co oczywiste - nie miał pojęcia, że Leona obserwuje go od dobrych ośmiu tygodni.

Aż ubiegłego wieczoru to się stało. To, co powinno być Etapem Piątym Dziesięcioetapowego Planu, by zdobyć serce Dana Boynana, przeskoczyło nagle przez Etap Szósty, Siódmy, Ósmy i Dziewiąty...

A Etap Dziesiąty był po prostu doskonały.

Patrzyła, jak oddycha miarowo, i odgarnęła kosmyk włosów z jego porcelanowego oblicza. Oto on, Daniel, na co dzień olśniewająco przystojny i podwójnie urzekający, kiedy spał. Na szyi miał mosiężny amulet w kształcie krzyża ankh, gruby rzemyk dotykał jego obojczyka, a niewielki krzyżyk z pętlą u góry spoczywał w zagłębieniu przy szyi. To właśnie w nim lubiła, każdy inny chłopak nosiłby raczej jakiś szpanerski ornament na grubym srebrnym łańcuszku.

Usłyszała, jak na zewnątrz, w kuchni, ktoś się krząta. Włączono niewielki przenośny telewizor, zabręczały łyżeczki w kubkach z kawą lub herbatą.

Stojące obok niej radio z budzikiem nagle ożyło i usłyszała aż nazbyt przymilny głos Larry'ego Ferdinanda przekomarzającego się z którymś ze współprowadzących w studiu. Leona uśmiechnęła się. Mama też go słuchała. Gdyby zapytać mamę, powiedziałyby, że to ona pierwsza zaczęła go słuchać, a potem przekonała do tego Leonę, co, rzecz jasna, było zwyczajną bzdurą.

Nieznacznie ściszyła głos, nie chcąc, przynajmniej na razie, obudzić Daniela, po czym miękko wyśliznęła się z łóżka. Podniosła należącą do Daniela bluzę z kapturem, w kolorze burgunda i z inicjałami FCUK, leżącą obok łóżka i włożyła ją. Była na nią za duża, sięgała prawie do kolan.

Daniel powiedział, że uwielbia jej nowozelandzki akcent. Leona nie przypuszczała, że nieznacznie skraca samogłoski jak jej ojciec. Sądziła, że mówi zwyczajnie jak wszyscy. Ale prawda była inna.

W gruncie rzeczy to trochę dziwne: nigdy nie była blisko z tatą, a przynajmniej przez ostatnie cztery czy pięć lat. Prawdę mówiąc, prawie się nie widywali. Wciąż wyjeżdżał na kolejne kontrakty albo zaszywał się w swoim gabinecie, realizując zlecenia, jak na wolnego Strzelca przystało. Cóż, może w minionych latach, kiedy tato miał czas dla niej, dla mamy i Jake'a, podchwyciła od niego słabe echo charakterystycznego nowozelandzkiego akcentu.

Ale kogo to obchodzi, Danny'emu się podoba. Plus.

Usłyszała, jak w radiu Larwy Ferdinand oddał mikrofon prezenterowi wiadomości.

Daniel poruszył się przez sen, mamrocząc coś, co brzmiało jak: Wyprowadź m-mojego drugiego p-pieska.

Trochę się jąkał, ale tylko troszeczkę. Leonę to urzekło. Dzięki temu stawał się mniej idealny, a kiedy opowiadał dowcip, zająknięcie przy puencie czyniło ją jeszcze zabawniejszą. Uśmiechnęła się, gdy na niego spojrzała. „Miłość” wydawała się jak na razie zbyt mocnym i poważnym słowem, za wcześnie jeszcze, aby go użyć. Jednak było to z pewnością coś więcej niż zauroczenie. Nie zamierzała zdradzić Danielowi swojego małego sekretu.

Rozegraj to na chłodno, Lee.

Tak właśnie uczyni, zwłaszcza po tym, jak ubiegłej nocy pozwoliła mu dojść do ostatniej bazy.

- ...to może oznaczać bardzo poważne ograniczenie zapasów ropy naftowej...

Leona przekrzywiła głowę, wsłuchując się w cichy głos płynący z radia.

- ...jeżeli sytuacja jeszcze się pogorszy. Na razie to dopiero pierwsze dni, nie wiadomo

dokładnie, co się tam wydarzyło. Jedno jest jednak pewne: możemy się spodziewać gwałtownego wzrostu cen ropy naftowej...

Westchnęła. Ropa naftowa... terroryści... zamachy bombowe. Wyglądało na to, że w dzisiejszych czasach nie podaje się już innych wiadomości; tłumy przepelnione wściekłością, strzały w powietrze, twarze pełne nienawiści. Te informacje przywodziły jej na myśl apokaliptyczne wizje, jakie snuł jej tato po paru kieliszkach czerwonego wina.

Kiedy to nastąpi, stanie się bardzo szybko... jedno zdarzenie po drugim, wszystko zacznie się walić jak kostki domina. I nikt nie będzie na to gotowy, nawet my, a przecież, Chryste Panie, jesteście w mniejszości, bo w ogóle wiemy, co ma się wydarzyć...

Cholera. Tato potrafił być naprawdę nudny, kiedy zaczynał mówić na swój ulubiony temat; głądził godzinami o krzywej Hubberta, petrodolarach, śladach węglowodorów... to był jego konik, jego hobby, opowiadał o tym wszystkim, kto tylko chciał słuchać, zwłaszcza jeżeli nie miał nic innego, równie ciekawego, do powiedzenia. Czyli prawie zawsze. Boże, jeśli już zaczął, nie wiedział, kiedy powinien skończyć, zwłaszcza jak trafił na zainteresowanych słuchaczy.

Leona sięgnęła ręką i wyłączyła radio.

Wiedziała, że mama dotarła do punktu, w którym, mówiąc bez ogródek, miała już dość; zastanawiała się, czy mama znudziła się tatą. Leona czuła, że w domu coś się szykuje, a atmosfera zagęszcza. Cieszyła się, że zaczęła zajęcia na uczelni i że jej młodszy brat Jacob znalazł się w szkole z internatem. Dzięki temu rodzice mieli więcej swobody i okazję, by uporać się ze sprawami, które musieli między sobą wyjaśnić.

Przeszła przez pokój, przestępując nad ubraniami rozrzuconymi na podłodze, tam gdzie je porzucili, ona i Daniel, poprzedniej nocy, gdy w przyspieszonym tempie pokonywali kolejne bazy.

Otworzyła drzwi i weszła do kuchni, gdzie sterta garnków, talerzy i patelni z zeschniętymi resztkami fasolki i ravioli na próżno czekała na umycie, a dwie jej współlokatorki z kampusu w kłębach tytoniowego dymu oglądały *Big Brothera* na ekranie telewizora stojącego na półce nad lodówką.

Rozdział 4

godz. 11.44 czasu lokalnego

stacja pomp IT-1B

150 km na północny wschód od Al-Bayji, Irak

Andy Sutherland sięgnął na tylne siedzenie toyoty land cruisera po dużą butelkę wody. Leżała na słońcu i choć dziś rano wyjął ją z lodówki zamrożoną na kamień, była teraz gorąca jak świeżo zaparzona herbata. Wypił kilka łyków, po czym polał sobie twarz, by spłukać kurz i palący słony pot.

Odwrócił się do Farida stojącego niedaleko od niego.

- Chcesz trochę?

Farid uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Poproszę.

Podał mu butelkę i raz jeszcze zerknął na zgliszcza stacji pomp IT-1B.

Nie zostało nic wartego ocalenia, jedynie wypalona skorupa żuźlowych bloków i poskręcanych rur, które należało usunąć, zanim będzie można wymienić je na nowe. IT-1B wraz z trzema innymi stacjami obsługiwała rurociąg północ-południe prowadzący do Turcji. A teraz to wszystko, stacja, rurociąg, węzły łączące, dosłownie wszystko legło w gruzach i to nie w jednym, ale w wielu miejscach.

Zostały tylko zgliszcza.

Farid oddał butelkę z wodą. Andy zauważył, że stary wypił niewiele, zaledwie parę łyków.

- Wypij jeszcze, jeżeli chcesz - rzekł, wykonując przy tym gest obmywania twarzy. Bądź co bądź, stary tłumacz był równie spocony i zakurzony jak cała reszta.

Farid pokręcił głową.

- Lepiej nie, teraz potrzeba wody przede wszystkim do picia - odparł łamiącym się, piskliwym głosem starego mężczyzny. Posługiwał się angielskim całkiem nieźle, lepiej niż poprzedni tłumacz, który z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu zniknął bez ostrzeżenia przed kilkoma dniami.

- Dobrze - mruknął Andy. Tamten miał rację. Dla wielu Irakijczyków stały dostęp do wody pitnej był w dalszym ciągu poważnym problemem. Przez ostatnie kilka lat musieli

przyzwyczajając się do zmniejszonych dostaw wody.

Opodal ustawione w formacji obronnej stały: kolejny land cruiser, którym podróżowali inni cywile oraz trzy zmodyfikowane nissany pikapy obsługiwane przez kilku irakijskich policjantów, którzy z niepokojem przeczesywali otaczające ich ruiny i zgliszcza.

Ostrożność była uzasadniona; milicja powstańcza przejeżdżała tędy zaledwie parę dni temu nie po to, by zniszczyć stację pomp, to stało się znacznie wcześniej, lecz by dla przykładu ukarać funkcjonariuszy lokalnego posterunku policji. Przedwczoraj czterech mężczyzn, przyjaciół i kolegów ludzi, którzy dziś pełnili służbę, wyprowadzono z budynku komendy i wywieziono w nieznanym kierunku. Ich ciał, jak dotąd, nie odnaleziono, ale bez wątplenia leżały przy którejś z głównych dróg, prażąc się w słońcu.

Zdaniem Farida jak na razie byli bezpieczni. Rebelianci zrobili swoje i ruszyli dalej. Naturalnie wrócą tu, ale jeszcze nie teraz. Było wiele innych miejsc, w których mogą się wykazać.

Andy sięgnął po swój kapelusik; znoszony, wypłowiały od słońca, turkusowy kapelusik wędkarski, którego nie odważyłby się nałożyć w Anglii, tu jednak miłosiernie ocieniał on jego głowę, twarz i kark. Skóra na jego czaszce, niedostatecznie chroniona przez strzechę jasnych włosów, zaczęła go świerzbić i parzyć, kiedy zdecydowanym ruchem nałożył kapelusik na głowę.

Podszedł po spieczonym, spękany od słońca gliniastym gruncie do innych inżynierów dokonujących oględzin zgliszczy IT-1B. Stał obok inżyniera, z którym przyjechał tu land cruiserem: potężnego, zwalistego, czarnobrodego Amerykanina imieniem Mike. Przywodził Andy'emu na myśl masywniejszą, mniej sympatyczną wersję Boba Hoskinsa.

- Spieprzone na amen - rzekł tonem pełnym powagi, kiedy Andy stanął obok niego.

Andy pokiwał głową.

- Dopóki nie posprzątają tego bałaganu, nie ma mowy o dalszym wydobyciu ropy z pól Kirkuku.

Mike wzruszył ramionami.

- Trochę to potrwa.

Fakt.

Jak doskonale wiedzieli, nie trzeba było wiele, aby zniszczyć naziemny rurociąg; setki kilometrów cienkich metalowych rur ciągnących się ponad powierzchnią ziemi. Wystarczył jeden ładunek wybuchowy domowej roboty umieszczony na którymś z jego odcinków i transport musiał zostać wstrzymany do czasu usunięcia uszkodzenia. W kraju takim jak Irak można było zapomnieć o wykorzystaniu rurociągów naziemnych, zwłaszcza tu, w regionie

Salah Ad Din, gdzie każdej nitki rurociągu, każdego kilometra trzeba było pilnować na okrągło, dzień i noc. Oczywiście trzydzieści czy czterdzieści lat temu, kiedy rurociąg dopiero budowano, było całkiem inaczej. Wtedy Irak był dobrze prosperującym krajem, w którym panował ład.

- Dla kogo pracujesz? - spytał Mike.

- Dla niewielkiej brytyjskiej firmy konsultingowej zajmującej się oszacowaniem ryzyka. Ale jest opłacana przez Chevroil-Exxo.

- Ja jestem wolnym strzelcem z ramienia Texana-Amocon.

Andy uśmiechnął się. Wyglądało na to, że obecnie wszystkie kompanie naftowe to koncerny powstałe z kilku firm. Oto znak czasów; kompanie goniły w piętke, łącząc swoje coraz bardziej nadszarpnięte rezerwy; wszystkie rozpaczliwie gromadziły aktywa, szykując się do końcowej rozgrywki.

- Chcą wiedzieć, jak długo potrwa, zanim będziemy mogli wydobyć coś z tego przeklętego kraju - dodał Amerykanin. - Ciekaw jestem, co byś im powiedział.

Andy uśmiechnął się i spojrzał z ukosa na pociemniałą skorupę wypalonego budynku na wprost nich.

- Wiele lat.

Mike skinął głową.

- Tak przypuszczałem. Sądząc po tym, co widać. Nawiasem mówiąc - odwrócił się, by spojrzeć na Andy'ego - nie przedstawiłem się. Jestem Mike Kenrick.

Zamienili zaledwie kilka słów dziś rano, kiedy konwój pokonywał kilkugodzinną trasę, sunąc z północy na wschód drogą z Al-Hadithah. Rozmawiali o obskurnym hotelu, gdzie obaj mieszkali, ciemnym labiryncie zimnych, pustych pokoi, wysokich sufitach, z których zwieszały się luzem przewody elektryczne, i o rzadkich przypadkach, kiedy w hotelu był prąd i bieżąca woda.

- Doktor Sutherland, ale mów mi Andy - odparł, podając rękę Amerykaninowi.

- Skąd właściwie jesteś, Andy?

- Z krainy kiwi. Jestem Nowozelandczykiem. Ale obecnie mieszkam w Anglii. Mieszkam tam z przerwami od dobrych dziewiętnastu lat - odparł Andy. - Choć ostatnio wcale nie czuję się tam jak w domu - dodał jakby po namyśle.

- Problemy?

- Taa... problemy.

Amerykanin chyba zrozumiał, że Andy nie jest w nastroju, aby rozwinąć ten temat.

- Tak bywa w tej robocie - dodał po namyśle burkliwym tonem. - Częste wyjazdy i długa

rozłąka z domem mogą zniszczyć nawet najtrwalsze małżeństwa.

- A ty skąd jesteś?

- Z Austin w Teksasie.

Andy jak przez mgłę przypomniał sobie, że nie dalej jak przedwczoraj widział tego faceta parującego w gatkach i podkoszulku z napisem „Nikt nie zadziera z Teksasem”.

Pięknie.

Dwaj inni inżynierowie krzżeli się teraz wśród zgliszczy, nagrywając obraz zniszczeń na kamery cyfrowe. Andy widział ich w bazie, ale z nimi dotąd nie rozmawiał. Jeden był Holendrem albo Francuzem, a drugi Ukraińcem, a przynajmniej tak mu mówiono. Trzymali się na dystans, podobnie jak Andy.

Prawdę mówiąc, jedyną osobą, z jaką naprawdę rozmawiał od swojego przyjazdu tutaj na początku tygodnia, był Farid, ich nowy tłumacz. Czteroosobowemu zespołowi przydzielono tłumacza oraz dwie toyoty i dwóch kierowców. Nie wybierali ich sobie ani nie sprawdzali, po prostu dostawali odgórnie.

- Byłeś tu już kiedyś? - spytał Mike.

- Tak, parę razy, ale na południu - Majnun, Halfaya. Tam to zupełnie inna bajka.

Amerikanin pokiwał głową.

- Ale to też się zmienia.

Usłyszeli o nadchodzących niepokojach od jednego z irakijskich policjantów z furgonetki. Andy odwrócił się, by spojrzeć. Jeden z policjantów rozmawiał przez telefon i nagle odwrócił się do pozostałych, aby im coś przekazać. Tamci w pierwszej chwili wydawali się nastawieni sceptycznie do tego, co usłyszeli, zaraz jednak rozległ się istny chór kilku podniesionych głosów mówiących jednocześnie. Policjant rozmawiający przez komórkę uniósł dłoń, aby ich uciszyć, ci zaś natychmiast zamilkli.

Andy przeniósł wzrok na Farida i przywołał go do siebie.

- O co tu chodzi? - spytał Mike.

- Dowiem się - odrzekł tłumacz i podszedł do policjantów, aby zapytać, co się stało. Andy obserwował starego, który przemówił do nich spokojnie, po czym zwrócił się do policjanta z komórką. Nagle Farid powiedział coś, wskazując ręką w stronę kabiny kierowcy. Jeden z policjantów energicznie zastukał kostkami palców w dach szoferki i krzyknął coś do drzemającego wewnątrz mężczyzny. Tamten poruszył się na siedzeniu i wychylił głowę na zewnątrz, zapewne, by zapytać, kto go, u licha, obudził.

Facet z komórką powtórzył, co usłyszał, Farid dodał coś od siebie, a wyraz twarzy kierowcy się zmienił. Wrócił za kółko, sięgnął ręką i włączył radio. Kiedy rozległa się

muzyka, natychmiast zmienił stację, przez chwilę kręcąc gałką i krzywiąc się na dźwięk suchych trzasków i szumu, aż w końcu odnalazł rozgłośnię nadającą czysto i wyraźnie, prezenter grobowym głosem czytał właśnie wiadomości.

- Coś się stało - mruknął Andy.

Wszyscy policjanci zamilkli podobnie jak Farid. Z uwagą i przejęciem słuchali podawanych przez radio informacji. Wtem, ni stąd, ni zowąd, rozległ się sygnał satelitarnego telefonu komórkowego Amerykanina. Mike drgnął nieznacznie i spojrzał na Andy'ego, a jego ciemne brwi wygięły się w łuk w grymasie zdumienia, gdy otwierał przypięty do paska futerał na telefon. Odszedł kilka kroków, by porozmawiać na osobności.

Andy odruchowo sprawdził, czy jego komórka jest włączona - okazało się, że tak, ale nikt do niego nie dzwonił.

Z narastającym zniecierpliwieniem wychwycił spojrzeniem Farida i rozłożył ręce w pytającym geście: *Co się dzieje?*

Tłumacz pokiwał głową i uniósł palec, nakazując mu, aby zaczekał jeszcze przez chwilę, przez cały czas pilnie przysłuchując się wiadomościom.

Odwrócił się do Mike'a, który słuchał swego rozmówcy, kimkolwiek był, z wyrazem zaniepokojenia na twarzy.

- Co się dzieje, do jasnej cholery? - warknął Andy rozdrażniony, że jako jedyny nie ma o niczym pojęcia.

Chwilę potem Farid oddalił się od policyjnej furgonetki i podszedł do Andy'ego, jego oblicze było nieodgadnione... jakby starał się przyjąć do wiadomości to, co przed chwilą usłyszał.

- Farid?

Mike włożył telefon do futerału i opuścił klapkę w chwili, kiedy irakijski tłumacz zatrzymał się tuż przed nimi. Amerykanin i Arab przez chwilę patrzyli na siebie.

- Czy ktoś zechciałby mi łaskawie wyjaśnić, co się, kurwa, dzieje? - rzucił oschle Andy

Rozdział 5

godz. 8.45 czasu Greenwich

Odleciał z lotniska im. Kennedy'ego kilka minut po dziesiątej wieczorem. Niezbyt popularna pora na lot, toteż w klasie biznesowej było wiele wolnych miejsc. Bez trudu nabył bilet, posługując się dokumentami na nazwisko Ash. Podrobiony paszport był doskonały, wręcz idealny, jak zawsze.

Ash.

W sumie całkiem adekwatne nazwisko, zwłaszcza dla tej konkretnej roboty. To była niezła zabawa przyjęcie fałszywej tożsamości, próba wyobrażenia sobie, kim był ten prawdziwy G.J. Ash, i wczucia się w tożsamość osoby, która posługiwała się tym nazwiskiem przez ostatnich trzydzieści siedem lat. Choć w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia.

Na czas realizacji tego zadania był panem Ashem, którego tożsamość przywłaszczył sobie do momentu wypełnienia kontraktu. Dopóki nie wykona swojego zadania, Ash było jedynym nazwiskiem, na jakie będzie reagował.

A kontrakt musi zostać zrealizowany jak najszybciej. Tym razem czas grał na jego niekorzyść. Niebawem dojdzie do pewnych wydarzeń, o ile to już się nie stało. Kiedy fundament prawa i porządku zacznie się walić, nastąpi to błyskawicznie, a wówczas odnalezienie celu, przynajmniej w teorii, znacznie się utrudni. Wobec tego musiał działać możliwie jak najprędzej.

Ash wyrzwał przez okno na szary Atlantyck poniżej.

Leona Sutherland. Lat osiemnaście. Zawód: studentka. Obecny adres zamieszkania: kampus Uniwersytetu Anglii Wschodniej.

Nie powinien mieć z nią większych problemów. Była dziewczyną, właściwie jeszcze dzieckiem. Ale, co istotniejsze, stanowiła zagrożenie. Olbrzymie zagrożenie, biorąc pod uwagę to, co właśnie zaczynało się dziać.

Dotrze na miejsce, zrobi swoje i zwinie żagle. Trzask-prask! i po robocie.

Dopilnuje, aby umarła szybko i bezboleśnie; przynajmniej to mógł jej zagwarantować, bądź co bądź, to nie jej wina, że stanowi zagrożenie. Leona Sutherland popełniła prosty błąd, dodając PS do emaila, ot i wszystko, kilka słów na koniec długiego listu elektronicznego

napisanego do ojca... Słów, których, jak się wydawało, nie zamierzała wcale użyć, a dodała je dosłownie w ostatniej chwili pod wpływem nagłego impulsu.

Na nieszczęście właśnie te słowa miały przypieczętować wyrok śmierci na nią.

Ash westchnął.

Jakże nieostrożni są ludzie, mówiąc, co im ślina na język przyniesie, zamierzenie lub niezamierzenie. Pewne rzeczy najlepiej przecież pominąć milczeniem. Był zdania, że wiele bólu i śmierci było na świecie spowodowanych przez fakt, iż ludzie nie umieli trzymać języka za zębami.

To nie będzie najszczytniejsze osiągnięcie w jego życiu - zabicie niewinnego dziecka, ale cóż, konieczność. Mniejsze zło, które należało wybrać dla większego dobra.

Sprzątał bałagan, który, szczerze mówiąc, powinien był usunąć wiele lat temu. Ci starzy głupcy pozwolili, aby mała dziewczynka wyszła z hotelowego pokoju żywa.

I właśnie dlatego potrzebowali takich ludzi jak on, aby po nich posprzątać.

Rozdział 6

godz. 12.35 czasu Greenwich

Manchester

Jenny wyszła przez wahadłowe drzwi na Deansgate i wzięła głęboki, bardzo głęboki oddech.

- Mam ją! - wyszeptała do siebie, zaciskając dłoń w pięść i dyskretnie, kiedy nikt nie patrzył, uderzając nią w powietrze.

Rozmowa kwalifikacyjna okazała się prostsza, niż się spodziewała. Kilkakrotnie zdołała ich rozbawić, mowa ciała zdradzała otwarcie i rozluźnienie. Od chwili gdy weszła do sali przesłuchań, była pewna, że wyjdzie stąd z tarczą. Po prostu czuła, że tamci jedzą jej z ręki.

Kiedy pod koniec rozmowy jeden z mężczyzn zapytał ją, jaki obowiązywał ją okres rozwiązania umowy w poprzednim miejscu zatrudnienia, uznała to za potwierdzenie.

- Mam ją - powtarzała pod nosem, idąc wzdłuż Deansgate w stronę kafejki, którą zauważyła w drodze na rozmowę kwalifikacyjną. Oczywiście nie mogli powiedzieć wprost: ma pani tę pracę. Tego popołudnia mieli się spotkać jeszcze z innymi kandydatami. To byłoby niewłaściwe, wręcz nieprofesjonalne zachowanie, gdyby tak postąpili. Ale wszystko inne - to, jak się z nią pożegnali, ściskali jej dłoń, kiwając głowami i podtrzymując kontakt wzrokowy - zdawało się mówić wyraźnie: skontaktujemy się z panią.

Uśmiechnęła się tak, jak nie robiła tego już od dawna. Miała wrażenie, jakby dała wielkiego susa, oddalając się od całego londyńskiego bałaganu. Naturalnie czekało ją jeszcze sporo pracy, a pierwszą rzeczą na liście było zabranie Jake'a ze szkoły z internatem. Jej mały, biedny synek na pewno będzie tym wszystkim zdezorientowany, ale kiedy już osiądą w Manchesterze, Jenny postara się wynagrodzić mu to. Będzie go rozpieszczać jak nigdy dotąd. I co ważniejsze, zapisze go do różnych klubów i sekcji. Wiedziała, że lubi postacie z Games Workshop. Całymi dniami malował te małe figurki i bawił się nimi. Mieli tu jeden sklep z figurkami oraz kluby, gdzie spotkania odbywały się w soboty i w niedziele; zapisze go tam. Była pewna, że chłopiec błyskawicznie znajdzie sobie nowych kolegów.

Jenny otworzyła drzwi kafejki i weszła do środka.

Zamówiła gorącą czekoladę z całą górą śmietanki - którą Andy nazywał pianką do golenia - oraz pączka i zajęła miejsce przy stoliku pod oknem. Pączek w połączeniu z zawartością kubka stanowił zapewne istną bombę kaloryczną, ale co tam, dobrze się spisała i

zasłużyła na nagrodę.

I właśnie sprawiła sobie mały prezent.

Usiadła przy oknie, w myślach przypominając sobie listę rzeczy, jakie musi zrobić. W tle słychać było dźwięki płynące z włączonego telewizora stojącego za kontuarem.

- ...siejąc kompletny chaos. Właśnie doszły nas wieści z międzynarodowego lotniska im. króla Khalida w Rijadzie. Choć nie zostało to oficjalnie potwierdzone, nie ulega wątpliwości, że zamieszki dotarły do stolicy i mogły stanowić dla nich zagrożenie...

W Londynie czeka ją miesięczny okres wypowiedzenia. Jenny wiedziała jednak, że pracodawca był jej winien jeszcze parę tygodni urlopu, toteż wykorzysta go i w efekcie przepracuje nie cztery, ale dwa tygodnie. Andy na pewno zechce osobiście nadzorować sprzedaż domu. Właściwie nie będzie miał wiele do roboty, wystarczy że zostanie w domu i wpuści agenta nieruchomości, kiedy ten w końcu się zjawi.

- ...wiadomo już teraz, że gwałtowna eskalacja wydarzeń w Arabii Saudyjskiej zaczęła się dziś rano od zamachu bombowego na święte meczety sunnitów w Mekce i Medynie. Choć nikt nie wziął jeszcze na siebie odpowiedzialności za te zamachy, meczety szyitów w całym kraju stały się celami dla sunnickiej i wahabickiej większości, która rozpoczęła wyjątkowo krwawą i niebezpieczną wojnę domową w kraju...

No i pozostały jeszcze meble oraz gromadzone przez dwadzieścia lat bibeloty, których należało się pozbyć. Jenny nie chciała zabierać całego tego majdanu ze sobą. Przypuszczalnie większość rzeczy da się upłynnić na eBayu albo może urządzi gigantyczną wyprzedaż garażową. Nie zamierzała jednak zniżyć się do roli bazarowej handlarki usiłującej opchnąć za bezcen rzeczy, które były warte znacznie więcej niż kilka centów od sztuki.

- ...ceny akcji na Wall Street dziś rano gwałtownie spadły, gdy cena ropy podskoczyła do ponad stu dolarów za baryłkę. Mówi się, że pogorszenie sytuacji w Arabii Saudyjskiej zainicjuje scenariusz znany w kręgach przemysłu naftowego i gazowego jako Szczyt Wydobywania Naftowego...

Jenny odwróciła się do telewizora.

Ten zwrot wyrwał ją z zadumy nad planami na najbliższą przyszłość jak gorący nóż wchodzący w kostkę masła.

Szczyt Wydobywania.

To był jeden z ulubionych zwrotów Andy'ego; miała go dość. Przez ostatnie lata słyszała te słowa tyle razy, że na samo ich brzmienie zbierało się jej na mdłości. I oto dziś, w telewizji, w wiadomościach usłyszała je z ust kogoś innego. Słowa brzmiały dziwnie i niepokojąco, gdy wypowiadał je ktoś inny niż Andy. I nie był to znajomy petrogeolog czy jakiś pokręcony

zwolennik teorii spiskowych, z którymi Andy kontaktował się za pośrednictwem internetu, lecz prezenter wiadomości, pracownik BBC, podczas przekazywania porcji popołudniowych informacji.

Barman za kontuarem skończył właśnie obsługiwać klienta i sięgnąwszy po pilota, zrećznie przerzucił kilka kanałów, by wybrać ten, na którym puszczano właśnie mecz Manchesteru City.

Jenny już miała zawołać, aby nie przełączał kanału. Rozejrzała się wokoło, w głębi duszy oczekując, że kilku innych klientów kafejki także zaczną się domagać przywrócenia serwisu wiadomości, ale żaden ze studentów czy stałych bywalców, którzy wpadli tu w porze lunchu, aby zjeść kanapkę, nie zwrócił uwagi na podawane w dzienniku informacje. Byli zbyt zajęci, by zaprzętać sobie nimi głowę.

Podobnie jak ona byli zbyt pochłonięci drobiazgami codziennego życia: zarabianiem na chleb, spłacaniem rachunków, odebraniem dzieci ze szkoły... zdobyciem nowej pracy.

Powróciła myślami do wiadomości. Ktoś inny, tym razem nie Andy, wypowiedział na głos: Szczyt Wydobycia Naftowego.

I nagle euforia, jaka ogarnęła ją po zakończonej właśnie rozmowie kwalifikacyjnej, przysła niczym mydlana bańka.

Rozdział 7

godz. 15.37 czasu lokalnego
pustynia w regionie Salah Ad Din, Irak

- A oni dokąd się wybierają? - krzyknął Mike.

Wóz irackiej policji przed nimi skręcił nagle w prawo, zjeżdżając z wyboistej drogi wiodącej na południowy zachód, z powrotem do Al-Bayji.

Andy patrzył, jak pojazd oddala się po nierównym gruncie i zjeżdża na wąską boczną drogę. Dwie pozostałe policyjne furgonetki podążyły za nim, odłączając się od konwoju.

- Cholera. I co teraz? Jedziemy za nimi? - spytał Mike.

Andy wzruszył ramionami.

- Nie wiem, tamci jadą w przeciwnym kierunku. - Patrzył na znikające w kłębach kurzu trzy pojazdy.

- Mają inne sprawy - rzucił siedzący na przednim siedzeniu Farid. Stary wskazał na radio wmontowane w desce rozdzielczej. - Stacja radiowa Al-Taria podała, że starcia pomiędzy sunnitami a szyitami, które rozpoczęły się w Arabii Saudyjskiej, dotarły aż tutaj. Było wiele zamachów bombowych, w Bagdadzie wybuchły zamieszki.

Mike spojrzał na Andy'ego.

- No to pięknie.

Farid niepewnie zmarszczył brwi, nie wychwytyjąc ironii.

- Policja pojechała, by ich wesprzeć - dodał.

- Sunnitów?

Stary skinął głową.

Andy przygryzł wargę i wziął głęboki oddech. Teraz byli praktycznie bezbronni. Bez eskorty staną się kuszącym, łatwym celem. Naturalnie mieli własnego kierowcę, młodzieńca imieniem Amal, a drugą toyotę prowadził niejaki Salim. Obaj kierowcy mieli karabinki szturmowe AK-47. Nie był pewien jednak, czy potrafiliby ich użyć w bezpośrednim starciu. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, aby Farid, Amal albo Salim zechcieli narażać życie, by chronić jego lub trzech innych przybyszów z Zachodu. Do licha, gdyby role się odwróciły i natknęliby się na amerykański patrol, żądny wyżycia się na paru pechowych brudasach, ani on, ani Mike czy dwaj pozostali nie wymierziliby broni w Amerykanów, aby ocalić tamtych.

Musieli mieć nadzieję, że droga do miasta jest przejezdna, a wszyscy uzbrojeni i szukający okazji do rozróby maruderzy będą zbyt zajęci walkami między sobą, aby zwrócić na nich uwagę.

Wyjrzał przez okno na sprażoną słońcem, pylistą ziemię porośniętą tu i ówdzie krzewami i palmami, zastanawiając się, co też mogło się dziś rano wydarzyć. Mike wyjaśnił, że zadzwonił do niego szef z centrali firmy w Austin w Teksasie, aby przekazać to, co podał Reuters, a mianowicie, że w Arabii Saudyjskiej rozpętało się piekło po kilku wyjątkowo krwawych zamachach na meczety, było wiele ofiar. Cały ten kraj był jak beczka prochu, wystarczyła jedna iskra, aby doszło do eksplozji. Zrozumiałe, że w Iraku, gdzie panowała nader napięta sytuacja, już wkrótce także można było się spodziewać eskalacji nienawiści; podobnie będzie zapewne w innych krajach arabskich - Kuwejcie, Zjednoczonych Emiratach Arabskich i Omanie.

Andy domyślał się, że oczy całego świata są obecnie skupione na wydarzeniach w Rijadzie i obserwują dalszy rozwój wypadków z godziny na godzinę; podejrzewał, że w studiach telewizyjnych wszystkich krajów gościli najróżniejsi eksperci w dziedzinie kultury i religii islamu, aby debatować nad przyczynami obecnej eskalacji przemocy. Zastanawiał się jednak, czy ktoś potrafi spojrzeć na całą tę sprawę z szerszej perspektywy.

Tylko dziś rano, w związku z zamieszkami i narastającą destrukcją sytuacji politycznej w Arabii Saudyjskiej, świat stracił regularne dostawy oscylujące pomiędzy jedną czwartą a jedną trzecią codziennego zapotrzebowania na ropę naftową.

Sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę.

- Do kogo dzwonisz? - spytał Mike.

- Do domu - odparł Andy, otwierając klapkę i wciskając klawisz szybkiego wybierania. Zapanowała długa cisza, aż w końcu usłyszał jednostajny sygnał. - Cholera, nie ma zasięgu.

- To jak loteria, jedne komórki działają lepiej od innych - odparł Mike. - Jesteśmy teraz w drodze, więc za jakiś czas spróbuj ponownie.

Farid odwrócił się na fotelu, żeby z nimi pomówić.

- Może nie jechać do Al-Bayji. Zamieszki, walki.

- Co wobec tego proponujesz? - uciał Mike. - Przecież nie możemy zostać tutaj.

Andy uniósł wzrok.

- Myślę, że moglibyśmy ominąć miasto i skierować się w stronę K-2. To tylko o godzinę dłużej.

K-2 było lotniskiem zmodyfikowanym przez Amerykanów i punktem przerzutowym dla prowiantu oraz oddziałów zbrojnych kierowanych stąd w północne regiony kraju.

- Chcesz wyjechać z Iraku? - zapytał Mike.

- Owszem, tutaj może być już tylko gorzej.

Andy ponownie zadzwonił do domu, tym razem linia była wolna. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka z jego powitaniem. - Cholera.

Może spróbuję zadzwonić na jej komórkę?

Prawdopodobnie rozłączyłaby się. Chciał, żeby dzieci wróciły do domu, a nie przebywały w szkole z internatem czy na uniwersyteckim kampusie, i żeby Jenny wybrała się do najbliższego Tesco na wielkie zakupy, po tyle żywności i wody, aby starczyło co najmniej na kilka tygodni.

Chryste, czy popadam w paranoję?

Być może. Ale nawet jeżeli jego reakcje są ciut przesadzone, co z tego? Przecież chodzi tylko o żywność, prędzej czy później wszystko i tak zostanie zjedzone. Podejrzał jednak, że Jenny powiedziała mu, aby spadał na drzewo i że nie zamierza robić dzieciom wody z mózgu tylko dlatego, że ich ojciec miał nagły atak paniki.

A może przejęłaby się raczej jego losem, ponieważ był daleko od domu, kiedy zaczął się cały ten bałagan. I ani przez chwilę nie martwiła się, że wydarzenia w Arabii Saudyjskiej mogą wywrzeć jakikolwiek wpływ na jej życie w cichym i spokojnym londyńskim Shepherd's Bush.

Mimo to spróbował zadzwonić do Jenny, ale usłyszał tylko komunikat: „Abonent może mieć wyłączony telefon lub znajduje się poza zasięgiem sieci”.

- I nic? - rzucił Mike.

- Niestety.

Andy zastanawiał się, czy w tej sytuacji nie powinien ominąć żony. Wiedział, że będzie jeszcze gorzej. Jeżeli miał rację co do dalszego rozwoju wypadków, powinni zorientować się w ciągu dwóch, trzech, góra czterech dni. Podejrzał, że tyle czasu potrzeba było, aby pojawiły się pierwsze symptomy nagłego kryzysu naftowego. Domyślał się, że nawet teraz na Downing Street dyskutowano o planie awaryjnym ogólnokrajowej ochrony i oszczędzania ropy naftowej, a premier ogłosi go publicznie jeszcze dziś wieczorem. A kiedy to nastąpi, sprawa się rypnie, wszyscy zrozumieją, co jest grane, i rozpęta się piekło na ziemi.

Chrzanić to. Zadzwonię do niej.

Andy bez wahania wcisnął drugi numer, jaki miał wpisany w komórce w trybie szybkiego wybierania.

Rozdział 8

godz. 12.38 czasu Greenwich

Uniwersytet Anglii Wschodniej, Norwich

Leona wychodziła właśnie z sali wykładowej, kierując się w stronę baru studenckiego po drugiej stronie placu, gdzie roiło się od studentów zmierzających do rozmaitych placówek na terenie kampusu, kiedy poczuła wibrację telefonu w kieszonce na piersi.

Wyjęła aparat przekonana, że to Daniel z pytaniem, gdzie ona się podziewa. Coś ją zatrzymało, ale było jej to na rękę. Nie chciała przyjść przed nim albo, co gorsza, na czas. Jeżeli chodziło o rozwój wypadków, Leona wciąż zachowywała zimną krew i rozgrywała wszystko na chłodno.

Spojrzała na wyświetlacz, aby zobaczyć, kto dzwoni. W pierwszej chwili numer wydał się jej nieznanym, ale mimo wszystko odebrała.

- Tak?

- Leona? Tu tato.

- Tato! - W jej podniesionym głosie zabrzmiała nuta zdumienia.

Rzadko do niej telefonował. Jeżeli dzwonił z domu, zwykle to była mama, a tato tylko sięgał czasem po drugi aparat, aby powiedzieć „cześć”, spytać, co słychać i czy czegoś jej potrzeba. To mama zawsze podejmowała najtrudniejsze tematy. Zastanawiała się, czy nie stało się jej nic złego.

- Czy z mamą wszystko w porządku?

- Co? Ach, tak, nic jej nie jest.

Sygnal był fatalny, głos raz po raz zanikał.

- A u ciebie wszystko gra, tato? - spytała.

Chwila ciszy, jaka nagle zapanowała, sugerowała, że telefonował z daleka.

- Nic mi nie jest, kochanie.

- Wciąż jesteś za granicą?

- Tak, niestety. Ale niedługo wrócę.

- No to świetnie - odparła. Ale nie dlatego zadzwonił. Usłyszała to wyraźnie w jego głosie. - I tylko to chciałeś mi powiedzieć?

- Nie. Posłuchaj, Leona, oglądałaś dziś rano wiadomości?

- Nie. Właściwie nie.

- Mamy tu poważne problemy. W Arabii Saudyjskiej miały miejsce zamachy...

- Tak. Słyszałam, jak mówili o tym w radiu. Zamieszki czy jakoś tak.

Chwila przerwy, a może zanik sygnału, nie wiedziała.

- To mnie martwi, Leona. Obawiam się, że to, co się stało, będzie mieć wpływ na wszystko i wszystkich.

O nie. Tylko nie to. Tylko nie kolejny wykład o ropie naftowej. Dlaczego teraz?

- Tato, posłuchaj, gdyby to było coś poważnego, ogłoszono by to w kampusie. Nie martw się o nas - odparła z pełnym znużenia westchnieniem. I nagle przyszło jej na myśl, że to jemu mogło coś grozić.

- A ty, jak tam sobie radzisz?

- Na razie nieźle. Ale zamierzam odlecieć stąd pierwszym samolotem, może nawet jeszcze dziś, jeśli mi się uda, kochanie. Przypuszczam, że zrobi się tu naprawdę paskudnie. Ale posłuchaj, Leona, to naprawdę ważne.

Dotarła do baru studenckiego i otworzyła drzwi. Ujrzała Daniela, siedział przy stoliku pod oknem i czekał na nią. Pomachał do niej.

- Tato, muszę kończyć.

- Nie! Posłuchaj, Leona...?

Przystanąła, skinęła głową do Daniela i unosząc palec wskazujący, dała mu znać, że podejdzie za chwilę. A potem puściła drzwi, pozwalając, by się zamknęły i odcięły ją od panującego wewnątrz hałasu.

- O co właściwie chodzi?

- Gdzie jest mama?

- Mówiła, że wybiera się po coś do Manchesteru... chyba chciała odwiedzić przyjaciół. Miała tam zostać do końca tygodnia.

Leona usłyszała, jak zaklął pod nosem.

- Posłuchaj, kochanie, chciałbym, żebyś natychmiast wróciła do domu, do Londynu.

- Co takiego?

- Chciałbym, żebyś zabrała Jake'a ze szkoły, pojechała do supermarketu i wydała tyle pieniędzy, ile możesz, na żywność, wodę i...

- Nie mogę tego zrobić, tato!

- Leona, zrób, o co proszę! - odparł tonem nieznoszącym sprzeciwu, którego używał tylko w naprawdę skrajnych przypadkach.

- Nie możesz mnie o to prosić. Nie mogę opuścić uczelni przed końcem semestru...

Zdziwiła się, gdy jego ton głosu nagle złagodniał.

- Proszę cię, Leona. Wiem, że masz po uszy tej mojej smętnej gadki. Nie jestem idiotą. Wiem, że zanudzałem cię na śmierć, opowiadając o ropie i wszystkim, co się z nią wiąże. Myślę jednak, że sytuacja nie przedstawia się różowo, co więcej, będzie jeszcze gorzej i musicie być na to przygotowani. Muszę wiedzieć, że nic wam nie jest.

- Ale nam nic nie jest! Jasne? U nas wszystko gra!

- Leona, wiesz, że nie mó...

Połączenie zostało nagle przerwane i usłyszała tylko długi jednostajny sygnał. Odsunęła telefon od ucha i spojrzała na komórkę jak na kosmitę.

Boże. To było dziwne. Naprawdę dziwne.

Odczekała chwilę, spodziewając się, że telefon znów zacznie wibrować, aż w końcu po minucie włożyła go z powrotem do kieszeni, otworzyła drzwi i weszła do baru. Daniel nadal siedział przy oknie w tej samej nieruchomej pozycji, ale na jego twarzy malował się dziwny grymas.

- O nic nie pytaj! - rzekła, siadając przy stoliku obok niego. - Dzwonił mój tato i zachowywał się dość dziwnie.

- Coś z nim nie tak?

- O Boże, długo by mówić.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Skoro tak twierdzisz. Co dla ciebie?

- Małe piwo.

Daniel wstał i, mijając ją, położył dłoń na jej udzie i lekko uszczypnął - o tym drobnym geście myślał ubiegłej nocy - po czym podszedł do baru.

Ona zaś myślami była gdzie indziej. Zastanawiała się nad telefonem od taty, urywkami informacji z radia, które wychwyciła dziś rano, zaledwie cztery czy pięć godzin temu. Przecież w tak krótkim czasie nie mogło dojść do naprawdę diametralnych zmian w funkcjonowaniu świata.

Rozdział 9

**godz. 18.42 czasu lokalnego
na drodze do Al-Bayji, Irak**

- Nie jestem pewien. Wyglądają jak nasi.

Mrużąc lekko powieki, Andy spojrział na rząd pojazdów w gasnącej poświacie wczesnego wieczoru. Nie poruszały się, wszystkie miały wyłączone światła. Jedyne blask roztaczała zapalona migocząca latarka umieszczona gdzieś pod maską pierwszego pojazdu. Z sylwetki wozy te przypominały mu land rovery

- Brytyjskie - mruknął Farid.

- Angole? - wtrącił Mike. - Tak, zapewne tak. To z całą pewnością nie są hummery.

Andy w świetle latarki dostrzegł kilku mężczyzn stojących przy pierwszym samochodzie.

Ale czemu tak tu stoją z wyłączonymi światłami?

- To cholernie podejrzane - rzekł Andy

- Co? A my?

Kiedy zaczęło się ściemniać, postanowili jechać dalej z wygaszonymi światłami. Od chwili niespodziewanego zniknięcia policyjnej eskorty wcześniej tego dnia czuli się niebezpiecznie odsłonięci i w miarę jak popołudniowe cienie zaczęły ustępować miejsca zmierzchowi, uznali, że lepiej będzie nie rzucać się w oczy bardziej niż to konieczne.

Silnik land cruisera pracującego na jałowym biegu pomrukiwał z cicha, gdy Andy cofnął się o kilka kroków od otwartych drzwiczek i zaczął wpatrywać się w krótki konwój pojazdów stojących o trzysta, może czterysta metrów od nich.

Mike wysiadł i dołączył do niego.

- Wiesz, skoro my ich widzimy...

- To oni nas także. Wiem.

A my stoimy tu z wyłączonymi światłami.

Andy miał nadzieję, że to Brytyjczycy, a nie patrol Amerykanów gotowych przy pierwszej lepszej okazji strzelać do wszystkiego, co się rusza. Przez cały ubiegły rok to wojska amerykańskie pacyfikowały obszary objęte narastającym chaosem, którego iracki rząd uporczywie nie chciał określić mianem „wojny domowej”. W terenie przybywało wielu przerażonych, zmęczonych walką młodych amerykańskich chłopców uzbrojonych po zęby i

skłonnych podziurawić jak sito każdy pojazd, który, zwłaszcza nocą, poruszał się z wygaszonymi światłami.

- Chyba masz rację - rzekł Mike, jakby czytał w myślach Andy'ego. Skinął w stronę konwoju. - Wiem, że nasi chłopcy są dość spięci, do tego stopnia, by najpierw strzelać, a potem zadawać pytania. Może powinniśmy zapalić światła i mieć nadzieję, że to Brytyjczycy

- Taa. - Andy odwrócił się do Farida. - Włączmy światła.

I miejmy nadzieję, że dobrze się to skończy.

Farid bez słowa skinął głową i wyszeptał coś po arabsku do Amala. Po chwili rozbłysły reflektory i dwie pary snopów światła pomknęły po wyboistej asfaltowej drodze w stronę konwoju.

Andy natychmiast się zorientował, że to pojazdy wojskowe. Nie amerykańskie ani irackie, lecz, tak jak podejrzewali, brytyjskie.

Usłyszeli krótki rozkaz i drużyna zaczęła się zbliżać ku nim z dwóch stron dwiema czwórkami, rozciągając szyk, w miarę jak zmniejszał się dystans pomiędzy nimi; żołnierze mieli broń uniesioną i gotową do strzału.

Andy przyłożył dłonie do ust i zawołał:

- Jesteśmy cywilnymi kontrahentami!

Jeden z żołnierzy odkrzyknął z półmroku:

- Nic nas to nie obchodzi! Wsiądźcie z wozu i stańcie tak, żeby było was widać!

Andy odwrócił się, by skinąć do Farida, Amala i drugiego auta, skąd właśnie zaczęli wysiadać pozostali dwaj pracownicy kontraktowi.

Chciał zapewnić ich starego tłumacza, że najgorsze minęło i są już bezpieczni. Ale widząc w świetle reflektorów ośmiu podchodzących młodych żołnierzy, przez cały czas mierzących w ich stronę, Andy zaczął się zastanawiać, jak duży nacisk wywierają palce wskazujące Brytyjczyków na spusty służbowych SA-80.

- Właśnie tak! Wszyscy z wozów! - zawołał jeden z nich.

Andy zatrzymał wzrok na żołnierzu znajdującym się najbliżej. Jako jedyny pokonał ostatnie kilka metrów, podczas gdy pozostali ustawili się w półokręgu. Młody żołnierz - starszy kapral, jak stwierdził Andy, dostrzegając baretki i naszywkę z nazwiskiem i szarżą na przedzie jego bojowej kamizelki kuloodpornej - nieznacznie opuścił broń, po czym, przyjrzawszy się im przez dłuższą chwilę, uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- Przepraszam, panowie, mamy za sobą naprawdę parszywy dzień.

- Zapanował kompletny chaos - rzekł porucznik Robin Carter, kręcąc głową. - Obudziłem się dziś rano, szykując się na kolejny zwyczajny dzień w tym miejscu, i nagle... wszystko stanęło na głowie.

Erich, francuski inżynier, odezwał się po raz pierwszy, mówiąc z trudem po angielsku:

- Co się stało?

Porucznik Carter wyglądał na zdziwionego.

- Nie wiecie?

- Słyszeliśmy o jakichś zamachach bombowych i zamieszkach w Arabii Saudyjskiej - dodał Mike.

- O tak, walki rozszalały się w najlepsze. Zaczęło się od zamachów bombowych w Mekce, Medynie i Rijadzie dziś rano. Ktoś wysadził Ka'bah albo przynajmniej zdetonował w jego pobliżu ładunek wybuchowy. Gdybyś chciał wszcząć wojnę religijną, to najlepszy sposób. Niepokoje objęły całą Arabię Saudyjską, gdzie rozpętała się prawdziwa wojna domowa między wahabitami, sunnitami i szyitami. Rozprzestrzenia się jak cholerna ptasia grypa. Zamieszki szaleją już w Kuwejcie, Omanie i Emiratach.

- I wszystko z powodu jednego zamachu bombowego? - spytał Mike.

Carter pokręcił głową.

- Chodzi o Święty Meczec w Mekce! Nie można obrać sobie za cel lepszego miejsca na całym świecie. To ośrodek muzułmańskiego wszechświata. Wygląda na to, że zaraz po zamachu jakaś radykalna grupa szyitów przyznała się, że był on ich dziełem. Gdyby ktoś chciał zainicjować globalną wojnę domową między sunnitami a szyitami... Chyba właśnie tak należałoby ją rozpętać. Słyszałem, że w Rijadzie trwa bezlitosna krwawa jatka, w Arabii Saudyjskiej rozpętał się chaos: kolejne zamachy bombowe, walki i zamieszki, to wszystko rozprzestrzenia się po całym Bliskim Wschodzie jak pożar stepu.

Andy pokiwał głową. To jedna z rzeczy, o jakich pisał osiem lat temu w swoim raporcie. A dokładnie w krótkim rozdziale mówiącym o tym, jak łatwo uczucia religijne można by wykorzystać w formie narzędzia do całkowitej destabilizacji danego regionu i jak niewielki akt przemocy - uszkodzenie lub zniszczenie powszechnego obiektu kultu w rodzaju Świętego Meczetu Ka'bah - mógłby doprowadzić do wybuchu wojny domowej.

- Jezu - wyszeptał Mike.

- Taa... Naturalnie Irak był jednym z pierwszych krajów, które przyłączyły się do całej tej rzezi. Zrobił się tu nielichy bałagan - odrzekł porucznik. - Praktycznie we wszystkich miastach i miasteczkach doszło dziś do zamieszek i wymiany ognia. Iracka policja i wojsko, rzecz jasna, dołączyły do tej jatki. Bóg jeden wie, ile ofiar poniósł cały nasz batalion. Chłopcy

co chwila wpadają w zasadzki.

Andy skinął głową w stronę land rovera stojącego na czele konwoju sześciu pojazdów.

- Jakiś problem?

Carter przytaknął.

- Właśnie. Wygląda na to, że mamy uszkodzony wał napędowy. - Oficer powiódł wzrokiem ponad jałową równiną, z rzadka upstrzoną rosnącymi po dwie lub trzy palmami daktylowymi. - Kilka godzin temu zgłosiliśmy, żeby przysłano nam zespół holowniczy po uszkodzony pojazd i po nas. Ale jak dotąd jeszcze się nie pokazał. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby dziś kogokolwiek przysłali. Nie w całym tym bajzlu, jaki się rozszalał.

Porucznik Robin Carter miał góra dwadzieścia pięć lat.

Chryste on jest tylko o sześć lat starszy od Leony.

- Spójrzcie tam. - Carter wskazał ręką w stronę horyzontu na południowym zachodzie. Niebo, mimo iż słońce już zaszło, nabiegło czerwono-pomarańczową łuną. - Al-Bayji. W mieście chyba płoną jakieś budynki. Nie wątpię, że miejscowi rzucili się sobie nawzajem do gardeł. Nasi chłopcy stacjonują w bazie na drugim brzegu Tygrysu. Mogą do nas dotrzeć tylko w jeden sposób - przez most w Al-Bayji. Dlatego wątpię, żeby ktokolwiek dziś po nas wyjechał.

Mike spojrzał na Andy'ego.

- Pięknie.

- Zamierzacie tu zostać na noc? - spytał Andy. Patrzył na oficera, który, przygryzając dolną wargę, rozważał możliwości.

- Ten land rover nigdzie sam nie pojedzie. Trzeba by go odholować. A szczerze mówiąc, nie uśmiecha mi się dziś wieczorem przejazd przez Al-Bayji ani przez jakiegokolwiek inne miasto. Chyba lepiej będzie, jeśli zostaniemy tu do rana i przed świtem ruszymy w dalszą drogę. Miejmy nadzieję, że do tego czasu sprawy trochę się uspokoją i zdołamy się przemknąć do bazy pod osłoną ciemności.

- Moglibyśmy zostać z wami? - zapytał Mike. - Nasza cholerna iracka eskorta przy pierwszej okazji wzięła nogi za pas.

- Bylibyście głupcami, gdybyście postąpili inaczej - porucznik Carter uśmiechnął się krzywo. - A poza tym przyda się nam kilka dodatkowych par rąk i oczu. - Zerknął na Farida i dwóch młodych Irakijczyków. - Czy mam przydzielić ludzi, żeby mieli ich na oku?

Andy pokręcił głową. Raczej nie. Bądź co bądź pozostali, podczas gdy policyjna eskorta bez ostrzeżenia zwinęła żagle. Gest ten pozostał jednak niezauważony.

Mike odpowiedział donośnie:

- Podejrzewam, że zechce pan odebrać im broń, poruczniku. Mają w szoferkach AK-47.

Carter zamyślił się przez chwilę.

- Tak, zważywszy na sytuację, to chyba byłoby rozsądne posunięcie.

Andy spojrzał na Farida, który prawie niedostrzegalnie skinął głową, po czym zwrócił się do dwóch młodych kierowców i wyjaśnił im po arabsku, że mają oddać broń.

Porucznik Carter przywołał starszego kaprala i poinstruował go, by odebrał karabinki szturmowe kierowcom dwóch land cruiserów.

Andy uważnie obserwował reakcję trzech Irakijczyków. Kierowcy, młodzi mężczyźni, odpowiedzieli Faridowi pełnym ożywienia, ale ostrożnym tonem. Najwyraźniej byli niezadowoleni, że muszą oddać broń, i raz po raz z niepokojem zerkali na brytyjskich żołnierzy stojących przy drodze, obok konwoju. Farid zachowywał się i mówił z największą ostrożnością, powoli i dość cicho, jakby chciał ich w ten sposób uspokoić.

- W porządku - mruknął porucznik Carter, odchrząknąwszy, po czym uniósł głos, aby mogli go usłyszeć nie tylko czterej ludzie przed nim, lecz także jego podkomendni. - Ustawmy land rovery w krąg w formacji obronnej, te dwa cruisery także. Sierżancie Bolton?

Ochrypiły głos z północnym akcentem, którego Andy nie potrafił zidentyfikować, dobiegł go nagle z ciemności, wywarkując słowa:

- Panie poruczniku?

- Dopilnujcie tego, dobrze? Wystawcie warty i punkt kontrolny przy drodze. Wszyscy inni mogą trochę odpocząć i przespać się. Wyruszamy w drogę o piątej rano. Mamy przed sobą jeszcze dwie godziny jazdy. Powinniśmy wrócić do bazy na tyle wcześnie, że zdążymy na śniadanie; oby tylko jajecznica nie wystygła.

Andy zwrócił uwagę, że nikt się nie zaśmiał.

Jest ich nowym dowódcą. Andy odniósł wrażenie, że podkomendni wciąż jeszcze nie nabrali do Cartera szacunku i zaufania.

Rozdział 10

**godz. 21.21 czasu lokalnego
na drodze do Al-Bayji, Irak**

Andy wycisnął resztkę posiłku z żelaznej racji w foliowej torebce. Po przełknięciu prawie całej porcji gęstej i ciepławej pasty z kurczaka z pieczarkami uznał, że w dostatecznym stopniu zaspokoił głód. Tak jak w wypadku wszechobecnych przydrożnych barów z hamburgerami zapach polowych racji rozpuszczanych we wrzątku na małych kuchenkach gazowych wydawał się sto razy bardziej zachęcający niż smak gotowych już potraw.

W ciemnym wnętrzu land cruisera Andy, Mike i francuski inżynier Erich posilali się w milczeniu; słychać było tylko szelest metalizowanych opakowań. Na zewnątrz księżyc w pełni rzucał srebrzysty, niepokojąco silny blask na spowitą w ciszy drogę i równinę wokół. W ciągu ostatnich trzech godzin minęło ich zaledwie kilka pojazdów. Każdy z nich zatrzymywali na założonym przez siebie prowizorycznym punkcie kontrolnym, a potem przepuszczali po pobieżnej inspekcji i obejrzeniu auta oraz jego pasażerów w świetle latarek. Wszystkie pojazdy przewoziły wielu ludzi wraz z najcenniejszym dla nich dobytkiem, zapewne próbowali oni uciec przed rozprzestrzeniającymi się w większych miastach zamieszkami. Tu, na omiatanej wiatrem wolnej przestrzeni, pod gwiazdami, w świetle księżyca, Andy był gotów przez chwilę uwierzyć, że noc w całym kraju przebiega spokojnie i bez żadnych incydentów, lecz o tym, jak było naprawdę, przypominała mu widoczna na horyzoncie czerwona łuna nad Al-Bayji.

Z wychwyconych urywków wiadomości BBC i bardziej szczegółowych relacji przekazywanych w lokalnych rozgłoszeniach, które tłumaczył im Farid, wyglądało na to, że zamieszki trwające od rana w Rijadzie rozlały się na cały Półwysep Arabski z siłą potężnej fali przyływu.

- Oni wszyscy poszaleli - rzekł Mike, przerywając milczenie.

W ciemnościach Andy skinął głową, choć Amerykanin i tak nie mógł ujrzyć tego gestu.

- Nie do wiary, jak szybko się to rozprzestrzenia - odparł po chwili.

- Nie sposób przewidzieć, jak ci szurnięci tandeciarze kombinują. Najpierw zwracają się przeciwko nam, bo obaliliśmy ich marnego dyktatora, a teraz nagle zaczynają walczyć między sobą. Sądzisz, że znudziło im się strzelanie do cudzoziemców?

Andy na moment wstrzymał oddech i nie skomentował tych słów. W Londynie wielokrotnie brał udział w rozmowach na takie tematy, głównie przy stole, z przyjaciółkami Jenny i ich mężami. Mężczyźni zwykle dyskutowali o samochodach, futbolu, cenach nieruchomości i z rzadka o polityce, ale nawet wtedy ograniczali się do pobieżnego stwierdzenia, że „ja to bym zrobił tak albo inaczej”.

Erich siedział przez chwilę w milczeniu, aż w końcu mruknął coś po francusku, zapewne zgadzając się z Teksaszczykiem. Swoją wypowiedź zakończył jednym angielskim słowem: *savages*, czyli dzikusy.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i wraz z podmuchem powietrza do środka wpadły drobinki piachu i kurzu. Farid wsiadł do auta, *shemagh* zatrzepotała wokół jego twarzy Natychmiast zatrzęsła drzwi za sobą.

- Wszystko w porządku z pozostałymi? - spytał Andy.

Farid pokiwał głową.

- Amal i Salim śpią, ten drugi inżynier... U-u...

- Ustov - podpowiedział Erich.

- Ustov też zasnął - przytaknął uprzejmie Farid.

Zapanowała niezręczna chwila ciszy, którą na swój sposób bezceremonialnie przerwał Mike:

- Ale czemu właściwie wy, popaprańcy, zaczęliście żreć się między sobą?

Stary Irakijczyk odwrócił się do Mike'a.

- Nie wszyscy. Wielu z nas, tak jak ja, chce jedynie pokoju.

- Doprawdy? No cóż, za każdym razem, kiedy kolejna mina podłożona przy drodze rozwala jakiś pojazd z naszych konwojów; na ulicach zbierają się tłumy twoich ziomków, aby wiwatować i strzelać w powietrze na znak radości z jeszcze jednego udanego zamachu.

- To nie są wszyscy

- A teraz zwróciliście się przeciwko sobie - kontynuował Mike, niemal zaśmiewając się z rozdrażnienia. - Nie rozumiem dlaczego.

- Nie spodziewam się, że to zrozumiesz.

- Przecież wszyscy jesteście braćmi, prawda?... Jesteście muzułmanami? To my powinniśmy być tymi złymi, zgadza się?

- Czy twoim zdaniem potrafiłbym pojąć, dlaczego tak wielu waszych braci chrześcijan zginęło w wojnie secesyjnej?

W aucie zapanowała cisza, która, jak przypuszczał Andy, poprzedzała jedynie wybuch gniewu Mike'a. Zdziwił się jednak, kiedy tamten ze spokojem odparł:

- Nie, wątpię, abyś mógł to zrozumieć, skoro nie pochodzisz z któregoś z południowych stanów. Niech to szlag, jasne, że tego nie pojmiesz.

Andy odwrócił się na siedzeniu do Mike'a i Farida.

- Czemu nie odpuścicie sobie tematu polityki? Może już wystarczy?

- Chcę po prostu zrozumieć, co tymi ludźmi kieruje - odrzekł Mike. - Weszliśmy do Iraku i obaliliśmy Saddama, próbowaliśmy odbudować ten kraj, tutejsze elektrownie, naprawić kanalizację, zadbać o regularne dostawy wody i o to, by szpitale funkcjonowały jak należy. Odbudowaliśmy szkoły, aby wszystkie dzieci, chłopcy i dziewczynki...

- Odbudowaliście nasz kraj, to prawda, ale na wzór waszego - odparł Farid, nieznacznie podnosząc głos.

Po raz pierwszy Andy zobaczył, jak stary tłumacz unosi się gniewem. Pod wpływem napięcia jego zwykle poprawny angielski zaczął nieznacznie szwankować.

- Nie chcieliśmy, coby nasze dziewczynki poszły do szkół, by uczyły się, jak zostać kobietami biznesu, aby tańczyły rozebrane, wydawały przyjęcia biznesowe i uczyły się, jak robić interesy. Nie chcemy hamburgerów od McDonalda, coca-coli, pepsi ani kowbojskich butów.

Farid nagle zamilkł, zacisnął zęby i wyjrzał przez okno na pustynię oświetloną księżycowym blaskiem.

- To wciąż nasz kraj. Tylko Irakijczycy wiedzą, jak go naprawić, on jest jak skomplikowana układanka. Wiemy, z jakich składa się elementów... i jak je należy połączyć. Wy, Amerykanie, nie wiecie nawet, jaki jest na niej obrazek!

Mike zaśmiał się.

- Jezu, co za bzdury! Powiem ci jedno, moim zdaniem coś z tym waszym układaniem jest nie w porządku, skoro każdego dnia na bazarach i placach z waszych kobiet i dzieci zostają krwawe plamy. Najlepszą szansę na odbudowę tej zasranej piaskownicy, którą wy nazywacie krajem, mieliście, kiedy obaliliśmy dla was pomnik Saddama. A wy w ramach podziękowań splunęliście nam w twarz. Szczerze mówiąc, od tamtej pory chcę jedynie wziąć dupę w troki i wrócić do domu.

Farid pokręcił głową.

- Wszyscy wiedzą, po co tu przybyli Amerykanie.

- Dajcie już spokój - Andy zwrócił się do obu mężczyzn. - Nie potrzeba nam...

- Szlag! A kim ty jesteś? Moją matką? - uciał Mike.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie potrzeba nam teraz dodatkowych kłótni.

- No jasne, to przecież wszystko bzdury - warknął głębokim głosem. Otworzył tylne

drzwiczki i wysiadł, zatrzasnął je za sobą.

Patrzyli, jak jego masywna ciemna sylwetka na tle połyskującej, skąpanej w srebrzystym blasku ziemi znika szybko pośród nocy. Po chwili ujrzeli płomyk zapalniczki, a później rozżarzający się w ciemnościach koniuszek papierosa.

- Jest jak typowy Amerykanin - wymamrotał Farid.

- Farid, wystarczy jak na jedną noc, dobrze? - rzucił Andy, spoglądając srogo na starego. - Oni - rzekł, skinąwszy głową w stronę Mike'a - chcą wynieść się stąd tak samo, jak wy chcecie, aby się stąd wynieśli. Nie zjawili się tu po ropę.

Tłumacz nie wydawał się przekonany tym zapewnieniem, ale nic nie powiedział. Po dłuższej chwili wsłuchiwanie się w ziarenka piasku niesione wiatrem i uderzające o szyby ożywił się.

- Pójdę się przespać - rzekł, życząc dobrej nocy Andy'emu i Erichowi, po czym przesiadł się do drugiego land cruisera.

Andy pokręcił głową na dźwięk wypowiedzianych przez siebie słów.

Nie zjawili się tu po ropę.

Gdyby tylko to było takie proste. Każdy, kto znał się choć trochę na gospodarce Iraku, wiedział, że ten kraj nie dysponował odpowiednią technologią do wydobywania, przepompowywania i eksportu ropy. Wiedzieli o tym wszyscy, którzy poświęcili choć trochę czasu, by przyjrzeć się temu z szerszej perspektywy. Wszyscy, którzy poświęcili swój czas, by zgłębić długoterminowe plany jankesów. Gdyby ktoś zapytał Andy'ego, po co zjawili się tu Amerykanie, a on mógłby wymienić tylko jeden oczywisty i rozsądny powód, dzięki któremu ten złożony scenariusz stałby się prosty i możliwy do zrozumienia, odpowiedziałby krótko:

Są tu, aby utrzymać w ryzach Saudyjczyków.

W wojnie w Zatoce, przynajmniej tej drugiej, nie chodziło o pościg za Al-Kaidą, poszukiwanie broni masowego rażenia czy obalenie dyktatora. Chodziło o rozmieszczenie stałych, wyraźnie widocznych sił zbrojnych, militarną obecność w samym centrum tych produkujących ropę naftową krajów. O jawne ostrzeżenie dla nich wszystkich, a przede wszystkim dla Saudyjczyków, aby tańczyli tak, jak im zagrają Amerykanie.

A teraz wygląda na to, że wszystko poszło nie tak. Podejrzał, że dla amerykańskich wojsk najważniejsze będzie ograniczenie strat, rozpaczliwa próba ochrony i zabezpieczenia pól roponośnych w Arabii Saudyjskiej oraz tamtejszych ropociągów podobnie jak w Kuwejcie, Omanie i innych krajach będących potentatami na rynku naftowym. Zastanawiał się jednak, czy zdołają nad tym wszystkim zapanować, zanim pozostałe rafinerie

i stacje pomp w tej części świata będą wyglądać jak IT-1B: wypalona skorupa, której zgliszcza oglądali dziś rano.

Chryste, a jeśli wszystkich arabskich producentów czekało to samo?

Był to jeden z wielu scenariuszy, który jego zdaniem mógł się ziścić. I to w zupełności by wystarczyło, aby wszystko zaczęło się sypać. Kilka miesięcy, ba, kilka tygodni, a może nawet kilka dni bez stałych dostaw tego surowca mogło na zawsze odmienić losy świata.

Wyobrażał sobie, że coś takiego może się prędzej czy później wydarzyć. Można powiedzieć, że to... przewidział.

Andy ponownie wyjął komórkę, sprawdził, czy ma zasięg, i zaklął pod nosem.

Rozdział 11

godz. 20.33 czasu Greenwich

Uniwersytet Anglii Wschodniej, Norwich

Ash rozejrzał się po pokoju. Panował tu bałagan, dokładnie, jak się tego spodziewał; na skraju łóżka leżała sterta ubrań, a na podłodze tuż obok walały się buty. Pod niedużym, otwieranym pionowo oknem stało skromne biurko zasłane mnóstwem kosmetyków, podręcznikami i ulotkami. Sądząc po treści, studiowała coś, co było związane z filmem.

Mimo wszystko prognozy były pomyślne. Leona Sutherland może akurat wybyła, ale jej podręczniki i papiery zostały w pokoju. Wróci, jeśli nie tej nocy, to jutro rano, aby je zabrać przed pójściem na wykłady.

Zauważył plik zdjęć na stoliku i przejrzał je. Przedstawiały grupkę rumianolicych dzieciaków ściśniętych w namiocie i strojących miny do obiektywu. Tylko na jednym z nich spostrzegł Leonę; to ona zrobiła większość zdjęć.

Włosy miała ciemniejsze na tej fotografii, dużo ciemniejsze niż na tej, którą mu dano, a w dodatku dłuższe. Poza tym wyglądała na nieco starszą. Zdjęcie, które mu dostarczyli, nie było tak aktualne, jak go zapewnili. Nie ma sprawy, rozpoznałby ją bez trudu. Ash miał wyjątkową pamięć do twarzy.

Uśmiechnął się - *tak dobrą jak Leona*.

Była głupia, że postanowiła dołączyć postscriptum do e-maila. Ale może osądzał ją zbyt surowo - nie miała powodu, by uważać to, co zrobiła, za nieroztropne. Poza tym nie wiodła życia w cieniu, chowając się za licznymi pseudonimami. Nie miała w zwyczaju po wejściu do każdego pokoju sprawdzać, czy nie ma w nim zamontowanych pluskiew i czy okna znajdują się na potencjalnej linii strzału z któregoś piętra lub z dachu domu naprzeciwko.

Nie można jej było winić, że wydała na siebie wyrok śmierci.

Nie było tu nic, co pomogłoby mu ustalić, gdzie może się obecnie znajdować; żadnej książki telefonicznej, nagryzmołonych zapisków czy samoprzylepnych karteczek z numerami lub adresami do zapamiętania. Postanowił, że już czas, by pomówić z jej współlokatorką.

Wyszedł z pokoju do wspólnej kuchni i przykucnął obok dziewczyny unieruchomionej taśmą klejącą na jednym ze stołków, z ustami zaklejonymi niewielkim kawałkiem taśmy.

- Teraz zdejmę taśmę - rzekł łagodnym tonem. - Nie zaciskaj warg, kiedy będę to robił,

bo stracisz kawałek skóry Gotowa?

Skinęła głową.

Ash schwycił za róg taśmy i pociągnął zdecydowanie. Dziewczyna drgnęła.

- Dobra, do dzieła - rzekł ze znużeniem, wzruszając ramionami. - Zaczniemy od prostego pytania. Jak się nazywasz?

- A-Alison... Alison Derby.

Pokiwał głową.

- Na razie wystarczy, Alison. Dziękuję. Możesz mi mówić Ash. A teraz drugie, równie proste pytanie. Czy wiesz, dokąd poszła dziś wieczorem Leona?

Alison zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie... nie wiem. N-nigdy mi n-nie mówi - odparła drżącym głosem.

Ash delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

- W porządku - zaśmiał się lekko. - Niech będzie, wierzę ci. Wiem, jakie jesteście, wy, dzieciaki. Działacie impulsywnie i w ogóle.

Rozejrzał się po kuchni przylegającej do sali klubowej - najwyraźniej jedyne wspólne pomieszczenia, z którego wszyscy korzystali.

- Ile was tu mieszka?

- Sz-sześć.

- Gdzie reszta?

- Wyjechała pouczyć się do sesji.

- Zakuwać? - uśmiechnął się Ash.

Skinęła głową.

- A więc jesteście tu teraz tylko ty i Leona.

Skinęła głową.

- To świetnie. Wobec tego nikt nam nie przeszkodzi. Doskonale.

Alison uniosła wzrok, aby na niego spojrzeć - po raz pierwszy popatrzyła mu prosto w oczy.

- P-proszę mnie n-nie gwałcić. Ja...

- Miałbym cię zgwałcić? - Uniósł brwi w wyrazie niedowierzania. - Nie zamierzam cię zgwałcić, Alison. Za kogo ty mnie masz? Za jakieś bydlę?

- Ja... przepraszam... ale... no...

- Nie martw się - rzekł kojącym, niemal ojcowskim szeptem. - Nie zgwałcę cię, Alison. Chcę tylko zadać parę pytań, to wszystko.

- D-dobrze.

- Wobec tego odpowiedz mi, z kim ona jest teraz.

- Z D-Danem. To jej chłopak.

- Z Danem, tak? Wiesz, gdzie on mieszka? - zapytał.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Hmm... myślisz, że mogą tu dzisiaj wrócić?

Znów przeczący gest.

- R-raczej nie.

- A to czemu?

- M-mówiła, że zostanie u n-niego na noc.

Ash pogładził się po podbródku.

- Hmm. Bardzo by mi zależało, aby jednak dziś tu wróciła. Zadzwoń do niej.

Pokręciła głową.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Nie znam jej numeru telefonu.

- Mieszkacie razem, ale nie znasz do niej telefonu? Nieładnie tak kłamać, Alison.

- Nie kłamię! - wychlipała. - Kilka tygodni temu zmieniła numer.

- Do tej pory na pewno musiała ci go podać.

- Wcale nie! Naprawdę! Nie kłamię! Ja... po prostu rzadko do niej dzwonię... nie ma takiej potrzeby... i tak stale się widzimy.

Spojrzał na nią, przyłożył jej palec pod brodę i unióś jej głowę, aby znów spojrzała mu w oczy. Wyglądało na to, że mówi prawdę. Nie zauważył nawet najdrobniejszych zmian w wyrazie twarzy ani nerwowych tików, nie unosiła też oczu, podczas gdy jej umysł rozpaczliwie starałby się wykoncypować kolejną sprytną bajeczkę.

- Powiedz mi, co twoim zdaniem mogłoby skłonić ją dziś do powrotu tutaj?

Alison pokręciła głową.

- N-nie... mam... p-pojęcia.

Uśmiechnął się radośnie.

- Wiesz co? Chyba coś mi przyszło do głowy. Wydaje mi się, że będziesz mogła mi pomóc.

Rozdział 12

godz. 23.55 czasu Greenwich

Whitehall, Londyn

- Te liczby są chyba błędne? - rzekł, wodząc wzrokiem po twarzach kobiet i mężczyzn siedzących wraz z nim przy stole. - Prawda?

- Przykro mi, ale takie są opracowane przez nas wstępne prognozy.

Premier spojrzał na leżące przed nim kartki. Zapisał tylko kilka rzeczy, ale ostatnie cztery słowa wzbudziły w nim największy niepokój.

Rezerwy na dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie? To wszystko, co mamy w naszych rezerwach strategicznych?

- Nasze strategiczne rezerwy zawierają jedynie tygodniowy zapas ropy przy normalnym tempie codziennego zużycia tego surowca - odparł Malcolm Jones, doradca strategiczny premiera i jego zaufany współpracownik. - Jednakże biorąc pod uwagę system dystrybucji w całym kraju, składy, magazyny i stacje paliw, powinniśmy mieć do dyspozycji zapas tego surowca na kolejny tydzień. Gdybyśmy wstrzymali sprzedaż paliw w całym kraju, zyskalibyśmy rezerwy, dzięki czemu nasze siły zbrojne i kluczowe instytucje rządowe mogłyby funkcjonować około sześciu miesięcy

Premier patrzył na niego w milczeniu, po czym rzekł:

- Chcesz powiedzieć, że aby zapewnić wojsku i rządowi możliwość nieprzerwanego funkcjonowania przez kilka miesięcy, musielibyśmy osuszyć do cna wszystkie stacje benzynowe w kraju?

Malcolm pokiwał głową.

- Rzecz jasna, do czasu, gdy sytuacja się ustabilizuje i zostaną przywrócone dostawy ropy tankowcami z rejonu Zatoki Perskiej.

- A wykorzystując jedynie paliwa, jakie mamy w naszych rezerwach strategicznych?

- Jeżeli ograniczyć dystrybucję do sił zbrojnych i agencji rządowych - odparł doradca - moglibyśmy przetrzymać jakieś trzy, może cztery miesiące.

Premier zapisał to na kartce, po czym uniósł wzrok i spojrzał na zebranych przed nim najbliższych współpracowników. Był tam jego osobisty sekretarz, dyrektor do spraw łączności, Malcolm, główny doradca strategiczny i jego asystentka. Pracował z tymi ludźmi

na co dzień, stanowili niewielką grupkę przyjaciół, którym ufał. Nie należeli do partii, nie było wśród nich polityków, nikt nie czytał skrycie na jego stołek. Dawno temu przekonał się, że najrozsądniejsze i najefektywniejsze decyzje zapadały tu, w tym pokoju, w obecności tych ludzi, a nie za długim mahoniowym stołem w jego gabinecie. Posiedzenia gabinetowe miały na celu ogłoszenie jego posunięć, a nie decydowanie o nich.

- Zatem - rzekł ze spokojem - jak to się stało, u licha, że znaleźliśmy się w tej kryzysowej sytuacji?

Zwrócił się do Malcolma:

- Jak mogliśmy do tego dopuścić?

Malcolm poruszył się nieznacznie na krześle, zachował jednak dystyngowany spokój, który zdawał się stale mu towarzyszyć.

- Nie byliśmy w stanie zakupić dostatecznej ilości dodatkowej ropy, aby utrzymać, a co dopiero wzmocnić, nasze rezerwy. Prawdę mówiąc, nie robimy tego już od paru lat - odrzekł. - To stopniowy proces, Charles. Nie żebyśmy do tego dopuścili, po prostu nie mieliśmy wyboru.

Charles pokiwał głową.

- I nie jesteśmy w tym odosobnieni - dodał Malcolm. - Wzrastające zapotrzebowanie na ropę z Chin i Indii w połączeniu z ciągłymi problemami w tym popapranym Iraku i nieprzerwane embargo na ropę z Iranu: to razem wzięte sprawia, że wszyscy mają kłopot ze zgromadzeniem nadwyżek ropy. Wszyscy balansujemy na krawędzi.

- A co z Amerykanami? Pomogą nam?

Malcolm wzruszył ramionami.

- Mają spore rezerwy, ale nie jestem pewien, czy zechcą się z nami podzielić.

Premier spojrzał w stronę swego osobistego sekretarza.

- Wobec tego spytajmy ich. Chociaż tyle mogliby zrobić w zamian za wsparcie, jakiego udzieliliśmy im od... no, od jedenastego września.

Sekretarz zapisał to w swoim notesie.

- To co teraz robimy?

Malcolm skinął na swoją asystentkę Jane. Przejrzała plik papierów, które przyniosła na spotkanie.

- Ropa wciąż, może nie płynie, lecz ciurka od innych, mniejszych producentów: z Nigerii, Kataru, Meksyku, Norwegii...

- A co z Wenezuelą? - zapytał premier. - Wiem, że ich najlepszym klientem są Chiny, ale może zawrzeć z nimi umowę choćby na krótkoterminowe dostawy? Na pewno słono by nam

policzyli, ale jednak...

- Panie premierze, to przyszło przed godziną - rzekła Jane. I przeczytała fragment tajnej depechy: - wybuch w rafinerii Paraguana w Wenezueli. Ogień wciąż płonie, strat jak dotąd nie oszacowano, liczba ofiar nieznana.

- Wenezuela ma spore pokłady ropy naftowej - rzekł Charles. - Praktycznie żyje z tego surowca. I owszem... sędzę, że chętnie by pomogła w rozwiązaniu naszych tymczasowych problemów, ale ropa, jaką się tam wydobywa, jest, rzecz jasna, nieoczyszczona. Nie nadaje się do bezpośredniego wykorzystania. Należy ją najpierw przetworzyć, a ten proces przeprowadzany jest w rafinerii specjalnie przystosowanej do konkretnej odmiany danego surowca. W tym wypadku rafinerią była Paraguana.

- Na jak długo Paraguana wypadła z obiegu?

Malcolm wzruszył ramionami.

- Kto wie? To wszystkie informacje, jakimi obecnie dysponujemy.

- A co z polami ropośnymi Tengiz nad Morzem Kaspijskim? W tamtym rejonie wydobywa się sporo tego surowca, czyż nie?

Jane skinęła głową.

- Tak, panie premierze, liczymy, że uda się pozyskać choć część ropy przechodzącej przez Gruzję, ale czekają na nią także inne europejskie kraje. Teraz, gdy główni producenci ropy z Zatoki Perskiej wypadli z obiegu, przepadło od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu procent łańcucha zaopatrzeniowego dostarczającego ten surowiec. Wykorzystujemy obecnie ostatnie jeszcze dostępne trzydzieści procent. W wypadku Tengiz znajdujemy się na szarym końcu łańcucha dostaw.

- Można być pewnym, że wszyscy nasi europejscy kuzyni będą chcieli uszczknąć coś dla siebie - dodał Malcolm.

Premier powiódł wzrokiem po twarzach osób zebranych w pokoju konferencyjnym.

- W takim razie co? Co chcecie mi powiedzieć? Że mamy przewalone? Że jedyną ropą, na jaką możemy liczyć, są nasze rezerwy i to, co mamy zgromadzone w składach i na stacjach paliw w całym kraju. I nic więcej?

Jane znów wlepiała wzrok w swoje notatki.

- Niewielkie dostawy ropy docierają też do nas z rejonu Morza Północnego.

- Ale za małe, aby wyciągnąć nas z tego dołka, zgadza się?

- O wiele za małe.

Spojrzał na kartkę z zapiskami. Ich zawartość nie napawała optymizmem. Cztery słowa: „rezerwy na dwa tygodnie”.

- Dobra, a zatem mamy poważny problem z ropą. To oznacza, że na najbliższych parę tygodni wszyscy muszą się pożegnać ze swoimi autami. A co z sektorem energetycznym? Pod tym względem nie mamy się czego obawiać, prawda?

- Dobra wiadomość, Charles: sektor energetyczny nie wykorzystuje dużo ropy. Jak wiesz, korzysta on głównie z węgla i gazu ziemnego. Zła wiadomość jest taka, że większość naszego węgla i gazu pochodzi z importu - rzekł Malcolm.

Jane ponownie zajrzała do swoich notatek.

- Trzydzieści sześć procent mocy przerobowych, jeżeli chodzi o gaz, i trzydzieści osiem procent w wypadku węgla.

Charles powiódł wzrokiem po ich twarzach. Zaczął się domyślać, do czego zmierzali.

- A nasi stali dostawcy, Rosja w wypadku gazu...?

- Oraz Australia, Kolumbia, RPA i Indonezja, jeżeli chodzi o węgiel - odparła Jane.

Malcolm spojrzał na niego.

- Domyślam się, że wstrzymają eksport, aby zminimalizować własne niedobory energetyczne.

- Cholera. A co z energią atomową?

- Zaspokaja ona obecnie niecałe pięć procent naszych potrzeb. Sam pan wie, że stare elektrownie są, delikatnie mówiąc, przestarzałe, a nowe... cóż, nowe dopiero zaczęliśmy budować. Gdyby to się wydarzyło za kilka lat...

Malcolm uciszył Jane gestem dłoni.

- Charles, to naprawdę nie mogło przydarzyć się nam w gorszym momencie.

- Zatem jeżeli nasi stali dostawcy zrobią się nerwowi, zejdziemy do poziomu pięciu procent mocy wytwórczych sektora?

- Do ośmiu, jeżeli weźmiemy pod uwagę energię ze źródeł odnawialnych - wtrąciła Jane.

- Chryste. - Charles poluzował krawat. W pokoju konferencyjnym zaczęło się robić duszno. - Będziemy musieli zarządzić natychmiastowy system racjonowania energii. Niezależnie, czy przyjmiemy układ rotacyjny, czy skoncentrujemy się na najbardziej newralgicznych sektorach. - Fanta-kurwa-stycznie - mruknął i w milczeniu wlepił wzrok w kartkę.

- Charles? - rzucił półgłosem Malcolm.

Tak?

- Musimy podjąć jeszcze jedną niezmiernie ważną decyzję, w której czas odgrywa znaczącą rolę. Chodzi o naszych chłopców w Iraku.

Ma rację.

Amerykanie wyprowadzili większość, jeżeli nie wszystkich swoich żołnierzy z Iraku i w ciągu jednej nocy rozlokowali się w Arabii Saudyjskiej, Kuwejcie i Omanie. To działo się właśnie teraz. Za dnia zniszczono wiele elementów saudyjskiej sieci rurociągów naftowych, a podczas zamieszek liczne instalacje zostały uszkodzone lub bezpowrotnie zdewastowane. Gdyby zadziałać szybko i zdecydowanie, można by jeszcze ocalić sporą część baz transportowych i przesyłowych w tym regionie. To oznaczało jednak drastycznie zmniejszoną obecność sił wojskowych w Iraku - żołnierze, którzy tam pozostaną, byłiby bardziej niż kiedykolwiek narażeni na groźbę zamachów.

- Musimy zdecydować, co zrobimy z naszymi wojskami na tym terenie - ciągnął Malcolm. - I to szybko.

- Co proponujesz?

- Trzeba ich stamtąd wyciągnąć. Nie możemy pozostawić ich w Iraku bez wsparcia. Kiedy tylko rebelianci zorientują się, że Amerykanie odeszli...

Nie musiał mówić nic więcej. Z chwilą, gdy wojska amerykańskie zostaną wyprowadzone z Iraku, siedem czy osiem tysięcy brytyjskich żołnierzy wysłanych na północ i południe Iraku, często stacjonujących w niewielkich bazach polowych, zostałyby w ciągu zaledwie kilku dni zmiażdżonych przez przeważające siły wroga.

- Musimy zdecydować, czy pomożemy Amerykanom strzec tego, co jeszcze się zachowało i nie zostało zniszczone. Czy raczej wyprowadzimy ich stamtąd i przetransportujemy do domu - rzekł Malcolm. - Jeżeli ich tam zostawimy i dojdzie do eskalacji działań, a cały kryzys znacznie się przedłuży...

Mogliby zostać tam uwięzieni.

Charles spojrział na nich.

- Chcemy, aby wrócili, prawda?

Malcolm i Jane wymienili spojrzenia, po czym potaknęli bezgłośnie.

- Czekają nas trudne dni. Jeszcze przed końcem tygodnia trzeba będzie pewnie wyprowadzić wojsko na ulice, panie premierze - dodała Jane.

- Boże, to wszystko stało się tak szybko - wymamrotał Charles, odruchowo i zgoła nieświadomie rozpinając guzik pod szyją. - A jeszcze dziś rano musiałem się martwić jedynie o to, aby dobrze wypaść podczas wstępnego testu do college'u.

Para zaufanych współpracowników zachichotała nerwowo.

- A teraz muszę się zmierzyć z potencjalnym końcem świata. Szlag by to trafił.

Malcolm poklepał go po ramieniu.

- Damy radę.

Odwrócił się do Jane i pokiwał głową. Młoda kobieta wyjęła z pliku papierów cienką teczkę.

- Panie premierze, mamy tu protokoły działań kryzysowych sporządzone na wypadek tego rodzaju sytuacji w ramach Raportu Kasandry - rzekła, otwierając teczkę i wertując znajdujące się w niej dokumenty i mapy.

Charles skinął głową. Pamiętał, aczkolwiek mgliście, że za czasów poprzedniego rządu wyrażono zgodę na opracowanie wszelkich możliwych scenariuszy kryzysowych dotyczących ropy naftowej i bezpieczeństwa energetycznego kraju, a następnie zebranie ich w jednym raporcie.

- Raport ten skompilowano przed trzema laty, po strajku przewoźników drogowych w dwa tysiące czwartym roku. Jak pan zapewne pamięta, doszło wówczas do blokad magazynów i składów przez niespełna stu kierowców ciężarówek. Strajk ten w ciągu zaledwie trzech dni doprowadził nasze państwo na skraj poważnego kryzysu ekonomicznego.

- Wiem, proszę dalej.

- Były tam sugestie na wypadek przejściowego wstrzymania dostaw paliw.

- Przejściowego?

- Tak... od dwóch do ośmiu tygodni. - Jane odchrząknęła. - Przejdę od razu do zaleceń.

Kontynuowała:

- Punkt pierwszy: należy niezwłocznie wstrzymać sprzedaż wszelkiego rodzaju paliw. Ropa i benzyna powinny być dostępne - i oczywiście racjonowane - wyłącznie dla podstawowego personelu, jak lekarze czy technicy. Punkt drugi: należy wprowadzić reglamentację żywności. Sprzedawcy i dystrybutorzy produktów żywnościowych muszą ograniczyć ich sprzedaż do niezbędnego minimum, dopóki nie wdrożymy systemu kartek albo jakiegoś innego...

- Chryste! Racjonowanie żywności? Na tym etapie?

- Tak, panie premierze. - Jane uniosła wzrok znad raportu. - Im szybciej to zrobimy, tym lepiej.

- Rozumiem, że trzeba powiedzieć ludziom, że nie mogą tankować swoich aut... ale...

- Charles, zastanów się nad tym - przerwał mu Malcolm. - Większość produktów żywnościowych spożywanych w tym kraju pochodzi z zagranicy. Prawdę mówiąc, produkujemy jedynie niewielki ułamek tego, co konsumujemy, a i tak są to w większości produkty niszowe w rodzaju... bo ja wiem... szajsu takiego jak marmolada czy majonez. To, co jest podstawą wyżywienia naszego narodu - pszenica, zboża, rośliny okopowe, mięso - w większości pochodzi od dostawców z zagranicy. Po zawieszeniu dostaw ropy na całym

świecie szybko ucierpi transport towarów... a więc też żywności.

Premier na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Masując skronie, chciał się pozbyć wywołanej stresem migreny, która zaczęła się nieuchronnie nasilać.

- A więc musimy się też martwić o strategiczne rezerwy żywności?

- Których nie mamy, panie premierze. Dysponujemy tylko tą żywnością, która znajduje się w krajowej sieci dystrybucji.

- Innymi słowy, tym, co obecnie znajduje się na półkach w lokalnym supermarkecie na rogu?

Jane przepaszającym gestem wzruszyła ramionami.

- Właściwie... tak.

Malcolm wskazał ręką na raport.

- Mów dalej, Jane.

- Punkt trzeci: natychmiastowe wprowadzenie stanu wyjątkowego i godziny policyjnej, której przestrzeganie będą egzekwować oddziały wojska i policji stacjonujące w każdym większym mieście. Punkt czwarty: zawieszenie funkcjonowania komunikacji miejskiej i międzymiastowej...

Charles uniósł dłoń, aby ją uciszyć.

- Tego już za wiele. Jeżeli pojawię się jutro w programie telewizyjnej śniadaniowej i ogłoszę wprowadzenie tych wszystkich restrykcji, najpóźniej do lunchu w całym kraju wybuchną zamieszki!

Wstał od stołu i podszedł do wykuszowego okna, uchylając je nieznacznie, by wpuścić do pokoju podmuch świeżego powietrza. Okno wychodziło na skromny ogród na tyłach budynku przy Downing Street nr 10.

- To zaledwie pierwszy dzień kryzysu... Pierwszy! Nie mogę zacząć od tak surowych restrykcji. Spowodowałyby więcej złego niż dobrego. A kocioł w Zatoce Perskiej może się wyklarować w ciągu kilku tygodni. Dobrze, do tej pory będziemy musieli trochę zacisnąć pasa, ale takie decyzje wywołałyby ogólnokrajową panikę.

Malcolm wstał i podszedł do premiera stojącego przy oknie i spoglądającego na ogród skąpany w świetle kilku latarni.

- A jeżeli sytuacja się nie wyklaruje? Jeżeli dojdzie do eskalacji? A jeśli Chiny i Rosja zaczną walczyć o rezerwy naftowe z pół Tengiz?

- Malcolm wskazał na raport. - Charles, powinienes to przeczytać. Ja poświęciłem na lekturę tego raportu dzisiejsze popołudnie. Są w nim analogie do tego, z czym mamy obecnie do czynienia.

Malcolm na chwilę przymknął oczy, usiłując przypomnieć sobie konkretne słowa. - Świat to stary człowiek o słabym sercu, a ropa to krew utrzymująca go przy życiu. - Ponownie otworzył oczy i spoglądając na ogród, mówił dalej. - Wystarczy zator jednej arterii, aby wywołać zawał, który - jeśli potrwa dostatecznie długo - może doprowadzić do obumierania organów.

Malcolm odwrócił się, by spojrzeć premierowi prosto w twarz.

- Nawet jeśli zator zostanie usunięty i krew znów będzie płynąć bez przeszkód, z chwilą, kiedy organy zaczną szwankować, nie ma już odwrotu.

Wciąż lustrował wzrokiem ogród.

- Świat jest bardzo kruchy i delikatny, Charles, wyjątkowo kruchy i delikatny, wzniesiono go na fundamencie nader nietrwałych współzależności. A zdarzenie takie jak to... to, co się dzieje obecnie, może sprawić, że cały ten fundament runie w gruzy.

Wtorek

Rozdział 13

**godz. 5.00 czasu lokalnego
na drodze do Al-Bayji, Irak**

Andy wiedział, że śni, a raczej nie tyle śni, ile odtwarza wspomnienia, drzemiąc na przednim siedzeniu samochodu.

Delikatne pukanie. A potem drzwi się otwierają. Do pokoju hotelowego wchodzi mężczyzna. Andy widzi tylko jego postać. Zgodnie z instrukcjami, jakie od nich otrzymał, światło w pokoju jest zgaszone, aksamitne grube zasłony w oknach zaciągnięte. Mężczyzna zamyka drzwi, do pokoju wsącza się tylko wątłe światło dnia przez wąskie szpary między zasłonami.

- Radziłbym panu, doktorze Sutherland, aby odwrócił pan wzrok. Jeżeli będziemy pewni, że nie zdoła pan nas zidentyfikować, to tym lepiej dla nas wszystkich.

Andy wykonuje polecenie, odwracając się na krześle, by nie patrzeć na mężczyznę.

- Raport leży na łóżku - mówi.

- Tylko jeden egzemplarz? Pisany ręcznie? Żadnych kopii?

- Tak.

Andy słyszy kroki i szelest papieru, gdy mężczyzna bierze raport do ręki. Błyska ołówkowa latarka. Kilka sekund ciszy, gdy mężczyzna przegląda pierwsze strony.

- Choć nie mogę wyjawić panu, kto zlecił sporządzenie tego raportu, zapewniam, że dzięki niemu świat stanie się bezpieczniejszy. Zleceniodawcy są panu wdzięczni.

- Nie zdawałem sobie sprawy z tego... jak kruchy jest fundament naszego świata, dopóki nie zacząłem pracować nad tym zleceniem - mówi Andy

- Owszem, jest bardzo kruchy.

- Mam nadzieję, że to przekona kogoś na samym szczycie, że musimy się uwolnić od zależności od ropy naftowej, zanim będzie za późno - dodaje Andy. - Któregoś dnia taki scenariusz może stać się ponurą rzeczywistością.

W pierwszej chwili mężczyzna nie mówi nic.

- Może tak właśnie będzie.

Andy zastanawia się nad odpowiedzią. Może ten raport kogoś przekona? Czy może kiedyś faktycznie dojdzie do takich wydarzeń? Słyszy, jak mężczyzna podchodzi do drzwi i

zatrzymuje się przed nimi na chwilę.

- Reszta honorarium zostanie przelana dziś rano na wskazane przez pana konto.

- Dziękuję.

- I jeszcze jedno. Nigdy, przenigdy nie wolno panu z nikim rozmawiać na temat treści tego raportu. Ufamy, że nas pan nie zawiedzie... ale będziemy nasłuchiwać.

- Bez obawy - Andy uśmiecha się nerwowo - dość już mnie wystraszyliście.

Słyszy łagodny śmiech.

- To dobrze.

Chwila przerwy. Mężczyzna wciąż jest w pokoju.

- Wie pan, początkowo zająłem się tym dla pieniędzy - dodaje Andy. - Ale kiedy napisałem ten raport... rozumie pan... jego implikacje są przerażające. Naprawdę mam nadzieję, że to coś zmieni.

- Z pewnością.

Znów chwila ciszy.

- Proszę pozostać tu jeszcze przez dziesięć minut, zanim opuści pan ten pokój.

Rozumiemy się?

- Tak. - Andy kiwa głową.

- Żegnam. - Andy słyszy, jak otwierają się drzwi, do pokoju wpada światło z korytarza, po czym znów robi się ciemno i słychać trzask drzwi zamykających się za wychodzącym mężczyzną.

Jest cicho, słychać tylko stłumione dźwięki ruchu ulicznego dochodzące z zewnątrz. Mija kilka minut, Andy żałuje, że nie nastawił stopera, aby - tak dla pewności - odmierzył dziesięć minut.

I wtedy słyszy pukanie...

Energiczne pukanie wyrwało Andy'ego ze wspomnień o przeszłości.

Otworzył oczy i ujrzał sierżanta Boltona uderzającego kłykciami w okno od strony pasażera. Andy opuścił szybę, wpuszczając do auta powiew chłodnego powietrza.

- Pobudka, słoneczko, za pięć minut ruszamy w drogę - rzekł półgłosem sierżant. Na chłodzie z jego ust przy każdym oddechu wypływał obłoczek pary. Raz jeszcze stuknął kostkami palców w dach cruisera, po czym podszedł do drugiego auta, by obudzić Farida i dwóch kierowców.

Andy zamrugał, aby się rozbudzić, i przez chwilę patrzył, jak przypadkowy błysk latarki rozświetla co pewien czas żołnierzy zajmujących miejsca w pięciu z sześciu land roverów.

Pojazd, który się zepsuł, został pozbawiony wszystkiego, co mogłoby się komuś przydać.

Wciąż jeszcze było ciemno, choć niebo zaczęło już trochę się przecierać. Zastanawiał się, czy porucznik Carter nie zwleka trochę za długo. Mieli przed sobą dobre dwie godziny drogi do bazy batalionu pod Al-Bayji. Przez miasto będą przejeżdżać około siódmej rano. Będzie już wtedy jasno, a nie wiadomo, czy po wczorajszych zamieszkach tamtejsze ulice są w ogóle przejezdne. Domyślał się, że Carter obstawia, iż po tak burzliwej nocy jak miniona mieszkańcy miasta nie zerwą się z łóżek bladym świtem.

Andy wychylił się w stronę tylnego siedzenia, by obudzić pozostałych.

- Pobudka, chłopaki. Jedziemy.

Mike, Erich i Ustov poruszyli się bezgłośnie, gdy Andy otworzył drzwiczki i wyszedł na zewnątrz, by rozprostować nogi.

Dopiero teraz po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo jest zdenerwowany. To nie była czujność i niepewność, wieczne oglądanie się za siebie, typowe dla każdego człowieka z Zachodu przebywającego w Iraku.

To była całkiem nowa odmiana przerażenia.

Jedyna droga do względnie bezpiecznej sojuszniczej bazy wojskowej wiodła przez most i miasto, gdzie jeszcze przed kilkoma godzinami toczyły się zaciekle bratobójcze walki. Sunnicka większość walczyła z szyicką mniejszością. Jeżeli zamieszki trwały, pojawienie się grupki białych będzie dla obu stron okazją do zjednoczenia sił przeciwko wspólnemu wrogowi. Mógł jedynie mieć nadzieję, że sytuacja choć trochę się uspokoiła i wszyscy wrócili do swoich domów, aby się przespać, a pluton Cartera zdąży bezpiecznie przejechać przez miasto i dotrze do mostu.

Był sfrustrowany tym, że tak niewiele wie o wydarzeniach na całym świecie. Nie miał pojęcia, na jak szeroką skalę zakrojone są rozruchy. Wydarzenia w Arabii Saudyjskiej wywołały zamieszki w Iraku, ale szczerze mówiąc, nie potrzeba było wiele, aby wszcząć w tym wiecznie nękanym kraju wojnę domową. Tylko czy niepokoje się rozprzestrzeniają? Czy może sytuacja zaczęła się stabilizować?

Porucznik Carter podszedł do Andy'ego i skinął lekko głową na powitanie.

- Paru moich chłopców będzie musiało zabrać się z wami. Jak pan wie, straciliśmy jeden pojazd.

Andy pokiwał głową.

- Nie ma sprawy. Jak się ściśniemy, w każdym z naszych aut zmieści się po dwóch pańskich ludzi.

- Świetnie! W każdym wozie musi być co najmniej jeden uzbrojony człowiek. Byłoby

dobrze, gdyby pan i pańscy koledzy wyposażyli się w AK-47, które odebraliśmy waszym kierowcom.

- Ja... ee... nigdy dotąd nie miałem broni w ręku. Najprawdopodobniej skończyłoby się na tym, że odstrzeliłbym sobie stopę.

Carter wyraźnie się zdumiał.

- Pański pracodawca nie zadbał nawet o podstawowe przeszkolenie w obsłudze broni palnej?

- Nie.

- No to pięknie. A co z innymi?

- Nie wiem. Ale podejrzewam, że Mike raczej zna się na broni.

- Ten Amerykanin?

Andy przytaknął głową.

- Cóż, wobec tego on dostanie jeden z karabinków, a co do tego, komu dać drugi, zdecydujecie między sobą.

- Dobrze.

Andy zauważył, że młody oficer nerwowo zaciska dłonie w pięści.

- Długo już pan tu jest?

Carter spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- To aż tak widać?

- Troszeczkę - skłamał Andy.

- W tym roku dostałem awans na porucznika, a w zeszłym miesiącu przysłano mnie tutaj. Parę tygodni temu chłopcy stracili dowódcę plutonu. Chyba zginął podczas ataku mózdzierzowego. Ci dranie coraz celniej sobie poczynają z tym cholerstwem. - Porucznik, aby zająć czymś ręce, zaczął poprawiać paski uprząży bojowej. - Ale tak czy owak, jestem dla nich nowy

Andy uśmiechnął się słabo.

No to pięknie.

Konwój sunął drogą na południowy zachód. Bez przeszkód w ciemnościach minął małą wieś, docierając do przedmieścia Al-Bayji za dziesięć siódma. Porucznik Carter jechał w pierwszym land roverze, stojąc na pace zabezpieczonej specjalnymi prętami antywypadkowymi wraz z drugim żołnierzem; obaj mieli SA-80 gotowe do strzału. Żołnierz ochraniający drugiego land rovera był uzbrojony w lekki karabin maszynowy minimi zamontowany na podczepionym pod lufą dwunogu. Za nimi podążały toyoty land cruisery.

W pierwszej jechał Andy z Mikiem, Faridem i młodym kierowcą Amalem oraz gadatliwym żołnierzem, starszym kapralem z Newcastle nazwiskiem Tim Westley, któremu usta ani na chwilę się nie zamykały. Mike był uzbrojony w AK Amala. Andy zauważył, że młody Irakijczyk gniewnie spogląda przez ramię na Amerykanina. Najwyraźniej ta broń była własnością obu kierowców. Farid wyjaśnił, że posiadanie własnego karabinu szturmowego stanowiło jeden z podstawowych warunków zdobycia tej pracy, poza umiejętnością prowadzenia samochodu, ma się rozumieć. Andy potrafił zrozumieć przyczynę złości chłopaka - karabinek kosztował równowartość miesięcznej pensji.

W kolejnym cruiserze jechali Erich uzbrojony w AK, Ustov z Ukrainy, drugi kierowca Salim i jeszcze dwaj żołnierze z plutonu Cartera. Kolumnę zamykały trzy pozostałe land rovery z sierżantem Boltonem na dachu ostatniego z nich.

Starszy kapral Westley gadał jak najęty przez cały czas, odkąd wyruszyli o piątej rano.

- ...a te pojeby z drugiego plutonu włożyły shemaghi na znak, że są ich sojusznikami. - Tim Westley kontynuował przypominający strumień świadomości jednostronny dialog.

Mike słuchał i kiwał głową we właściwych momentach, ale po wyrazie jego twarzy Andy domyślił się, że Teksaszczyk nie rozumiał ani słowa z tego, co do niego mówiono.

- ...w sumie pomysł był w dechę. Z początku, znaczy się. Za pierwszym razem, czyli podczas Pustynnej Burzy, może tak, ale nie teraz. Teraz to była kompletna głupota. Tym, co je noszą, chyba życie niemiłe. Można fiutków wypatrzeć z odległości pół kilometra...

Konwój zwolnił i zatrzymał się, a starszy kapral Westley w końcu zamilkł, aby opuścić szybę i wyjrzeć na zewnątrz.

Andy zauważył, jak z przodu porucznik Carter uniósł rękę - w ten sposób dawał reszcie plutonu znak, że mają tu przez chwilę poczekać. Za znajdującym się na czele land roverem spostrzegł niski, porośnięty trawą i trzcinami stok opadający nad brzeg Tygrysu oraz rozciągnięty nad rzeką wąski, jednopasmowy most biegnący od niewielkiej żyznej doliny rzeki do znajdującego się na drugim brzegu Al-Bayji. Po drugiej stronie mostu dojrzał zakurzone niskie budynki ze ścianami bielonymi wapnem i z prymitywnymi dachami z blachy falistej. Nieco dalej, na dachach wyższych jedno- i dwupiętrowych budynków można było dostrzec anteny, talerze satelitarne, i maszty telefoniczne.

Na pierwszy rzut oka nie zauważył żadnego ruchu, jeżeli nie liczyć płowego, wychudzonego, sparszywiałego psa, który wolno przeszedł przez most do miasta, oraz kilku kóz leniwie pojadających odpadki, których gnijących stos osunął się po niezbyt stromym zboczu nad brzeg rzeki. Zobaczył kilkadziesiąt słupów dymu unoszących się nad miastem i wzbijających się leniwie ku bladobłękitnemu niebu, z największym skupiskiem w okolicy

centrum miasta.

- Wygląda na to, że ubiegłej nocy mieli tu niezły ubaw - mruknął Mike.

Andy spostrzegł, że porucznik Carter wyjął lornetkę i powoli zaczął przepatrywać teren przed sobą.

- Powinniśmy już jechać - rzekł Mike, zerkając na zegarek. - Jest prawie siódma.

Andy przytaknął bezgłośnie. Nie mieli wyboru, jak tylko przejechać przez miasto, które z dwóch stron było otoczone polami pokrytymi głębokimi, nieprzejezdnymi rowami irygacyjnymi. Ruszając na pełnym gazie, powinni przejechać przez miasto i znaleźć się na drodze wiodącej do brytyjskiej bazy, zanim ktokolwiek z miejscowych zdąży się zorientować, co się stało.

No dalej, dalej.

A jeżeli droga będzie zatarasowana przez wrak jakiegoś spalonego pojazdu albo celowo ustawioną blokadę? Znaleźliby się w potrzasku. Andy po namyśle uznał, że ostrożność młodego oficera była w pełni uzasadniona. Czas działał jednak na ich niekorzyść, słońce zaczęło wylaniać się zza horyzontu i nawet z tej strony mostu widać było, że Al-Bayji budzi się z wolna do życia i kto wie, może przygotowuje się do kolejnego dnia rzezi w imię różnic religijnych.

Porucznik Carter ponownie uniósł dłoń w rękawiczce, zaciskając ją w pięść.

- Za mną.

Wóz Cartera powoli ruszył, wypływając kłęby dymu z rury wydechowej, i potoczył się po asfaltowej drodze w kierunku mostu. Pozostałe pojazdy konwoju podążyły za nim.

- No to jazda - rzekł Mike, opuszczając szybę i przeładowując AK. Amerykanin wyraźnie czuł się swobodnie z karabinem szturmowym w dłoniach. Andy mógł jedynie podejrzewać, że Teksańczyk ma w domu gablotę pełną pukawek. Wychwycił wyraz niepokoju, a może gniewu na twarzy Amala i delikatny, wręcz subtelny gest Farida, który, aby go uspokoić, położył dłoń na ramieniu chłopaka.

Rozdział 14

godz. 6.57 czasu lokalnego

Al-Bayji, Irak

Land rover porucznika Cartera zjechał z mostu i wjechał do miasta na czele niewielkiego konwoju pojazdów. W oddali widać było wyraźnie oznaki chaosu ubiegłej nocy. Na poboczu drogi Andy zauważył ciemną, prawie czarną kałużę zakrzepłej krwi i długą, rozmazaną smugę wiodącą od niej do drzwi pobliskiego budynku; bez wątplenia ciało jakiegoś nieszczęśnika zaciągnięto do domu, by tam w zaciszu czterech ścian oplakiwać jego śmierć.

Land rover przyspieszył, tocząc się po względnie szerokiej, choć wyboistej drodze, po której obu stronach wznosiły się parterowe budynki. Dotarli do otwartej przestrzeni, przez którą Andy przejeżdżał wczoraj o tej samej porze. Był to plac targowy, gdzie handlarze przygotowywali wówczas swoje kramy i stoiska na nadchodzący dzień. Dziś rano bazar był zupełnie opustoszały.

Podróżując przez tę otwartą, odsłoniętą część miasta, mieli wrażenie, że są bezpieczniejsi niż dotychczas. Drzwi, okna i tarasy na dachach, skąd można było prowadzić dogodny ostrzał po wciągnięciu ich w zasadzkę, były tu znacznie odleglejsze, co oznaczało, że większość strzałów okazałaby się raczej niecelna, a oni mieliby czas, aby odpowiedzieć ogniem. Jednakże droga, którą podążali, utrzymując równe tempo, choć przyplącali to silnym kołysaniem na wybojach, nieuchronnie wiodła ich ku centrum miasta i piętrowym budynkom o ścianach barwy wanilii wznoszącym się z obu stron. Nawet dla takiego laika jak Andy droga wyglądała na niebezpiecznie wąską i narażoną na atak. A do tego te górujące nad nią budynki.

- Miejcie oczy szeroko otwarte, chłopcy - rzekł Westley, który porzucił zawadiacko-gawędziarską postawę. Teraz wydawał się nader czujny i niespokojny.

Mike i Andy wymienili spojrzenia.

- Dachy i mury wokół ogrodów - dodał. - Oni nie lubią prowadzić ostrzału z wnętrza budynku... jakby się bali, że mogliby tam zostać odcięci.

Mike najwyraźniej to zrozumiał.

- Jasne - mruknął.

Wóz porucznika Cartera wprowadził ich w zacienioną uliczkę, a kiedy słońce znalazło się

za wznoszącymi się nad nimi dachami domów, odnieśli niepokojące wrażenie, jakby wjeżdżali w rozwartą paszczę jakiejś groźnej bestii.

- Cholera - burknął Andy.

Zróbmy to szybko.

Droga skręcała ostro w prawo, musieli więc zwolnić, mijając furgonetkę stojącą akurat na samym zakręcie. I nagle land rover Cartera gwałtownie zahamował. Amal zareagował na tyle szybko, że zatrzymał wóz kilka centymetrów za znajdującym się przed nim land roverem.

- Co się dzieje? - spytał Mike. Furgonetka i załom ulicy zasłoniły pozostałym pojazdem Cartera.

Westley przyłożył dłoń do osobistego zestawu łączności, zamontowanego przy uchu radia ze słuchawką i mikrofonem przy ustach.

- Dowódca mówi, że ulica za rogiem jest zablokowana. Kurwa, musimy zawrócić i znaleźć inną drogę.

Andy odwrócił się na siedzeniu i zauważył, że jadący na samym końcu land rover z sierżantem Boltonem na dachu zaczął już zawracać.

I właśnie wtedy usłyszał odgłos pierwszego wystrzału.

- Niech to szlag, ktoś już zaczął strzelać - warknął Mike.

Odwracając się ponownie do przodu, dostrzegł jakieś poruszenie na balkonie na wprost i nad nimi. Żołnierz pełniący funkcję Strzelca pokładowego w pierwszym land roverze także wychwycił ten ruch i obrócił elkaem minimi na wsporniku, unosząc go i wypruwając serię w ścianę budynku na wysokości balkonu. Na całej długości muru pojawiły się strzępiaste dziury okolone obłoczkami gipsowego pyłu, a mężczyzna z bronią znikł, jakby go w ogóle nie było.

- Do diaska, teraz to jak nic wszyscy się pobudzą! - wrzasnął Westley.

Tymczasem Amal zaczął wycofywać wóz w ślad za pozostałymi pojazdami wzdłuż wąskiej uliczki. Minęli skręt w prawo, oddalony o pięćdziesiąt metrów w głąb ulicy, którym wciąż mogliby jechać we właściwym kierunku. Była to jeszcze jedna wąska uliczka, przy której po obu stronach wznosiły się wysokie budynki z balkonami, ale może nie była ona zablokowana.

Andy zauważył jakieś poruszenie w oknach kilku innych budynków, dostrzegalne przez mgnienie oka twarze kilkorga dzieci, ich matki, a w innym starego mężczyznę w białym *dishdash*, wyglądającego z zaciekawieniem z mrocznego wnętrza domu.

Zza rogu wyłonił się tył zawracającego pojazdu porucznika Cartera. Młody oficer i towarzyszący mu żołnierz oddawali po dwa lub trzy strzały w kierunku balkonu, aby znajdujący się tam mężczyzna nie wstał i nie przysporzył im dalszych kłopotów.

Konwój wycofywał się powoli, już przez nikogo nieostrzeliwany. Wyglądało na to, że oddano w ich kierunku tylko jeden strzał - a i tak Andy nie był pewien, czy faktycznie chodziło o broń palną. Równie dobrze mógł być to odgłos z rury wydechowej jakiegoś zdezelowanego pojazdu, który ktoś próbował uruchomić na sąsiedniej ulicy.

A jednak najgorsze już się wydarzyło. Seria z minimi i ostrzał z land rovera porucznika Cartera musiały narobić zamieszania. Minęli skręt w prawo, pokonując jeszcze kilkadziesiąt metrów, aby dwa wozy jadące z przodu mogły zawrócić i wjechać w tę uliczkę. Po chwili z piskiem opon i fontannami żwiru sypiącego się spod kół land rover Cartera wjechał w wąską alejkę, a reszta konwoju niezwłocznie podążyła za nim.

- Jazda! - Mike ponaglił Amalę, uderzając raz po raz pięścią w tył fotela kierowcy.

Krótką wymiana ognia z całą pewnością obudziła miejscową ludność. Zauważyli kolejne twarze łypiące na nich z ciemnych okien, bram i balkonów powyżej. Unosząc wzrok, Andy widział jedynie wąski pasek błękitnego nieba poprzecinany wstęgami przewodów elektrycznych i sznurów na pranie. Uliczka była jeszcze węższa niż ta, z której właśnie wyjechali.

Wjeżdżamy prosto w zasadzkę.

To zaczynało być dla niego wręcz przeraźliwie oczywiste - jak nasuwająca się sama przez się konkluzja tego wszystkiego, co dotychczas się wydarzyło. Mieli ograniczone pole manewru. Jeżeli droga przed nimi była zablokowana, znajdują się w pułapce.

Konwój dotarł do kolejnego zakrętu, tym razem prowadzącego w lewo. Pierwszy land rover skręcił ostro, wzbijając tuman kurzu. Pozostałe pojazdy natychmiast podążyły za nim.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, ujrawszy, że ulica przed nimi była przejezdna i rozszerzała się w dwupasmową z czymś, co przypominało chodniki po bokach, i trawiastą wysepką pośrodku. Po obu stronach stało tylko parę pojazdów, a na pokrytej chwastami wysepce rosło kilka wymizerowanych starych palm daktylowych, dzięki którym można było wyobrazić sobie, jak ta zaniedbana dziś dzielnica musiała wyglądać w czasach swojej świetności. Andy spostrzegł też kilku przechodniów zbitych w niewielkie grupki. Nie był pewien, czy ich zachowanie było normalne, czy może wylegli na ulice wiedzeni ciekawością i zaniepokojeni hukami wystrzałów.

Wóz porucznika Cartera zatrzymał się, a za nim pozostałe pojazdy.

- Czemu staje? - spytał Mike.

Andy wychylił głowę przez okno, aby lepiej się przyjrzeć temu, co się działo przed nimi, i ujrzał, że po drugiej stronie bulwaru zebrała się spora grupa mężczyzn - spotkali się zapewne w jednym z domów, a teraz wszyscy wybiegli na zewnątrz. Ludzie ci blokowali im

drogę.

- Niech to szlag, nie przejedziemy, droga jest zablokowana. Dlatego się zatrzymał.

- Cholera. Może zdołalibyśmy się przebić? - Westley zaklął pod nosem.

Farid obejrzał się przez ramię na siedzącego z tyłu żołnierza.

- Mówisz, żeby ich przejechać?

- Tak. Do diabła z nimi. Jak się nie usuną z drogi, to ich rozjedziemy.

- Jestem za - rzekł Mike do młodego żołnierza. - Choć może gdybyśmy wystrzelili najpierw parę razy na postrach, sami zejdą nam z drogi. A jeżeli nie... no cóż... ich wybór.

- Myślę, że się nie usuną - odparł srogo Farid.

- No i co? Mamy tu siedzieć i czekać, aż nas opadną jak szarańcza? - odciął się Mike.

- Próba rozjechania ich jest *haram*. To morderstwo. Zła rzecz.

- My albo oni - mruknął Westley - Pieprzyć to. Wolę postawić na nas.

Farid odwrócił się do Amala i powiedział coś pośpiesznie po arabsku.

- Co ty tam szwargoczesz? - warknął gniewnie Mike.

Farid odwrócił się na siedzeniu, by na niego spojrzeć.

- Spytałem, czy zna inną drogę. Amal ma rodzinę w Al-Bayji. Zna miasto.

Andy, ignorując tę wymianę zdań, obserwował gromadzący się w oddali tłum. Wiele par oczu było zwróconych w ich stronę, dłonie się unosiły. Konwój pojazdów stojący w cieniu bocznej uliczki został w końcu dostrzeżony przez miejscowych.

- Kurwa mać! - zaklął Westley, wsłuchując się w głos w słuchawce swojego radia. - Dowódca mówi, że dostrzegł wśród nich kilka RGppanc. i broń automatyczną.

Andy już miał zapytać, co oznacza RGppanc, ale powstrzymał się. Nawet mały Jacob wiedział, że chodziło tu o ręczny granatnik przeciwpancerny.

Tłum ruszył wolno w ich stronę, a kiedy się rozproszył, Andy zauważył, że Arabowie byli naprawdę nielicho uzbrojeni.

Cokolwiek mamy zrobić, lepiej się pośpieszmy.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl Andy spostrzegł, że jeden z mężczyzn zatrzymał się, ukląkł i uniósł trzymaną oburącz długą rurę, zarzucając ją sobie na ramię - przyjmując pozycję do strzału. Po chwili błysnęło, huknęło, zadymiło się i niewielki czarny pocisk przeciął powietrze, zmierzając w ich stronę.

- Szlag! Strzelają do nas! - krzyknął Westley.

Pocisk minął konwój o dobrych kilkanaście metrów, ale na tyle blisko, że wszyscy usłyszeli wściekły syk wzburzonego powietrza. Trafił w ścianę budynku pięćdziesiąt metrów za nimi, odrywając spory płat gipsu, ale nie eksplodował.

Porucznik Carter najwyraźniej miał już tego wszystkiego dość i gestem dłoni dał znak żołnierzowi obsługującemu elkaem w drugim pojeździe, aby odpowiedział ogniem na ten atak.

Elkaem zaczął głośno warczeć, a Andy patrzył z przerażeniem, jak ciała kilku idących na czele tłumu nagle eksplodują, a ich czaszki i klatki piersiowe rozpryskują się w drobny mak pośród fontanny krwi. W tej samej chwili wszyscy uzbrojeni mężczyźni zebrani na placu również zaczęli strzelać, a w powietrzu wokół land cruisera Andy'ego zaświstały kule.

Pojazd Cartera skręcił ostro w lewo, Andy zobaczył zaś, jak oficer, gestykulując zawzięcie, wskazuje na jednopiętrowy różowy budynek otoczony od przodu wysokim murem. Pośrodku muru widniała masywna żelazna brama, zamknięta, jak się wydawało, na kłódkę. Jego pojazd potoczył się w tamtą stronę, podskakując na krawężniku, i po chwili z hukiem wyrznął w bramę. Oba skrzydła zagrzechotały metalicznie, kołysząc się na zawiasach, i ze skrzypieniem uchyliły się do wewnątrz.

- Jazda, jazda, jazda! - krzyknął Westley

Amal odruchowo zakręcił kierownicą i docisnął pedał gazu do dechy, omijając land rovera prowadzącego ostrzał z elkaemu. Samochód pacyfikujący miejscowych przy użyciu minimi nie ruszył się z miejsca, karabin maszynowy w dalszym ciągu pluł ogniem, powstrzymując gniewny tłum i utrzymując go na dystans.

Andy zorientował się, że coś musiało się stać. Kiedy mijali land rovera, zauważył, że przednia szyba auta przestała istnieć, a kierowca leżał bezwładnie na desce rozdzielczej. W aucie było jeszcze trzech innych mężczyzn, dwóch wysiadło z tyłu i klęczało teraz w ukryciu za burtą, trzeci wciąż stał na platformie i prowadził ostrzał z elkaemu długimi seriami, które bardzo szybko zużywały długą, lecz przecież nie nieskończoną taśmę amunicyjną. Całej trójce groziło, że zostaną pozostawieni samym sobie.

Amal kierował się w stronę różowego budynku i bez wahania wjechał na chodnik, pokonując krawężnik podobnie jak poprzedni land rover z takim impetem, że wszyscy, którzy siedzieli w aucie, uderzyli głowami o podsufitkę. Pokonawszy otwartą już bramę, wprowadził samochód na otoczony murem dziedziniec.

Ich toyota zatrzymała się pośród kłębow kurzu, a po chwili, tuż po niej wjechała do środka następna i trzy pozostałe land rovery.

Pomimo gęstego kurzu Andy zauważył, że porucznik Carter wyskoczył już z samochodu i biegł przez dziedziniec w kierunku otwartej bramy, wykrzykując rozkazy pod adresem swoich ludzi, którzy jeden po drugim wysiadali z pojazdów. Carter ukrył się za murem przy bramie, wychylając się kilka razy, by zbadać sytuację swoich trzech podkomendnych, którzy

pozostali w unieruchomionym aucie na środku ulicy.

Rozdział 15

godz. 7.21 czasu lokalnego

Al-Bayji, Irak

- To jakiś obłęd - wyszeptał pod nosem mocno zdyszany porucznik Carter.

Sierżant Bolton podbiegł i przycupnął pod ścianą obok niego, łapiąc krótkie oddechy i poprawiając paski przy kevlarowym hełmie.

- Wszystko w porządku, panie poruczniku? - wychrypiał.

Carter pokiwał głową.

- Nic mi nie jest. Martwię się raczej o tych drani na zewnątrz.

Słyszeli, jak minimi kontynuuje ostrzał, plując krótkimi regularnymi seriami. Ale stawały się one coraz krótsze, a przerwy między nimi wydłużały się.

- Cokolwiek mamy zrobić, panie poruczniku, trzeba się sprężyć.

Carter przytaknął.

- Sierzancie, nie znam ich sygnału rozpoznawczego. Nie zdążyłem jeszcze zaznajomić się z...

- Ci chłopcy należą do Yankee-dwa-dwa, panie poruczniku.

Młody oficer pokiwał głową.

- Dobra, dobra. Jasne.

Rozejrzał się nerwowo dokoła, przygryzając wargi w zamyśleniu.

- Panie poruczniku, musimy coś zrobić, i to szybko - warknął zniecierpliwiony sierżant Bolton.

Carter wyrztał zza krawędzi muru na trzech mężczyzn. Ten, który leżał na dachu pojazdu, wciąż strzelał. Dwaj pozostali oddawali od czasu do czasu, sporadycznie po dwa, trzy strzały zza samochodu, podczas gdy ziemia wokół nich eksplodowała tumanami kurzu i fontannami iskier, kiedy kule z wizgiem rykoszetowały od podziurawionej jak sito i pokrytej wgnieceniami karoserii pojazdu.

Przycisnął guzik przy swoim radiu, aby móc przekazać wiadomość i siłąc się na spokojny ton, rzekł do mikrofonu:

- Yankee-dwa-dwa... tu Yankee-dwa-zero. Musicie spróbować do nas dobiec, chłopaki. Będziemy was osłaniać od muru i bramy

- Tylko, kurwa, jak najszybciej, poruczniku! - padła urywana odpowiedź jednego z trzech podkomendnych.

Carter odwrócił się do Boltona.

- Sierżancie, rozlokujcie paru naszych chłopców na stanowiskach przy murze. - Rozejrzał się wokoło i w kącie dziedzińca dostrzegł stertę drewnianych palet. - Niech na nich staną. I wyznaczcie kilku ludzi do prowadzenia ostrzału od bramy. Ulokujemy tu dość sporą siłę ognia, dobra?

Sierżant Bolton skinął głową i zaczął wydawać rozkazy na innym kanale.

- Jeszcze jedno, sierżancie, chcę, żeby jeden człowiek miał na oku tych Irakijczyków, którzy są tu z nami.

Bolton potwierdził przyjęcie rozkazu i przebiegł przez dziedziniec, roztaczając wokół siebie aurę pewności i wewnętrznej niezłomnej siły, która Carterowi nigdy nie była dana. Po kilku chwilach ośmiu ludzi z jego plutonu, włącznie z ogorzałym mieszkańcem wysp Fidżi, zaczęło przenosić palety pod wysoki na dwa metry mur z gipsu i gazobetonu, ustawiając je tak, by żołnierze mogli prowadzić ostrzał ponad krawędzią.

Gadatliwy starszy kapral Westley podszedł i przykucnął pod ścianą obok Cartera, a za nim drużyna dwunastu mężczyzn, którzy kolejno zajmowali pozycje pod murem z szorstkich żuźlowych bloków. Carter powiódł wzrokiem po pełnych niepokoju twarzach młodych mężczyzn przyglądających mu się z przejęciem i oczekujących, aż dowódca wyjaśni im, w jaki sposób wydostaną się z tej kabały.

- W porządku, chłopcy, najpierw musimy wyprowadzić Yankee-dwa-dwa z tego kotła i ściągnąć tu do nas. Co do reszty... wszystko w swoim czasie. Dobra?

Cholera, Robin, nigdy, przenigdy nie pytaj podkomendnych o potwierdzenie rozkazu...

- Teraz zajmiemy się tym - dodał pospiesznie. - Na mój rozkaz wyprowadzisz połowę tej drużyny za bramę, gdzie skręcicie w prawo. Jest tam ciężarówka, za którą możecie się schować. Ja z drugą połową drużyny odbiję w lewo, po czym wszyscy położymy dla naszych chłopców ogień osłonowy. Miejmy nadzieję, że to wystarczy, aby się tu do nas dowlekli. Czy wszystko jasne?

- Tak jest - odrzekł Westley.

- Dobrze, zajmijcie pozycje po drugiej stronie bramy. Przygotujmy się.

Carter usłyszał, że serie z elkaemu stają się coraz krótsze i rzadsze. Chłopak, który prowadził ostrzał - niech to szlag, żałował, że nie miał więcej czasu, aby nauczyć się ich nazwisk - robił, co w jego mocy, by utrzymywać tłum na dystans.

Westley poklepał swoich sześciu towarzyszy po ramieniu i przeprowadził ich biegiem

przez otwartą bramę pod mur po przeciwległej stronie, gdzie przycupnęli, szykując się do akcji.

Nie ma chwili do stracenia. Naprzód.

- Yankee-dwa-dwa - rzekł Carter przez radio - wychodzimy, by położyć dla was ogień osłonowy. Na mój rozkaz spieprzajcie stamtąd i grzejdzie do nas najszybciej, jak potraficie!

Obejrzał się przez ramię, by zobaczyć, że sierżant Bolton rozlokował kilku ludzi na paletach, przygotowując się, by osłonić kolegów ogniem zza muru. Skinął głową do Boltona, po czym odwrócił się, by spojrzeć na starszego kaprała Westleya przy bramie z drugiej strony.

Uniósł rękę, aby Bolton i Westley mogli to zobaczyć. Zaczął odliczać.

Trzy... dwa... jeden.

Zacisnął dłoń w pięść i poderwał się na nogi, prowadząc żołnierzy na podjazd. Cała siódemka przyklekła, otwierając ogień w stronę tłumu, który dotarł już prawie do unieruchomionego land rovera. Tymczasem Westley, wyprowadziwszy swoich ludzi za bramę, skręcił w prawo, pokonując kilka metrów po nierównym brukowanym gruncie w stronę rdzewiejącej ciężarówki stojącej dwoma kołami na chodniku. Szybko ukryli się za nią i otworzyli ogień osłonowy, ostrzeliwując całą przestrzeń bulwaru. Zbliżający się tłum jak na komendę rzucił się na ziemię, by uniknąć zmasowanego ognia.

- Yankee-dwa-dwa... Naprzód! - zawołał do mikrofonu Carter.

Żołnierz, który spisywał się znakomicie, prowadząc ostrzał z elkaemu z dachu samochodu, ześlizgnął się na platformę i zaczął się czołgać na tył pojazdu. Dwaj pozostali opuścili tymczasem swą marną kryjówkę za burtą land rovera i zaczęli biec, by pokonać trzydzieści metrów otwartej przestrzeni w stronę otoczonego różowym murem dziedzińca, klucząc i lawirując, by utrudnić zadanie tym, którzy mogliby chcieć posłać im kulkę.

Trzeci mężczyzna, wciąż znajdujący się w land roverze, nagle się zawahał jak podпиты gość zastanawiający się, czy nie zostawił w pubie portfela. I Carter zobaczył, jak sięga przez otwór w dachu pojazdu, by zabrać leżący tam karabin maszynowy.

Kusiło go, by zawołać do żołnierza, aby sobie odpuścił i zostawił elkaem. Jednak minimi było nader skuteczną bronią zaczepną i mogło znacznie wzmocnić szanse jego plutonu na utrzymanie obecnej pozycji. Mieli sporo taśm amunicyjnych do elkaemu w innych land roverach.

- No dalej, dalej - wymamrotał pod nosem, gdy wraz ze swymi ludźmi prowadził nieustanny ogień osłonowy, zmuszając rozjuszony tłum do pozostania na ziemi.

Żołnierz w pojeździe zdołał wciągnąć broń o niezbyt wygodnym kształcie z rozłożonym

dwunogiem do wnętrza pojazdu, po czym zeskoczył z platformy i przetoczył się ciężko po ziemi.

- Do ciężkiej cholery, Shirley, rusz dupę, ty leniwa łajzo! - Carter usłyszał głos starszego kaprała donośniejszy niż jego i bynajmniej niedbający o zachowanie niezbędnych procedur podania za każdym razem sygnału rozpoznawczego.

Na wspólnym kanale usłyszał ciężki oddech podkomendnego, który, dźwigając elkaem, szykował się do forsownego biegu w kierunku bramy

- Pieprz się, Westley, ty cioto - usłyszał odpowiedź żołnierza.

- Yankee-dwa-dwa... Do cholery!... Shirley! - warknął Carter, upominając się w duchu, by zapytać go, skąd wziął tę dziwną ksywkę.

- Zapiierdalaj tu do nas, ale już!

Mężczyzna zarzucił sobie broń na ramię, odczekał chwilę, by uspokoić nerwy, po czym zaczął biec zakosami jak jego dwaj towarzysze, ale gabaryty i ciężar broni znacznie go spowolniły.

Ogień osłonowy od strony ludzi Cartera, sierżanta Boltona znad muru i oddziału starszego kaprała Westleya zaczął słabnąć, gdy wszyscy po kolei opróżnili swoje magazynki. Co najmniej połowa żołnierzy była teraz zajęta usuwaniem pustych magazynków i zastępowaniem ich nowymi.

Oslabienie ostrzału rozzuchwialiło znajdujących się wśród tłumu członków milicji i kilku z nich opuściło swoje kryjówki w różnych częściach bulwaru, by oddać serię strzałów za uciekającym rozpaczliwie samotnym żołnierzem.

To było nieuniknione: jedna z kul dosięgła celu.

Szkarłatny kwiat wykwitł na nodze mężczyzny i żołnierz ciężko runął na ziemię, o kilka metrów od chodnika.

- Rusz dupę, złamasie! - zawołał Bolton znad krawędzi muru, a jego grzmiący głos przebił się przez zgiełk kanonady.

Intensywność ostrzału niespodziewanie przybrała na sile, w miarę jak członkowie milicji rozzuchwalili się coraz bardziej. Gazobetonowy blok obok Cartera i jego ludzi eksplodował uderzającymi w nich kulami, obsypując wszystkich kaskadami gipsowego pyłu i kłującymi odłamkami betonu. Carter usłyszał wilgotne plaśnięcie i odwrócił się w lewo, by ujrzeć, jak jeden z żołnierzy klęczących obok niego odlatuje w tył, otrzymawszy postrzał prosto w twarz. Powyżej zuchwy i poniżej rudobrazowych brwi nie zostało już nic, jedynie ziejąca czerwona, krwawa miazga.

Cholera. Cholera. Cholera.

Chłopak był martwy, mimo iż jego nogi wciąż jeszcze wierzgały w konwulsjach, a ciężkie wojskowe buty bębniły spazmatycznie o chodnik.

Na ulicy leżał ranny mężczyzna, wił się w agonii i krzyczał z bólu, przyciskając dłoń do zranionego uda.

Carter wiedział, że musi wyprowadzić swoich ludzi z otwartej przestrzeni, zanim straci kolejnego podkomendnego.

- Wszyscy wracać do środka, ale już! - wrzasnął do mikrofonu.

Drużyna starszego kaprała Westleya szybko i sprawnie dwójkami, ostrzeliwując się, wracała za bramę. Sam Westley jednak wciąż ukrywał się za ciężarówką.

Carter wychwycił jego spojrzenie, gdy gestem dłoni dawał znak swoim ludziom, by ukryli się za murem na dziedzińcu.

- Do środka! Natychmiast! - ryknął do niego.

Starszy kapral po chwili wahania pobiegł jednak w kierunku bramy.

Carter skrzywił się. *Ten nieszczęśnik wciąż żyje, a my tak go zostawiamy.*

Wycofując się jako ostatni, wypruł cały magazynek długą serią z boku na bok, po czym odwrócił się i pognał w kierunku otwartej bramy

Gdy wszyscy znaleźli się już w środku, ciężka żelazna brama została zamknięta przy wtórze groźnego metalicznego szczęku. Sierżant Bolton polecił kilku swoim ludziom pozbierać pozostałe palety i inne rzeczy, które znaleźli na dziedzińcu, i zgromadzić je przy bramie.

Carter wspiął się na palety ustawione pod murem i zaczekawszy na krótką przerwę w ostrzale, wyjrzał na zewnątrz ponad krawędzią ściany.

Shirley, spec od elkaemu, zarobił jeszcze parę kul, na co mógł wskazywać jego postrzępiony mundur połowy pociemniały od krwi z kilku ran; ten nieszczęsny chłopak praktycznie nie miał już szans. Wreszcie jakaś litościwa kula trafiła go w głowę, zrywając z niej hełm.

Chłopak był martwy

Shirley... Chciał spytać go, skąd, u licha, wzięło się to jego dziwaczne przezwisko, ale teraz, rzecz jasna, już się tego nie dowie.

Rozdział 16

godz. 8.00 czasu Greenwich

Manchester

- Och, przestań już! - zawołała ze zniecierpliwieniem Jenny.

Cyfrowa melodyjka powtarzała się raz po raz, podczas gdy ona, słuchając jej i czekając, była coraz bliższa utraty zmysłów. Od czasu do czasu melodyjkę przerywał nagrany komunikat z oświadczeniem, że dodzwoniła się do infolinii komunikacji kolejowej i niedługo uzyska połączenie z operatorem.

Jenny wciąż leżała w łóżku w hotelu Piccadilly Marriott. Zgodnie z planem zamierzała wybrać się do Leeds, aby odwiedzić starych przyjaciół, i dopiero potem wrócić do domu, by zrobić porządek ze swoim życiem.

Sęk w tym, że biorąc pod uwagę niepokojące wydarzenia rozgrywające się o tysiące kilometrów stąd, pomysł ten już teraz nie wydawał się jej trafiony. Perspektywa zakrapianego spotkania z dawnymi przyjaciółmi ze szkoły, z którymi nawiązała niedawno kontakt mailowy, straciła urok. Z pewnością byłoby miło, ostra popijawa, dużo śmiechu i wspomnień, ale myślami była teraz gdzie indziej, między innymi przy Andym, który utknął za granicą, i z tego, co zdążyła się zorientować, oglądając wiadomości, mogło mu grozić niebezpieczeństwo.

Jenny nie do końca poważnie traktowała informacje ze świata. Nie była miłośniczką wiadomości. Więcej czasu poświęcała na oglądanie oper mydlanych i reality show niż na śledzenie bieżących wydarzeń na świecie. Jednak wczoraj w kafejce usłyszała ot tak przypadkiem kilka znajomych zwrotów, które zmroziły jej krew w żyłach. W kulminacyjnym okresie swej paranoi, mniej więcej przed rokiem, Andy ostrzegł ją, że tylko ci, którzy będą uważnie nasłuchiwać i wypatrywać oznak Wielkiego Kryzysu, wszelkich przesłanek świadczących o nadchodzącym zagrożeniu, będą mieć odrobinę przewagi, by się odpowiednio przygotować na tę ewentualność. Wczesne ostrzeżenia miały nadejść w formie zwrotów w informacjach ze świata, czegoś w rodzaju kodu zrozumiałego dla tych nielicznych, którzy wiedzieli, co się szykuje i na co powinni zwracać szczególną uwagę. To właśnie oni będą mieć szansę, aby się przygotować, zanim wybuchnie ogólna panika.

Wczoraj podczas oglądania wiadomości poczuła, że słyszy coś, co zabrzmiało jak zaszyfrowane ostrzeżenie.

Szczyt Wydobycia Naftowego.

W pierwszej chwili oczywiście zgłupiała. Wypiła kawę i poszła na spacer, zrobiła zakupy w Arndale Centre, zjadła kolację i wróciła do hotelu, nieomal zwalczając w sobie narastające pragnienie, by powrócić jak najszybciej do Londynu i zrobić możliwie jak największe zakupy w najbliższym sklepie spożywczym.

Dziś rano, kiedy się trochę przespała i zastanowiła nad mrocznymi, apokaliptycznymi perspektywami, jakie Andy roztaczał przed nią przez ostatnich kilka lat, zrozumiała, że faktycznie to, co usłyszała, było ostrzeżeniem.

I poderwała się z łóżka.

Z przyjaciółkami spotka się kiedy indziej.

A jeżeli trochę spanikowała, wykazując się nadpobudliwością i reakcjami niewspółmiernymi do bodźców, to co z tego? Lepiej wrócić do domu i zaopatrzyć się w większy niż zazwyczaj zapas puszkowanej żywności niż poniewczasie żałować. Zresztą zapasy prędzej czy później i tak zostaną zjedzone.

A co z Leoną i Jacobem?

Gdyby wróciła do Londynu, a sytuacja pogorszyłaby się jeszcze bardziej, mogłaby zabrać Jacoba ze szkoły z internatem. Czy w tej sytuacji miała ochotę na zakrapiane spotkanie w Leeds?... Raczej marnie by się bawiła, zadreęczając się przez cały czas bardziej lub mniej wydumanymi problemami.

Nagle melodyjka ucichła i Jenny usłyszała w słuchawce głos prawdziwej, żywej osoby.

- Telefoniczna centrala informacji kolejowej - rzekł mężczyzna.
- Nareszcie! Miałam zarezerwowany bilet do Londynu na koniec tego tygodnia i zastanawiam się, czy mogłabym go wymienić na bilet na dziś. Wyjazd z Manchesteru.
- Przykro mi, międzymiastowa komunikacja kolejowa została dziś rano zawieszona.
- Dlaczego?
- Przykro mi, to wszystko, co wiemy... komunikacja została zawieszona do odwołania.
- Ale... to jak mam wrócić do domu? - spytała gniewnie.
- Uhm... przykro mi... proszę pani - odrzekł niezręcznie mężczyzna i rozłączył się.
- Pięknie - syknęła - kurwa, pięknie.

Sięgnęła po pilota leżącego na nocnym stoliku i włączyła niewielki telewizor umieszczony na metalowym wysięgniku w kącie pokoju. Przerzucając kolejne programy - a było aż pięć - stwierdziła, że na każdym kanale nadawano wiadomości i na każdym rozmawiano o narastającej eskalacji niepokojących wydarzeń. Podkreśliła głośność.

- ...incydentu w Gruzji. Pierwsze raporty mówią, że wybuchy w rafineriach w Baku,

niedaleko pól ropośnych Tengiz, mogą być spowodowane wypadkiem, do którego doszło wskutek nagłego wzrostu zapotrzebowania i produkcji na tamtejsze surowce, w połączeniu z przestarzałą infrastrukturą i urządzeniami mechanicznymi pochodzącymi jeszcze z czasów Związku Radzieckiego. Pojawiły się wszelako sprzeczne raporty, wedle których eksplozje te mogły być wynikiem przeprowadzonego umyślnie sabotażu...

Jenny przełączyła inny kanał.

- ...źródła w Pentagonie podają, że z rejonu Zatoki Perskiej mogą zostać wycofane kolejne oddziały, aby zajęły się ochroną innych rafinerii i rurociągów w rejonie Morza Kaspijskiego. Nie ulega jednak wątpliwości, że amerykańskie siły zbrojne w tym regionie zostały uszczuplone do tego stopnia, iż problemem może być dalsza kontrola, dowodzenie i zabezpieczenie dróg dostarczania prowiantu dla wojska. Komentatorzy w Waszyngtonie sugerują, że prezydent może zostać zmuszony do ogłoszenia dodatkowego poboru, aby zapewnić niezbędny w najbliższej przyszłości stan liczebny naszych jednostek. Niestety wydarzenia następują błyskawicznie i już dziś potrzeba nam żołnierzy, aby...

Kolejny kanał.

- ...nie wiadomo jeszcze, co się stało dziś rano z Amoco Dahlią. Silna eksplozja rozerwała kadłub supertankowca w momencie, gdy przepływał on przez cieśninę Ormuz. Ze zbiorników Amoco Dahlii wyciekło wiele milionów litrów ropy i doszło przy tym do zapłonu. Nie wiemy jak dotąd, czy supertankowiec wpadł na minę, czy, co bardziej prawdopodobne, został zaatakowany przez terrorystów przy pomocy nafaszerowanej ładunkami wybuchowymi łodzi motorowej...

I jeszcze jeden.

- ...dziś rano. Rzecznik prasowy premiera zapowiedział, że jeszcze dziś premier wygłosi przemówienie. Rzecz jasna, specjaliści giełdowi będą się starali przewidzieć, co powie. Spodziewane są tymczasowe obostrzenia, jeżeli chodzi o dystrybucję i sprzedaż paliw płynnych, benzyny oraz ropy. Odkąd dziś rano cena ropy przekroczyła magiczną dotąd barierę stu dolarów za baryłkę i wciąż rośnie, nie ulega wątpliwości, że te krótkoterminowe restrykcje mają na celu zapobieżenie potencjalnej katastrofie i zminimalizowaniu szkód, jakie z tego tytułu mogłaby ponieść nasza i tak już mocno nadwerężona i krucha gospodarka...

Jenny spojrzała na komórkę, którą wciąż trzymała w ręku, i po raz pierwszy od dłuższego czasu pożałowała, że nie ma przy niej Andy'ego, który mógłby powiedzieć jej, co powinna zrobić i jak ma się zachować w obecnej sytuacji.

Rozdział 17

godz. 11.00 czasu lokalnego

Al-Bayji, Irak

Andy wskoczył do różowego budynku, słysząc ostrzegawczy krzyk sierżanta Boltona. Po chwili pocisk wystrzelony z moździerca w pobliżu zabudowań spadł na dziedziniec, lecz nie eksplodował - jeszcze jeden niewypał.

Odetchnął z ulgą. Uzbrojeni rebelianci wśród coraz większego tłumu na zewnątrz odpalili kilka pocisków z moździerca, ale tylko dwa spadły na dziedziniec, czyli trafiły w cel, żaden natomiast nie eksplodował.

Sporadyczny ostrzał znów zaczął słabnąć.

Przez cały ranek schemat powtarzał się na okrągło: intensywny ostrzał niemal ze wszystkich dachów domów wzdłuż całego bulwaru i od strony samej ulicy przeplatany był dłuższymi lub krótszymi momentami ciszy i spokoju.

Tłum na zewnątrz zgęstniał, przypuszczalnie w miarę jak w mieście zaczęły się rozchodzić wieści, że udało się osaczyć niewielki patrol sił koalicyjnych.

Andy zdumiał się, jak zuchwali byli ci ludzie. Przecież musieli wiedzieć, że oddział wsparcia zacznie przeczesywać tę okolicę w poszukiwaniu patrolu Cartera. Baza batalionu znajdowała się o pół godziny drogi stąd i nie ulegało wątpliwości, że już wkrótce ktoś się tu zjawi, czyż nie?

A może oni wiedzą coś, o czym my nie mamy pojęcia?

Radiostacja znajdująca się w land roverze porucznika Cartera została roztrzaskana kilkoma celnymi strzałami, kiedy pojazd, lawirując, kierował się w stronę różowego budynku. W tej sytuacji o nawiązaniu kontaktu z bazą batalionu nie było mowy. Jediną alternatywą, choć mogło się to wydawać niewiarygodne, pozostawał telefon komórkowy. Na pustynnych bezdrożach komórka miała zasięg lub nie, to zależało od łutu szczęścia. Ale w mieście takim jak Al-Bayji z zasięgiem nie powinno być problemów.

W ciągu ostatniej godziny, kiedy stało się jasne, że groźba zmasowanego ataku na zabudowania nie wchodzi w grę i jak na razie powinni utrzymać bez trudu tę pozycję, porucznik Carter bez powodzenia próbował skontaktować się z kimś - kimkolwiek - z bazy wojskowej. Udało mu się w końcu dodzwonić do ich sierżanta kwatermistrza, kumpla

Boltona, a poprzez niego do majora Henmarsha.

Carter wykonał ten telefon z dala od reszty swoich podkomendnych, ale z jakiegoś powodu pozwolił Andy'emu pozostać w pobliżu. Andy usłyszał najnowsze wieści i nie brzmiały one pomyślnie.

Batalion opuścił swoją stałą bazę na południowy zachód od miasta i wycofał się do K2, na teren głównego lotniska, by ochraniać go dla kolejnych lądujących tam samolotów transportowych typu Hercules C-130, które ewakuowały z tego regionu Iraku wojska brytyjskie - po jednym oddziale.

Carter powiedział, że major będzie się starał zebrać grupę ratunkową, aby ich stąd wydostać, ale sądząc po marsowej minie oficera, Andy domyślał się, iż było to raczej mało prawdopodobne.

- Wszystko gra? - spytał Andy.

- Czemu się wycofują, do cholery?

- Sytuacja musiała się pogorszyć.

I to bardzo, skoro trwa ewakuacja wojsk brytyjskich.

- Po prostu tego nie rozumiem. To oczywiste, że przyślą tu więcej wojska, aby pomóc w ustabilizowaniu sytuacji. - Porucznik Carter otarł swoją *shemagh* kurz, pot i brud z twarzy. - To czysty obłąd.

- Mam wrażenie, że dzieje się coś, o czym nie wiemy - rzekł półgłosem Andy - Wiemy, że wszystko zaczęło się od serii zamachów bombowych w Arabii Saudyjskiej, ewidentnie zaplanowanych przez kogoś, by doprowadzić do wybuchu wielkiej fali nienawiści.

- Przez kogoś? Masz na myśli Al-Kaidę?

Andy wzruszył ramionami.

- Całkiem możliwe, że to właśnie oni za tym stoją. Wszystko to wydaje się przez kogoś starannie... przygotowane, nie uważasz?

Carter jakby mimowolnie pokiwał głową, wyraźnie przejęty innymi, istotnymi dla niego sprawami.

- Posłuchaj - rzekł po chwili. - Nie jestem pewien, czy zdołają zebrać ludzi, aby ich po nas wysłać. Wygląda na to, że ledwie wiążą koniec z końcem i że wokół K2 toczą się zacięte walki. - Przygryzł wargę, po czym dodał: - Może będziemy musieli sami się wydostać z tej kabały.

- Chryste Panie - mruknął Andy.

- Ale nic nikomu nie mów. Ani słowa moim ludziom. Jasne?

- Jasne.

Carter przykucnął i oparł się o różowy mur, ukrywając twarz w dłoniach.

- Niech to szlag, nie wiem, co mam robić - wymamrotał.

Andy rozejrzał się dokoła i zauważył, że kilku podkomendnych Cartera patrzyło niepewnie na swojego dowódcę, zajmując pozycje strzeleckie przy murze otaczającym zabudowania. Ukląkł przy nim.

- Twoi ludzie na ciebie patrzą - wyszeptał.

Młody oficer natychmiast się wyprostował i wziął głęboki oddech.

- Masz rację - odparł, kiwając głową i uśmiechając się ponuro. - Coś wymyślę.

Andy pokiwał głową.

- Jasne.

Chciał dla uspokojenia poklepać tamtego po ramieniu, ale mając świadomość, że podkomendni patrzyli na niego z przejęciem, wołał, by tego nie widzieli. Niezależnie, w jak ciężkim, zdaniem porucznika, znajdowali się położeniu, musiało to wyglądać na drobne, przejściowe kłopoty, ledwie zgrzyt, który wnet minie, sytuacja zostanie opanowana i wszystko dalej pójdzie jak po maśle. Porucznik Carter musiał sprawiać wrażenie wiarygodnego i zdolnego do opanowania sytuacji.

Andy nie zazdrościł mu tego. Wstał i podszedł do miejsca, gdzie w cieniu zaparkowanych aut siedzieli Mike, Erich i Ustov, a kilka metrów dalej pilnowani przez jednego z żołnierzy - Farid i dwaj młodzi kierowcy.

Mike skinął w stronę porucznika.

- I jakie nowiny?

- Nie tylko my mamy kłopoty.

- A co to, kurwa, ma znaczyć? - spytał Erich.

Andy czuł, że powinien wesprzeć Cartera i spróbować nadać temu wszystkiemu pozytywny ton, ale nie potrafił ich okłamać.

- To znaczy, że może trochę potrwać, zanim podeślą nam pomoc. Ale zrobią to.

Mike uśmiechnął się krzywo.

- No jasne.

Zadzwoiła komórka Andy'ego. Spojrzał na nią z pewnym zdziwieniem i sprawdził numer, z którego dzwoniono.

- Moja żona - rzucił z pewnym rozbawieniem, co wywołało wybuch śmiechu Mike'a i Ericha, podczas gdy Ustov wydawał się nieco zbity z tropu.

- Mówiłem, kochanie, nigdy nie dzwoń do mnie do pracy - mruknął Mike.

Andy uśmiechnął się i odebrał telefon.

- Jenny?

- Andy? - spytała. Sygnał był zdumiewająco czysty i wyraźny - Boże. Czy tam u ciebie wszystko w porządku?

Andy miał ochotę odpowiedzieć jej z ponurym i zjadliwym sarkazmem; bądź co bądź, kiedy rozmawiali po raz ostatni, przy okazji pakowania walizek na jego kolejny zagraniczny wyjazd służbowy, nie była wobec niego tak ciepła i serdeczna.

- Wszystko gra.

- Tak się martwiłam. W wiadomościach mówili, że na całym Bliskim Wschodzie zrobił się potworny bałagan.

- Co się, u licha, dzieje, Jenny? Co wiesz na ten temat?

- Niewiele, wygląda na to, że na całym świecie doszło do jakiś incydentów. Były zamachy bombowe i eksplozje... gdzieś w Azji Środkowej.

- W Gruzji, w pobliżu pól Tengiz?

- Tak, właśnie tam. Wymienili tę nazwę w wiadomościach. Tengiz. Mówili o niedoborach ropy, Andy. Tak jak w... no wiesz... jak...

- Tak - dokończył za nią. - Wiem.

- A na dodatek dziś rano miał miejsce wybuch na tym wielkim supertankowcu...

- W cieśninie Ormuz?

- Tak. Słyszałeś o tym? Wygląda na to, że zablokował całą cieśninę i uniemożliwił statkom, które tamtędy kursowały, dostarczanie ropy do ich stałych odbiorców.

Andy miał wrażenie, jakby lodowata dłoń dotknęła jego kręgosłupa.

- Tak... tak... gdzieś o tym słyszałem.

Atak bombowy na rafinerie Tengiz, blokada cieśniny Ormuz, niepokoje w krajach islamskich wywołane zamachami terrorystycznymi na ośrodki kultu religijnego w rodzaju meczetu Ka'bah - wszystkie te wydarzenia rozgrywające się w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin. Dokładnie tak jak w raporcie.

- Boję się, Andy. Pociągi nie kursują. Wstrzymali koleje i zapowiedzieli wystąpienie premiera. W radiu i telewizji wciąż mówią tylko o problemach na całym świecie.

Jedyna przewaga, jaką Jenny i dzieciaki mogły mieć nad resztą ludzi, to zaledwie kilka godzin na przygotowanie się dzięki jego ostrzeżeniom. Tylko tyle mógł jej dać, nic więcej. Dalej musiała radzić sobie sama.

- Jenny, posłuchaj. Jeżeli w porze lunchu ogłoszą obostrzenia, których się spodziewam, w ciągu paru godzin we wszystkich sklepach zostaną tylko puste półki. A potem rozpęta się istne piekło. Musisz ściągnąć dzieciaki do domu i kupić tyle żywności, ile...

- Nie mogę! Utknęłam w Manchesterze!

Cholera! Przypomniłam sobie, że miała tam umówioną rozmowę kwalifikacyjną. To był element jej strategii zawierający się w słowach: Wal się, doskonale dam sobie radę sama.

- Nie masz jak się dostać do domu?

- Nie. Żadnych pociągów ani autobusów dalekobieżnych. Wygląda na to, że wstrzymali całą komunikację międzymiastową.

- Wobec tego przekonaj Leonę, żeby przyjechała z Norwich, zabrała Jake'a ze szkoły, zawiozła go do domu i kupiła tyle prowiantu, ile tylko zdoła!

Chwila przerwy.

- Jenny - ciągnął Andy - ona mnie nie posłucha. Rozmawiałem z nią wczoraj. Chyba uważa mnie za przewrażliwionego histeryka, oszołoma czy kogoś w tym rodzaju. Ciebie posłucha. Bądź co bądź, w naszej rodzinie to ty zawsze byłeś największym sceptykiem.

Usłyszał ciężki oddech płynący z drugiego końca połączenia; Jenny płakała.

- Tak, dobrze, zrobię to. Boże, to naprawdę poważna sprawa, co?

- Tak. Wygląda na to, że tak. Ale posłuchaj, musisz się tym zająć już teraz, zaraz. Rozumiesz? I nie pozwól, aby Leona ci odmówiła.

Czasami bywa tak cholernie uparta i zawzięta.

- Oczywiście, że nie - odrzekła Jenny łamiącym się głosem.

- A potem wymyśl jakiś sposób, aby dostać się do Londynu i dołączyć do nich - dodał Andy.

- Wiem... wiem.

- Jakkolwiek, byle jak najszybciej.

Jenny nie odpowiedziała, ale słyszał, że wciąż tam była, na drugim końcu łącza.

- Andy - rzekła w końcu - to jest to, o czym, no wiesz... co...

- Proszę cię, Jenny. Po prostu sprowadź nasze dzieci bezpiecznie do domu - odparł krótko.

Rozdział 18

godz. 11.18 czasu lokalnego

Al-Bayji, Irak

Sierżant Bolton dołączył do szeregowego Tajicana stojącego na stercie palet i obserwującego wypadki rozgrywające się na ulicy.

- Co tam? - zwrócił się do mężczyzny pochodzącego z wysp Fidzi.

- Jakies poruszenie, sierzancie. Coś się dzieje.

Bolton uniósł wzrok, by spojrzeć na żołnierza, który był od niego wyższy i masywniejszy. Tajican wskazał na coś, co działo się na drugim końcu bulwaru.

- Tam, panie sierzancie.

Zmrużył lekko powieki od słońca; mimo iż błękitne niebo usłane było bezkształtnymi białymi chmurami, przesączaające się zza nich promienie słońca raziły oczy. Grupka mężczyzn zebrała się wokół ciężarówki stojącej przy wjeździe w boczną uliczkę i coś przy niej robiła, ale nie bardzo można było się zorientować co dokładnie.

- Co wy tam, u diabła, kombinujecie? - mruknął do siebie sierżant Bolton.

- Nie jest dobrze?

Bolton uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Ani chybi, chłopcze, to nie może zwiastować nic dobrego. - I do mikrofonu przy ustach rzucił krótko: - Poruczniku? Chyba powinniśmy się przygotować na kolejny kontakt.

Po drugiej stronie dziedzińca Carter ożywił się i przemaszerował szybkim krokiem przez plac, usiłując sprawiać wrażenie opanowanego i rozluźnionego. Przeszedł pomiędzy pojazdami stojącymi pośrodku dziedzińca i podszedł do muru, przy którym na paletach zajmowali stanowiska Bolton i Tajican.

- O co chodzi, sierzancie?

Bolton przykucnął i odwrócił się do dowódcy.

- Wygląda na to, panie poruczniku, że oni coś tam kombinują z ciężarówką.

- A konkretnie?

Bolton zerknął na potężnego żołnierza z Fidzi.

- Chyba coś na nią ładują, być może robią coś w rodzaju prymitywnej, skleconej naprędce bomby

Tajican spojrział na sierżanta, po czym skinął głową.

- Zgadza się, panie poruczniku, chyba chcą wykorzystać tę ciężarówkę do przewozu bomby.

Carter westchnął. Wspiął się na palety, by stanąć obok nich, przez kilka sekund obserwował poczynania miejscowych, po czym schylił się i odwrócił do dwóch podkomendnych.

- Cóż, to oczywiste, prawda? Zamierzają podjechać tą landarą jak najbliżej, zostawią ją pod bramą, a potem zdetonują ładunek.

Sierżant Bolton skinął głową.

- Tak jest.

- Wobec tego nie możemy dopuścić, aby ta ciężarówka tu dojechała. Czy mamy coś, czym można by ją zatrzymać?

- Elkaem powinien sobie z nią poradzić - odparł Bolton. - Mamy też kilka SA-80 z wyrzutniami granatów...

- Czy ktoś w plutonie ma dostatecznie dużo wprawy, aby trafić z granatnika w platformę tej ciężarówki?

- Starszy kapral Westley jest w tym całkiem niezły, ale nie na tę odległość, panie poruczniku. Musi podjechać trochę bliżej. Może uda się w nią trafić w czasie jazdy

- Musielibyśmy zaczekać, aż ruszy? Strzelać do ruchomego celu? To kretyński pomysł, sierżancie.

- A może wyślemy paru chłopców za bramę, aby rozwalili ciężarówkę, zanim tamci ją uruchomią?

Porucznik Carter zamyślił się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

- Nie. Zginęliby, zanim przebiegliby pięćdziesiąt metrów, na każdym dachu wokół tego cholernego bulwaru są rozstawieni uzbrojeni strzelcy

Nie mieli dużego wyboru. Porucznik zacisnął dłonie w pięści i uderzył jedną o drugą kilka razy, rozważając alternatywy.

- Dobra, sierżancie, spróbujemy zrealizować ten twój popaprany plan. Kiedy tylko ciężarówka ruszy, zaczniemy pruć do niej ze wszystkiego, co mamy... w tym także z dwóch granatników. Może szczęście nam dopisze i ktoś z nas trafi w materiały wybuchowe na pacy.

Carter ponownie wyjrzał ponad krawędzią muru. Wyglądało na to, że załadunek dobiegał końca i teraz zgromadzony tłum przeniósł się przed ciężarówkę. Widać było, jak zebrani żywo gestykują.

Szukacie ochotnika, który poprowadziłby ten wóz, zgadza się? Ale tu, w kraju

męczenników, nigdy nie brakowało młodych mężczyzn gotowych umrzeć.

Andy patrzył, jak Mike wstaje i podchodzi do trzech Irakijczyków kulących się nerwowo w cieniu jednego z land roverów i przez cały czas pilnowanych przez uzbrojonego żołnierza. Mike przykucnął przed nimi i w milczeniu przyglądał się im przez chwilę, trzymając luźno w dłoniach AK-47, nie mierzył w ich stronę, ale i nie skierował broni w bok.

- Co wy tu robicie?

Farid wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem.

- To proste, czemu, do cholery, jesteście tutaj, a nie tam, ze swoimi kumplami? Skoro, tak jak mówisz, wszyscy jesteście braćmi, i uważasz, że nasz zachodni styl życia jest gównem, czemu nie jesteś tam z nimi, aby do nas postrzelać jak oni?

- Jestem muzułmaninem, zabić to coś złego, mimo że jesteś niewiernym, a więc jesteś niczym.

Mike skrzywił się z niesmakiem.

- Jesteśmy według ciebie niczym? Kilka tysięcy młodych Amerykanów oddało życie, żebyście wy, dzikusy, mogli się cieszyć demokracją, żebyście, kurwa, mieli prawo głosować.

- A my waszą demokrację zamienimy na szariat, kiedy tylko wy, Amerykanie, stąd wyjedziecie - odparł zuchwale Farid. - Wasz styl życia nie jest naszym.

Andy zauważył, że ta dyskusja stawała się coraz bardziej zażarta - eskalacja była nieuchronna, zwłaszcza że wszyscy byli zdenerwowani i niespokojni. Podniósł się i podszedł do nich niepewnie, zastanawiając się, jak może załagodzić tę sytuację.

- Mike - rzekł półgłosem - uspokój się. Wydaje mi się, że „bycie niczym to nie całkiem to samo, co my przez to rozumiemy. To kwestia natury językowej.

- Taa, no jasne - uśmiechnął się oschle. - Powiem ci coś. Może oddam ten karabin jemu albo jednemu z jego kumpli? Słyszałeś, co powiedział - jesteśmy dla niego niczym... znaczymy tyle, co nic. Uważasz, że to dobry pomysł? Myślisz, że nasz mały przyjaciel stanąłby obok ciebie, ramię przy ramieniu, z bronią w ręku?

- Posłuchaj - odparł Andy - to nikomu nie pomoże, Mike. Czy ci się podoba, czy nie, Farid i ci dwaj chłopcy są w całym tym bajzlu po naszej stronie. Są z nami, ponieważ dla tamtych stanowią równie łakomy kęs jak my. Oni też są dla nich wyborem celem. Pomyśl tylko! To miejscowi pracujący dla obcych, niewiernych, takich jak my. Jeżeli rebelianci dostaną ich w swoje ręce, zgładzą ich, choćby ot tak, dla przykładu. Możesz być tego pewien.

Mike spojrzał na niego.

- Ufasz im?

Andy wzruszył ramionami. Nie był pewien, jak w obecnej sytuacji miałby mu szczerze odpowiedzieć - niezależnie, czy im ufał, czy nie, wszyscy jechali teraz na jednym wózku.

Rozdział 19

godz. 8.21 czasu Greenwich

Uniwersytet Anglii Wschodniej, Norwich

Leona uśmiechnęła się.

To już druga noc z rzędu.

Wszystko wyglądało nader obiecująco. Właściwie spodziewała się, że Dan wymyśli wczoraj jakąś sprytną wymówkę i nie będą mogli ponownie się spotkać. Większość chłopców w jego wieku tak postępowała.

Zbij szybę, bierz, co chcesz, i w nogi.

Z Danem najwyraźniej było inaczej. Z żalem opuszczała go dziś rano, kiedy tak leżał, drzemiąc w skotłowanym łóżku. Nie planowała pozostać u niego na noc i w tej sytuacji musiała się pospieszyć, aby wrócić do swojego pokoju w kampusie po podręczniki i zdążyć na pierwszy wykład. Była w połowie drogi do wejścia na teren kampusu, gdy przypomniała sobie, że wyłączyła komórkę.

Zadzwoiła, gdy tylko ją włączyła.

- Leona?

- Tato?

- Na miłość boską, mama i ja od rana próbujemy się do ciebie dodzwonić. Wszystko w porządku?

- Tak.

- Posłuchaj. Rozmawiałem z twoją mamą. I oboje chcemy abyś pojechała po Jake'a i zabrała go ze szkoły do domu.

- Chodzi o te zamieszki?

- Tak. - Wydawał się zmęczony i spięty.

Leona aż zgrzytnęła zębami ze złości.

Nie teraz. Błagam, nie teraz.

- Tato, mam teraz coś naprawdę ważnego do załatwienia - odparła.

No i w końcu zdobyłam Daniela. Nie zapominajmy o tym.

- Leona, kochanie, nie zamierzam się z tobą kłócić.

Kochanie. Leona aż wywróciła oczami. Boże, to było takie irytujące, tato zwracał się tak

do niej tylko, kiedy zamierzał upuścić nieco pary jak bliski erupcji pierwotny wulkan. To nie tyle wzbudzało w niej lęk, ile raczej drażniło.

- Zamknij się, do kurwy nędzy, i słuchaj! - warknął wściekle.

Leona zadrżała. Telefon omal nie wyslizgnął się jej z ręki.

- Zrobisz tak, jak ci każe mama. Pojedziesz po Jake'a, zabierzesz go do domu i kupisz tyle żywności w puszkach, ile zdołasz.

Leona zamilkła. Nie wiadomo dlaczego, odniosła wrażenie, że sprawy przybrały niepokojący obrót.

- Czy możemy się tu spodziewać zamieszek? - spytała. - Słyszałam, jak wczoraj w radiu mówili coś o...

- Tak. Może się tak zdarzyć. Przerwy w dostawach prądu, niedobory żywności i w ogóle.

W jego głosie wyczuła napięcie i niepokój... nieomal przerażenie. Tak silny strach słyszała w jego głosie tylko raz, przed paroma laty.

- Tato, dostałeś mojego maila?

- Co takiego?

- Mojego maila. Wysłałam go w piątek?

- Co? Tak... tak, dostałem, ale czemu...

- Widziałam jednego z tych mężczyzn w telewizji, tato. Jednego z tamtych mężczyzn, których zobaczyłam wtedy w Nowym Jorku.

Zapadła cisza, choć w tle słyszała spory hałas. Głośne krzyki i łomot, jakby ktoś wbijał młotkiem gwoździe na akord.

- Nie jestem pewien, czy powinniśmy o tym rozmawiać, Leona. Nie przez telefon.

- Dlaczego?

Znów chwila ciszy

- Leona, proszę, zabierz brata ze szkoły i sprowadź go do domu.. Kup tyle żywności i wody, ile tylko zdołasz.

W tle usłyszała przybierające na sile głosy, donośne, natarczywe.

- Tato? Co się dzieje?

I wtedy znów usłyszała to łomoczące staccato, jakby gdzieś niedaleko ktoś zawzięcie tłukł młotkiem, po chwili dołączyły do niego kolejne.

- Leona! - zawołał jej ojciec, jego głos był zniekształcony przez hałas. - Leona, muszę już kończyć!

Nigdy dotąd nie słyszała takiego tonu w jego głosie. Bywał czasem zagniewany, ale z czymś takim u niego spotkała się po raz pierwszy.

- Tato! Co się tam dzieje? - zapytała łamiącym się głosem, w którym pojawiła się nuta paniki.

W tle dobiegał głos jakiegoś mężczyzny, wydawało się, jakby stał blisko jej ojca. Ten głos zapewne w normalnych okolicznościach był spokojny i głęboki, ale teraz wydawał się wręcz piskliwy i wyraźnie pobrzmiwała w nim panika. Boże, to było przerażające. Działo się tam coś złego.

Po raz ostatni usłyszała tatę.

- Błagam. Zrób, o co cię proszę! Muszę już...

Połączenie zostało przerwane.

Po tej rozmowie była cała rozdygotana. Głos w tle miał obcy akcent - może należał do Amerykanina. Ale prawdę mówiąc, to nie piskliwy tembr, lecz słowo, które usłyszała, sprawiło, że włoski na jej przedramionach zjeżyły się.

Nadchodzą.

Wspomnienie powróciło do niej pięć minut później, gdy odtworzyła w myślach ostatnie kilka sekund innej dziwnej rozmowy. Przywołał je ton głosu ojca i pobrzmiwający w nim strach, nie o niego, rzecz jasna, lecz o nią...

Tato wydaje się taki spięty i zdenerwowany. Sadza ją na łóżku i patrzy na nią z przejęciem.

- Nie widziałas niczego ważnego, Leona. Rozumiesz? Niczego ważnego - powtarza głośno i wyraźnie... zupełnie, jakby zwracał się do kogoś innego, do kogoś, kto znajdował się na drugim końcu pokoju.

- Ale kim byli ci panowie, tatusiu?

- Nikim ważnym dla ciebie. Nie zwracaj sobie nimi głowy To tylko grupka starych znudzonych biznesmenów, nie powinnaś zaprzętać sobie nimi głowy, jasne?

Leona wie, że tato chce się w ten sposób wymigać od odpowiedzi. To byli ci „tajemniczy mężczyźni”, z którymi miał się spotkać. To przez nich był ostatnio taki nerwowy, nieobecny i drażliwy. Ale po tym, jak na nią patrzy, i po drzeniu w jego głosie Leona wie, że powinna zrobić, co jej kazał, i czym prędzej o nich zapomnieć.

Leona uśmiecha się do niego uspokajająco.

- Dobrze.

- To się zdarza, złotko, pomyliłaś pokoje. Mnie też się to wcześniej zdarzyło. Nic się nie stało.

Leona kiwa głową.

- Grzeczna dziewczynka. A teraz zapomnijmy już o tym, dobrze? Niech to będzie nasz

mały sekret. Tylko nasz.

- Dobrze.

- No to świetnie. Pamiętaj, Leona, to nasza tajemnica. A teraz chodź, kupimy ci tę lalkę, która tak ci się spodobała... Jak ona się nazywa?

- Sally.

- Wesoła Sally, no tak, rzeczywiście. A jak będziesz grzeczna, to kto wie, może jeszcze dostaniesz zestaw z kucykami?

Leona uśmiecha się. Jak na razie zapomina o mężczyznach w pokoju obok.

Wspomnienie z czasów, kiedy miała dziewięć lat - i z całą rodziną wybrała się na wycieczkę do Nowego Jorku - niemal całkiem rozmyło się w jej pamięci. Prawie zapomniała, jak weszła przypadkiem do niewłaściwego pokoju, a potem do tego, co trzeba, gdzie jej tato siedział po ciemku. A potem opowiedziała mu, co się jej właśnie przydarzyło.

Kiedy jednak zobaczyła w telewizji twarz tego starego mężczyzny, ogarnął ją dziwny niepokój - a kiedy znów usłyszała strach w głosie taty, tamto wspomnienie powróciło, wyłaniając się z mrocznych zakamarków jej pamięci, wyraziste i żywe, jakby zdarzenie to miało miejsce nie dalej, jak wczoraj. Po raz drugi zaczęła się zastanawiać, czy powinna była napisać o tym w e-mailu do taty. Było to coś tak przejmującego - tamtego dnia, kiedy zmusił ją, by obiecała, że zapomni o tym, co się stało.

To było coś więcej niż zwykły strach, on wydawał się śmiertelnie przerażony.

Rozdział 20

godz. 11.22 czasu lokalnego

Al-Bayji, Irak

Porucznik Carter obserwował nadjeżdżającą ciężarówkę. Sunęła wzdłuż bulwaru w ich stronę, pozostawiając za sobą chmurę spalin i wydając donośne, pełne skargi zgrzyty towarzyszące zmianom biegów, w miarę jak przyspieszała.

- Ruszcie zasrane tyłki - zawołał sierżant Bolton, machnięciem ręki zmuszając resztę plutonu, by zajęła pozycje strzeleckie wzdłuż muru i przy barykadzie zasłaniającej żelazną bramę.

Starszy kapral Westley stał obok Cartera, trzymając w dłoniach SA-80 z granatnikiem zamontowanym pod lufą. Oparł kolbę o ramię, przygotowując się do strzału.

- Spokojnie - wycedził - niech podjedzie bliżej.

- Tak jest.

Za sunącą wolno ciężarówką w pewnej odległości dostrzegł sporą grupę uzbrojonych mężczyzn i chłopców biegnących truchtem, aby utrzymać tempo. Wykorzystywali ciężarówkę, żeby zbliżyć się do zabudowań. Carter przejrzał ich zamiary bez trudu. Ciężarówka podjedzie do muru albo do bramy i znajdujące się na jej pace ładunki eksplodują. A wówczas uzbrojeni mężczyźni biegnący z tyłu kilka sekund po wybuchu wedrą się na teren zabudowań, aby szybko i sprawnie oczyścić teren.

Proste i logiczne.

Tylko Westley był w stanie rozwalić ciężarówkę, zanim dotrze ona do celu, ale tylko jeśli zdoła trafić granatem w platformę pojazdu. Na szczęście wyglądało na to, że ciężarówka ledwie zipie i z trudem toczy się naprzód. Zakołysała się gwałtownie na wysepce na środku bulwaru.

Uzbrojony tłum został nieco z tyłu, nagle bowiem ciężarówka jakby odzyskała formę i zwawiej potoczyła się naprzód.

- Dobra - mruknął Carter - kiedy będziesz gotowy.

Westley pokiwał głową, po czym złożył się do strzału, mierząc w nadjeżdżający pojazd przez muszkę i szczerbinę swojej broni. Uniósł nieznacznie lufę, usiłując ustalić najlepszy kąt do wystrzelenia granatu.

A potem nacisnął spust.

Rozległ się trzask, buchnął kłęb gryzącego dymu i granat pomknął w powietrze szerokim łukiem, obracając się nieregularnie, i odbił się od ziemi kilka metrów przed zbliżającą się ciężarówką. Ekspłodował, roztrzaskując przednią szybę i zrywając maskę pojazdu, odsłaniając brudny zardzewiały silnik, który zakołysał się gwałtownie w starych mocowaniach.

- Cholera! Bierz drugi granatnik, szybko! - rozkazał porucznik Carter.

Westley podniósł drugi SA-80 z zamontowanym granatnikiem, składając się do drugiego i ostatniego strzału.

Ciężarówka, kołysząc się, pokonała wysepkę pośrodku bulwaru i zjechała z powrotem na drogę, rozsiewając dokoła płatki rdzy.

Przyłożył broń do ramienia, wycelował i uniósł karabinek, aby oszacować kąt lotu pocisku.

Rozległ się drugi wystrzał i z szerokiej rury granatnika poniżej lufy buchnął kłęb gryzącego dymu. Granat ze świstem przeciął powietrze, znacznie wyżej i pod ostrzejszym kątem niż pierwszy, po czym opadł.

Jako że ciężarówka znajdowała się zaledwie o dwadzieścia metrów od bramy, sierżant Bolton wydał rozkaz otwarcia ognia. Wszyscy żołnierze z plutonu oraz uzbrojeni w AK-47 Mike i Erich zaczęli strzelać. Przód ciężarówki nagle eksplodował w fontannie iskier, która przywiodła Carterowi na myśl zimne ognie.

Piętnaście metrów...

Kierowca ciężarówki ciężko osunął się do tyłu podziurawiony gradem kul; nie przypominał już w niczym istoty ludzkiej. Carter patrzył, jak granat wystrzelony przez Westleya opada ku ziemi. Wylądował na pace ciężarówki, odbił się w górę, znowu wylądował na platformie, choć nieco dalej... i eksplodował.

Wybuch zrzucił ich obu ze sterty palet na ziemię. Carter przez chwilę nie mógł się podnieść, na moment stracił oddech - ale jak urzeczony spoglądał w górę na błękitne niebo, podziwiając poruszającą się jak w zwolnionym tempie kaskadę miliona komet, odłamków ciągnących za sobą wstęgi czarnego dymu.

Było bardzo cicho.

Spodziewał się, że wybuch będzie donośny, ale słyszał jedynie szum krwi w uszach jak ryk fal rozbryzgujących się o skalisty brzeg. To było całkiem przyjemne.

Wyczuł wokół siebie jakieś poruszenie i z wolna łoskot fal oceanu zaczął cichnąć zastąpiony przez krzyki, wybuchy i odgłosy strzałów. Podźwignął się na łokciach, wciąż

usiłując złapać oddech, i rozejrzał się naokoło.

Cieżarówka siłą rozpędu spełniła swoje zadanie i jej strzaskane płonące podwozie zdołało staranować bramę. Potężny wybuch najwyraźniej zwałił wszystkich z nóg; Carter patrzył, jak jego podkomendni podnoszą się powoli. Dwa land rovery i jeden z dwóch cruiserów tuż przy bramie ucierpiały w eksplozji i płonęły teraz jak pochodnie. Nie obyło się bez ofiar. Paru chłopaków, którzy znajdowali się przy bramie, leżało nieruchomo na ziemi; jeden z nich był rozerwany na strzępy.

Przez zasłonę ognia w szczelinie, gdzie niegdyś wznosiła się żelazna brama, dostrzegł gromadzących się rebeliantów. Byli na tyle doświadczeni, by wiedzieć, że muszą działać szybko, jeżeli ma się im udać, że powinni wykorzystać szok i dezorientację po wybuchu. Zanim zaczął się podnosić z ziemi, sięgając niezręcznie po broń, pierwszy, najbardziej zuchwali z miejscowych gramolili się już po stercie płonących szczątków rozsianych wokół zniszczonej bramy.

Kiedy resztki rozwalonej ciężarówki wylądowały jak deszcz na ziemi wokół nich, Andy wychylił głowę ponad maskę land cruisera.

- Cholera, przebili się! - ryknął.

Dostrzegł nieruchome ciała brytyjskich żołnierzy i innych, którzy odczołgivali się, aby znaleźć dogodną pozycję strzelecką, zanim tłum rebeliantów wdrze się przez staranowaną bramę.

Mike sięgnął po kałasznikowa.

- Pomogę im - powiedział.

Andy spróbował się rozeznać w sytuacji.

Porucznik Carter rozlokował swoich ludzi za stertą palet po lewej stronie od wejścia; miał ze sobą sześciu czy siedmiu żołnierzy. Andy patrzył, jak zajmują pozycje i unoszą broń, by wymierzyć w prześwity po obu stronach płonącego podwozia ciężarówki.

Sierżant Bolton tymczasem przywołał do siebie resztę plutonu. Andy naliczył jeszcze zaledwie sześciu ludzi. Zajęli pozycje wokół i za płonącymi autami, na wprost bramy. Zdumiała go szybkość, z jaką się pozbierali i znaleźli dogodne miejsca strzeleckie. Andy'emu po wybuchu wciąż jeszcze dzwoniło w uszach i kręciło się w głowie.

Na ziemi, obok dwóch młodych mężczyzn, którzy zginęli w chwili wybuchu, leżały ich karabinki szturmowe. Mógł podbiec i podnieść jeden, o ile zrobi to szybko. Poprzez płomienie dostrzegł jednak sylwetki nadchodzących mężczyzn, a w powietrzu ze świstem przemknęło kilka wystrzelonych przez nich na oślep kul. Nie uśmiechało mu się opuszczać

bezpiecznej kryjówki, jaką był cruiser, aby odzyskać jeden z karabinków.

Mike odwrócił się do niego.

- Lepiej tu zostań. - Spojrzał spode łba na Farida i dwóch Irakijczyków. - Miej ich na oku.

Andy pokiwał głową. To miało sens. Nie był uzbrojony, a gdyby nawet, zapewne wynikłoby z tego więcej złego niż dobrego.

Kilka kul uderzyło w burtę land cruisera, za którym się chowali. Tłum na zewnątrz zaczął się niecierpliwic, czekając, aż płomienie przygasną, i zaczął strzelać przez parawan ognia do dymiących pojazdów w środku.

Mike pokręcił głową z niesmakiem.

- Nic z tego, nie dam się zabić w tej zasranej dziurze. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Właśnie wtedy młody Amal, wykorzystując nieuwagę żołnierza, który miał go pilnować, ale skoncentrował się na nadciągającym zagrożeniu ze strony tłumu na zewnątrz, nagle rzucił się w bok.

- Hej! - wrzasnął Mike. - Próbuje zwać!

Teksańczyk uniósł kałasznikowa i wycelował w chłopaka biegnącego w stronę bramy. Gdy nacisnął spust, Andy podbił mu lufę karabinka i trzy kule poleciały w górę, nie czyniąc nikomu szkody.

- Oszalałeś!

Amal nie próbował uciec. Długim ślizgiem, wzbijając kłęby kurzu, zbliżył się do jednego z zabitych, przy którym leżał karabinek szturmowy. Ziemia wokół ciała eksplodowała nagle kaskadami piachu, gdy rebelianci zwrócili uwagę na poruszenie wśród zabudowań i zaczęli strzelać w tę stronę. Amal czekał przytulony do ziemi za zwłokami brytyjskiego żołnierza, które posłużyło mu za osłonę, przyjmując kilka wymierzonych w niego kul.

- Chciał odzyskać broń.

Mike nie odpowiedział, tylko patrzył na Irakijczyka kulącego się nerwowo z karabinkiem przyciśniętym do piersi.

Strzelanina na moment ucichła, Amal zaś przetoczył się na brzuch, gotów w każdej chwili poderwać się z ziemi i rzucić do ucieczki.

Mike wymierzył w chłopaka.

- Jezu. Przecież powiedziałem, że chodziło mu o broń! - krzyknął Andy

- Zamknij się - warknął Mike. - Chcę mu pomóc.

Oddał kilka precyzyjnie wymierzonych strzałów w kierunku tłumu za ciężarówką. Jeden z mężczyzn wyrzucił obie ręce w górę i osunął się na ziemię, inni instynktownie wycofali się za płonący wrak.

- Amal! Teraz! *Yallah!* - zawołał Andy, uświadamiając sobie, że Mike zapewnił chłopakowi osłonę ogniową.

Młodzieniec poderwał się na nogi i pokonał kolejnych dziesięć metrów przez plac, by rzucić się na ziemię obok drugiego zmasakrowanego ciała i sięgnąć po leżący obok karabin.

W tej samej chwili najodważniejsi spośród rebeliantów przedarli się przez dymiące szczątki wraku i wpadli na plac, strzelając na oślep.

Ludzie porucznika Cartera i sierżanta Boltona otworzyli ogień w tym samym momencie, ścinając ich z nóg w mgnieniu oka. Do środka wbiegli jednak następni i przyczaiwszy się za ciałami swoich ziomków dla osłony przed kulami, zaczęli strzelać, nie na oślep jednak, lecz ze spokojem i w nader przemyślany sposób.

Amal pozostał tam, gdzie leżał, wzięty w krzyżowy ogień nadciągających rebeliantów i broniących się żołnierzy; kule przelatywały o kilka centymetrów nad jego wyciągniętym jak struna ciałem. Intensywna wymiana ognia trwała zaledwie dziesięć sekund, po czym zapadła cisza - obie strony musiały przeładować broń.

Amal wykorzystał tę okazję, poderwał się z ziemi, trzymając w rękach oba SA-80, i zaczął przekradać się przez plac w stronę land cruisera.

- Szybciej! - krzyknął Andy.

Farid przyłączył się do niego i też zaczął popędzać chłopaka po arabsku.

Amalowi prawie się udało, lecz dosięgła go celna seria wystrzelona przez jednego z mężczyzn, który zdołał przedrzeć się na plac i ukryć za leżącym na ziemi ciałem. Chłopak upadł na twarz, wypuszczając z rąk oba SA-80, gdy kula trafiła go dokładnie między łopatki.

Mike podał Andy'emu kałasznikowa i wyskoczył zza land rovera. Puścił się pędem, by pokonać kilka metrów otwartej przestrzeni dzielącej go od dwóch cennych sztuk broni, zbyt bliskich, by można je było porzucić.

Ludzie sierżanta Boltona wymienili magazynki i ponownie otworzyli ogień. Udało im się zmusić napastników, którzy wdarli się przez bramę, aby wyciągnęli się płasko na ziemi i nie próbowali się podnieść. Niestety po stercie dymiących szczątków wciąż nadchodzili kolejni zwabieni nagłym poruszeniem, zasypując pozycje Amerykanów gradem kul.

Mike upadł na kolana i sięgnął po karabinki. Schwycił pasek jednego z nich i przerzucił go sobie przez ramię. Następnie opuścił ręce i wziął Amala za obie dłonie. Chłopak był lekki, a Mike powłókł go po ziemi jak pusty śpiwór, podczas gdy grunt wokół nich eksplodował fontannami kurzu i piachu.

Sierżant Bolton na częstotliwości dowodzenia zwrócił się do porucznika Cartera:

- Panie poruczniku, musimy wyprzeć stąd te łajzy, i to już.

- Tak, wiem - padło w odpowiedzi.

Bolton naliczył pół tuzina mężczyzn, którzy zdołali się wdrzeć za bramę i znaleźli dogodne schronienie wśród leżących na ziemi szczątków. Mogli teraz osłonić ogniem kolejnych swoich ziomków usiłujących przedostać się do środka. Tak czy owak, musiał im oddać sprawiedliwość. Choć byli wrogami, darzył ich szacunkiem. Byli zahartowanymi w boju ludźmi, być może zdobywali doświadczenie w Afganistanie; grupka starych wyg, takich jak ci, znajdowała się w centrum niemal każdego zamieszek, każdego incydentu, w którym dochodziło do wymiany ognia. Co więcej, ludzie ci byli gotowi na śmierć, pragnęli umrzeć i mogli odejść szczęśliwi. Z doświadczenia sierżanta Boltona wynikało, że taka postawa, brak lęku przed śmiercią, znacznie przeważała szale na korzyść jednej ze stron i żadna, nawet najnowocześniejsza technologia wojskowa nie mogła zniwelować tej przewagi.

Tłum na zewnątrz nabierał pewności, kolejni przechodzący przez bramę byli osłaniany ogniem przez zahartowanych w bojach towarzyszy. Bolton uznał, że nie mogą czekać dłużej. W tej chwili ważyły się losy ich wszystkich. Musieli ostro zadziałać i wyprzeć tamtych z terenu zabudowań, zanim zejdzie ich się jeszcze więcej.

- Dobrze, chłopaki - rzucił, odwracając się do sześciu ludzi ukrywających się wraz z nim za dwoma nieuszkodzonymi land roverami. - Musimy wywalić stąd tych łachmaniarzy albo...

Albo za chwilę będzie po nas.

- Albo nas wykończą - dodał.

Jeden z żołnierzy, Lamby, skinął w stronę uzbrojonych napastników.

- Jak mamy to zrobić? Cholernie dobrze się rozlokowali.

- Jeżeli tu zostaniemy, umocnią się jeszcze bardziej - odpowiedział z uśmiechem Bolton - ale jeżeli ruszymy na nich zniemacka, rzucają się do ucieczki jak króliki.

Prawdę mówiąc, wątpił, aby tak się stało. Nacisnął guzik przy mikrofonie swojego radia, by przekazać wiadomość dowódcy.

- Panie poruczniku, za chwilę ruszymy, żeby wykurzyć to tałatajstwo.

Porucznik Carter odpowiedział z wahaniem:

- Dobrze, postaramy się osłonić was ogniem, sierżancie. Dajcie sygnał, to zmusimy te łajzy, aby pochowały głowy w piasek.

- Tak jest - odparł, wymieniając magazynki na nowe i odwracając się do pozostałych. - Sprawdźcie, czy macie pełne magazynki, chłopcy. Na mój sygnał ruszymy i dokopujemy tym chałaciarzom aż miło. Pozostali będą nas osłaniać. Jesteście gotowi?

Sześciu młodych mężczyzn potaknęło bezgłośnie, podnosząc się z ziemi i przygotowując,

by na znak sierżanta wybiec zza samochodów

Bolton uśmiechnął się.

To byli świetni żołnierze, wszyscy co do jednego.

- No dobra.

Rzucił do mikrofonu:

- Jesteśmy gotowi, panie poruczniku.

- A my jesteśmy gotowi, aby was osłonić.

- Na „jeden”?

- Tak jest.

Bolton zaczął odliczać na głos:

- Trzy... dwa... jeden!

Wyskoczył zza zaparkowanych pojazdów z karabinkiem na wysokości bioder, a jego sześciu ludzi bez wahania zrobiło to samo. W tej samej chwili ludzie porucznika Cartera otworzyli ogień do znajdujących się na placu bojowników, zmuszając ich, aby przywarli do ziemi pod nawałą zmasowanego ostrzału.

Sierżant Bolton śmiał się zdyszany, wykrzykując słowa zachęty pod adresem swoich ludzi. Pokonali dziesięć metrów otwartego terenu i żadna kula nie zdołała ich dosięgnąć. Kiedy dotarli do dymiących szczątków tego, co jeszcze niedawno było ciężarówką, nieprzyjaciele nie zdążyli nawet unieść kałasznikowów, gdy tuż przed nimi pojawili się rozwrzeszczani i wściekli Brytyjczycy

Bolton natknął się na starca, który mógłby być jego dziadkiem; ogorzałe oblicze poorane było zmarszczkami i okolone siwą brodą, duże niebieskie oczy otworzyły się szeroko w wyrazie zdziwienia. Kiedy nacisnął spust, unicestwiając tę twarz, przez moment miał wrażenie, że mężczyzna wyglądał trochę jak Święty Mikołaj.

Jego drużyna błyskawicznie uporała się z pozostałą szóstką; oddawali strzały do leżących na ziemi mężczyzn szybko, bez litości i bez choćby cienia emocji. Zauważył, że jeden z tamtych upuścił kałasznikowa, jakby broń zaczęła go parzyć, uniósł obie ręce. Jednak stojący nad nim żołnierz kompletnie zignorował ten gest i oddał kilkanaście strzałów w klatkę piersiową i głowę mężczyzny.

Bolton pokiwał głową z aprobatą: w tym starciu nie będzie brania jeńców.

Porucznik Carter wyprowadził swoich ludzi z zajmowanych dotąd pozycji za stertą palet i wyszli wspólnie na otwartą przestrzeń, by przykucnąć tam, przyjmując pozycje do strzału. Następnie zasypali ogniem tłum, który usiłował wdrzeć się przez zniszczoną bramę. Kiedy

pierwsi zabici osunęli się na ziemię, następni, którzy szli za nimi, szybko się wycofali i nie minęło dziesięć sekund, jak ludzie Cartera do reszty wyparli ich poza dziedziniec, na ulicę na zewnątrz, gdzie całą gromadę błyskawicznie ogarnęła panika i tłum powoli, lecz nieubłaganie zaczął się rozpraszać. Mężczyźni jeden po drugim wycofywali się w głąb bulwaru w poszukiwaniu dogodnych kryjówek wewnątrz domów i za murami znajdujących się przy nich ogrodów.

Ziemia przy bramie była zasłana mnóstwem ciał. Tylko kilka z nich jeszcze się poruszało. Porucznik Carter machnął ręką.

- Wstrzymać ogień! - zawołał.

Wiedział, że cała drużyna była podekscytowana udanym manewrem, ale musieli oszczędzać amunicję. Nie mieli jej za wiele. Odwrócił się, by spojrzeć na sierżanta Boltona - po pierwsze, by pogratulować mu odwagi w przeprowadzeniu tak śmiałej operacji, a po drugie, by wydać polecenie, żeby wraz ze swoimi ludźmi zablokował jakoś zniszczoną bramę. Przypuszczalnie podtoczą w to miejsce jeden lub dwa uszkodzone przy wybuchu land rovery. To na razie powinno wystarczyć.

Wtem zauważył, że Bolton stoi wśród zgliszczy, przykładając obie dłonie do ciała na wysokości miednicy. Sierżant wlepił tępy wzrok w rozlewającą się ciemną plamę i postrzępiony otwór w materiale swojego munduru.

- O cholera - jęknął gniewnie, zanim osunął się na kolana.

Rozdział 21

godz. 8.55 czasu Greenwich

Uniwersytet Anglii Wschodniej, Norwich

Ash bezszelestnie przestąpił sztywniejące zwłoki Alison Derby. Krew, która buchnęła z jej rozplątanej tętnicy szyjnej ubiegłej nocy, zmieniła się do teraz w zaschniętą kałużę ciemnobrązowej lepkiej substancji na wyłożonej linoleum posadzce. Zmarła w ciągu dwóch minut, po tym jak wbił wąskie ostrze noża w jej szyję - przytomność straciła zaledwie po minucie. Uznał, że nie może dopuścić, aby go dezorientowała swoim skamlaniem i szlochem.

Szkoda, była miła, uprzejma i pomocna.

Musiał jednak zadbać o ciszę w mieszkaniu, żeby mógł usłyszeć, kiedy Leona Sutherland wejdzie po schodach i zbliży się do drzwi. Czekał całą noc, siedząc na taborecie w kuchni po ciemku; czekał cierpliwie. Po północy było już niemal jasne, że dziewczyna została u swojego chłopaka. Nie mógł jednak zasnąć, na wypadek gdyby mimo wszystko wróciła.

Przez resztę nocy miał czas, aby poukładać myśli.

Mogliśmy załatwić tę dziewczynkę, kiedy weszła do pokoju. Mogłem już wtedy z nią skończyć.

Ale nie, to byłoby nierozsądne i ryzykowne. Trudno byłoby się pozbyć ciała w ekskluzywnym hotelu na Manhattanie. A jednak scena, którą zobaczyła, była niebezpieczna; widziała trzech z Dwunastu, co gorsza, ujrzała tych trzech razem w jednym pokoju.

Ukląkł przy Alison Derby; twarz miała poszarzałą, usta sinofioletowe, oczy wciąż jeszcze otwarte, zmętniałe i nieskupione na niczym. Ash mógł zabić dziesięcioletnią dziewczynkę równie łatwo jak osiemnastolatkę. Cel zawsze uświęcał środki. A poza tym możliwe, że był to swego rodzaju akt miłosierdzia. Kilka następnych tygodni będzie prawdziwą Apokalipsą. Młoda dziewczyna, jak Alison, nieświadoma tego, co nadchodziło, nieprzygotowana, bez zapasów wody i żywności... miała zostać sprowadzona do poziomu prymitywnego jaskiniowca i być zdana na łaskę i niełaskę najsilniejszych osobników zgodnie z brutalną teorią darwinizmu? Nie przetrwałaby długo. Prawie na pewno nie należałaby do tych, którzy wyjdą z tej ciężkiej próby obronną ręką.

Ash przez kilka godzin wyjaśniał Alison wszystko, co wiedział na temat planu oraz powodu, dla którego tamci go realizowali. Dlaczego należało to zrobić. A potem opowiedział

jej wszystko o sobie. Jaki czuł się samotny, żyjąc przez cały czas w cieniu i raz po raz zmieniając pseudonimy.

Słuchała go z niezmaconą uwagą. Tak to zwykle bywa ze zmarłymi.

Świt nadszedł wcześniej, niebo było czyste, słońce świeciło mocno, a do uszu Asha dochodziły odgłosy kampusu budzącego się z wolna do życia. Przez otwarte okno kuchni napływały rozmaite odgłosy: dźwięk budzika, szum włączonego elektrycznego czajnika, śmiech, krzątanie dziewcząt piętro wyżej i hałaśliwą muzykę z czyjś radia.

I wtedy usłyszał kroki na schodach. To mogła być ona, ale równie dobrze ktoś inny. Tak czy owak, był gotowy, aby wciągnąć ją do środka i błyskawicznie się z nią rozprawić, kiedy tylko otworzy drzwi.

Leona wbiegła po schodach na drugie piętro studenckiej bursy pełna niepokoju i z zamętem w głowie. Stała w holu, z kluczami w dłoniach. Z wyższego piętra dochodziły dźwięki muzyki puszczanej na pełny regulator tak, że aż szyba w oknie na klatce schodowej zaczęła lekko wibrować.

Wszyscy ze stoickim spokojem zajmowali się swoimi sprawami.

...to się stanie nagle, z zaskoczenia, nikt nawet się nie zorientuje, co się dzieje, gdy ni stąd, ni zowąd przy każdej stacji benzynowej i sklepie z żywnością pojawią się uzbrojeni żołnierze...

Słowa taty zmroziły jej krew w żyłach.

Nie chciałabyś być ostatnią osobą, która zareaguje na te wydarzenia.

- Cholera, naprawdę powinnam wrócić do domu - wymamrotała pod nosem.

Potrzebowała jednak kilku niezbędnych rzeczy: ubrań, kluczy od domu, iPod'a. No i musiała sprawdzić, o której odchodzi najbliższy pociąg, aby dojechać na dworzec przy Liverpool Street. Z pędu kluczy wyluskała ten jeden od drzwi wejściowych, a w głębi duszy miała nadzieję, że Alison włączyła czajnik i zdąży jeszcze wypić herbatę, zanim zajmie się pakowaniem rzeczy na powrót do domu.

Oczywiście Alison będzie chciała wiedzieć, co ją skłoniło do tak nagłej i niespodziewanej decyzji zamiast zgodnie z obietnicą pozostać w kampusie, aby się pouczyć. Leona nie była pewna, czy potrafiłaby odpowiedzieć jej wprost: Widzisz, wracam do domu, bo mój tato powiedział, że nadchodzi koniec świata. On wie, co mówi. Zna się na tego typu rzeczach. Alison nie była głupia. W przeciwieństwie do czterech innych dziewcząt, z którymi mieszkały i które rozmawiały najczęściej o najnowszej edycji *Big Brothera*, była całkiem bystra.

Już miała włożyć klucz do zamka, gdy nagle usłyszała sygnał swojej komórki.

Rozdział 22

Aż drgnęła nerwowo.

Spojrzała na numer w wyświetlaczu: znów jej ojciec.

- Tato, wszystko w porządku? Wydawało mi się, że coś się tam dzie...?

- Leona, posłuchaj. Zaraz mi padnie komórka... Muszę...

- Tato, tak się martwiłam o...

- Słuchaj!

Zamilkła.

- Nie idź do naszego domu. Tam nie jest bezpiecznie! Rozumiesz?

- Co? Dlaczego?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Mamy tu prawdziwy dom wariatów, w każdej chwili może mi się wyłączyć telefon. Posłuchaj, może się mylę. Zapewne tak, ale dla bezpieczeństwa... odbierz Jake'a ze szkoły, kup jak najwięcej prowiantu i wody, wiesz, o jakim prowiancie mowa. Puszki. A potem jedźcie do Jill.

Jill była koleżanką mamy, mieszkała trzy domy dalej po drugiej stronie ich ocienionej drzewami niewielkiej uliczki.

- Do Jill? Ale po co?

- Po prostu to zrób, jasne? Trzymaj się z dala od domu. Zamiast tego jedź do Jill.

- Ale dlaczego, tato?

- Nie mam czasu tego wyjaśniać. Gdzie teraz jesteś?

- Miałam właśnie wejść do mojego pokoju w kampusie, żeby spakować trochę...

- Chryste Panie... Leona... uciekaj stamtąd!

- Co takiego?

- Proszę cię, zrób, co mówię, i zabieraj się stamtąd, ale już!

- Tato? Co się dzieje? Przerazasz mnie.

- Leona, powtarzam: uciekaj stamtąd natychmiast...

Połączenie zostało przerwane.

Przez chwilę patrzyła na drzwi nagle zaniepokojona tym, co mogło znajdować się za nimi. Kiedy zadzwonił telefon, już miała włożyć klucz do zamka. Wciąż trzymała go w ręku. Sprawa była jasna. Tato kazał jej się stamtąd wynosić. I to jak najszybciej. Gdyby powiedział

to w inny sposób, swarliwym, nieprzyjemnym tonem, z irytacją w głosie albo przymilnie, na zasadzie zrób to dla mnie, przypuszczalnie postąpiłaby całkiem na odwrót.

Ale on powiedział to tak, że śmiertelnie ją przeraził.

Leona włożyła klucze do kieszeni, możliwie jak najciszej odwróciła się na pięcie i szybko zbiegła po schodach w stronę wyjścia z budynku.

Wciąż leżał rozciągnięty na łóżku, martwy dla świata, pogrążony we śnie.

Przeszła przez pokój i uklękła obok niego.

- Dan. Obudź się, Dan - rzekła półgłosem.

Niemal natychmiast zaczął się budzić, przeciągnął się, stłumił ziewnięcie, po czym przetarł wierzchem dłoni swoje duże niebieskie oczy.

Ma oczy dziecka.

Leona zamierzała prosić go o przysługę. Musiała spróbować. Przechodząc przez centrum miasta, chciała kupić bilet na pociąg, ale nagle okazało się, że z bliżej nieokreślonych powodów kursowanie pociągów do Londynu zostało wstrzymane. Tak samo było z autobusami dalekobieżnymi. Boże, nie chciała prosić Dana o tak dużą przysługę, bądź co bądź, byli parą zaledwie od... dwudziestu czterech godzin? Ba, oficjalnie wcale nie byli jeszcze parą. W tym wszystkim nie było nic oficjalnego - oboje wciąż byli na etapie sprawdzania, czy faktycznie chcą i mogą być razem.

- Dan?

- Tak - wymamrotał zaspanym głosem, wyciągając rękę i ujmując ją pod brodę. - Proś, o co chcesz, seksowna laleczko - dodał.

- Dan, chciałabym prosić cię o przysługę. To poważna sprawa.

A teraz wyłóż kawę na ławę. I wiesz, że jeżeli powie „nie”, nie możesz mieć mu tego za złe.

- Czy mógłbyś zawieźć mnie do Londynu? - rzekła, czekając z niecierpliwością na jego odpowiedź. Nie powinna go była o to prosić, nie w ten sposób, poczuła się jak niepoprawna egoistka, samolubna i myśląca jedynie o...

- Jasne - odparł zaspanym głosem.

Przez pierwsze pół godziny jechali w milczeniu, tylko z taniego radia w furgonetce płynęły dźwięki jakiejś muzyki. Leona wcale jej nie słuchała, zastanawiała się natomiast, jak wytłumaczyć tę nagłą desperacką potrzebę powrotu do domu, aby nie wyjść na kompletnego, ogarniętego apokaliptyczną manią oszołoma jak jej ojciec.

Daniel wydawał się zadowolony, kołysał głową w rytm muzyki, spokojnie prowadząc swoją furgonetkę, starego porzucanego fforda, którego otrzymał od matki, i usiłując utrzymać stałą prędkość stu kilometrów na godzinę.

Gdy A11 przeszła w M11, udało im się wyminąć zdumiewająco długi konwój wojskowych ciężarówek. Daniel naliczył ich dwadzieścia, wszystkie pełne żołnierzy; niektórzy z nich, ujrawszy Leonę na fotelu pasażera, machali, uśmiechali się i czynili pod jej adresem prostackie i niedwuznaczne gesty. Ona tymczasem patrzyła niewzruszenie przed siebie, skutecznie ich ignorując.

Dopiero gdy dotarli do M25 i obrzeży Londynu, jego cierpliwość się wyczerpała, a może po prostu przyszło mu na myśl, aby zadać jej pytanie. Ściszył muzykę.

- Czemu właściwie jedziemy do Londynu?

Leona westchnęła.

- Dan, możesz pomyśleć, że jestem trochę stuknięta.

Uśmiechnął się drwiąco.

- Wiem, że jesteś stuknięta.

To jak - zastanawiała się - od czego mam zacząć?

- Widziałeś wiadomości?

Daniel pokręcił głową i uśmiechnął się głupekowato.

- Ee... ostatnio nie. Mówią tylko o tym, jak podstarzali członkowie rządu bzykają się ze swoim personelem i przepuszczają mnóstwo forsy, zgadza się?

Leona zignorowała jego żarciki.

- Powiedz, o czym mówili w wiadomościach, kiedy ostatnio ich słuchałeś?

Zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad tym z niewzruszoną powagą.

- Chyba kiedy ostatni raz byłem w domu. - Wyduł wargi i liczył w myślach. - Tak, jakieś pięć tygodni temu.

Leona pokręciła głową.

- Boże, możliwe, że stoimy w przededniu końca świata, a ty nawet nie zdawałbyś sobie sprawy, co się dzieje?

Daniel zamyślił się przez moment, po czym odwrócił się do niej i z uśmiechem zapytał:

- Naprawdę?

Leona wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Skończyła się ostatnia piosenka na płycie i Dan wyciągnął rękę, aby włączyć ją ponownie.

- Czy moglibyśmy posłuchać radia?

- Jasne - odparł - lepiej wiedzieć, czy faktycznie nadchodzi koniec świata, no nie?

Kiedy zastanawiali się nad możliwościami najpłynniejszego przejazdu przez miasto, bo na ulicach ruch był spory i trafili na korki, Leona zaczęła przeskakiwać z kanału na kanał, opuszczając stacje grające muzykę R&B i nieprzejmujące się losami świata. Wysłuchali kilku krótkich komunikatów w Radiu 1, a następnie przełączyli się na Radio 4 - stację, której Leona aż do dziś nie włączyłaby, chyba że pod lufą karabinu. W studiu kilku ekspertów rozprawiało na temat problemów związanych z postępującym globalnym kryzysem i planowanego na porę lunchu wystąpienia premiera.

Umiejętności Leony jako pilota mającego wskazywać Danowi drogę pozostawiały wiele do życzenia i trochę trwało, zanim znaleźli przeskok z M25 do North Finchley, gdzie znajdowała się szkoła Jake'a. Kilka razy musieli krążyć i zawracać, aby odszukać właściwy zjazd.

- Ale... jak to... może nam nagle zabraknąć prądu czy jak? - spytał Daniel po zakończonej ożywionej debacie pomiędzy paroma gośćmi programu, którego słuchali.

- Tak - odparła. - Myślę, że tak właśnie będzie.

Zgarbił się lekko.

- Hm, no dobra. W sumie to nic wielkiego. Myślałem raczej, że...

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Chyba żartujesz?

Potraktuj go ulgowo. Dan nie przechodził pięcioletniego przyspieszonego kursu paranoi, w przeciwieństwie do ciebie.

- Ee, nie. Wcale nie żartuję... raczej nie.

- Dan, brak prądu to tylko jeden z problemów. Wyobraź sobie, jakie mogą być następne. Co naprawdę oznacza brak ropy naftowej?

Zamyślił się przez chwilę.

- Kłopoty dla szpitali i podobne sprawy? A niech to, zamkną nasz uniwersytet, prawda?

Skinęła ręką w stronę tablicy drogowej.

- Tu na światłach w lewo. Jedźmy na południe w stronę North Finchley. A co do tego, o czym mówiłeś, nie, te problemy oznaczają coś znacznie gorszego niż zamknięcie uniwersytetu. Coś o wiele gorszego.

- To znaczy?

- Brak ropy oznacza coś więcej niż tylko to, że nie będzie już paliwa do twojego auta albo zasilania do... dajmy na to... wzmacniacza do twojej gitary.

Nagle Leona uświadomiła sobie, że mówi praktycznie jak tato. Nawet odziedziczony po nim nowozelandzki akcent brzmiał teraz wyraziściej niż kiedykolwiek.

- Dan - ciągnęła - to oznacza, że nie będzie jedzenia ani wody...

- Zaraz, zaraz! Jak to nie będzie jedzenia ani wody? Przecież w Anglii na okrągło leje, woda jest tu w zasadzie wszędzie! A żarcie... ludzie, żarcia jest pod dostatkiem, zastanów się!

- Tak uważasz?

- Właśnie tak. Na wsi jest mnóstwo pól uprawnych i farm. To oznacza żywność, no nie?

- Po części tak. Ale to za mało. Nie wystarczy dla wszystkich.

Daniel zaśmiał się w głos.

- O co w tym wszystkim chodzi? Gdzieś tam, na drugim końcu świata wybuchają zamieszki, a ty nagle chcesz mi wmówić, że my tu, w Anglii, będziemy z tego powodu przymierać głodem?

Leona tylko na niego patrzyła.

Daniel znowu zachichotał, a potem odwrócił się, by na nią spojrzeć. Uśmiech szybko znikł z jego ust, gdy dostrzegł wyraz napięcia malujący się na jej twarzy.

- Och, dajże spokój - rzucił po chwili.

- Dan, mój ojciec jest inżynierem naftowym. I przez ostatnich kilka lat nic, tylko mówił mnie i mojej mamie, że któregoś dnia może się tak zdarzyć, że ropa nagle przestanie płynąć. Z początku to było dość przerażające. On tak obrazowo opowiadał nam, z jaką łatwością cały fundament naszego społeczeństwa może runąć - i to praktycznie z dnia na dzień... Co będzie tego zapowiedzią... Od czego się zacznie... Co powinniśmy traktować jako sygnały ostrzegawcze. To stało się jego obsesją, Dan. Głędził o tym wszystkim do tego stopnia, że mieliśmy tego po dziurki w nosie, a potem przekonywał, że powinniśmy zachować to dla siebie. - Leona zaśmiała się. - Tak jakbym miała zacząć opowiadać o tym znajomym na imprezie. Był taki tajemniczy, jeżeli chodzi o to wszystko...

To nasz mały sekret, Leona. Zapomnij o tych starych znudzonych mężczyznach.

- Cóż, tak czy owak, to wszystko zaczęło się robić nudne. I przez ostatnich parę lat uważałam mojego ojca za skończonego paranoika, oszołoma i czubka.

Wyjrzała przez szybę na ulicę i sznur samochodów sunących w żółwym tempie przed siebie w kłębach cuchnących spalin, skrzących się w blasku porannego słońca, na przechodniów maszerujących opodal, niedbających o cały świat, rozkoszujących się ciepłem słonecznych promieni, na witryny sklepów oferujących rozmaite produkty po obniżonych cenach... na wystawę sklepu z artykułami RTV gdzie na ekranach kilku 40-calowych telewizorów plazmowych pokazywano akurat wyścigi ciężarówek-potworów na

gigantycznych kołach.

- A dziś rano stwierdziłam, że być może mój tato wcale nie jest takim wariatem, za jakiego go uważałam.

Rozdział 23

godz. 9.41 czasu Greenwich

Manchester

Dyspozytor z firmy taksówkowej spojrzał na nią z nieskrywanym niedowierzaniem.

- Ależ tak - powiedziała Jenny. - Chodzi mi o kurs do Londynu. Ile to by kosztowało?

Pokręcił głową.

- Nabiera mnie pani.

Jenny westchnęła.

- Wcale nie. Naprawdę muszę się dostać do domu. To jak, ile za ten kurs?

Dyspozytor wskazał ręką za okno, w stronę drogi prowadzącej od Whitworth Street na dworzec.

- Pojedź pociągiem, złociutka.

- Nie mogę pojechać cholernym pociągiem - wycodziła Jenny - bo z jakiegoś powodu pociągi nagle przestały kursować.

Klient, który czekał w kolejce za Jenny, postąpił naprzód.

- Tak, ja też to właśnie odkryłem - rzekł, opierając się o kontuar stanowiska dystrybutora, obok Jenny - Najwyraźniej dziś rano odebrano jakieś zgłoszenie o planowanym zamachu terrorystycznym. Takie doszły mnie słuchy; mówiono coś o jakichś podłożonych bombach czy coś takiego.

Jenny znowu odwróciła się do dyspozytora.

- No i widzi pan? Właśnie dlatego pilnie potrzebuję taksówki. Wiedział pan, że autobusy dalekobieżne również nie kursują?

- Porty lotnicze także nie funkcjonują - rzekł stojący obok niej mężczyzna. - Wygląda na to, że wszędzie obowiązują rygory jak w przypadku podwyższonego stopnia zagrożenia. Słyszałem, że na Heathrow pojawiły się nawet czołgi.

Dyspozytor ponownie pokręcił głową.

- Cóż, nieważne. Wybacz, kochaniutka, ale przyjmujemy zlecenia wyłącznie na kursy lokalne.

- Dobra - rzekła Jenny, sięgając do torebki po portmonetkę. - Wobec tego ile? Dwie setki wystarczą?

- Nic z tego, złociutka. Wybacz, nie możemy zawieźć cię do Londynu.

- A za pięćset? - wtrącił się stojący obok mężczyzna.

Dyspozytor spojrział na niego ze sceptyczną miną.

- Chcesz pan zapłacić pięć setek?

Tamten pokiwał głową.

- Tak. Mam dziś po południu spotkanie, którego nie mogę opuścić. Zapłacę pięćset funtów.

Dyspozytor podrapał się po głowie.

- Dobra, płacisz pan i wymagasz. Zobaczymy, czy ktoś zechce przyjąć taki kurs - mruknął, kręcąc głową z rozbawieniem. Zaczął rozmawiać przez radio.

Jenny odwróciła się do stojącego za nią mężczyzny.

- Czy moglibyśmy złożyć się na ten kurs? Zapłacę połowę.

Mężczyzna, wysoki, szczupły w ciemnogrnatowym garniturze, z marynarką przerzuconą delikatnie przez ramię i w prążkowanej służbowej koszuli z rozpiętym pod szyją guzikiem, odwrócił się, by na nią spojrzeć. Stwierdziła, że był po trzydziestce, miał dość krótkie ciemne włosy i jak na jej gust trochę zbyt tandetne tanie okulary. Jenny uznała, że pasował równie dobrze na nauczyciela z kubkiem kawy w jednym i pączkiem w drugim ręku, jak na pracownika firmy reklamowej z flamastrem w dłoni przed zmywalną tablicą, na której przedstawiano kolejne projekty.

Wydał wargi, zastanawiając się nad jej propozycją.

- Muszę dotrzeć taksówką do Clapham. Nie jestem pewien, czy...

- Może być - odparła pospiesznie. - Grunt, abym dotarła do pierwszej lepszej stacji metra.

Dalej już sobie poradzę.

Nieznacznie przekrzywił głowę.

- No dobrze, niech będzie, jeśli zgadzasz się, żebyśmy złożyli się po połowie.

Jenny aż odetchnęła z ulgą.

- Jasne. Pół na pół. Dzięki. Już zaczęłam się zastanawiać, czy nie będę musiała maszerować do domu na piechotę - dodała z nieco nerwowym chichotem.

- Tobie też bardzo się spieszy?

Jenny pokiwała głową.

- Ja... ee... biorąc pod uwagę to, co się obecnie dzieje, uznałam, że wolę być jednak w domu.

Jej słowa wyraźnie go zdziwiły.

- Biorąc pod uwagę to, co się dzieje? A co się właściwie dzieje?

- Nie wiesz? Nie słuchałeś wiadomości? Przez cały czas trąbią o tych zamieszkach.

- O zamieszkach? Masz na myśli zajścia na Bliskim Wschodzie?

Pokiwała głową.

- No tak. Myślę, że to może być dość niepokojące, zwłaszcza jeżeli czekają nas kolejne zamachy. Dziś od samego rana są kłopoty z komunikacją w całym kraju. Ale miejmy nadzieję, że do jutra wszystko jakoś wróci do normy i znów będzie po staremu.

Dyspozytor podziękował kierowcy, z którym rozmawiał, i odwrócił się do nich.

- Udało się, znalazłem kierowcę, który zgodził się przyjąć ten kurs i pojechać do Londynu, ale żąda zapłaty z góry w gotówce i nie zabierze was, dopóki nie zobaczy, że jesteście wypłacalni.

- O Boże! Dziękuję! - Jenny odetchnęła z ulgą. - Bardzo dziękuję.

Dyspozytor wzruszył ramionami.

- To twoje pieniądze, złociutka. Ja wydałbym ten szmal na pokój w jakimś przytulnym hotelu, a jutro znów spróbował szczęścia z pociągami.

Spróbowałbyś jutro szczęścia z pociągami? A czy jutro cokolwiek będzie jeszcze kursowało?

Zastanawiała się, czy powiedzieć to na głos. Nie chciała jednak wystraszyć stojącego obok niej mężczyzny - jeszcze pomyślałby, że ma do czynienia z wariatką.

- Naprawdę bardzo, ale to bardzo mi się spieszy, rozumie pan? - powiedziała.

Rozdział 24

godz. 9.45 czasu Greenwich

Uniwersytet Anglii Wschodniej, Norwich

Usłyszał dźwięk uzyskanego połączenia, a potem cichy, krótki, brzęczący szmer, gdy włączył się cyfrowy filtr szyfrujący, aż w końcu rozległ się głos zniekształcony przez urządzenie elektroniczne.

- Tak.

- Prawie udało mi się dopaść cel. Ale w ostatniej chwili ktoś ją ostrzegł.

- Tak. Wiemy o tym. Zadzwoił do niej ojciec. Domyśla się, że możemy chcieć się jej pozbyć.

- To jeszcze bardziej utrudni całą sprawę.

- Tak. Ojciec nakazał jej, by przeniosła się w inne miejsce. Powiedział, że ma jechać „do Jill”.

- Jill?

- To prawdopodobnie ktoś z rodziny albo przyjaciółka. Cel będzie tam oczekiwany.

- Czy podał jakieś szczegóły?

- Nie. Mamy tylko to imię - Jill.

- W domu celu powinno być coś, co pomoże nam zidentyfikować tę Jill.

- Też tak sądzimy.

- Zrozumiałem.

- Spiesz się. Już wkrótce wszystko zacznie się sypać, możesz ją zgubić.

Połączenie zostało przerwane.

Ash włożył telefon do kieszeni i raz jeszcze rozejrzał się po pokoju. Kusiło go, aby podłożyć ogień; pożar przynajmniej na pewien czas zatarłby wszelkie ślady po nim. Po odnalezieniu zwłok dziewczyny dobry patolog sądowy mógłby się zorientować, że była martwa, zanim jej ciało strawił ogień. W normalnych okolicznościach byłoby to całkiem zrozumiałe posunięcie taktyczne. Ale biorąc pod uwagę sprawy, które miały się wydarzyć w ciągu kilku najbliższych dni, był pewien, iż nie musi przejmować się, że policja zacznie mu deptać po piętach.

Będą zbyt zajęci, by zawracać sobie głowę jedną martwą studentką.

Kiedy wyszedł na klatkę schodową, minął go młody mężczyzna i spojrzał na niego podejrzliwie.

Ash wiedział, że w tym miejscu musiał się rzucać w oczy. Nie pasował do tego otoczenia; był za stary, za inteligentny, z całą pewnością nie był studentem i trudno było sobie wyobrazić, co mogło go sprowadzać. Nie miał tu raczej nic do roboty. Młody mężczyzna na pewno jeszcze dziś komuś o tym powie i ktoś się zjawi, aby sprawdzić, czy nic się nie stało.

Pozwolił chłopakowi odejść.

To, że zostawił po sobie ślad, nie było dla Asha powodem do zmartwienia. Obecnie najważniejszą sprawą stało się ustalenie, dokąd wyjechała Leona Sutherland.

Wobec tego następnym przystankiem na jego drodze był dom Sutherlandów w Shepherd's Bush. Adres znał na pamięć - St Stephen's Avenue nr 25. Może nawet zdoła ją tam dopaść - o ile była na tyle nierozsądna, by pojechać do domu po rzeczy na zmianę.

Rozdział 25

godz. 11.37 czasu Greenwich

North Finchley, Londyn

Leona natychmiast rozpoznała ozdobiony po obu stronach drzewami zwirowany podjazd prowadzący do głównego gmachu szkoły - majestatycznej kamiennej budowli, którą w ubiegłym stuleciu wzniesiono pośród rozległych zielonych łąk. Dziś otoczona była ze wszystkich stron przez przedmieścia. Strzeliste dorodne świerki chroniły przed resztą świata kilkadziesiąt arów starannie utrzymanych gruntów, boisk sportowych i kortów tenisowych.

Leona była tu kilka razy z tatą, odwożąc Jake'a. Jego zajęcia zaczynały się na tydzień przed semestrem na uczelni i Jake zwykle prosił, aby Leona także wzięła udział w tej przejażdżce. Nie była pewna, czy chodziło o to, że chciał z nią spędzić możliwie jak najwięcej czasu, czy może lubił popisywać się starszą siostrą przed pryszczatymi kolegami z wyższych klas.

- Łał! - Daniel był pod wrażeniem. - Wygląda prawie jak Hogwart!

- Aha, i jest bardzo droga - odparła, wyglądając przez okno na chłopców serwujących na zmianę piłki na pobliskim korcie tenisowym. Trener z dezaprobatą spojrział na niedużego zdezelowanego forda, który, prychając i rzeżąc, sunął po zwirowym podejździe.

- Na pewno wolno nam tu być? - spytał niepewnie. - Przecież trwają zajęcia. Czy wstęp nie jest wzbroniony?

Leona wzruszyła ramionami.

- Nie dbam o to. Tato prosił mnie, żebym zabrała stąd Jake'a.

Daniel zaparkował furgonetkę na miejscu dla gości przed imponującym głównym wejściem ocienionym przez wytworny portyk na dwóch kamiennych kolumnach. Ostatni raz widziała Jake'a sześć tygodni temu, pomagając tacie wnieść kufer z rzeczami brata na teren szkoły, a potem po schodach na górę. Zwinny i żwawy jak małpka Jake robił, co w jego mocy, aby wypaść jak najlepiej przed innymi chłopakami, których rodzice przywozili tutaj ciężkimi ciągnikami Chelse'a. Wiedziała, że jej brat tłumił w sobie łzy i najprawdopodobniej rozbeczał się, kiedy tylko tato postawił kufer w nogach jego łóżka w internacie i po raz ostatni uściskał go na pożegnanie.

Mama nigdy nie przyjeżdżała z nimi, kiedy mieli odwiedzić Jake'a - byłaby cała we łzach,

zapłakana i zasmarkana, walcząc z trawiącym ją poczuciem winy, jeżeli chodziło o powinności jako rodzica, i innymi zarzutami, jakie miała wobec siebie, i to zanim jeszcze wyjechałaby z Shepherd's Bush, a potem zawstydziłaby Jake'a gorącymi uściskami i pocałunkami. Jak na ironię to właśnie mama dołożyła największych starań, by umieścić go w tej szkole, ale z początkiem każdego semestru nie potrafiła się z nim rozstać i nie było mowy, żeby dała radę go odwiedzić.

- Co teraz?

- Poszukam kierownika internatu - odparła. Odwróciła się, by spojrzeć na Daniela ubranego w podarte dżinsy i podkoszulek z logo FCUK. - Ty lepiej zaczekaj tutaj, dobrze?

Daniel uśmiechnął się z niejaką ulgą.

- W porządku.

Zapytała o drogę jakiegoś zdeorientowanego i mocno wystraszonego chłopca, który najwyraźniej spóźnił się na lekcję i poczerwieniał, wpatrując się jak urzeczony w kolczyk w jej pępku, widoczny tuż nad paskiem dżinsów. W końcu dotarła do gabinetu kierownika internatu. Zapukała, a słysząc ze środka stłumione zaproszenie, otworzyła grube, ciężkie, drewniane drzwi i weszła do środka.

Mężczyzna w tandetnej brązowej marynarce i ciemnych spodniach oprószonych kredowym pyłem stał przy zagraconym biurku, przerzucając pliki papierów.

- Słucham? - mruknął, nie unosząc wzroku.

- Pan North, kierownik internatu? - zapytała.

Pan North uniósł wzrok i otaksował ją od stóp do głów.

- Słucham, kim pani jest?

- Leona Sutherland. Mój brat mieszka w tym internacie.

- Uhm, rozumiem, ale czy wie pani, że odwiedziny rodzin są ograniczone tylko do niektórych weekendów?

Leona skinęła głową.

- Oczywiście. Ale nie przyjechałam w odwiedziny.

Przestał przekładać papiery.

- Jak wobec tego mogę pani pomóc?

- Przyjechałam, aby zabrać Jacoba do domu.

Pan North zmarszczył brwi.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Kiedy to zostało ustalone? Nie otrzymałem pisemnej zgody od dyrektora. A przynajmniej nic takiego sobie nie przypominam. Sprawdzę w pismach, które

mi tu przysyłają.

Pochylił się nad biurkiem i zaczął gmerać w jeszcze jednym, wyjątkowo obfitym pliku papierów i nieotwartych kopert.

Leona zastanawiała się, czy powinna wykorzystać fakt, że nie radził sobie z papierkową robotą, i skłamać - przekonać go, że sprawa została załatwiona pozytywnie, a dokument zagubił się gdzieś wśród tej sterty pism.

- To całkiem możliwe, że zwyczajnie go przeoczyłem - ciągnął nieco zdezorientowany, przerzucając kolejne pliki notatek, papierów i listów - i zgoda gdzieś tu jest. Kiedy pani rodzice napisali do mnie w tej sprawie?

Czas na podjęcie decyzji... cholera, nie umiem kłamać.

- Nie napisali.

Pan North uniósł wzrok, na jego twarzy odmalowało się chwilowe zakłopotanie.

- Decyzję o zabranii stąd Jake'a podjęli dziś rano i przysłali mnie po niego - dodała Leona.

Kierownik internatu zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Niestety. Przykro mi. Nasz system tak nie działa. Potrzebna jest prośba na piśmie od rodziców lub prawnych opiekunów wychowanka i muszą oni przedstawić naprawdę ważny powód, zanim pozwolimy go zabrać w środku semestru.

- Powód jest bardzo poważny, panie North - odparła Leona. - Oboje uważają, że zbliża się koniec świata.

To zabrzmiało idiotycznie, dobra robota.

Pan North przestał przerzucać papiery na biurku i uniósł wzrok, aby na nią spojrzeć.

- Chodzi o zamieszki?

Leona skinęła głową.

Obszedł biurko i postąpił kilka kroków w jej stronę.

- Nie tylko twoi rodzice się martwią. - Nieznacznie zniżył głos. - Dwoje innych zadzwoniło do mnie dziś rano, by zapytać, czy mogą zabrać stąd swoich synów.

- I mogą?

Pokręcił głową.

- Tylko po uzyskaniu zgody dyrektora i wcześniejszym złożeniu prośby na piśmie.

- Proszę, naprawdę muszę zabrać stąd mojego brata.

Kierownik przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Oglądałem wiadomości wczoraj wieczorem. Wydawały mi się bardzo niepokojące. Wygląda na to, że od wczoraj cały świat trochę oszalał. Zastanawiam się, czy dziś ta sytuacja

jeszcze się pogorszy.

- Nie mam pojęcia. Ale mój tato zajmuje się zawodowo sprawami ropy i to on wszczął panikę.

- Czemu rodzice sami nie przyjechali po chłopca?

- Tato utknął w Iraku, a mama w Manchesterze. Pociągi i autobusy nie kursują.

Pan North wydał się zaskoczony.

- Pociągi i autobusy...?

- Wstrzymali komunikację bez podania konkretnej przyczyny. Dlatego tylko ja mogłam tu przyjechać i muszę go zabrać do domu.

Pokiwał głową pogrążony w myślach.

- Posłuchaj, mam lekcję, muszę już iść, bo się spóźnię.

Leona postąpiła krok naprzód.

- Błagam!

Wpatrywał się w nią w milczeniu przez dłuższą chwilę, którą zakłócało jedynie tykanie zegara stojącego na obramowaniu ozdobnego wiktoriańskiego kominka.

- Może twój ojciec ma rację - rzekł półgłosem. - Całkiem możliwe, że to, co się tam dzieje, nie skończy się dobrze.

- Mój tato uważa, że znajdziemy się w naprawdę poważnych tarapatkach.

- Rozumiem.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

- I właśnie dlatego muszę zabrać stąd mojego brata.

Pan North pokiwał głową.

- Hmm. To faktycznie wydaje się niepokojące.

- Proszę, muszę go stąd zabrać. Spiesz mi się.

Patrzył na nią w milczeniu przez kilka chwil.

- Nie mogę udzielić zgody, abyś zabrała go bez pisemnego potwierdzenia dyrektora. Ale - dodał - nie będę cię mógł zatrzymać, jeżeli nie będę wiedział o tej sprawie, prawda?

Zrozumiała i podziękowała mu skinieniem głowy

- Jak się nazywa twój brat?

- Sutherland. Jacob Sutherland.

- Ach tak, drugoklasista. Wydaje mi się, że ma teraz lekcje w jednej z klas bloku C, w skrzydle języków obcych.

- Dziękuję, panie North.

- Idź po niego i zabierz go stąd. Dowiem się o wszystkim podczas zebrania rady

pedagogicznej po południu. Co oznacza, że w ogóle się nie widzieliśmy, racja?

Pokiwała głową i odwróciła się, by wyjść.

- Jeszcze jedno - powiedział, zanim otworzyła drzwi. - Jak sądzisz, jakiej rady udzieliliby nam wszystkim w tej szkole twój tato? - zapytał. - Co, twoim zdaniem, mógłby mi doradzić?

- Niech pan stąd zmyka. I niech pan wyjedzie z Londynu, zanim wszyscy inni zorientują się, co jest grane.

- Rozumiem.

- Do zobaczenia - rzekła. I jakby po namyśle dodała: - Powodzenia.

Uśmiechnął się życzliwie, kiedy zamykała za sobą drzwi.

Leona uniosła wzrok i wodząc nim w głąb ozdobionego drewnianą boazerią korytarza, uznała, że mimo wszystko może potrzebować pomocy Dana.

- Nie, Leona, nie możemy tego zrobić. To wbrew prawu.

- Wcale nie. Chodzi o mojego brata - odrzekła, wyciągając szyję, aby zajrzeć ukradkiem przez niewielkie okienko w drzwiach do wnętrza klasy. Mieli w niej lekcję chłopcy o kilka lat starsi od Jacoba. - Cholera, w tej też go nie ma.

Daniel niepewnie wodził wzrokiem w tę i z powrotem, w głąb korytarza, gdzie mieściły się klasy.

- Zrozum, to przecież uprowadzenie. To porwanie nieletniego - wyjaśniał z przejęciem.

- Wcale nie, zabieramy go stąd na wyraźne polecenie rodziców. Wypełniamy ich wolę. No chodź - przywołała go machnięciem ręki i podeszła wraz z nim do następnych drzwi.

- Posłuchaj, nawet jak go znajdziemy, nie pozwolą ci zabrać go z lekcji.

Przystanąła, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- I właśnie po to mam ciebie.

- Że co? Ale jak?

- Gdyby ktoś z personelu próbował nam przeszkodzić...

- Mam się z nimi bić?

Pokiwała głową.

- Może nie tyle bić, ile zwyczajnie odepchnąć na bok.

Daniel pokręcił głową.

- Posłuchaj, Leona, myślę, że i tak sporo dziś dla ciebie zrobiłem, przywożąc cię tutaj...

Schwyciła go za przegub.

- Boże, Dan, błagam, wyświadcz mi jeszcze tę jedną przysługę. Muszę go zabrać do domu.

Rozłożył szeroko ręce.

- Ale dlaczego? Bo tu nie jest bezpieczny?

Podeszła z nim do kolejnego okna, zajrzała do środka i natychmiast zorientowała się, że te dzieciaki nie były w wieku Jake'a.

- Zajrzyj tam - rzuciła.

Dan wzruszył ramionami i wykonał polecenie. Chłopcy w klasie mieli słuchawki na uszach i powtarzali równocześnie kolejne francuskie zwroty.

- No więc?

- No więc słuchałeś dziś rano radia. Po cichu wstrzymano kursowanie pociągów i autobusów, z zagranicy ściągane jest wojsko i nie spodziewamy się kolejnych dostaw ropy. A oni - skinęła ręką w stronę drzwi klasy - wciąż powtarzają kretyńskie słówka po francusku.

W tym kontekście to faktycznie wyglądało idiotycznie.

- Tato miał rację. Wszyscy chowają głowy w piasek dokładnie tak, jak zapowiedział, w przypadku gdyby miał się ziścić najczarniejszy z jego scenariuszy - dodała, usiłując zachować opanowany ton głosu, do którego wkradła się nuta gniewu i zaniepokojenia. Pobiegnęła przez korytarz, by zajrzeć do klasy po drugiej stronie.

- Dobra - rzekł, podążając za nią. - Ostatnia przysługa, a potem wracam do...

- Tam jest Jake! - syknęła, zaglądając przez szybę. Bez wahania sięgnęła dłonią do klamki i otworzyła drzwi. Trzydziestu siedmioletnich uczniów i nauczycielka wyglądająca na kilka lat młodszą od ich mamy odwróciło się, by spojrzeć na intruzów.

Ciszę przerwała nauczycielka.

- Słucham?

- Jacob - oznajmiła Leona, ignorując ją - musisz pójść ze mną.

Oczy Jacoba ukryte za grubymi szklami okularów wodziły przez chwilę pomiędzy nauczycielką a Leoną, jasnowłosemu chłopcu zaś mimowolnie ze zdumienia opadła szczęka.

- Przykro mi - rzekła nauczycielka - nie możesz tu tak wpadać i zabierać jednego z moich uczniów.

Leona wciąż ją ignorowała. Rzuciła Jake'owi ostrzegawcze spojrzenie.

- Już! - warknęła.

Jacob posłusznie zaczął podnosić się z miejsca.

- Wszystko w porządku, Jacob - rzekła nauczycielka, gestem dłoni nakazując mu, by wrócił na miejsce. - Usiądź i bądź grzecznym chłopcem.

- Jake! - rzuciła Leona, uderzając pięścią w róg jednego z najbliższych stolików. Zabolęło, ale zwróciła na siebie uwagę wszystkich. - Mama i tato chcą, żebyś wrócił do

domu, natychmiast!

Znów niepewnie podniósł się z miejsca.

Kobieta zbliżyła się do Leony.

- Jesteś jego siostrą?

Leona skinęła głową.

- Cóż, muszę poprosić cię, abys stąd wyszła. Prowadzę lekcję. Jeżeli rodzice chcą, by chłopiec wrócił do domu, powiedz im, żeby skontaktowali się z kierownikiem internatu.

Leona odwróciła się do niej, jakby dopiero teraz zauważyła nauczycielkę po raz pierwszy.

- Pójdzie ze mną, i to zaraz - odrzekła ze spokojem, po czym skinęła głową na stojącego tuż za nią Daniela - i lepiej niech pani nie wchodzi nam w drogę, jasne?

Daniel napiął mięśnie i spróbował zrobić naprawdę groźną minę.

- Jake, podejdź tu, ale już! - zawołała Leona, robiąc kilka kroków w stronę brata.

Daniel maszerował za nią, nie spuszczać nauczycielki z oka i zaciskając pięści w, jak przypuszczał, zastraszającym geście.

Jake zrobił, co mu kazano - wstał i zaczął pakować podręczniki i zeszyt do plecaka.

- Och, na miłość boską, Jake, zostaw to! Musimy już iść!

Wyglądał na zbitego z tropu, odkładając książki i zeszyt z powrotem na blat.

- Dlaczego mam wracać do domu?

- Pytania później, dobra? Spiesz nam się.

Kobieta ożywiła się.

- Właśnie, dlaczego? Może chociaż tego się dowiem? Nie mogę go zwolnić, nie znając powodu...

- Bo nadchodzi koniec świata - odparł niepewnie Daniel, wzruszając ramionami.

- Co takiego? - kobieta zmarszczyła brwi z niedowierzaniem.

Leona ujęła Jacoba za rękę i podprowadziła do drzwi klasy, zanim odwróciła się do nauczycielki.

- To prawda. Za kilka dni wszyscy będziemy przymierać głodem, a ludzie zaczną popadać w obłęd i walczyć między sobą. Wszyscy ci chłopcy - wolną ręką wskazała na pozostałych uczniów, którzy sztywno, w milczeniu i z niedowierzaniem obserwowali to zdarzenie - powinni zostać odesłani do domów, zanim będzie za późno.

Leona wyprowadziła Jacoba z klasy, Daniel podążył za nimi.

- Wiecie, że będę zmuszona powiadomić ochronę - zawołała nauczycielka. - I policję!

W korytarzu na zewnątrz Leona odwróciła się do Daniela. Była cała rozdygotana.

- O Boże, jeśli tato się myli, będziemy mieć nie lada kłopoty.

Jacob spojrział na Daniela i wskazał na niego palcem.

- Kto to? Twój chłopak? Dokąd jedziemy?

Uklękła przed nim. Był drobny i mały jak na swój wiek.

- Wszystko wyjaśnię ci później, Jake. Teraz po prostu musimy się dostać do domu, jasne?

Zamyślił się nad tym przez trzy sekundy, po czym skinął głową i zasalutował jak żołnierz.

- Tak jest.

Nagle usłyszeli ogłuszający dźwięk, który brzmiał jak alarm pożarowy

Daniel przyłożył dłoń do ust.

- Chyba powinniśmy wiać! - zawołał.

Rozdział 26

godz. 12.30 czasu Greenwich

Whitehall, Londyn

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze nad umywalką, kiedy opłukał dłonie. W świetle niewielkiej punktowej lampki we wnęce powyżej każda wypukłość, wklęsłość i bruzda na jego twarzy była widoczna z bezlitosną wręcz wyrazistością. Kiedy tak tu stał, wyglądał dziesięć lat starzej, na pięćdziesiąt pięć lat, a nie czterdzieści pięć.

Przyszło mu na myśl, że praca, jaką wykonywał, pasowała raczej do kogoś młodszego. To arogancja i pewność siebie młodych pomaga przejść pomyślnie przez tego typu próby. Wątpliwości, niepewność, szukanie drugiego dna i sprawdzanie ciemnych kątów... te osłabiające wydajność nawyki przychodziły wraz z dojrzałością... cholera, kogo on chciał oszukać... ze starością.

W paszporcie mógł mieć napisane „wiek: 45 lat”, ale zmarszczki na jego twarzy wskazywały, że jest znacznie starszy. Zmęczenie i zużycie niezbędne, aby mógł pozostać najlepszym graczem w tej grze, odcisnęły na nim piętno. A teraz jeszcze to.

Usłyszał, jak ktoś głośno zapukał kłykciami do drzwi męskiej toalety.

- Panie premierze, czekają już na pana w sali konferencyjnej.

Charles pokiwał głową.

- Daj mi parę minut.

Jego rzecznik prasowy był wciąż na zewnątrz, Charles widział bliźniacze cienie jego nóg przecinające pasek światła sączącego się pod drzwiami.

- Panie premierze, nie mamy dużo czasu. Pana wystąpienie zostało przesunięte na trzynastą trzydzieści, a ekipa telewizyjna chce widzieć pana w sali konferencyjnej wcześniej, aby zdążyli zrobić panu makijaż i ustawić oświetlenie.

Na miłość boską...

- Powiedziałem, że zaraz przyjdę! - wykrzyknął z irytacją.

Bliźniacze cienie poruszyły się i po chwili zniknęły.

Spryskał sobie twarz wodą i westchnął przeciągle. Została mu już tylko godzina na decyzję. Co konkretnie ogłosi w swoim wystąpieniu?

Do jakiego stopnia mogę być szczery?

Oto jest pytanie.

W ciągu minionej nocy większość zaleceń Kasandry została dyskretnie wcielona w życie. Zablokowano międzymiastowe arterie komunikacyjne. Wykorzystując jako pretekst groźbę zamachu terrorystycznego, zamknięto porty lotnicze, morskie i dworce kolejowe. Ale ta historyjka nie wystarczy na długo.

Od samego rana rozpoczęto żmudny proces blokowania głównych tras przejazdowych. Każdą blokadę tłumaczono poważnym wypadkiem drogowym albo incydem, w którym wypadająca z szosy ciężarówka rozsypała wieziony ładunek na wszystkie pasy autostrady. Ale i te zmyślane historyjki mogły być wiarygodne zaledwie przez kilka godzin, no, jeśli dopisze im szczęście, do jutra rana.

Większość głównych składów paliw została już do tej pory zabezpieczona przez wojsko. Paliwa znajdujące się w szerszym systemie dystrybucji, na tankowcach i większych stacjach benzynowych, także zostaną w którymś momencie przejęte i zarekwirowane, ale takie działania nazbyt rzuciłyby się w oczy i należało je odłożyć na później. Zajmą się tym w ostatniej chwili.

Chodziło o to, aby nie wzbudzać paniki wśród całej społeczności. Malcolm radził, aby pozwolono ludziom robić to, czym się zajmowali na co dzień, tak długo, jak to było możliwe. Jego zadaniem jako premiera było dopilnować, żeby ludzie aż do końca byli nieświadomi, szczęśliwi i spokojni. Malcolm stwierdził cierpko, że w obecnej sytuacji Charles miał pełnić podobną rolę jak słynny kwartet smyczkowy na pokładzie tonącego Titanica.

Po prostu omamić ich uspokajającym uśmiechem i słowami zachęty, niech czują się szczęśliwi.

A przez ten czas, póki ludzie nie zorientują się, co jest grane, musieli wycofać z Iraku tylu żołnierzy, ilu było możliwe, i zabezpieczyć wszelkie kluczowe aktywa. Ich zadaniem było przejęcie możliwie jak największej ilości ropy oraz żywności znajdujących się w składach i magazynach w całym kraju.

To oznaczało, że musiał teraz zrobić to, co umiał najlepiej - czyli możliwie jak najdłużej wciskać ludziom ciemnotę.

A czas się kończył.

Wstrzymanie komunikacji w całym kraju można było wytłumaczyć „bliżej niesprecyzowanym zagrożeniem na wielką skalę”, o którym dowiedziały się tajne służby. To tłumaczyłoby również wzmożone ruchy wojsk i obecność militarną na ulicach miast, która, co oczywiste, nie mogła pozostać niezauważona. Pojawią się pytania o pogarszającą się sytuację na Bliskim Wschodzie oraz o to, czy wstrzymanie produkcji i eksportu ropy z tego rejonu

miało coś wspólnego z tymi „szczególnymi środkami bezpieczeństwa”.

Wtedy będzie musiał wcisnąć ludziom Wielki Kit i lepiej, żeby zrobił to naprawdę przekonywająco.

- Nie - wymamrotał na głos Charles, wpatrując się w swoje odbicie, marszcząc brwi i mrużąc lekko powieki swoich fotogenicznych oczu, aby na jego twarzy pojawił się autentyczny wyraz szczerego zatroskania na użytek jedyne w tej chwili słuchacza, czyli swojego odbicia w lustrze. Poparł to jeszcze uspokajającym skinieniem głowy i mówił dalej:

- Nie ma innego związku poza ogólnym podwyższeniem poziomu bezpieczeństwa w naszym kraju. Dysponujemy solidnymi rezerwami strategicznymi ropy naftowej, które pozwolą nam przetrwać te chwilowe zawirowania. Potencjalne zakłócenia w dostawach ropy, zwłaszcza z regionu tak niestabilnego, jak Bliski Wschód, już od dawna były przez nas brane pod uwagę, ale pragnę zapewnić, że odpowiednio przygotowaliśmy się na tę ewentualność i nie ma powodów do paniki.

Jego rzecznik wrócił i stanął pod drzwiami, niezręcznie przebierając nogami. Charles wyobraził go sobie z uniesioną ręką, niemal dotykającego drewnianych drzwi, zastanawiającego się rozpaczliwie, czy powinien zapukać ponownie - choć rozsądek podpowiadał, że nie powinien tego zrobić, wiedział, że to nieuchronne.

- Już dobrze - zawołał Charles, poluzowując nieznacznie krawat i rozpinając guzik koszuli pod szyją. Chciał poprzez ten dość niechlujny wizerunek dać wszystkim do zrozumienia, iż został bezceremonialnie odciągnięty od biurka, żeby wyjaśnić obywatelom, co robi, w celu ustabilizowania niepewnej sytuacji. Dla lepszego efektu podwinął jeszcze rękawy koszuli. Wizerunek to więcej niż połowa sukcesu. Właściwy ton głosu, odpowiedni wyraz twarzy i do tego jeszcze adekwatny wygląd. Sporo się na ten temat nauczył, obserwując Tony'ego Blaira, który w chwilach kryzysu wykazywał się isticie aktorskimi zdolnościami.

Charles spojrział na swoje oblicze w lustrze i pokiwał głową. Wyglądał jak ktoś, kto ciężko pracował przez całą noc, ale teraz już mocno trzyma wszystko w garści.

- Jestem gotowy.

Rozdział 27

godz. 15.42 czasu lokalnego

Al-Bayji, Irak

Mike patrzył na trupa młodego mężczyzny.

Amal umarł szybko, jakąś minutę lub dwie po tym, jak został zawleczony w bezpieczne miejsce, za jednym z land cruiserów. Kula, która powaliła go na ziemię, przechodząc przez ciało na wylot, rozszarpała mu na strzępy płuco. Amal skonał, dławiąc się krwią i rozpaczliwie usiłując zaczerpnąć powietrza, w ramionach Mike'a. Jego sportowa koszulka drużyny Manchester United była niemal czarna od krwi, która już krzepła, schnąc w popołudniowym upale.

Mike wypił łyk wody z butelki. Sanitariusz z ich plutonu mniej więcej pół godziny temu wydał żołnierzom kilka butelek, a teraz, kiedy sytuacja nieco się uspokoiła, Amerykanin zdał sobie sprawę, jak bardzo od rana się odwodnił.

Farid przykucnął w cieniu pojazdu, kilka metrów od niego. Nic nie powiedział, patrzył tylko na zwłoki młodzieńca, ale Mike czuł, że to jego taksował wzrokiem i w duchu wysnuwał wnioski na jego temat. Czuł się niezręcznie, będąc tak ocenianym, i postanowił przerwać niewygodną ciszę.

- Przyciągnąłem go z powrotem, bo miał w kieszeni kluczyki od tego cholernego auta - mruknął ze spokojem.

Farid bez słowa pokiwał głową.

- Miał w kieszeni kluczyki i nie chciałem, żeby te łajzy dostały je w swoje ręce - dodał dla jasności Teksańczyk.

Farid w końcu spojrzał na niego.

- Ale ich nie wyjąłeś.

Mike wzruszył ramionami.

- Amal wciąż ma je w kieszeni. Wyciągnę je we właściwym momencie, gdy będę na to gotowy.

Farid patrzył na niego spod pół przymkniętych powiek.

- Nie dla kluczyków go tu przyciągnąłeś - rzekł półgłosem.

- No dobra, wygrałeś, niech będzie. Nie zaciągnąłem go tu z powodu kluczyków.

Zadowolony? - spytał znużony Mike.

- Więc po co?

- Po co go tu przyciągnąłem?

Stary w odpowiedzi pokiwał głową.

Mike otworzył usta, zanim jeszcze zastanowił się nad odpowiedzią.

- Cholera, sam nie wiem. Może dlatego, że ten dzieciak miał dość jaj, aby spróbować odzyskać pukawki, gdy cała reszta cieniasów siedziała na tyłkach, ssąc kciuki jak niemowlęta.

Irakijczyk potrzebował chwili, aby przetłumaczyć i zrozumieć jego słowa.

- Ściągnąłeś go z powrotem, bo Amal był odważny?

Mike znowu wzruszył ramionami.

- Może i tak, a jeżeli nawet, to co? Chłopak pokazał, że ma ikrę. To pieprzony pech, że nie dał rady tu wrócić.

- Allah uśmiecha się do ciebie za twoją odwagę - powiedział Farid.

Mike zaśmiał się.

- Doprawdy? Skoro Allah wysłał mnie na ratunek temu dzieciakowi, to czemu, u diabła, pozwolił mu umrzeć?

Stary wzruszył ramionami.

- Taka była jego wola. Nie nam ją pojmować.

- Taa - parsknął Amerykanin - tak właśnie myślałem, typowo religijne uzasadnienie. Dla mnie to stek bzdur.

- Nie bzdur. Tylko nie potrafimy tego pojąć.

- Widzisz, dokładnie takich samych głównianych argumentów używa każdy fanatyczny oszołom religijny, imam czy zamachowiec samobójca. „Taka jest wola boża”, a kimże jesteśmy, aby ją kwestionować czy próbować zrozumieć? Stąd już tylko mały krok do różnych nadużyć, czyż nie?

Farid pokiwał głową.

- Tak. Postępują tak źli ludzie. Imamowie, którzy nauczają przemocy wobec innych. To źle, to *haram*. Tak jak ludzie, którzy sieją terror z użyciem bomb, broni palnej... czołgów czy helikopterów. Zabijanie w imię Allacha to najgorszy grzech ze wszystkich.

Mike uniósł wzrok, by spojrzeć na starego zdumiony jego słowami.

- Pierwszy raz słyszę, jak jeden z was otwarcie mówi coś takiego.

- Wielu tak mówi. Ale zdjęcia naszych braci palących amerykańską flagę, strzelających w powietrze albo nawołujących do dżihadu, świętej wojny i zabijania, stanowią najciekawsze informacje w wiadomościach, zgadza się?

Amerikanin wyduł wargi, zastanawiając się nad słowami tamtego.

- Być może.

- Koran głosi przede wszystkim przesłanie pokoju.

Andy przykucnął pod ścianą o dziesięć metrów dalej i ponownie spróbował zadzwonić do Leony, ale ekran jego komórki zgasł po kilku sekundach. To cholerne urządzenie padło na dobre. Włożył telefon do kieszeni i zaklął pod nosem.

Nie miał pojęcia, czy Leona zrozumiała, że nie wolno jej było wrócić do domu. Owszem, mówił jej to, ale gdyby mieli choć chwilę, może przynajmniej wyjaśniłby jej dlaczego.

Obserwowali go. Zawsze podejrzewał, że mogło tak być, ale nigdy nie był do końca przekonany, że tamci - kimkolwiek byli - zechcą zadać sobie aż tyle trudu.

Kim właściwie byli? Przez dłuższy czas po ich wyprawie do Nowego Jorku Andy podejrzewał, że wykonał to zlecenie dla jakiejś tajnej sekcji CIA. Przez lata przeczytał na ich temat tyle, że miał uzasadnione podstawy się bać. I wiedzieć, że lepiej z nimi nie zadzierać.

Teraz jednak zaczął się zastanawiać, czy faktycznie zrealizował to zlecenie dla CIA.

A jeżeli nie, to kto, do cholery, był w tym hotelowym pokoju za ścianą?

Andy cofnął się w myślach o dwa dni, do soboty, kiedy siedział w swoim pokoju w Hadicie i zalogował się w sieci, by odebrać pocztę. Przyjemnie zaskoczył go list od Leony. Był krótki, lecz treściwy - to dla niej typowe, to zwykle Jenny się rozpisywała - ale nie przypominał sobie żadnych wzmianek o tajemniczych twarzach. A, na Boga, przecież pamiętałby, gdyby przeczytał o tym w mailu od niej. Nie ulegało wątpliwości. Ta świadomość poraziła go, gdy tylko wspomniała o tym, kogo widziała, podczas ich wcześniejszej rozmowy dziś rano.

Monitorują moją pocztę.

Mail od Leony został przeredagowany. Andy żałował, że nie mógł przez telefon spytać Leony o szczegóły, gdzie widziała tego człowieka, w którym towarzystwie, w jakim otoczeniu. Co jeszcze przechwycili? Spojrzał na swoją wyłączoną komórkę.

O cholera.

Andy poczuł nagły przypływ paniki.

Powiedziałem: nie idź do domu. Powiedziałem: jedź do Jill, ale nie mówiłem, kim jest Jill, prawda? I nie powiedziałem, gdzie mieszka, zgadza się?

Był pewien, że tego nie zrobił. Oczywiście, że nie, bo Leona dobrze znała Jill.

Czy mogą się dowiedzieć, kim ona jest? Czy mamy ją odnotowaną w naszym spisie telefonów?

Raczej nie... na pewno nie. Była koleżanką Jenny. To Jenny znała jej numer, miała go na

szybkim wybieraniu w swojej komórce. Spis telefonów był dla rodziny, przypadkowych znajomych, ludzi, do których wysła się tanie kartki świąteczne.

Leona i Jake będą tam na razie bezpieczni. Jill się nimi zajmie.

O ile Leona zrobi, co jej kazał. Jeżeli będzie się trzymać z dala od ich domu, ona i Jake teoretycznie powinni być bezpieczni. Ale im szybciej on do nich wróci, tym lepiej. Każda godzina, każda mijająca minuta spędzona tutaj mogła sprawić, że zjawi się na miejscu o godzinę lub o minutę za późno.

Andy zlustrował sytuację wokół. Z wraku przy wjeździe wciąż buchał dym, Brytyjczycy wyglądali jak gromadka wystraszonych dzieciaków, a porucznik Carter sprawiał wrażenie osamotnionego, zagubionego i śmiertelnie przerażonego.

Muszę znaleźć jakąś drogę do domu.

Podszedł do młodego oficera. Z bliska zauważył, że porucznik dygocze, wyraźnie wstrząśnięty niedawnymi wydarzeniami. Spojrzał w górę, na Andy'ego.

- O-omal nas nie d-dorwali. Skurwiele prawie się przebili.

Andy pokiwał głową i przykucnął obok niego.

- Ale poradziłeś sobie. Dzięki tobie wciąż żyjemy.

Pokręcił głową.

- Dzięki Boltonowi.

Andy rozejrzał się, poszukując wzrokiem sierżanta. Bez Boltona ci ludzie do reszty się pogubią. Zauważył, że sanitariusz, kapral Denwood, opatrywał właśnie ранego Boltona. Sierżant gniewnie uderzał pięścią o ziemię i klął na medyka, który ze spokojem wykonywał to, co do niego należało.

Nie wiedzieć czemu, dodało mu to otuchy.

Andy zauważył, że wielu żołnierzy z plutonu przypatrywało się siedzącemu smętnie Carterowi, w mowie jego ciała odczytywali desperację.

- Wiesz, że oni na ciebie patrzą - rzekł półgłosem.

Carter spojrzał na swoich ludzi, zbitych w małe, zmęczone, zdyszane grupki kryjące się pod murem i za dymiącymi wrakami tego, co niedawno było wojskowymi pojazdami. Widział białka oczu pośród czarnych od sadzy twarzy, pary oczu odwracających wzrok, gdy tylko napotykał ich spojrzenie.

- Rzeczywiście.

- Jeżeli się teraz załamiesz, wszyscy zginiemy.

- I tak już po nas. Nie wyślą po nas oddziału ratunkowego.

- Udało ci się nawiązać łączność z batalionem? - spytał Andy.

Carter skinął głową.

- Rozmawiałem znów z Henmarshem z gabinetu operacyjnego baonu. Ewakuowali już połowę ludzi utrzymujących pozycje wokół K-2. Ich obszar chroniony zaczyna się robić coraz cieńszy. Zdaje się, że coraz częściej muszą się sami bronić. - Carter stłumił posępny gwałtowny śmiech. - Milicja zwietrzyła krew. Wiedzą, że nasze wojsko zwija żagle. Dla nich to jak święto. Nic dziwnego, że balują w najlepsze. Powiedział, że mogą co najwyżej wysłać chinooka, aby zaczekał na nas pod miastem.

Andy uśmiechnął się.

- Kurwa mać, no to na co czekamy? To nasza przepustka do domu!

- Żartujesz sobie, prawda? - westchnął Carter.

Andy spojrzał w stronę podjazdu. To była jedyna droga, którą mogli się stąd wydostać. Brama poskręcana w ósemkę wtopiła się w podwozie ciężarówki. Nie było mowy, aby zdołali usunąć tę przeszkodę na tyle, by wyjechać stąd wciąż sprawnymi pojazdami.

- Jeśli ruszymy pieszo - mruknął Carter - załatwią nas, nim przejdziemy dwadzieścia metrów.

Andy nachylił się ku niemu, a jego twarz wykrzywił groźny, drapieżny grymas.

- Nie zamierzam się tu dłużej kisić - wysyczał.

Carter pokręcił głową.

- Chcesz iść? Śmiało, weź mój karabin, jeśli chcesz. Droga wolna. Ale najdalej za pół minuty będzie po tobie.

- Jeżeli tu zostaniemy, także zginiemy.

Carter wzruszył ramionami.

- Tak czy owak, mamy przerąbane, no nie?

- Kurwa mać! Weź się w garść, stary. Nie wolno się nam tak poddać. Ja w każdym razie nie zamierzam. Muszę wrócić do domu.

- Wszyscy chcemy wrócić do domu, stary.

Andy splunął na ziemię i przez chwilę wpatrywał się w otaczający ich mur.

- To gdzie wyślą tego chinooka, gdybyśmy jednak zechcieli się pofatygować?

- Gdziekolwiek, byle za miastem.

- Na drugim brzegu Tygrysu, tam gdzie przejeżdżaliśmy dziś rano w drodze tutaj?

Porucznik Carter pokiwał głową ze znużeniem.

- Ile jeszcze zdołają utrzymać pozycje wokół K2?

- Nie wiem. Dopóki nie zakończą ewakuacji całego batalionu.

- Do rana?

- Może.

- Nocą mamy przynajmniej jakieś szanse, nie? Bądź co bądź - Andy wziął do ręki SA-80 należący do Cartera - te karabinki są zaopatrzone w noktowizory, tak?

Carter spojrział na niego i potaknął bezgłośnie. Po raz pierwszy tego dnia Andy dostrzegł słabutki uśmiech pojawiający się na ustach młodego porucznika.

- Tak. My mamy noktowizory... a oni nie.

Rozdział 28

godz. 12.57 czasu Greenwich

Hammersmith, Londyn

- O nie, idziemy na zakupy? Po co? - jęknął Jacob.

Leona weszła pierwsza do supermarketu, pchając wózek i trzymając brata za rękę. Daniel posłusznie szedł za nimi, starając się prowadzić naraz dwa wózki.

- Bo tak, jasne? - ucięła krótko. - Mama i tato chcą, żebym zrobiła większe zapasy.

Jacob skrzywił się smętnie.

- A więc robimy Wielkie Zakupy?

- Tak, Jake. Robimy Wielkie Zakupy. A teraz ucisz się na chwilę i daj mi pozbierać myśli.

Rozejrzała się dokoła. W sklepie była większość klientów, których mogła tu spotkać w środku tygodnia, w porze lunchu - ludzi, którzy wpadli tu, aby zjeść kanapkę, coś na ciepło albo kupić gotową potrawę do odgrzania wieczorem w mikrofalówce.

- Od czego chcesz zacząć? - spytał Daniel.

Leona wydeła wargi, podejmując decyzję.

Przypomniała sobie, jak kilka lat temu jej tato na moment przestał zatruwać im życie opowieściami o Szczyście Wydobywania Naftowego i zajął się zagrożeniem ze strony ptasiej grypy. Po pierwszym przypadku przeniesienia choroby na człowieka podobnie jak wszyscy inni w całym kraju dał się ponieść panice i pognął do supermarketu po niezbędne zapasy. Wrócił do domu kilka godzin później autem pełnym puszkowanych sardynek w sosie pomidorowym i mniej więcej setką butelek wody niegazowanej.

Żywność w puszkach, bo dłużej wytrzyma. A sardynki, bo zawierają dużo białka.

W ten sposób tłumaczył zakup żywności jednego tylko rodzaju. Oczywiście, to miało sens i było bardzo praktyczne. Ale gdy mniej więcej miesiąc później ptasia grypa okazała się, podobnie jak SARS, kolejnym rozdmuchanym przez media papierowym tygrysem, pozostali z górą sardynek w puszkach, z którą musieli się jakoś uporać. Po kilku miesiącach uporczywego omijania puszek i próbach wymyślania rodzinnych posiłków, do których te rybki w keczupie jakoś by pasowały, mama stwierdziła, że ma dość, i przekazała resztę puszek jako darowiznę do pobliskiego hospicjum.

Ale to było dawno. A teraz Leona znalazła się tutaj, w supermarkecie, dokładnie w takiej samej sytuacji jak wcześniej jej ojciec, zmuszona decydować, co ma kupić i w jakich ilościach.

Daniel ruszył wzdłuż pierwszego przejścia między stoiskami: owoce i warzywa.

- Ziemniaki są dobre i zdrowe - powiedział, biorąc jednego do ręki i uważnie mu się przyglądając. - Jestem pewien, że na jednym takim ziemniaczku niewielka rodzina mogłaby przeżyć dobrych parę tygodni.

Leona westchnęła, wyjęła mu ziemniaka z ręki, odłożyła na miejsce.

- Dan... nabijasz się ze mnie?

Daniel instynktownie pokręcił głową, ale po chwili na jego ustach wykwitł wątry uśmieшек.

- Wybacz... tak mi się jakoś samo powiedziało. Sam nie wiem. To napięcie staje się nie do zniesienia. Jak na razie ten dzień jest... całkiem zabawny.

- Zabawny?

- Niewłaściwe słowo. Sorry. Chyba...

- Cholera, Dan, nie dam sobie rady, jak będziesz stroił sobie ze mnie żarty. Wiem, że tym razem tato ma rację; czekają nas nieliczne kłopoty. Ale sama sobie nie poradzę.

Jacob przekrzywił głowę.

- Kto ma kłopoty?

Oboje go zignorowali, z przejściem patrząc na siebie nawzajem.

- Przepraszam, że tak cię z sobą ciągnę, Dan. Naprawdę mi przykro. Ale cieszę się, że jesteś tu ze mną. I jeśli stanie się to, o czym mówił mój tato, będziesz zadowolony, że tu jesteś.

Nie miał rodziny, do której mógłby wrócić lub o którą by się martwił. Jego biologiczna matka mieszkała gdzieś w Sheffield. Odnalazł ją kiedyś, ale dała mu jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie utrzymywać z nim żadnych kontaktów. Miała nową rodzinę, nowe dzieci i męża, który dawał jej to, czego pragnęła. Spotkali się tylko raz i jak ją zapewnił ze stoickim spokojem, więcej się to nie powtórzy.

Daniel bez słowa pokiwał głową.

- Posłuchaj, Lee. Przepraszam cię, ale cała ta afera w szkole twojego brata trochę mnie wystraszyła. Kiedy jestem zdenerwowany, świruję i lubię się pośmiać. Taki już jestem, palant ze mnie i to wszystko, rozumiemy się?

Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

- Nie jesteś palantem. I świetnie się spisałeś. Dziękuję.

Jacob wyduł wargi z obrzydzeniem.

- Ohyda. Chyba puszcze pawia.

Leona wywróciła oczami i puściła Daniela.

- Chodźmy - rzekła, poklepując go po ramieniu - mamy sporo pracy.

- Gdzie mamy iść? - zapytał.

- Tam, gdzie jest żywność w puszkach. Wiem, co musimy kupić.

Minęli półki i regały z batonami, czekoladkami i chipsami. Leona szła pierwsza, Daniel za nią, pchając drugi wózek, a na końcu Jake, usiłując prowadzić przed sobą trzeci.

- A co z ryżem i makaronami? - zwołał Dan. - Takie rzeczy się nie psują, prawda? Można je długo przechowywać.

Leona odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- A jak je ugotujesz, kiedy w końcu całkiem zabraknie prądu i gazu? Kto wie, może energia wyczerpie się w ciągu kilku dni.

Minęła ich kobieta z wózkiem pełnym mrożonej pizzy i gotowych dań do odgrzania w mikrofalówce. Spojrzała na nich z zaciekawieniem - najwyraźniej usłyszała, o czym rozmawiali.

Leona uśmiechnęła się do niej z zakłopotaniem.

Kiedy znaleźli się w dziale z konserwami, Leona zorientowała się, że było tu więcej klientów niż w innych częściach supermarketu, przez które przechodzili - kilka osób, podobnie jak ona, niepewnie popatrywało na siebie nawzajem, napełniając wózki puszkowaną żywnością. Kiedy ona, Dan i Jacob podtoczyli wózki w ich stronę, przez krótką chwilę doszło między nimi do kontaktu, wystarczyła wymiana spojrzeń, prawie niedostrzegalne skinienie głowy i wszystko było jasne.

Boże, oni są tu z tego samego powodu.

W jakiś sposób świadomość, że byli jeszcze inni ludzie, którzy spośród urywków informacji wychwytywali symptomy czegoś bardziej niepokojącego, czyniły tę osobliwą sytuację, w jakiej się znalazła, o wiele realniejszą.

Wyglądali tak jak tato; trochę zaniedbani, jakby ciut sponiewierani: w wymiętych ubraniach, niedbający o nadążanie za modą; kilku z nich przypominało jej wykładowców z uniwersytetu. Z całą pewnością pochodzili z tego samego... „szczepu” co jej tato, trochę szurnięci, czytający rzadkie czasopisma naukowe, wakacje spędzający z młotkiem geologicznym w ręku; tacy jak oni nie mieli pojęcia, kto już odpadł, a kto jeszcze brał udział w kolejnej edycji *Big Brothera VIP*.

- To co bierzemy? - spytał półgłosem Daniel.

Zorientowała się, że on też to wyczuł; że oni wszyscy należeli do nieznaczej mniejszości tych, którzy wiedzieli. Zauważyła, że nawet tych kilka osób zdołało skutecznie wyczyścić parę półek z puszkami w tym konkretnym dziale.

O Boże. To tylko sześć osób, a półki na tym regale już świecą pustkami.

Wzdrygnęła się na samą myśl o tym, co będzie się działo w supermarketach w całym kraju, kiedy w końcu ludzie się zorientują, co jest grane.

- Wiem, czego nam potrzeba - mruknęła w odpowiedzi, przepatrując to, co pozostało na półkach, w poszukiwaniu sardynek w puszkach. Spojrzała na zegarek. Było prawie wpół do drugiej. Wiedziała, że mniej więcej o tej porze premier ma wystąpić w telewizji. Najwyraźniej miało to jakiś związek z problemami za granicą, tymi, z którymi borykał się obecnie jej ojciec - Boże, miała nadzieję, że nic mu się nie stało - i reperkusje tamtych wydarzeń miały być odczuwane nawet tu, w Wielkiej Brytanii. W głębi duszy liczyła, że uporają się z zakupami, zanim do tego i innych supermarketów zwałą się, co nieuniknione, hordy przerażonych, ogarniętych paniką ludzi.

- Ruszmy się - wymamrotała półgębkiem.

Rozdział 29

godz. 13.30 czasu Greenwich

Whitehall, Londyn

Jezu, lepiej się postaraj.

Charles wszedł energicznym krokiem do sali konferencyjnej w towarzystwie wicepremiera i Malcolma. W sali było mnóstwo ludzi, niby normalne, dziś jednak panował tu taki ścisk, że wiele osób stało pod ścianą i po obu stronach rzędów krzeseł ustawionych przed niedużym podwyższeniem. Było duszno i gorąco. Klimatyzacja z trudem radziła sobie z narastającym ciepłem dnia i większą niż zazwyczaj liczbą osób.

Niewielkie, dobrze oświetlone audytorium pulsowało blaskiem fleszy, gdy Malcolm i wicepremier zajęli miejsca po jednej stronie podium, a Charles usiadł na podwyższeniu. Czuł się koszmarnie jak skazaniec idący na ścięcie. Położył na pulpicie przed sobą niewielki plik kartek tematycznych, każda z nich miała pomóc mu przejść w prosty sposób do sedna podejmowanych kolejno spraw.

Głęboki oddech. Chwila, by przewalczyć treść.

Spisz się dobrze, Charlie.

Przypomniał też sobie ostatnią radę Malcolma, wyszeptaną w chwili, gdy ten przyjacielskim gestem poklepał go po plecach.

Nie koncentruj się na ropie.

- W porządku - zaczął. - Dzień dobry państwu i dziękuję, że zechcieliście tu przybyć w tak krótkim czasie. Mamy wiele do omówienia, zacznę więc od razu - powiedział i odchrząknął dyskretnie. - Jak zapewne państwu wiadomo, stoimy w obliczu pewnych problemów, z którymi musimy się uporać. Zacznę od wyjaśnienia, co wiemy na temat sytuacji w Arabii Saudyjskiej i w innych punktach zapalnych na świecie. Wczoraj rano podczas porannych modłów w Rijadzie eksplodowały pierwsze z wielu bomb w świętych meczetach w Mekce i Medynie oraz w kilku innych meczetach w Rijadzie. Wkrótce potem radykalne ugrupowanie szyitów przesłało do telewizji Al-Dżazira wiadomość, że to ono jest odpowiedzialne za zamachy. To siłą rzeczy wywołało akcje odwetowe wśród sunnickiej większości w Arabii. W tym samym czasie, albo niedługo później, do podobnych eksplozji doszło w kilku innych miastach Arabii Saudyjskiej, Kuwejtu, Omanu i Iraku. Każdy z tych

incydentów jeszcze bardziej pogorszył i tak już nie najlepszą sytuację. Można powiedzieć, że w ciągu minionego dnia niemal na całym terytorium Półwyspu Arabskiego wybuchła wojna domowa. Dziś doszło do eskalacji, a z uwagi na potencjalne zagrożenie, jakie może ona stanowić dla naszych wojsk pozostających w Iraku, po konsultacji z arabskimi przywódcami ubiegłej nocy podjęto decyzję o wycofaniu ich z całego regionu, aż sytuacja się ustabilizuje.

Dobry początek.

- Z uwagi na napięcia natury religijnej pojawiły się przesłanki o zagrożeniu bezpieczeństwa praktycznie wszystkich innych państw na całym świecie. Zdajemy sobie sprawę, że i u nas wśród różnych społeczności emocje mogą zacząć brać górę nad rozsądkiem. Należy założyć, że znajdą się, rzecz jasna będący w mniejszości, fanatycy pragnący przenieść wojnę domową na ulice naszych miast. Z tej przyczyny i nauczeni smutną lekcją z siódmego lipca dwa tysiące piątego roku, kiedy straciło życie przerażająco wielu obywateli naszego kraju, postanowiłem podjąć natychmiastowe i zdecydowane działania. Jako że poziom zagrożenia zamachami terrorystycznymi znacznie się podwyższył, wszelka komunikacja kolejowa i powietrzna została tymczasowo zawieszona. Inne potencjalnie narażone na atak cele w całym kraju, takie jak elektrownie atomowe i zakłady zajmujące się przetwarzaniem i składowaniem gazu ziemnego, są obecnie strzeżone przez oddziały sił zbrojnych. Na koniec, jako że niestabilność i niepewność obecnej sytuacji wywierają wpływ na rynki finansowe, podjąłem decyzję o zamknięciu giełdy papierów wartościowych. Są to, jak zaznaczyłem, jedynie środki tymczasowe, które będą obowiązywać przez resztę dnia. To działania krótkoterminowe... pozwolę sobie powtórzyć... krótkoterminowe... mające na celu uchronienie nas przed skutkami dramatycznych wydarzeń na świecie.

- Gorąco wierzę, że ta okropna sytuacja na Bliskim Wschodzie zostanie rozwiązana w ciągu zaledwie kilku dni i że wśród tamtejszych społeczeństw dojdzie do głosu zdrowy rozsądek. Upraszam państwa - tu Charles skinął ręką w stronę zebranych przedstawicieli prasy i mediów - abyście pomogli mi, nie rozdmuchując niepotrzebnie obecnych wydarzeń i nie doszukując się w nich sensacji.

Tu karcącym wzrokiem powiódł po środkowych rzędach krzeseł zarezerwowanych dla dziennikarzy z popularnych bulwarówek.

- Nie chciałbym, aby krzykliwe nagłówki i dosadne komentarze wywołały w naszym kraju zamieszki na tle rasowym czy religijnym. Jesteśmy odpowiedzialnym, liberalnym, tolerancyjnym narodem i właśnie dlatego takich wydarzeń, o jakich mówi się od wczoraj bez przerwy w wiadomościach, nie oglądaliśmy na ulicach Bradford, Londynu czy Birmingham.

Przerwał na chwilę dla lepszego efektu.

- W porządku, a teraz jedno, góra dwa pytania.

Natychmiast zapanował chaos, gwar i poruszenie, gdy w całym audytorium podniosły się głosy i ręce zebranych.

Charles szukał wzrokiem i znalazł oblicze korespondenta „News Stand” Desmond Hamlina. Desmond był porządnym facetem. Malcolm i Desmond znali się od lat. Malcolm dopilnował, aby dziennikarz dostał miejsce z przodu, gdzie jego głos mógł z łatwością zostać wychwycony przez mikrofony z podium.

- Tak?

No dalej, Desmond, rzuć jakieś niezobowiązujące, proste pytanie.

- Desmond Hamlin, korespondent polityczny „News Stand”.

Charles pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Panie premierze, wycofanie naszych wojsk, pozostających dotąd w Iraku - sił szybkiego reagowania - z całą pewnością zostanie przyjęte przez naszych czytelników z entuzjazmem. Chcemy, by nasi chłopcy jak najszybciej wrócili do domu, i cieszę się, że zareagował pan tak szybko w tej sprawie. Moje pytanie dotyczy jednak wojsk stacjonujących w Afganistanie. Słyszeliśmy, że one także mają wrócić do domu. Czy mogę prosić o komentarz w tej sprawie?

Charles pokiwał głową.

- Tak, oczywiście.

Z tą kwestią musiał uporać się zrećcznie. Owszem, dwadzieścia tysięcy żołnierzy, które wysłali do Afganistanu, miało wrócić do kraju tak szybko, jak tylko uda się zorganizować ich przerzut. I właśnie dlatego musiał być ostrożny i zachowawczy. Z pozoru bliżej niesprecyzowane zagrożenie dla naszych sił zbrojnych mogło stanowić słaby, lecz mimo wszystko usprawiedliwiony motyw działania. W rzeczywistości Charles otrzymał informację, że stali w obliczu dobrych kilku miesięcy kompletnej destabilizacji sytuacji gospodarczej i społecznej w kraju. Komentarz Malcolma, że już wkrótce mogą się pojawić informacje o zamieszkach w Paryżu albo nawet gorzej, skłoniły premiera do podjęcia konkretnych decyzji. Będą potrzebować ludzi, aby wprowadzić na terenie całego kraju stan wyjątkowy.

- To, co dzieje się w Arabii Saudyjskiej, Iraku i innych państwach tego regionu, dotarło już do Afganistanu. Wojskowe prognozy przewidują, że... - *głęboki oddech, odrobina płynącego prosto z serca żalu* - ...niestety, sytuacja w tym państwie może się znacznie pogorszyć. Nie łudźmy się, drodzy państwo. Bomby, które wczoraj eksplodowały, uszkodzając Święty Meczet w Mekce i zabijając stu pięćdziesięciu muzułmańskich pielgrzymów, wywołały gwałtowną reakcję w całym świecie islamu. My, ludzie Zachodu, nie potrafimy pojąć ogromu tego bólu, udreki i gniewu. Rozsądnie byłoby wyprowadzić stamtąd

naszych chłopców już teraz, aż sytuacja się uspokoi, i dlatego właśnie zwracam się do państwa z prośbą o rozsądek i rozwagę w relacjonowaniu wspomnianych wydarzeń.

Charles był zadowolony. Podjął temat globalnej religijnej schizmy w obliczu tych wszystkich ludzi i w przemyślny sposób odsunął na dalszy plan odpowiedź na pytanie, czy nasi chłopcy faktycznie powinni jak najszybciej wrócić do domu i właściwie dlaczego. To było dobre pytanie na początek.

Dobra robota, Malcolm.

Drugą osobą, którą za radą Malcolma miał wybrać, była siedząca również z przodu korespondentka News 24. Nie pamiętał tylko jej imienia, ale kojarzył ją z twarzy. Kiedy skinął na nią, przez chwilę zastanawiał się, jakie pytanie ustalili wspólnie z Malcolmem. To właśnie Malcolm zasugerował, aby odpowiedzi udzielał własnymi słowami, dzięki czemu miały one wydawać się bardziej szczerze i nieprzygotowane wcześniej. Nieważne. Malcolm naprawdę był niezły w tym, co robił.

Charles mu ufał.

- Janet Corby, News 24 - powiedziała głośno i dobitnie. - Wybuch zamieszek w Arabii Saudyjskiej i Iraku najwyraźniej przyćmił kilka innych wydarzeń, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin, panie premierze. Mam tu na myśli, rzecz jasna, katastrofę tankowca w cieśninie Ormuz. O ile mi wiadomo, statek ten stracił sporą część ładunku, wciąż płonie i potrwa to jeszcze jakiś czas. Krążą plotki, że tankowiec wpadł na minę umieszczoną na jego szlaku żegludowym.

Charles poczuł, że się czerwieni.

- To bardzo skutecznie zablokowało jeden z najbardziej uczęszczanych szlaków żegludowych - kontynuowała Janet Corby. - Do tego jeszcze wybuch w wenezuelskiej rafinerii Paraguana. I kilka innych eksplozji zarówno na odcinkach rurociągu, jak i w pobliżu rafinerii w Baku, w Kazachstanie...

Chryste, już widzę, do czego to zmierza.

- Wszystkie te incydenty wydarzyły się w ciągu zaledwie kilku godzin, jeden po drugim...

- Owszem, wiemy o tych wszystkich niezależnych od siebie incydentach, ale ich szczegóły nie są na razie jasne. Nie wiemy, co konkretnie się tam stało - wtrącił Charles. - Myślę jednak, że w obecnej chwili powinniśmy raczej skoncentrować się na niepokojach na Bliskim Wschodzie. To stamtąd...

Dziennikarka nie zamierzała odpuścić.

- Panie premierze, te, jak pan mówi, niepowiązane ze sobą incydenty, podobnie jak szerzące się niepokoje, są jedną z przyczyn naszej dzisiejszej obecności tutaj i także nas

interesują.

Cholera, cholera, ona chce podjąć temat, którego mieliśmy unikać

- Obecnie najpoważniejszą sprawą jest zapewnienie, by strach, gniew i nienawiść, jakie rozszalały się na Bliskim Wschodzie, nie rozprzestrzeniły się na społeczność muzułmańską w naszym kraju. Mamy ponad dwa miliony...

- Panie premierze, istota sprawy nie ma nic wspólnego z religią ani z tym, co mogą zrobić lub nie brytyjscy muzułmanie...

Wejść jej w słowo i zmienić temat.

- Przepraszam, ale musimy jeszcze dać szansę komuś innemu - rzekł, uśmiechając się do niej przepraszająco. Powiódł wzrokiem po twarzach innych dziennikarzy, z których większość trzymała ręce w górze, i wykonał gest niezdecydowania, jakby nie mógł wybrać, kogo teraz powinien dopuścić do głosu. Postawił na znajomą twarz Louisa Sergeanta, korespondenta politycznego News Review, BBC2. - Louis? - powiedział.

- Dziękuję, panie premierze. Chciałbym pójść dalej tym samym tropem, który zapoczątkowała moja koleżanka z News 24.

O kurwa.

- Wypadki, o których była tu mowa, nie sprawiają wrażenia niezwiązanych ze sobą incydentów. Wręcz przeciwnie, wydają się przemyślaną i szczegółowo zaplanowaną próbą przerwania ogniw globalnego łańcucha zaopatrzenia w ropę naftową. Moje pytanie brzmi: W jakim stopniu nasz kraj jest narażony na reperkusje z tego tytułu?

Charles spojrział na dziennikarza BBC, uświadamiając sobie, że nie zdoła się wymigać od odpowiedzi na to pytanie, wybierając z tłumu kolejnego przedstawiciela prasy lub mediów. Najwyraźniej oni wszyscy wyczuwali, że coś się święci. Gdyby próbował uchylić się od odpowiedzi, mogłoby to zostać bardzo źle przyjęte. Potrzebował jednak kilku sekund do namysłu, aby zastanowić się nad najlepszą odpowiedzią.

- Przepraszam - rzekł - czy mógłby pan powtórzyć pytanie?

- Panie premierze, istnieje poważne zagrożenie, że dostawy ropy naftowej do naszego kraju zostaną przerwane. Do jakiego stopnia jesteśmy narażeni na reperkusje związane z takim obrotem wydarzeń?

Rozdział 30

godz. 13.32 czasu Greenwich

Whitehall, Londyn

- Do jakiego stopnia jesteśmy narażeni? - zapytał premier, powtarzając pytanie, aby zyskać kilka sekund na zastanowienie się nad odpowiedzią.

Pokręcił głową ze znużeniem w nadziei, że wygląda jak ktoś, kogo śmiertelnie zmęczyło użeranie się z banalnymi, nieistotnymi sprawami. Na jego czole perlily się pierwsze kropelki potu.

Jezu, ależ tu gorąco.

- Proszę posłuchać - odparł Charles - oczywiście, że to, co się dzieje, może ze zrozumiałych względów wywołać u nas reperkusje. Między innymi dlatego zawieszono na dziś działanie Giełdy Papierów Wartościowych. Gwałtowny wzrost ceny za baryłkę ropy może stanowić spory problem dla naszej ekonomii...

- Nie chodziło mi o cenę baryłki ropy. Tylko o dostępność tego surowca - naciskał dziennikarz.

- Cóż, to oczywiste, że dopóki problem sam się nie rozwiąże, zapasy ropy z tamtego regionu będą mocno uszczuplone. To, rzecz jasna, całkiem zrozumiałe i łatwe do przewidzenia, a do czasu, aż najwięksi dostawcy z Bliskiego Wschodu nie uporają się ze swoimi problemami, będziemy musieli zaspokajać nasze potrzeby surowcami z innych źródeł.

Głos z końca sali przerwał ciszę, jaka zapanowała, kiedy Charles zamilkł na chwilę dla lepszego efektu.

- Czyli skąd?

Uważaj, to zaczyna wymykać się spod kontroli.

Dziennikarz mówił dalej:

- Dostawy ropy z rejonu Morza Kaspijskiego zostały wstrzymane po wybuchach bomb w rafinerii w Baku i okolicach. O ropę z pozostałych rurociągów będą walczyć między sobą Rosja, Chiny i Indie. Czy wie pan, że pomniejsze eksplozje w Nigerii skutecznie unieruchomiły rafinerie w Alesa-Elleme, Warri i Kadunie?

Charles pokiwał głową - wiedział. Miał nadzieję, że wydarzenia na Bliskim Wschodzie zdołają zatuszować takie drobiazgi. Ofiar w ludziach było mało, uszkodzenia niewielkie, ale

oczywiście na tyle poważne, że trzy kompleksy rafineryjne zostały całkowicie zneutralizowane.

- Moje pytanie brzmi następująco: Skąd konkretnie weźmiemy ropę, która będzie nam potrzebna jutro, panie premierze?

- Cóż, ma pan rację, w chwili obecnej do Wielkiej Brytanii nie dociera wiele dostaw ropy naftowej...

No i zaczęło się.

Charles raz jeszcze zerknął na Malcolma, który prawie niedostrzegalnie skinął głową.

- Mamy jednak w naszym kraju rezerwy, które pomogą nam przetrwać te... zgrzyty - skrzywił się, wypowiadając ostatnie słowo. Miał wrażenie, że z ledwością przeszło mu przez gardło.

- A jak długo potrwią te zgrzyty? - zawołał inny dziennikarz z końca sali.

- Na jak długo starczą rezerwy? - zakrzyknął kolejny

Dla Charlesa było oczywiste, że cała historia dotycząca wojny religijnej została brutalnie zepchnięta na dalszy plan. Sukinsyny zwietrzyły krew i jak sfera psów gończych rzuciły się na ofiarę. W sali nagle zapanowała cisza, wszyscy wychylili się lekko do przodu, pragnąc poznać odpowiedź na ostatnie wykrzyczane z tłumu pytanie. Charles zdał sobie sprawę, że dotarł do granicy. Mógł próbować wcisnąć im kit, usiłując powrócić do ustalonego wcześniej planu albo odpowiedzieć na pytanie, które mu zadano.

Najpóźniej przed końcem dnia i tak dowiedzą się o ropie... albo nawet w ciągu kilku najbliższych godzin.

Nagle Charles zorientował się, że najlepszym posunięciem taktycznym będzie szczerść. W najgorszym razie mógł dzięki temu zyskać w oczach innych jako polityk, w najlepszym otwarte, niepohamowane błaganie o spokój i współpracę skierowane pod adresem opinii publicznej mogło usprawiedliwić i uczynić łagodniejszymi do zniesienia planowane restrykcje, które już wkrótce miały zostać wprowadzone.

Wziął głęboki oddech.

- Mamy rezerwy na co najmniej kilka miesięcy. Ale, rzecz jasna, będziemy musieli wykorzystywać je z zachowaniem zdrowego rozsądku.

Janet Corby z News 24 wstała z miejsca.

- Czy zamknięcie portów lotniczych i dworców kolejowych jest związane ze sprawą ropy?

Zanim zdążył odpowiedzieć, z końca sali wykrzyczano kolejne pytanie:

- Panie premierze, krążą pogłoski, że kilka dużych punktów dystrybucji ropy zostało

zajętych przez wojsko. Czy to pierwszy krok do wprowadzenia kontroli dystrybucji? Do racjonowania paliw?

- No cóż, bez racjonowania paliw raczej się nie obejdzie, przynajmniej do pewnego stopnia - odparł pośpiesznie. - Zdrowy rozsądek podpowiada, abyśmy na tym etapie...

- A co z zasilaniem? - zawołał innych dziennikarz. - Czy możemy się spodziewać przerw w dostawach prądu?

Charles pokręcił głową.

- Za wcześnie jeszcze, abyśmy mieli martwić się o przerwy w dostawach prądu, żywności...

O cholera.

Kilka osób na sali aż poderwało się z miejsc.

- Czy może to mieć wpływ na nasze zapasy żywności?

- A co z transportem zapasów żywności? Co z importem?

Wiedział, że musi uciąć ten temat, i to jak najszybciej. Zanim się odezwał, uniósł rękę, aby ich uciszyć. Trochę trwało, nim chór podniesionych głosów przycichł na tyle, aby mogli go usłyszeć.

- Nie ma powodów do paniki. Zaręczam, że naprawdę nie ma powodów. Opracowano specjalne plany i scenariusz na wypadek tego typu zdarzeń, scenariusz, w którym dochodzi do sytuacji tymczasowego wstrzymania globalnej dystrybucji nieprzetworzonej ropy naftowej...

- Czy ściągacie wojska z Iraku, aby zaprowadziły w kraju porządek? - zawołał ktoś.

Ten komentarz sprawił, że w sali zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Ta cisza, jak stwierdził Charles, trwała co najmniej o dwie sekundy za długo.

Wiedzą, że rzekoma troska o zdrowie i życie naszych chłopców to pic na wodę.

- Tak - odparł. - Będziemy potrzebować wojska dla utrzymania porządku.

- Czy to oznacza, że w Wielkiej Brytanii zostanie wprowadzony stan wyjątkowy?

Zdał sobie sprawę, że zbyt wiele prawd czekało na ujawnienie. Przez ostatnie osiemnaście godzin robili, co mogli, pod płaszczykiem sprytnie spreparowanych historyjek i gładkich kłamstewek. Właściwie mieli szczęście, że nikt wcześniej nie próbował dociec prawdy. Może to była jedyna okazja, kto wie, czy nie ostatnia, aby zwrócić się do opinii publicznej z prośbą o pomoc, zachowanie spokoju i opanowanie.

Widział kiedyś na filmie gest; ktoś podobny do Morgana Freemana grał w nim prezydenta USA. To był naprawdę mocny gest, o którym skrycie marzył, pełniąc przez ostatnie trzy burzliwe lata funkcję premiera. Cóż, okazja po temu właśnie się nadarzyła. Instynkt podpowiedział mu, że powinien tak postąpić.

Mieszkańcy tego kraju właśnie to powinni teraz zobaczyć: mocny, zdecydowany, konkretny gest silnego człowieka, a nie roztrzęsionego jak galareta polityka. Charles podniósł kartki leżące przed nim na pulpicie i przedarłszy je bez słowa na pół, wyrzucił je przez ramię.

- Dobra, chyba dość już bzdetów jak na jeden dzień. Zaslugujecie na coś lepszego.

W sali znów zapadła cisza. Kropelka potu spłynęła mu po twarzy.

- Tak - ciągnął - prawda jest taka, że mamy pewne problemy. I dopóki cały bałagan się nie ustabilizuje, będziemy musieli radzić sobie z tym, co mamy. Rezerwy ropy i zapasy żywności powinny wystarczyć nam do czasu, aż wszystko wróci do normy. To fakt, nie mamy ich zgromadzonych w jednym tajnym rządowym magazynie, lecz są rozmieszczone po wszystkich miastach i miasteczkach, na każdej ulicy. Sklepiki na rogu, supermarkety i osiedlowe sklepy spożywcze, stacje benzynowe... wszystkie te miejsca posiadają rezerwy, których będziemy potrzebować, aby przetrwać ciężkie chwile. Proszę was wszystkich, abyście zechcieli ze mną współpracować. Będziemy musieli wprowadzić racjonowanie żywności, jaką dysponujemy, ograniczyć sprzedaż benzyny i ropy wyłącznie do kluczowych jednostek - innymi słowy, przyjdzie nam zacisnąć pasa, tak jak to już kiedyś zrobiliśmy sześćdziesiąt lat temu, podczas drugiej wojny światowej.

I to by było na tyle. Charles zdał sobie sprawę, że wyczerpał temat. To wszystko, co miał do zaoferowania. Cisza, jaka nastąpiła, była naprawdę przerażająca.

Boże, co ja, kurwa, narobiłem?

W tej samej chwili uświadomił sobie, że trochę przesadził ze szczerością. Zamiast zainspirować naród, aby sięgnął i ożywił niezłomnego ducha Dunkierki, aby zwarł szeregi i zjednoczył siły, by przetrwać ten kryzys, swoją wypowiedzią przeraził wszystkich, zarówno w sali, jak i poza nią, do tego stopnia, że byli gotowi zerwać się z miejsc i czym prędzej pobiec do najbliższego sklepu, zanim będzie za późno.

W sali konferencyjnej znów rozległ się chór podniesionych głosów. Charles miał przed sobą istne morze kamer i twarzy. Wszyscy wstali z miejsc i unieśli ręce. Odwrócił się od pulpitu trochę za szybko, uświadamiając sobie, jak będzie to wyglądało w wieczornych wiadomościach.

Jak ucieczka.

Zmierzając w stronę drzwi, spojrzął z ukosa na Malcolma. Spodziewał się, że tamten będzie kiwał głową ponuro na znak, że Charles kompletnie pokpił sprawę, ale miast tego dostrzegł na jego ustach ledwie widoczny cień uśmiechu.

Rozdział 31

godz. 14.15 czasu Greenwich

Hammersmith, Londyn

Wytaczając wózki przez parking przy supermarkecie w stronę furgonetki Daniela, Leona zauważyła pierwszy z wielu, bardzo wielu samochodów skręcających na plac parkingowy od strony ulicy. Zjeżdżały się jeden po drugim, zatrzymując się tylko na światłach, aby przepuścić przechodniów.

Dan też zwrócił na to uwagę.

- Robi się tłoczno.

- Ano tak.

- Czy teraz pojedziemy do domu? - zapytał Jacob. - Czy zabierzecie mnie z powrotem do szkoły?

- Do domu - odparła bez namysłu, patrząc, jak jakaś kobieta wjeżdża z impetem na parking, zatrzymuje wóz i wyskoczywszy zeń, biegnie przez plac w stronę wejścia do supermarketu. Zobaczyła, jak inny kierowca wykonał równie ryzykowny i niebezpieczny manewr, ale źle oszacował odległość i stuknął w jedno z zaparkowanych aut, w którym zaraz włączył się alarm. Kierowca wysiadł, nie zwracając uwagi na hałas, zablokował centralny zamek i pognał w stronę wiaty dla wózków. A tymczasem wciąż zjeżdżały się kolejne auta.

- Pospieszmy się - rzekła do Daniela.

Pokiwał głową, otworzył tylne drzwiczki furgonetki i zaczął wprawnie wrzucać do środka puszki i butelki z wodą, które zdołali nabyć, opróżniwszy przy tym konto bankowe Leony. Dołączyła do niego, wkładając do furgonetki zawartość swojego wózka.

Chyba zaczynają uświadamiać sobie prawdę.

Miała nadzieję, że gładko i bezpiecznie dotrą do domu, pozamykają drzwi na cztery spusty i odetchną z ulgą, zanim wybuchnie ogólnokrajowa panika. Ale najwyraźniej to już się zaczęło.

Może ktoś ogłosił to w mediach?

Tak. Premier. Miał przecież w porze lunchu wystąpić w telewizji.

Zwinna terenówka wjechała na parking i z piskiem opon zatrzymała się na wolnym miejscu parkingowym obok nich. Kobieta siedząca za kierownicą zdążyła skrócić dosłownie

w ostatniej chwili, przewracając jeden z wózków i wysypując znajdujące się w nim puszki na ziemię.

Wyskoczyła z auta i zamknęła je, kiedy już od strony pasażera wygramolił się jej mąż, po czym przestąpiła rozsypane puszki.

- Biegnij po wózek, Billy! - zawołała, przechodząc obok, a Daniel i Jacob patrzyli na nią w milczeniu z nieskrywaną konsternacją.

Leona zastąpiła jej drogę.

- Zobacz, co zrobiłaś - rzuciła lodowatym tonem.

Kobieta, tleniona blondynka o zaciętej twarzy, z pomarańczową opalenizną, prawie jej nie zauważyła.

- Z drogi, kotku.

- Hej, wywróciłaś nasze rzeczy!

Kobieta nie odpowiedziała i odepchnawszy Leonę bezceremonialnie na bok, postąpiła krok naprzód.

Leona schwyciła ją za przegub.

- Hej, ty!

Kobieta nie mogła jej dłużej ignorować.

- Spadaj! - warknęła.

- Ale, popatrz...

- Puść albo zaraz, kurwa, złamię ci nos.

Leona natychmiast ją puściła i cofnęła się o krok. I właśnie wtedy do sprzeczki włączył się Daniel.

- Zaczekaj no, paniusiu - rzekł, omijając dwa pozostałe, nieomal puste wózki, by dołączyć do Leony

Kobieta spojrzała na niego z wyraźną pogardą. A potem zawołała męża:

- Billy!

Mężczyzna, krępy, w średnim wieku, z nieco sflaczałym już brzuszkiem, który musiał być kiedyś mocno umięśniony i równie pomarańczowy od kwarcówki jak ona, z wyblakłymi sinymi tatuażami na obu przedramionach, odwrócił się i natychmiast zaczął iść w ich stronę.

- Lepiej zejdź mi z drogi, wypierdku - rzekła kobieta.

Daniel nie ruszył się z miejsca, ale Leona widziała, że był roztrzęsiony jak ujadający zaciekle psiak uwiązany na smyczy przed pubem.

- Przepuść ją, Dan. Nie warto. Musimy jechać.

Daniel raz jeszcze spojrzał na Billy'ego, po czym z pewnym wahaniem odstepił na bok,

pozwalając kobiecie przejść. Ta natychmiast podbiegła do męża, nie oglądając się za siebie i wskazując palcem w kierunku wiaty dla wózków, jej mąż zdążył jednak posłać im długie, groźne, nienawistne spojrzenie, zanim odwrócił się i złapał jeden z pozostałych wózków. Leona domyśliła się, że gdyby nie pośpiech, mięśniak Billy z radością udekorowałby drzwi furgonetki Daniela krwią i smarkami z jego rozkwaszonego nosa.

Daniel odetchnął z ulgą.

- Cholera, już myślałem, że mi dołoży. Naprawdę.

- Ja też! O Boże.

Leona zlustrowała wzrokiem parking. Jeszcze pół godziny temu był w połowie pusty, teraz nie było gdzie szpilki wcisnąć, wszędzie stały auta, wiele osób przyszło też na piechotę. Dochodziło do przepychanek, ludzie kłócili się o wózki albo próbowali się dostać do sklepu na siłę, nie pozwalając wyjść klientom, którzy wytaczali wózki z zakupami na zewnątrz.

- Wynośmy się stąd jak najszybciej.

- Dobra - rzekł Dan, podnosząc z ziemi ostatnią puszkę.

To dopiero początek. Jacy będą ludzie jutro? Albo za tydzień?

- Dokładnie tak, jak mówił tato - wyszeptła trwożliwie Leona, kończąc przerzucanie puszek do furgonetki.

- O co ci chodzi? - zapytał Dan.

Wskazała na parę z terenówki biegnącą z wózkiem w stronę wejścia do supermarketu i przedzierającą się do środka między klientami, których wózki wypełnione były górą rozmaitych produktów.

- Prawo dżungli.

Goldhawk Road, ulica odchodząca od gwarne go zwykle zieleńca w centrum Shepherd's Bush i wiodąca na nieco spokojniejsze, cichsze przedmieścia, po południu w dni robocze była zwykle pusta. Dziś jednak panował tu tłok, jakiego Leona nigdy dotąd nie widziała. Na chodnikach po obu stronach szli ludzie z pełnymi reklamówkami, wózkami i torbami na kółkach. Droga była zakorkowana. Niekiedy bywało tak w porannych godzinach szczytu albo w dniu meczu na pobliskim stadionie White City

Spojrzała na zegarek, była dopiero trzecia po południu.

- Wszyscy wcześniej wrócili do domów - powiedział Dan - żeby zrobić zakupy w sklepach.

Zauważyła stojak na gazety przed sklepikiem, który miał swoich stałych klientów i gdzie ustawiła się długa do samej ulicy kolejka. Poniżej bannera „Evening Standard” spostrzegła

stronę tytułową gazety z wielkim nagłówkiem: „Błagam, tylko bez paniki - premier”.

I nagłówek z pierwszej strony innej gazety: „Skończy się ropa i żywność!”.

Leona wskazała na nie.

- A więc to już. Teraz wszyscy już wiedzą.

Daniel spojrział na nią.

- Naprawdę będzie tak źle, jak mówisz?

- Mówię tylko to, co słyszałam od taty przez kilka ostatnich lat.

Patrzyła na pełne desperacji twarze ludzi po obu stronach ulicy.

Większość przechodniów maszerowała w stronę Green albo Hammersmith, gdzie znajdowały się duże supermarkety. Zastanawiała się, czy na półkach wciąż jeszcze była jakaś żywność, czy może zostały doszczętnie ogołoczone.

- Spójrz na tych wszystkich ludzi, Dan. Ilu z nich twoim zdaniem wie, jak wyhodować choćby coś tak prostego, jak pomidor?

- Że co?

- Kiedy ogołocą wszystkie sklepy i zjedzą to, co zabrali do domu, wszyscy będą głodować.

Daniel pokręcił głową.

- Zaufaj mi, Leona, nie będzie aż tak źle.

- Doprawdy? A skąd twoim zdaniem zdobędziemy żywność, jeśli kłopoty z ropą się przedłużą?

Jacob wychylił się do przodu pomiędzy siedzeniami.

- Leona - rzekł - czy świat naprawdę się skończy?

- Nie wygłupiaj się, Jake - odparła - choć przez pewien czas będzie nam nieco ciężiej niż dotychczas.

Nie spodobało się jej, że tak go zbyła, bo zdawała sobie sprawę, iż chodzi o coś więcej niż o to, że „będzie im nieco ciężiej”. Na razie jednak nie chciała słuchać milionów pytań, jakimi by ją zasypał, gdyby udzieliła mu odpowiedzi trochę bardziej zgodnej z prawdą.

Właśnie wtedy dopadł ich jęk policyjnej syreny, a chwilę później policyjna furgonetka włączyła się do ruchu, lawirując między pojazdami, które posłusznie usuwały się jej z drogi. Kiedy pojazd przejechał obok, Leona uniosła wzrok i przez tylną szybę ujrzała zacięte, posępne twarze ludzi siedzących wewnątrz. Dostrzegła też smukłe czarne kształty czegoś, co wyglądało jak lufy karabinów. Podejrzewała, że starali się ukryć broń, aby nie rzucała się z nadto w oczy. Ale im się nie udało... a może o to właśnie chodziło. Może zrobili to celowo?

- Policja ma broń - rzekła półgłosem, kiedy furgonetka pojechała dalej.

Jacob rozpromienił się i zawołał wesoło:

- Ale ekstra!

Rozdział 32

godz. 14.45 czasu Greenwich
autostrada M1, na północ od Birmingham

Blokada była zaledwie o kilkanaście samochodów przed nimi - rząd pomarańczowych stożków rozstawionych równo w poprzek trzech pasów jezdni i na poboczu. Za tą wątlą zaporą zderzak w zderzak stały trzy land rovery drogówki. Sześciu policjantów którzy w nich przyjechali, aby ustawić tę blokadę, próbowało się uporać z narastającym tłumem kierowców. Wszyscy wysiedli z aut, by się dowiedzieć, co było przyczyną zamknięcia autostrady.

Jenny odwróciła się, by wyjrzeć przez tylną szybę taksówki. Za nimi już zaczął tworzyć się korek. Znaleźli się w samym środku rzeki nieruchomych ciężarówek, furgonetek i aut osobowych, dłużej jak okiem sięgnąć.

- Nigdzie nie pojedziemy - rzekł Paul Davies, mężczyzna, którego Jenny poznała parę godzin temu i z którym do spółki wynajęła taksówkę.

- Na to wygląda - mruknęła.

Paul spojrział na kierowcę, który przeszedł obok nich, by dołączyć do tłumu gromadzącego się nieopodal. Otworzył drzwiczki i wysiadł na szosę.

- Ja też idę - rzekła Jenny, również chcąc wiedzieć, co się stało.

Szła za Paulem, lawirując między stojącymi autami i ciężarówkami, by w końcu dotrzeć do gromady zdeorientowanych kierowców klócających się z policją.

- Nie możecie tak zablokować drogi! - zawołał kierowca ciężarówki. - Muszę jeszcze dziś po południu dostarczyć pieprzony ładunek na miejsce!

Gliniarz z drogówki stojący naprzeciw niego, za pacholkami pokręcił głową ze współczuciem.

- Przykro mi, kolego, droga jest zamknięta do odwołania. Nic na to nie poradzimy.

- To ma coś wspólnego z tą całą konferencją prasową - rzekł mężczyzna stojący obok Jenny.

Odwróciła się do niego.

- Że co?

- Nie słuchałaś relacji? - odparł z wyraźnym zdziwieniem.

- Nie. A co się stało?

- Wystąpienie premiera. Nic o tym nie wiesz?

Pokręciła głową.

- Wygląda na to, że mamy kompletnie przewalone. Zapowiedział racjonowanie benzyny i wszystkiego.

Jenny zauważyła, że otaczający ją ludzie zaczęli uświadamiać sobie powagę sytuacji. Byli nie tylko rozzłoszczeni, wyczuwała narastającą w nich panikę jak przepływające ładunki elektryczne. Niedobrze.

- Mam wrażenie, że kroi się coś naprawdę paskudnego - dodał szeptem mężczyzna, patrząc na nią. - Ktoś w telewizji mówił, że nie dalej jak pod koniec tygodnia może nam grozić głód.

Jeden z policjantów sięgnął do wnętrza radiowozu po mikrofon.

- Proszę wszystkich o powrót do pojazdów! - rzekł głosem wzmocnionym przez głośniki na dachu radiowozu. - Ta autostrada pozostanie zamknięta. Musicie wrócić tam, skąd przyjechaliście!

Ogorzały mężczyzna z przodu w przypiływie złości kopnął jeden z pachołków. Postąpił krok w stronę policjantów.

- Chyba sobie, kurwa, kpicie - wycedził, wskazując korek na szosie. - Mam tu tira z pełną naczepą. Jak mam nim zawrócić, wy tępe...

- Cofnąć się za pachołki! - zawołał jeden z policjantów.

- Bo co? - odrzyknął mu prosto w twarz - To jakiś kit!

- Cofnąć się wszyscy! - zawołał policjant przez mikrofon. - Ta droga jest zamknięta!

Jenny widziała, jak kierowca ciężarówki wciąż krzyczy, a jego słowa utonęły wśród kakofonii gniewnych głosów. Uniósł dłoń zaciśniętą w pięść i machnął nią policjantowi przed nosem. Gliniarz najwyraźniej potraktował to jako oznakę zagrożenia. Schwycił go za przegub i zaczął wykręcać tamtemu rękę, usiłując go obezwładnić. Kierowca tira drugą ręką trzasnął policjanta w podbródek, powalając go na ziemię. Jenny z narastającym niepokojem patrzyła, jak trzech pozostali gliniarze spieszą na pomoc koledze, podczas gdy przez prześwit między pachołkami zaczęło przechodzić coraz więcej ludzi.

Paul odwrócił się do niej.

- Jezu, to się wymyka spod kontroli!

Ludzie mijali Jenny patrzącą, jak policjanci mocują się z powalonym na ziemię kierowcą tira. Młoda kobieta zaczęła podnosić pachołki i przestawiać je na środkowy pas, podczas gdy korpulentny mężczyzna w średnim wieku, w drogim garniturze uznał, że ktoś powinien przejąć inicjatywę i przestawić policyjne radiowozy gdzieś dalej, by wszyscy mogli

przejechać. Otworzył drzwiczki od strony kierowcy w najbliższym z nich, wszedł do środka, zapuścił silnik i powoli wycofał samochód aż na skraj pobocza.

Policjant z mikrofonem rzucił oschle:

- Natychmiast zatrzymaj wóz i wysiądź.

To, co zdarzyło się później, stało się jakby trochę za szybko, zaledwie w ciągu kilku sekund.

Jeden z gliniarzy, cofając się przed naporem tłumu, podszedł do drugiego land rovera, otworzył drzwiczki i wyjął broń. Jenny przez moment miała nadzieję, wierzyła, że wszyscy zobaczyli tę broń i przepychanki się skończą, a mężczyzna za kółkiem radiowozu zatrzyma się i posłusznie wysiądzie z auta.

On ma broń... Glina z drogówki ma broń.

Jenny pomyślała, że to wystarczy, aby wszyscy w jednej chwili odzyskali zdrowy rozsądek.

Ale tak się nie stało.

Policjant wymierzył broń w jadący radiowóz i strzelił. Jeden z reflektorów eksplodował. Drugi strzał sprawił, że wszyscy zamarli, wijący się na ziemi kierowca tira i trzej próbujący go unieruchomić gliniarze, młoda kobieta przestawiająca pacholki i wszyscy inni znajdujący się w pobliżu - zastygli w bezruchu, jakby ktoś nacisnął właśnie magiczny klawisz pauzy.

Mężczyzna w garniturze za kierownicą land rovera uniósł ręce.

- Z wozu! - warknął policjant przez mikrofon.

Mężczyzna wysiadł z radiowozu z rękoma w górze.

I w zasadzie na tym ten mały dramat powinien był się zakończyć. Ale nic z tego.

Broń wypaliła raz jeszcze.

Mężczyzna w drogim garniturze zachwiał się do tyłu, a jego śnieżnobiała koszula eksplodowała strugą ciemnego szkarłatu. Przez chwilę Jenny nie mogła uwierzyć własnym oczom, sądziła, że ktoś z tłumu strzelił do tamtego z karabinka na farbę, jakich używa się przy grze w paintball.

Facet zatoczył się do tyłu i osunął po burcie radiowozu na ziemię.

Glina trzymający broń wyglądał, jakby był w szoku, szczęka mu opadła, twarz poszarzała. Jenny wiedziała, że nie zrobił tego rozmyślnie. To był wypadek; trzymał broń w niewłaściwy sposób, zbyt mocno opierając palec na spuście i nie celując w ziemię, jak powinien. Ci ludzie nie zostali odpowiednio przeszkoleni w posługiwaniu się bronią palną, byli kompletnie zdezorientowani i bliscy paniki. Nie umieli poradzić sobie z sytuacją.

- Cholera. Ja nie chciałem... - rzucił głośno policjant z bronią, wpatrując się z

niedowierzaniem w leżące na ziemi ciało.

Jeden z kierowców, stojący obok niego potężny mężczyzna, otrząsnął się z odrętwienia i wyrwał broń z ręki zszokowanemu gliniarzowi.

Kiedy Jenny wspominała później tę sytuację, uznała, że zwalisty facet odebrał pistolet oszołomionemu gliniarzowi nie po to, by jej użyć, lecz by nie powtórzył się dramat, jaki rozegrał się przed chwilą.

Jednak w sytuacji pełnej napięcia ten gest został błędnie zinterpretowany.

Policjant z mikrofonem wyjął ze swojego radiowozu drugi pistolet i wycelował w olbrzyma. Pośród hałasu panującego dokoła, głośniejszych krzyków i zamieszania Jenny nie była pewna, czy gliniarz z drogówki ostrzegł tamtego, zanim oddał pierwszy strzał. Jego kula drasnęła zwalistego mężczyznę w ramię, a ranny osunął się na kolana.

Tłum, który dotąd parł naprzód, zaczął się rozpraszać we wszystkie strony. Paul schwycił Jenny za rękę i pociągnął ją z powrotem w stronę taksówki; jej kierowca wychylał głowę, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

- Szybko!... - rzucił. - Zaraz zrobi się tu jeszcze paskudniej.

Jenny obejrzała się przez ramię, spoglądając na blokadę. Pozostali policjanci także wyjęli broń z radiowozów, ale na szczęście, aby rozproszyć tłum, strzelali w powietrze, a nie do ludzi.

Czy to wciąż Wielka Brytania? Nie RPA w czasach apartheidu ani plac Tienanmen?

Jenny nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy wraz z Paulem szybko oddalali się od blokady

Chcą tylko rozproszyć tłum. To wszystko.

Nagle usłyszała za sobą donośny ryk diesla i wielki tir ruszył ciężko naprzód, bez najmniejszego trudu rozpychając na boki stojące przed nim auta. Kiedy zbliżył się do blokady, policjanci wymierzili broń w stronę ciężarówki i zaczęli strzelać.

- Pieprzyć to! - rzucił Paul, zmieniając kierunek i ruszając w stronę metalowej bariery za poboczem.

Przez chwilę odprowadzała go wzrokiem i wtedy ciężarówka uderzyła w blokujące szosę policyjne radiowozy, a Jenny odwróciła się, by patrzeć, jak policjanci bez opamiętania strzelają do przełamującego zaporę tira.

- Idziesz czy nie? - spytał Paul, unosząc drugą nogę ponad barierą. Z tyłu usłyszała huk kolejnych wystrzałów.

O cholera.

Przeszła przez pobocze, podkasła jasną bawełnianą spódnicę i przestąpiła ponad barierą.

Po drugiej stronie trawiaste zbocze opadało łagodnie w kierunku pola. Przykucnęła obok swojego towarzysza podróży; po czym wspólnie, mocno pochyleni, aby nie było ich widać od strony szosy, zeszli po stoku w kierunku nierównego, pofałdowanego pola porośniętego sięgającym do pasa rzepakiem.

Z tyłu usłyszała odgłosy silników kilku kolejnych uruchamianych ciężarówek i chrzęst taranowanych, spychanych z drogi mniejszych pojazdów. Odgłosy wystrzałów przybierały na sile. Zastanawiała się, czy doszłoby do tego, gdyby na blokadzie byli funkcjonariusze przeszkoleni do kontrolowania tłumy. Może tak, a może nie. To stało się tak nagle... od jednego przypadkowego wystrzału po prawdziwą kanonadę.

- Dokąd idziemy? - wysapała.

- Nie wiem, ale nie mam ochoty natknąć się na kolejnych spiętych, niewyszkolonych gliniarzy z bronią, którą nie potrafią się nią posługiwać. A ty?

- Nie.

Brnąc przez nierówne, błotniste pole rzepaku, Jenny raz i drugi przystawała, by z niedowierzaniem spojrzeć na blokadę za nimi, zastanawiając się, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę, czy może ona popada w obłąd.

Rozdział 33

godz. 22.00 czasu lokalnego

Al-Bayji, Irak

Andy patrzył, jak porucznik Carter przykładła dłoń do ucha i w milczeniu słucha rozmów przez słuchawkę. W końcu potaknął półgłosem i odwrócił się do czternastu mężczyzn pozostałych z jego plutonu, zebranych w jedną grupę stojącą przed nim w milczeniu. Jeden z żołnierzy stał przy murze, obserwując sytuację na ulicy, a trzech kolejnych poza terenem zabudowań sprawdzało drogę, którą mieli pójść; kilka minut temu przeszli przez mur. Zamierzali opuścić miasto tą samą drogą, którą tu przybyli z samego rana. Andy obawiał się, że w tych ciemnych, krętych, wąskich uliczkach niektórzy mogą się pogubić.

- Spróbujcie przypomnieć sobie drogę, jaką przyjechaliśmy tu dziś rano - wyszeptał Carter.

- Jeżeli się zgubicie, chłopcy, kierujcie się na północny wschód - dodał pośpiesznie Andy - Prędzej czy później dotrzecie do rzeki.

- Zgadza się. - Carter pokiwał głową. - Miejmy nadzieję, że z miejsca, do którego dojdziecie, będziecie mogli zobaczyć most.

Młody oficer wziął kilka głębokich oddechów, spoglądając na stojących przed nim mężczyzn.

Andy z niepokojem zerknął na zegarek.

- Mamy niecałą godzinę.

Carter przytaknął.

- Tak. Masz rację. Nie ma co dłużej zwlekać. Mamy godzinę, aby przejść przez miasto i na drugą stronę mostu. Transport przybędzie o jedenastej i długo na nas nie poczeka.

Żołnierze pokiwali głowami.

- W porządku, wszyscy wiecie, do jakich grup należycie. Wszyscy wiecie, dokąd zmierzacie i ile macie na to czasu. Ruszamy w pięciominutowych odstępach pomiędzy kolejnymi grupami. Gdybyście zgubili drogę, zróbcie tak, jak on mówi - wyjaśnił Carter, wskazując na Andy'ego.

- Kierujcie się na północny wschód, a dojdziecie do obrzeży miasta.

Młodzi żołnierze odpowiedzieli skinieniem głowy

- To tyle. Pierwsza grupa gotowa?

Sanitariusz kapral Denwood wstał i przywołał do siebie ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć: pięciu żołnierzy, ukraińskiego inżyniera Ustova i młodego irackiego kierowcę Salima.

- Ruszamy, a w terenie chwilowo zrezygnujemy ze zwykłych sygnałów rozpoznawczych, kapralu, bo mamy ze sobą cywili. Przez następną godzinę waszym kodem rozpoznawczym będzie Zulu, zrozumiano?

- Tak jest.

- Dobra, no to ruszajcie. Do zobaczenia po drugiej stronie mostu.

Denwood dał Ustovowi i Salimowi znak, aby dołączyli do jego ludzi. Ustov na pożegnanie uściśnął dłonie Ericha, Mike'a i Andy'ego, podczas gdy Farid poklepał młodego Irakijczyka po plecach.

Denwood wspiął się na mur, spuścił nogi po drugiej stronie i zniknął. Pozostali ruszyli za nim i w ciągu minuty drużyna Zulu wyruszyła w drogę.

Carter włączył stoper.

- Pięć minut, jako następna rusza wasza drużyna, szeregowy Tajican.

Pochodzący z Fidżi żołnierz przywołał swoich ludzi.

Andy miał wrażenie, że pięć minut mijalo przeraźliwie wolno. W końcu na znak od porucznika Cartera następna grupa, o sygnale rozpoznawczym Yankee, złożona z Tajicana, pięciu żołnierzy i Ericha, bezgłośnie przeszła przez mur.

Carter znowu uruchomił stoper.

Następne minuty zdawały się wiecznością, wreszcie młody oficer dał znak Westleyowi, by ruszył w drogę ze swoją drużyną.

- Macie sygnał rozpoznawczy X-ray Do zobaczenia za miastem - rzekł, klepiąc Westleya po plecach.

- Tak jest.

Mike odwrócił się do Andy'ego i wyciągnął rękę.

- Powodzenia.

Andy uściśnął mu dłoń.

- Do zobaczenia za godzinę.

Westley zaczekał, aż dwaj żołnierze z jego grupy oraz Mike i Farid przejdą przez mur, zanim podążył za nimi. Jego drużyna miała się połączyć z trójką zwiadowców, którzy czekali na zewnątrz w ciemnościach nieopodal zabudowań.

Zostali już tylko Andy, sierżant Bolton, porucznik Carter, dwóch lekko rannych żołnierzy

i jeszcze jeden, który trzymał straż na pozycji przy murze. Carter przywołał go teraz do siebie.

Andy spojrział na sierżanta Boltona jedną ręką przytrzymującego założony opatrunek, a pomiędzy palcami drugiej papierosa.

- Wiesz, że to cię zabije - powiedział.

Bolton uśmiechnął się drwiąco.

- Bardzo śmieszne.

Carter spojrział na sierżanta.

- Dasz radę?

Bolton stęknął, powoli podnosząc się z ziemi i zgasił papierosa.

- Nic mi nie jest.

- To świetnie. Uważaj, jak chodzisz. Denwood powiedział, że ten opatrunek jest dość prowizoryczny.

Żołnierz przy murze, skąd prowadził obserwację bulwaru, przebiegł przez dziedziniec, w ciszy dało się słyszeć pobrzękiwanie jego rynsztunku przytroczonego do uprzęży bojowej. Przykucnął obok porucznika Cartera i złożył mu krótki raport.

- Nic się tam nie dzieje, panie poruczniku. Miasto wygląda jak wymarłe. Żadnych świateł, hałasów. Nic.

- Dobra. Pora iść.

Carter pierwszy przegramolił się przez mur, po czym z Andym i innymi żołnierzami pomogli przedostać się na drugą stronę sierżantowi Boltonowi, tak by nie zsunął się założony przez sanitariusza opatrunek polowy, nie poluzował zacisk i nie otworzyła rana. Mężczyzna ukląkł w milczeniu, walcząc o oddech, widać było, że bardzo cierpi, obie dłonie przykładał do zranionego miejsca.

Przykucnąwszy pod murem, Carter spojrział przez noktowizor na swoim SA-80, pękate urządzenie zwane SUSAT umieszczone u góry karabinku szturmowego pozwalające na ograniczone, rzecz jasna, ale jednak widzenie w ciemnościach. Powiódł bronią z boku na bok, robiąc błyskawiczny przegląd wylotów kilku wąskich uliczek na wprost nich. Lekko mrużąc powiekę, wpatrywał się w ziarnisty zielonkawy obraz oglądany przez niewielkie okrągłe soczewki.

- Widzicie coś? - wyszeptał.

Dwaj żołnierze, także unosząc broń do ramienia, zaczęli rozglądać się przez noktowizory na prawo i lewo, by po chwili odpowiedzieć, że nie dostrzegają żadnego bezpośredniego zagrożenia.

- No to dobrze. Pójdziemy ulicą na wprost. Tam, przy której stoi dom, gdzie na piętrze wisi stary talerz anteny satelitarnej. Widzicie go?

- Tak - odparł jeden z żołnierzy.

- Właśnie tą drogą dziś przyjechaliśmy. Ruszajmy.

Mike patrzył na ziarniste, połyskliwe postacie członków swojej drużyny przez noktowizor na karabinku. Starszy kapral Westley przykucnął przy narożniku muru, spoglądając w stronę skrzyżowania. To właśnie tą szeroką drogą wjechali do Al-Bayji. Gdyby poszli w prawo, dotarliby w głąb miasta, idąc w lewo zaś, na jego obrzeża, przez plac targowy i stamtąd do jednopasmowego mostu nad Tygrysem.

Pozostali przepatrywali dachy i drogę po obu stronach, w prawo i w lewo, w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak aktywności.

Zobaczył Farida odpoczywającego pod ścianą i patrzącego w niebo; w noktowizorze jego oczy lśniły diabelskim zielonkawym blaskiem, migocąc za każdym razem, kiedy mrugał.

Westley przydzielił opiekę nad Faridem Mike'owi. Starszy kapral nie ufał tłumaczowi, ale nie chciał, by pilnował go jeden z jego żołnierzy.

Westley wstał i ruchem ręki nakazał, by poszli za nim. Skręcili w pierwszą ulicę, a potem w lewo, kierując się na północny wschód, do umówionego miejsca zbiórki. W oddali Mike widział, że wyższe budynki ustępują miejsca parterowym, a pusta przestrzeń sugerowała, iż znajdowało się tam targowisko i nagle dostrzegł z przodu migocące światła.

Zobaczył, że starszy kapral Westley zatrzymał się nagle, odruchowo unosząc dłoń do ucha. Ktoś komunikował się z nim przez radio. Usłyszał ochryply szept mężczyzny.

- Cholera!

Westley słuchał jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się do swoich ludzi.

- Przed nami jest spora grupa miejscowych. Mają latarki i broń. Zbliżają się do drużyny Zulu.

Usłyszeli odgłosy strzałów, pojedynczych i całych serii. Mike uniósł broń z noktowizorem do ramienia i spojrzał w głąb ulicy. Dostrzegł sporadyczne błyski i ślad pocisku smugowego wystrzelonego w górę. A potem zobaczył amorficzną błyszczącą amebę światła, która posuwała się naprzód jak prymitywny organizm rozmnażający się i dzielący bez końca.

- Niech to szlag! - syknął Westley - Te skurwiele idą w naszą stronę!

Opuszczając broń, by spojrzeć w tę stronę gołym okiem, Mike ujrzał sporą grupę mężczyzn zmierzającą powoli i ostrożnie w ich kierunku; promieniami latarek wodzili przed

sobą od jednej strony ulicy do drugiej. Tymczasem za nimi, na targowisku wymiana ognia przybrała na sile. Wyglądało na to, że tłum natknął się na drużynę Zulu, która musiała teraz torować sobie drogę ogniem.

- Cholera. Co teraz? - wyszeptał jeden z żołnierzy

Westley nerwowo rozejrzył się dokoła. Szli wzdłuż wysokiego, długiego, płaskiego muru, jak okiem sięgnąć nie było tu gdzie się schronić. Nieco dalej przed nimi, po lewej znajdowała się kolejna wąska uliczka. To oznaczałoby jednak konieczność zbliżenia się do tłumu z latarkami. Gdyby pobiegli w stronę bocznej uliczki, na pewno zostaliby zauważeni.

Naprzeciwno, po drugiej stronie ulicy wznosił się ponadmetrowy mur otaczający ogród.

Westley skinął dłonią.

- Ukryjcie się za tym murem, szybko.

Pięciu brytyjskich żołnierzy pognało co sił w nogach przez cztery pasma szerokiej ulicy, podczas gdy Mike ujął Farida za ramię i poprowadził starca za nimi. Kiedy tak człapali naprzód, noga za nogą, Mike modlił się, aby promień któregoś z latarek, tańczący od jednej strony ulicy do drugiej, nie zdołał ich wychwycić.

Mike oparł się ciężko o mur ogrodowy i przez chwilę oddychał ciężko, zanim odwrócił się do starego.

- Przejdź przez mur - rzekł do Farida.

Tłumacz nie wahał się ani chwili i bez słowa przeszedł na drugą stronę. Mike szybko zrobił to samo, dostając się do ogrodu, gdzie czekał Westley i jego czterech towarzyszy.

Zasłona chmur na niebie zaczęła się rozwiewać, pomiędzy nich popłynął srebrzysty blask księżyca w pełni.

- Cholera, to nam nie ułatwi sprawy - mruknął pod nosem Westley.

W świetle księżyca Mike mógł dostrzec wyraźnie ich wszystkich kulących się pod murem w nierównym półokręgu, a kiedy co pewien czas płynące z oddali odgłosy strzałów cichły na moment, słyszał ochrypy szum ciężkich, udreńczonych oddechów.

Rozdział 34

**godz. 19.23 czasu Greenwich
pomiędzy Manchesterem a Birmingham**

Jenny szła w milczeniu obok Paula przez kilka godzin, próbując przetrwać to, czego była niedawno świadkiem na autostradzie. Trzymali się z dala od głównych dróg; kilka razy dostrzegli w oddali konwoje wojskowych ciężarówek i policyjne radiowozy sunące po opustoszałych szosach, niespowalniające przez inne pojazdy

Stwierdziła, że pantofle na niewielkim obcasie były niedostosowane do chodzenia po polach i łąkach, które przemierzali. Żałowała, że nie spakowała do torby bardziej praktycznej odzieży; Ale skąd mogła wczoraj wiedzieć, że nazajutrz będzie maszerować na przełaj w towarzystwie nieznanego mężczyzny.

Po drodze, zmierzając na południe, jak stwierdziła na podstawie położenia słońca, kilka razy próbowała zadzwonić. Na początku nie było sygnału, a gdy go w końcu uzyskała, usłyszała nagraną wiadomość, że wystąpiły trudności z wykonaniem usługi wskutek wzmożonej liczby połączeń.

Kiedy wieczorem słońce zaczęło powoli znikać za wierzchołkami drzew na wprost nich, Paul zaczął się kierować w stronę niewielkiego lasu.

- Tędy - rzekł, spoglądając na świecący ekranik swojego palmtopa. - Po drugiej stronie powinniśmy wyjść na M1. - Najwidoczniej gadżet ten miał wbudowany GPS.

Spojrzała na las; rosnące gęsto, niemal jedno przy drugim, dojrzałe drzewa rzucające nieprzenikniony cień na poszycie poniżej. Nigdy nie przepadała za taką scenerią - cichymi, mrocznymi i przerażającymi lasami oraz puszciami. W takich miejscach, przynajmniej w bajkach, straszne rzeczy spotykały niewinne i beztroskie osoby. To, że Andy parę lat temu zabrał ją do kina na *Blair Witch Project*, bynajmniej nie poprawiło jej nastawienia.

- Musimy iść tędy? - spytała. - Nie mam ochoty na błąkanie się po lasach.

- To tylko niecały kilometr wedle wskazówek mojego małego przyjaciela. Albo osiem lub szesnaście kilometrów, gdybyśmy chcieli obejść las. Widzę, że trochę się boisz, ale zaufaj mi, dobra? Przejdziemy przez ten las raz-dwa.

Jenny spojrzała na niego.

- Jestem skonany, rozumiesz? - uśmiechnął się przeproszająco. - I chcę możliwie jak

najszybciej dotrzeć do płaskiej asfaltowej szosy. Niecały kilometr przez las i wrócimy do cywilizacji.

Spojrzała na las, na pomarańczową tarczę słońca, którego blask przesączał się między wierzchołkami drzew i widoczne na polu, przez które przeszli, długie, groźne, ciemniejsze cienie.

- Im dłużej będziemy zwlekać, tym tam będzie ciemniej.

- Dobra - rzekła z wahaniem - ale przejdźmy na drugą stronę najszybciej, jak się da, zgoda?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście.

Poszedł pierwszy, pochylając się, by pokonać ogrodzenie z drutu kolczastego. Podciągnął druty, a Jenny schyliła się i przecisnęła przez prześwit. W pewnej chwili bluzka na jej plecach, pomiędzy łopatkami, zaczepiła się o jeden z drutów.

- Au! - jęknęła.

- Pomogę ci - rzekł Paul, uwalniając ją wprawnym ruchem.

- Dzięki - szepnęła.

Nisko nad ziemią rosło mnóstwo pokrzyw, jeżyn, było też sporo połamanych gałęzi, które jakby sprzysięgły się, by zaczepiać się o jej spódnicę, rozdrapywać łydki albo parzyć kostki. Szli bardzo wolno. Niecały kilometr, a Jenny zdawało się, jakby przemaszzerowała znacznie dłuższy dystans. Tyle samo czasu, co na marsz, poświęcili na przedzieranie się przez poszycie.

Paul przystanął.

- Muszę odpocząć. A ty?

Wolałabym jak najszybciej dotrzeć na drugą stronę.

- Ja niekoniecznie - odparła.

On jednak usiadł na zwalonej kłodzie.

- Przepraszam, muszę złapać oddech. Idziemy już od dobrych paru godzin.

- W porządku. - Rozejrzała się dokoła za drugą kłodą, na której mogłaby przycupnąć, ale drugiej nie było, toteż oparła się plecami o pień drzewa i przykucnęła.

Siedzieli tak w milczeniu przez kilka minut: on patrzył na ekran palmtopa, ona raz po raz próbowała zatelefonować. Miała sygnał, ale odbierała jedynie nagrany komunikat od operatora. Sieć musiała być przeciążona, gdy wszyscy właściciele telefonów, przerażeni, próbowali równocześnie skontaktować się z bliskimi.

Paul przerwał milczenie.

- Ale popieprzony dzień, co nie?

Skinęła głową. Doskonale to ujął.

- Nie mogę uwierzyć, że policjant zastrzelił tego człowieka - ciągnął Paul, kręcąc głową.

- Ja też nie.

- W dobrej, starej Anglii takie rzeczy nie powinny mieć miejsca.

- Raczej nie.

Wyłączył palmtopa.

- Nie mam tu sygnału GPS-u. I siada mi bateria.

Jenny spojrzała na niego przejęta.

- Chyba się nie zgubiliśmy?

Uśmiechnął się.

- Nie. Wiem, gdzie jesteśmy. Na razie nie potrzeba mi GPS-u. Już mówiłem, to tylko mały spacerek przez las i znów wyjdziemy na M1.

- I dzięki Bogu. Nie zniósłabym, gdybyśmy musieli spędzić noc w tej głuszy.

- Nigdy nie nocowałaś w lesie, choćby pod namiotem?

- Nie. I nie zamierzam.

- A ja w zeszłym roku wybrałem się z kolegami na weekend paintballa. Nocne sesje z noktowizorami i w ogóle. Było super. Mocne przeżycia, ekstrema na maksa. Jeżeli chodzi o dobrą zabawę, nie ma to, jak las nocą.

Jenny bez entuzjazmu pokiwała głową.

- Wspomniałaś, że masz dzieci, o ile się nie mylę - zapytał.

Przytaknęła.

- Są teraz same w Londynie. Chcę do nich wrócić najszybciej jak to możliwe.

- Nie ma tatusia, który by się nimi zajął?

Czemu pyta o takie szczegóły?

Jenny poczuła się nieswojo sam na sam w lesie z obcym mężczyzną. Nie zamierzała opowiadać temu facetowi, że niedawno postanowiła rozstać się z mężem, z którym była przez osiemnaście lat. Przypuszczalnie potraktowałby to jako zaproszenie i zachętę z jej strony.

To nieuczciwe. Czy dał ci jakiś powód, abyś tak o nim myślała?

Spojrzała na niego. Jednak nie.

Szczerze mówiąc, było wielu innych facetów, z którymi pracowała w przeszłości i którym w podobnej sytuacji nie zaufałyby ani przez chwilę. Paul jak dotąd trzymał ręce przy sobie i unikał seksualnych aluzji. Był bardziej zainteresowany elektronicznymi gadżetami niż nią.

Ale nigdy nie wiadomo, prawda?

Och, daj spokój - złąła się w myślach. Gdyby był jednym z tych facetów, właśnie tu... i teraz powinien zacząć się do niej zbliżać... aby, jak to się mówi, wybadać grunt... zadając pytania w rodzaju: „Nie ma tatusia, który by się nimi zajął?”.

A może po prostu stara się zagaić rozmowę?

Tak uważasz? A może następane pytanie będzie brzmiało: czy jest gdzieś tam jakiś facet, który się o ciebie martwi? Albo: jest chłodno, a ty wyglądasz na zziębniętą. Może usiądziesz przy mnie...

- Chodźmy - rzekł Paul, podnosząc się z kłody. - Widzę, że czujesz się tu nieswojo. Jak się pospieszymy, powinniśmy wyjść na drogę, zanim zapadnie noc.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- To dobry pomysł.

Udało im się przedrzeć przez gąszcz, który, zdawałoby się, za wszelką cenę chciał uniemożliwić im dotarcie do autostrady. Kiedy słońce pochyliło się za horyzont, poza rzędem odległych turbin wiatrowych, na szczycie wzgórza, wyszli z lasu i zeszli na szosę po stromym trawiastym zboczu.

Zlustrowali sześć pustych pasów autostrady i w obu kierunkach, jak okiem sięgnąć, nie dostrzegli żadnego pojazdu.

- Ale dziwnie to wygląda - rzucił Paul.

Skreśli w prawo, kierując się na południe, ciesząc się z twardego płaskiego podłoża pod stopami.

- Bardzo chce mi się pić - rzekła Jenny.

- Tak, mnie też. Idę o zakład, że niedługo coś tu znajdziemy. Ten odcinek M1 jest usiany mnóstwem przydrożnych barów i stacji benzynowych.

- Jesteś pewien? Nie uśmiecha mi się iść przez całą noc, nie mając nic do picia.

- Chryste, przejeżdżałem tędy Bóg wie, ile razy. Choć muszę przyznać, że pierwszy raz idę tą drogą na piechotę.

Uśmiechnęła się.

- Gdybyśmy byli naprawdę zdesperowani, może rozważyłbym nawet wizytę w Little Chef.

Zaśmiała się krótko.

To było przyjemne uczucie. Żarcik był średnio zabawny, właściwie to nawet nie był żart, ale miło było usłyszeć coś niepoważnego, zwłaszcza po tym, czego dziś doświadczyła.

- Musielibyśmy być naprawdę nielicho zdesperowani - odparowała. - Ale jak na razie daleko mi do tego.

Paul zachichotał i pokiwał głową.

Rozdział 35

godz. 22.24 czasu lokalnego

Al-Bayji, Irak

- Cholera, idą w naszą stronę - wysyczał Carter.

Andy powiódł wzrokiem wzdłuż wąskiej ulicy w jedną i drugą stronę. Nie było się tu gdzie ukryć, uliczka miała jakieś półtora metra szerokości i stało w niej parę małych skrzyń oraz kubłów, nic na tyle dużego, by mogli się za tym schować. Lada chwila spory oddział milicji wypatrzony przez porucznika skręci w ten zaułek i światła latarek w mgnieniu oka wychwycą grupkę uciekinierów.

Andy spostrzegł niewielkie wejście, drzwi we wnęce, w obłożonej z tynku ścianie po lewej stronie.

- Sprawdź te drzwi - rzucił do Derry'ego, młodego żołnierza, który stał obok niego.

Porucznik Carter skinął głową.

- Idź.

Żołnierz oparł dłoń na klamce i nacisnął. Drzwi były zamknięte na klucz albo się zacięły. Rozległo się zgrzytanie, kiedy żołnierz rozpaczliwie na przemian ciągnął za klamkę i napierał na drzwi.

- Na miłość boską, Derry, cofnij się o krok i rozwal drzwi z kopa! - warknął sierżant Bolton z poźółką niczym wosk twarzą, opierając się o mur nieopodal.

Szeregowy Derry cofnął się o krok, zamachnął obutą stopą i z całej siły kopnął w rdzewiejące metalowe drzwi. Na ziemię posypały się płatki rdzy, a drzwi zakołysały się w zawiasach, ale zamek wytrzymał. Od strony głównej ulicy doszły ich podniesione głosy i kilka promieni latarek omiotło wylot uliczki, gdzie się schronili, światło zakołysało się i zatańczyło gwałtownie, gdy rebelianci puścili się biegiem w tę stronę. Usłyszeli hałas i postanowili to sprawdzić.

Szeregowy Derry znów zamachnął się stopą, po raz drugi wymierzając kopnięcie w drzwi, tuż przy zamku, i tym razem otworzyły się do wewnątrz przy wtórze metalowego brzęku roztrzaskiwanego zamka.

- Do środka, jazda! - zawołał rozpaczliwie Carter.

Derry wbiegł pierwszy, a tuż za nim Andy. Jeden z dwóch pozostałych szeregowych i

Carter pomogli wstać sierżantowi Boltonowi, podczas gdy ostatni żołnierz oddał kilka strzałów, by osłonić ich odwrót, i w końcu sam też wbiegł do wnętrza budynku.

W środku panował nieprzenikniony mrok i Andy znów musiał iść po omacku, podczas gdy pozostali pomagali sobie, używając noktowizorów. Były tam betonowe schody prowadzące na górę i szorstkie ściany jak z gazobetonu, które zdzierały mu skórę z palców, gdy się o nie opierał.

Kiedy skręcali za róg, dotarłszy do drugiej kondygnacji betonowych schodów, usłyszeli dźwięk, jakby ktoś zaczął tłuc młotem pneumatycznym w zardzewiałe metalowe drzwi. Ciemna klatka schodowa poniżej eksplodowała feerią iskier, gdy kilkanaście pocisków przebiło drzwi na wylot.

- Szybciej, do cholery! - Andy usłyszał za sobą okrzyk jednego z żołnierzy.

Wbiegli po ciemku po drugiej kondygnacji schodów i nagle ujrzeli przed sobą otwarte drzwi. Andy zauważył blask księżyca przesączający się przez prostokątny otwór.

Poniżej ktoś znów wyważył metalowe drzwi kopniakiem. Andy usłyszał kroki, a potem tańczący promień latarki wspinający się po schodach w ślad za nimi. Żołnierz idący z tyłu mocno pchnął Andy'ego w stronę drzwi, po czym odwrócił się, by posłać parę kul w dół schodów.

Odgłosy wystrzałów w tej ograniczonej przestrzeni brzmiały ogłuszająco, a przeraźliwy rozdzierający krzyk z dołu świadczył o tym, że przynajmniej jedna z kul okazała się celna.

Andy chwiejnym krokiem pokonał kilka ostatnich stopni i wyszedł przez otwarte drzwi. Dźwięczało mu w uszach. Znaleźli się na długim balkonie wznoszącym się nad szeroką ulicą, zorientował się, że właśnie tą drogą wjechali dziś do miasta.

O kilka metrów pod nimi Andy spostrzegł kilkudziesięciu uzbrojonych mężczyzn i chłopców, którzy w luźnych grupach przemierzali szeroką ulicę, przeglądając drogę przed sobą w świetle latarek i rozpaczliwie próbując ich odnaleźć.

O cholera. Tylko żeby któryś z nich nie spojrział w górę.

Przed nim Carter, Bolton, Derry i jeszcze jeden żołnierz przesuwali się skuleni wzdłuż balkonu - sięgającej do pasa ściany z gazobetonu, niszczejacej, pełnej wgłębień, rys i pęknięć, która ukrywała ich przed spojrzeniami rebeliantów.

Za nimi przez otwarte drzwi na klatkę schodową Andy słyszał trwającą bez przerwy wymianę ognia, gdy ostatni członek ich grupy powstrzymywał tłum usiłujący wspiąć się po schodach.

Andy zrównał się z pozostałymi, rozpaczliwie próbując omijać wiklinowe fotele, dziecięce zabawki i rośliny w doniczkach stojące przed kolejnymi drzwiami wejściowymi. Na

balkon wychodziły niewielkie okna i choć te, które mijali, były brudne i zakurzone, ujrzeli przez nie przerażone twarze znajdujących się wewnątrz kobiet i dzieci.

Strzały na schodach nagle ucichły Andy odwrócił się, by spojrzeć wzdłuż balkonu w nadziei, że zobaczy wyłaniającego się z korytarza żołnierza.

Od strony klatki schodowej rozległ się pojedynczy wystrzał.

Strzał w głowę. Dla pewności. Już po nim.

Za chwilę wyłonią się zza tych drzwi.

- Ruszać się, kurwa! - Andy zaczął pokrzykiwać na tych przed nim, spowalnianych przez rannego Boltona, którego nieomal dźwigali.

- Są tuż za nami!

Sekundę później usłyszał, jak drzwi na balkon otworzyły się na oścież i zaraz potem posypały się pierwsze strzały. Kilka kul ze świstem przeleciało mu tuż nad głową, kiedy rozciągnął się płasko na balkonie, zahaczając stopą o nogę wiklinowego fotela.

- Tędy! Na dół! - wrzasnął do pozostałych Carter.

Andy poderwał się na nogi i pognął co sił, by do nich dołączyć. Zrównał się z Derrym, który, klęcząc, posyłał po dwie, trzy kule w stronę wyjścia, podczas gdy Carter pomagał Boltonowi zejść po wąskich schodach na dół.

- Daj mi broń - rzekł Andy do porucznika Cartera - pomogę Derry'emu ich zatrzymać.

Carter zdjął z ramienia karabinek i rzucił go Andy'emu.

- Wiesz, jak się tego używa?

Andy wzruszył ramionami.

- Mam jakie takie pojęcie.

- Boże dopomóż nam - wychrypiał Bolton.

Andy przyłożył broń do ramienia, czując w dłoniach jej kojący ciężar. Zatoczył karabinkiem szeroki łuk, przez cały czas trzymając palec na spuście, a Bolton i Carter odruchowo się skulili. Andy uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- O kurde, przepraszam.

Odwrócił się, po czym podszedł do Derry'ego oddalonego o kilka kroków od niego.

Derry oddał parę strzałów i zaraz się schylił, gdy długa seria najpierw wyszczerbiła, a następnie roztrzaskała wielką glinianą donicę tuż obok niego.

- Ożeż, kurwa wasza mać! - warknął, wyciągając się jak długi na balkonie obok Andy'ego. Uniósł wzrok, by na niego spojrzeć zdumiony widokiem broni w rękach inżyniera.

- Tak, od teraz nawet ja muszę używać broni - mruknął Andy

Po chwili wychylił się przez balkon i puścił długą serię, zmuszając ścigających, którzy

próbowali podejść bliżej, aby rozpierzchli się trwożliwie we wszystkie strony. Właściwie nie musieli wcale szukać dla siebie schronienia, gdyż odrzut uniósł lufę i kilka kul podziurawiło jedynie podłogę balkonu powyżej.

Derry wykorzystał ten czas, aby precyzyjnie przemieścić się obok Andy'ego, zejść z balkonu i znaleźć się przy schodach.

- Wal krótkimi seriami - zawołał.

- Dobra.

Andy znów nacisnął spust i oddał krótką, tym razem celniejszą serię.

- Nie mam już naboju - rzekł Derry - czyli z osłaniania tyłów wielkie gówno.

- No to idź - rzucił Andy. - Ja zatrzymam ich tu jeszcze przez parę sekund.

Derry pokiwał głową, poklepał Andy'ego po plecach i zaczął zbiegać po schodach.

Jezu, co ja wyprawiam?

Zastanawiał się, co powiedziałyby na to Jenny, gdyby mogła go teraz zobaczyć w roli naśladowcy Bruce'a Willisa.

Oddał kilka strzałów w głąb pierwszej klatki schodowej, podczas gdy Derry zbiegł drugimi schodami na dół. Niemal natychmiast z ciemności wychyliły się dwie głowy, a dwa kałasznikowy odpowiedziały ogniem. Poczł podmuch powietrza na policzku, gdy jedna z kul przeleciała zaledwie o centymetry od jego głowy, a druga zrykoszutowała od muru tuż za nim.

- Dobra, pieprzyć to - wymamrotał, podnosząc się i wychodząc za Derrym na schody. Puścił jeszcze jedną serię, aby zniechęcić wszystkich do pójścia za nim i dać pozostałym członkom swojej drużyny kilka cennych sekund.

Drużyna Whisky zebrała się ponownie u podnóża schodów, przy niewielkim, zasłanym odpadkami wyjściu prowadzącym do szerokiego na metr zaułka pełnego starych gratów, połamanych mebli, gnijących roślin, z biegnącym przez środek rynsztokiem, którym płynął strumień nieczystości.

- Teraz chyba tędy - rzekł Carter, wskazując ręką w stronę wylotu zaułka.

- Tak - odparł Andy zdyszany, z trudem chwytając powietrze - i niezależnie, czy to właściwa droga, czy nie, powinniśmy zapieprzać najszybciej, jak się da.

Rozdział 36

godz. 19.40 czasu Greenwich
Shepherd's Bush, Londyn

- To tutaj - rzekła Leona. - Skręć teraz w lewo.

Dan wyprowadził furgonetkę z niemal nieruchomego sznura pojazdów sunących przez Uxbridge Road, zjeżdżając w St Stephen's Avenue, wąską, ocienioną drzewami uliczkę, gdzie po obu stronach stały miłe dla oka, zaopatrzone w tarasy domy w stylu edwardiańskim.

- Wreszcie w domu! - ucieszył się Jacob z głębi furgonetki.

Leona odwróciła się na siedzeniu.

- Jake, zostaniemy przez pewien czas u Jill.

- Co?

Dan spojrzał na nią.

- Tak...? Myślałem, że mam cię odwieźć do domu?

- Ona mieszka trzy domy dalej i jest dobrą przyjaciółką rodziny.

- Czemu nie jedziemy do domu? - spytał Jacob.

Szczerze mówiąc, nie wiedziała dlaczego, tyle tylko że tato nalegał, aby zamiast do domu, pojechała do Jill. Nuta strachu w jego głosie sugerowała niebezpieczeństwo. W głębi duszy wiedziała, że było to związane z człowiekiem, którego zobaczyła. To wszystko mogło jednak brzmieć całkiem niezrozumiale dla Dana, Jacoba i, rzecz jasna, również dla Jill.

- Tato kazał tam jechać, Jill zajmie się nami do przyjazdu mamy albo do powrotu ojca.

- Czy nie jesteś trochę za duża, aby potrzebować niańki?

- Widziałeś, co było w Hammersmith.

Dan skinął głową.

- Tak. Wiem, o co ci chodzi.

Przejechali wolno w głąb wąskiej uliczki, przeciskając się między dużymi pojazdami rodzinnymi zaparkowanymi po części na ulicy, a trochę na chodniku. Mijając numer dwadzieścia pięć po lewej, Leona spojrzała na dom, gdzie mieszkali. Wewnątrz nie paliło się światło. Budynek wyglądał jak martwy.

- Tutaj mieszkamy - poinformował Dana Jacob, kiedy przejeżdżali obok.

Leona wskazała dom na wprost, po prawej.

- Numer trzydzieści. To dom Jill.

Jej wóz, lexus RX, stał na chodniku przed domem, ale wewnątrz było ciemno. Dan zatrzymał furgonetkę obok jej auta, a Leona szybko wysiadła. Otworzyła furtkę ogrodową i przeszła krótką ścieżką przez ogród - kilka metrów kwadratowych pomarszczonych roślin zakopanych wraz z doniczkami w żwirze - do drzwi wejściowych. Zobaczyła w skrzynce pocztowej plik reklamówek i zrozumiała, że Jill musiała wyjechać na kolejną ze swoich licznych konferencji.

- Cholera!

- Co się stało? - spytał Dan, podchodząc do niej z kilkoma siatkami w rękach.

- Wyjechała.

- Aha.

Jacob człapał wzdłuż ścieżki z torbą pełną puszek.

- Ciężka - stęknął jak męczennik.

- To co, wracamy do waszego domu? - spytał Dan.

Leona obejrzała się przez ramię na ich dom oddalony o trzydzieści metrów, po drugiej stronie ulicy

- Chyba nie mamy wyboru, skoro Jill wyjechała.

- Dobra. - Dan odwrócił się i ruszył ścieżką z powrotem.

Nie waż się iść do domu... Tam nie jest bezpiecznie.

W głosie taty pobrzmiwała nuta desperacji. Wiedział o czymś, ale nie miał czasu, by jej o tym opowiedzieć. Wykorzystał tę krótką chwilę, aby uświadomić jej, że pod żadnym pozorem nie wolno jej wrócić do domu. To wszystko, na wyjaśnienia będzie czas później.

- Zaczekajcie! - zawołała.

Dan i Jacob zatrzymali się.

Rozejrzała się niepewnie, po czym podniosła jeden z kamieni zdobiących ogródek i szybko stłukła panel z mlecznego szkła pośrodku drzwi frontowych. Szkło posypało się do wewnątrz, gdy sięgnęła ręką przez otwór, by otworzyć zasuwkę.

- O rany - rzekł Jacob - to niedozwolone.

Jill nigdy nie zamykała drzwi frontowych na cztery spusty, nawet gdy dokąś wyjeżdżała. Stawiała na zapalane włącznikiem światła w domu, a w kuchni zawsze grało radio, aby zniechęcić potencjalnego włamywacza i skłonić do wyboru innego, dogodniejszego do okradzenia miejsca. Pod tym względem była trochę szurnięta.

Drzwi się otworzyły, a Leona uchyliła je pchnięciem do wewnątrz, rozsypując przysłane reklamówki na drewnianą podłogę holu.

Dan spojrział na nią.

- Ee... Leona... to, co robisz... to włamanie z wtargnięciem.

- To przyjaciółka. Nie wniesie oskarżenia. A teraz wstawmy rzeczy do środka możliwie jak najszybciej.

Wyszła do furgonetki po torby, gdy nagle spostrzegła państwa DiMarciów mieszkających dwa domy dalej, po drugiej stronie ulicy. Mama była z nimi w bardzo dobrej komitywie, zwłaszcza z panią DiMarcio.

- Leona! - zawołała do niej kobieta naprzeciwko.

- Witam - odparła, machając ręką na powitanie.

Kobieta była szczupła i elegancka, po czterdziestce, ale, jak często powtarzała mama, wyglądała co najmniej dziesięć lat młodziej.

- Leona! Co robisz w domu? - spytała z silnym portugalskim akcentem.

- Ja... ee... rodzice kazali mi przyjechać - odparła.

- Chodzi o te wypadki? O to, co mówią w telewizji? - spytała.

- Tak.

- Hmm... okropna sprawa, prawda? Ten pan Smith, wasz premier, zapowiedział, że dojdzie do racjonowania różnych rzeczy.

- Tak. Bez tego się nie obejdzie. Tato też o tym mówił. Będzie ciężko.

Spojrzała ponad ramieniem Leony na Dana i Jacoba niosących razem kolejne pełne reklamówki.

- Kupiliście jedzenie?

Leona skinęła głową.

- Byliśmy w Tesco, kupiliśmy trochę puszek i wodę w butelkach.

Oczy pani DiMarcio powoli zaczęły się rozszerzać. Wiedziała o obsesji Andy'ego na temat Szczytu Wydobywania Naftowego, zanudził zarówno ją, jak i pana DiMarcio opowieściami na ten temat któregoś wieczoru przy kolacji, gdy wypił kilka kieliszków czerwonego wina.

- Twój ojciec? Powiedział, że będzie ciężko?

- Tak.

- Czy to, jak on to mówił, Szczyt czegoś tam?

- Szczyt Wydobywania Naftowego?

- Właśnie. Czy to...?

- Nie wiem. Ale tato kazał mi wrócić, zabrać Jake'a ze szkoły, kupić zapasy wody i żywności i pozostać w domu Jill.

Pani DiMarcio zasłoniła usta dłonią.

- *Oh, meu Deus, o teu pai estava certo!*

- Powinni się państwo pospieszyć, jeżeli chcecie jeszcze coś kupić - rzekła Leona. - Kiedy wychodziliśmy, ludzie w supermarkecie zaczęli szaleć, to było naprawdę przerażające.

- Może powinniśmy wyjechać? - rzekła pani DiMarcio bardziej do siebie niż do Leony. Głośno myślała. - Czy miasto - rzekła, zataczając szeroki łuk ręką - to jest miasto... pamiętam, że twój ojciec mówił, że miasto nie jest dobrym miejscem na przeczekaanie...

- Kryzysu?

Kobieta skinęła głową.

Leona zdziwiła się, jak wiele tamci zdołali zapamiętać. Może jednak słuchali, kiedy jej tato dał się ponieść i wygłosił jeden ze swoich katastroficznych monologów.

- Pomówię z mężem, jak wróci.

- Może dobrze byłoby wyjechać, gdyby się państwu udało - rzekła Leona. - Moglibyście się zatrzymać gdzieś na prowincji, za miastem.

- Może zabralibyśmy ciebie i Jacoba? - zaproponowała. - Miejsce w samochodzie by starczyło.

Leona pokręciła głową.

- Dzięki, ale mam surowo nakazane nie ruszać się z domu i czekać na powrót rodziców.

- Rozumiem. Pomówię z mężem. Czy mamy zostać, czy wyjechać. Pomówimy o tym.

- Dobrze. A ja pomogę nosić zakupy - rzekła Leona.

Pani DiMarcio ujęła Leonę za ramiona i uśmiechnęła się.

- Dobra z ciebie dziewczyna, bardzo rozsądna. Myślę, że Jenny i Andy są z ciebie bardzo dumni.

Leona wzruszyła ramionami z zakłopotaniem.

- Pójdę już. Może zadzwonię do Eduarda na komórkę - rzekła pani DiMarcio, myśląc głośno. Po chwili odwróciła się i szybko wróciła do domu. Na całej długości tej niedużej, wąskiej, zwykle spokojnej ulicy Leona dostrzegła większą niż zazwyczaj aktywność - jakiś mężczyzna wyładowywał z bagażnika torby z zakupami, rozmawiając z ożywieniem przez telefon. Kilka domów dalej jakaś kobieta wybiegła nagle na ulicę, wskoczyła do rodzinnego auta i uruchomiła je. Leona zeszła z ulicy, aby ją przepuścić, gdy tamta przemknęła przez St Stephen's Avenue, zapewne zmierzając do centrum Shepherd's Bush, aby w ostatniej chwili zrobić jakieś zakupy.

Chyba już po herbacie.

Ta myśl sprawiła, że lodowate ciarki przeszły jej po plecach. Usłyszała trzaśnięcie drzwiczek i kaszlący odgłos kolejnego zapuszczanego silnika; wyglądało tak, jakby cała ulica budziła się nagle do życia.

Leona sięgnęła do furgonetki po kolejne torby i ruszyła, aby pomóc chłopakom wносить zapasy do domu.

Rozdział 37

godz. 22.41 czasu lokalnego

Al-Bayji w Iraku

Brnęli z hałasem przez zaułek, przedzierając się przez sterty śmieci, drewniane skrzynie pełne gnijących warzyw i starając się nie wdepnąć w biegnący środkiem uliczki rynsztok.

Andy i pozostali nie dbali już o to, żeby zachowywać się cicho. Pokonywali zagracony zaułek najszybciej, jak potrafili, próbując nie stracić równowagi i nie potknąć się o żadną z przeszkód na drodze.

Z tyłu Andy widział kołyszące się promienie latarek tych, którzy ich ścigali; ale prześladowcom wcale nie szło lepiej w tych trudnych warunkach. Tyle tylko że ucieczkę spowalniał sierżant Bolton.

Milicja nieubłaganie zmniejszała dystans.

Porucznik Carter i szeregowy Peters wciąż dźwigali Boltona, raz po raz się zataczając, potykając i przewracając; nie raz zdarzyło im się wylądować w rynsztoku; byli cali brudni i cuchnęli nieczystościami.

- Ożeż kurwa! - zaklął gniewnie Bolton - Spadł mi ten cholerny opatrunek!

- Nie ruszaj się - zasyczał Carter. W ciemnościach próbował odnaleźć pośród rzeki fekaliów bandaż z opatrunkiem polowym.

- Leje się ze mnie jak z dziurawego worka - mruknął Bolton.

Andy odwrócił się, by spojrzeć w głąb wąskiego przejścia. Promienie latarek zbliżały się. Wymierzył z karabinka sierżanta w ich stronę, puszczając długą serię, po której światła latarek rozpięzchły się na boki, gdy trzymający je ludzie rozpaczliwie zaczęli szukać schronienia.

- Krótkimi seriami, pacanie - warknął Bolton - to nie pistolet na wodę!

Andy odczekał chwilę, po czym posłał kolejne trzy kule w głąb zaułka. Zamierzał dać im tyle czasu, na ile starczy mu naboju w magazynku.

- Dobra, koniec balu. Daj mi tę cholerną pukawkę i spieprzajcie stąd.

- Nie - uciął Carter. - Nie zostawimy cię.

- Owszem, bo krwawię jak zarzynana Świnia.

Derry nachylił się i położył dłoń na ramieniu Boltona.

- Chyba macie nas za durniów, skoro myślicie, że moglibyśmy cię zostawić, sierżancie.

- Stul dziób, Derry - jęknął zboliałym głosem Bolton. - Jeśli dalej będziecie mnie ciągnąć, wszyscy zginiecie. Dajcie mi ten pieprzony karabin i spierdalać, jasne?

Andy spojrział na Cartera, Petersa i Derry'ego. Wszyscy myśleli o tym samym - sierżant Bolton miał rację - ale nikt z nich nie chciał powiedzieć tego głośno.

Nie ma czasu na zgrywanie macho.

- On ma rację - rzekł Andy. - Może zapewnić nam czas, którego tak potrzebujemy. - Wskazał w głąb zaułka. W oddali, kilkaset metrów dalej, widać było światła. - Tam jest plac targowy.

Carter przez chwilę ważył w myślach trudną decyzję, podczas gdy w zaułku, skąd przyszli, latarki znów zaczęły się przemieszczać i nieuchronnie podchodziły w ich stronę.

- W porządku, Bolton - mruknął z rezygnacją. - Niech będzie, jak chcesz. Dajcie mi karabin.

- Panie poruczniku, nie możemy tak odejść - zaprotestował Derry.

- Milczeć! Róbcie, co wam każe przełożony! - warknął Bolton.

Derry z wahaniem podał mu karabin.

- Magazynek jest pusty, sierżancie.

Bolton wziął karabin do ręki, wyjął pełny magazyneczek z zasobnika przy uprząży bojowej i włożył go na miejsce wprawnym, zdecydowanym ruchem, krzywiąc się przy tym z bólu.

- Idźcie już.

Andy spojrział na zegarek.

- Za kwadrans jedenasta. Musimy iść.

- Bolton - rzekł Carter - postaraj się, żeby te mędy nie poszły dalej za nami.

- Uhm-hm - stęknął tamten, przyjmując pozycję strzelecką za stertą butwiejących śmieci.

Andy sięgnął ręką do kabury przy nodze sierżanta i wyjął służbowy pistolet. Położył go na ziemi obok Boltona.

- Nie daj się wziąć żywcem - rzekł cicho. - Jasne?

Bolton skinął głową.

- Nie ma takiej możliwości. A teraz zjeżdżajcie już.

Pożegnali się lekkim skinieniem głowy, nie było czasu na słowa.

Bolton przyłożył karabin do ramienia i spojrział wzdłuż lufy przez noktowizor na migocące kształty sunące rażno boczną uliczką w ich stronę.

Drużyna Cartera ruszyła w kierunku migocącej poświaty widocznej w oddali.

Sierżant Bolton patrzył na zbliżające się wolno światła latarek. Nie spieszyli się, przepatrywali uważnie drogę przed sobą.

Bardzo rozsądnie. W tym zaułku pełno było rozmaitych śmieci i skrzynek, rozwalonych mebli i chwastów. Koszmarny teren do przejścia, zwłaszcza nocą.

Jeszcze chwila i pośle parę kul do najbliższego celu trzymającego latarkę. Lepiej prędzej niż później. Czuł, że robi mu się słabo. Kręciło mu się w głowie. Jakby strzelił sobie piwko z samego rana po ciężkiej, mocno zakrapianej nocy.

Był bliski utraty przytomności - szybko opadał z sił. Od dwudziestu minut znów krwawił i to na tyle mocno, by ciało zaczęło mu odmawiać posłuszeństwa.

Niech to szlag.

Chciał załatwić choć kilku z nich, zanim nadejdzie koniec. Wystarczyłoby chociaż dwóch.

- No chodźcie, skurwiele! - zawołał, uświadamiając sobie z rozbawieniem, że miał głos jak podпиты rozrabiaka, który tuż przed zamknięciem pubu rzuca śmiało wyzwanie próbującym go obezwładnić gliniarzom.

Nie musiał długo czekać na odzew. Promień latarki prześlizgnął się przez zaułek w jego stronę, omiatając stertę gruzu, za którą sprytnie się ukrył.

Nic z tego skurwiele, nie zobaczycie mnie.

Wciąż tracił siły. Uznał, że już czas. Nacisnął spust, mierząc w jedną z latarek.

Zawirowała w powietrzu i wylądowała na ziemi.

Jeden załatwiony.

Słabł coraz bardziej. Czuł się tak zaledwie kilka razy w życiu, raz na swoim ślubie i drugi raz, kiedy Anglia pokonała Australijczyków na Twickenham.

Dam, kuma, radę.

Wzrok mu się rozmywał, wszystko zaczęło wirować. Ale przecież już leży na ziemi. Świetnie. Wyglądałby jak skończony palant, gdyby próbował utrzymać się na nogach.

Nagle wszystkie latarki pogasły i pół sekundy później ujrzał błyski z trzech lub czterech luf pojawiające się w głębi zaułka i rozjaśniające ciemność. Cuchnąca sterta śmieci tuż przed nim eksplodowała pod wpływem trafiających w nią kul, a powietrze wokół głowy sierżanta rozbrzmiało donośnym szumem. Poczuł, że dostał w ramię. To było jak uszczypnięcie, lekki kuksaniec, nic więcej.

Nawet nie zabolalo, więc walcie się.

Znów wypalił w wirujące, migocące błyski strzałów, niemal pewny, że mierzył teraz do zjaw i majaków.

Kolejne uderzenie i jeszcze jedno. Żadne nie sprawiało mu bólu. Usiłując opanować rozszalałą karuzelę przed oczami, nacisnął spust i przytrzymał, dopóki nie opróżnił całego magazynka.

Jezu, ale to była zabawa. Na pewno w coś trafiłem.

Z pewnym wysiłkiem sięgnął po pistolet, który Andy położył na ziemi obok niego. Jego ramię zdawało się bezsilne, od palców po bark czuł przeszywające je świerzbienie, jakby wbijano w niego niewidzialne szpilki. Odnalazł kolbę pistoletu, spróbował objąć ją sztywniejącymi palcami i w końcu mu się to udało.

Sterna odpadków znów zaczęła rozpryskiwać się we wszystkie strony. Powietrze zaszumiało... i poczuł kolejne uderzenie, tym razem w nogę.

Wali... mnie... to.

Przez chwilę usiłował podnieść pistolet leżący obok niego na ziemi. Nagle jednak kolejny z tych słabych, wręcz przyjacielskich kuksańców trafił go w czoło i ogarnęła go nieprzenikniona ciemność.

Rozdział 38

godz. 19.46 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Wiele można się dowiedzieć o rodzinie na podstawie korkowej tablicy w kuchni albo karteczek z rzeczami do załatwienia czy to samoprzylepnymi, czy przyczepianymi do lodówki za pomocą małych magnesów w kształcie owoców. Ash miał własną teorię, skądinąd jedną z wielu, które opracował przez lata, obserwując z dystansu życie - normalne życie, ma się rozumieć. Jego zdaniem, im bardziej oklejona była lodówka, tym szczęśliwsza rodzina mieszkała w danym domu. Tak właśnie głosiła jedna z jego teorii.

Lodówka Sutherlandów była pusta. Żadnych zdjęć, zapisków, informacji czy list zakupów.

Nie ulegało też wątpliwości, że w tym domu pewne sprawy musiały znaleźć się niedawno na ostrzu noża. Niepokojące wnioski nasuwały się same. W kącie kuchni stały pudła pełne porcelany i drobnych naczyń, w pokoju zaś ułożone były paczki z płytami, DVD oraz książki; w holu pod ścianą wznosiły się pudła zawierające kalosze, szaliki i kurtki przeciwdeszczowe - na wszystkich tych kartonach markerem napisano „Jenny” albo „Andy”.

Sutherlandowie jako rodzina powoli przestawali istnieć.

Ash miał nadzieję zastać panią Sutherland w domu - pewnie mogłaby mu pomóc odnaleźć tajemniczą Jill i, co istotniejsze, podać adres, pod którym mieszkała. Ale niestety, dom był pusty.

Gabinet doktora A. Sutherlanda był kolejnym miejscem, gdzie spodziewał się znaleźć coś istotnego, jakąś ważną dla niego informację. Włączywszy komputer, sprawdził adresy mailowe w książce adresowej

Outlook Expressa, lecz bez powodzenia. Na biurku nie było notesu z adresami czy wizytówkami.

W salonie natomiast natknął się na niewielki czarny notatnik z telefonami. Zawierał tylko kilkanaście nazwisk, zarówno z kręgów rodziny, jak i przyjaciół, tych ostatnich było raczej niewiele - i to mu akurat pasowało. Ash nie zauważył na żadnej stronie imienia Jill ani nikogo z inicjałem J. przed nazwiskiem.

Ale była siostra w Londynie. Siostra, na pewno nie przyjaciółka, bo jej nazwisko

widniało na tej samej stronie co mama i tato zapisane charakterystycznym, starannym, kobiecym pismem. Obok widniało nagryzmolone przez dziecko słowo „ciocia”.

Siostra pani Sutherland - najwyraźniej musiały być ze sobą blisko, bo prócz adresu i domowego telefonu był tu jeszcze numer komórki. Siostry zapewne często się spotykały, by poplotkować o banalnych epizodach codziennego życia. Spojrzał na stronę w notesie.

Kate.

Tak, był niemal pewien, że Kate Marsh (z domu Marsh?) mogła wiedzieć, kim była tajemnicza Jill. Na pewno był to ktoś blisko związany z rodziną, skoro ojciec powierzał jej swoje dzieci w czasach podobnego kryzysu; ktoś, o kim Jenny musiała kiedyś wspomnieć w przypadkowej rozmowie z Kate przy kawie i biszkoptach.

To było wszystko, czym dysponował. Nie za wiele.

Przeczesał cały dom, by na koniec trafić do pokoju Leony.

Choć na ścianach wciąż wisiały plakaty boysbandów, a na krześle pod oknem stało parę pluszaków, nie ulegało wątpliwości, że był to już tylko pokój gościnny. Dziecko, które tu dorastało, odeszło - używając wyświechtanej przenośni, wyfrunęło z gniazda. Stojąc z dala od okna i ciepłych promieni zachodzącego słońca, spoglądał z ukosa na miłą podmiejską ulicę poniżej. We wszystkich domach naprzeciwko widział migocące niebieskawo ekrany włączonych telewizorów; wyglądało na to, że większość ludzi z uwagą śledziła wiadomości i bez wątpienia zastanawiała się, jak, do ciężkiej cholery, można było w ogóle dopuścić do czegoś takiego.

Patrzył, jak uruchamiane są kolejne auta i odjeżdżają w stronę wylotu ulicy - zapewne, aby sprawdzić, czy w miejscowym supermarkecie zostało jeszcze coś, co można by kupić - a na ulicy, kilka domów dalej, spostrzegł dziewczynę i chłopaka, przypuszczalnie małżeństwo z synkiem, pospiesznie wyładowujących z furgonetki kolejne reklamówki z zakupami.

Ash pokręcił głową, niemal współczując tym wszystkim ludziom kompletnie nieprzygotowanym na to, co miało ich wkrótce spotkać.

Rozdział 39

godz. 22.50 czasu lokalnego

Al-Bayji w Iraku

Andy, Carter i pozostali patrzyli na targowisko z ciemnego zaułka.

- Niedobrze. Odciepli nam drogę ucieczki - jęknął porucznik.

Pośrodku bazaru płonęło wielkie ognisko; beczkę po ropie wypełniono połamanymi kawałkami drewnianych palet, a bijący z niej ogień rozświetlał całą okolicę migotliwą bursztynową poświatą. Wokoło, grzejąc się w ciepłe i rozmawiając z ożywieniem, stało około trzydziestu milicjantów. Za nimi i za targowiskiem znajdowała się droga wyjazdowa z miasta i ledwie stąd widoczny most nad Tygrysem.

- Co o tym sądzisz? - spytał Andy.

Carter milczał przez chwilę, zanim odpowiedział. Andy zauważył, że młody oficer przygryzał dolną wargę. Wśród zabudowań do niedawna opanowywał ten gest zdradzający silne zdenerwowanie. Teraz jednak robił to mimowolnie, a w dodatku delikatnie potrząsał głową - ten tik sugerował Andy'emu, że z porucznikiem nie dzieje się najlepiej i coś zaczyna w nim pękać.

- N-n-nie wiem. Sporo jest tych skurwieli i mamy daleki dystans do pokonania. Gdyby nie to pieprzone ognisko, moglibyśmy spróbować przekraść się cichcem do mostu. Ale w tej sytuacji... nie wygląda to dobrze.

Andy spojrzał na zegarek.

- Cholera, zostało tylko dziewięć minut. Musimy coś zrobić!

Carter pokręcił głową.

- Nic z tego... nie uda się nam.

- Pieprzyć to! - syknął do niego Andy. - Tu także nie możemy zostać. Za niecałą minutę będzie tu ich cała gromada. Musimy wiać.

Usłyszeli gardłowy warkot silnika nadjeżdżającego pojazdu - najwyraźniej zbliżał się od strony głównej ulicy, od centrum miasta, i jechał bardzo szybko.

Po chwili Andy zauważył, że mężczyźni na targowisku także usłyszeli zbliżające się auto i odwrócili się w jego stronę. Nie unieśli broni do strzału, zapewne spodziewali się, że nadciągający pojazd przywiózł kolejną grupę milicji, która pomoże im skutecznie zablokować

drogę wyjazdową z tej części miasta.

Właśnie wtedy ciężarówka ukazała się ich oczom, sunąc wzdłuż głównej ulicy, gdzie po obu stronach wznosiły się rzędy pustych straganów. Samochód zaczął zwalniać bez ostrzeżenia. Andy zauważył, że kilka postaci siedzących dotąd na pace ciężarówki, podniosło się raptownie.

Carter przyłożył dłoń do słuchawki przy uchu.

- To nasi chłopcy... właśnie odebrałem ich sygnał. Gawędzą sobie jak stare przekupki.

- Która to grupa? - spytał Andy - Drużyna Westleya?

- Albo Westleya - wyszeptał Carter - albo Tajicana.

Andy policzył głowy mężczyzn na pace ciężarówki.

- Albo obie.

Pojazd zatrzymał się na granicy blasku roztaczanego przez ognisko. Milicjanci zebrani przy ognisku odwrócili się, by spojrzeć na ciężarówkę, z ich spokojnej reakcji Andy wywnioskował, że sądzili, iż na pace ciężarówki znajdują się ich ziomkowie.

- Chyba czekają na nas - wyszeptał do Cartera. - Zwolnili przez wzgląd na nas, ale nie będą mogli stać tam zbyt długo.

- Może.

Carter zlustrował wzrokiem skraj targowiska.

- A więc ani śladu Zulu.

- Niestety

Porucznik zaklął pod nosem.

Andy powiódł wzrokiem przez całą długość bazaru.

- Musimy iść.

- Zauważą nas, gdy tylko wyjdziemy z zaułka.

Andy obejrzał się przez ramię. Karabin Boltona zamilkł minutę temu i znów widać było przesuające się naprzód snopy świateł latarek.

- Kurwa, przecież nie możemy tu zostać!

Derry i Peters spojrzeli niepewnie na przełożonego.

- Panie poruczniku?

Carter pokręcił głową.

- To za daleko. Nie dobiegniemy tam.

Andy schwycił oficera za rękę.

- Pieprzyć to. Wszystko albo nic. To nasza ostatnia szansa. Zamierzam zaryzykować.

Podniósł się powoli i lekko skulił, przygotowując się do wybiegnięcia na otwartą

przestrzeń.

- W porządku - rzekł Carter. - Idziemy wszyscy. Biegniemy dwójkami, torując sobie drogę ogniem. Jasne?

Westley spostrzegł ich, kiedy tylko wyłonili się z ciemnego wylotu wąskiego zaułka - cała czwórka wybiegła dwójkami na plac. Dwóch pierwszych przywarło do ziemi i otworzyło ogień do grupy milicji zebranej przy ognisku, druga dwójka wykorzystała chaos i zamieszanie, by popędzić co sił w nogach w stronę ciężarówki.

- Nadchodzą nasi! Połóżcie na tych skurwieli w łachmanach ogień osłonowy!

Niemal natychmiast trzech mężczyzn na pace ciężarówki zaczęło strzelać do zgromadzonej przy ognisku milicji. Pierwsza salwa powaliła na ziemię około dziesięciu tamtych i nie doczekała się odzewu ze strony pozostałych, dopóki nie znaleźli sobie dogodnych kryjówek, skąd mogli prowadzić ostrzał. Wkrótce jednak pierwsze kule wystrzelone przez tubylców zmusiły mężczyzn na ciężarówce, aby przerwali ogień i pochylili nisko głowy.

Westley odczekał kilka sekund, zanim wychylił głowę ponad burtę, by ocenić sytuację. Pozostali przy życiu milicjanci ukryli się, gdzie kto mógł. Możliwości nie było wiele - cienkie deski i zardzewiałe metalowe ramy pustych targowych straganów nie zatrzymałyby ani jednej kulki. Kilku rebeliantów próbowało oddawać strzały w stronę ciężarówki, a pojawiające się od czasu do czasu fontanny iskier buchających z grubych, solidnych burt pojazdu świadczyły, że przynajmniej niektórzy z nich otrząsnęli się z oszołomienia na tyle, by strzelać celnie.

- ...ruszamy. Musimy już jechać! - rozległ się przez radio trzeszczący, niewyraźny głos Tajicana; połowę jego słów pochłonął szum i silne zakłócenia.

Teraz, gdy milicja zaczęła odzyskiwać rezon, ostrzał z jej strony przybrał na sile. Nie po raz pierwszy Westley stwierdził, że wśród tego tłumu mężczyzn znajdowali się tacy, którzy naprawdę umieli walczyć.

- Dobra, ale powoli... zabieramy po drodze paru naszych!

Ciężarówka zaczęła się toczyć naprzód przy wtórze skarg silnika Diesla i kłębów czarnego dymu buchającego z rury wydechowej. Westley patrzył, jak czterej mężczyźni zbliżają się, przebiegając ryzykownie obok rozciągniętych płasko na ziemi rebeliantów, zmierzając w stronę ciężarówki - nie próbowali już zachowywać procedur ognia osłonowego i manewrów dwójkowych. Ostatnie pięćdziesiąt metrów dzielących ich od ciężarówki pokonywali, biegnąc jak dzieci za furgonetką z lodami w upalny dzień.

- Dalej, ruszcie się patałachy! - zawołał, podnosząc się i przelażąc przez klapę na pace ciężarówki, by stanąć ryzykownie na wąskim tylnym zderzaku.

Pojazd wciąż jechał trochę za szybko.

- Taj, musisz odrobinę zwolnić, jeżeli mamy ich zabrać.

Odpowiedzi nie było, tylko szumy i trzaski. Może Tajican usłyszał i odpowiedział, a może nie. Osobisty system łączności bywał niekiedy zawodny.

Biegący zdołali zmniejszyć dystans do trzydziestu... dwudziestu metrów. Nagle jednak ciężarówka przyspieszyła, a goniący ją zaczęli tracić siły.

- Do chuja ciężkiego, Taj... zwolnij! - ryknął do mikrofonu.

Kurwa. Taj mnie nie słyszy.

Westley wrzucił swój SA-80 na pakę, po czym wychylił się w stronę biegnących, wyciągając do nich rękę. Właśnie wtedy, dostrzegając ich twarze, zorientował się, kim było tych czterech. Porucznik Carter, Derry, Peters... i ten cywil... Andy.

A więc sierżant Bolton zginął, cholera.

- No dalej! - zawołał.

Najbliżej znajdował się Peters. Schwycił Westleya za rękę, po czym szybko złapał się klapy z tyłu ciężarówki i podciągnął. Derry był następny, po tym jak pojazd przy wtórze głośnego metalicznego zgrzytu zwiększył prędkość do drugiego biegu. Westley musiał z całej siły szarpnąć ramię do tyłu, aby trzymający go za rękę żołnierz zdołał się schwycić drugą dłonią klapy ciężarówki. Z głośnym stęknięciem Derry podciągnął się i przepelznął ponad klapą na platformę ciężarówki, gdzie przez chwilę leżał, dysząc jak astmatyk.

Zostali już tylko porucznik Carter i ten Nowozelandczyk Andy. Widział, że obaj dali z siebie niemal wszystko, pokonując sprintem ostatnie trzydzieści metrów i wciąż jeszcze utrzymywali równe tempo, ale to nie mogło potrwać długo. Tylko śmiertelny strach dodawał obu nieszczęśnikom sił do dalszego biegu, nic więcej.

Westley wychylił się najdalej jak tylko mógł, wyciągając rękę na całą długość tak, że jego dłoń koniuszkami palców nieomal dotykała ich twarzy

Złapcie mnie za rękę, złapcie do cholery!

Usłyszał przejmujący zgrzyt udreżonej przekładni, gdy Tajican wrzucił wyższy bieg. Odwrócił się i zawołał do jednego ze swoich ludzi, aby podbiegł do szoferki i, tłukąc w dach, zwrócił uwagę Tajicana... i kazał mu zwolnić. Ale jego ochrypły krzyk utonął w warkocie silnika ciężarówki i odgłosach ostatnich strzałów oddawanych w ich kierunku przez milicję z targowiska, która właśnie poderwała się z ziemi i całą chmarą puściła za nimi w pościg.

I nagle poczuł, że ktoś schwycił go za rękę.

Jednemu z nich się udało; znalazł w sobie dość siły, by rzutem na taśmę złapać go za rękę. A co z tym drugim? Cóż, raczej nie da rady Ciężarówka stopniowo, lecz nieubłaganie

zaczęła przyspieszać.

Odwrócił się, by zobaczyć, kto był najprawdopodobniej ostatnim szczęśliwcem.

Rozdział 40

godz. 19.52 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Leona wyjrzała przez okno na St Stephen's Avenue. Po przekątnej, o budynek dalej stał dom DiMarciów. Widziała ich głowy przez okno w salonie, oboje oglądali telewizję. W domu naprzeciwko jakaś para z dzieckiem krzątała się w salonie, kobieta kręciła się w tę i z powrotem, karmiła dziecko, mężczyzna stał i też wlepił wzrok w ekran.

Leona wychyliła głowę, zerkając pomiędzy żaluzjami na ich dom o numerze 25. Widziała go pomiędzy gałęziami skarłowaciałej brzozy naprzeciwko.

Ciemny, niewzruszony, wymarły.

Podobnie jak Jacob wolałaby wrócić do swojego domu, znajomych kątów i swoich rzeczy.

Spojrzała w okno swojej sypialni i odniosła wrażenie, że dostrzega coś wysokiego i ciemnego pod przeciwległą ścianą pokoju. Coś nieruchomego jak ona, lustrującego szaleństwo na zewnątrz... ludzką sylwetkę.

- Co?... - wyszeptała bezgłośnie.

Łagodny wietrzyk sprawił, że gałęzie brzozy zakołysały się i liście przesłoniły okno pokoju. Minęło kilka sekund, wiatr ustał i gałęzie ponownie znieruchomiały. Przez dłuższą chwilę próbowała przeniknąć gęstniejącą ciemność wewnątrz sypialni, ale było to trudne, bo światła coraz bardziej ubywało, a na szczytach dachów tańczyły refleksy odbitych słonecznych promieni.

Teraz nic już nie widziała.

Nie idź do domu.

Leona wzdrygnęła się i odwróciła od okna, by dołączyć do Daniela siedzącego na sofie przed luksusowym plazmowym telewizorem Jill i jak inni ludzie na całym świecie oglądającego wiadomości. Milczeli, podczas gdy Jacob na podłodze przed nimi skrupulatnie układał swoje karty z Yu-Gi-Oh.

- ...rozprzestrzeniają się na cały kraj. W większości przypadków punktami zapalnymi zamieszek są wielkie supermarkety lub stacje benzynowe. W wielu większych miastach zapanował chaos. Nie ma mowy o przestrzeganiu prawa i porządku. Policja otrzymała broń,

zmobilizowano także wojsko, którego jednostki stacjonują obecnie wokół kluczowych instytucji rządowych, składów i magazynów, ale poza tym nigdzie praktycznie nie widać służb mundurowych...

Reporter na ekranie był znany Leonie, zwykle przekazywał doniesienia ze świata ekonomii i gospodarki. Teraz jednak stał na dachu lub może balkonie jakiegoś budynku i spoglądał w dół na ulicę gęstą od czarnego dymu z płonącego auta; widać było sylwetki biegnących dokądś ludzi. Zwykle nienagannie ubrany i uczesany, wyglądał, jakby zbudzono go z krótkiej drzemki po całonocnym dyżurze.

- Najwyraźniej w ciągu ostatnich sześciu godzin prawo i porządek znikły z ulic naszych miast po katastrofalnym wystąpieniu premiera na konferencji prasowej. Pośród panującego na dole chaosu w ciągu ostatnich kilku minut wyraźnie słyszeliśmy kilkakrotnie odgłosy strzałów - ciągnął reporter, wpatrując się w mroczny pejzaż poniżej.

Leona wzdrygnęła się zaniepokojona.

Mój Boże, on jest naprawdę przerażony.

- Pojawiły się niepotwierdzone jak dotąd doniesienia, że wojsko strzegące newralgicznych punktów w naszym kraju otworzyło ogień do ludności cywilnej, używając ostrej amunicji. Mamy setki doniesień o walkach toczonych o żywność, są już pierwsze ofiary śmiertelne. To naprawdę przerażający scenariusz, Sean, jaki mamy okazję oglądać niemal na wszystkich ulicach większych i mniejszych miast w naszym kraju.

Na ekranie pojawił się obraz studia telewizyjnego.

- Diarmid, czy nie widać tam w ogóle wojska ani policji? O ile dobrze widzę, patrzymy teraz na Oxford Street, zgadza się?

- Tak, Sean. Trudno rozpoznać to miejsce, ale jest to właśnie Oxford Street. Zamieszki zaczęły się mniej więcej o trzeciej po południu w okolicy supermarketu Metro-Stop, kiedy personel próbował zamknąć sklep i opuścić metalowe żaluzje. To wywołało rozruchy. Tłum wdarł się do sklepu i doszczętnie go ogołocił. Widziałem później, jak ludzie wytaczają stamtąd wózki pełne produktów, na ulicy doszło też do licznych bójek, kiedy inne osoby próbowały kraść żywność z tychże wózków. Następnie zamieszki rozprzestrzeniły się wzdłuż całej ulicy, a ludzie zaczęli szturmować kolejne sklepy, w tym jeden z odzieżą sportową, a drugi ze sprzętem AGD. Gdy tak obserwuję te wydarzenia, przypominają mi się sceny z rozruchów w Los Angeles w dziewięćdziesiątym drugim i to, co widzieliśmy w Nowym Orleanie po przejściu huraganu Katrina. Ale odpowiadając na twoje pytanie, Sean: nie, odkąd tu przybyłem, nie widziałem ani jednego policjanta czy żołnierza.

Na ekranie znów pojawił się obraz studia.

- Dzięki za ten raport, Diarmid - rzekł Sean, wlepiając wzrok w plik papierów, które trzymał w dłoni. - To były zamieszki, jakie możemy obecnie oglądać na ulicach Londynu.

Sean Tillman wziął długi, głęboki oddech, aby uspokoić nerwy, i ponownie uniósł wzrok, spoglądając w kamerę. Sztuczny uśmiech będący jego znakiem rozpoznawczym zwykle doprowadzał Leonę do białej gorączki, ale teraz oddałaby wiele, aby znów go ujrzeć, zamiast posępnego wyrazu bezsilnej rezygnacji.

- Od czasu konferencji prasowej w porze lunchu nie otrzymaliśmy żadnych komentarzy ze strony rządu. Poinformowano nas natomiast, że władze w kraju przejął sztab kryzysowy o kryptonimie Kobra posiadający uprawnienia ustawowe. Nie wiadomo na razie, czy sztab ten jest kierowany przez premiera, czy jakiegoś innego ministra.

- O Boże, to takie straszne - wyszeptała Leona.

Dan bez słowa pokiwał głową.

- Przez całe popołudnie otrzymujemy doniesienia od naszych zagranicznych korespondentów. Podobne wypadki mają miejsce w wielu innych krajach. W Paryżu rozruchy zaczęły się na przedmieściach, w Clichy-sous-Bois, i szybko rozprzestrzeniły na całe miasto - płonie wiele budynków, raporty mówią o setkach ofiar śmiertelnych wśród demonstrantów. W Nowym Jorku ogłoszenie o wprowadzeniu bezterminowego racjonowania żywności w całym mieście doprowadziło do demonstracji, które szybko przerodziły się w zamieszki.

Daniel wstał.

- Mogę skorzystać z telefonu? Chciałbym spróbować zadzwonić do mamy.

Leona skinęła głową.

- Jasne.

Kiedy podchodził do stolika w holu, gdzie stał telefon, Jacob nagle się ożywił.

- Lee, czy to jakaś wielka wojna? - spytał z głupia frant.

- Co? Nie, oczywiście, że nie! - warknęła z irytacją. I nagle, po wyrazie zaniepokojenia na twarzy brata, zorientowała się, że nawet on zdawał sobie sprawę, iż na całym świecie działo się coś bardzo złego.

- Nie, Jake, nie ma żadnej wojny, ale... źle się dzieje... ludzie zaczynają trochę panikować.

Jacob pokiwał głową, próbując przetrwać tę wiadomość, po czym znowu spojrzał na siostrę.

- Chcę do mamy. Gdzie ona jest?

Leona uśmiechnęła się, chcąc go uspokoić.

Ja też chciałabym, aby mama tu była.

Wrócił Daniel.

- Nie ma sygnału. Telefon zdechł.

- Zdechł?

- Zero sygnału. Nic. Zdechł na amen.

- Kto zdechł? - spytał Jake, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia.

Leona nie chciała, aby chłopiec niepotrzebnie się przejął i rozpłakał bez powodu.

- Nikt, Jake. Tak się tylko mówi, że telefon zdechł. Pobaw się dalej swoimi kartami, dobrze?

Jacob potaknął, ale zamiast rozkładać karty na te z zaklęciami i te inne, z potworami, usiadł, wlepiając wzrok w telewizor, gdzie na ekranie pokazywano płonące samochody i miasta, nad którymi unosiły się słupy dymu. Wsłuchiwał się w komentarz, przekrzywiając lekko głowę, i choć nie do końca rozumiał, o czym mówiono, instynktownie wyczuwał, że to nie było nic dobrego.

- Chcesz skorzystać z mojej komórki? - spytała Leona.

- Chętnie, poproszę - odparł Daniel.

- ...zwłaszcza w Arabii Saudyjskiej, Iraku i Afganistanie. O ile nam wiadomo, wciąż trwa ewakuacja naszych wojsk z tego regionu, a samoloty transportowe typu Hercules przerzucają żołnierzy do kilku baz sił powietrznych RAF-u, w tym...

Nagle z ekranu znikło oblicze Seana Tillmana. Pozostało tylko logo kanału News 24 w rogu i pasek informacyjny przesuwający się nieustannie u dołu ekranu.

- Wygląda na to - rozległ się głos prezentera - że wysiadła nam część oświetlenia w studiu. Jestem pewien, że wkrótce ta usterka zos...

W tej samej chwili na ekranie pojawił się śnieg i słychać było już tylko cichy szum.

- Co się stało z tym panem w telewizji? - zapytał Jake.

Daniel, z telefonem Leony w ręku, spojrzał na nią.

- O cholera. I co teraz? Co się dzieje?

Pokręciła głową.

Zaraz potem światła w salonie zgasły i ekran telewizora pociemniał.

- Co jest?

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na całej ulicy pogasły wszystkie latarnie, które zapaliły się zaledwie przed kilkoma minutami.

- Nie ma prądu - wyszeptała w ciemnościach Leona.

Jacob był bliski paniki.

- Jest tak ciemno! Nic nie widzę! - zawołał piskliwie.

- Spokojnie, Jake, przecież nadal widzisz. Nie jest wcale ciemno, tylko troszeczkę szaro! - odrzekła, siłąc się na spokój, ale ona sama też doświadczała narastającego uczucia paniki.

Jacob rozplakał się.

- Cii, Jake. Chodź i usiądź przy nas.

Chłopiec usiadł na skórzanej sofie Jill, wciskając się pomiędzy Leonę i Dana.

- No już dobrze - powiedziała Leona - nie bój się, nie stanie się nic złego, posiedzimy tu sobie teraz i...

W tej samej chwili zadzwoniła komórka i cała trójka mimowolnie nerwowo drgnęła.

Rozdział 41

godz. 19.53 czasu Greenwich
pomiędzy Manchesterem a Birmingham

- Leona! - zawołała z ulgą w głosie Jenny. - To ty?

- Mama?

- Tak. Przez cały dzień próbuję się z tobą skontaktować. Wszystko u ciebie w porządku, kochanie? - mówiła szybko, aby nie stracić ani chwili cennego połączenia. Bóg jeden wiedział, jak długo jeszcze sieć będzie działać. - Zabrałaś Jacoba ze szkoły?

- Tak. Jest tutaj.

- Jesteście w domu?

Usłyszała, jak Leona zawahała się przez moment.

- Mamo - rzekła Leona - tato kazał mi pojechać do domu Jill.

- Do Jill? Ale dlaczego?

Kolejna, nieco dłuższa chwila ciszy.

- Tato uznał, że u Jill będzie dla nas bezpieczniej.

Jenny zastanawiała się, skąd, u licha, przyszło to Andy'emu do głowy. Byłaby spokojniejsza, wiedząc, że dzieci znajdują się bezpieczne w domu. Tak czy owak, przypomniała sobie, że Jill akurat wyjechała w tym tygodniu na kolejny zlot integracyjny pracowników swojej firmy.

- A jak dostaliście się do...

Usłyszała, że Leona płacze.

- Nieważne. Jestem pewna, że Jill nie będzie się złościć. Macie co jeść?

Na to pytanie jej córka aż westchnęła przeciągle.

- O Boże, mamo, to okropne. Zupełnie jakby...

Jenny usłyszała w głosie jej córki przetykane rozpaczliwie gorzkie łzy.

- ...kiedy wyszliśmy z supermarketu, rozpętało się prawdziwe piekło. Omal nie doszło do bójki. A potem oglądaliśmy wiadomości i nagle...

Jenny weszła jej w słowo:

- Wiem, kochanie, wiem.

Chryste Panie, wiem.

W ciągu ostatnich paru godzin Jenny widziała sceny, jakich nie spodziewała się ujrzeć w kraju takim jak ten - cywilizowanym, wysoko rozwiniętym i dobrze prosperującym. Jeżeli nie liczyć młodzieżowych gangów w niektórych dzielnicach, był to kraj, gdzie większość ludzi czuła się bezpiecznie.

- Wiem - odparła łamiącym się głosem. Jeszcze chwila i się rozklei.

Bądź silna. Dla niej.

- Boże, mamo. Jest tak, jak mówił tato, prawda? Wszystko się sypie.

Jenny zastanowiła się, co było w obecnej chwili najlepsze dla jej dzieci. Wyparcie? Tępe zapewnienie, że wszystko będzie dobrze i ani się obejrzy, jak sytuacja wróci do normy? Czy to właśnie Leona chciała od niej usłyszeć? Jeżeli w końcu zaufała katastroficznym proroctwom Andy'ego, jeśli jej nadwierzona tolerancja i znużony cynizm odeszły w przeszłość i była gotowa wziąć sobie do serca jego ostrzeżenia... to musiała przyjąć do wiadomości, że sytuacja w najbliższym czasie raczej się nie wyklaruje. Będzie jeszcze gorzej. Andy to przewidział. Ostrzegał ją, Chryste, zanudzał ją na śmierć swoimi przepowiedniami i oto w końcu zaczęły się sprawdzać.

- Leona, kochanie. Macie tam co jeść? - spytała Jenny pospiesznie, ocierając łzę spływającą po policzku, jakby się obawiała, że córka mogłaby to zobaczyć.

- Tak, mamo. Mamy zapas puszek z supermarketu.

- Dobra robota, Leona. Mogę mówić z Jacobem?

Jenny usłyszała w tle stłumione głosy, a potem jej synek zapytał przez telefon.

- Mamusiu?

- Jake - rzekła z drzeniem w głosie, którego nie potrafiła w sobie stłumić.

- Mamusiu? Nic ci nie jest?

- Nie, nic, kochanie.

- Wydajesz się zasmucona.

- Wcale nie.

- Kiedy wrócisz do domu?

- Najszybciej, jak będę mogła. Naprawdę... bardzo się staram - zapewniła Jenny, spoglądając z ukosa na twarz mężczyzny, w którego towarzystwie szła od czterech godzin. Miał na imię Paul. Właściwie nic o nim nie wiedziała. Był jej równie obcy jak kilkanaście innych osób siedzących na pomarańczowych plastikowych krzeselkach wokół furgonetki z hamburgerami, na poboczu drogi.

- Dobrze. Dopóki nie wrócisz do domu, będą się mną opiekować Leona i Daniel.

- Kto to jest Daniel?

- Taki pan. Kolega Leony.

Taki pan?

- Jacob, chcę jeszcze pomówić z Leoną.

Jenny usłyszała szelest komórki przechodzącej z ręk do rąk.

- Mamo?

- Kim, u diabła, jest Daniel? - spytała Jenny. - Jacob mówi, że to jakiś pan.

- Nie martw się mamo. To mój kolega z uczelni. Odwiózł nas do domu i pomógł zdobyć jedzenie.

Jenny odetchnęła z ulgą. A więc ten Daniel był po prostu nastolatkiem, zapewne obecnym chłopakiem jej córki. Jenny przestała się już orientować, kto był kim spośród listy imion, jakie Leona wymieniała nieomal od niechcienia podczas ich cotygodniowych plotek przez telefon. Jenny ucieszyła się, że Leona miała chłopaka, który mógłby w tych trudnych dniach czuwać nad nią i Jakiem.

- W porządku.

- Czy tato się odzywał? - spytała Leona. - Nie rozmawiałam z nim od rana.

- Nie, kochanie, ja też tylko wtedy z nim rozmawiałam.

- Boże, mam nadzieję, że nic mu nie jest.

Jenny uświadomiła sobie, że w głębi serca też na to liczyła. W ciągu zaledwie jednego dnia przenicowała całą swoją opinię na jego temat - przez ostatnie pięć lat postrzegała go jako męczącego kreta drążącego swój samotny, paranoiczny tunel donikąd. Ale teraz wszystko się zmieniło. Andy przewidział to wszystko... spojrzała dokoła na otaczających ją przerażonych ludzi, na pustą szosę i ciemne niebo nieskażone już pomarańczową łuną blasku z rozciągających się w dole miast... naprawdę to przewidział. I po prostu przez cały ten czas starał się ich ostrzec.

- Da sobie radę. Jestem pewna, że świetnie sobie radzi.

Leona zaczęła płakać.

- Posłuchaj, kochanie, musisz być teraz silna...

Na linii rozległy się szумы, trzaski i przeciągłe piski.

- Leona!

Trzaski wciąż się powtarzały.

- Leona! - zawołała z desperacją w głosie Jenny.

- Mamo?

- O Boże, myślałam, że padła sieć.

- Mamo, proszę, wróć do domu jak najszybciej. Tuż przed twoim telefonem pogasły

światła. Nie ma prądu. Robi się ciemno i wszyscy bardzo się boimy, a od ulicy słychać te straszne hała...

Połączenie zostało przerwane. W telefonie zapanowała cisza.

- Leona!

Tym razem nie było nic, nawet szumów czy trzasków. Jenny spojrzała na Paula łapczywie pochłaniającego szczerstwiełe bułki, które ich mała grupka znalazła wewnątrz zamkniętej furgonetki z hamburgerami, na parkingu przy poboczu drogi.

- Telefony już nie działają - wyszeptała, czując na plecach lodowaty dreszcz. Zdała sobie sprawę, co było tego przyczyną - świadomość, że jej dzieci są same, podczas gdy w Londynie, jak zapewne we wszystkich innych miastach w całym kraju, a może i na świecie, rozpętało się piekło.

Paul wypił łyk z puszki napoju Tango. Parę zgrzewek, po dwadzieścia cztery puszki napojów gazowanych w każdej i tuzin dużych, cateringowo pakowanych bułek - to wszystko, co udało się ich małej grupce pieszych wędrowców wydobyć z pozostawionej na poboczu furgonetki. Niektórzy z tych ludzi, pochylonych w milczeniu na krzeselkach przed furgonetką, byli wśród tłumu forsującego policyjną blokadę. Dołączyło do nich jeszcze parę osób, nadchodząc od strony płaskich jak stół, pozbawionych wyrazu pól, farm i ponurych, ledwie widocznych w oddali zakładów przemysłowych, pokonawszy wysokie trawiaste zbocza porośnięte wątlymi, wysychającymi od spalin drzewami, kiedy dzień z wolna miał się już ku końcowi.

- Lepiej coś zjedz - rzekł półgłosem Paul, podając jej parę bułek.

Jenny spojrzała na jedzenie.

- Nie mogę. Nie jestem głodna.

- Powinnaś. Nie wiadomo, kiedy znów nadarzy się nam okazja.

Oderwała jedną bułkę od pozostałych i odgryzła kawałek, przeżuując pieczywo bez większego entuzjazmu.

Dzieci są w domu, mają co jeść. Są bezpieczne.

Tylko to się liczyło. Jenny wiedziała, że dotarcie pieszo do Londynu może zająć jej trzy, cztery dni. Ale dzieci miały jedzenie.

Ostrzeżenia Andy'ego, przepowiednie nadchodzącej katastrofy... choć powinni byli wcześniej potraktować je poważnie, mimo wszystko nie poszły w próżnię! Oczywiście gdyby posłuchała go cztery czy pięć lat temu, mieszkaliby dziś w jakiejś odludnej dolinie w Walii, uprawiając warzywa w ogródku, czerpiąc wodę ze studni, hodując kurczęta, a ich dom byłby zaopatrzone w generator i turbinę wiatrową. Żyliby tam w ciszy i spokoju.

Tymczasem wydawało się, że jej dzieci w ostatniej chwili uprzężyły całą resztę populacji, *otępiałe masy* - jak nazywał je Andy - jeżeli chodzi o zakupy.

A mogli żyć teraz w ciszy i spokoju.

Choć kto wie. Zapewne z początku żyłoby się im na odludziu całkiem nieźle, byłiby samowystarczalni, ale jak długo zdołaliby się tam utrzymać? Zwłaszcza gdy w plądrowanych supermarketach zabraknie żywności i głód zajrzy ludziom w oczy. Wówczas te otępiałe masy ruszą w poszukiwaniu żywności i będą łupić, co się da.

Jenny pokręciła głową.

Andy nie należał do facetów, którzy potrafiliby bronić siebie lub rodziny. Był pacyfistą. Próbowała wyobrazić go sobie strzegącego ich małej fortecy przetrwania z karabinkiem szturmowym przerzuconym przez ramię i twarzą ozdobioną smugami szminki kamuflażowej, którą tak uwielbiali chłopcy w mundurach.

Umiał planować, ale nie był typem wojownika.

Rozdział 42

godz. 22.53 czasu lokalnego

Al-Bayji, Irak

Westley silnym szarpnięciem ręki przyciągnął Andy'ego do siebie, nieomal podrywając go z nóg. Drugą ręką Andy zdołał się schwycić klapy ciężarówki i z pomocą starszego kaprała trzymającego go za przepoconą koszulę podciągnął się, by znaleźć się na platformie pojazdu. Wyciągnął się na wznak, patrząc w górę na płynące po niebie rozjaśnione blaskiem księżyca chmury.

Przy wtórze metalicznego chrupnięcia i zgrzytu sterty metalu ciężarówka odnalazła w końcu trzeci bieg i potoczyła się naprzód. Westley głośnym krzykiem przynaglał porucznika Cartera do większego wysiłku. Ciężarówka nie zamierzała dla niego zwolnić.

Andy usiadł i wyrzwał ponad krawędzią klapy z tyłu pojazdu, by zobaczyć, że młody oficer coraz bardziej traci siły. Dystans między nim a ciężarówką powiększał się. A sto metrów dalej dostrzec można było nadciągający wściekły tłum.

- Dalej, poruczniku! Szybciej, do cholery!

Porucznik Carter odrzucił karabin i uprząż bojową, jego nogi pracowały jak tłoki, na twarzy pojawił się grymas wysiłku. Ramiona poruszały się rytmicznie i ku zdziwieniu Andy'ego porucznik zaczął przyspieszać, zmniejszając odległość dzielącą go od ciężarówki. Andy przelazł przez tylną klapę i stanął obok Westleya na tylnym zderzaku pojazdu, wyciągając do biegnącego jedną rękę. Carter był tak wyczerpany, że potrzebował pomocy dwóch osób aby wciągnęli go na pakę, nie miałby już siły, aby samemu się podciągnąć. Kiedy go pochwyca, stanie się bezwładny jak martwy ciężar.

- Tak trzymaj! - zawołał Andy. - Jeszcze trochę!

Carter przyspieszył i wyciągnął rękę w stronę ciężarówki, koniuszki jego palców musnęły dłoń Andy'ego.

Wtem tors porucznika buchnął rozbryzgiem czerwieni; młody oficer zachwiał się na nogach, zatoczył kilka kroków i upadł na twarz.

- Nie!

Carter nie podniósł się z ziemi, a ciężarówka nieubłaganie się od niego oddalała. Otrzymał postrzał w plecy. Dopiero po chwili Andy zobaczył, jak porucznik powoli, chwiejnie

dźwiga się na nogi, przyciskając dłonie do rany wylotowej na piersi. To był koniec - wyraźny, jakby namalowany jego twarzy. Postrzał był poważny

- Cholera jasna! Niech to szlag! Już po nim!

Carter padł na kolana, ale wciąż utrzymywał się w pionie. Andy nie miał wątpliwości, że tłum dotrze do porucznika szybciej, niż umrze z upływu krwi.

- A niech to, ale kanał - jęknął Westley.

Andy szybko wrócił na platformę ciężarówki i sięgnął po leżący obok SA-80. A potem stanął na lekko rozstawionych nogach, usiłując utrzymać równowagę na chyboczącej się pacy ciężarówki toczącej się w stronę mostu.

- Co ty chcesz.. - zdążył jeszcze powiedzieć Westley, zanim Andy opróżnił magazynek.

Grunt wokół Cartera eksplodował. Większość strzałów Andy'ego chybiła, ale litościwie kilka kul dosięgło celu, powalając Cartera na ziemię, gdzie, jak stwierdził Andy, odetchnąwszy z ulgą, całkiem znieruchomiał.

Jeden z żołnierzy z przodu ciężarówki zawołał:

- Trzymajcie się! Blokada!

Po chwili ciężarówka uderzyła w wypalony wrak niewielkiego auta, bez najmniejszego wysiłku spychając go z drogi wśród kaskady iskier, kłębow dymu, sadzy i sypiących się na ziemię płatów spalonego lakieru. Z głośnym rykiem przemknęła obok kilkunastu milicjantów, z których większość uskoczyła w popłochu przed nadjeżdżającym pojazdem i koziółkującym wrakiem samochodu osobowego. Wóz z żołnierzami z głośnym łoskotem przetoczył się przez most, a Andy patrzył, jak blokada, ciemne, pozbawione życia miasto i rozjuszony tłum pozostały daleko w tyle. Ostatnią rzeczą, jaką zdołał wychwycić przez noktowizor na karabinie, był tłum ludzi, ciemniejąca masa ciał widoczna na tle odległego ogniska, gromadząca się wokół zwłok porucznika Cartera.

Jego umysł odtwarzał te sceny jak w zwolnionym tempie.

Poczuł klepięcie w ramię i odwrócił się, by ujrzeć siedzącego tuż za nim Mike'a.

- Dobrze się spisałeś - powiedział Amerykanin.

Andy spojrzął na zegarek. Dochodziło wpół do dwunastej, a na nocnym niebie niczego nie było widać ani, co gorsza, słyszać.

- Chyba jednak nie przylecą.

- Jesteś pewien, że porucznik Carter powiedział, że właśnie stąd mają nas zabrać? O jedenastej?

- Tak. Jestem pewien.

Mogło być wiele przyczyn, dlaczego chinook się nie pojawił; może próbował dotrzeć na miejsce spotkania, ale został uszkodzony albo nawet strącony pociskiem ziemia powietrze? A może zwyczajnie dowództwo uznało, że ryzyko jest zbyt wysokie, i nie zdecydowało się na tę akcję? Teraz to nieważne. Mieli przerąbane. I to koncertowo.

- Ci chłopcy zastanawiają się, co, u licha, teraz zrobimy - ciągnął Mike. - Stracili obu dowódców i srają w gacie ze strachu.

Miał rację. Żołnierze na pace ciężarówki byli w zasadzie jeszcze dzieciakami, mieli dziewiętnaście, dwadzieścia, góra dwadzieścia jeden lat. Andy miał trzydzieści dziewięć i mógłby być dla niektórych ojcem. Teraz wlepiali w niego wzrok, pragnąc się dowiedzieć, co będzie dalej.

Mike rzekł półgłosem:

- Zdajesz sobie sprawę, że patrzą właśnie na ciebie?

- Taa - mruknął Andy z wahaniem.

- I dlatego musimy się zastanowić, co robić dalej.

- Racja. Nie możemy pojechać na południowy zachód na lotnisko K-2. Musielibyśmy przejechać przez Al-Bayji, aby tam dotrzeć - mruknął, myśląc na głos. Znow spjrzał w rozgwieżdżone czyste niebo. Mogli zrobić tylko jedno. Skierował wzrok ku północy.

- Jak sądzisz, ile to może być kilometrów? - spytał Andy

- Ale dokąd? - odparował Mike.

- Do Turcji.

Mike spjrzał na niego, wybałuszając oczy, jego grube brwi wygięły się w dwa bliźniacze łuki.

- Słucham?

- Jeżeli pojedziemy na północ, możemy wyjechać z Iraku i dotrzeć do domu przez Syrię lub Turcję.

- Zamierzasz wrócić do domu? To kawałek drogi.

Andy odwrócił się, by na niego popatrzeć.

- Tak. Mam dwoje dzieci i żonę. Potrzebują mnie. Chcę wrócić do domu.

- Hmm. Chyba niewiele możemy na to pomóc.

- Niestety W naszym wypadku wybór jest drastycznie ograniczony - rzekł Andy. - Ale kto wie, może się nam poszczęści i wpadniemy na jakiś oddział żołnierzy... twoich albo naszych. Nigdy nie wiadomo.

Mike skinął głową.

- Przypuszczam, że do granicy z Turcją jest jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

Andy wydał wargi.

- W linii prostej. Będzie ponad trzysta, gdybyśmy chcieli unikać większych miast i trzymać się z dala od głównej drogi prowadzącej na północ.

- A co potem?

Andy wzruszył ramionami.

- Potem, jak sądzę, przejedziemy przez Turcję.

- Taki jest ten twój plan?

- A Dokładnie taki.

Mike uśmiechnął się; śnieżnobiałe zęby kontrastowały silnie z jego ciemną brodą.

- Prawdziwy z ciebie zakapior, Andy. Twardy, nieugięty i piekielnie zajadły. I chyba to w tobie lubię.

- Jeżeli uda się nam wrócić do domu i spotkasz moją żonę, powiedz jej, jaki ze mnie nieugięty i zajadły zakapior, dobra? Bo ona uważa mnie za ostatniego palanta.

Mike poklepał Andy'ego po plecach.

- Masz to u mnie jak w banku.

Andy uśmiechnął się lekko w odpowiedzi.

- Masz rodzinę, do której musisz wrócić - dodał Mike.

Uśmiech Andy'ego przygasł.

- Każda mijająca minuta spędzona tutaj oznacza, że przez kolejną minutę moje dzieciaki są tam całkiem same.

Mike spojrzał w stronę żołnierzy na pace ciężarówki.

- Wobec tego lepiej ogłoś chłopakom swój plan - powiedział. - Mam wrażenie, że wybrali cię na nowego dowódcę.

- Niech to szlag. Nie jestem pewien, czy dam radę. Nie umiem nawet za dobrze strzelać. Co i rusz walę Panu Bogu w okno.

Mike pokręcił głową i zaśmiał się.

- No i widzisz, wszystko zepsułeś. A już przez chwilę mówiłeś prawie jak prawdziwy samiec alfa.

Środa

Rozdział 43

**godz. 5.00 czasu Greenwich
między Manchesterem a Birmingham**

Jenny poruszyła się i stwierdziła, że mimo wszystko zdołała przespać kilka godzin na plastikowym krześle. Pierwsze promienie wschodzącego słońca przenikały surrealistyczną, absolutną czerń nocy. W miarę jak mijały godziny wczesnoporannej szarówki, powiodła wzrokiem wzdłuż pustej szosy ponad wąskim pasem zieleni oddzielającym ją od pobocza i przydrożnego parkingu.

Pusta autostrada.

Cóż za niezwykle, niepokojący widok, skonstatowała. Przynajmniej w tym kraju. Pusta autostrada z chwastami wyrastającymi ze szczelin w asfalcie to jeden z typowych obrazów znamionujących zagładę ludzkości, ikona postapokaliptycznego świata. Pierwszy krok już został zrobiony, niedługo pojawią się chwasty.

Rozglądając się dokoła, stwierdziła, że pięć czy sześć osób spośród kilkunastu, które zebrały się ubiegłej nocy przy furgonetce z hamburgerami, odeszło jeszcze przed świtem. Nie było tu już nic do splądrowania, po napojach gazowanych i bułkach do hamburgerów pozostało tylko wspomnienie. Uznała, że oni też powinni ruszyć w drogę.

Paul obudził się niedługo po Jenny

Przeciągnął się lekko, skinął do niej głową bez słowa, po czym wskazawszy głową w stronę M1, dał do zrozumienia: komu w drogę, temu czas. Kiedy zabrała swoją torbę, zapięła żakiet i postawiła kołnierz, bo rano wiał dość chłodny wiatr, jedna z osób drzemających na sąsiednich krzeselkach także zaczęła się budzić.

- Mogę pójść z wami? - spytała cicho kobieta.

Jenny domyśliła się, dlaczego tamtej tak zależało, aby do nich dołączyć. Resztę wciąż śpiącej grupki tworzyli mężczyźni w różnym wieku. Wymieniły spojrzenia, nie mówiąc ani słowa, ale myślały o tym samym.

Dziś, jutro i Bóg wie, jak długo jeszcze... lepiej nie być samotną kobietą.

- Jasne - mruknęła Jenny zadowolona, że odtąd będą podróżować we trójkę.

Kobieta, ciemnowłosa (po trzydziestce, jak uznała Jenny), miała na sobie granatowy spodniem, który dość skutecznie ukrywał jej sporą nadwagę. Wzięła swoją torebkę i ostrożnie

przeszła pomiędzy zajętymi plastikowymi krzesłami, aby nie potraćić żadnego z nich i nie obudzić któregoś z pochrapujących w najlepsze mężczyzn. Wyciągnęła do Jenny rękę.

- Jestem Ruth - powiedziała z charakterystycznym birminghamskim akcentem.

- Jenny. A to Paul.

- Cześć - mruknął jakby od niechcenia, zerkając w jej stronę.

Jenny uścisnęła dłoń Ruth, a na jej ustach pojawił się wątyły uśmiech.

- No to chodźmy - rzucił Paul, kierując się w stronę wyjazdu z parkingu i autostrady biegnącej na południe.

- Dokąd właściwie próbujecie dotrzeć? - Ruth zwróciła się do Jenny, gdy ruszyły za nim.

- Do Londynu.

- Ja chcę się dostać do Coventry.

- No i dobrze. To przecież po drodze.

Szli w milczeniu, pograżeni we własnych myślach i troskach, ale wszyscy zdawali sobie sprawę z panującej dokoła osobliwej ciszy. Żadnych samolotów, odgłosów przejeżdżających aut, nie było nawet konwojów wojskowych, które Jenny spodziewała się zobaczyć. W końcu Ruth przerwała milczenie:

- Jesteście małżeństwem?

Jenny natychmiast zareagowała:

- Nie, skąd! Po prostu wzięliśmy na spółkę taksówkę, ale ugrzęzła przy blokadzie na M1. Oboje zmierzamy do Londynu, dlatego rozsądnie było pójść tam razem. - Po chwili dodała: - Mam w domu rodzinę, dzieci, do których muszę wrócić.

- A ja miałem spotkanie - wtrącił Paul. - Cholernie ważne, bo chodziło o zawarcie kontraktu. To był bardzo intratny kontrakt. Ale teraz to już chyba historia - mruknął. - Chcę już tylko wrócić do mieszkania, zanim jacyś skurwiele zorientują się, że jest puste, i doszczętnie je ogołocą.

- A ty? - spytała Jenny, patrząc na Ruth.

- Jestem handlowcem. Kiedy to się zaczęło, objeżdżałam właśnie klientów. Chcę wrócić do domu, do męża. Beze mnie nie da sobie rady

- No to masz w sumie niedaleko.

- Na piechotę jednak dość daleko. To jakiś absurd... pozamykać autostrady. Co, u diabła, sobie myśli ten cholerny rząd?

Chodzi o zmniejszenie migracji z miast. Tak przynajmniej odpowiedziałby na to pytanie Andy, pomyślała Jenny. To pierwszy krok w zarządzaniu kryzysowym - przejęcie kontroli

nad poczynaniami ludności, i to możliwie jak najszybciej.

- Nie do wiary, co się wydarzyło w ciągu ostatniego dnia - ciągnęła Ruth. - Nikt by się tego nie spodziewał, a w każdym razie nie w tym kraju. Wiecie, co mam na myśli?

- Chyba tak - rzekł Paul. - Myślę, że wcale nie jest tak źle, jak się wydaje.

Jenny spojrzała na niego.

- To znaczy?

- Coś mi się wydaje, że rząd zwyczajnie spanikował, przesadzili z restrykcjami i właśnie to spowodowało wszystkie te rozruchy i chaos - klasyczny przypadek spieprzonej przez nadgorliwość przesadzonej reakcji. No pomyślcie tylko - blokady autostrad? Wstrzymanie kursowania pociągów i autobusów dalekobieżnych? Co to ma znaczyć, do kurwy nędzy? Oczywiście, takie działania skutecznie upewniają wszystkich, że nadchodzi koniec świata. I co robią ludzie? Zaczynają kupować wszystko, jak leci, ogarnięci coraz większą paniką, żywność znika ze sklepów, a potem jesteśmy jeszcze bardziej nakręcen i roztrzęsieni. Chryste, nie mogliby bardziej pokpić sprawy, nawet gdyby próbowali.

- Słyszałam wcześniej w wiadomościach, że w wielu miejscach wybuchły zamieszki - rzekła Ruth.

- Nic dziwnego, taki stan rzeczy potrwa jeszcze kilka dni, zanim ludzie się opamiętają i zrozumieją, że sytuacja wcale nie jest taka zła, jak sądzili. Ale do tego czasu wolę posiedzieć w czterech ścianach bezpiecznego mieszkania i nie wystawiać nosa na ulicę.

Ruth wyglądała na przerażoną.

- Na miłość boską, przecież to Anglia! Na pewno potrafimy o siebie zadbać przez tych kilka dni, nie zniżając się do poziomu oszalałych prymitywnych dzikusów!

- Kto mówi, że to się skończy za kilka dni? - spytała Jenny.

Pozostała dwójka wymieniła spojrzenia.

- Tak tylko mówię.

Paul pokręcił głową.

- Za parę dni będzie po wszystkim, kiedy tylko ustaną niepokoje na Bliskim Wschodzie, a wtedy z odrazą spojrzymy na rozruchy w naszym kraju. I wiecie co? Pojawi się na pewno cała masa programów typu reality show, a w nich nagrania z kamer przemysłowych, na których ludzie robią z siebie durniów. Miejmy nadzieję, że tych najgorszych kretyńców powsadzają za kratki.

- A jeśli niepokoje na Bliskim Wschodzie nie ustaną? Jeśli przyjdzie nam przetrwać drugi albo nawet trzeci tydzień bez ropy i regularnych dostaw żywności z całego świata? - spytała Jenny.

- Och, Paul ma rację. Jestem pewna, że do tego czasu wszystko się już uspokoi - rzekła Ruth.

- A jeżeli jednak nie? Dziś jest trzeci dzień. I na własne oczy widziałam, jak zabito człowieka! Co zobaczę piątego dnia? Albo siódmego? Lub, dajmy na to, za dwa, trzy tygodnie?

- Uspokój się - powiedział Paul - w tym kraju sytuacje kryzysowe nigdy nie trwają długo. Pamiętasz panikę związaną z SARS-em czy ptasią grypą? W telewizji na okrągło pokazywali desperatów, którzy wciąż opowiadali, że gdy wybuchnie prawdziwa epidemia, będą miliony ofiar, a gospodarka runie w gruzy. Uwierz mi, to minie.

Szli wzdłuż autostrady aż do przedpołudnia, zauważyli zaledwie jedną grupę ludzi na przeciwległym pasie zmierzającą na północ. Kiedy się mijali, nie było wymiany informacji, a jedynie uprzejme: „Dzień dobry”.

Wkrótce potem zobaczyli tablicę reklamową stacji paliw Beauford, niecałe dziesięć kilometrów dalej i w samo południe skręcili z autostrady w prowadzącą tam odnogę.

Byli bardzo spragnieni. Paul podejrzewał, że stacja będzie zamknięta, a cały personel został odesłany do domu, dopóki sytuacja się nie ustabilizuje. Mogli zabrać stąd parę butelek wody i kilka kanapek, nawet gdyby mieli zostać nagrani przez kamery. Paul powiedział, że jest na tyle głodny i spragniony, że jest gotów zaryzykować aresztowanie i karę grzywny za kilka miesięcy.

Przeszli przez parking, pusty, jeżeli nie liczyć miejsc dla personelu, gdzie obok ciężarówki dostawczej stał samochód osobowy. Na cały kompleks składała się stacja benzynowa Chevco oraz przeszklony pawilon, gdzie zgodnie z tablicą informacyjną mieścił się Burger King, KFC, salon gier, sklep TQ Sports, kiosk z gazetami i toalety

Jenny spojrzała na pawilon i przez przyciemnioną, brązową szybę dostrzegła jakieś poruszenie. Wewnątrz byli ludzie i patrzyli na nich z niepokojem.

- Tam ktoś jest - rzekła.

- Wiem, też ich widzę - powiedział Paul. - Cóż, mam przy sobie trochę pieniędzy. Kupimy parę butelek wody i kilka kanapek.

Pomaszerowali przez parking i gdy zbliżali się do szerokich obrotowych drzwi przy głównym wejściu, z ciemności budynku wyłonił się szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce, łysiejący i z okularami w metalowych oprawkach na nosie. Pchnął jeden z paneli nieruchomych obrotowych drzwi, przesuwając je powoli, aż znalazł się na zewnątrz przed nimi.

Stanął na lekko rozstawionych nogach, wyprostował się i wyjął dziecięcy kij do krykieta, którym zaczął jakby od niechcenia wymachiwać z boku na bok. Najwyraźniej ten gest miał wyglądać groźnie, Jednak szczupła, drobna sylwetka mężczyzny o wyglądzie maratończyka, ze szczupłymi ramionami, ubranego w służbową koszulę z krótkim rękawem, pod krawatem w kolorze świeżej, soczystej trawy i z plakietką z nazwiskiem w takim samym kolorze co krawat - wszystko to bynajmniej nie czyniło go groźniejszym.

- Zamknięte - oznajmił oschle, dla lepszego efektu uderzając młotkiem w otwartą kośćistą dłoń. - Dość już mieliśmy kłopotów od samego rana.

Jenny dopiero teraz dostrzegła rysy i ślady uderzeń na grubych, wzmocnionych szybach frontowych pawilonu, ślady widać było również na całej przestrzeni opuszczonego parkingu - wyrwane płyty chodnikowe, połamane, zapewne celowo, by ich kawałki mogły stanowić poręczne pociski do miotania. Najwyraźniej coś tu się działo i to całkiem niedawno.

- Ubiegłej nocy zwała się tu banda cholernych wałkoni, próbując włamać się i zabrać, co się da - ciągnął mężczyzna.

- Proszę posłuchać - rzekła Jenny - idziemy od wczorajszego popołudnia. Jesteśmy głodni i spragnieni. Mamy pieniądze. Chcielibyśmy tylko kupić parę butelek wody i kilka kanapek.

Mężczyzna pogardliwie pokręcił głową.

- Pieniądze? One nie są już nic warte.

Jenny widziała, że tamten był zdenerwowany i rozdrażniony.

- Pan tu rządzi?

Skinął głową.

- Jestem kierownikiem zmiany

- A inni?

Spojrzał przez ramię na ludzi w środku wyglądających niepewnie na zewnątrz przez przydymione szkło, aby sprawdzić, jak szef radzi sobie w obecnej sytuacji.

- To ci, co zostali z wczorajszej zmiany - odparł. - Reszta miała samochody i spieprzyła. Ci przyjeżdżali autobusem i chcąc nie chcąc, zwyczajnie tu ugrzęźli. W większości imigranci, prawie nie mówią po angielsku i to, co się wydarzyło, śmiertelnie ich przeraża. - Wzruszył ramionami. - Ze mną są bezpieczniejsi, zważywszy na to, co się dzieje. Poza tym wciąż mamy prąd, działa generator awaryjny.

- To świetnie.

- No i pomagają pilnować zapasów - dodał. - Paru gnojków próbowało wdrzeć się tu zeszłej nocy, zanim zdążyliśmy zamknąć na klucz główne wejście. Pobili Julię, moją zastępczynię, kiedy próbowała ich powstrzymać.

- Paru gnojzków? Ma pan na myśli dzieci? - spytał Paul.

- Nie, to nie były dzieci. Raczej nastolatkwie. Wiecie, o kim mówię, blokersi, dresiarze, kaptury, ogolone łby - gnoje jednym słowem.

Jenny wiedziała, o kim mówił. Blokersi, tak Leona nazywała zwykle pyskatych małolatów, którzy, ubrani w bluzy z kapturami, gromadzili się w większych lub mniejszych grupkach na rogach niecieszących się dobrą opinią ulic.

Ruth przekrzywiła głowę, aby spojrzeć poza ramieniem kierownika na jego personel wyglądający przez szybę.

- Czy nic jej nie jest?

- A jak ci się zdaje? Złamali jej rękę i zmasakrowali twarz.

- Jestem pielęgniarką, proszę mi pozwolić rzucić na nią okiem - rzekła Ruth.

Jenny i Paul odwrócili się, by na nią spojrzeć.

- Mówiłaś, że jesteś...

- Wcześniej pracowałam jako pielęgniarka.

Kierownik spojrział na Ruth.

- Naprawdę, mogłabyś? Nie wiem, jak jej pomóc. Ona strasznie cierpi. Ciągle krzyczy... wyje od rana, nic dziwnego, że pozostali są zaniepokojeni.

- Czy my też moglibyśmy wejść do środka? - zapytał Paul.

Kierownik pospiesznie otaksował ich wzrokiem.

- W sumie czemu nie?

Rozdział 44

godz. 11.31 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Leona wyjrzała przez okno w salonie, ponad niewielkim frontowym ogrodem przed domem Jill, na porośniętą drzewami ulicę, gdzie stały samochody w większości lepszych marek. Ubiegłą noc przeleżała w łóżku, nie mogąc zasnąć i wsłuchując się w odgłosy z zewnątrz.

Kilka grupek dzieciaków, sądząc po głosach, głównie chłopców, jeździło samochodami w tę i z powrotem wzdłuż ulicy. Dźwięki muzyki były tak głośne, że aż zatrzęsała się szyba w oknie sypialni. Usłyszała, jak lawirują od krawężnika do krawężnika, przewracając kosze na śmieci i najwidoczniej nieźle się przy tym bawili.

Byli pijani. Słyszała dźwięczenie pełnych reklamówek i brzęk pustych butelek ciskanych niedbale na chodnik, gdzie roztrzaskiwały się w drobny mak. Leona domyśliła się, że byli u Ashida na końcu ulicy i wyczyścili półki do cna. Bawili się w najlepsze, świętując całkowity brak prądu i policji.

Najbardziej niepokojące było to, że ci chłopcy - byli wśród nich nastolatki i młodzi mężczyźni - sprawiali wrażenie, jakby ulica do nich należała. Teraz, kiedy nie ulegało wątpliwości, że policja raczej się nie zjawi, cała okolica stała się ich wyłącznym placem zabaw.

Leona zastanawiała się, ile potrwa, zanim znudzi im się demolka koszy na śmieci przy wąskiej uliczce. I kiedy dojdą do wniosku, że równie dobrze, a może nawet lepiej mogliby się zabawić w okolicznych domach. Wzdrygnęła się na samą myśl, że jedynym powodem, dla którego tamci nie zaczęli włamywać się do żadnego z domów przy St Stephen's Avenue, był fakt, że jak dotąd najwyraźniej nie przyszło im to do głowy. Jak na razie bawili się w najlepsze, ścigając się wzdłuż ulicy, rozwalając kubły na śmieci, niektóre z co bardziej kretyńskich ozdób ogrodowych i wyrywając z korzeniami młode wierzby rosnące w czyimś ogródku.

Nie wpadli jeszcze na to, że teraz mogą robić wszystko, co tylko zechcą.

Dosłownie wszystko.

Oczywiście, do czasu, aż policja nie opanuje sytuacji - jeżeli w ogóle miałyby to nastąpić.

Leona zauważyła, że Daniel zdołał przysnąć i nie zdawał sobie sprawy z tego, co się

dzieje. On jednak przywykł do tego typu hałasów w domach rodzin zastępczych w Southend, z widokiem na morze, gdzie na parkingach wieczorami miłośnicy szybkiej jazdy prezentowali swoje umiejętności zdobywane dzięki grom na playstation.

Jakimś cudem Jake także zasnął.

Hałasy nie cichły, aż niebo nie zaczęło jaśnieć pierwszymi promieniami wschodzącego słońca, i dopiero wtedy na ulicy stopniowo się uspokoiło - a ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, były odgłosy jednego z nich, rzygającego jak kot w czyimś ogródku i stękającego głośno kilkadziesiąt metrów dalej, w stronę wylotu ulicy

Około dziewiątej Daniel i Jacob wstali i ze znużeniem poczłapali boso na dół, by dołączyć do niej w kuchni Leona znalazła radio na baterie w gabinecie Jill i szybko odszukała kilka wciąż jeszcze nadających stacji.

- Znów mamy prąd? - spytał Daniel z nadzieją w głosie, wchodząc do kuchni.

Leona pokręciła głową i pokazała na radio.

- Jest na baterie.

- Och - odparł z rozczarowaniem.

Jacob rozejrzał się dokoła.

- Chcę płatków.

BBC World Service wciąż nadaje. I Capital FM plus jedna czy dwie inne stacje.

Daniel z nadzieją wzruszył ramionami.

- To może nie jest aż tak źle, jak sądzimy?

Odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Posłuchaj tego, Dan... to straszne... to, co się dzieje... wszędzie.

- Czy mogę dostać płatków? - zapiszczał ponownie Jacob.

Leona warknęła z irytacją:

- Nie!

- A dlaczego nie?

- W lodówce nie ma mleka. Jak chcesz płatków, to tylko na sucho, bez mleka.

- Chcę z mlekiem - odrzekł Jacob.

Włączyła radio.

- Posłuchaj tego, Dan. Boże, ale wszyscy mamy przewalone...

- W całym mieście szaleją pożary. To wygląda jak Bejrut, nie, raczej jak Bagdad dzień po upadku reżimu Saddama. Nigdy czegoś takiego nie widziałem w Wielkiej Brytanii, te zamieszki ubiegłej nocy, kompletne bezprawie. Słyszałem, że pojawiły się odizolowane obszary, gdzie panuje porządek, a w mniejszych miastach wciąż działa straż pożarna i widuje

się funkcjonariuszy policji, choć zwykle nie podejmują oni żadnych interwencji. Ciągłe nie ma dalszych komentarzy ze strony premiera czy innych ważnych przedstawicieli rządu, aczkolwiek sztab kryzysowy ochrzczony mianem Kobra wciąż nadaje komunikaty, apelując o zachowanie spokoju...

- Czy wobec tego mógłbym dostać tosta, Leona?

...obywateli, zapewniając wszystkich, że jeszcze dziś zostaną podjęte niezbędne kroki w celu przywrócenia porządku w całym kraju. Przerwy w dostawach energii elektrycznej, jakie ubiegłej nocy wystąpiły niemal w całym kraju, przyczyniając się do wybuchu paniki i rozruchów, określono mianem tymczasowych; ustaną, kiedy tylko dostawami prądu zajmą się regionalne sztaby kryzysowe. Rzecznik Kobry potwierdził, że w najbliższych dniach dostawy energii elektrycznej mogą być zmniejszone jeszcze bardziej, jako że Francja nie eksportuje już nadwyżek, a Rosja tymczasowo wstrzymała dostawy gazu ziemnego do czasu wygaśnięcia obecnego kryzysu. W większości regionów wdrażany jest system racjonowania energii i jak nas zapewniono, ma być ona dostarczana regularnie przez określony czas, niezbyt długo, ale za to codziennie. Powiedziano nam, że zdołano zabezpieczyć spore zapasy żywności i butelkowanej wody i niebawem ogłoszony zostanie system ich racjonowania. Tymczasem miałem okazję wysłuchać komunikatów z innych krajów, zarówno z Europy, jak i z innych zakątków świata. Wygląda na to, że obecny kryzys nie oszczędził nikogo. We Francji, na południu, wybuchły rozruchy, które...

- Leona, czy mogę dostać tos...

- Zamknij się! - ucięła. - Nie widzisz, że próbuję słuchać wiadomości?

- Ale ja jestem głodny. Chcę tosta!

- A jak ja ci, kurwa, mam zrobić tosta, Jacob? No powiedz mi.

Jacob aż rozdziawił usta ze zdumienia.

- Powiedziałaś słowo na „k”.

- Owszem, powiedziałam - przyznała. - Przepraszam.

Jacob wzruszył ramionami.

- Dobra, nic nie powiem rodzicom i w ogóle.

Leona zawstydziała się, że tak gwałtownie zareagowała. Uklękła obok brata.

- Naprawdę przepraszam, że tak na ciebie nakrzyczałam. Ale widzisz, jest tak... że na razie nie ma mowy o robieniu tostów.

- Bo nie ma prądu?

Tak, Jakey. Bo nie ma prądu i pewnie jeszcze przez pewien czas nie będzie.

Jacob pokiwał głową w milczeniu, a jego brwi złączyły się w pojedynczą kreskę, gdy

skupiał się, usiłując to wszystko ogarnąć.

- Ale - rzekł po cichu - skoro nie ma prądu, to jak mama i tato wrócą do domu? Do tego potrzebny jest prąd.

Leona poczuła nagle, że łzy napływają jej do oczu, łzy smutku i paniki. Sytuacja była niewesoła, a oni oboje byli gdzieś tam, całkiem sami.

Nie wiadomo, w jakich kłopotach mogli się znaleźć, czy nie są ranni albo nawet gorzej.

Jezu, nawet tak nie myśl.

- Znajdą drogę do domu, Jacob - odrzekła, uśmiechając się do niego, by dodać mu otuchy.

- Wkrótce tu będą. My musimy tylko siedzieć cicho i czekać na nich, jasne?

Jacob skinął głową. Ale coś mu mówiło, że siostra nie była wobec niego szczerą.

Dobre kłamstwo.

Mama mawiała, że czasem ludzie kłamią, aby dodać innym otuchy.

- No dobra - powiedział - wobec tego nie będzie tostów.

Leona wstała, pociągając nosem i ocierając oczy.

- Co byś powiedział na prażoną fasolkę na śniadanie?

Jacob pokiwał głową.

- Ale na zimno, tak jak czasem jadamy ją latem.

Rozdział 45

godz. 12.15 czasu Greenwich
stacja benzynowa Beauford

- Mamy tu, zobaczmy... - rzekł kierownik zmiany Nie przedstawił się, ale Jenny zobaczyła jego nazwisko na plakietce przy koszuli: Stewart. Zauważyła, że inni członkowie personelu mieli na plakietkach tylko imiona - najwyraźniej przywilejem rangi było, aby wszyscy znali cię z nazwiska.

- Mamy spory zapas przekąsek i słodczy - powiedział, wskazując na stoisko z batonami czekoladowymi, chrupkami, słodczymi i napojami w puszkach w saloniku prasowym. - A także hamburgery, kurczaki oraz frytki w zamrażarkach. - Wskazał na dwie duże chłodziarki stojące obok siebie. - Mamy generator awaryjny, który włącza się w razie przerw w dostawach prądu i który powinien działać jeszcze mniej więcej przez tydzień, a potem, rzecz jasna, cała żywność w chłodniach zacznie się rozmrażać. Dlatego zaczniemy od zjedzenia właśnie tych produktów. Taki jest plan.

- A zatem na pewien czas jesteście ustawieni? - wtrącił Paul.

Pan Stewart zdecydowanie pokiwał głową.

- Damy tu sobie radę, dopóki sprawy się nie unormują.

Jenny spojrzała na porysowaną, uszkodzoną przezroczystą ścianę we frontowej części pawilonu. Tworzywo nie wyglądało najlepiej, ale powinno wytrzymać przez jakiś czas.

- Jak udało im się dostać do środka i zaatakować pańską zastępczynię? - spytała Jenny

- Były otwarte. - Stewart wskazał na duże obrotowe drzwi pośrodku ściany frontowej. - Posłałem Julię, aby pozbierała zostawione na zewnątrz reklamy lodów i innych rzeczy, kiedy pojawili się tamci.

- Odwrócił się, by spojrzeć na nich z uśmiechem pełnym przekonania.

- Teraz wejście jest zamknięte na dobre i chwała Bogu.

- Myśli pan, że wrócą? - spytała Jenny.

- To możliwe - odparł pospiesznie. - Niech sobie tam krążą, wykrzykując najróżniejsze obelgi, ale te małe gnojki nie zdołają się tu wdrzeć. Zobaczycie.

Usłyszeli, jak ktoś jęczy z bólu.

- O, to nasza biedna Julia. Lepiej chodźmy, zobaczymy, czy wasza przyjaciółka zdoła jej

pomóc.

Pan Stewart odwrócił się na pięcie i stukając obcasami, przemaszerował korytarzem w stronę gabinetu kierownika. Minał grupkę swoich pracowników siedzących przy stolikach pod jedną z restauracji, szczerząc się do nich od ucha do ucha.

- Rozchmurzcie się - zagrzmiał, przechodząc obok.

Jego pracownicy: zmęczone, wystraszone kobiety z Europy Wschodniej i paru młodych mężczyzn, bez słowa pokiwali głowami, po czym powrócili do przerwanej prowadzonej szeptem rozmowy.

- Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej, Paul - rzekła półgłosem Jenny - Każda minuta spędzona tutaj to minuta, jaką moje dzieci są pozostawione same sobie. Muszę iść.

Paul spojrział na nią.

- Posłuchaj. Teraz najrozsądniej jest gdzieś się zatrzymać, znaleźć bezpieczne schronienie. Tak postępują myślący ludzie. Choćby tylko do jutra, zobaczymy, jak potoczą się sprawy.

- Co? - wyszeptała. - Nie mogę tu zostać! Muszę wrócić do domu!

Paul pokiwał głową, zastanawiając się nad tym.

- Ja też chciałbym wrócić do domu. Ale, sama wiesz... pamiętasz wczorajsze popołudnie i tę blokadę, to było naprawdę straszne, no nie?

Potaknęła bezgłośnie.

- Cóż, wydaje mi się, że dziś będzie jeszcze gorzej, nie mówiąc o tym, co będzie jutro. Nie chciałabyś wędrować po drogach, kiedy sytuacja w całym kraju jest taka niestabilna.

- Moje dzieci. Muszę wrócić do nich, do domu.

- Mówiłaś, że twoje dzieci są bezpieczne w domu twojej przyjaciółki. I że mają zapas żywności. To od nich usłyszałaś, zgadza się?

Jenny przytaknęła głową.

- Wobec tego najprawdopodobniej są obecnie w lepszej sytuacji od innych.

Jenny zamyśliła się nad tym przez chwilę i zdała sobie sprawę, że Paul może mieć rację. Zamknięte na cztery spusty w skromnym domu Jill, anonimowym budynku, jakich wiele, w tej podmiejskiej, spokojnej dzielnicy, nie rzucając się w oczy, nie zwracając na siebie uwagi, jej dzieci... Leona i Jacob postępowali tak, jak należało w obecnej sytuacji.

- Nic im nie pomożesz, jeśli jeszcze dziś ruszysz w dalszą drogę - powiedział Paul. - Zwłaszcza że w całym kraju szaleją rozwydrzone dzieciaki, którym się wydaje, że skoro nikt nie pilnuje porządku, mogą robić, co chcą. Zaczekaj dzień, dwa, aż minie najgorsze. Zapamiętaj moje słowa: nie dalej jak jutro, może jeszcze dziś, policja opanuje sytuację. A

wówczas, co mi tam, pójdę z tobą. Też chcę dotrzeć do domu.

Jenny uznała, że może mieć rację. Idąc samotnie, sporo ryzykowała. Mogło jej się przytrafić coś złego.

Cholera, Andy, i co ja mam teraz zrobić? A nasze dzieci... czy naprawdę są bezpieczne? Czy w domu nic im się nie stanie?

Jenny była gotowa zaprzedać duszę za możliwość choćby pięciominutowej rozmowy przez komórkę. Tylko po to, by upewnić się, że dzieciom nic się nie stało, że z Andym wszystko w porządku, i kto wie, może przy okazji powiedziałyby mu - że... że może trochę za bardzo się pospieszyła. Może nadal go kocha.

- Jeżeli dziś ruszysz w dalszą drogę... cóż... wiedz, że lepiej pomogłabyś swoim dzieciom żywa niż martwa i leżąca gdzieś w rowie.

Jenny wyjrzała przez popękana wzmocnioną szybę.

- Zostań tu, przynajmniej do jutra, dobra? Mogę się założyć, że jutro zobaczymy tu policyjne radiowozy

Jenny pokiwała głową.

- Dobrze. Ale tylko do jutra.

Usłyszeli, jak drzwi gabinetu kierownika otwierają się. Wyszli stamtąd Ruth i Stewart i podeszli do Jenny i Paula.

- Złamali jej nos i zwichnęli bark, ma też stłuczona, spuchnięta szczękę. Będę musiała nastawić jej ramię i to ją niestety zaboli. Dałam jej proszki przeciwbólowe. - Ruth spojrzała na zegarek. - Powinny zacząć działać za jakieś dziesięć minut.

Pan Stewart mruknął gniewnie:

- Paskudne gnoje. Dużo bym dał, aby dostać któregoś z nich w swoje ręce. Złoiłbym mu skórę.

- Czy mogę jakoś pomóc? - spytała Jenny.

- Owszem - przytaknęła Ruth. - Mogłabyś ją przytrzymać. To nie będzie przyjemne.

Jenny skrzywiła się.

- Dam radę.

- Czy jest tu jakiś alkohol? - zapytała Ruth Stewarta.

- Ee... tak - odparł z zakłopotaniem - mam butelkę brandy... w moim gabinecie.

- Świetnie. Przydałby mi się łyżeczek i tobie może też - powiedziała do Jenny. - Jestem pewna, że biedna Julia też chętnie chłapnęłaby sobie kropelkę.

Pan Stewart, choć z pewnym wahaniem, pokiwał głową.

- Częstujcie się.

- Dzięki. Chodźmy.

Jenny spojrzała na Paula.

- Pomożesz nam?

Paul jednak wpatrywał się w przeszkloną ścianę pawilonu; błdził gdzieś myślami.

- Myśli pan, że ci nastolatki wrócą?

Kierownik zmiany skinął głową i uśmiechnął się ponuro.

- O tak. Powiedzieli, że wrócą niebawem. I obiecali, że kiedy wedrą się do środka... jak to ujęli? Ach tak, zostanie ze mnie mokra plama.

- Miła perspektywa.

- Jakoś się tym nie martwię. Właściwie wolałbym nawet, aby wrócili. Aż przyjemnie popatrzeć, jak te brutalne, małe gnojki przymierają głodem przed wejściem do kompleksu. Mogą tylko patrzeć, jak serwuję moim pracownikom hamburgery z frytkami.

- Tak, to lepsze niż oglądanie telewizji. - Paul uśmiechnął się niepewnie do pana Stewarta.

Rozdział 46

godz. 14.00 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

- Chodź, zobaczymy, co się dzieje - powiedział Dan. - Może natrafimy na jakichś policjantów. Musi być ktoś, kto próbuje posprzątać ten bałagan, zaprowadzić porządek.

Leona milczała.

- Chodź, przewietrzmy się trochę.

- Ale nie za daleko, dobrze? Tylko żeby się trochę rozejrzeć.

- Jasne - zapewnił Dan.

- W porządku. - Odwróciła się do Jacoba. - Nie wychodź z domu, Jake, dobrze?

- Nie mogę pójść z wami?

- Nie. Zostań w domu... bo ja wiem, pobaw się czymś. Masz tu swoje zabawki. Niedługo wrócimy.

Leona uznała, że Dan ma rację. Po wczorajszej nagłej eskalacji przemocy i chaosu musieli sprawdzić, czy najgorsze już minęło. Napotkanie na ulicy policjanta, strażaka czy kogokolwiek w mundurze uspokoiłoby ją i dodało otuchy, a bardzo tego potrzebowała.

Przeszła przez hol do drzwi frontowych. Dan przekreślił zasuwkę i otworzył drzwi. Odwróciła się do Jacoba.

- Masz zostać w środku. Rozumiemy się?

Jake pokiwał głową.

Wyszli na krótką ścieżkę biegnącą przez zaniedbany, rzadko pielęgnowany ogródek przed domem Jill do furtki, po czym wyszli na ulicę. Był słoneczny, ciepły dzień, w sam raz na spacer w podkoszulku i szortach.

- Jak cicho - powiedział Dan.

Słyszeli ptaki świergoczące na pobliskim drzewie, ale od strony Uxbridge Road nie dochodziły odgłosy ruchu ulicznego, nie było też słycać głośnej muzyki ani posepnego zawodzenia policyjnych syren.

Leona powiodła wzrokiem wzdłuż ulicy w jedną i drugą stronę. Ubiegłej nocy dzieciaki nieźle narozrabiały. Wiele zaparkowanych aut, sportowych, osobowych i terenowych, miało wybitą jedną lub więcej szyb. Drobiny szkła zaścielały chodniki po obu stronach ulicy.

Wyglądało, jakby niedawno spadł tutaj grad. Zauważyła porzucone butelki i puszki na chodniku, a także w przydomowych ogródkach.

- Ale narobili bałaganu.

Dan wzruszył ramionami.

- Jak przy ulicy, gdzie mieszka moja mama.

Ruszyli w kierunku skrzyżowania z Uxbridge Road. Mijając swój dom, Leona stłumiła chęć spojrzenia w okno sypialni w obawie, że mogłaby znów zauważyć wysoką postać obserwującą stamtąd okolicę. Jak na razie przekonała samą siebie, że ta ciemna sylwetka była jedynie złudzeniem, grą światła i cieni, wytworem jej nadaktywnej wyobraźni.

Uxbridge Road była główną arterią Shepherd's Bush. Jeżeli w ogóle skierowano jakichś funkcjonariuszy, powinni być właśnie tu, gdzie znajdowały się wszystkie sklepy i posterunek policji.

Gdy dotarli do skrzyżowania, powiodła wzrokiem wzdłuż głównej ulicy.

- O... Boże... - wyszeptała.

Po obu stronach szyby wystawowe we wszystkich sklepach były powybijane, na ulicy wały się rozmaite rzeczy: pralki, telewizory, ubrania, gazety i czasopisma. Wyglądało na to, że największy bałagan panował w pobliżu sklepów spożywczych i barów oferujących dania na wynos. Sto metrów dalej dostrzegła błądy kanciasty budynek, gdzie w Shepherd's Bush mieściła się komenda policji.

- Ani żywego ducha - stwierdził Dan. - Gdzie się wszyscy podziali?

Ona też jak dotąd nie zauważyła nikogo.

- Nie wiem - odparła. - Może za bardzo się boją wychodzić z domów.

Szli dalej, mijając osmalony, wciąż jeszcze dymiący wrak samochodu i rozlaną breję jakiegoś bliżej nieokreślonego jedzenia, które mogło kiedyś zostać skradzione z pobliskiego baru oferującego posiłki na wynos, ale równie dobrze mogło być kałużą czyichś wymiocin.

- Zajrzyjmy na komendę - rzekła Leona. - Musi tam ktoś być.

Posterunek policji znajdował się z dala od ulicy i trzy schodki powyżej walającej się na ulicy brei, która podgrzana na słońcu zaczęła już trochę cuchnąć.

Podwójne, przeszkłone mlecznymi szybami drzwi prowadzące do pomieszczenia dyżurnego gładko uchyliły się do środka. Wnętrze było słabo oświetlone przez jarzeniówkę, która paliła się przy wtórze cichego brzęczenia nad kontuarem, gdzie zazwyczaj pełnił służbę oficer dyżurny.

- Oni mają prąd - parsknął Dan. - Niektórym to dobrze.

- Pewnie mają tu gdzieś zapasowy generator.

Leona przechyliła się nad kontuarem.

- Halo? Jest tam kto?

Jej głos odbił się złowieszczym pustym echem wewnątrz pomieszczenia.

- Czy jest tu kto? - zawołała.

Bez odpowiedzi.

Odwróciła się do Dana.

- Przecież ktoś musi tu pełnić służbę, choćby w okrojonym składzie. Mam rację?

Dan wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jak dla mnie budynek wygląda na opuszczony. Rozejrzę się.

Uniósł składany fragment lady, przeszedł na drugą stronę i rozejrzał się po pomieszczeniu biurowym za kontuarem.

- Cholera, ale tu bałagan, wszędzie walają się papiery i różne drobiazgi.

Przeszedł na drugi koniec pomieszczenia, w stronę drzwi z mleczną szybą pośrodku, obok których znajdował się elektroniczny zamek blokujący wejście.

Leona nawet zza kontuaru widziała, że mleczna szyba została wybita, a drzwi sforsowano.

- Wygląda na to, że ktoś już tu był i zdemolował wszystko - zawołała do Dana.

- Aha - odparł Dany.

- Uważaj na siebie.

- Jasne. - Pchnięciem otworzył drzwi do wewnątrz, a Leona usłyszała chrzęst szkła pod podeszwami jego butów.

- Jest tu kto? - zawołał, zaglądając do sąsiedniego pomieszczenia. - Policja?

Drzwi ze stłuczonym panelem z mlecznego szkła zamknęły się za nim, ale Leona widziała przez szybę jego postać przechodzącą przez sąsiednie pomieszczenie.

- Nie odchódź za daleko, Dan! - zawołała i w odpowiedzi usłyszała jego stłumiony głos.

- Dobra.

Było tak dziwnie, tak cicho; wyjrzała na ulicę. Z Uxbridge Road powinny dochodzić odgłosy ruchu ulicznego, na chodnikach powinno być pełno ludzi, owoców i warzyw wyłożonych na bazarowych stołach, tuż obok tanich akcesoriów komórkowych i podejrzanego pochodzenia kart SIM. Tymczasem okolica wyglądała jak miasto duchów z Dzikiego Zachodu. Niemal spodziewała się, że lada moment obok niej przetoczy się niesiona wiatrem chmura pustynnych chwastów.

Tato opowiadał jej kiedyś o huraganie, który nawiedził Londyn w 1987 roku - wyszedł. Wtedy wcześniej do pracy, by stwierdzić, że ulice były opustoszałe i pełne walających się na

nich śmieci. Podejrzewała, że miasto musiało wtedy wyglądać podobnie, choć sytuacja nie była aż tak poważna.

Tak tu cicho.

Od jakiegoś czasu nie słyszała kroków Dana.

- Dan?

Bez odpowiedzi.

- Dan? Wszystko w porządku? - zapytała z przejęciem.

Przez chwilę cisza, a potem coś jakby drapanie.

- Dan?

Zobaczyła coś przez mleczną szybę, ciemny kształt zataczający się nieznacznie.

- Dan, to ty?

Postać zawahała się przez chwilę, znieruchomiała. I nagle znowu się poruszyła, dłoń sięgnęła do drzwi.

Wreszcie drzwi uchylły się i ujrzała Dana, twarz miał bladą, pozbawioną wyrazu.

- Boże, nic ci nie jest? - zawołała.

Dan pokręcił głową, podchodząc z powrotem do kontuaru.

- Chodźmy - rzekł półgłosem. - I to już. Wynośmy się stąd.

- Co się stało? Widziałeś coś?

Podszedł do niej, podnosząc fragment blatu, i ujął ją za rękę.

- Po prostu chodźmy stąd.

- Ani śladu policji?

Znów pokręcił głową, a potem ciężko przełknął ślinę.

- Widziałem tylko jednego.

Wyszli na zewnątrz, mrużąc powieki od słońca, kiedy przestąpili próg frontowych podwójnych drzwi.

- Myślę, że powinniśmy wracać - rzekł Dan. - Dość już się naoglądałem.

Leona wskazała ręką w lewo.

- Tam jest supermarket. To bardzo blisko, widzisz? Może tam spotkamy pilnujących go policjantów?

- Może, ale dlaczego nie wrócimy po prostu do domu, Lee?

Leona ujęła go za rękę i spojrzała na niego.

- Dan, naprawdę bardzo mi zależy, aby znaleźć policjanta. Chcę usłyszeć od kogoś kompetentnego, co powinniśmy dalej robić.

- No dobra, dobra - mruknął - skoro tak, to chodźmy do tego supermarketu.

Rozdział 47

godz. 14.01 czasu Greenwich

Hammersmith, Londyn

Ten motocykl po drugiej stronie ulicy będzie idealny, stwierdził Ash. Siedzący na nim mężczyzna stanowił jedynie drobną niedogodność, z którą powinien się szybko uporać. Przeszedł przez skrzyżowanie zatarasowane sklepowymi wózkami i niezliczoną ilością kartek papieru do drukarki, zaścielających cichą ulicę niczym śnieg i szeleszczących przy lekkich podmuchach wiatru.

Mężczyzna na motorze był policjantem zajęтым obserwacją skrzyżowania. Każdego innego dnia w tym miejscu tworzyłyby się korki. Dziś było tu zupełnie pusto. Ash zauważył w pobliżu kilkadziesiąt innych osób przebierających wśród pozostałości z ubiegłej nocy.

Policjant szybko zdał sobie sprawę, że Ash zbliża się ku niemu.

- Proszę się cofnąć - rzekł stanowczym tonem.

Ash zwolnił, lecz się nie zatrzymał.

- Potrzebuję pomocy - odparł. - Potrzebuję karetki - dodał gorączkowo, klecąc w myślach historyjkę, która miała spełnić zadanie przez kolejne dwadzieścia sekund i dziesięć metrów.

- O co chodzi? - spytał policjant.

Ash wciąż się do niego zbliżał.

- Moja żona, źle z nią, musi jechać do szpitala.

Policjant wyciągnął rękę.

- Proszę się zatrzymać. Co jej się stało?

Ash nieznacznie zwolnił, ale wciąż zmniejszał dzielący ich dystans. Na jego twarzy pojawił się wyraz nieopisanej udreki.

- Boże, myślę, że ona umiera. Nie mogę... nie mogę...

Dłoń policjanta sięgnęła w stronę sakwy przy motocyklu, skąd wystawała kolba pistoletu.

- Powiedziałem, stać!

Prawie się zatrzymał.

Pięć metrów... jeszcze kawałek.

Policjant przyglądał się Ashowi, który szlochał spazmatycznie.

- Nic na to nie mogę poradzić. Mogę tylko to zgłosić, ale trudno będzie sprowadzić dla

niej pomoc. Co właściwie się jej stało?

Ash postawił kolejny niepewny krok w jego stronę.

Już prawie...

- Proszę się zatrzymać!

Ash wyjął nóż o długim cienkim ostrzu i kiedy policjant sięgnął po pistolet, wbił mu je w brzuch. Następnie pociągnął z całej siły w górę, jakby filetował rybę, świadom nieopisanych szkód, jakie ostrze czyniło teraz w środku. Drugą ręką schwycił tamtego za nadgarstek i mocno przytrzymał. Policjant wolną ręką dotknął brzucha, na próżno usiłując wyjąć white weń ostrze.

- Ciii - rzekł Ash. - Spokojnie - wyszeptał, nachylając się do tamtego niemal intymnie. - Za chwilę będzie po wszystkim, przyjacielu.

Ash ściągnął go z motocykla i delikatnie ułożył na chodniku, usta mężczyzny otwierały się i zamykały na przemian, pomiędzy rozchylonych warg dobiegał przesycony cierpieniem bulgot.

Ash wsiadł na motocykl. Kilka znajdujących się najbliżej osób zrozumiało, co się dzieje, i patrzyło z rozdziawionymi ustami, jak odpalał maszynę.

Epsom.

Ostatnią noc spędził przy świeczce nad atlasem *Londyn od A do Z* znalezionym u Sutherlandów. Zakładając, że drogi były przejezdne i nie napotka żadnych blokad, powinien dotrzeć tam najdalej po południu. Miał nadzieję, że siostrzyczkę imieniem Kate zastanie w domu. Zawrócił motocykl, pokonując obwodnicę Hammersmith i skręcając na południe wzdłuż Fulham Palace Road. Także przy tej ulicy witryny we wszystkich sklepach były powybijane.

Zdziwił się, jak niewiele trzeba, aby zdruzgotać kruchy fundament prawa i porządku. Nikt jeszcze nie umierał z głodu, nikt zapewne nawet nie głodował. Ale sama wzmianka o racjonowaniu żywności płynąca z ust tego skończonego idioty premiera sprawiła, że wszystkich ogarnęła niepohamowana panika, podsycana jeszcze przez wyraźnie szukające sensacji media, a czarę goryczy przelała jedna kropla: ogólnokrajowa przerwa w dostawie prądu, która nastąpiła nagle, bez ostrzeżenia.

Uśmiechnął się.

Oni naprawdę nieźle to wszystko rozegrali, prawie idealnie, w ciągu zaledwie paru dni doprowadzili do całkowitego upadku znanego nam świata.

Rozdział 48

godz. 14.05 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Leona, idąc pierwsza, pokonała kolejne sto metrów Uxbridge Road. Dopiero kiedy przeszli przez zasłaną śmieciami ulicę, dostrzegli coś jeszcze - pierwsze jak dotąd oznaki życia. Grupkę pięciu osób, rodzinę Azjatów krzątającą się w zdemolowanym sklepie z biżuterią i powoli, jakby tchórzliwie zaczynającą sprzątać bałagan. Ten widok dodał jej otuchy. To był dobry znak.

Przed nimi znajdował się nieduży kompleks handlowy, a wyżej wielopoziomowy parking. Zwykle przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w pasażu paliły się neony, podświetlane billboardy i tysiące małych typowych dla centrów handlowych lamp umieszczonych w dość niskim sklepieniu. Teraz, mimo iż popołudnie było dość słoneczne, wewnątrz było ciemno.

- Supermarket jest w środku - rzekła Leona. Właściwie była gotowa zawrócić, ale widok tamtej rodziny zaczynającej porządkować w swoim sklepie nieopodal obudził w niej nadzieję, że najgorsze już minęło.

- Jakoś nie widać tu nigdzie policji - zauważył Dan.

- Rozejrzyjmy się w środku raz-dwa. Jeżeli nawet nie spotkamy policji, to może znajdziemy jeszcze jakąś żywność w supermarkecie.

Dan nie wydawał się zachwycony tym pomysłem.

- To potrwa tylko chwilę i zaraz wracamy, obiecuję.

Weszła pierwsza.

Było tam znacznie chłodniej niż na nasłonecznionej ulicy. Echo ich kroków na polerowanych posadzkach rozbrzmiewało wyjątkowo głośno.

Zdziwiła się, jak wymarły był ten kompleks, miejsce zwykle gwarne i tłoczne, przepełnione dźwiękami sklepowej muzyki, płaczem i głosikami dzieci, tupotem szpilek i skrzypieniem dziecięcych wózków, w których mamy toczyły swoje pociechy.

Wszystkie witryny sklepowe były powybijane.

Na drugim końcu pasażu dostrzegła długie szerokie okna super marketu. Nawet z tej odległości widzieli wyraźnie, że został splądrowany - szyby potłuczone, wszędzie wały się

sklepowe wózki i koszyki, na ziemi zaś porzucone puste opakowania, kartony i porozsypywana, podeptana i rozsmarowana pod butami żywność.

Podeszli do jednej z witryn i zajrzeli do środka. Wewnątrz było ciemno. Brak prądu. Półki świeciły pustkami, tylko na podłodze pozostały resztki po orgii bezceremonialnego plądrowania, jaka musiała się tu rozegrać wczorajszego popołudnia i wieczoru.

- Ogołocili go doszczętnie - rzekł półgłosem Dan. - Tu jest jak w Nowym Orleanie po przejściu Katriny. Pamiętam zdjęcia w wiadomościach. Wyglądało... dokładnie tak samo.

Leona skinęła głową.

- Wiem. Nikt się nie spodziewa, że coś takiego może nadejść w jego mieście, dopóki nie przekonają go fakty.

- Powinniśmy już wracać - powiedział. - Jake nie powinien zostawać tak długo sam.

Leona uśmiechnęła się i sięgnęła po jego rękę.

- Byłby z ciebie dobry starszy brat.

Wtem usłyszeli chrupnięcie odłamka szkła pod czymiś butami i odwrócili się gwałtownie.

- Masz może fajki, koleś?

Rozdział 49

godz. 17.00 czasu lokalnego

północny Irak

Andy patrzył, jak Tajican, Westley i Derry pracownicy spuszczać paliwo z uszkodzonych pojazdów przy drodze - trzech humvee i ciężarówce. Niewielki konwój został najwyraźniej zatrzymany przez wybuch bomby przy drodze; z pierwszego hummera został tylko wypalony, szerniał, poskręcany wrak. Trzy pojazdy za nim były całe podziurawione kulami. Wyglądało na to, że zatrzymany konwój został ostrzelany przez uzbrojoną grupę ukrywającą się za piaszczystymi wydmiami po obu stronach drogi. Ziemia wokół pojazdów zasłana była mosiężnymi łuskami, które świadczyły o zaciekłym oporze, a ciemne rozmazane smugi na piasku i osmalony asfalt pozwalały przypuszczać, że ofiar było sporo.

W pierwszym pojeździe widać było ciała, choć raczej nie przypominały już ludzi. Kilka kolejnych leżało w rowie, kilkadziesiąt metrów od drogi. Wszystkie ciała należały do amerykańskich żołnierzy. Andy odniósł wrażenie, że właśnie w tym miejscu musieli się bronić do końca. Ostrzeliwani ze wszystkich stron, w sytuacji gdy samochody nie mogły im zapewnić odpowiedniej osłony, opuścili je i wycofali się przez szosę do pobliskiego rowu, który uczynili swoim ostatnim szańcem.

Andy polecił Westleyowi, aby rozstawił ludzi w dogodnych punktach obserwacyjnych. Czterech żołnierzy pod dowództwem Petersa zajęło pozycje o sto metrów dalej, przy drodze, a kolejnych czterech wraz z Benfordem przeszło taki sam dystans w przeciwnym kierunku, obserwując drogę z drugiej strony. Do zmierzchu zostały jeszcze dwie, trzy godziny i jak dla Andy'ego było to zdecydowanie za długo.

Mike patrzył na ciała w rowie.

- To nie byli zawodowi żołnierze, ale zwykli inżynierowie - mruknął gniewnie.

- Sądząc po wyglądzie i stanie zwłok... - rzekł Andy - ...to musiało się stać jeszcze w poniedziałek.

Mike pokiwał głową.

- Biedne chłopaki. - Odwrócił się do Farida. - Prawdopodobnie jechali, by dokonać jakichś napraw albo zbudować coś dla twoich ziomków, kiedy rozpętał się cały ten bajzel.

Farid odnalazł jego spojrzenie.

- To wielkie nieszczęście.

Mike zaśmiał się drwiąco.

- Wiesz co, za cholere nie potrafię was zrozumieć. Nie pojmuję waszej mentalności. Czemu? Chodzi mi o to, czemu nie chcecie, abyśmy naprawiali wasze oczyszczalnie, filtry czy zniszczone mosty? Dlaczego, u licha, nie chcecie, żebyśmy postawili wasz cholerny kraj na nogi?

Farid wzruszył ramionami.

- Irakijczycy chcą wody, chcą mostów, Mike. Ale nie chcemy, abyście zbudowali tu drugą Amerykę.

- Nie zamierzamy tworzyć tu drugiej Ameryki, my tylko staramy się odbudować waszą cholerną infrastrukturę...

- Która, jak mi się zdaje, była w najlepszym porządku i funkcjonowała bez zarzutu, zanim tu przybyliśmy - rzekł Andy. - Myślę, że warto o tym wspomnieć.

Mike przerwał i po chwili dodał jeszcze:

- Ale tak czy owak, wkurza mnie to. Obaliliśmy waszego dyktatora, z którego, jak pewnie zgodzicie się ze mną, był naprawdę kawał sukinsyna, a potem daliśmy wam szansę na stworzenie uczciwego, prawego i demokratycznego państwa...

- Ale my tego nie chcemy - odparł ze spokojem Farid. - Mówiliśmy ci to wielokrotnie. Nie chcemy tej waszej demokracji, systemu, w którym człowiek rządzi człowiekiem. Chcemy państwa, w którym człowiekiem rządzi Allah.

- Nie rozumiem - odparł Mike.

- Wiesz, Farid, że ja też tego nie pojmuję - wtrącił Andy. - Mając prawo głosu, moglibyście przynajmniej decydować o tym, kto ma kierować tym krajem i wykopać na zbity pysk rządzących, gdyby nie wywiązali się jak trzeba z obowiązków. Co w tym złego?

Farid pokręcił głową.

- To system, który daje władzę człowiekowi. Znaczący, że właśnie człowiek decyduje o najważniejszych sprawach. Spójrzcie, co jest z waszym krajem rządzonym przez ludzi. Ci ludzie defraudują olbrzymie sumy pieniędzy, kradną na potęgę, robią wielkie wojny, okłamują masy. Ale... wy macie przecież prawo głosu, zgadza się? Wybieracie więc nowego przywódcę, który zasiądzie w waszym... Białym Domu, a on później też zaczyna kraść i urządza dalej te same wojny. Żadnej różnicy. Szariat jest prawem bożym. Nie można go zmieniać ani inter...

- Interpretować?

Farid pokiwał głową.

- Ponieważ człowiek zawsze będzie chciał naginać prawa, by odpowiadały jego potrzebom. To nieuniknione.

- Twierdzisz, że prawo szariatu jest niezmiennie - wtrącił Andy

- To staram się tłumaczyć. Ono jest niezmiennie. Nie da się wypaczyć.

- Bzdura - mruknął Mike. - Ci ludzie na samej górze, imamowie, pogrywają z islamem, - jak im się żywnie podoba. Interpretują wedle własnego uznania.

- Ci, którzy tak czynią, nie są dobrymi muzułmanami - odparł stary. - Saddam mówił, że jest dobrym muzułmaninem. To nieprawda.

Andy wiedział, o co chodziło tamtemu. Może w teorii proste prawa boskie, tak jak je zapisano w Koranie, mogły stanowić dla całej społeczności wykładnię właściwego postępowania. Jak idee komunizmu, sprawdzały się na papierze, ale wystarczyło kilku myślących tylko o sobie, podstępnych i fałszywych łajdaków, aby cały fundament się rozsypał. W sumie prosty kodeks islamu miał w sobie wiele rzeczy, które do niego przemawiały: równość, silny nacisk na bezinteresowną pomoc bliźniemu, na rodzinę. Gdyby nie mówiono tu aż tak wiele o Bogu i odmieniono diametralnie rolę kobiety w życiu, może nawet zdołałby przekonać się do tej religii.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie, Farid - rzekł Mike. - I chcę, żebyś był wobec mnie szczery.

Stary spojrzał na niego.

- O co wam tak naprawdę chodzi?

Farid uśmiechnął się rozbrajająco.

- Wiesz, czego pragnie każdy dobry muzułmanin?

- Czego?

- Islamskiego świata. Abyśmy wszyscy byli braćmi.

- Tak podejrzewałem. W tym świecie nie ma jednak miejsca dla niewiernych, takich jak ja czy Andy, ani dla Izraela. Potajemnie - bo zazwyczaj bardzo się pilnujecie, jeżeli chodzi o publiczne wypowiedzi - potajemnie chcecie się nas pozbyć, unicestwić...

- Nie! - przerwał mu gniewnie Farid. - Nie! Z całego serca pragnę świata islamu. Ale nie zgodziłbym się, żeby miał przez to zginąć choćby jeden człowiek, choćby jeden niewierny.

Mike patrzył na niego w milczeniu.

- Dżihad nie oznacza wojny, Mike. Dżihad oznacza... walkę. Pragnę, żebyś przyjął Allacha do swojego serca. I ty również, Andy. To moja walka, mój dżihad. Ale Allacha można tylko zaakceptować... przyjąć go dobrowolnie. Rozumiesz? Nie za pomocą broni palnej, bomb czy strachu. Można go przyjąć wyłącznie z własnej woli.

Andy odwrócił się do starego.

- Wiesz co, Farid, nigdy nie uwierzę w Boga. Wiesz o tym, prawda? Religia, każda, bez wyjątku, to dla mnie zwykłe zabobony.

Mike wzruszył ramionami.

- Też tak sędzę. Chrześcijaństwo, islam czy judaizm, dla mnie to jedno i to samo. Opium dla mas. I zapewne pójdę do piekła za moje przekonania.

Farid uśmiechnął się do nich szeroko.

- Bóg przyjmuje do siebie zarówno wierzących, jak i tych co nie wierzą. Jeżeli jesteś prawym człowiekiem, znajdzie się dla ciebie miejsce w niebie.

- Nie wpuszcza tam tylko prawdziwych kretynów? - wtrącił Andy.

Farid zaśmiał się.

- Właśnie.

Chyba to do mnie przemawia - przytaknął Mike.

Rozdział 50

godz. 14.30 czasu Greenwich
sala odpraw sztabu kryzysowego (Kobra)
Londyn

Premier ugiął się pod naciskiem, dokładnie tak jak Malcolm się tego spodziewał. Charles zdradzał pewne objawy nadchodzącego załamania nerwowego. Skądinąd było to całkiem zrozumiałe. Jego przerażająca naiwność, kiedy wczoraj usiłował obudzić wymagowanego ducha Dunkierki, zaowocowała tym, że cały kraj przedwcześnie pogrążył się w chaosie. Ale dzięki temu łatwiej było zmobilizować wojsko i policję do zabezpieczenia newralgicznych punktów na terenie Wielkiej Brytanii.

Gambit Charlesa mający sprawić, że ludzie zacisną pasa, zewrą szeregi i zjednoczą siły, aby wspólnie przetrwać ciężkie chwile, okazał się idealnym rozwiązaniem dla nich. Z całą pewnością w Wielkiej Brytanii wszystko szło zgodnie z planem. Upadek struktur społecznych nastąpił szybciej, niż przewidywali, a wszystko to dzięki udziałowi Charlesa. Teraz, gdy newralgiczne punkty zostały zabezpieczone i obstawione, a do kraju powracały kolejne samoloty transportowe z wojskiem, które zostanie wdrożone do zaprowadzenia porządku w kraju, można powiedzieć, że sytuacja była zasadniczo wymierna i możliwa do opanowania.

Malcolm i jego koledzy mieli pełną kontrolę nad Kobrą, organem pełniącym władzę w kraju w sytuacji kryzysowej. W skład głównego komitetu wchodziło osiem osób, pięć spośród nich było członkami Stu Sześćdziesięciu. Teraz, kiedy wyglądało na to, że wszystkie, nawet najmniejsze elementy trafiły na swoje miejsca, nadszedł czas, by stopniowo zacząć przykręcać śrubę i sprawić, by proces posuwał się naprzód.

Musieli to zrobić bardzo ostrożnie.

Blisko dziesięć lat temu, kiedy po raz pierwszy dyskutowano potrzebę zaistnienia takiego zdarzenia, byli tacy, którzy ostrzegali, że może się ono wymknąć spod kontroli. Jedną z takich osób był Malcolm. Właśnie dlatego kolejne etapy należało przeprowadzić, tak w tym kraju, jak i wszędzie indziej, z chirurgiczną precyzją.

Jedna stopa na pedale gazu... a druga tuż nad hamulcem.

Mieli określony cel, do którego dążyli. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że mogli posunąć się za daleko, gdyby cały starannie przygotowany proces pod wpływem

narastającego niekontrolowanego impetu wymknął się im z rąk.

Malcolm spojrział na egzemplarze procedur wykonawczych, które miał rozłożyć na blacie przed członkami Kobry. Czterech członków komisji wypełni je bez szemrania. Pozostałych trzech z pewnością zmartwieje w przerażeniu i zapyta o powód wprowadzenia tak surowych restrykcji w dostawach energii elektrycznej oraz wstrzymania dostaw wody niemal na terenie całego kraju.

Malcolm ze spokojem udzieli im niezbędnych wyjaśnień. Będą one brzmieć mnie więcej tak: „Panowie, ten kryzys może potrwać wiele miesięcy. Wkraczamy w nieznaną, nieprzewidywalną i niebezpiecznie niestabilny okres. Swobodny przepływ ropy to jedna i jedyna rzecz, jaka podtrzymuje ten współzależny, połączony ze sobą na wielu poziomach świat. Ropa jest jak rusztowanie wspierające ten globalny domek z kart i ktoś gdzieś, Bóg wie czemu, postanowił tę podporę usunąć. Żyjemy na wyspie zamieszkaną przez 65 milionów ludzi i posiadającej bardzo ograniczone zasoby. Naszym obowiązkiem jest dopilnować, abyśmy zabezpieczyli niezbędne zapasy w takiej ilości, by pozwoliły przetrwać - jeżeli nie całej populacji, to przynajmniej znacznej jej części - ten najtrudniejszy okres, czas reperkusji i powrotu do normalności. Energia elektryczna, woda i żywność to trzy rzeczy, za które musimy przyjąć pełną odpowiedzialność, jeżeli chodzi o ich kontrolę, racjonowanie i dystrybucję”.

Gdyby nawet ci trzej członkowie komitetu próbowali się sprzeciwić wprowadzeniu ogólnokrajowych obostrzeń, nic nie szkodzi.

Stosunkiem głosów pięć do trzech ich zdanie, tak czy inaczej, przypadnie i nie będzie się liczyło.

Malcolm westchnął. Jakże kuszące byłoby teraz ujawnić się i wyjaśnić, co naprawdę zamierzali, on i jego koledzy. Zaczną się domyślać, co do tego nie miał wątpliwości. Zaczną postrzegać szerszą perspektywę. Zrozumieją, że musiało do tego dojść dla dobra ogółu. Zrozumieją, co mogłoby się stać któregoś dnia, jeden z mrozących krew w żyłach scenariuszy przyszłości, gdyby coś tak nieprzyjemnego jak to zdarzenie nie zostało przez nich zaplanowane i zaaranżowane.

Ale żeby to uczynić, żeby móc otwarcie opowiedzieć o celu trzem niezrzeszonym członkom sztabu kryzysowego, musiałyby przynajmniej zasugerować, że w owych wydarzeniach maczała ręce jakaś siła sprawcza, a konkretnie Stu Sześćdziesięciu i Dwunastu.

A gdyby się o tym dowiedzieli, naturalnie musieliby umrzeć.

Rozdział 51

godz. 15.00 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Leona odwróciła się i zobaczyła trzech młodych mężczyzn stojących tuż za nimi. Zdziwiła się, że tak cicho zdołali się zbliżyć.

Chyba że o to im właśnie chodziło.

- Masz fajki, koleś? - spytał ten pośrodku, czarnoskóry i najniższy, drobniejsza wersja rapera 50 Centa. Było z nim dwóch wyższych; szczupli, biali, w workowatych obwisłych spodniach od dresu, które wyglądały, jakby mieli w kroczu pełne pieluchy Dresiarze, blockersi. Półgłówki, które udają wielkich członków gangu, a w istocie byli zwykłymi wsiokami; białe dzieciaki rozpaczliwie naśladowujące czarnych i posługujące się takim językiem, jakby wychowywali się w najgorszej dzielnicy Los Angeles. Choć nie cierpiała tych określeń, musiała przyznać, że pasowały do nich jak ulał.

- Ee, stary, przykro mi, nie palę - odparł Dan z przyjaznym, choć niepewnym uśmiechem.

- To znaczy... popalam czasem... na imprach... ale niestety... nie mam przy sobie żadnych fajek.

Ten, który wyglądał, jak 50 Cent, zwrócił się do Leony:

- A ty, kotku?

Leona wiedziała, że nie chodzi wcale o papierosy.

- Ja też nie palę. Ale założę się, że tam w środku znajdziecie setki kartonów - odparła, wskazując stłuczoną szybę za nimi.

- O kurde... może się rozejrzymy - zgodził się 50 Cent, zerkając na witrynę, a potem na Leonę. - Spikniesz się z nami, laska?

Leona pokręciła głową. Była prawie pewna, że „spiknąć” znaczy tylko „dołączyć do nich”, a nie coś gorszego, ale kto wie, może w perspektywie chodziło mu tylko o jedno.

- Dzięki, ale nie. Muszę już wracać do domu z moim chłopakiem.

Dan pokiwał głową.

- Tak, my już tu skończyliśmy... wracajmy do domu...

- Teraz to jest dżungla, nie miejska dżungla, jak kiedyś - rzekł 50 Cent. - Policja się zwinęła. Wszystko się popierdoliło.

Jeden z jego przybocznych, wysoki dresiarz, zaśmiał się i pokiwał głową. Leona uznała, że ma około siedemnastu lat, jego gładka jak u niemowlaka skóra była wokół rzęs upstrzona drobnymi piegami, jedną brew wygolił sobie w wąską kreskę.

- Taaa, zauważyliśmy - mruknął Dan. - Będziemy już spadać...

- E, ziom. Nie mówiłem do ciebie - rzekł ten z wygoloną w kreskę brwią. - Pieprzona cioto - dodał.

Leona delikatnie ścisnęła Dana za rękę, aby go uciszyć. Przypuszczalnie mogli jeszcze jakoś się z tego wywinąć i odejść każde w swoją stronę, ale to ona musiała mówić, coś lekkiego, zabawnego i odpowiedniego dla takich typów jak oni, żeby pośmiali się i poszli sobie. Każde słowo z jego ust mogło zostać poczytane jako wyzwanie.

- Fakt, wszystko się popieprzyło - rzekła Leona. - Prawdziwy dom wariatów, co nie? Jakby wszystkim nagle odbiła palma. Zarąbista sprawa, nie?

Trzej nastolatki potaknęli i uśmiechnęli się. Chyba spodobało im się to, co powiedziała, albo rozbawiła ich ta nieprzekonująca próba mówienia ich slangiem.

Dan postąpił krok w lewo, podeszwy jego stóp zaszurały o chodnik i leżące na nim szkło.

- A ty, kurwa, dokąd? - spytał 50 Cent.

- Po prostu sobie pójdziemy, dobra? - rzekł Dan. - Nie chcemy kłopotów, więc...

- Nigdzie nie pójdziecie.

- Jasne. W porządku. Posiedzę tu sobie czy coś - mruknął Dan pokornie, pochylając się i opuszczając ręce do ziemi. Leona wiedziała, że coś kombinuje.

W tej samej chwili Dan sychnął zgarniętym z ziemi piaskiem i odłamkami szkła w twarze trzech stojących przed nim nastolatków.

Odskoczyli, zakrywając twarze dłońmi. Leona wykorzystała okazję, by podnieść pogniecioną puszkę z kawałkami krojonego ananasa i cisnąć w tego, który stał najbliżej. Puszka odbiła się od czoła tego z wygoloną w kreskę brwią, kiedy opuścił ręce, którymi osłaniał oczy Leona już miała się schylić po następną puszkę, ale Dan odwrócił się do niej i wysyczał:

- Uciekaj!

Odwróciła się w lewo i zaczęła biec, mając nadzieję, że on zrobi to samo, liczyła, że Dan będzie tuż za nią. Przebiegła jakieś dwadzieścia czy trzydzieści metrów wzdłuż frontowej ściany supermarketu, omijając przewrócone wózki sklepowe, zanim odważyła się obejrzeć przez ramię i zbadać sytuację.

Nie było go za nią... ani nigdzie w zasięgu wzroku.

Zobaczyła, jak dwóch nastolatków biegnie uliczką, którą ona i Dan dotarli tu zaledwie

kilka minut wcześniej. Prowadziła na Uxbridge Road. Dan musiał pobiec w tamtą stronę, próbując odciągnąć ich od Leony. Ale Krecha - ten, który nazwał Dana ciotą - biegł za nią co sił w nogach, kopniakami roztrzając na boki stojące mu na drodze wózki sklepowe. W mgnieniu oka dostrzegła szkarłatny ślad na jego bladym piegowatym czole.

To jego trafiła puszką.

Leona zawróciła, przebiegła kolejne dwadzieścia metrów, aż przypomniała sobie, że tą drogą się stąd nie wydostanie - zabrnęła w ślepią uliczkę. Na końcu zaułka znajdował się sklep z artykułami chemicznymi, salonik prasowy i Woolworths, ale nie było przejścia na sąsiednią ulicę.

Minęła ostatnie wózki i pchnęła je za siebie w nadziei, że spowolnią goniącego ją sukinsyna, który będzie musiał kopniakiem odepchnąć je na bok. W oddali na wprost ujrzała koniec ślepej uliczki. Mogła zgubić swojego prześladowcę jedynie w którymś ze sklepów - miała do wyboru Bootsa lub Woolworthsa. Oba były na tyle duże, że miały wejścia od strony Uxbridge Road i Goldhawk Road.

Skreśliła w stronę Woolworthsa; zauważyła, że jedno z automatycznych drzwi są otwarte, zablokowane w chwili, gdy zabrakło prądu, a może ktoś zrobił to na siłę - tak czy owak, było to jej jak najbardziej na rękę.

Usłyszała tupot jego adidasów oraz skrzyp i turkot spychanych z drogi kopnięciami ostatnich sklepowych wózków

- Chodź no tu, ciiiipo! - Usłyszała za sobą jego głos odbijający się gromkim echem od ścian budynków po obu stronach.

Wbiegła przez otwarte drzwi, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo będzie tu ciemno, kiedy zabrakło prądu. Mimo iż na zewnątrz był słoneczny dzień, a światło wsączało się do środka przez otwarte drzwi i długie wysokie okna po obu stronach wejścia od frontu, nic nie było w stanie rozjaśnić rozległego pomieszczenia o wysokim sklepieniu, z mnóstwem przejść między regałami.

Także tu, jak wszędzie indziej, szabrownicy zrobili niezły bałagan. Najgorszy był przy stoisku ze słodyczami Pick'n' Mix i na regałach, gdzie jeszcze dzień wcześniej można było zaopatrzyć się w zapas batonów Mars, Twix czy KitKat.

Przeciśnieła się przez bramkę częściowo zablokowaną leżącym na boku wózkiem, z którego wysypały się batony, zdeptane później butami w lepłą brązową breję. Odwróciła się, by przez chwilę rozeznac się w sytuacji.

Krecha tylko na moment przystanął w otwartych drzwiach, może po to, by przyzwyczać się do półmroku, a może trochę zaniepokoił go rozciągający się przed nim ciemny labirynt.

- Ty suko. - Usłyszała jego zimny młodzieńczy głos przypominający warkot. - Najpierw obję ci tę twoją piękną buźkę, a potem zerznę cię do nieprzytomności!

Leona przycupnęła za pierwszym przewróconym wózkiem i na czworakach przepelzła po linoleum w stronę najbliższego przejścia między regałami. W pewnej chwili nadepnęła na paczkę czipsów, a metalizowana folia zaszeleściła głośno w ciszy.

To była dla niego wystarczająca zachęta. Usłyszała poruszenie, odgłos przewracanych rzeczy, a potem tupot adidasów na posadzce.

- Gdzie jesteś? - zawołał, przebiegając szybko wzdłuż ciągu regałów, tuż za bramkami, zaglądając do kolejnych przejść i próbując ją wypatrzeć.

Podniosła się z podłogi, ale wciąż była mocno skulona. Pobiegła w głąb przejścia, w którym się znajdowała, zanim zdążył się tam zbliżyć.

Okazała się jednak zbyt wolna. Gdy dotarła do końca przejścia i nietkniętego stoiska z puszkami, rozległ się jego głos.

- Widzę cię!

O kurwa.

Odwróciła się i skręciła w prawo, w stronę działu z muzyką, DVD i gramami. Ślizgiem wjechała pomiędzy dwa regały z gramami na Playstation. Za sobą znów usłyszała te cholerne, dudniące o podłogę adidas, a potem jego oddech. Doganiał ją.

Nie zatrzymała się. Był za blisko, aby tym drobnym manewrem zdołała go zmylić. Musiała znaleźć w tym sklepie jakieś miejsce, gdzie naprawdę mogłaby się zgubić, takie, gdzie...

- Stój, kurwa! - zawołał. - Chcę tylko z tobą pogadać! - dodał zdyszany, zmniejszając dystans między nimi do dwudziestu metrów.

Akurat!

Dotarła do końca regału z gramami. Na wprost niej, w oddali widać było wieszaki z kurtkami, płaszczkami i kombinezonami dziecięcymi - dział odzieży dla dzieci.

Rzuciła się naprzód, wślizgując się zwinnie pod czteroramienny stojak obrotowy, z którego zwisały długie zimowe płaszcze.

Trzy czy cztery sekundy później usłyszała tupot jego nóg, który nagle ucichł, kiedy nastolatek wbiegł na zwykłą wykładzinę pokrywającą podłogę w tej części sklepu. W ciemnościach widziała jedynie szare światło dnia sączące się przez świetlik w niskim suficie; cała reszta była bezkształtna i pogrążona w kompletnych ciemnościach. Nasłuchiwała z uwagą, jak kręcił się wokół niej, słyszała szelest ubrań i klekot plastikowych wieszaków, które potraçał, przechodząc pospiesznie obok.

- No dalej - zasyczał z frustracją w głosie. - Chcę, kurwa, tylko z tobą pogadać... Chcę... tylko...

Krecha rozpaczliwie usiłował stłumić gniew... i podniecenie w swoim głosie. Leona wzdrygnęła się na myśl o tym, jakie zboczzone fantazje mogły się roić w tym jego ogolonym łbie.

- No wylaż! - zawołał błagalnie jak dziecko proszące mamę o parę funtów. - Chcę tylko... - nie dokończył.

Wiem dokładnie, czego chcesz, ty parszywy skurwielu.

Mimo iż w sklepie było duszno, a pod płaszczami, gdzie się ukryła, całkiem ciepło, zimny dreszcz przebiegł jej po plecach i wzdrygnęła się na myśl o tym, co mogliby zrobić z nią Krecha i jego dwaj koledzy, gdyby zdołali ją dopaść.

Boże, to przecież jeszcze dzieciak.

Fakt, był zaledwie 17-letnim dzieciakiem, gnojkiem z odstającymi uszami, ogolonym na łyso i w kretyńskiej czapeczce bejsbolowej na głowie. Ale miał z pewnością dość siły, aby zrobić z nią to, na co miał ochotę. A dla niego to była tylko gra... nic więcej.

Znaleźć ją - obić - zerznąć - i porzucić, he, he, he.

Tak wyglądałaby ta gra w jego wykonaniu. Po wszystkim po prostu by odszedł, podciągając gatki i obwisłe w kroku spodnie, z zawadiackim uśmiechem zadowolenia, że oto zrobił, co chciał - podczas gdy ona leżałaby na podłodze, posiniaczona, krwawiąca i rozpaczliwie próbująca pozbierać resztki zdartego brutalnie ubrania.

- No co jest, myślałem, że chcesz się zabawić! - rzucił i tym razem jego głos rozległ się niepokojąco blisko niej. - Kurde, przecież tam na zewnątrz jest teraz jeden wielki Disneyland!

Musiał być nie dalej, jak kilkanaście kroków od niej. Leona wstrzymała oddech.

- Można brać, co się chce. Wszystko jest dozwolone. I wszystko jest za darmo. Popierdoliło ten świat dokumentnie.

Zbliża się.

Poczuła lekki podmuch powietrza na skórze, kiedy przeszedł zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów od niej.

- Wyjdz, nie chowaj się dłużej. - Znow usłyszała ten jego zawodzący głos. - Nie daj się prosić. Nic ci nie zrobię, słowo daję. Będzie zabawnie. Zobaczysz.

Leona poczuła, że jej dłoń dotyka wieszaka. Przesunęła koniuszkami palców po zakrzywionym haczyku. Był wtopiony w plastik. Ramiona wieszaka były z plastiku, ale haczyk metalowy.

Tamten zamilkł na chwilę, jednak słyszała jego oddech, kiedy stał tuż obok niej, prawie

na wyciągnięcie ręki. Oddychał głośno, chrapliwie - pościg wyraźnie go zmęczył. Ona tymczasem wstrzymywała oddech i wiedziała, że długo tak nie wytrzyma.

Proszę, błagam, odejdź. Idź sobie.

Musiała nabrać powietrza, ale wiedziała, że w ciszy, jaka panowała dokoła, ten dźwięk zabrzmiał wręcz ogłuszająco. Jej dłonie mocowały się z metalowym haczykiem wieszaka, rozginając go i rozprostowując. Była to prymitywna i prosta broń, ale lepsza taka niż żadna. Przynajmniej miała teraz coś, czego mogła użyć przeciwko napastnikowi.

- Kurwa twoja mać - warknął gniewnie Krecha. - I tak cię słyszę. Jesteś gdzieś niedaleko. Słyszę, jak coś tam majstrujesz.

Nagle z głośnym szelestem płaszcze ponad jej głową przesunęły się po ramieniu obrotowego wieszaka.

- Dorwę cię, żeby nie wiem co! - szeptał, wiedząc, że właśnie tam musiała się ukryć. - Będę cię miał. A potem moi kołesie, zobaczysz, zrobimy z tobą...

Leona schwyciła oburącz plastikowe ramiona wieszaka, kierując wyprostowany metalowy hak przed siebie, i pchnęła z całej siły. Mierzyła tam, gdzie, jak sądziła, powinna się znajdować jego twarz.

Prymitywna broń w jej rękach drgnęła, trafiając w cel, plastikowe ramiona wieszaka pękły z głuchym trzaskiem. Leona usłyszała, jak coś wilgotnego i lepkiego ustępuje przy wtórze cichego plaśnięcia, a potem rozległ się przeraźliwy krzyk Krechy.

Rozdział 52

godz. 15.47 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Leona wygramoliła się spod zwałów płaszczy gdy do jej uszu wdarł się przeraźliwy przeciągły krzyk młodego mężczyzny. W półmroku widziała, jak zatacza się na nogach, krąży to tu, to tam, przykładając obie dłonie do twarzy.

- Kurwa, moje oko! Moje pieprzone oko! Wykłułaś je!

Poderwała się na nogi i ruszyła w stronę drugiego końca sklepu, skąd napływało jasne światło dnia. Kusilo ją, aby jeszcze trochę tu zostać, znaleźć coś długiego, twardego i ciężkiego i pobić go tym, ale bała się, że jego krzyki przyciągną dwóch pozostałych.

Lepiej zmykać, póki miała po temu okazję.

Wybiegła z działu odzieżowego, jej obcasy znów zastukały o linoleum, kiedy mijała stoisko z pocztówkami na różne okazje, nietknięte, podobnie jak to z pluszakami i grammi na playstation, podczas wczorajszego łupieżczego szaleństwa, i skierowała się ku szerokiej sklepowej witrynie i automatycznym przeszklonym drzwiom prowadzącym na Goldhawk Road. Za nią przez cały czas wysoki żylasty Krecha wył z bólu jak zarzynany

Automatyczne drzwi były zamknięte. Próbowwała rozsunąć je ręcznie, ale nie ustąpiły.

- Cholera - wymamrotała pod nosem.

Ktoś próbował sforsować jedną z witryn po prawej stronie, szyba była w kilku miejscach pęknięta. Postanowiła dokończyć robotę. Zrywając ze ściany gaśnicę, uniosła ją oburącz i cisnęła w szybę. Szkło rozprysło się z brzękiem w drobny mak, odłamki posypały się na chodnik, a ten nastoletni bandzior wciąż zawodził w tle jak mityczna płaczka zwiastująca niedolę i rychłą śmierć.

Wyszła na ulicę, bacznie rozglądając się to w jedną, to w drugą stronę, wypatrując dwóch pozostałych nastolatków, którzy pobiegli za Danem. Nie było po nich śladu.

Co istotniejsze, szukała wzrokiem Dana. Jego też nigdzie nie było widać. Miała nadzieję, że pobiegł w stronę domu, nie próbując jej szukać. Zaczynała się martwić o Jacoba i oczyma duszy widziała go błakającego się po Shepherd's Bush, aby ją odnaleźć.

Jake był na tyle głupiutki, że mógłby to zrobić.

Leona zauważyła kolejne osoby. Rodzina Azjatów wciąż próbowała zrobić porządek w

swoim sklepie, teraz jednak dostrzegła też kilku innych właścicieli zbierających porzucane po ulicy towary ze swoich sklepów. Wcześniej popatrywali na nią i na Dana podejrzliwie, zapewne biorąc ich za potencjalnych szabrowników. Zauważyła kilku ciekawskich, jak ona i Dan, wędrujących ulicami z oszołomieniem i konsternacją na twarzach. Ale nie wypatrzyła nikogo w mundurze. Żadnych policjantów, strażaków czy sanitariuszy.

Nikogo kompetentnego i reprezentującego władze.

Dana też nie było.

Choć na Goldhawk Road było parę osób i poczuła się nieco bezpieczniej, zastanawiała się, czy gdyby tamci, 50 Cent, Krecha i ten trzeci dzieciak, rzucili się na nią w biały dzień na środku ulicy, ktokolwiek odważyłby się przyjść jej z pomocą.

Postanowiła wrócić do domu tą samą drogą, którą tu przyszli, przez Uxbridge Road, biegnąc truchtem i wypatrując Dana. Naliczyła trzydzieści kilka osób kręcących się na ulicy bądź w zdemolowanych sklepach, ale nigdzie nie zauważyła Dana.

Po drodze minęła kilku sąsiadów, których znała z widzenia, i skinęła im głową na przywitanie. Wszyscy zbierali porzucone puszkę i potłuczone butelki ze swoich frontowych ogródków.

Myślą, że już jest po wszystkim.

Najwyraźniej uważali, że nadszedł czas na porządki; sądzili, że burza minęła. Zapewne tak jak sklepikarze myśleli, że jeszcze tego popołudnia dostawy prądu zostaną przywrócone, a niedługo po tym zjawi się policja i wojsko, by zaprowadzić porządek. Szczerze mówiąc, Leona podzielała tę nadzieję.

Przyspieszyła kroku, zmierzając w stronę drugiego końca St Stephen's Avenue. Spodziewała się, że Dan jest już z powrotem w domu Jill z Jacobem i się o nią zamartwia. Gdy zbliżyła się do ich domu, zauważyła, że ludzie z naprzeciwka - nie wiedziała, jak się nazywali - zabijali deskami okna na parterze.

Przeszła wzdłuż ścieżki do drzwi frontowych domu Jill i zapukała, licząc, że ktoś zaraz je otworzy. Ale tak się nie stało.

- Dan? Jake? - zawołała przez otwór skrzynki na listy.

Usłyszała szuranie wewnątrz domu, a potem w zasięgu jej wzroku pojawiła się para nóg. Chwilę później szcęknęła zasuwka i drzwi się otworzyły. W progu stał Jacob, ściskając oburącz pluszowego pieska, którego musiał znaleźć gdzieś w domu Jill. Oczy miał zapuchnięte od łez, jego dolna warga drżała.

- Myślałem, że zostawiliście mnie samego już na zawsze - wychlipiał.

- Dan nie wrócił?

Pokręcił głową bez słowa.

Rozdział 53

**godz. 20.51 czasu Greenwich
na południe od Londynu**

Ash kierował się powoli na południe, wyjeżdżając z Londynu. Drogi były zablokowane przez porzucone auta i pozostałości po wczorajszych zamieszkach. Kilkakrotnie musiał nadłożyć drogi, by ominąć policyjne i wojskowe blokady, wiedział bowiem, że napytałby sobie biedy, gdyby przyłapano go jadącego na motorze drogowki.

Opuściwszy miasto, na przedmieściach zauważył, że tu sytuacja przedstawiała się różnie - niektóre rejony mocno ucierpiały od rozruchów poprzedniej nocy, inne wyglądały na praktycznie nietknięte. Przejechał jedną z ulic w zamożnej dzielnicy i nie zobaczył ani jednej wybitej witryny sklepowej. Rzecz jasna, nawet tu było cicho, wszyscy pozamykali się w swoich domach, dostrzegł jednak lekkie falowanie zasłon w oknach, kiedy przejeżdżał obok, i ogólnie rzecz biorąc, miejsce to wyglądało zwyczajnie jak każdego dnia w porze podwieczorku.

Zwrócił też uwagę, że przerwy w dostawach prądu, jakie nawiedziły ten kraj ubiegłej nocy, nie były tak dotkliwe, jak się spodziewał. Minął co najmniej kilkanaście miejsc, które najwyraźniej wciąż dysponowały własnym zasilaniem; neony świeciły barwnym blaskiem, a latarnie, których włączniki czasowe zostały rozregulowane w chaosie minionych 24 godzin, zgoła niepotrzebnie się paliły, bo przecież było jeszcze jasno.

Ash przypuszczał, że sztab kryzysowy odetnie dostawy prądu wszędzie, w całym kraju. Cóż, nie znał szczegółów wdrażanych procedur - od tego byli inni. Każdy miał swoje zadania i obowiązki. Chodziło o... szerszą perspektywę.

Gdy zdołał w końcu zostawić za sobą rozległe londyńskie przedmieścia, wieczorny blask zaczął powoli gasnąć.

Na szosie A, prowadzącej z Londynu na południowy zachód, natknął się na grupkę wędrowców maszerujących poboczem - większość z nich opuszczała miasto. Ash domyślał się, że ludzie ci dojeżdżali do pracy w stolicy i nagły rozwój wypadków sprawił, że zwyczajnie tu ugrzęźli, a teraz próbowali dotrzeć jakoś do domu. Ujrzał jednak parę osób, które najwyraźniej zmierzały w przeciwną stronę.

Szczerze wam to odradzam, ludziska.

Tyle że tamci zapewne też usiłowali wrócić do swoich domów - bo niby gdzie indziej mogliby pójść. Gdy nadchodzi katastrofa, to właśnie tam próbujemy ją przeczekać. W domu.

Znów zaczął się zastanawiać, dokąd mogła się udać córka Sutherlanda. Czy ta przyjaciółka rodziny, Jill, dobra przyjaciółka rodziny przyjaciółka tak zaufana, że można jej było powierzyć opiekę nad dwójką dzieci Sutherlandów, nie mieszkała gdzieś blisko nich? Na tyle blisko, by spotykali się w miarę regularnie?

Zapewne tak.

Ale dopóki nie pozna konkretnego adresu...

A jeśli dziewczyna zechce wrócić po coś do domu? Jeśli ta Jill uzna, że powinna wpaść choćby na moment do domu po rzeczy na zmianę... i ulubioną zabawkę młodszego dziecka?

Ash przez chwilę próbował przezwyciężyć wątpliwości. Może jednak powinien być zostać tam i cierpliwie czekać?

Nie. Mógłby czekać w nieskończoność. A czas uciekał. Znał adres. Instykt podpowiadał mu, że Kate będzie wiedziała, kim jest Jill, lepiej zaufać intuicji niż siedzieć po ciemku w domu przy St Stephen's Avenue 25 i nie robić nic.

Przy drodze natknął się na sznur porzuconych aut stojących jedno za drugim przed stacją benzynową. Domyślał się, że jeszcze wczoraj na stacji musiało zabraknąć paliwa lub, co bardziej prawdopodobne, zjawilo się wojsko, by zagarnąć to, co pozostało w podziemnych zbiornikach. Rzut oka na wskaźnik paliwa w motocyklu upewnił go, że nie ma dużej rezerwy. Z niemałym wysiłkiem, klnąc pod nosem i marnując sporo cennego czasu, zdołał spuścić trochę paliwa z porzuconych na poboczu aut. Skrzywił się na myśl o tym, co te resztki paliwa z samego dna baków zrobią z silnikiem motocykla.

Była już dziesiąta, kiedy wjechał do Guildford. W miasteczku było ciemno i spokojnie.

Pod poszukiwany adres trafił względnie szybko.

Kobieta mieszkała w jednym z apartamentowców z widokiem na ruchliwą główną ulicę. Typowe japiszońskie osiedle z gatunku, jaki uwielbiają młode wykształcone mieszcuchy, zarówno single, jak i pary.

A więc nie ma dzieci. Szkoda. Były przydatne jako karta przetargowa przy wydobywaniu istotnych informacji.

Ash nie próbował naciskać dzwonka. Zapewne i tak nie działał. Kopniakiem wyważył drzwi do kompleksu, wszedł do wyłożonego dywanami, zdobionego pluszem foyer i wspiął się schodami na pierwsze piętro. Bez trudu odnalazł drzwi do jej mieszkania. Szybkie kopnięcie poniżej klamki i drzwi uchyliły się do wewnątrz. Pospiesznie wszedł do środka.

- Kate? - zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Nie ulegało wątpliwości, że mieszkała tu sama - nic nie wskazywało na to, by miała na stałe jakiegoś mężczyznę. Mieszkanie było schludne, nikt się do niego nie włamał i go nie splądrował. Przez kilka chwil niepokoił się, że Kate mogła gdzieś wyjechać, może nawet za granicę. Jednak odsłuchawszy wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce, zmienił zdanie. Zaciekawiała go zwłaszcza jedna, od niejakiego Rona, przypuszczalnie jej chłopaka.

- Kate? Jesteś tam? Odbierz... odbierz... cholera. Pewnie zostałam w Londynie, w pracy. Zadzwoń, gdy wrócisz do domu, dobrze? Martwię się.

Ash skrzywił się poirytowany. A zatem Kate pojechała do pracy jak w każdy wtorkowy rano i zwyczajnie utknęła gdzieś w stolicy. Mijał wiele osób opuszczających miasto na piechotę, wzdłuż pobocza drogi A; pewnie była wśród nich.

Mógł się domyślić, że samotna kobieta, taka jak Kate, zechce pozostać w pracy, zapewne z grupką kolegów, by poczekać, aż rozruchy nieco osłabną i policja zacznie zaprowadzać porządek, zanim zdecyduje się na powrót do domu.

Jak długo mogła czekać?

Dzień, dwa?

Nie sposób było stwierdzić. Ash postanowił, że zaczeka jeszcze dzień. W kuchni znalazł trochę jedzenia, lodówka była dobrze zaopatrzona i wciąż niezłe chłodziła mimo braku prądu. Mógł coś przekąsić, odpocząć, a jutro się zobaczy. Bądź co bądź, w notesie adresowym Sutherlanda były jeszcze inne osoby które mógł odwiedzić. Coś mu jednak mówiło, że na tę Kate warto poczekać, choćby całą noc.

Rozdział 54

godz. 23.57 czasu lokalnego

północny Irak

Andy Sutherland siedział z przodu na pace ciężarówki, opierając się o ścianę szoferki i lustrując płaską, skapaną w księżycowym blasku równinę. Ciężarówka toczyła się drogą na północ, dźwięk jej silnika regularnie rozbrzmiewał pośród nocy. Pozostali, o ile mógł się zorientować, spali, kołysząc się i miękko objijając o siebie, gdy ciężarówka od czasu do czasu natrafiała na wyboje.

Teraz, gdy nie musiał się głowić nad kolejnymi posunięciami mającymi zapewnić mu przetrwanie, mógł myśleć tylko o jednym. Desperacka ucieczka przez miasto ubiegłej nocy, wymiana ognia i śmierć młodego porucznika na drodze wyjazdowej przed mostem... to wszystko sprawiło, że na pewien czas odegnał od siebie myśli o najbliższych.

Boże, mam nadzieję, że zrobiła, co jej kazałem. Mam nadzieję, że Jill zaopiekowała się nimi jak należy.

Od tamtej pory kilka razy próbował zadzwonić do niej z komórki, na próżno łudząc się, że tutejsze przekaźniki wciąż jeszcze funkcjonują. Nic z tego, nie było nawet sygnału. A miejscowe rozgłośnie radiowe, te, które wciąż działały, nie nadawały już wiadomości, które można by potraktować wiarygodnie, lecz osobliwą mieszankę religijnych śpiewów, nawoływań do sięgnięcia po broń i podżegania do przemocy w imię różnic wyznaniowych.

Wcześniej tego dnia udało im się wychwycić fragmenty audycji BBC World Service - to, co usłyszeli, nie napawało optymizmem; we wszystkich miastach w całym kraju trwały rozruchy i rabowanie sklepów, władzę w państwie przejął sztab kryzysowy, a premier i rząd uparcie milczeli.

Było dokładnie tak, jak się tego spodziewał Andy - kompletny chaos. Wciąż jednak łudził się nadzieją, że w Wielkiej Brytanii kryzys nie rozprzestrzeni się tak szybko. Co się stało z duchem walki i niezłomną wiarą w przetrwanie? Liczył na to, że gdy w innych krajach na całym świecie ludzie zaczną łupić, co się da, w Wielkiej Brytanii przynajmniej przez jakiś czas wszyscy będą po prostu stać w dłuższych niż zwykle kolejkach.

Teraz, gdy miał więcej czasu do namysłu i usłyszał kolejne strzępki wiadomości, Andy był przekonany, że w pewnym sensie doprowadziła do tego jego praca sprzed ośmiu lat. W

raporcie skoncentrował się na jedenastu kluczowych węzłach w globalnej sieci dystrybucji ropy naftowej, węzłach, które były narażone na ataki znieznacka, w rodzaju zamachów przeprowadzonych przez organizacje terrorystyczne. Jak dotąd doszły go słuchy, że zostało zaatakowanych siedem z tych węzłów. Już samo to było podejrzane, ale o wszystkim zdawał się przesądzać fakt, że stało się to w ciągu zaledwie 24 godzin. To było najistotniejsze. Tę konkluzję zawarł w ostatniej części swojego raportu...

„Gdyby jedenaście kluczowych węzłów dystrybucji, punktów podwyższonego ryzyka, zostało zaatakowanych w ciągu jednej doby, globalna dystrybucja ropy zostałaby całkowicie wstrzymana”.

Wzdrygnął się, wspominając te słowa.

Kurwa mać, zupełnie jakby ktoś realizował cały mój cholerny raport.

To oznacza, że kiedyś przez moment miał bezpośrednią styczność z ludźmi, którzy byli za to odpowiedzialni. I co gorsza - Leona ich widziała. Mogła zidentyfikować jednego lub nawet kilku spośród nich. Zastanawiał się, czyją twarz rozpoznała w telewizji. Czy to był ktoś znany z pierwszych stron gazet albo z relacji telewizyjnych? Jakiś polityk lub lider którejś partii? Wysoki rangą przywódca Al-Kaidy? A może rzecznik radykalnej grupy zielonych? Przemysłowiec czy może baron naftowy? Lub jakiś ekscentryczny miliarder?

Kto, do kurwy nędzy, mógłby chcieć, aby doszło do czegoś takiego? Kto, do cholery, miałby na tym zyskać?

Przez moment oczyma duszy widział stereotypowego złoczyńcę z filmów o Bondzie, chichoczącego złowieszczo i głaszczącego perskiego kota trzymanego na kolanach. Przypomniał sobie wszystkie niezwykle i nieprawdopodobne teorie spiskowe na temat zamachów z 11 września, którymi interesował się długo po tym zdarzeniu. Najbardziej szalona, jaką słyszał, głosiła, że na Pentagon spadł latający spodek, a władze USA zatuszowały ten fakt zgrabną bajeczką o zamachu terrorystycznym, aby móc spokojnie testować obcą technologię.

Pokręcił głową i zaśmiał się pod nosem. Ludzie uwierzą w każdy szajs, jeżeli tylko pokażesz im niewyraźne zdjęcie albo rozdygotane nagranie z kamery przemysłowej.

- Co cię tak rozbawiło?

Andy spojrzał na Farida, który nie spał i przyglądał mu się z uwagą.

- Nic takiego, zamyśliłem się tylko. Myślałem o niebieskich migdałach.

- O niebieskich...?

- Nieważne. To takie powiedzenie. Posłuchaj, chciałbym z tobą pomówić... niedługo powinniśmy przejechać granicę i znajdziemy się na terytorium Turcji.

Farid pokiwał głową i wciąż kierował wzrok ku pustyni.

- Tak.

- I co zamierzasz?

Farid odwrócił się nieznacznie.

- To znaczy?

- Chodzi mi o to, czy chcesz, abyśmy wysadzili cię gdzieś w Iraku, zanim przekroczymy granicę?

Andy w świetle księżyca i gwiazd dostrzegł na ustach starego delikatny uśmiezek.

- Chcecie mnie tu zostawić? Wśród Kurdów? W pięć minut byłoby po mnie.

- Przykro mi, Farid. Cały ten bajzel pochrzanił wszystko, wielu ludzi utknęło w różnych miejscach na świecie.

- Tak - odrzekł stary - Ale granic już nie ma, wszystko przepadło.

Andy pokiwał głową: zgadza się. Wątpliwe, aby posterunek graniczny, po tej czy po tamtej stronie, był jeszcze przez kogokolwiek obsługiwany. Turecka policja, jak wszystkie cywilne służby na całym świecie, z pewnością toczyła skazaną na porażkę walkę, by utrzymać porządek wśród swoich ziomków.

- W Iraku nic już mi nie zostało - dodał po chwili Farid.

- Nie masz rodziny?

- Nie. Już nie.

Ton głosu starca zdradził Andy'emu więcej niż słowa.

- Syna zabrała milicja, a żonę amerykańska bomba.

Andy przyglądał się tamtemu; podświadomie, może instynktownie, zdał sobie sprawę, że starzec przez cały czas dźwiga olbrzymie brzemię smutku. W przeciwieństwie do dwóch kierowców starszek był cichy i spokojny. Często zamyślony, zamknięty w sobie, starał się nie okazywać trawiących go emocji. Dźwigał swój ciężar w pokorze i milczeniu.

Andy zastanawiał się, czy zechce się przed nim otworzyć.

- Co się stało z twoją rodziną, Farid? Opowiesz mi o tym?

- Rzadko o tym mówię. To moja tragedia. Mój smutek.

- Rozumiem. Przepraszam, że zapytałem.

- Dobrze. Opowiem ci - rzekł Farid, przysuwając się bliżej do Andy'ego, aby tamten mógł go usłyszeć pośród hałasu silnika. - Mój syn pracował dla policji. Któregoś dnia jego posterunek otoczył oddział rebeliantów. Wyprowadzili stamtąd jego i innych pod bronią. Jego matka wiedziała, że on nie żyje, ale ja mówiłem, że wróci. To dobry chłopak, prawy muzułmanin, na pewno go wypuszczą. Wstąpił do policji nie dla pieniędzy, lecz by pomóc w

od...

- Odbudowie?

- Tak... żeby... pomóc w odbudowie Iraku.

Stary milczał przez dłuższą chwilę. Andy czuł, że chce mówić dalej, ale zbierał się w sobie, bardzo się starał, by to, co w sobie skrywa, pozostało wewnątrz, gdyż mógł podzielić się tylko ułamkiem tych emocji.

- Trzy dni później powiedzieli nam, że przed budynkiem komendy policji są trzy ciała. Był tam też mój syn. Był oficerem policji, a tamci jego podwładnymi. Mój syn miał wysoką rangę. Zabili go, aby dać przykład innym.

Farid znów zamilkł.

- Wszystkim trzem poderżnęli gardła. Ale mojego syna torturowali przez dwa dni, a potem wylupili mu oczy. Dopiero wtedy podcięli mu gardło.

Andy powstrzymał się od komentarza, który w tej sytuacji byłby niezręczny i nie na miejscu. Wyciągnął tylko rękę i delikatnie dotknął ramienia starca.

- Później przysłali mi oczy syna w paczce wraz z wiadomością od ich przywódcy. „Oczy twojego syna widziały dzieło boże”. Wiem, że ci ludzie nie wypełniają woli Allacha. Wiem, że ci ludzie są źli. Nagrali to, co zrobili, i wiem, że inni tacy jak oni oglądają te filmy w internecie i cieszą się, słysząc krzyki mojego syna.

Andy żałował, że nie potrafi powiedzieć niczego, co w tej sytuacji nie zabrzmiałoby jak banał. Utrata dziecka to kres wszystkiego, utrata dziecka w takich okolicznościach jest nie do wyobrażenia.

- Moja żona zginęła tydzień później, kiedy Amerykanie zrzucili bombę na nasze miasto, aby zabić tego przywódcę rebelii. Zrzucili bombę, choć wiedzieli, że zniszczy wiele domów przy tej ulicy. Moja żona była z wizytą u siostry, która mieszkała w domu obok. Wszyscy, którzy tam mieszkali, zginęli. Tego przywódcy nie zgładzili, ale zabili moją żonę i dwadzieścia innych osób. Gdy się o tym dowiedzieli, Amerykanie wywieźli ciała i ogłosili, że ofiary były tylko dwie czy trzy. Pół roku temu zabrali ciało mojej żony i wiem, że już nigdy jej nie zobaczę. Ona odeszła. Nigdy nie zobaczę jej ciała.

- Przerąbane - mruknął Mike.

- I wasi ludzie, i moi odebrali mi wszystko, co kochałem. Nie mam już nic.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słychać było tylko regularny kojący warkot silnika ciężarówki.

- Tak między nami, nieźle namieszaliśmy w tym kraju, no nie? - wtrącił Mike.

Andy pokiwał głową.

- Chyba mogliśmy lepiej to załatwić. Pokpiliśmy sprawę.

- Głupi, nieostrożni amerykańscy żołnierze i źli ludzie, którzy twierdzą, że walczą dla Allacha, ale są *haram*, poza Bogiem... oni wszyscy rozpieprzają mój kraj.

Mike usiadł prosto.

- Powiedz, Farid, jak to możliwe, że po tym, co cię spotkało, nadal wierzysz w Boga? I jeszcze to, co się dzieje obecnie... muzułmanie mordujący muzułmanów... cały ten szajs w imię boże. Jak odnajdujesz w tym wszystkim sens?

- Mam Koran. To święta księga, skończona i słuszna. To słowo boże. To, co dzieje się obecnie... czego jesteśmy świadkami, nie jest dziełem Allacha, ale... złych ludzi.

- Może i masz rację - Mike westchnął. - My, ludzie, mamy chyba wyjątkowy talent, aby spieprzyć wszystko, czego się tylko tkniemy.

Andy odwrócił się, by spojrzeć na Amerykanina. Nie spodziewał się usłyszeć takich słów z jego ust.

- A więc - ciągnął Andy - dokąd chciałbyś wyjechać?

- Mam brata, który wiele lat temu wyjechał do Wielkiej Brytanii. Prócz niego nie mam już nikogo. To cała moja rodzina. Dołączę do niego.

Andy znów wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

- Dowieziemy cię tam, stary. Obiecuję.

Powiódł wzrokiem po platformie ciężarówki. Wszyscy żołnierze spali. Tylko Erich przyglądał się im w milczeniu. A potem kurtuazyjnie skinął głową.

Rozdział 55

godz. 22.03 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Było ciemno.

Boże, Dany, gdzie ty się podziewasz, do cholery?

Położyła Jacoba do łóżka najwcześniej, jak tylko zdołała, po tym, jak zjedli kolejny mało apetyczny posiłek złożony z zimnych sardynek w sosie pomidorowym i paru kromek chleba z masłem. Kiedy próbowała napełnić szklanki dla nich dwojga, z kranu, który odkręciła, nie pociekła ani kropla wody. Stwierdziła, że od tej pory będą musieli korzystać z zapasów wody w butelkach.

Był kolejny gorący i parny wieczór, w domu zrobiło się duszno. Otworzyła kilka okien na piętrze, te na dole zaś starannie pozamykała. Cierpliwie zapewniała Jacoba, że wszystko jakoś się ułoży, że Dan, który stał się dla Jacoba kimś w rodzaju bohatera, niedługo wróci. Później, używając latarki, znalazła jedną z książek o Harrym Potterze leżącą na nocnym stoliku przy łóżku Jill i zaczęła mu czytać do poduszki.

Wszystko jednak robiła w stanie pełnego udręki niepokoju i otepienia, przez cały czas jednym uchem nasłuchując, czy Dan, którego powrotu spodziewała się praktycznie w każdej chwili, nie zastuka nagle do drzwi. Mimo iż to ona wszystkim kierowała, odkąd wyjechali z uczelni samochodem Dana, dopiero teraz zdała sobie sprawę, w jak dużym stopniu polegała na jego wsparciu.

Czy odtąd będziemy już tylko we dwoje, ja i Jake?

Poczuła, że zaczyna się rozsypywać, puszczając jej nerwy, kiedy tak siedzi w ciemnościach, czekając i nasłuchując. Wiedziała, że sama nie da sobie długo rady.

Hałasy zaczęły się tuż przed jedenastą.

Banda nastolatków wróciła. Obserwowała ich z okna salonu ukryta za żaluzjami. Było ich dwudziestu, może trzydziestu, niektórzy wyglądali na piętnastolatków, inni na dwudziestoparę-, a nawet trzydziestolatków. Były z nimi ze dwie dziewczyny. Leona uznała, że z wyglądu były od niej o kilka lat młodsze. Gang schodził się małymi grupkami, gromadząc się stopniowo na wąskiej ulicy przez ponad godzinę, jakby umówili się tu na

spotkanie ubiegłego wieczoru, nie precyzując o której.

Zjawił się samochód, kapiąc St Stephen's Avenue w blasku reflektorów, z głośników wewnątrz auta płynęła głośna, wibrująca grzmiącymi basami muzyka. Znowu pili, być może ogołocili pobliski monopolowy. Ich głosy z czasem przybrały na sile i około północy, jak stwierdziła Leona, większość z nich była kompletnie zalana. Jeden z nich wszedł chwiejnym krokiem do ogródka od frontu, potknął się o kamień na ścieżce i wylądował na jednym z zaniedbanych przez Jill klombów. Leżał tam dłuższą chwilę, najwyraźniej z zadowoleniem kontemplując gwiazdy, zanim obrócił się na bok i wymiotował.

Pomiędzy dwoma chłopakami doszło do bójki. Najwyraźniej o jedną z dziewczyn - Leona w myślach nazwała je Smerfetkami. Nie słyszała wymiany zdań, ale sądząc po gestach, ten starszy najwyraźniej chciał zabawić się z jedną z nich, a młodszemu to się nie spodobało. Dziewczyny będącej przedmiotem sporu nikt nawet nie spytał o zdanie. Leona często widywała podobne sytuacje pod pubami i klubami w Norwich, gdzie niekiedy bywała. Schemat był zawsze taki sam, dużo wrzasków, szpanowania, przepychanki, aż w końcu padały pierwsze ciosy

W tym wypadku jednak walka miała o wiele szybszy i gwałtowniejszy przebieg. Patrzyła ze zgrozą, jak po pierwszej wymianie ciosów młody chłopak wyciągnął nóż. Trudno było się zorientować w zamęcie gwałtownych ataków i odskoków, ale w świetle reflektorów już po chwili spostrzegła, jak na białym podkoszulku starszego chłopaka pojawiła się szkarłatna plama krwi. Szamotali się dziko jeszcze przez chwilę i nagle ciałem młodszego chłopaka wstrząsnął spazmatyczny skurcz. Kilku nastolatków zebranych wokół walczących wydało pijacki okrzyk poparcia i podziwu. Zauważyła, że wielu innych zamilkło, patrząc, jak młodszy z walczących miota się w konwulsjach przed samochodem.

Jedna z dziewcząt krzyknęła.

Leona odsunęła się od okna i rozdygotana usiadła w fotelu, wpatrując się w napływające z ulicy migoczące na suficie światło, kiedy gang zebrany przed samochodem w blasku reflektorów przyglądał się konającemu.

Impreza nie została jednak przerwana. Trwała w najlepsze. Nastolatkowie wciąż pili, słuchając muzyki jeszcze głośniejszą niż dotychczas. Impreza przeniosła się nieco dalej w głąb ulicy i mniej więcej na kwadrans przed północą usłyszała, jak ktoś zaczyna łomotać uporczywie do drzwi. Wiedziała, że były to drzwi jednego z pobliskich domów, usłyszała trzask pękającego drewna i drzwi wyłamywanych z zawiasów, a potem radosny ryk aprobaty tłumu zebranego na zewnątrz.

To, co usłyszała niedługo potem, zmroziło jej krew w żyłach i sprawiło, że po plecach

przeszły jej lodowate ciarki.

Dom został splądrowany, słycać było odgłosy niszczenia mebli, brzęk tłuczonego szkła i... krzyki kobiety.

O cholera, o cholera, o cholera.

Leona znów podbiegła do okna i wyjrzała przez żaluzje. Patrząc w bok, widziała trochę z tego, co się działo: wielkie poruszenie, błyski białych adidasów i czapeczek bejsbolowych w świetle reflektorów oraz mniej wyraźne, rozmyte barwy podkoszulków i nagich torsów. Cała banda zgromadziła się przy wejściu do domu, tłoczyli się wewnątrz i na zewnątrz. Każdego innego wieczoru, przynajmniej z daleka, można by pomyśleć, że jakaś młodzieżowa impreza wyrwała się po prostu spod kontroli.

Ale Leona spojrzała na ciało nastolatka nieżyjącego już od blisko pół godziny, porzucone i zapomniane przed stojącym na ulicy autem.

Jest dokładnie tak, jak mówił tato... teraz rządzi prawo dżungli.

Czwartek

Rozdział 56

godz. 7.00 czasu lokalnego
granica Turcji z Irakiem

Jadąc na północny zachód, ominęli Mosul. Droga prowadziła przez region Ninawa: niezamieszkaną, opuszczoną część północnego Iraku. Przejechali między Sinjar i Tall Afar, dwiema niedużymi wioskami, także omijając je szerokim łukiem i unikając niepożądanego kontaktu. Ugór pustyni wkrótce ustąpił miejsca żyznym terenom rolniczym, kiedy o drugiej nocy skręcili na północ, przejeżdżając w którymś momencie zaledwie o kilka kilometrów od granicy z Syrią i kierując się na północny wschód. Przekroczyli rzekę Bachuk i ruszyli w stronę Turcji.

W ciągu dwóch kolejnych nocy po opuszczeniu Al-Bayji pokonali ponad trzysta kilometrów, trzykrotnie spuszczając paliwo z napotkanych po drodze pojazdów. Ciężarówka pomimo upiornych odgłosów, jakie wydawała, wbrew obawom Andy'ego na razie ich nie zawiodła. Liczyliby jednak na zbyt wiele, spodziewając się, że przewiezie ich przez terytorium drugiego państwa.

Bez najmniejszych przeszkód sforsowali punkt kontroli granicznej i znaleźli się na terytorium Turcji. Zapory były podniesione i nie obsługiwane przez nikogo. Ciężarówka przetoczyła się po asfalcie, na którym widniała wyblakła, namalowana czerwoną farbą linia. Teraz oficjalnie znaleźli się w Turcji.

Przy skupisku niskich betonowych budynków na otoczonym siatką placu stało kilkanaście różnych pojazdów, kilka autokarów i parę furgonetek pozostawionych z różnych powodów.

Siedzący za kierownicą szeregowy Tajican zawołał przez opuszczoną szybę do Andy'ego, który nachylił się w stronę szoferki:

- Moglibyśmy ruszyć dalej którąś z tych bryk, szefie.

Andy przyjrzał się pojazdom stojącym na placu. Przypuszczalnie była to najlepsza okazja do zmiany środka transportu, jaka będzie im dana, a dodatkowo mogli zaopatrzyć się w paliwo, wodę i żywność. Zwłaszcza w wodę. W tym upale bardzo szybko zużyli niewielki zapas, jakim dysponowali.

- Dobra, wjedź tam - odkrzyknął.

Tajican zjechał z drogi i przez lukę w ogrodzeniu wjechał na plac parkingowy.

Szybko wysiedli z ciężarówki.

Starszy kapral Westley podszedł do Andy'ego po rozkazy, jakie mógłby później przekazać swoim ludziom.

- No dobrze - rzekł Andy, rozglądając się wokoło i po raz pierwszy uświadamiając sobie, że spojrzenia wszystkich skierowane są na niego. Miał nadzieję, że zdoła w krótkich żołnierskich słowach wydać im polecenia. - Ktoś musi sprawdzić, czy w tych pojazdach jest paliwo, które można by spuścić. Zorientujcie się, który z nich powinniśmy zabrać. Taj ma rację, nie możemy liczyć, że ten gruchot dowiezie nas dalej, musimy zadbać o nowy środek transportu. A skoro już tu jesteśmy, powinniśmy też zajrzeć do tych budynków obok, może znajdziemy tam wodę i żywność. Westley?

- Tak jest?

- Podczas gdy my trochę się tu rozejrzemy, wystaw kilku ludzi wokół placu, niech mają oko na wszystko, jasne?

- Tak jest! - odrzekł Westley i obrócił się na pięcie, by wydać rozkazy pozostałym jedenastu ludziom ze swojego plutonu.

Andy uśmiechnął się. *Chyba okazałem się całkiem przekonujący.*

Wychwycił spojrzenie Mike'a. Amerykanin przytaknął porozumiewawczo.

Westley zlecił Tajicanowi sprawdzenie wszystkich pojazdów i przydzielił mu sześciu ludzi do pomocy. Trzech podkomendnych wysłał na drogę, żeby urządzili tam tymczasowy punkt kontrolny i wypatrywali wszelkich nadjeżdżających pojazdów.

- Chcesz zajrzeć do tamtych domów? - spytał Andy'ego Westley, wskazując najbliższy budynek.

- Tak. Zobaczmy, czy jest tam coś, co moglibyśmy zabrać.

Starszy kapral odwrócił się do dwóch pozostałych mężczyzn. Derry'ego i Petersa, którzy odłożyli karabiny i zaczęli zdejmować bojową uprząż:

- No dalej, ruszcie tyłki, pieprzone nieroby. Myślicie, że przyjechaliśmy tu na herbatkę? Mamy spenetrować te budynki.

- Hej, Wes, wyluzuj trochę, stary - mruknął Derry.

Westley, mijając dwóch podwładnych, wymierzył Derry'emu kuksańca w tył głowy.

- Jeszcze spróbujesz mi się odszczeknąć, Dezza, a oberwę ci klejnoty. Dalej, weźcie dupy w troki i jazda za mną!

Obaj jęknęli ze znużeniem, podnosząc się z ziemi, ale posłusznie pomaszrowali za Westleyem.

Mike idący za nimi lekko szturchnął Andy'ego w bok.

- Wiesz, wystarczyłoby, żebyś przyswoił sobie choćby podstawy tego ich barwnego języka i raz-dwa się do nich dopasujesz.

Andy wzruszył ramionami. Jenny miałyby niezły ubaw, gdyby zobaczyła, jak jej nudny jajogłowy małżonek, skądinąd całkiem udanie, zgrywa wielkiego twardego żołnierza. Nie był jednak pewien, czy ucieszyłyby się, gdyby także w domu zaczął się posługiwać typowo żołnierskim językiem.

Rozdział 57

godz. 10.00 czasu Greenwich
stacja benzynowa Beauford

Jenny obudziła się, gdy coś ją potrąciło. Ktoś przeciskał się obok dwóch plastikowych krzesełek, na których się położyła w sali jadalnej, i przypadkiem zahaczył o jedno z nich. Ocknęła się natychmiast i usiadła.

Personelowi stacji benzynowej podano śniadanie na ciepło: hamburgery, pieczonego kurczaka, jajecznice, mleko - w zasadzie pełen wybór z chłodziarek.

Pan Stewart nadzorował dystrybucję posiłków, ostrożnie rozlewając mleko i zliczając dokładki, aby upewnić się, że wszyscy dostaną po równo.

Zauważył, że Jenny się obudziła.

- Dzień dobry. Właśnie serwujemy śniadanie - zawołał radośnie. - Zapraszam do kolejki.

Musiała przyznać, że zapach był naprawdę cudowny. Posłusznie stanęła na końcu krótkiej kolejki i niebawem odebrała posiłek od pana Stewarta, który promieniał uśmiechem mającym zapewne podbudować nadwątlone morale.

A może on to naprawdę lubi. Pomyślała, że może po pracy zamienia się w drużynowego zastępu skautów albo kogoś podobnego.

- Dzięki - rzekła, odchodząc w stronę stolika, gdzie siedzieli Paul i Ruth.

- To stek bzdur - powiedział Paul, kiedy Jenny usiadła obok Ruth.

- Ale co konkretnie?

- Och, według naszej uwielbiającej tabloidy idiotki - rzekł, wskazując kciukiem na Ruth - cały ten bałagan z ropą jest dziełem Amerykanów

Ruth pokręciła głową i zaproponowała:

- Wcale tak nie mówiłam. Powiedziałam tylko, że to wszystko wydaje się w jakiś sposób zharmonizowane, jakby ktoś to koordynował. A przecież jedynym krajem zdolnym do operacji na taką skalę są Stany, zgadza się?

Jenny zamysliła się nad tym.

- Ale co mieliby zyskać, doprowadzając do zahamowania dostaw ropy? Czy nie potrzebują jej bardziej niż ktokolwiek inny?

- Może mają dość zapasów, by spokojnie przetrwać to wszystko?

- Słyszałam, że w Nowym Jorku także doszło do rozruchów, podobnie jak w Londynie - powiedziała Jenny - Wydaje się, że im także nie jest łatwo.

- Właśnie - burknął Paul. - Dość tych bzdur. Pewnie jesteś jedną z tych szajbusek, które uważają, że za zniszczeniem WTC stoi Bush i jego poplecznicy?

- Cóż, muszę przyznać, że jest w tej sprawie wiele nieścisłości - rzekła Ruth. - To wszystko było zbyt grubymi nićmi szyte, nie uważasz? Zawsze sądziłam, że coś tu nie gra...

- Świetnie dogadałabyś się z moim mężem - mruknęła Jenny

- Poczekaj, zreasumujmy. Tamten zamach przeprowadzono, aby zaistniał powód wkroczenia do Iraku i położenia łapy na ropie Saddama... to właśnie chciałaś powiedzieć?

- Aha - przytaknęła Ruth.

- Wiesz co, to wszystko zaczyna mnie już irytować. Cały ten spiskowy bełkot. Nie potrafisz przyjąć do wiadomości, że coś, co się zdarzyło, nie ma drugiego dna? Musisz we wszystkim doszukiwać się podtekstów? Zawsze znajdują się półgłówki, nawiasem mówiąc, takie jak ty - Paul uśmiechnął się do Ruth - które będą myśleć, że za wszystkim kryje się jakiś wielki zły wróg. No dobra, w tym wypadku akurat taki się zdarzył... Bin Laden, ma się rozumieć. Ale nie, skąd! To przecież nie jest dostatecznie frapujące, prawda? Jasne, że nie. Byłoby znacznie ciekawsze, gdyby, dajmy na to... stał za tym prezydent.

- Tak właśnie było.

- Poczekaj no, złotko... pewnie sądzisz, że księżna Diana została zamordowana przez agentów MI5?

Oblicze Ruth stężało, jej wargi zacisnęły się w wąską kreskę.

- Nabijasz się ze mnie, prawda?

Paul westchnął.

- Myślę, że prawda jest taka, iż bandzie cholernych Arabów trochę za bardzo spodobała się ta ciągła nawałanka między sobą i odrobinę ich poniosło. To doprowadziło do utraty płynności dostaw największego dostawcy ropy na świecie w czasach, kiedy ropa jest naprawdę potrzebna, bo w swej nieskończonej głupocie tak się od niej uzależniliśmy, że sytuacja zaskoczyła nas - jak to się mówi - z opuszczonymi spodniami. Dodajmy jeszcze do tego nieudolny rząd, który nie potrafi zorganizować nawet siebie, nie mówiąc o czymkolwiek innym, i nie podjął niezbędnych planów awaryjnych na taką ewentualność. Jakoś trudno mi się tu dopatrzeć teorii spiskowych, widzę tylko zwykłą ludzką głupotę.

Jenny skinęła głową, dzieląc jego opinię o głupocie.

- Byliśmy bardzo krótkowzroczni. - Odgryzła kęs hamburgera, rozkoszując się jego soczystym smakiem, ale instynktownie zliczała już w myślach kalorie. - I bardzo głupi -

ciągnęła - pozwalając uzależnić się do tego stopnia od surowca dostarczanego przez kilka rurociągów z całego świata.

- Ile twoim zdaniem to może potrwać? - spytała Ruth.

- Powiedziałbym, że jeszcze parę dni - odrzekł Paul. - Ten tępak, nasz premier, we wtorek dał się pociągnąć za język i śmiertelnie wszystkich wystraszył. Nic dziwnego, że w całym kraju doszło do rozruchów. Ale już niedługo policja opanuje sytuację.

Ruth pokręciła głową.

- No właśnie, gdzie jest policja? Od wtorku nie widziałam żadnego policjanta.

Paul wzruszył ramionami.

- Właśnie to najbardziej mnie martwi - rzekła Ruth. - Całkowity brak policji. Kiedy znów jakiegoś zobaczymy? A jak na razie - wskazała w stronę dwóch kontuarów z fast foodami - miejsca takie jak to, gdzie wciąż są zapasy jedzenia i napojów, niedługo skuszą całe rzesze tych wszystkich, którym kiszki zaczęły już grać marsza.

Paul z ponurą miną zerknął przez ramię na rozległy, pusty parking na zewnątrz.

Jenny podążyła za jego wzrokiem. Parking na razie był pusty, ale oczyma duszy wyobraziła sobie sunący naprzód tłum wygłodniałych ludzi, ich twarze i dłonie przywierające do frontowej pleksiglasowej ściany w bezgłośnym błaganiu o cokolwiek do jedzenia.

Tyle że kiedy już się tu zjawią, raczej nie będą błagać.

Rozdział 58

godz. 21.12 czasu lokalnego
południowa Turcja

W ciemnościach autokaru mógł się przyjrzeć Andy'emu Sutherlandowi nieco dyskretniej. To był stary autobus wycieczkowy: trzydzieści rzędów wyświechtanych siedzeń i nie działająca klimatyzacja. Żołnierze rozproszyli się po całym pojeździe, przerzucając nogi i ręce nad sąsiednimi fotelami i wadliwymi podłokietnikami.

Siedział po przekątnej, naprzeciw Andy'ego. Inżynier wpatrywał się w wieczorne niebo, podczas gdy wszyscy inni, wyczerpani po burzliwych wydarzeniach ostatnich kilku dni, zasnęli.

O czym pan myśli, doktorze Sutherland?

Był ciekaw, czy ten Nowozelandczyk zastanawia się nad wydarzeniami rozgrywającymi się na całym świecie. Jako że towarzyszył mu przez cały weekend, jednego mógł być pewien. Nie brał w tym udziału. Nie był jednym z nich. Naprawdę go zaskoczył. Sutherland nie byłby na tyle głupi, aby utknąć w samym środku Iraku, gdyby wiedział, co ma się wydarzyć w tym tygodniu.

Najważniejsze, najistotniejsze pytanie brzmiało: *Ile naprawdę wiedział na ich temat?*

Wiele lat temu wykorzystali go: pod fałszywym pretekstem skłonili do sporządzenia ekspertyzy mogącej dopomóc w skryzalizowaniu ich planów. Gdyby Sutherland wiedział, z kim miał do czynienia, gdyby Sutherland w jakikolwiek sposób mógł ich zidentyfikować, zostałby zlikwidowany już dawno temu.

Ponieważ wciąż żył... wyglądało na to, że nic o nich nie wie, a na pewno nic, co sami mogliby uznać za niebezpieczne, gdyby zdecydował się to ujawnić.

I na pewno nie był jednym z nich.

Zawsze mogę się zwrócić do niego bezpośrednio. Odprowadzić go na stronę i wyłożyć karty na stół, powiedzieć, kim jestem, dla kogo pracuję i wyciągnąć z niego każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, który mógłby mi pomóc.

Pomysł był niegłupi. Gdyby tylko zdołał się skontaktować ze swoimi ludźmi, doradziłby im rozmowę z tym człowiekiem. Teraz jednak, rzecz jasna, było to niemożliwe.

Sutherland mógł mieć dla nich kluczowe znaczenie. Zetknął się z nimi bezpośrednio,

może nawet widział któregoś z nich albo potrafiłby go zidentyfikować. To mogła być jedyna w swoim rodzaju okazja, by zajrzeć za niemal nieprzeniknioną woalą tajemnicy, za jakim się skrywali.

Przez lata zgromadzono na ich temat tylko parę drobiazgów, dość jednak, by uświadomić sobie, jak mało o nich było wiadomo. Istniała większa grupa nazywająca siebie Stu Sześćdziesięcioma oraz druga mniejsza znana jako Dwunastu. Klasyczny model piramidy władzy: Dwunastu dyktowało politykę działań, Stu Sześćdziesięciu ją realizowało. Otaczająca ich tajemnica była wręcz absolutna... to naprawdę robiło wrażenie. W ciągu wielu lat, odkąd jego ludzie całkowicie poświęcili się misji ujawnienia prawdy, tylko jeden z tamtych zdecydował się mówić.

I mówił, ale krótko. Odbyły się dwa spotkania przebiegające w całkowitej ciemności, w piwnicy opuszczonego budynku, w jakimś przemysłowym mieście gdzieś w Niemczech. Dwa spotkania, które trwały zaledwie kilka minut, a głos tamtego mężczyzny trząśł się jak głos skazańca idącego na szafot. O sobie powiedział, że jest bankierem... i był zaledwie jednym ze Stu Sześćdziesięciu.

Tydzień po tym spotkaniu mężczyzna, który był największym prywatnym udziałowcem jednego z większych banków handlowych z siedzibą we Frankfurcie, członkiem Komitetu Doradczego ECB i jednym z dyrektorów Deutsche Bundesbank, najprawdopodobniej popełnił samobójstwo, rzucając się z dachu swojego luksusowego penthouse'u. Ten człowiek był zaledwie jednym z ich szeregowych żołnierzy. Dla porównania Dwunastu, których tożsamości nie znało nawet Stu Sześćdziesięciu, było nietykalnych. A jednak osiem lat temu ten człowiek, doktor Sutherland - o ile wierzyć plotkom, do których zdołali dotrzeć - mógł spotkać się z jednym z nich. Właśnie dlatego rok temu założyli podsłuch w jego telefonie. Mimo to zastanawiał się, czy ujawnienie się przed doktorem Sutherlandem akurat teraz i skontaktowanie go z jego ludźmi byłoby rozsądnym posunięciem.

Jak na razie, biorąc pod uwagę to, co Sutherland mógł zapamiętać ze swoich spotkań z tamtymi, był dla nich potencjalną kopalnią złota. Innymi słowy, był bezcenny. I dlatego należało utrzymać go przy życiu.

Rozdział 59

godz. 18.00 czasu Greenwich
stacja benzynowa Beauford

Jenny szła korytarzem na zaplecze stacji benzynowej, gdzie było chłodniej i ciemniej, bo z dala od promieni wieczornego słońca wpadających przez szybę od frontu. W foyer było gorąco i parno jak w cieplarni.

Wyjęła komórkę i włączyła, aby sprawdzić, czy jest sygnał. Rzecz jasna, nie było, a telefon prawie całkiem się rozładował. Wyłączyła go szybko, żeby zupełnie nie rozładować baterii. Rozejrzawszy się dokoła, aby sprawdzić, czy na pewno jest sama i nikt jej nie widzi, złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Boże, błagam, miej w opiece nasze dzieci - wyszeptała. - Wiem, że w zasadzie jestem ateistką i w ogóle, ale proszę cię... jeśli istniejesz, zaopiekuj się nimi.

Co ja, do diabła, wyprawiam?

Jenny nigdy nie była wierząca. Nigdy. To ją łączyło z Andym, który także był zdeklarowanym ateistą. Raz poszli nawet wspólnie do szkoły - gdy Leona była jeszcze w podstawówce - aby poskarżyć się, że dzieciom wpaja się zbyt wiele treści natury religijnej. Ich dom zawsze był bezwyznaniowy - a teraz, proszę, jak trwoga, to do Boga.

Nie dbam o to. Jeżeli zechcę, mogę się pomodlić.

Zawsze istniało pewne prawdopodobieństwo, że we wszystkich tych mitach o Bogu tkwiło jednak ziarnko prawdy

Tak czy owak, gdy chodzi o twoje dzieci, jesteś gotowa na wszystko, zgadza się? Zaprzedałabyś nawet duszę diabłu... oczywiście, jeśli szatan istnieje.

- Nie sądziłem, że jesteś wierząca.

Jenny opuściła gwałtownie ręce zaskoczona i zdezorientowana.

Rozejrzała się i spostrzegła Paula stojącego w cieniu, przy salonie gier.

- Wcale nie - odparła zmieszana. - Ja tylko... no wiesz, jestem trochę zdesperowana.

- To oczywiste. Masz dzieci, prawda? - odrzekł Paul, przesuwając dłonią po plastikowym fotelu samochodu wyścigowego. - Ja nie, więc jest mi łatwiej.

- To fakt. Ale co tu właściwie robisz?

Odwrócił się w stronę gry wideo, gładząc winylowe siedzenie.

- Zauważyłem, że mają tu maszynę Toca Rally 2. Kiedy byłem nastolatkiem, często w to grałem. Przez lata władowałem w tę grę mnóstwo kasy - dodał z tęskną zadumą. - Stara gra wyścigowa. Teraz to klasyk. Takie maszyny stanowią gratkę dla kolekcjonerów.

Jenny pokiwała uprzejmie głową, udając, że słucha, ale nie słuchała.

Westchnął i poklepał dłonią fotel.

- Wiesz, nie umiem sobie wyobrazić świata bez elektryczności, bez prądu. Tyle rzeczy braliśmy, jakby nam się należały, nie uważasz? Wystarczy, że utracimy to na kilka dni... i spójrz, co się z nami dzieje.

- Uśmiechnął się. - Zmieniamy się w jaskiniowców. Żyjemy jak w epoce kamienia łupanego. Kiedy sytuacja wróci do normy, na pewno...

- Kto powiedział, że kiedykolwiek wróci do normy?

- Oczywiście, że tak będzie - odparł. - Sytuacja zawsze w końcu się stabilizuje.

- Wydaje mi się, że po tym wszystkim będzie inaczej.

- Tak? To znaczy?

- No... nie wiem... ale... tak zawsze mawiał mój mąż Andy.

Paul przekrzywił lekko głowę w bok, nasłuchując z uwagą.

- Mówił, że ropa naftowa to coś w rodzaju dwudziestowiecznej odmiany rzymskiej gospodarki niewolniczej. Dorastaliśmy w przekonaniu, że była, jest i będzie. I wyreżała nas we wszystkim. Zapewniała nam energię elektryczną, wytwarzane przy jej udziale pestycydy były wykorzystywane do użyźniania pól, wyrabialiśmy z niej leki i wszelkiego rodzaju tworzywa... praktycznie używaliśmy ropy do wszystkiego. Ale pamiętam zwłaszcza jedną rzecz, którą od niego usłyszałam. Powiedział, że jakiś ekonomista skalkulował kiedyś to wszystko, w jaki sposób ropa naftowa pomaga nam w życiu, i przełożył na siłę roboczą niewolników. Porównał ekonomię ery naftowej do rzymskiego systemu niewolniczego.

- Nie rozumiem.

- Powiedzmy, że wróciłeś z pracy do domu i chcesz uprać roboczą koszulę, aby móc znów ją jutro włożyć. Wrzuciłbyś ją do pralki, a potem włączył wirowanie i suszenie, zgadza się? A czekając, zapewne wypiłbyś jeszcze herbatę, włączył telewizor i odgrzał kolację w mikrofalówce. Cóż, w kategoriach systemu niewolniczego oznaczałoby to, że potrzebowałbyś niewolnika, aby odebrał od ciebie koszulę, narąbał drewna, aby rozpaścić ogień i zagrzać wodę na pranie. Inny niewolnik musiałby w tym czasie coś upolować albo kupić jakieś jedzenie, abyś miał co zjeść na kolację, jeszcze inny natomiast byłby potrzebny do narąbania drewna, rozpalenia ognia, by zagotować wodę na herbatę i przygotowania posiłku z tego, co przyniesie dla ciebie niewolnik myśliwy. Inni niewolnicy musieliby zapewnić ci rozrywkę w

zastępstwie telewizora. I nie zapominajmy o czterech czy pięciu niewolnikach, którzy przynieśli cię do domu na własnych plecach - zamiast samochodu, którym się zwykle poruszasz. Zaczynasz już to sobie układać? Rozumiesz, do czego zmierzam? Ten ekonomista obliczył, że przeciętny Amerykanin albo mieszkaniec Europejczyk potrzebowałby dziewięćdziesięciu sześciu niewolników usługujących mu dzień i noc, aby utrzymać swój styl życia na obecnym poziomie, do którego wszyscy przywykliśmy.

- Dziewięćdziesięciu sześciu niewolników?

- Dziewięćdziesięciu sześciu naftoniewolników. Nawet najubożsi w tym kraju mają swoich naftoniewolników, którzy im usługują - telewizor, ogrzewanie, gorąca woda, czajnik - poziom luksusu, o którym mogli jedynie marzyć najzamożniejsi arystokraci w ubiegłym stuleciu.

Jenny skinęła głową w stronę pana Stewarta i jego ludzi siedzących razem na słońcu.

- Spójrz na nich, spójrz na nas... odebrano nam naszych niewolników. Jesteśmy jak ci wyfiokowani arystokraci po rewolucji francuskiej, którzy szukając schronienia i pozbawieni służby, nie umieli nawet zawiązać sznurowadeł.

- Nie sądzę - mruknął drwiąco Paul.

- Tak? A kto tu, w tej grupie dysponuje podstawową wiedzą niezbędną do przetrwania? Jak założyć ogród warzywny? Jak zaplanować uprawy, aby plonów wystarczyło na cały rok? Jak znaleźć źródło wody pitnej? Jak oczyścić i wysterylizować choćby najdrobniejszą ranę, aby nie wdało się zakażenie? Jak się robi i piecze chleb?

Paul uśmiechnął się.

- W twoich ustach wszystko brzmi tak, jakbyśmy stali u progu nadchodzącej Apokalipsy. Ale ropa znów zacznie płynąć. To tylko drobny zgrzyt, nic więcej.

- Obyś miał rację. Ale ten drobny zgrzyt trwa już od czterech dni. Wyobrażasz sobie, co będzie, jeżeli taki stan utrzyma się parę tygodni?

Uśmiech Paula przygasł.

- Albo nawet miesiąc?

- Na co patrzysz? - spytała Jenny

Ruth poruszyła się i wskazała na samochód stojący obok ciężarówki w drugiej części parkingu przeznaczonej dla personelu.

- Na to - odparła.

- Ale czemu?

- Cudowna pleksiglasowa ściana pana Stewarta może przetrwać bombardowanie cegłami

i kamieniami, ale wątpię, czy wytrzymałaby, gdyby wjechało w nią auto albo ciężarówka.

- Boże, masz rację.

- Gdzie się w ogóle podział nasz szefunio?

Rozejrzały się dokoła i zobaczyły kierownika zmiany oficjalnie nadzorującego wydawanie herbaty, rozlewanej z dużego buchającego parą metalowego dystrybutora do styropianowych kubków. Ruth aż parsknęła rozbawiona.

- Co cię tak śmieszy? - spytała Jenny.

- Wiesz, kogo on mi przypomina?

Jenny zaprzeczyła głową.

- Pamiętasz *Dad's Army*? Uwielbiałam ten serial. On mi przypomina kapitana Mainwaringa, tego bohaterkiego koleśka, który zawsze wszystko miał poukładane odtąd dotąd.

Jenny nie była przekonana.

- Pamiętasz ten odcinek, w którym wszyscy utknęli na noc na starym moło? - ciągnęła Ruth. - A kapitan Mainwaring zajął się rozdzielaniem ich racji - po małej porcji humbugu dla każdego?

Jenny wysiliła się na lekki uśmiech.

- Tak, teraz już kojarzę, o co ci chodzi.

- Nie odnosisz wrażenia, że on to uwielbia? Jest wniebowzięty, mogąc przeprowadzić swoich małych żołnierzyków przez ten kryzys. Wydziela im racje i decyduje, po ile wszyscy mają dostać. To naprawdę niezła jazda.

Jenny zdawała sobie sprawę, jak idiotycznie i kretyńsko musiał teraz wyglądać, ale w jej głowie rozbrzmiał nagle głos rozsądku.

Może i tak, ale dobrze sobie z tym radzi, prawda?

Od samego początku wydziela mocno okrojone racje, bo... bo...

Zgadza się, bo nigdy nie wiadomo, jak długo taka sytuacja się utrzyma.

Skończył wydawać herbatę dla personelu i podszedł do nich z dużym dzbankiem i dwoma kubkami.

- Herbaty?

Ruth i Jenny potaknęły, a on napełnił dla nich kubki.

- Myśli pan, że tamci wrócą? Ci, którzy pobili Julię?

- Myślę, że tak.

Ruth skinęła ręką w stronę frontowej ściany pawilonu.

- Ten pleksiglas może wytrzymać kolejną noc bombardowania kamieniami i cegłami. Ale

wątpię, aby przetrzymał taranowanie ciężarówką.

Kierownik wyjrzał na zewnątrz, na stojący nieopodal ogromny pojazd... i zbladł jak ściana.

- Tak - ciągnęła Ruth. - Jestem pewna, że przynajmniej jednemu z tych darmozjadów też to wpadnie do głowy. I jestem równie przekonana, że co najmniej jeden z tych próżniaków będzie umiał odpalić na krótko auto - czy nawet ciężarówkę.

Oczy pana Stewarta rozszerzyły się z przerażenia. Dawna zawadiacka i irytująca pewność siebie prysła jak mydlana bańka.

- Ee... może ktoś mógłby pójść i unieruchomić jakoś te pojazdy?

Ruth uniosła brew.

- Tak po prostu wymknąć się stąd i rach-ciach, uszkodzić oba wozy? Zgłasza się pan na ochotnika?

Pan Stewart zawahał się, po czym odparł z zażenowaniem:

- Ja... pewno, że tak... zgłosiłbym się... ale... ktoś musi dbać... o mój personel.

- Domyślałam się, że tak pan powie - rzuciła drwiąco Ruth.

Jenny wpadła na pomysł.

- Moglibyśmy podjechać tą ciężarówką i zatrzymać ją przed frontową ścianą. Ciężarówka ma chyba mniej więcej długość frontowej ściany?

Pan Stewart pokiwał głową.

- Tak... Chyba tak.

- Powinno wystarczyć, żeby nikt nie próbował wykorzystać drugiego auta albo innych samochodów porzuconych w pobliżu.

- Tak, to doskonały pomysł - rzekł kierownik zmiany, kiwając energicznie głową. - Ale... kto... mógłby pójść... i sprowadzić tu tę ciężarówkę?

- Co ważniejsze - wtrąciła Ruth - kto umie prowadzić takiego kolosa? Ja nigdy nie prowadziłam niczego większego od mojego auta.

- Poza tym nie mamy kluczyków - dodał Paul, dołączając do nich pośrodku foyer - chyba że ktoś potrafiłby odpalić ją na krótko. Wydaje mi się, że to trudniejsze niż sforsowanie kolumny kierownicy i spięcie dwóch przewodów.

- Mam kluczyki - rzekł pan Stewart. - Są w moim gabinecie. To ciężarówka Wielkiego Rona, jednego z naszych stałych klientów. Przedwczoraj trochę za dużo wypił i chciał jechać dalej. Odebrałem mu kluczyki.

- Jest tutaj? - spytała Jenny

- Nie. Nie wiem, gdzie się podział. Pewnie wynajął pokój w motelu, o kilometr stąd.

Odkąd to się zaczęło, już go nie widziałem.

Paul odwrócił się, by wyrzeć przez szybę od frontu.

- Uważam, że powinniśmy działać już teraz, zanim tamci wrócą na wieczorną potańcówkę.

- Pójdę po kluczyki - stwierdził Stewart.

- Ale... - Paul z zakłopotaniem pokręcił głową. - Ja... nie umiem... prowadzić.

Jenny, Ruth i pan Stewart spojrzeli na niego.

Wzruszył ramionami.

- Jakoś nigdy nie miałem okazji się nauczyć. Jeżdżę na rowerze. Albo, kiedy trzeba, biorę taksówkę czy wsiadam do pociągu... umiejętność prowadzenia nigdy nie była mi potrzebna.

Ruth spojrzała na Paula, mrużąc lekko powieki.

- Poszłabym, gdybym wiedziała, jak się prowadzi takie bydło. A tak jest prawie pewne, że zmiotę całą stację z powierzchni ziemi, jeżeli tylko wsiądę za kółko. Bo ja nie boję się wyjść na zewnątrz. - Ostatnie zdanie skierowała do Paula.

- Co takiego? Ja też nie.

Wzrok wszystkich padł na pana Stewarta. Jego oczy rozszerzyły się.

- Cóż... zrobiłbym. to... ale... ktoś musi zadbać...

- O personel. Tak, wiemy - rzekła beznamiętnie Ruth.

- Ja to zrobię - powiedziała nie bez wahania Jenny. - Mam jakieś doświadczenie z ciężarówkami.

Trochę trwało, zanim pan Stewart znalazł kluczyki, ale dziesięć minut później Jenny szła szybkim krokiem przez nagrany słońcem plac, zmierzając w stronę ciężarówki i trwożliwie wypatrując kątem oka wszelkich oznak poruszenia. Zamachnęła się kijem do krykieta pana Stewarta, uderzając nim w otwartą dłoń, w nadziei, że ten gest skutecznie odbierze resztki odwagi wszystkim młodym opryszkom, którzy, czając się w pobliżu, mogliby chcieć ją zaatakować.

Panująca na zewnątrz cisza była naprawdę przerażająca. Słyszał tylko śpiew ptaków w koronach karłowatych drzew na skraju parkingu i krakanie wrony krążącej wysoko po czystym wieczornym niebie.

Sielanka... gdyby nie nienaturalność całej tej sceny... brak niecichnących zwykle odgłosów aut przejeżdżających autostradą. To było naprawdę dziwne... i na swój sposób niepokojące.

Przyspieszyła kroku, odwracając się na moment, by spojrzeć we frontową szybę

pawilonu, i dostrzegając za nią rząd bladych owalnych twarzy patrzących na nią i ponaglających do działania.

W końcu dotarła do ciężarówki i otworzywszy kluczem drzwiczki od strony kierowcy, uchyliła je, po czym wspięła się do środka. Wewnątrz panował zaduch. Kiedy chmury się rozwiały, promienie słońca przez całe popołudnie wpadały swobodnie do szoferki.

Trochę cuchnęło. Czuć było męską woń, smród tytoniowego dymu i zapach starego kebabu. Dokładnie tak sobie wyobrażała mieszankę woni w kabinie tira jeżdżącego na dalekich trasach.

Całe to miejsce cuchnęło facetem.

Jenny zlustrowała wzrokiem deskę rozdzielczą przed sobą - nie знаła tego rozkładu. Kiedyś, dawno temu, prowadziła małą ciężarówkę, jeszcze w Indiach, w czasach kiedy sporo podróżowała z plecakiem - ale to doświadczenie niewiele jej dało. Dla osób ze stacji oznaczało jedynie, że to ona miała największe kwalifikacje, aby spróbować podprowadzić ciężarówkę pod frontowe wejście.

- No dalej, gdzie, u diabła, jest stacyjka? - mruknęła zniecierpliwiona.

W końcu ją znalazła.

Już miała włożyć kluczyk, kiedy usłyszała łomotanie do drzwi tuż obok niej. Aż podskoczyła nerwowo. Wyjrzała przez szybę i poniżej zobaczyła grupkę dwunastu osób w różnym wieku i różnej płci, byli jak zwyczajni przechodnie, których możesz minąć praktycznie na każdej ulicy.

- Witaj, złotko. Otwórz no, dobra? - zawołał mężczyzna.

Jenny opuściła szybę i równocześnie poczuła, jak podnosi się jej poziom adrenaliny.

- Ta? Czego? - warknęła w nadziei, że tak właśnie zareagowałby prawowity właściciel tego pojazdu.

- To twój wóz, kotku? - spytał mężczyzna. Był po trzydziestce i na lewym górnym ramieniu miał nieco wyblakły tatuaż - charakterystyczne zawijasy, tradycyjny celtycki wzór - mało brakowało, a Andy też zrobiłby sobie kiedyś taki. Oczywiście do chwili, kiedy zobaczył w telewizji reklamę z Davidem Beckhamem przebranym, Bóg wie dlaczego, za gladiatora i prezentującym taki sam tatuaż.

- Taa, mój. Spadam stąd - odparła burkliwie, aż krzywiąc się w duchu, bo wiedziała, że udawanie twardej właścicielki tira nie wychodziło jej najlepiej.

- Wszystkie drogi są zablokowane, słońko - rzekł mężczyzna. - Pieprzone wojsko i policja wszędzie wystawili blokady. Lepiej zostań tutaj, złotko.

Jenny wzruszyła ramionami.

- Taa? Chyba jednak spróbuję szczęścia. Tu nic nie ma. Tylko ta pieprzona stacja, a nie chcą mnie tam wpuścić.

Mężczyzna spojrział w stronę budynku.

- Taa. Samolubne skurwiele, zamknęli się tam i nie chcą otworzyć. Nie ma już bieżącej wody i wszyscy zdychamy z pragnienia. Co za ludzie, no nie?

Jenny skinęła głową.

- Taa. I nie da się tam wejść. Wszystko pozamykane na głucho. Drzwi są solidne. Łajdaki.

- Byliśmy tu zeszłej nocy, aby poprosić o coś do jedzenia. Na naszych osiedlach nic już nie zostało. Jedyne sklepienie na rogu, gdzie sprzedawano słodycze i fajki, jest wyczyszczony do gołych półek.

Uśmiechnęła się ponuro.

- Taa. To szaleństwo. Co się właściwie dzieje?

Mężczyzna pokiwał głową.

- To jest, kurwa, nie do uwierzenia. W jednej chwili wszystko jest normalne, a w następnej cały świat szaleje. Wszystkim odbiło. A teraz nigdzie nie ma już nic do jedzenia, bo samolubne sukinsyny, które dotarły na miejsce pierwsze, zagarnęły wszystko dla siebie.

- Podejrzewam, że tak samo dzieje się wszędzie, nie tylko tutaj - odparła.

- Pewno tak. Nieważne. My na naszym osiedlu Runston tworzymy raczej zgraną społeczność. Mamy tam sporo starych osób i kobiet z małymi dziećmi, które ciągle narzekają i płaczą, bo są głodne - rzekł mężczyzna. Odwrócił się i wskazał w stronę pawilonów. - Tam jest mnóstwo żarcia, którym powinni się z nami podzielić. Ale ten pieprzony kierownik nie chce nam nic dać.

- Taa, to cholerni egoiści - rzekła Jenny, kręcąc głową z oburzeniem. - No dobra, powodzenia, stary. Mam nadzieję, że tobie się poszczęści lepiej ode mnie. - Zaczęła podnosić szybę.

- Zaczekaj, złotko - rzekł mężczyzna, kładąc dłoń na krawędzi szyby.

Przestała ją podnosić.

- Taa?

- Mogłabyś nam pomóc.

- Niby jak? Nie wpuścili mnie do środka, więc chyba spróbuję poszukać innego...

- Posłuchaj, złotko. Mogłabyś rozwalić całą tę frontową ścianę. To tylko pieprzony plastik. Kiedy byliśmy tu poprzednio, myśleliśmy, że to szkło, ale nie dało się go rozbić. Wszystko się od tego cholerstwa odbijało. - Mężczyzna wskazał ręką w stronę pawilonu. -

Mogłabyś wjechać ciężarówką w ścianę obok wejścia. Nie musiałabyś nawet mocno w nią przywalić - wystarczy wgiąć. Nie bój się, nie uszkodzisz ciężarówki...

Jenny udała, że się nad tym mocno zastanawia, podczas gdy mężczyzna wciąż trzymał dłoń na krawędzi szyby. Kilkanaście par oczu patrzyło na nią z nadzieją; gromada zwyczajnych, bardzo wystraszonych ludzi, jakże różnych od bandy żądnych krwi próżniaków, o których wspominał wcześniej pan Stewart. Może poprzednia grupa była skądinąd, a może to były dzieciaki z tego samego osiedla. Tak czy owak, ci ludzie tylko starali się przeżyć, podobnie jak garstka szczęśliwców w pawilonie, która pracowała na wieczornej zmianie, kiedy wybuchła panika i wszystko zaczęło się walić.

Jenny zastanawiała się, jakim prawem pan Stewart mógł decydować, z kim chce się podzielić, a z kim nie, i dlaczego wpuścił ją, Paula i Ruth do środka, a nie zamierzał udzielić pomocy tym ludziom tutaj.

Wszystko zależało od naszego wyglądu, zgadza się? Ruth w ciemnym kostiumie, ja ubrana elegancko na rozmowę kwalifikacyjną i Paul w drogim garniturze zrobiliśmy po prostu lepsze wrażenie. Nie mamy tatuaży, nie nosimy dresów, znaczy: nie powinniśmy sprawiać problemów.

Takie były kryteria selekcji, przynajmniej według pana Stewarta.

Ci mili, dobrze ubrani ludzie mogą wejść. Ale te walkonie z osiedla? Niech wyzdychają z głodu.

Jenny uniosła wzrok. Widziała kolejne osoby wyłaniające się spomiędzy drzew, nadchodzące od strony drogi i zbierające się w większych i mniejszych grupkach na parkingu. Gdyby na ziemi pojawiły się porozkładane na kawałkach brezentu drobiazgi i bibeloty, a z tyłu za nimi stał rząd fordów escortów, wyglądałoby to jak pokątne targowisko staroci.

- I co ty na to? - spytał mężczyzna.

Jenny zaczęła się nerwowo wiercić na fotelu. Ci ludzie zasługiwali, by otrzymać choć część tego, co znajdowało się na stacji, podobnie jak ci, którzy przebywali w środku. Ale było ich zbyt wielu, setka, może nawet więcej, i wciąż dołączali do nich następni. Mogła sobie wyobrazić narastającą eskalację tego małego oblężenia, kiedy wieści zaczną się rozchodzić do osiedli i miasteczek leżących w pobliżu tego niczym niewyróżniającego się odcinka autostrady w szczerym polu.

Może pan Stewart wpuścił nas, bo było nas tylko troje?

Jenny rozejrzała się dokoła. W ciągu paru najbliższych godzin parking mógł się zaroić od ludzi przywierających do przezroczystej ściany, tłukących w nią pięściami, błagających o wodę i żywność, a na widok osób w środku pijących herbatę i pałaszujących hamburgery z

rusztu ich frustracja mogła szybko przerodzić się w gniew i wściekłość.

A gdyby jeszcze znaleźli sposób, aby sforsować frontową ścianę?

Jenny pokręciła głową.

- Wybacz, stary. - Podkreśliła szybę i włożyła kluczyk do stacyjki.

- Ejże, ejże, złotko - zawołał przez szybę mężczyzna, a jego przyjacielskie nastawienie w rodzaju „przecież tkwimy w tym wszyscy razem” zmieniło się w wybuch agresji. - Prosiłem cię tylko o małą przysługę! - wrzasnął, przekrzykując gardłowy ochrypły ryk diesla na jałowym biegu.

Jenny nacisnęła pedał gazu, a ciężarówka zawarczała donośnie, wypuszczając z rur wydechowych kłęby czarnego dymu.

- Przepraszam! - zawołała błagalnym tonem i wrzuciła wsteczny, przez co tatuowanemu, który zawisł na klamce drzwiczek od strony kierowcy, omal nie wyrwało ramienia ze stawu. Zaczęła się oddalać od gromady ludzi zebranych przed pojazdem.

Ciężarówka podskoczyła jak oszalała, jej zawieszenie zakołysało się gwałtownie, gdy Jenny rozpaczliwie usiłowała wyczuć pedały Ludzie na parkingu w popłochu pierzchali przed nadjeżdżającym kolosem.

Domyśliła się, że ten manewr sprawił, iż nikt z tej gromady nie wierzy już w jej bajeczkę. Blef, jakoby ciężarówka należała do niej, spalił na panewce. Nie miała wątpliwości, że tatuowany był jednym z pierwszych, który to zrozumiał.

Teraz, gdy miała przed sobą pusty plac, zakręciła masywną kierownicą i skierowała się w stronę pawilonu. Niemal natychmiast pośród ryków silnika usłyszała radosny chór podnieconych głosów.

Myślą, że zamierzam staranować dla nich frontową ścianę.

Pawilon znajdował się o jakieś siedemdziesiąt pięć metrów przed nią. Sunęła powoli w jego stronę, nie mając pewności, do jakiego stopnia panuje nad maszyną - i jak szybko ten kolos się zatrzyma, kiedy naciśnie na hamulec. Ironią losu byłoby, gdyby przypadkiem faktycznie rozwalila przednią ścianę. Jenny musiała zaparkować maszynę równolegle do frontu pawilonu i tak blisko, jak to tylko możliwe.

Po przejechaniu kolejnych trzydziestu metrów ostro skręciła w prawo, na chwilę schodząc z kursu, zaraz jednak skontrowała kierownicą w lewo, na powrót kierując ciężarówkę w stronę wejścia i szerokim łukiem zawijając przed frontową ścianę pawilonu. Kilka sekund później koła pod szoferką wjechały na krawężnik otaczający klomb przed budynkiem, gdzie rósł jakiś nieduży, ale rozłożysty krzew, po czym staranowały niezbyt wymyślną drewnianą drabinkę dla dzieci i kilka piknikowych ławek, by w końcu zatrzymać

się na wąskim chodniku przed pawilonem.

Jenny zwolniła, ciężarówka jeszcze przez chwilę toczyła się naprzód, ciągnąc za sobą pustą naczepę - przesłaniając niemal całą frontową ścianę pawilonu. Wreszcie nacisnęła na hamulce, które zasyczały głośno jak wielki wąż. Otworzyła drzwiczki od strony kierowcy.

Uderzyły głucho o frontową ścianę pawilonu, zarysowując pleksyglas i uchyliły się tylko do połowy - nie było mowy, aby się przez nie przecisnęła.

No to pięknie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że parkując ciężarówkę przed budynkiem stacji, spisała się aż za dobrze.

Rozdział 60

godz. 18.11 czasu Greenwich
stacja benzynowa Beauford

Jenny odwróciła głowę przez ramię, by popatrzeć na parking przez okno od strony pasażera. Tamci szli w jej stronę, szybko, niektórzy nawet biegli. Czują, że wielu spośród nich było zakłopotanych, zastanawiali się, czy ciężarówka zdołała wybić dostatecznie dużą dziurę, a może sądzili, że wycofa kawałek i spróbuje raz jeszcze... lub wykona jakiś inny manewr. Tak czy owak, ludzie nadciągali, chcąc zobaczyć, co się stało.

Dotrą do niej za niespełna minutę, zapewne tatuowany będzie jednym z pierwszych i nieźle się wkurzy, gdy stwierdzi, że chodziło jej tylko o zablokowanie wejścia.

Uznała, że miałyby dość czasu, aby wyjść od strony pasażera, obiec ciężarówkę z przodu, wcisnąć się w wąski na niespełna metr prześwit między kabiną ciężarówki a frontową ścianą, a potem pozostało już tylko mieć nadzieję, że obrotowe drzwi, które nieznacznie wystawały na zewnątrz, nie zostały zablokowane przez pojazd.

Musisz unieruchomić ciężarówkę.

Cholera, musi to zrobić. Całkiem możliwe, że był wśród nich ktoś, kto potrafiłby uruchomić pojazd bez kluczyków.

Tłum się zbliżał. Wiele osób biegło, najwyraźniej sądząc, że zdołała przebić się do środka. Widziała kolejnych ludzi wyłaniających się spomiędzy drzew na końcu parkingu i idących w tę stronę. Zupełnie jakby ściągały ich tu odgłosy tam-tamów rozbrzmiewających na niesłyszalnej dla niej częstotliwości i przywołujących tu wszystkich spragnionych i wygłodzonych z obszaru wielu kilometrów.

Jezu... rusz się, dziewczyno!

Chwyciła blokadę leżącą na fotelu pasażera i zaczęła przy niej manipulować, zastanawiając się, jak zakłada się ją na kierownicę. Znow uniosła wzrok.

Tamci biegli w jej stronę, co sił w nogach... byli o czterdzieści, pięćdziesiąt metrów od niej. Na czele biegnących spostrzegła tatuowanego. A więc jednak się domyślił, że go oszukała i że była jedną z tych suk ze stacji... jedną z tych egoistycznych świi...

I zamierzał się na niej za to odegrać.

- O cholera! Szybciej!

Jenny miała wiele lat temu w swoim peugeocie drążek blokady - cienki i tak prostacko wykonany, że można go było sforsować przy odrobinie cierpliwości i z pomocą zwykłej dwupensówki. Ale tu blokada była masywna jak sztangielka z siłowni. W pewnej chwili dostrzegła na drążku karb, zapewne od tej strony zakładało się go na kierownicę. Kiedy tak zrobiła, wszystko poszło gładko. Przy wtórze głośniego metalicznego szczęknięcia blokada zatrzęsnęła się wokół kierownicy i rozsunęła automatycznie na pełną długość, uniemożliwiając wykonanie więcej niż pół obrotu kierownicą. Co prawda, ktoś wprawny mógłby po wielu złożonych manewrach w przód i w tył wyprowadzić ciężarówkę spod stacji, ale na to nic już nie mogła poradzić.

Przepelzła przez oba fotele, przeklinając spódnicę do pół łydek, która w pewnym momencie zaczepiła o drążek zmiany biegów, po czym pchnięciem otworzyła drzwiczki w chwili, gdy pierwsi mężczyźni - wśród nich tatuowany - zmniejszyli dzielący ich od niej dystans do kilkunastu metrów. Twarz tamtego była posępna, wroga, przepelniona gniewem - Jenny odniosła wrażenie, że rzuca pod jej adresem przekleństwa. Wiedziała, że gdyby ją dopadł, znalazłaby się w nie lada tarapatkach.

Zeskoczyła na ziemię, natychmiast opadła na czworaka i wpełzła pod ciężarówkę. Tak było najszybciej. Z tyłu słychać było tupot adidasów na asfalcie i zdyszany wściekły głos:

- Ty pieprzona suko!

Gdy zaczęła się podczołgiwać na brzuchu pod brudnym, cuchnącym od smarów podwoziem, poczuła nagle, jakby wokół jej kostki zacisnęły się szczęki metalowego imadła. Oglądając się za siebie, zobaczyła trzymającą jej nogę dłoń i widoczne dalej opalone muskularne przedramię. A potem spostrzegła także twarz; to był tatuowany.

- Cholerna zdziro! Jesteś od tych skurwieli ze stacji - warknął, szarpiąc ją mocno za nogę. Poczuła, że boleśnie szoruje brzuchem i piersiami po szorstkiej nawierzchni, gdy tamten bezceremonialnie zaczął wywlekać ją spod pojazdu.

- Nie! - krzyknęła. - Błagam!

Jenny oplotła przedramieniem wspornik z boku pod podwoziem i przytrzymała się go z całej siły. Mężczyzna ścisnął ją jeszcze mocniej za kostkę i szarpnął gwałtowniej niż dotychczas.

- Wyłaż stamtąd, szmato!

Jenny zauważyła wokół tatuowanego kolejne pary nóg. Czyjeś ręce schwyciły ją za goleń i zaczęły mocno szarpać, z każdym kolejnym pociągnięciem jej uchwyt wokół wspornika słabł coraz bardziej.

- Proszę, nie! - zawołała, lecz bez rezultatu.

Jeszcze jedno silne pociągnięcie i uchwyt Jenny wokół wspornika został przełamany. Rozpaczliwie próbowała schwycić się czegoś innego, ale bezskutecznie i po chwili, szorując po szorstkim asfalcie, została wywleczona spod ciężarówki.

A potem ich zobaczyła, jak nad nią stoją, po jednej stronie niski krępy mężczyzna, który wyglądał na starszego od niej o dziesięć lat, po drugiej zaś kobieta, zapewne w tym samym wieku co Jenny, platynowa blondynka z włosami związanymi w koński ogon i chudą, zaciętą, nienawistną twarzą.

- Takim cholernym samolubnym łajzom jak ty zawsze dobrze się powodzi, gdy dzieje się coś złego - mruknął tatuowany gniewnie.

- Ja... przepraszam - zaszlochała Jenny. - Ja chciałam tylko...

- Myślę, że chciałaś zrobić nas w konia. Kierowca ciężarówki, akurat.

Jenny spróbowała raz jeszcze.

- Ja tylko...

- Tak, wiemy, co właśnie zrobiłaś, złotko - rzekła kobieta. - Mam w domu trójkę rozwrzeszczanych bachorów i płaczące niemowlę i nie mogę zdobyć dla nich jedzenia. A ty, załgana zdiro, jeszcze pomagasz tym samolubnym ścierwom, aby zatrzymali to, co mają dla siebie.

O Boże, oni naprawdę zrobią mi krzywdę.

- Załatw tę szmatę, Tom - powiedziała platynowa blondynka. - Nie znoszę takich nadętych pind jak ona, co uważają się za lepsze od innych.

Tatuowany spojrzał na nią.

- Założę się, że takim jak ty dobrze się powodzi. Ludziom takim jak ty, którzy mają kupę szmalu na boku, aby zrobić zapasy żywności, dzięki czemu mogą przetrwać ciężkie czasy. Podczas gdy nas pozostawiono samym sobie, żebyśmy pozdychali z głodu.

- T-to zaledwie kilka dni - wymamrotała Jenny łamiącym się głosem. - N-nikt jeszcze n-nie umiera z głodu.

- Tak sądzisz? A jednak moje dzieci przymierają głodem! - wrzasnęła blondynka. - Tam, gdzie mieszkamy, nie ma nic, nic, kurwa! A nikt się nie zjawił, żeby nam pomóc.

Muszę coś zrobić, żeby nie przestali mówić.

- Zjawią się - odparła Jenny. - T-to tak jak w N-Nowym Orleanie. Pomoc nadejdzie. Zjawi się p-p-policja.

Kobieta nachyliła się i wymierzyła Jenny siarczysty policzek.

- Zamknij się! Stul dziób!

Tatuowany pokręcił głową.

- Żadna policja się, kurwa, nie zjawi! Są zbyt zajęci pilnowaniem ważniejszych miejsc. Zostaliśmy sami. I musimy sami o siebie zadbać.

Jenny otarła usta z krwi.

- Masz rację musimy współ...

Blondynka znów ją uderzyła.

- Morda w kubeł! - wrzasnęła. - Załatwmy ją. Pokażmy tym draniom w środku, że nie żartujemy.

Tatuowany spojrzał na nadchodzących ze wszystkich stron ludzi. Ze dwadzieścia, trzydzieści osób zebrało się wokół Jenny i patrzyło na nią; przez cały czas zjawiali się kolejni. Widziała, że byli emocjonalnie rozchwiani - przerażeni, głodni i spragnieni - desperacko szukali kogoś, kto obejmie przywództwo i ich poprowadzi. Kto wskaże im drogę. Niektórzy z nich pragnęli jedynie drobnej części tego, co znajdowało się na stacji. Wcale nie chcieli uciekać się do przemocy - wystarczyłoby, żeby obsługa stacji zechciała się z nimi podzielić na uczciwych warunkach.

Ale byli też tacy, którzy chcieli rozerwać ją na strzępy.

Wiedziała, że to właśnie ci ostatni robili najwięcej szumu, utajeni socjopaci, ci, którzy najgłośniej i najdłużej nawoływali do linczu, kiedy któryś z brukowców publikował artykuły o schwytaniu jakiegoś pedofila, imigranta, który zdefraudował pieniądze z funduszu dobroczynnego, albo gdy którejs z znanych gwiazd nagle powinęła się noga.

Łowcy czarownic.

- Przeciagniemy ją w miejsce, gdzie tamci w środku będą ją mogli zobaczyć. A potem ją załatwimy! - rzuciła platynowa blondynka.

Z tłumu rozległy się okrzyki aprobaty

Być może tatuowany nie zamierzał posunąć się tak daleko, ale Jenny zauważyła, jak przypatrywał się tłumowi; blondynka tymczasem nawoływała do linczu, a tłum najwyraźniej zwietrzył krew.

- Dobra! - zawołał, przekrzykując hałas. - Załatwimy ją w takim miejscu, żeby tamci to zobaczyli!

Spostrzegła błysk metalu - w czyjeś dłoni pojawił się scyzoryk.

Błagam, nie.

Jenny poczuła lodowate ciarki i nagle jej pęcherz nie wytrzymał. Zamknęła oczy zawstydzona.

Usłyszała głos jakiegoś nastolatka.

- Hej! Zobaczcie! Złała się!

A potem poczuła na swoim ciele dłonie, na ramionach, udach i tam, gdzie nie powinni jej dotykać... te ręce bezceremonialnie podźwignęły ją z ziemi.

Strach przed nożem, który zobaczyła, odegnał od niej wszystkie inne myśli prócz jednej.

Nie zabijajcie mnie, nie zabijajcie mnie, nie zabijajcie...

Rozdział 61

godz. 18.15 czasu Greenwich
stacja benzynowa Beauford

- Przestańcie natychmiast!

Donośny głos.

- Co wy, u licha ciężkiego, wyprawiacie?

Ten mocny, pewny siebie głos sprawił, że okrzyki i aplauz tłumu ucichły, jak nożem uciął. Tatuowany, platynowa blondynka i kilkanaście innych osób, które wlokły Jenny, zatrzymały się. Nie porzuciły tego, co zamierzali zrobić, ale na chwilę się zawahały

- Co się tu dzieje, do cholery?

To był głos Ruth, Jenny od razu rozpoznała jej birminghamski akcent. Mocny, dźwięczny, konkretny głos.

- Czy tak się zachowują dorośli ludzie? - ciągnęła Ruth jak nauczycielka strofująca gromadę niesfornych nastolatków.

Jenny poczuła, że uścisk niektórych trzymających ją rąk słabnie. Położono ją na ziemi. Uniosła wzrok, by przez zmrużone lekko powieki spojrzeć na zachodzące słońce widoczne na horyzoncie. Ruth stała z przodu przy ciężarówce, na lekko rozstawionych nogach, trzymając ręce za plecami. W ciemnym kostiumie wyglądała jak policjantka albo może strażniczka więzienna.

- Właśnie tak, połóżcie ją na ziemi! - warknęła ponownie, tym razem nie tak donośnie, tłum bowiem całkiem się uciszył.

- Co wam przyszło w ogóle do głowy?

Tatuowany jako pierwszy odzyskał głos.

- Ta pieprzona dziwka jest od tamtych ze stacji!

Czy oni uważają, że Ruth jest jedną z nich?

Może w całym tym zamieszaniu nie zauważyli, jak wyszła z za ciężarówki. Jenny odnalazła jej spojrzenie, a Ruth prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

Ona też się zorientowała.

- Naprawdę? No może i tak, ale to nie znaczy, że tak macie z nią postępować! To oburzające. Przecież nie jesteście bandą szurniętych dzikusów, zgadza się?

Karcąca postawa Ruth jak na razie okazywała się skuteczna. Może instynktownie udało się jej dotrzeć do wewnętrznego ducha obecnego w każdym z nich. Rozjuszony tłum wyglądał teraz jak grupka rozrabiających trzynastolatków, którzy znaleźli się na dywaniku u wicedyrektora.

- Ale te sukinsyny ze stacji mają całą górę jedzenia, a my jesteśmy głodni! - odparła platynowa blondynka, wciąż trzymając rękę Jenny w silnym, bolesnym uścisku.

- I chce nam się pić. Nie ma bieżącej wody - zawołał ktoś z tłumu.

Ruth zrobiła niepewnie kilka kroków w stronę Jenny.

- Cóż, może i tak. Pomówię z nimi - oznajmiła. - Spróbuję przemówić im do rozsądku. Ale teraz już puść tę biedną dziewczynę i pozwól jej odejść. - Spojrzała na platynową blondynkę. - Nie rób scen.

Nastroje w tłumie wokół Jenny były niepewne, chwiejne. Czują, że bardziej niż o wodę i żywność chodziło o przywództwo, o to, by ktoś nimi pokierował, a ta masywna kobieta o głosie jak ryk syreny mgielnej i zdroworozsądkowym podejściu do sytuacji zdawała się wypełniać tę pustkę.

O Boże... ona mnie z tego wyciągnie!

Tatuowany puścił rękę Jenny.

Platynowa blondynka wciąż jednak obejmowała swoją kościstą dłonią ramię Jenny, długie paznokcie boleśnie wpijały się w jej skórę.

Ruth skierowała srogie, niewzruszone spojrzenie wyłącznie na blondynkę.

- Posłuchaj, złotko - rzekła Ruth, postąpiwszy kilka kroków naprzód, i zatrzymała się o metr od niej, przeszywając gniewnym, karcącym spojrzeniem chudą jak tyka kobietę. Korpulentna sylwetka Ruth, jej konkretny wzrost i ciemny kostium, wszystkie te subtelne szczegóły przechyliły szalę tego pojedynku charakterów na jej korzyść.

- Porozmawiam z nimi, jak tylko ją puścisz. Na miłość boską, jesteśmy Brytyjczykami! Nie możemy zachowywać się jak banda dzikusów z Trzeciego Świata. Rozumiesz, złotko?

Ruth postąpiła jeszcze krok naprzód i wyciągnęła jedną rękę do Jenny, drugą zaś wciąż trzymała za plecami.

Blondynka przyjrzała się jej podejrzliwie, zaciskając palce na ramieniu Jenny.

- Taa? A niby jak zamierzasz zmusić ich, by podzielili się z nami jedzeniem. Hę? Poza tym od kiedy ty tu dowodzisz?

Oblicze Ruth sposepniało, wydeła wargi i lekko przymrużyła powieki.

- Naprawdę, złotko, wolałabyś ze mną nie zadzierać, słowo daję. Takie wywłoki jak ty zjadam na śniadanie.

O Boże - pomyślała Jenny, czując się już prawie wolna i bezpieczna - *ona jest naprawdę przerażająca.*

Blondynka przez chwilę w milczeniu przyglądała się Ruth.

- Czekaj no, ty nie jesteś z naszego osiedla. Znam tam wszystkich z widzenia. A ciebie widzę po raz pierwszy

Jenny zerknęła na Ruth.

Zostałaś zdemaskowana.

- I co z tego? Pochodzę z Burnside, najtwardszej dzielnicy Birmingham. Żadna kurewska różnica, prawda?

Jenny to usłyszała. A więc usłyszeli to wszyscy inni - lekkie drżenie w głosie Ruth.

Blondynka uśmiechnęła się, widząc, że znów ma przewagę.

- Jesteś z tymi fajfusami ze stacji, zgadza się? - Odwróciła się do tłumu. - Ona nie jest od nas, nie pochodzi z naszego osiedla!

Zapanowała chwila niepewności. Najwyraźniej woleliby Ruth na swoją przywódczynię, ale zgodnie z niepisaną umową pojęcie plemienia ograniczało się do terenów ich osiedla. Musieli trzymać się razem, bo nic nie wskazywało na to, aby ktoś miał się zjawić i udzielić im pomocy. Kiedy wszystko bierze w łeb, trzymasz się ze swoimi.

Ruth wykorzystała ten moment.

Z zadziwiającą jak na jej gabaryty szybkością wyciągnęła drugą rękę przed siebie i zatrzymała centymetry od twarzy blondynki. Jenny zauważyła już wcześniej, że Ruth trzyma w ręku coś małego i niebieskiego, jakiś pojemnik.

Rozległ się syk, z pojemnika popłynęła strużka jakiejś substancji, trafiając blondynkę w twarz.

Blondynka zawyła przeraźliwie i osunęła się na ziemię, przytykając obie ręce do oczu. Ruth gwałtownie pociągnęła Jenny do siebie.

- Uciekaj! - krzyknęła, wskazując w stronę ciężarówki. - Przeciśniesz się tamtędy!

Jenny, chwielejąc się na nogach, minęła Ruth i pobiegła dalej.

Ruth jeszcze przez chwilę nie ruszyła się z miejsca, trzymając pojemnik w uniesionej ręce.

- To gaz! Spróbujcie podejść bliżej, a wypalę wam oczy! - warknęła do stojącej naprzeciw niej gromady ludzi.

Kiedy Jenny ominęła przód ciężarówki, dostrzegła wąski prześwit między pojazdem a przeszkloną ścianą pawilonu. Obejrzała się przez ramię na Ruth, która cofała się teraz krok po kroku, trzymając przed sobą pojemnik z gazem jak pistolet.

Kilka osób dotrzymało jej kroku, powoli zachodząc ją z obu stron. Jenny zorientowała się, że chcieli odciąć Ruth drogę ucieczki. Powinna odwrócić się i pobiec za Jenny co sił w nogach.

- Ruth! - zawołała. - Pospiesz się!

- Idę! - odkrzyknęła Ruth, nie odważając się oderwać wzroku od ludzi na wprost niej. Zrobiła jeszcze kilka kroków do tyłu, po czym zaczęła się odwracać.

I nagle coś przeleciało w powietrzu w jej stronę, cegła lub kawałek płyty chodnikowej... trafiając w tył głowy i powalając na ziemię.

- Ruth! - krzyknęła Jenny.

Tłum niemal natychmiast rzucił się na leżącą i zanim przesłonił nieruchome ciało, Jenny zobaczyła, jak platinowa blondynka uklękła przy Ruth ze łzami ciekącymi z przekrwionych oczu i uderzała ją raz po raz w twarz zaciśniętą w pięść kościstą dłonią.

- O Boże! - wyszeptała, stając jak wrośnięta w ziemię.

- Jenny! Na miłość boską, wejdź do środka! - zasyczał Paul, stając w prześwicie między ciężarówką a pawilonem.

- Musimy jej pomóc! Oni ją zabijają!

Znów się odwróciła, by spojrzeć na tłum. Było tam wiele osób, które nie chciały uczestniczyć w tym, co się działo, niektórzy nawet rozpaczliwie starali się odciągnąć innych od Ruth.

- Włącz do środka! - Paul schwycił ją za ramię i wciągnął do wąskiego przejścia. - Nic już nie możemy zrobić dla Ruth.

Podprowadził ją do obrotowych drzwi, wepchnął do jednego z segmentów i oparł się z całej siły o plastikowy panel, aby go przesunąć; w pewnej chwili obejrzał się przez ramię ze strachem, kiedy drzwi zaczęły się powoli obracać. Przy braku zasilania obrót masywnych drzwi wymagał sporego wysiłku.

Jenny wyszła z segmentu do foyer, gdzie było gorąco jak w cieplarni, i w tej samej chwili do sąsiedniego segmentu wśliznął się Paul. Ujrzała pierwsze osoby z tłumu przeciskające się obok ciężarówki i wzdłuż ściany pawilonu w kierunku drzwi, tłukące pięściami w gruby plastik, aby zastraszyć znajdujące się wewnątrz stacji osoby.

- No dalej, Paul! - krzyknęła, chwytając za krawędź obracającego się wolno panelu. Naparła na niego całym ciałem i drzwi zaczęły się obracać nieco szybciej.

Paul wszedł do sali w chwili, gdy jeden z tamtych wskoczył do otwartego segmentu. Błyskawicznie sięgnął po stojące obok krzesło i wcisnął je w zmniejszającą się szczelinę. Drzwi zadygotały i przez grube szkło usłyszeli gniewne okrzyki tych, którzy znajdowali się

na zewnątrz.

Wewnątrz zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Pracownicy pana Stewarta, choć nadal nie rozumieli, co krzyczeli do nich ludzie za szybą, domyślali się ich intencji, wpatrując się w pełnym trwogi milczeniu w blade, wykrzywione wściekłością, złowrogie twarze. Jedna z pracownic pana Stewarta, starsza czarnoskóra Nigeryjka, zaczęła płakać, powtarzając coś pod nosem.

Słowa modlitwy?

Jenny poczuła, że krew zastyga jej w żyłach.

- Oni ją zabili - wyszeptała do siebie. - Zabili Ruth.

A my będziemy następni.

Rozdział 62

godz. 21.51 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Gdyby to był zwyczajny wieczór jak, dajmy na to, w zeszłym roku o tej samej porze, zapewne siedzieliby jeszcze w małym ogródku za domem. Tato robiłby kebab z grilla, a mama przygotowywałaby sałatkę i kroїła chleb. Pewnie zaprosiliby sąsiadów z naprzeciwka, państwa DiMarciów, tych, którzy zawsze umieli rozśmieszyć mamę. Tato trzymałby się trochę z boku, bo nie przepadał za znajomymi mamy.

Tak czy owak, w równie ciepły czerwcowy wieczór jak dziś byliby w ogrodzie za domem i rozkoszowaliby się miłymi chwilami, popijając sangrię.

Tymczasem była uwięziona w obcym domu, w nieznanym otoczeniu i patrzyła, jak gaśnie blask kolejnego ciepłego letniego wieczoru.

Leona wyjrzała przez okno od frontu - opuściła żaluzje, żeby nie było jej widać. Zauważyła, że firanka w jednym z okien domu DiMarciów także się poruszyła. A więc wciąż musieli tam być. Ukrywali się jak ona i Jake, mając nadzieję, że nic w wyglądzie ich schronienia nie zwróci tej nocy uwagi młodocianego gangu.

Ubiegła noc była naprawdę przerażająca, słyszała, jak włamywali się do czyjegoś domu, jakieś trzydzieści metrów dalej w głąb St Stephen's Avenue. Mieszały się głosy - radosne okrzyki, wołania, śmiech. Leona była gotowa przysiąc, że wśród tej kakofonii z głębi domu doszedł ją czyjś wrzask.

Wolałaby tego nie słyszeć.

- Czy źli chłopcy wrócili? - spytał z niepokojem Jacob, unosząc wzrok znad rozłożonej na podłodze salonu talii kart.

- Jeszcze nie, Jake. Nie zjawią się, dopóki nie zrobi się całkiem ciemno.

Jacob skinął głową. Było nadal tak jasno, że można było odczytać cyfry na kartach Yu-Gi-Oh, a póki nie zrobiło się ciemno, byli bezpieczni.

Chłopiec chciał, żeby Dan już wrócił. Leona powiedziała, że postanowił wrócić do domu i zaopiekować się mamą. Jake wiedział, że kłamała. Nie umiała kłamać jak większość dziewcząt... Płatała się wtedy wśród bezradnych westchnień i pomruków. Jake tymczasem potrafił wciskać kit przez cały dzień na okrągło i to bez mrugnienia okiem.

Dan nie pojechał, by zająć się mamą.

Porzucił Leonę. Tak przynajmniej uważał Jake. Właśnie dlatego dziś płakała, kiedy myślała, że jej nie widzi.

Gdy zostawił ją ostatni chłopak, Steve, Jake stroił sobie z niej żarty. I tak nie lubił tego Steve'a. Wciąż tylko przeglądał się w lustrze, we wszystkim, w czym mógł zobaczyć swoje odbicie, i poprawiał fryzurę. A kiedy któregoś razu dał się namówić na zabawę z Jakobem - podczas gdy Leona robiła dziewczynskie rzeczy w łazience - tylko udawał, że się z nim bawi... chciał zaimponować Leonie i dobrze wypaść przed mamą i tatą.

Dan natomiast był całkiem fajny. Dan umiał się bawić. Brakowało mu Dana.

Leonie również.

Poza tym przy nim czuł się bezpieczniej. Podejrzewał, że źli chłopcy bali się Dana i dlatego trzymali się z daleka, dlatego pozostawali na ulicy. Ale teraz, kiedy go zabrakło, źli chłopcy mogli przestać się bać.

Zastanawiał się, czy Dan postanowił przystać do złych chłopców i rozrabiać na ulicy do późna w nocy. Może znudziło go siedzenie w salonie, jedzenie tych obrzydliwych sardynek z kleistym keczupem, który wcale nie smakował jak normalny keczup, i granie z nim w Yu-Gi-Oh?

Pewnie tak.

Spojrzał w okno. Niebo ciemniało. Niedługo się zjawią. Przyjdą, aby się zabawić po swojemu.

- Lee?

Leona drgnęła, opuściła żaluzje i odwróciła się do niego, pospiesznie ocierając policzek.

- Tak, Jake?

- Czy mogę dziś spać z tobą?

- Ja zostanę tu, na dole. Nie będę spać na górze.

- A ja też mogę zostać z tobą na dole?

Pomyślała przez chwilę.

- Dobrze, przynieś swój koc i poduszkę, to będziesz mógł przespać się na sofie.

Jacob podniósł się i ruszył w stronę schodów, gdy nagle o czymś sobie przypomniał. Podeszedł i dość niezdarnie cmoknął Leonę w policzek. Był wilgotny... wciąż potajemnie płakała.

- Nieważne - powiedział, mając nadzieję, że to właściwe słowo. - Założę się, że niedługo znajdziesz sobie innego chłopaka.

Odwróciła się do okna.

- Bądź grzeczny i przynieś tu swoje rzeczy.

Jacob szybko wbiegł po schodach na górę. Było tu trochę za ciemno jak dla niego, czym prędzej zgarnął więc koc i poduszkę z łóżka, które stało najbliżej. Gdy zszedł do salonu, zobaczył, że Leona patrzy na niego, przykładając palec do ust. Wyraz smutku rozlewający się na jej twarzy jak czekolada na ekierce zniknął.

Wyglądała na przerażoną.

- Ciii, oni wrócili - wyszeptła.

Jacob cicho, na paluszkach zbliżył się do niej, upuścił koc i poduszkę na podłogę, po czym stanął obok siostry przy oknie. Dokładnie naprzeciw ich domu stał samochód, blask reflektorów rozświetlał ulicę, drzwiczki były otwarte, z wnętrza płynęła hałaśliwa muzyka. W aucie coś się poruszyło.

Żli chłopcy wrócili.

Rozdział 63

godz. 23.43 czasu Greenwich
stacja benzynowa Beauford

Ciężarówka zaparkowana tuż przed wejściem do pawilonu przesłaniała widok na to, co działo się na zewnątrz. Ale stając po prawej stronie, Jenny mogła zobaczyć fragment placu przez prześwit z przodu ciężarówki. Pośrodku parkingu rozpalono ognisko. Tamci pozbierali różne śmieci i podpalili. A teraz ognisko buzowało w najlepsze. Cały parking ogarniała ciepła bursztynowa poświata.

Jenny patrzyła na ognisko i zebranych wokół niego ludzi. Wyglądało na to, że w ciągu ostatnich kilku godzin...

...kiedy omal nie zatłukli mnie na śmierć... i zabili Ruth...

...liczba osób na placu się podwoiła. Musiało ich być tam ze dwustu albo i więcej.

Ruth.

Prawie jej nie znała. Rozmawiały trochę rano, a wczoraj szły razem wzdłuż szosy, ale w sumie mało o niej wiedziała. Być może dowiedziała się więcej tuż przed jej śmiercią, kiedy Ruth zdołała utrzymać cały tłum na dystans, posługując się wyłącznie siłą swojej osobowości.

Zapewne nie należała do tych osób, z którymi Jenny zwykle się przyjaźniła w normalnych czasach. Teraz jednak Jenny była gotowa poświęcić wszystkich swoich dawanych przyjaciół, aby tylko u jej boku znalazł się teraz ktoś równie wyszczekany, zuchwały i odważny jak Ruth.

Zlustrowała wzrokiem dantejską scenę na wprost niej. Wyglądało to jak sabat satanistów. W głębi duszy spodziewała się ujrzeć zakapturzone postacie w długich szatach, mamroczące tajemne inkantacje, i dziewicę zawieszoną na odwróconym krzyżu ponad ogniskiem.

Oczywiście to tańczące płomienie ogniska przydawały całej scenie złowrogiego charakteru. Upomniała się w myślach, że to byli przecież zwykli ludzie - sfrustrowani i wygłodniali, ale jednak zwykli ludzie.

Przyjrzała się pracownikom pana Stewarta. Widziała, że są przerażeni; patrzyli na wydarzenia rozgrywające się na zewnątrz, mamrocząc coś pod nosem po polsku, rumuńsku, kantońsku, i uświadomiła sobie, że dla nich - nierozumiejących, co się właściwie stało w ciągu paru ostatnich dni, i świadomych swojej obcości - to wszystko musiało być o wiele

bardziej przerażające.

Paul podszedł i stanął obok niej.

- Nie wygląda to dobrze - powiedział - kiedy tłum rozpala ogniska, ani chybi niedługo potem podpalane są domy.

- Raczej nie podłożą tu ognia, prawda? To zniszczyłoby zapasy żywności i wody, o które im przecież chodzi.

- Nie wiem. Może są zbyt wkurzeni, aby się tym przejmować. A może z pragnienia zaczęło im już odbijać.

Tak, muszą tam konać z pragnienia, to pewne.

Od poniedziałku przez kolejne dni było dość gorąco, wręcz upalnie. A teraz nawet w kranach zabrakło bieżącej wody. Zwróciła na to uwagę po południu, kiedy chciała spuścić wodę w toalecie. Tamci na zewnątrz musieli być bardzo spragnieni, lecz co mieli pić, jeśli nie było bieżącej wody, a nie mieli zapasów napojów w puszkach ani wody mineralnej? W pobliżu nie zauważyła żadnych rzek ani zbiorników wodnych. Poza tym, biorąc pod uwagę obecny stan rzek, gęstych od piany i z pływającymi w nich kondomami, musiałbyś być naprawdę zdesperowany, aby w ten sposób zaspokoić pragnienie.

Tymczasem wewnątrz pawilonu znajdował się zapas schłodzonej wody mineralnej, setki ociekających kropelkami rosy puszek pepsi i fanty, kartony soków owocowych, a nawet lody.

- Taa - rzekł półgłosem Paul - pragnienie skłania ludzi do szalonych rzeczy.

Jenny spojrzała na niego - wolała, aby tego nie mówił. Znowu obejrzała się przez ramię na tłum zgromadzony wokół ogniska i nagle zauważyła, że ktoś tam na zewnątrz stał na jakimś podwyższeniu i mówił coś do nich. Widziała, jak ten ktoś krzyczy i gestykułuje. Choć nie słyszała słów, domyślała się, jak mogły brzmieć.

Wychwyciła jedynie podniesiony głos napływający do niej od strony zatłoczonego parkingu. Ten jedyny w swoim rodzaju, piskliwy, pozbawiony odrobiny humoru ton - to była ta platynowa blondynka. Ta chuda suka o zaciętej twarzy, w kamizelce i spodniach, zdzira z długimi paznokciami i wąskimi ustami, które rozchylają się, ukazując zaciśnięte zęby.

Platynowa blondynka najwyraźniej zyskała spore poparcie ze strony tamtych. Niedobrze. Była pewna, że wiele z tych osób chciało po prostu wdrzeć się tu, zgarnąć tyle jedzenia i wody, ile się da, i wrócić do swoich domów. Ale ta blondynka zamierzała ukarać kogoś dla przykładu.

Zapewne mnie.

- Wejdą tu jeszcze dziś. Prawda?

Paul zlustrował wzrokiem tłum.

- Taa. Chyba nie zadowolą się obrzucaniem pawilonu cegłami i kamieniami. Muszą się tu dziś dostać... są coraz bardziej zdesperowani.

- A gdybyśmy wydali im trochę wody?

Na jego ustach wykwitł drwiący uśmiech.

- Tak, jestem pewien, że to by ich zadowoliło. I raz-dwa popędziliby z powrotem do domów.

Jenny zignorowała tę sarkastyczną uwagę.

- To co proponujesz?

Obejrzał się ukradkiem przez ramię, zanim odpowiedział.

- Proponuję, żebyśmy zmyli się stąd, zanim zrobi się gorąco. Czyli jak najszybciej.

Zerknęła na przerażony personel zebrany w foyer i niemal szeptem rozmawiający między sobą. Pan Stewart parę godzin wcześniej zniknął w swoim gabinecie. Od tamtej pory go nie widziała.

- Co takiego? Nie możemy ich zostawić. Spójrz, w jakim są stanie.

- I co z tego? Ani ty, ani ja nie jesteśmy za nich odpowiedzialni. Chcę wrócić do domu i nie mam szczególnej ochoty mieszać się w cały ten bajzel.

- To ty chciałeś tu zostać!

- Owszem. Pomyliłem się. Tak bywa. Wkrótce zrobi się tu gorąco i radziłbym wymknąć się stąd, póki mamy jeszcze okazję.

- Mamy ich tu tak zostawić? - Skinęła głową w stronę personelu.

- Może to zabrzmi okrutnie, ale tak.

Jenny pokręciła głową.

- Przypuszczam, że w normalnym życiu byłeś cholernym egoistą, mam rację?

Wzruszył ramionami.

- Możesz mnie nazywać egoistą, ale nie chcę zostać zlinczowany przez rozjuszony tłum, jasne? - rzucił. - Wiem tylko, że nie możemy przyjąć na siebie odpowiedzialności za tych wszystkich biedaków. Sami muszą o siebie zadbać. A my musimy myśleć przede wszystkim o sobie. Takie czasy nastały, niestety. Kogo wolisz ratować? Tych obcych ci ludzi, których poznałaś pięć minut temu? Czy swoją rodzinę?

Jenny patrzyła na platynową blondynkę, która przemawiała do tłumu zebranego wokół płonącego samochodu.

- Wszystko rozpadło się tak szybko. Zaledwie w kilka dni. - Wskazała tłum na zewnątrz. - I spójrz, co się z nami stało.

Paul pokiwał głową, obserwując rozjuszoną tłuszcę na parkingu.

- Wydaje mi się, że kiedy upadają prawa, niezależnie od tego, w jakim kraju żyjesz, wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Wewnętrznie jesteśmy tacy sami. Wystarczy, że zacznie nam brakować jedzenia, wody lub energii elektrycznej i nieuchronnie zaczynamy cofać się w rozwoju i stajemy się jaskiniowcami.

Na zewnątrz coś zaczęło się dziać. Platynowa blondynka skończyła przemawiać, zeszła ze skrzynki i wtopiła się w tłum.

- Cholera, myślę, że teraz zechcą zrealizować to, co zaplanowali - mruknął Paul. - Trzeba znaleźć jakieś wyjście stąd.

Na myśl o tym, że ta kobieta mogłaby się wdrzeć do środka i odnaleźć ją, Jenny poczuła na plecach lodowate ciarki. Paul miał rację, musieli stąd wiać, i to szybko. Poczucie winy, wewnętrzne refleksje i wyrzuty sumienia przyjdą później, w swoim czasie.

- Znaleźć stąd wyjście? Ale jak? Gdzie?

Odwrócił się od pleksiglasowej ściany, kierując wzrok w głąb słabo oświetlonego pawilonu. Generator awaryjny wciąż działał, obsługując chłodziarki i kilka wątlých lamp znajdujących się w dalszej części budynku.

- Podejrzewam, że na tyłach powinno się znajdować wejście dla dostawców.

Tłum na zewnątrz zaczął się zbliżać. Jenny zauważyła, że niektórzy z nich trzymali w rękach plastikowe pojemniki, wiadra i butelki. Cofnęła się od pleksiglasowej ściany, gdy tamci obeszlili ciężarówkę z przodu i zaczęli się przeciskać w szczelinę między pojazdem a ścianą, gniewnie pokrzykując i idąc w stronę zablokowanych obrotowych drzwi. Pierwsza osoba, która tam dotarła, trzymała w dłoniach dwulitrową plastikową butelkę. Pomiędzy framugą obrotowych drzwi a jednym z paneli widniała kilkucentymetrowa szpara. Mężczyzna wsunął rękę do otworu i opróżnił zawartość butelki na podłogę, wewnątrz obrotowych drzwi.

W powietrzu natychmiast rozeszła się charakterystyczna woń.

- Benzyna! - rzekł Paul. - Chcą ogniem utorować sobie drogę do wewnątrz. Te drzwi długo nie wytrzymają. Stopią się od ognia. Przestańmy się obijać i spadajmy stąd.

Jenny raz jeszcze spojrzała na przerażony, zбитy w zwartą grupkę personel. Paul chwycił ją za ramię.

- Nie! - rzekł półgłosem. - Jeżeli powiesz im, że chcemy opuścić budynek tylnym wyjściem, wszyscy natychmiast podążą za nami. A kiedy ci na zewnątrz to zobaczą, zaraz się zorientują, co jest grane.

Ruszył w stronę zaplecza pawilonu, ciągnąc ją stanowczo za rękę.

- No chodź.

Poszła za nim z pewnym wahaniem, raz po raz oglądając się przez ramię w stronę drzwi.

Kolejnych kilka osób z tłumu włożyło rękę w szparę pomiędzy panelami, wylewając zawartość przyniesionych butelek na podłogę między segmentami obrotowych drzwi. Woń benzyny przybrała na sile.

I wtedy spostrzegła platynową blondynkę stojącą przed ciężarówką i trzymającą w dłoni płonący patyk. Zaglądała do środka przez naruszoną pleksiglasową ścianę, nieomal przytykając do niej twarz.

Szuka mnie.

Jenny poczuła, że ogarnia ją jeszcze większe przerażenie. Z jakiegoś powodu ta kobieta skupiła całą swoją nienawiść akurat na niej, jakby uosabiała sobą rozpaczliwą sytuację, w jakiej wszyscy się znaleźli.

Naprawdę nie chciałabym, aby mnie dopadła..

Odwróciła się do Paula.

- Dobrze, już dobrze. Zabierajmy się stąd.

Rozdział 64

godz. 23.46 czasu Greenwich
stacja benzynowa Beauford

Paul poprowadził ją na słabo oświetlone zaplecze pawilonu, mijając salon gier i zamknięte drzwi gabinetu pana Stewarta. Zastanawiała się, co tam robił. Tego personel, złożony głównie ze starszych kobiet, zdezorientowanych i przerażonych, potrzebował, aby był teraz wśród nich, a nie ukrywał się.

Przed nimi znajdował się rząd drzwi. Troje z nich prowadziło do toalet, na czwartych widniała tabliczka z napisem „Wejście służbowe”.

Paul pchnął drzwi, za którymi ciągnął się wąski korytarz oświetlony jedynie czerwoną żarówką zwieszającą się z obsady w suficie. Korytarz miał zaledwie metr szerokości i był zastawiony skrzynkami oraz pudłami wznoszącymi się pod ścianą po prawej; były to zapasy dla sklepu oraz rzeczy, które zwykle widuje się w takich miejscach, jak stacja benzynowa. Nie żywność, ma się rozumieć, ale masa bądziwia wciskanego podróżnym, jak zestawy płyt z muzyką rockową (po 48 sztuk w paczce), pamiątkowe kubki albo laleczki kiwające głowami (po 24 sztuki).

Paul przeszedł w głąb korytarza, przeciskając się z pewnym trudem między pudłami.

- Jeżeli tu trzymają dostawy, mogę się domyślać, że wejście dla dostawców musi być gdzieś niedaleko.

Jenny przystanąła obok stosu pudeł: woda Evian (36 litrowych butelek w paczce). Rozerwała pudło od góry i wyjęła sześć butelek. Na dźwięk rozrywanego kartonu Paul przystanął i obejrzał się.

- Tak, może to dobry pomysł.

Pomaszerował dalej. Jenny, dźwigając naręcze butelek, pospieszyła za nim.

- No i jesteśmy - rzekł, wskazując ręką. - To chyba wejście dla dostawców.

Korytarz kończył się sięgającymi od podłogi po sufit, szerokimi na ponad metr drzwiami z blachy falistej, które, jak wszystko na to wskazywało, były przesuwane od lewej do prawej. I zamknięte na kłódkę.

- No i pięknie. Zamknięte - mruknęła.

- Nic nie szkodzi - odparł Paul, wyciągając pęk kluczy z kieszeni spodni. - Zwinąłem je

wcześniej z biurka w gabinecie pana Stewarta.

- A on niczego nie zauważył?

- Nie bardzo. Był pijany w trupa po tym, jak wytrąbił całą butelkę brandy.

Paul zaczął gmerać wśród kluczy, żaden z nich nie był opisany ani oznakowany.

Jenny pociągnęła nosem.

- O cholera! Czujesz?

Paul przerwał i wziął głęboki wdech.

- Palony plastik?

- Tak. Zaczęli forsować frontowe drzwi. Lepiej się pospiesz.

- Robię, co mogę - odparł, próbując włożyć kolejny klucz do kłódki.

Jenny odwróciła się i zajrzała w głąb wąskiego, słabo oświetlonego przejścia, wsłuchując się z uwagą w dobiegające stamtąd stłumione odgłosy. Usłyszała, jak w głównej sali pawilonu ktoś błagalnym głosem, łamaną angielszczyzną albo w swoim języku prosi, aby nie robić mu krzywdy. Głosy były przenikliwe, ochryple, przepełnione strachem. Pośród tego szlochu i błagania słyszała nieco odleglejsze złowrogie okrzyki i drwiący śmiech ludzi próbujących wedrzeć się do środka.

- No dalej, który to z was, do cholery? - Paul zasyczał z frustracją, manipulując przy kluczach.

W pewnej chwili coś przyszło Jenny do głowy

- A jeśli czekają na nas na zewnątrz, przed drzwiami?

Paul znieruchomiał na chwilę.

- Chrzanić to, nie mam pojęcia. Przypuszczalnie w ogóle o tym nie pomyśleli. Musimy mieć nadzieję, że wszyscy zebrali się od frontu.

Jenny z powątpiewaniem pokiwała głową, ale nie była to uspokajająca odpowiedź, na jaką liczyła.

Woń palonego plastiku zintensyfikowała się, słychać też było dudnienie, jakby ktoś kopał w panele drzwi, sprawdzając, czy pleksiglas zmięknął na tyle, aby ustąpić pod wpływem brutalnej siły.

- Chryste, pospiesz się! - zawołała.

- Szybciej już się nie da.

Usłyszała brzęk kluczy i tym razem, po chwili usilnego manipulowania przez Paula kluczem w zamku, rozległ się metaliczny szczęk.

- Udało się! Znalazłem!

Zdjął kłódkę i odrzucił na bok, po czym sięgnął w stronę klamki przy przesuwanych

drzwiach dla dostawców.

- Tylko otwórz je cicho - wyszeptała.

Paul pokiwał głową i delikatnie pociągnął za rączkę. Drzwi zgrzytnęły hałaśliwie, metalowe rolki zaskrzypiały, przesuając się na szynach u góry i u dołu. Uchylił drzwi zaledwie o centymetry, a Jenny przez tę szczelinę ujrzała skrawek czystego, granatowego, nocnego nieba.

Odczekał chwilę w nadziei, że nieprzyjemny zgrzyt nie zwrócił niczyjej uwagi, po czym wolno rozsunął drzwi nieco szerzej. Rozległ się stukot, a potem drzwi z blachy falistej zagrzechotały głośno i przy wtórze ogłuszającego pisku małych metalowych rolek otworzyły się na całą szerokość, uderzając z łoskotem we framugę. Na tle wieczornego nieba w słabym oświetleniu czerwonej lampki awaryjnej z korytarza spostrzegła ich stojących na zewnątrz. Było ich kilkanaścioro. O ile zdołała się zorientować, głównie mężczyźni oraz parę kobiet; młodzi, jak również w średnim wieku - ludzie z jednego osiedla.

- Proszę, nie róbcie nam krzywdy! - zawołała błagalnie, gdy lodowata dłoń strachu zmroziła jej serce i sprawiła, że nogi stały się jak z waty

Jeden z nich postąpił naprzód, młody, ogolony na łyso, półnagi, z koszulą przewiazaną wokół pasa; na jego muskularnym torsie widniał tatuaż w kształcie popularnych wzorów celtyckich. Jenny spojrzała na niego, kiedy z poczerwieniałą twarzą i spierzchniętymi ustami agresywnie ruszył w jej stronę, jakby chciał ją zaatakować. Wydawał się rozjuszony, zdesperowany, gotowy w każdej chwili użyć wobec niej siły.

Wskazał na butelki, które niosła.

- Mógłbym się napić? Strasznie mnie suszy.

Te słowa zbiły Jenny z tropu.

- Tak... no jasne... - odparła, podając mu butelkę.

Wziął ją do ręki i pokiwał głową.

- Dzięki.

- Tam jest ich dużo więcej - rzekł Paul. - W tych kartonach po prawej. Częstujcie się.

Reszta grupy natychmiast pospieszyła w stronę wejścia, kilka osób mijając ich, powiedziało nawet „dziękuję”.

Jenny patrzyła, jak chłopak opróżnia butelkę. Był potwornie spragniony, jego jabłko Adama unosiło się i opadało, gdy pił szybkimi, łapczywymi łykami.

- Lepiej idź za nimi i zgarnij trochę wody dla siebie, zanim zabraknie.

Skinał głową, oddał jej niemal pustą butelkę i otarł usta wierzchem dłoni.

- Taa. Dzięki za poczęstunek - rzekł i wbiegł za pozostałymi do wąskiego korytarza.

Jenny odwróciła się do Paula.

- Myślałam, że rozerwie mnie na strzępy

Paul wydawał się równie zaskoczony

- Uprzejmy koleś - odparł, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Chodź, wynośmy się stąd, póki jeszcze możemy.

Wyszli na zewnątrz.

Noc była całkiem ciepła. W innych okolicznościach miło byłoby posiedzieć w taki wieczór na dworze. Paul spojrział w prawo i w lewo wzdłuż placu na tyłach budynku. Dostrzegł ciemne kształty kolejnej grupy wybiegającej zza stacji i kierującej się w ich stronę, zwabionej czerwoną poświatą płynącą z otwartego wejścia dla dostawców. Paul schwycił ją za ramię i wyszeptał:

- Ci mogą nie być tak uprzejmi. Udawajmy, że jesteśmy od nich.

Kiedy grupa podbiegła do nich, Paul zawołał:

- Wejście dla dostawców jest otwarte. W środku jest pełno towaru.

- Dzięki, stary - rozległ się głos z ciemności.

Inny zapytał:

- A jest tam woda?

- Tak, ale musicie się pospieszyć - odrzekł Paul.

Grupa minęła ich, nie mówiąc więcej ani słowa, i niemal pędem pognęła w kierunku wejścia służbowego.

Paul i Jenny wyszli zza rogu pawilonu; mogli stąd zobaczyć opustoszały parking i wciąż płonące ognisko. Jenny pomyślała, że wszyscy, którzy wcześniej się tam gromadzili, musieli teraz buszować w budynku stacji, usiłując zabrać możliwie jak najwięcej zapasów. Słyszała dochodzący z wnętrza budynku hałas - wołania, trzask wywracanych i wysypywanych rzeczy, ale odetchnęła z ulgą, stwierdzając, że nie słyszała wrzasków, odgłosów przemocy czy błagania o litość.

- Co teraz zrobimy? - zapytała.

- Ten samochód - odparł. - Należy do pana Stewarta. Do niego też mam kluczyki.

- Świetnie. Mam nadzieję, że go nie zdemolowali.

- Chodźmy

Paul ruszył przez parking, kierując się szybko w stronę miejsc dla personelu na jego drugim końcu. Jenny podążyła za nim, spoglądając niepewnie przez ramię. Ciężarówka blokowała niemal cały front budynku, ale od czasu do czasu widać było migocące promienie latarek w foyer i pomarańczową łunę płomieni bijącą od strony obrotowych drzwi. Ogień,

którego użyli, by dostać się do środka, rozgorzał na dobre i Jenny była pewna, że do rana ze stacji pozostaną jedynie dymiące zgliszcza.

Paul wyjął z kieszeni pęk kluczy i znów usłyszała ich brzęk, kiedy przerzucał jeden po drugim.

- Te wyglądają jak kluczyki od auta. - Usłyszała jego głos w ciemnościach, a po chwili zapiszczał odblokowywany zamek centralny i kilkakrotnie zamrugały światła awaryjne.

Ruszyli w tę stronę. Wóz wyglądał na nietknięty; żadnych wgnieceń, rys czy sflaczałych opon. Odżyła w niej nadzieja, że zdołają się wydostać z tego bałaganu.

Wsiedli do środka, chcąc jak najszybciej odjechać, zanim ktokolwiek zauważy że przywłaszczyli sobie samochód. Jenny rzuciła naręczę butelek wody mineralnej na podłogę w aucie.

- Byłoby miło, gdyby pan Stewart zatankował swoją brykę do pełna - rzekł Paul, wkładając kluczyk do stacyjki. Przekręcił go, a na desce rozdzielczej zapaliły się światelka sygnalizacyjne. - Dzięki i za to - mruknął. - Połowa baku. Lepsze to niż nic.

- Wydawało mi się, że nie umiesz prowadzić?

Paul uśmiechnął się z zażenowaniem, wyprowadzając wóz z parkingu.

- No dobra, skłamałem. Zastrzel mnie, jeśli chcesz.

Jenny obróciła się na fotelu i przez chwilę trwożliwie spoglądała na pawilon, w głębi serca spodziewając się, że lada moment wybiegnie stamtąd rozszalały tłum, wywlecze ich z samochodu i rozszarpie im gardła.

Mój Boże, czy to nie przypomina... jakiegoś szalonego filmu o zombi?

Cała ta sytuacja wyglądała jak świat po nadejściu Apokalipsy: migocący blask ogniska, śmieci i odpadki zaścielające asfalt, drzące promienie latarek, dziki tłum przewalający się wewnątrz budynku, hałas i chaos.

Paul ruszył w stronę zjazdu ze stacji benzynowej na autostradę w kierunku południowym.

Jenny obserwowała budynek stacji w bocznym lusterku, dopóki całkiem nie straciła go z oczu.

Mój Boże, to kompletny obłąd, a przecież minęły zaledwie cztery dni.

Piątek

Rozdział 65

**godz. 3.00 czasu lokalnego
południowa Turcja**

Musisz wierzyć, że nic im nie jest. Wiesz, że nic im nie jest... prawda?

Andy poruszył się nerwowo na fotelu autokaru. Pojazd był stary, większość siedzeń wyświechtana, z niektórych przez postrzępione, podarte obicia wystawały sprężyny. Próbował się przespać - Bóg świadkiem, że potrzebował snu. Nie spał od poniedziałku rano, może od czasu do czasu zdrzemnął się godzinę, ale prawie nie zwrócił na to uwagi. W trakcie wydarzeń minionych dni, w momentach, kiedy sytuacja stabilizowała się na tyle, że mógł chwilę odpocząć, jego umysł nie potrafił się wyłączyć, nie umiał przestać myśleć o dzieciach i Jenny.

Wiesz, że nic im nie jest.

Powtarzał to sobie przez cały czas; wspominał ostatnie dwie lub trzy rozmowy przez telefon... wyraźnie ostrzegł Leonę i Jenny. Miały czas, aby odpowiednio się zaopatrzyć, przygotować, wrócić do domu i przyczaić się tam. Tylko tyle miały teraz zrobić, przyczaić się, nie rzucać w oczy i pozwolić, by wszystko samo się rozegrało.

Leona była rozsądną, bystrą dziewczyną. Mimo iż nie miał czasu, by powiedzieć jej wprost, dlaczego grozi jej niebezpieczeństwo i nie może wrócić do domu, Andy był pewien, że ona zrobi to, co jej kazał. Jednak pościg ze strony bliżej nieokreślonych mężczyzn, Bóg wie skąd, to tylko połowa problemu.

Zastanawiał się, jak przedstawia się sytuacja w Londynie; wielkie miasto, mnóstwo ludzi - nie potrzeba talentu wizjonerskiego, by wyobrazić sobie koszmar, jaki mógł się tam rozgrywać, jeżeli brytyjskie władze nie zdołały poradzić sobie z kryzysem wywołanym przez wstrzymanie dostaw ropy. A mając świadomość, jak nieudolny bywał rząd w jego przybranej ojczyźnie, gdy dochodziło do sytuacji choć trochę niespodziewanych - takich jak oberwanie chmury, nadmiar liści na drogach czy klęska suszy - nie mógł się zdobyć na pomyślną prognozę.

Wyobraził sobie Jenny i dzieciaki w domu Jill. Ta gaduła z przerośniętym ego - kobieta, która nieraz grała mu na nerwach - miała teraz opiekować się jego rodziną. Zobaczył ich jak na obrazku siedzących przy jednym radiu albo przed drogim plazmowym telewizorem, jak

chłoną każde słowo komentatora, pałaszują brzoskwinie z puszek i kto wie, może również... martwią się o niego.

Nic im nie jest, Andy. Skup się na powrocie do domu i tyle.

Szeregowy Peters, który akurat miał zmianę za kółkiem, poruszył się nerwowo.

- Światła przed nami! - zawołał przez ramię do Andy'ego leżącego na dwóch siedzeniach, kilka rzędów dalej.

To sprawiło, że natychmiast się ożywił. Otworzył oczy Otrząsnął się z odrętwienia i ponownie odegnał od siebie troski i myśli o rodzinie.

- Zgaś światła i zatrzymaj autokar!

Peters wygasił reflektory i zatrzymawszy pojazd, błyskawicznie wyłączył silnik. Właśnie wtedy Andy zdał sobie sprawę z tego, że popełnił naprawdę głupi błąd. Przypomniał sobie, jak pierwszy raz on i inni inżynierowie napotkali pluton Cartera zabłąkany na pustyni i jak bardzo dopisało im szczęście, że nikt wtedy nie zginął.

Ten, kto stał tam, w ciemnościach z zapalonymi światłami, także musiał ich zobaczyć. Światła na drodze w jednej chwili zgasły. To nie wróżyło nic dobrego.

Cholera.

Spostrzegł kilkanaście jasnych błysków, a po chwili przednia szyba autokaru eksplodowała. Peters drgnął spazmatycznie na fotelu kierowcy - z tyłu siedzenia wyfrunęły jak śnieg płatki wyściełającej oparcie gąbki i posypały się na ziemię. Żołnierz osunął się do przodu, na kierownicę.

Andy usłyszał głos Westleya, który z siedzenia dwa rzędy dalej ryknął:

- To kurewska zasadzka! Otoczyli nas! Wszyscy z wozu!

Strzały od strony drogi nie ustawały, kule ze świstem wpadały przez strzaskaną szybę, przelatując przez cały autokar, podczas gdy znajdujący się w nim mężczyźni zerwali się z siedzeń i zebrali w przejściu. Żołnierz obok Andy'ego próbujący przedostać się w stronę schodków przy fotelu kierowcy został zwalony z nóg. Andy usłyszał jego stęknienie, gdy mężczyzna otrzymał postrzał w pierś, a potem brzęk rynsztunku i uprząży bojowej, kiedy runął na podłogę.

- Cholera! Ostrzeliwują wyjście! - ryknął Westley.

Przykucnięty za niedającym odpowiedniej osłony oparciem fotela

Andy rozejrzał się dokoła. W autokarze wystrzelają ich jak kaczki.

- Wychodźcie przez okna! - zawołał ochryple.

Westley usłyszał jego słowa i powtórzył rozkaz znacznie donośniejszym tonem, równocześnie kolbą karabinka wybijając jedną z najbliższych szyb.

- No dalej! Ruszcie pieprzone tyłki!

Szyby w całym autokarze rozprysły się w drobny mak, a mężczyźni wyskoczyli przez wybite okna i ciężko wylądowali na drodze.

Andy, który znajdował się z przodu, tuż za nieruchomym Petersem, znalazł się w potrzasku. Musiał się podnieść, aby wyskoczyć przez wybitą szybę za nim, ale w autokarze wciąż było niebezpiecznie, w powietrzu świstały kule, raz po raz trafiając w zagłówek fotela i jeszcze bardziej zmniejszając i tak już wątlą osłonę.

Gdzieś przed nim zagrzecotał ciężki karabin maszynowy; dźwięk wystrzałów przypominał odgłos minimi, z którego pluton korzystał do odparcia tłumy rebeliantów z Al-Bayji. Zdał sobie sprawę, że równie dobrze mógłby się ukryć za wilgotną torbą papierową. Ciężkokalibrowe pociski bez trudu przesywały autokar na wylot.

Potrzebował jedynie sekundy przerwy w ostrzale, aby spróbować szczęścia.

Z zewnątrz, od strony drogi dobiegł nieco cichszy terkot SA-80 któregoś z żołnierzy kierującego ogień w stronę, skąd dochodziły błyski wystrzałów.

To dało mu chwilę spokoju, na którą czekał.

Jazda, do cholery.

Andy poderwał się i wyskoczył przez wybite okno w ciemność nocy. Osłonił głowę i kark rękami, podejrzewając, że jeśli nawet któryś z wielkokalibrowych pocisków nie zmiecie mu wierzchu czaszki, prawie na pewno sam rozwali głowę o beton.

Wylądował na plecach, uderzenie o ziemię wydusiło mu powietrze z płuc i oszołomiło. Migające błyski i pociski smugowe przelatujące w powietrzu nad głową zdawały się wirować i rozmywać przed oczyma Andy'ego jak przepiękny kalejdoskop. Gdyby nie to, że rozpaczliwie starał się nabrać powietrza do płuc, byłaby to z pewnością cudowna chwila. Poczł czyjąś dłoń przesuwającą się ponad jego twarzą i podbródkiem, aż palce odnalazły kołnierz jego kurtki i pociągnęły z całej siły, wlokąc go po nierównym, szorstkim, pełnym dziur asfalcie. W migocącym świetle błysku kolejnych wystrzałów zobaczył brodate oblicze Mike'a krzywiącego się z wysiłku, a obok starszego kaprała Westleya oddającego spokojnie kolejne strzały, aby osłonić ogniem ich odwrót.

W tej krótkiej, sennej i nierealnej chwili poczuł, że ci dwaj byli jego najlepszymi kumplami, najlepszymi, jakich miał... *po prostu jesteście najlepsi, chłopcy.*

Kolejny żołnierz wyskoczył z autokaru, nieomal spadając na Andy'ego.

- Do kurwy nędzy, Warren, ty cholerna niezdara małpo! - ryknął Westley, nie przerywając ostrzału.

Mike nadal ciągnął Andy'ego, a kiedy znaleźli się za autokarem, obraz przed oczami

Nowozelandczyka znów zaczął się przejaśniać.

Łup!

Kurtka Mike'a eksplodowała strzępami bawełnianego podbicia. Andy poczuł na policzkach ciepłe rozprysnięte krople.

- Oż kurwa mać! - krzyknął Teksaszczyk, osuwając się na kolana i przykładając dłonie do boku.

Andy, który już prawie doszedł do siebie, podniósł się z ziemi i zaciągnął Mike'a za autokar.

- Oberwałeś? - krzyknął.

Mike spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Kurewsko jasne, że oberwałem!

Andy przykucnął i rozpiął kurtkę Mike'a, a potem podciągnął jego podkoszulek z napisem „Nikt nie zadziera z Teksasem”, zakrwawiony i poszarpany, jakby potraktowano go piłą łańcuchową. W słabym świetle księżyca nic nie był w stanie zobaczyć.

- Masz latarkę - rzekł Erich, opierając się o tył autobusu obok nich. Zapalił ołówkową latarkę i podał mu. Andy obejrzał ranę. Nie było otworu wlotowego, a jedynie głęboka bruzda ciągnąca się wzdłuż boku. To było tylko draśnięcie.

- Masz szczęście, Mike. To nic wielkiego.

Mike aż wybałuszył oczy.

- Nic? Dziękuję za takie nic!

Usłyszeli, jak Westley wykrzykuje zza autobusu kolejne rozkazy:

- Pieprzyć to! Wycofać się! Wszyscy za autokar, ale już!

Chwilę potem niewielkie schronienie za pojazdem, gdzie z trudem mieścili się Mike, Andy i starszy kapral, wypełniło się resztą żołnierzy, którzy jak potrafili najlepiej, czołgając się, turlając po ziemi albo paroma długimi susami, dotarli za unieruchomiony autokar. Szybko znaleźli się tam już wszyscy, którzy pozostali przy życiu: płatanina zdyszanych, przepełnionych adrenaliną ciał.

- Chryste Panie, te kutasy przy drodze mają nas jak na widelcu - wyszeptał jeden z żołnierzy, z trudem chwytając powietrze.

Głuchy terkot cekaemu w oddali ucichł, podobnie jak wystrzały kilku karabinków szturmowych.

Zapadła cisza, jeśli nie liczyć zdyszanych oddechów mężczyzn.

- Kurde, niezły ubaw. Powinniśmy to kiedyś powtórzyć - mruknął Mike.

Andy spojrzał na Westleya:

- Co teraz zrobią?

- Nie mam, kurwa...

- A co ty byś zrobił?

- Zaszedłbym z flanki - odparł szybko, automatycznie starszy kapral.

- To dlatego przestali strzelać. - Andy rozejrzał się dokoła. - Jesteśmy zbici w zwartą gromadę. Jeżeli tu zostaniemy, wszyscy zginiemy. Musimy wiać. Jak u was z amunicją, chłopcy?

- Ja nie mam nic - odparł głos z ciemności.

- Ja też - rozległ się drugi i po chwili zawtórowały mu kolejne.

- Ja mam tylko to, co zostało w magazynku - dodał Westley.

- Mnie zostało parę naboii - rzekł Derry - potem mogę już tylko miotać soczyste przekleństwa.

- Pięknie - mruknął Andy

Usłyszeli wołanie. Było niewyraźne, zniekształcone przez odległość i echo odbijające się od dalekich skalistych szczytów po obu stronach drogi.

- Ciii, słyszycie to? - szepnął starszy kapral. - Słyszeliście?

Cisza, jeśli nie liczyć delikatnego szumu wiatru szeleszczącego wśród gałęzi wysuszonych, obumierających drzew na pobliskich stokach. A potem usłyszeli słaby głos, lecz tym razem nieco wyraźniejszy.

- Znajomy język. Jakby angielski - zauważył Derry.

Zapadła kolejna długa cisza przerywana świstem oddechów przepelnionych narastającym napięciem.

- Hej! Wy tam, za autokarem! Wyłazić!

Andy usłyszał, jak jeden z żołnierzy szepcze:

- To jankes?

Znów ten głos:

- Hej, wy! Jesteście Amerykanami? A może Brytyjczykami?

- Szlag by trafił, jankes! - potwierdził Westley.

Andy przyłożył dłoń do ust:

- Jesteśmy Brytyjczykami! Nie strzelajcie!

Czekali przez chwilę na odpowiedź, aż w końcu ten sam mężczyzna odkrzyknął:

- Wyjdźcie na otwartą przestrzeń, żebyśmy was mogli zobaczyć. I rzućcie broń!

Westley odwrócił się do Andy'ego.

- Myślisz, że to podpucha?

- Chyba nie mamy wyboru. Pójdę pierwszy.

Andy wziął głęboki oddech i wstał, po czym z podniesionymi rękoma wyszedł zza autokaru, przygotowując się w głębi duszy na uderzenie kuli w ciało. Ale nikt nie zaczął do niego strzelać.

Usłyszał, jak Westley z tyłu za nim powiedział:

- Już po walce, chłopcy. Chodźmy.

Najpierw starszy kapral, a potem pozostali wyszli zza pojazdu z uniesionymi rękami, zostawiając broń na ziemi.

Andy miał wrażenie, że stoi tak całą wieczność na otwartej przestrzeni, wiedząc, że tam w ciemnościach ktoś miał ich przez cały czas na muszce i obserwował w milczeniu, nie zdejmując palca ze spustu.

Po kilku chwilach usłyszał charakterystyczny tupot wojskowych butów na asfalcie. Kroki zbliżały się. A potem promień latarki oślepił Andy'ego.

- Brytyjczycy, tak? - rozległ się głęboki chrapliwy głos z amerykańskim akcentem.

- Tak.

- Ilu was jest?

- Cholera wie. Było piętnastu, zanim zaczęliście strzelać - warknął Andy.

- Kurwa - powiedział mężczyzna trzymający latarkę. - Przykra sprawa.

Peters zginął natychmiast. Pierwsza seria trafiła go w głowę, gardło i klatkę piersiową. Był martwy, zanim jeszcze osunął się na kierownicę. Za to szeregowy Owen, który oberwał w przejściu, obok Andy'ego, konał nieco dłużej. Zdołał jeszcze podczołgać się naprzód, pozostawiając za sobą rozmazaną smugę krzepnącej już krwi.

Dwaj inni zginęli na drodze, obok autobusu - szeregowy Craig i Benford pełniący w plutonie funkcję sanitariusza.

Westley zajął się nimi, zbierając nieśmiertelniki, po tym jak odpowiednik Benforda w jednostce Amerykanów stwierdził zgon całej czwórki. Razem ze swoimi ludźmi ułożył ciała na poboczu.

Andy uświadomił sobie nagle, że Mike gdzieś zniknął. W końcu odnalazł Amerykanina w autobusie podtrzymującego Farida. Stary otrzymał postrzał w brzuch. Jego jasna kraciasta koszula była niemal czarna od krwi. Na brzuchu z niewielkiego, idealnie okrągłego otworu powoli sączyła się krew, która wyglądała w świetle latarki jak ropa naftowa. Jednak rozlewająca się na podłodze autokaru kałuża i strzępy tkanek świadczyły, że rana wylotowa wyglądała o wiele poważniej.

- Niedobrze - powiedział półgłosem Mike do Andy'ego.

Farid spojrział na Mike'a szklistymi oczami. Odezwał się, ale po arabsku, te słowa nie były przeznaczone dla żadnego z nich. Mówił szybko, gwałtownie, raz po raz krzywiąc się z bólu i z trudem chwytając oddech. Mrużył wtedy powieki, a na jego ustach pojawiał się grymas cierpienia.

Do autobusu wszedł amerykański żołnierz. Poświecił latarką na twarz starca.

- Kim on...

- To nasz tłumacz - przerwał mu Andy. Nie chciał usłyszeć eufemizmu, jakiego przypuszczalnie użyłby młody sierżant.

- To nasz przyjaciel - dodał Mike, spoglądając na niego znacząco.

Sierżant najwyraźniej miał dość wycucia, by nie powiedzieć nic więcej, i bezgłośnie pokiwał głową. Odwrócił się i zawołał na zewnątrz:

- Sanitariusz! Mamy tu rannego!

Mike pogładził starego po twarzy

- Posłuchaj, pomoc jest już w drodze. Trzymaj się.

Farid skupił na nim wzrok i wysilił się na słaby uśmiech.

- Wiem, że dobry z ciebie człowiek. W głębi serca jesteś dobry i prawy.

- Zwykły ze mnie facet, co tu dużo gadać - odparł Mike. - Odlóżmy to na później, dobra?

Farid położył okrwawioną dłoń na jego ramieniu.

- Bóg otwiera drzwi domu swojego przed wszystkimi dobrymi i prawymi ludźmi.

Sanitariusz przecisnął się obok Andy'ego i przykląkł, aby rzucić okiem na starca. Badanie było krótkie, a kiedy już delikatnie podniósł rannego do pozycji siedzącej, by obejrzeć otwór wylotowy na jego plecach, spojrział na sierżanta, pokręcił głową ze smutkiem i powiedział:

- Mogę mu podać morfinę, ale nic więcej nie da się zrobić.

- Wobec tego zróbcie, co możecie - uciał sierżant.

Morfina podziałała niemal natychmiast, a ciało Farida zwiotczało, kiedy przepelniające je napięcie i ból ustały. Uśmiechnął się.

- Wkrótce spotkam się z moją rodziną. Z moim synem... - resztę dodał już po arabsku.

- Idź, spotkaj się ze swoim synem i żoną - rzekł prawie szeptem Mike.

Rozdział 66

**godz. 3.25 czasu lokalnego
południowa Turcja**

- Żartujecie? Jak daleko stąd? - zapytał Andy, znalazłszy się na zewnątrz.

Sierżant pokiwał głową.

- Wcale nie żartuję. To niedaleko, parę kilometrów stąd. Pas do lądowania nie jest dostatecznie duży, by mogły z niego korzystać wielkie maszyny transportowe... cholera... o wiele za krótki. A jednak regularnie lądują na nim herculesy i jakoś sobie radzą.

- Wydostaniecie nas stąd?

- Cholera wie. Mamy sporo maruderów takich jak wy, Amerykanów, Brytyjczyków i żołnierzy ONZ. Ściągają tu zewsząd. A samoloty to lądują, to odlatują jak pieprzone taksówki. To istny dom wariatów, stary. Wszystko się popieprzyło. A poza terenem lotniska mamy jeszcze tłumy cywilów, Turków, Kurdów, Irakijczyków, wszyscy chcą się z nami zabrać, bo uważają, że wszędzie jest lepiej niż tu.

- A jak jest wszędzie? Od wtorku nie mamy żadnych informacji.

Sierżant spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Nic nie wiecie?

Andy pokręcił głową.

- Jest... chujowo. Słyszę, że szaleją zamieszki. W moim rodzinnym stanie wprowadzono stan wyjątkowy. Wszędzie powstają obozy dla internowanych. A jestem pewien, że w moim kraju radzimy sobie lepiej niż inni na całym świecie.

- Masz wiadomości na temat Wielkiej Brytanii?

- Nie bardzo, ale z tego, co słyszałem, jest tam bardzo źle. Wszystko kompletnie się popieprzyło.

- Jezu.

- Teraz posłuchaj, wsiądźcie do autokaru, a jeden z moich chłopców popilotuje was na miejsce. Lepiej nie traćcie czasu. Utrzymamy to lotnisko jeszcze przez jakiś czas, może do jutrzejszego popołudnia, ale na tym koniec i spadamy stąd tak szybko, jak się da.

Andy odwrócił się, by wsiąść z powrotem do autokaru.

- Przepraszam, stary - zawołał Amerykanin. - Przykro mi za to... co się stało. Przez cały

tydzień musieliśmy stawiać opór atakującym nas ciągle grupom miejscowych. Moi chłopcy są piekielnie spięci, rozumiesz?

Andy pokiwał głową, ale nic nie powiedział. „Przepraszam” niczego nie zmieni. Nie przywróci życia czterem żołnierzom, których ciała leżą przy drodze, ani staremu tłumaczowi.

Znów się odwrócił. Westley i Derry wynieśli ciało Farida z autokaru i położyli obok czterech młodych żołnierzy. Może zrobili to świadomie, może nie, ale to mówiło coś o tych chłopcach i sprawiało, że Andy był dumny, mogąc opuścić Irak wraz z nimi.

Dobra robota, chłopcy.

Podszedł do Westleya.

- Trzymasz się jakoś?

- Jakby nie dość było tracić kolegów w potyczkach z wrogiem...

Nie dokończył, ale Andy wiedział, co tamten chciał powiedzieć.

Ale to już szczyt, kiedy giną od kul sojuszników.

- Zwołaj chłopaków do autokaru. Jankesi doprowadzą nas do lotniska.

- Poważnie?

Andy uśmiechnął się ze znużeniem.

- Tak, wygląda na to, że jednak się stąd wyrwiemy.

Rozdział 67

godz. 4.00 czasu lokalnego
południowa Turcja

Pół godziny później zjechali z głównej drogi na mniejszą, jednopasmową w obu kierunkach. Gdy dojeżdżali do lotniska, szosa wypełniła się cywilami, głównie pieszymi; wielu z nich dźwigało na plecach lub ciągnęło za sobą tobołki z dobytkiem.

Tajican zatrąbił klaksonem i zwolnił, gdy autokar powoli zaczął torować sobie drogę pośród gęstniejącej cizby ludzi. Zmierzali oni ku otoczonemu pospiesznie drutem kolczastym obszarowi oświetlonemu co kilkaset metrów przez silne reflektory. Za zasiekami z drutu kolczastego w równych odstępach stali żołnierze amerykańskiej piechoty morskiej z bronią gotową do strzału i wycelowaną w oddalony od nich ledwie o metry, stale powiększający się tłum ludzi.

Amerykański żołnierz siedzący obok Tajicana zabronił mu zatrzymywać autokar i polecił zachować stałą prędkość.

- Opadliby nas jak szarańcza w kilka chwil - mruknął, czujnie obserwując tłum dokoła i na wprost.

Andy był pod wrażeniem, z jakim spokojem Tajican potrafił sunąć naprzód, na jego twarzy malowało się skupienie, podczas gdy gniewne pięści bez przerwy łomotały o maskę i burty autokaru.

Wtem coś, zapewne kamień, wpadło do wnętrza pojazdu przez wybitą przednią szybę, trafiając Tajicana w głowę; szeregowy natychmiast przyłożył dłoń do czoła. Po jego rękę i przedramieniu spłynęła krew, wsiąkając w rękaw.

Mimo to jechał dalej.

Kiedy kolejny pocisk wleciał do autokaru, amerykański żołnierz siedzący obok Tajicana uznał, że dość już tego. Puścił długą serię z karabinku szturmowego tuż nad głowami ludzi na zewnątrz.

Efekt był natychmiastowy; droga przed nimi stała się przejezdna.

- Przyspiesz! - zawołał Amerykanin.

Tajican zrobił to, a autokar potoczył się szybko w kierunku zasieków, bramy wjazdowej i humvee zaparkowanego w poprzek szerokiej na jakieś cztery metry przerwy w zasiekach z

drotu kolczastego. Humvee zjechał z drogi w ostatniej chwili, przepuszczając autokar, po czym natychmiast wrócił na swoje miejsce, by za ogrodzenie nie wdarł się sunący tłum.

Andy nie był przygotowany na bezmiar chaosu, jaki ujrzał dokoła. Widział kilka baz wojskowych, brytyjskich i amerykańskich, odkąd rozpoczął prace terenowe w Iraku, zawsze sporo się tu działo i z pozoru panował bałagan. Jednak nigdy nie był świadkiem takiego zamieszania w żadnej bazie.

Niebo jeszcze wciąż było ciemne, ale dało się już dostrzec na nim pierwsze oznaki nadchodzącego dnia. Lotnisko polowe było otoczone dziesiątkami reflektorów na trójnogach rozstawionych wzdłuż głównego pasa. O ile zdołał się zorientować, w ostatnich latach nikt z tego lotniska nie korzystał, jednak w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin zostało ono błyskawicznie przystosowane do nowych, kryzysowych potrzeb. Z boku wznosiła się wieża kontrolna. Budynek musiał zostać kiedyś pozbawiony wszelkiego sprzętu elektronicznego, lecz teraz wieżę przygotowano naprędce do działań w trybie awaryjnym. U jej podstawy stała furgonetka łączności, podczas gdy kilku mężczyzn na wieży obserwacyjnej monitorowało kolejne przyloty i odloty maszyn transportowych, posługując się laptopami, których przewody ciągnęły się od starych zardzewiałych framug okiennych wieży aż do furgonetki.

Na pasie Andy spostrzegł setki mężczyzn w zwartych grupkach; większość z nich leżała na ziemi, tworząc swoisty kobierzec z ludzkich ciał, ciał wyczerpanych żołnierzy, kiedy kolejne grupki czekały, by wejść na pokład samolotu.

Andy patrzył, jak z jednej strony na pasie ląduje hercules C-130, podczas gdy z drugiej inna maszyna czeka na możliwość startu. W połowie długości pasa na pokład jednego z samolotów pospiesznie wchodzili wyrwani z drzemki mężczyźni, podążając dwójkami w stronę rampy załadunkowej.

Amerykański żołnierz, który pilotował autokar, poprowadził Andy'ego, Mike'a, Ericha, Westleya i jego ludzi w stronę namiotu rozbitego pośrodku lotniska. Płachtę przy wejściu odgarnięto na bok. Z wnętrza płynęło niebieskawe światło kilku lamp halogenowych zwieszających się od głównego masztu namiotu, pośród plątaniny przewodów elektrycznych biegnących na zewnątrz i znikających w mrokach przedświt.

Weszli do namiotu. Wewnątrz stał z wyglądu zmęczony, sponiewierany i bardziej niż tylko trochę niewyspany pułkownik piechoty morskiej; niski, krępy mężczyzna o siwiejących włosach ostrzyżonych na zapałkę i ogorzałej twarzy porwanej brudami zmarszczek, widocznych zwłaszcza gdy nieznacznie przymrużył powieki.

- Pułkownik Ellory Zgarnęliśmy tych ludzi na drodze biegnącej od granicy. To Brytyjczycy.

Ellory odwrócił się, by na nich spojrzeć. Otaksował wzrokiem Andy'ego i pozostałych dwóch cywili, po czym odwrócił się do Westleya, wypatrując insygniów szarży.

- Dobrze, synu, gdzie wasz przełożony?

Westley zasalutował niezdarnie.

- Straciliśmy go, podobnie jak podoficera. Teraz ja jestem najwyższy rangą w całym plutonie. Starszy kapral Westley.

Pułkownik Ellory zmarszczył brwi, usiłując zrozumieć jego dialekt z okolic Newcastle.

- Ty tu dowodzisz, synu?

- Ta jest.

Odwrócił się do pozostałych.

- A wy to kto?

- Cywilny podwykonawca Andy Sutherland.

- Mike Kenrick, tak jak kolega.

- Erich Feillebois, inżynier z Ceneco Oil.

Ellory pokiwał głową.

- Dobrze, chłopcy. Jest tak. Staramy się odesłać z powrotem do domu tylu naszych chłopców, ilu się da, i tak szybko, jak to jest możliwe. Mamy jednak ograniczoną liczbę maszyn i limit paliwa. Nie wszyscy wrócą do domów. Pierwszeństwo ma personel wojskowy, a pośród nich nasi chłopcy. Obawiam się, że tak to wygląda. Wiem, że to nie brzmi optymistycznie... ale taka jest prawda.

- Macie tu jeszcze jakichś brytyjskich żołnierzy? - spytał Andy.

- Tak, jest tu paru. Grupa maruderów dotarła do nas od strony granicy. Wojskowa ciężarówka przewożąca pracowników cywilnych, kilku niezależnych ekspertów od spraw bezpieczeństwa. Jest tam istny kocioł narodowości. Spróbujcie szczęścia z nimi. Brytyjczycy i ludzie innych narodowości są podzieleni na dwie grupy, na drugim końcu pasa.

Pułkownik Ellory sprawiał wrażenie, jakby uznał rozmowę za zakończoną i był gotów zająć się czymś innym.

Andy zapytał:

- Jak długo zamierzacie utrzymać funkcjonowanie tego lotniska?

Ellory westchnął.

- Powiedziałbym, że tak długo, jak będzie trzeba. Ale będziemy tu dopóty, dopóki nie otrzymamy rozkazów, by zwinąć majdan i zabrać się stąd.

- Jak poważną mamy sytuację tam, na zewnątrz? - spytał Mike.

- Gdzie konkretnie? Na Bliskim Wschodzie? Czy w kraju?

Mike wzruszył ramionami.

- Trochę wypadliśmy z obiegu.

Ellory przesunął dłonią po krótko obciętych szpakowatych włosach.

- Bliski Wschód to jeden wielki kocioł. Wysłaliśmy naszych chłopców do Arabii Saudyjskiej, aby uratować, co się da. Ci szurnięci muzułmanie na początek wzięli na cel rafinerie. Zniszczyli większość z nich, zanim zdążyliśmy tam dotrzeć. - Ellory spojrzał na nich. - I muszę przyznać, że zrobili to całkiem zmyślnie. Te rurociągi i szyby naftowe mają sporą rezerwę przerobową. Ale z rafineriami jest całkiem inaczej. Skurwiele wybrali na cel najbardziej kluczowe obiekty. Tak samo było w Kuwejcie i Emiratach. Jeżeli chcecie znać moje zdanie, uważam, że to wcale nie był spontaniczny wybuch religijnej wojny domowej. To była pieprzona, przemyślana i zorganizowana od początku do końca operacja. Musieli w tym maczać palce jacyś wojskowi. Uderzyli w Wenezueli i w rafinerie w Baku. Te sukinsyny dobrze wiedziały, co robią.

- Ale kto? Jakie sukinsyny? - spytał Mike.

- Cholera? Kpisz sobie?

- Nie mów, że uwierzysz, że to robota Al-Kaidy - Mike zaśmiał się - bo jeżeli tak...

- Czy wyglądam na idiotę? - Ellory pokręcił głową. - Oczywiście, że nie uważam tego za robotę Al-Kaidy. Oni mogliby się zorganizować co najwyżej, żeby w bierki pograć. Ale chyba wiesz, kto za tym wszystkim stoi - rzekł Ellory, opierając dłonie na biurku przed sobą i wyginając w łuk obolałe, zmęczone plecy. - Te skurwiele z Iranu.

Andy pokiwał głową. To całkiem możliwe. Może faktycznie to oni za tym stali. Mieli odpowiednie środki, by przeprowadzić tak złożoną operację na wielką skalę. Jak również motyw.

- Tak, to mogli być oni - rzekł Mike. - Bądź co bądź, storpedowaliśmy ich program nuklearny. Ale to... dało znacznie lepsze rezultaty niż Bóg wie ile atomówek.

- Otóż to - przyznał Ellory. - Dobrze wiedzą, że w ten sposób mogą zranić świat o wiele dotkliwiej, zadając cios w najbardziej newralgiczne punkty przesyłu ropy. I niech to szlag, dowalili nam wszystkim. Kiedy już uporamy się z tym szajsem, niech lepiej wieją do tego swojego Teheranu, bo tak im dołożymy, że cofną się w rozwoju do epoki kamienia łupanego.

Andy zastanawiał się, czy opracowano już plany zbrojnego odwetu, czy może rząd Stanów Zjednoczonych, jak i rządy wszystkich innych państw koncentrowały się obecnie na ograniczeniu strat. Jeżeli faktycznie stał za tym Iran, pomyślał Andy, to niech lepiej się modli, żeby świat nie odzyskał stabilności do tego stopnia, by skupić się na potencjalnych sprawcach i wziąć odwet. Niezależnie, czy istniały dowody na ich udział w tej akcji, czy też nie.

- Cholera, powinniśmy byli się tego spodziewać - rzekł Ellory, kręcąc głową. - Ale nie mam już czasu, żeby rozmawiać z wami o całym tym bajzlu. - Wskazał na Andy'ego, Westleya i jego ludzi stojących tuż przed namiotem. - Radzę, abyście spróbowali szczęścia u innych Brytyjczyków zgromadzonych przy końcu pasa.

Wskazał na Ericha.

- A ty dołącz do grupy międzynarodowej.

Wskazał na Mike'a.

- Ty zgłoś się do punktu, gdzie zebraliśmy obywateli USA: naszych cywilnych współpracowników i konsultantów od bezpieczeństwa.

Mike spojrzał na Andy'ego.

- Pułkowniku, ci ludzie wiele przeszli, są...

- Nie zamierzam dyskutować na ten temat! Jeśli będzie czas i środki, wywieziemy stąd wszystkich, ale na pierwszym miejscu są dla nas obywatele USA i nasz personel. A teraz wynocha z mojego namiotu, bo mam mnóstwo spraw, którymi muszę się zająć - rzekł pułkownik Ellory, po czym skierował uwagę na sierżanta, który wszedł do namiotu z notesem w dłoni.

Andy odwrócił się do Westleya.

- Dobrze, chyba skorzystam z rady i poszukam innych Brytyjczyków.

Wyszli z namiotów na zewnątrz. Robiła się szarówka. Ruszyli w stronę plutonu Westleya zebranego na pasie lotniska, przy jednym z reflektorów opodal. Erich uściśnął dłoń Andy'ego i Mike'a.

- Pójdę już - rzekł półgłosem. - Zobaczę, czy są tu inni Francuzi. Uważajcie na siebie, dobra?

- Bezpiecznej podróży, stary - odpowiedział Andy.

Patrzyli, jak odchodzi w dal, mijając nieliczne grupki żołnierzy. Siedzieli na ziemi, odpoczywali, spali lub palili papierosy.

Starszy kapral Westley podszedł do swoich ludzi i zebrał ich wokół siebie. Pozostawił Mike'a i Andy'ego patrzących na odlatujące i przylatujące samoloty wsłuchujących się w ryk silników odrzutowych oraz odległe krzyki i nawoływania tłumu cywilów zebranych przed zasiekami z drutu kolczastego.

- Cóż, doktorze Sutherland, tu chyba nasze drogi się rozchodzą - rzekł Mike.

- Tak, powinniśmy to powtórzyć za rok o tej samej porze.

Mike zaśmiał się cicho.

Andy wyciągnął rękę.

- Podałbym ci mój adres mailowy, ale nie jestem pewien, czy jak wrócimy do domu, będzie jeszcze istniał internet.

- Zapewne nie - mruknął Mike, uściskawszy jego dłoń.

- Jeżeli jednak się okaże, że to wcale nie koniec świata - ciągnął Andy - zawsze możesz skontaktować się ze mną przez moją stronę internetową - PeakOilWatch.co.uk.

- Spróbuję cię odnaleźć. - Mike patrzył, jak ludzie Westleya szykują się do wejścia na pokład samolotu.

- Wiesz, jak na faceta, który nigdy wcześniej nie miał w ręku broni - rzekł, wskazując na niedobitki plutonu - całkiem niezłe się spisałeś, wyciągając tych chłopców z kłopotów.

- Nie za dobrze mi to wyszło. Kazałem Petersowi wygasić światła...

- Takie rzeczy się zdarzają, Andy. Ale ocaliłeś pozostałych i to się liczy - zapewnił go Mike, błyskając promiennym uśmiechem. - Dobra robota, stary.

Przez chwilę milczeli, niezręczna cisza przedłużała się, ale wiedzieli, że to jeszcze nie koniec ich rozmowy.

- Sporo przeszliśmy przez ostatnich parę dni, no nie? - rzekł Mike.

- Tak. Chyba powinniśmy o tym poważnie porozmawiać jak na kozetce u psychoanalityka.

- Nie było czasu na dłuższe rozmowy. Wydaje się, że przez ostatnie trzy dni tylko walczyliśmy, uciekaliśmy albo jechaliśmy czymkolwiek się dało.

- Tak. A zresztą - stwierdził Andy - chyba nie mam ochoty się w tym babrać. Muszę wrócić do żony i dwójki dzieci.

- Jeżeli są choć w połowie tak pomysłowi i zapobiegliwi jak ty na pewno sobie poradzą, Andy. Możesz być pewien.

- A ty, Mike? Musisz mieć rodzinę, o którą się martwisz.

- Nie - odrzekł Mike, kręcąc głową. - Jestem tylko ja. Dla mnie zawsze na pierwszym miejscu była praca.

- To chyba wiele ułatwia.

- Sporo.

Andy dostrzegł rozmazaną smugę zaschniętej krwi na przedramieniu Amerykanina.

- Przykro mi z powodu Farida. Naprawdę chciałem, aby przeżył.

- Tak. Sensownie mówił, co nie?

- Raczej tak.

- No i straciliśmy tam tylu dobrych chłopaków. Porucznika Cartera, sierżanta Boltona.

Andy pokiwał głową.

- To byli dobrzy żołnierze. - Mike przeniósł wzrok na Westleya i jego ludzi, którzy wolno, ze znużeniem ruszyli w stronę końca pasa.

- Wy, Angole, wszyscy, bez wyjątku, potraficie walczyć.

- Tak, tyle tylko że ja nie jestem Anglikiem.

- Wy, Nowozelandczycy, także - dodał Mike i poklepał go po ramieniu.

- Uważaj na siebie, Mike. Mam nadzieję, że u was sytuacja nie jest aż tak popieprzona jak u nas.

- Ten bałagan kiedyś się w końcu unormuje.

- Nie byłbym tego taki pewien.

Rozdział 68

godz. 4.05 czasu Greenwich

Paul jechał przez kilka godzin wzdłuż M1, mijając w ciemnościach Birmingham, nierozjaśnione jak zazwyczaj mrowiem świateł czy blaskiem latarni, lecz widocznymi tu i ówdzie łunami płonących budynków, wokół których można było dostrzec sylwetki ludzi.

Natomiast fragmenty Coventry najwyraźniej miały energię elektryczną; przejechali przez opustoszały fragment dwupasmówki, gdzie po obu stronach paliły się latarnie sodowe. Jenny miała wrażenie, że dystrybucja energii jest prowadzona w co najmniej przypadkowy sposób, jakby przekaźnikami bawiły się małpy, naciskając na chybił trafił kolorowe guziki na tablicy kontrolnej. Sądziła, że zarządzane zostaną surowo przestrzegane limity czasowe przerw w dostawach prądu dla wszystkich regionów lub przynajmniej pewne strefy chronione - poniekąd niezbyt uczciwe rozwiązanie - co spowodowałoby jeszcze większe niedobory energii w największych miastach.

Ale nie. W tym wszystkim nie było żadnego schematu czy wzorca. Na południe od Coventry świateł przy dwupasmówce już nie było i ponownie otoczył ich mrok nocy Paul zauważył szyld motelu Travelodge i odnalazłszy prowadzący tam zjazd, sprowadził wóz pana Stewarta z autostrady.

- Co robisz? - spytała Jenny.

- Muszę się przespać. Od poniedziałku nie zmrużyłem oka. Byłoby głupio, gdybyśmy po tym wszystkim rozbili się gdzieś na autostradzie.

Jenny pokiwała głową. Miał rację.

- Rozejrzyjmy się. Gdyby się okazało, że motel jest obleżony przez dziki tłum, pojedziemy dalej, dobrze?

Wjechali na pusty parking przed motelem. Już na pierwszy rzut oka było widać, że rozegrały się tu sceny podobne do tych przy stacji benzynowej Beauford: parking usłany był śmieciami, wszystkie szyby w budynku od frontu zostały wybite, ale to w zasadzie tyle. Gorzej było z barem szybkiej obsługi Little Chef, tuż obok. Nie ocalała tam ani jedna szyba, a na chodnikach przed lokalem rozpościerały się resztki rozwłóconego jedzenia.

- Wygląda na to, że cokolwiek się tu działo, już jest spokojnie - rzekł Paul.

- Przypuszczalnie złupiono wszystkie możliwe miejsca z jedzeniem i piciem -

powiedziała Jenny - Ciekawe, co ludzie będą jedli, kiedy skończą się im uzbierane zapasy.

- Założę się, że jeszcze dziś ujrzymy na drogach i ulicach wojsko oraz policję. Najpóźniej dziś po południu - rzekł z o wiele mniejszym przekonaniem niż ostatnim razem, kiedy twierdził, że sytuacja wnet się ustabilizuje. Zakręcił kierownicą i zatrzymał wóz przed wejściem do motelu.

- Jak dla mnie może być.

Jenny spojrzała w górę na dwa piętra małych ciemnych okien z zaciągniętymi zasłonami. Miło byłoby zasnąć w miękkim łóżku, a ryzyko napotkania bandy oszalałych z pragnienia, gotowych na wszystko ludzi wydawało się niewielkie.

W budynku chyba nie było nikogo i przez chwilę zastanawiała się, gdzie się wszyscy podzieli. Na tej niedużej wyspie mieszkały 64 miliony ludzi, a odkąd opuścili stację Beauford, nie widzieli żywego ducha.

Wszyscy zamknęli się w swoich domach i czekają, aż to się skończy. Tylko głupcy tacy jak my albo ci, którzy mają złe zamiary, kręcą się po okolicy.

Paul wysiadł z samochodu i wszedł do środka. Było tam, rzecz jasna, ciemno, choć oko wykol, przez szybę z przyciemnianego szkła od frontu nie wpływała nawet odrobina światła.

- Zaczekaj - usłyszała jego głos, a potem w foyer pojawił się błydy prostokąt niebieskiego światła.

- Co to? - spytała.

- Mój palmtop.

- Sprytnie.

W ciemnościach urządzenie świeciło całkiem jasno.

- Dobra... schody - rzekł Paul.

Patrzyła, jak prostokąt światła przepływa przed stołem recepcyjnym w kierunku przejścia.

- Tutaj - usłyszała jego głos.

Pospieszyła za nim, pokonując jedną kondygnację schodów, potem kolejne drzwi i już po chwili znaleźli się w korytarzu.

- Całkiem nieźle tu sobie radzisz - zauważyła.

- Wszystkie motele są jednakowe. Często z nich korzystam. No i proszę, pokoje na pierwszym piętrze. Wybieraj.

Jenny przeszła w głąb korytarza, mijając otwarte drzwi. Drzazgi wystające z framugi świadczyły, że drzwi zostały wyważone. Nie chciała się kłaść spać w pokoju, który wcześniej wybrał ktoś inny. Czułaby się przez to dziwnie... zbrukana. Drzwi do następnego pokoju także zostały sforsowane, podobnie było z kolejnym. Wreszcie na końcu korytarza napotkała

drzwi, które pozostały nienaruszone i zamknięte.

- Wybieram ten - rzekła.

- Chciałabyś mieć cały pokój dla siebie? Ja wypatrzyłem sobie drugi, na końcu korytarza. Mogę się tam przenieść.

Jenny zamyśliła się nad tym przez chwilę. Nie była pewna, czy chce spędzić noc w jednym pokoju z tym facetem, ale... przebywać samotnie w opuszczonym hotelu...

- Może powinniśmy jednak zdecydować się na jeden pokój.

- To brzmi sensownie - zauważył Paul.

Uniósł swój palmtop, aby odczytać numer pokoju.

- Co powiesz na numer dwadzieścia trzy?

Jednym celnym kopnięciem w elektryczny zamek na kartę wyważył drzwi, które uderzyły o ścianę wewnątrz pokoju, a echo tego łupnięcia przetoczyło się przez cały niepokojąco pusty korytarz.

Pokój wyglądał tak, jak się tego spodziewała, czysty, nienaruszony, łóżko posłane i czekające na kolejnego gościa. Rozsunęła zasłony i podniosła żaluzje, po czym otworzyła okno. W pokoju było gorąco i z przyjemnością przyjęła powiew lekkiego wietrzyku wpadającego do wnętrza pomieszczenia.

Jaśniejące niebo sprawiło, że mogli się już po trosze zorientować w otoczeniu. Paul wyłączył palmtopa i schował do kieszeni.

- Dobra, pora spać - rzekła Jenny, siadając na łóżku. Podwójnym, oczywiście.

Paul otworzył barek i zobaczył znajdujący się tam zestaw drinków.

- Ho, ho. Mamy szczęście. - Barek był przyzwoicie zaopatrzony. - Mamy tu parę puszek coli, piwo imbirowe, tonik i całkiem spory zapas minidrinków: wódka, dzin, rum, whisky. Jest nawet piwo.

Jenny uśmiechnęła się w szarym świetle przedświt. Po wydarzeniach ostatnich dni, a nawet godzin, pojedynczy rum z colą, choćby nawet i bez lodu, zaleciłby jej każdy lekarz.

- Poproszę rum z colą.

- Doskonały wybór, droga pani - rzekł Paul.

Usłyszała trzask i syk otwieranej puszkii oraz skrzypnięcie odkręcaniej nakrętki i plusk rumu wlewanego do szklaneczki.

- Proszę.

Pierwszy drink był mocny

Poprosiła o drugi, słabszy, ale Paul inaczej rozumiał pojęcie „słabszy”.

- Jakiś czas temu powiedziałas - rzucił - że twój mąż dokładnie to wszystko przewidział.

- Tak jakby. Parę lat temu... chyba w dziewięćdziesiątym dziewiątym... bo byliśmy wtedy na Boże Narodzenie w Nowym Jorku... sporządził specjalny raport. To była praca naukowa, większość z niej napisał, będąc jeszcze na uniwersytecie w Stanach, ale kiedy zlecono mu to zadanie, przeprowadził nowe badania i uaktualnił wszystkie niezbędne dane.

- I o tym właśnie pisał?

- Chyba tak. Andy był bardzo skryty jeżeli chodzi o zlecenie, nie chciał mi nic o nim powiedzieć. Wiem jednak, że miało to jakiś związek ze Szczytem Wydobywania Naftowego i naszym coraz silniejszym uzależnieniem od stale malejących zasobów surowca. Wspominał również o tym, do jakiego stopnia jesteśmy nieprzygotowani na sytuację kryzysową i że w razie gdyby ktoś chciał zaszachować cały świat, wystarczyło tylko kilka drobnych, dobrze zorganizowanych posunięć w pewnych ściśle określonych miejscach. Opisywał, jak można by tego dokonać... które miejsca są szczególnie podatne na sabotaż... i takie tam rzeczy.

Od tego zaczęła się tak naprawdę obsesja Andy'ego, zgadza się?

Ludzie, którzy zlecili tę pracę, sporo mu za nią zapłacili. To było mnóstwo pieniędzy, wystarczyło, by kupić dom i posłać oboje dzieciaków do płatnych szkół.

- Ale kiedy już wykonał to zlecenie... zaczął się zmieniać. Stał się spięty... bardzo spoważniał. Jego zainteresowanie Szczytem Wydobywania przerodziło się w prawdziwą obsesję. I paranoję. Zaczął się obawiać, że wirusy w komputerze mogą być dowodem na to, że ktoś go szpieguje, czujnie wsłuchiwał się w każdy trzask w telefonie. To było naprawdę głupie. A kiedyś był taki zabawny świetnie się razem bawiliśmy. Ale po Nowym Jorku nie był już taki jak dawniej. Coraz bardziej staczał się w otchłań szaleństwa. To sprawiło, że zaczęliśmy się od siebie oddalać. Mieliśmy właśnie omówić warunki naszego wielkiego rozstania, kiedy to wszystko się wydarzyło.

- Szkoda - rzekł Paul. - A gdzie jest teraz?

- Gdzieś w Iraku. Wyjeżdżał tam regularnie na kontrakty przez kilka ostatnich lat. Akurat miał wracać, kiedy to się zaczęło. A moje dzieci są same w Londynie.

Jenny zamarła.

Cholera. Powinnam była się domyślić, że drink rozwiąże mi język.

- Wszystko w porządku? - spytał Paul, kładąc dłoń na jej ramieniu i lekko zaciskając palce.

- Oczywiście, że nie. Chcę wreszcie wrócić do domu. Dzieci mnie potrzebują.

Objął ją ramieniem za szyję.

- Nie martw się, Jen. Dowiozę cię do domu całą i zdrową. Przecież dotarłaś ze mną tak daleko.

Poczuła pod brodą koniuszki jego palców, kiedy uniósł jej głowę, aby na niego spojrzała i domyśliła się, do czego zmierzał.

- Posłuchaj... ee... chyba już mi wystarczy. Więcej nie piję.

- Chyba żartujesz? Jest tu całe mnóstwo alkoholu, a po tym, co razem przeszliśmy, z całą pewnością uczciwie nam się on należy. Co ty na to?

- Myślę, że oboje wypiliśmy trochę za dużo. Musimy zachować trzeźwy umysł. Kto wie, co wydarzy się jutro? - Jenny zwiesiła nogi z łóżka. - I wiesz co? Chyba przeniosę się jednak do innego pokoju...

Schwycił ją za rękę.

- No co ty? O co ci chodzi?

Uścisk był mocny. Zabolało.

- Uważam, że to dobry pomysł. Powinam tak zrobić, i już.

- Co? Daj spokój. Przecież tylko rozmawiamy. Nic się nie dzieje.

- Możesz mnie puścić?

Jego uścisk nie zelżał.

- Chroniłem cię przez ostatnich parę dni. Czy proszę o tak wiele? Żałujesz mi... rozmowy?

Jego głos stał się trochę bełkotliwy. Nie był pijany, ale już lekko podпиты. Jak pracownicy z jej firmy podczas ostatniej imprezy przed Bożym Narodzeniem, od których musiała się opędać - byli w sumie niegroźni, ale mimo wszystko nieprzyjemni i uciążliwi, a tu była z Paulem sam na sam.

- Chroniłem cię - powtórzył Paul. - Czy proszę o tak wiele, do cholery?

- Myślę, że Ruth pomogła mi bardziej niż ty - odparła i zaraz pożałowała swoich słów

- Pieprz się - warknął.

- Możesz mnie wreszcie puścić?

Zrobił to, a ona natychmiast ruszyła w stronę drzwi.

- Do zobaczenia za parę godzin, jak wytrzeźwiejesz.

Wyszła na korytarz i pomaszerowała w czerń rozjaśnioną jedynie słabym blaskiem świtu, który wpadał przez okno na drugim końcu. Wybrała jeden z pokoi po prawej. Drzwi zostały przez kogoś sforsowane, a barek skutecznie opróżniono.

Doskonale, miejmy nadzieję, że opróżniono też barki we wszystkich innych pokojach.

Nie chciała zobaczyć, jak mógłby się zachować Paul, gdyby naprawdę się upił.

Jenny zamknęła za sobą drzwi. Jakby po namyśle przyciągnęła pod drzwi fotel z rogu pokoju. Choć w sumie nie uważała, aby to było konieczne. Paul był jak inni biurowi

podrywacze, alkohol przydawał mu zuchwałości, ale tak naprawdę mężczyzna ten nie grzeszył odwagą. Najczęściej wystarczy stanowcze „nie” albo „spadaj”, żeby wybić im z głowy głupie pomysły

On zapewne i tak urżnie się na umór i zaśnie, próbując zabawić się ze sobą.

Położyła się na łóżku i łzy napłynęły jej do oczu - martwiła się o Jacoba, Leonę i również o Andy’ego, gdy uświadomiła sobie, jak źle go potraktowała. Żałowała, że nie było teraz przy niej konkretnej, twardej Ruth, która zapewne umiałaby przemówić jej do rozsądku i przy okazji rozbawić. Gdyby Ruth tu była, przypuszczalnie wspólnie opróżniłyby teraz barek, nabijając się bezwstydnie z Paula.

Jenny zamknęła oczy i chwilę później usnęła.

Rozdział 69

godz. 6.29 czasu Greenwich

Kiedy ponownie otworzyła oczy, było znacznie jaśniej - nastał już dzień. Jenny uznała, że musiała przespać dobrych parę godzin. Promienie słońca wsączały się przez szparę między zasłonami, padając na łóżko i dywan.

Bolała ją trochę głowa, miała lekkiego kaca, efekt raczej ogólnego zmęczenia niż dwóch rumów z colą. Paul na pewno będzie czuł się dziś o wiele gorzej, skądinąd zasłużenie. Dziś to ona będzie musiała usiąść za kółkiem. Woń alkoholu w jej oddechu wydawała się mocna, bardzo mocna. W drinku musiało być naprawdę sporo rumu, skoro tak nim cuchnie. Uznała, że powinna już wstać i spróbować obudzić Paula. To zapewne trochę potrwa.

Usiadła i wtedy go zobaczyła.

Stał przy łóżku, wpatrując się w nią bez słowa.

- Co...

- Całe wieki trwało, nim cię znalazłem - rzekł bełkotliwym, przepitym głosem. Lekko chwiał się na nogach. - Pomyślałem, że pójdziesz na wyższe piętro. A ty przez cały czas byłaś tu, na końcu korytarza.

Był niezłe wcięty. Musiał znaleźć jeszcze jeden pełen barek.

- Co tutaj robisz?

Wyciągnął rękę i chwycił ją.

- Do kurwy nędzy! Czemu z ciebie taka nadęta suka?

Jenny uwolniła się z jego uścisku, rozdrapując mu paznokciami wierzch dłoni.

- Oboje trochę się napiliśmy, jesteśmy dorośli. Prawo nie zabrania, żebyśmy, no wiesz...

- Paul, posłuchaj, cieszę się, że znalazłeś dla nas wyjście z tej stacji benzynowej... ale to nie znaczy, że mam ochotę się z tobą przespać, jasne? - rzekła Jenny, przesuwając się wolno obok niego w stronę nóg łóżka.

Patrzył na nią, powoli odwracając głowę i jedną ręką przytrzymując się ściany

- Tak? To niby na co zasłużyłem? Byłem dla ciebie dobry... opiekowałem się tobą. Mogłem cię wyrzucić, kiedy tylko chciałem... ale nie zrobiłem tego. Zachowałem się jak pieprzony dżentelmen.

- Owszem - przyznała Jenny, podnosząc się z łóżka. - I chyba nie chcesz zepsuć dobrego

wrażenia, prawda?

- Chcę cię tylko bzyknąć... czy to przestępstwo? - rzucił gniewnie.

- Owszem, Paul, jeżeli osoba, którą chciałbyś bzyknąć, nie ma na to ochoty

Pokiwał głową i zaśmiał się.

- Taa... już rozumiem. - Postąpił dwa kroki w jej stronę, zastępując jej drogę do wyjścia. -

Co jest ze mną nie tak? To, że jestem pięć, sześć lat młodszy od ciebie? Nie jestem łysy - przerwał na chwilę, zbierając myśli i ponownie przytrzymując się ściany, by nie upaść. - Nie jestem gruby jak większość facetów... noszę eleganckie ciuchy. Jestem najlepszym sprzedawcą w Medi-Tech Supplies na całą Wielką Brytanię... co oznacza, że jestem cholernie bogaty. - Spojrzał na nią, jego brwi wygięły się w grymasie zaciekawienia. - To dla ciebie za mało?

- Nie o to chodzi. Po prostu nie w głowie mi teraz seks i te sprawy.

Cofnął się wyraźnie urażony i zirytowany.

- Chyba naprawdę jesteś zawziętą, wredną suką. A ja myślałem, że do rzeczy z ciebie babka - rzekł, robiąc krok naprzód. - Wiesz, w moim wypadku upłynęło sporo czasu, naprawdę spoooooro. Moja eks była niezłą zdziwą, robiła mnie w konia, szastała moimi pieniędzmi na lewo i prawo, a sama nie pozwoliła się nawet dotknąć. Suka. Myślałem, że ty będziesz inna. Że nie będziesz ze mną pogrywać.

Jenny cofnęła się w stronę łóżka, stwierdziwszy, że nie zdoła go wyminąć.

- Gwałt jest przestępstwem, Paul - powiedziała, choć zdawała sobie sprawę, że nie zdoła przemówić mu do rozsądku. - Nawet teraz, gdy dokoła panuje chaos, to wciąż jest przestępstwo.

Paul zachichotał.

- No jasne... ale wiesz co? Myślę, że w tym tygodniu... panujące zasady przestały obowiązywać. I wszyscy inni też o tym wiedzą. Rozumiesz, o czym mówię?

Jenny pokręciła głową.

- Nikt nie zachowuje się jak typowy Brytyjczyk, zgadza się?

- Znów zachichotał. - W tym tygodniu zero praw czy zasad, drodzy państwo... bawcie się w najlepsze, dopóki nie zostanie przywrócony porządek.

- Daj spokój. Zapomnijmy o tym. Połóż się i prześpij. A potem, kiedy poczujesz się lepiej, pojedziemy dalej do Londynu.

Wydał wargi, zamyślając się przez chwilę.

Jenny zdała sobie sprawę, że postąpiła głupio, dając się wmanipulować w tę sytuację: znalazła się sam na sam z zupełnie obcym mężczyzną, w dodatku nietrzeźwym, podczas gdy

wszędzie wokół nich szalały przemoc i chaos. Powinna się była domyślić, że w którymś momencie ich wspólnej podróży może przyjść taki moment.

- Wybacz, kotku... ale mam ochotę kogoś bzyknąć... a ty akurat jesteś pod ręką.

Zrobił kolejny krok ku niej. Jenny przesunęła się na drugą stronę łóżka, opuszczając nogi na podłogę.

- Zastanów się, co robisz - rzekła. Nie spodobał się jej piskliwy, niepewny, błagalny ton we własnym głosie. Zupełnie jakby zamierzała się poddać.

Uśmiechnął się, zaczynając rozpinać pasek.

- Może i popełniam przestępstwo, kotku, ale kto się teraz o tym dowie, he? - Postawił stopę na łóżku i stanął na nim, chwiejąc się niebezpiecznie. - Nadchodzi Jo-o-o-o-n-ny! - zawołał, ściągając koszulę.

Chrzanić to.

Jenny wychyliła się do przodu i wymierzyła mu siarczysty policzek. To był bardziej cios niż klepięcie. Zaciśnęła dłoń w pięść. Paul runął do tyłu i z głuchym łupnięciem spadł z łóżka na podłogę. Nie czekając, by się przekonać, czy go znokautowała, czy tylko zyskała kilka cennych sekund, wybiegła zza łóżka i wypadła na korytarz.

Co teraz?

Powaliła go. Ale słyszała, jak gramoli się na nogi.

- Ty cholerna zdiro! - wykrzyknął. - Pokażę ci zaraz... zobaczysz! Kto się teraz o tym dowie, jak myślisz?

Te słowa zmroziły jej krew w żyłach. Oznaczały, że łajdak przekroczył pewną granicę. Zaczął uświadamiać sobie to, co musiał wiedzieć każdy potencjalny gwałciciel... damski bokser... sadysta... morderca. Nastął czas, kiedy ktoś taki jak on mógł zrobić wszystko, co tylko zechciał, zrealizować każdą swoją fantazję z przeświadczeniem, że kiedy - o ile kiedykolwiek - ład zostanie przywrócony, dowody jego winy będą nie do odnalezienia, utracone na zawsze w bezmiarze chaosu.

A tym dowodem będę ja...

Mogła sobie wyobrazić... jej ciało wciśnięte do którejś z szaf w tym motelu, być może nigdy nieodnalezione albo odkryte dopiero wiele miesięcy później podczas operacji przywracania porządku w całym kraju.

Czy Paul mógłby zrobić coś takiego?

Możliwe. Właściwie go nie znała.

Usłyszała, jak człapie przez pokój i siada na fotelu, klnąc pod nosem.

Co teraz, no dalej... co teraz?

Jenny postanowiła, że go zostawi i dalej pojedzie sama. Nie mogła mu dłużej ufać, nawet gdyby padł przed nią na kolana, błagał o wybaczenie i obiecywał, że nigdy więcej nie spróbuje się do niej dobierać. Korytarzem aż do schodów...

- Cholera, kluczyki - wyszeptała.

Paul miał je w swoim pokoju, pamiętała, gdzie były; leżały na niewielkim biurku przy telewizorze. Przypomniała sobie, że widziała, jak je tam kładł, kiedy weszli do pokoju, przyświecając sobie palmtopem.

Pobiegła wzdłuż korytarza do otwartych drzwi pokoju nr 23. Paul tymczasem chwiejnym krokiem wytoczył się na korytarz, obrzucając ją najwymyślniejszymi wyzwiskami, jakie tylko przyszedł mu do głowy.

Wpadła do pokoju i podbiegła do biurka. Kluczyków tam nie było.

- Nie... nie - jęknęła, czując, że ogarnia ją panika. Słyszała, jak Paul idzie korytarzem w jej stronę, zataczając się od ściany do ściany, rozjuszony i pijany w sztok. Jenny uznała, że powinna sobie z nim jakoś poradzić. Miał kłopoty z równowagą i koordynacją ruchów. Jego jedynym atutem była, jak u większości mężczyzn, brutalna siła. Gdyby zdołał ją schwycić, fakt, że była od niego szybsza, przestałby mieć jakiegokolwiek znaczenie. Bo brutalna siła liczyła się teraz najbardziej.

- No dalej, dalej - syknęła. - Gdzie one są?

Zajrzała do obu szuflad biurka i w końcu je ujrzała - leżały na podłodze. Musiał je strącić, kiedy przez ostatnich parę godzin urządził tu sobie samotną popijawę. Podniosła je, ścisnęła w dłoni i odwróciła się, kiedy stanął w drzwiach.

- A-ha! - uśmiechnął się i pomachał do niej palcem. - Mam cię! - zawołał śpiewnym tonem jak dziecko dokazujące na placu zabaw.

- Paul - rzuciła karcącym tonem - twoje zachowanie jest oburzające.

Zaśmiał się.

- A kim ty jesteś? Moją matką?

Ruszył w jej stronę. Jenny uświadomiła sobie, że właśnie teraz ma ostatnią szansę, aby załatwić go z zaskoczenia. Schyliła się i dała susa naprzód, uderzając w niego całym ciałem jak taran; impet był tak silny, że oboje wypadli na korytarz i wylądowali na podłodze.

Zaparło mu dech, ale zdołał wychrypieć.

- Suka, suka, suka.

Jego dłonie uniosły się, by schwycić ją za ramiona, którymi zawzięcie wymachiwała, wymierzając mu słabe, nieskuteczne ciosy w twarz: smagnięcia, uderzenia i klepięcia nieprzynoszące jednak żadnych efektów.

Przerzucił jedną nogę nad jej nogami, chwytając je jak w kleszcze i przyszpilając do podłogi.

O Boże, złapał mnie.

Jej dłonie i ramiona wciąż się poruszały, ale zdołał uchwycić ją za jeden, a zaraz potem drugi nadgarstek. Przetoczył się na nią, przygniatając całym ciężarem i pochylając się tak, że poczuła jego oddech przesycony wonią różnych alkoholi, a czubek jego nosa nieomal dotknął jej policzka.

- Czemu, kurwa... to był... dla ciebie... taki problem, co? - wyszeptał.

Wciąż się szamotała. Nie potrafiła odpowiedzieć mu w taki sposób, aby zdołał ją zrozumieć.

- No co? Chodziło mi tylko o szybki numer. Ty też... nieźle byś się zabawiła. A teraz... spójrz tylko...

Jenny zdała sobie sprawę, że miała tylko jedną, ostatnią szansę.

Odwróciła się do niego, w kierunku jego twarzy i tego cuchnącego oddechu, twarzy, która w innych okolicznościach z daleka mogłaby się jej nawet wydać przystojna, ale teraz wyglądała jak gniewnie wyszczerzona, okrutna maska - sto procent przesyconego frustracją testosteronu. Przewalczając w sobie gniew i odrazę, próbowała wykrzesać z siebie coś, co było prawie niemożliwe.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze, zrobmy to - szepnęła.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki efekt był natychmiastowy. Kleszczowy uchwyt na jej udach zelżał.

- Jesteś pewna? - wychrypiał, a jego głos nagle się zmienił, gniew zniknął, zachowywał się teraz jak dżentelmen pytający kobietę o zgodę.

Jenny skinęła głową, wciąż siląc się na uśmiech.

Puścił jej jedną rękę, jego dłoń sięgnęła w dół, do rozporka. Mogła teraz wolną ręką drapać go po twarzy albo wbić palce w oczy. Wiedziała jednak, że to nie wystarczy. Musiała unieszkodliwić go skuteczniej. Silnie uderzyła czołem w jego nos i usłyszała trzask pękających chrząstek.

Stoczył się z niej, przykładając obie dłonie do twarzy, krew natychmiast spłynęła mu po twarzy, zalewając usta i podbródek. Jenny poderwała się na nogi, zanim wstrząs wywołany uderzeniem zdołał minąć na tyle, by Paul wydał z siebie wściekły skowyt bólu.

W dwóch trzecich długości korytarza znajdowało się wejście na schody. Zbiegła po nich, wpadła do foyer i wyskoczyła na zewnątrz, by w promieniach porannego słońca pognać ku

samochodowi pana Stewarta, nie do końca wierząc, że zdołała się wymknąć swojemu prześladowcy.

Pilot do centralnego zamka sprawił, że bez trudu odnalazła właściwy kluczyk pośród wielu innych. Błysnęły światła, rozległ się cichy pisk, gdy odblokowała centralny zamek i wsiadła do auta.

Zanim zaczęła szukać klucza od stacyjki, ogarnęło ją uczucie fatalnego zagrożenia, gdy przypomniła sobie podobną sytuację z różnych krwawych horrorów, jakie miała okazję oglądać. Najpierw należy pozamykać drzwiczki w aucie, dopiero wtedy można myśleć o uruchomieniu samochodu - blokady drzwiczek zadziałały równocześnie, z miłym, uspokajającym trzaskiem.

I wtedy przez przednią szybę ujrzała Paula wyłaniającego się z hotelowego foyer: przód eleganckiej koszuli miał zalany krwią, jedną rękę przyciskał do złamanego nosa, drugą machał rozpaczliwie w jej stronę, aby się zatrzymała.

Uruchomiła silnik.

Zaczął biec w stronę auta. Gdyby miał w ręku kij albo cegłę wrzuciłaby wsteczny i wyniosła się stąd, zanim zdążyłby się wdrzeć do samochodu. Ale on nie miał nic prócz dwóch rąk pracownika biurowego, dobrych do pisania maili, obsługiwania palmtopa albo podpisywania umów, ale nie do rozbijania szyb w aucie.

Oparł się jedną ręką o szybę od strony kierowcy.

- Jezu! Jenny, przepraszam! Naprawdę bardzo cię przepraszam! - Nie miał już bełkotliwego głosu, a przyływ adrenaliny sprawił, że w jednej chwili wytrzeźwiał. Na jego twarzy malował się szczery smutek i żal.

Spojrzała na niego przez szybę i pokręciła głową.

- Przepraszam... byłem pijany - rzucił błagalnie. - Ale już jest ze mną wszystko w porządku! Nie wiem, co mnie naszło! - Jego zakrwawiona dłoń pozostawiła na szybie rozmazany ślad. - Daj spokój, Jen... musimy trzymać się razem... ty i ja! To... przecież dżungla!

Zgadza się.

Poczuła wyrzuty sumienia, gdy wrzuciła wsteczny i wyprowadziła wóz z parkingu. Paul, zataczając się, biegł za nią. Słyszała, jak ją wołał, prosił i błagał, słyszała jego głos pośród dźwięku silnika i chrzęst żwiru pod kołami, kiedy ruszyła do przodu. Ale już nigdy nie czułaby się przy nim bezpiecznie, niezależnie od tego, czy był pijany, czy nie. Skręciła w stronę znaku wskazującego wjazd na M1 w kierunku południowym.

Rozdział 70

godz. 0.31 czasu wschodnioamerykańskiego

Nowy Jork, USA

Uzyskał połączenie. Rozległ się sygnał, a potem męski głos.

- Comell i Watson Financial Services, czym mogę służyć?
- Chcę się umówić na spotkanie - odparł pośpiesznie.
- Obawiam się, że w najbliższym czasie nie mamy wolnych terminów.
- A w Boże Narodzenie?

Moment przerwy.

- O której, proszę pana?

Westchnął.

- Minutę po północy.
- Chwileczkę.

To był niezbędny rytuał. Ryzyko zdekonspirowania i unicestwienia przez tamtych było zbyt wielkie, zwłaszcza że zasoby, jakimi dysponowali, były niczym w porównaniu z możliwościami ludzi, których tropili. Agencja była mała, maleńka, personel stanowiło zaledwie trzydziestu agentów prowadzących działalność z zaplecza jednej z mało znanych firm mieszczącej się przy cichej uliczce w Nowym Jorku. Firma z pozoru oferowała porady finansowe, ale nigdy nie miała wolnych terminów dla klientów z ulicy.

Usłyszał męski głos.

- Jezu! Myśleliśmy, że nie żyjesz! Od wtorku próbowaliśmy się z tobą skontaktować!
- Jim, przebijaliśmy się przez cholerną strefę wojny. Mój...
- Pamiętaj, żadnych imion.
- We wtorek mój pieprzony telefon satelitarny został rozwalony w drobny mak i Bóg wie, ile razy do mnie strzelano, odkąd...
- Mamy przełom. Naprawdę poważny przełom.
- ...rozpętało się całe to szaleństwo... Przełom? O czym ty mówisz?
- Nasz cel... ten, z którym jesteś teraz... to nie o niego nam chodzi.
- Cóż, już z nim nie jestem. Rozdzieliliśmy się. Czekam, aż wojsko znajdzie mi miejsce w samolocie odlatującym z Turcji.

- Chodzi o jego córkę. To córka celu.

- Co? O czym ty mówisz, do cholery?

- Sądzymy, że mogłaby zidentyfikować jednego lub nawet więcej spośród nich.

Serce mu zabiło żywiej.

- Żartujesz. Co się właściwie wydarzyło?

- We wtorek rano zadzwoniła do niego na komórkę. Chryste, może nawet widziałeś, jak odebrał telefon.

Powrócił myślami do wtorkowego poranka, kiedy walczyli o życie wśród zabudowań, na otoczonym murem dziedzińcu, a wokół rozszalało się piekło. Nie przypominał sobie, żeby Sutherland odbierał jakieś telefony, ale cały dzień był rozmytym, niewyraźnym, przesyconym paniką wspomnieniem.

- To nie wszystko, uważamy, że widziała kilku z nich.

- Kilku? Kilku spośród Stu Sześćdziesięciu?

- Nie. Lepiej! Kilku spośród... Dwunastu.

- Boże! - Rozejrzał się z niepokojem po namiocie łączności. Nie było przy nim nikogo na tyle blisko, aby mógł usłyszeć, o czym rozmawiał... nikt nawet na niego nie patrzył. Żołnierze byli zbyt zajęci pilnowaniem otoczonego drutem kolczastym terenu albo nerwową krzątaniem. Mimo to zniżył głos do szeptu. - Musimy ją znaleźć.

- Wiem. Musimy się jak najszybciej przegrupować. Oni mogą wiedzieć to samo, co my. Może nawet teraz starają się ją dopaść.

- Musimy spróbować.

- Tak.

- Ona jest w Anglii?

- Zgadza się. W Londynie.

- Mogę spróbować dostać się na pokład następnego samolotu lecącego w tamtym kierunku. Jakoś to załatwię. Czy możecie zapewnić mi tam na miejscu wszystko, co niezbędne?

- To będzie trudne, zważywszy na okoliczności. Ale może przyślemy ci do pomocy kilku ludzi.

- Świetnie. Zajmijcie się tym.

- Tak zrobimy.

Mike już miał się rozłączyć; pułkownik piechoty morskiej powiedział, że mają zaledwie kilka minut, nie więcej.

- Jak tam jest?

- Tu? W Nowym Jorku? Wszystko się sypie jak wszędzie indziej. Mamy prąd przez kilka godzin dziennie, w całym mieście szaleją zamieszki. Nie jest dobrze.

Rozdział 71

godz. 7.31 czasu Greenwich

Guildford

Ash obudził się o świcie. Na samą myśl, że miałby spędzić kolejną dobę w mieszkaniu Kate, czekając na jej powrót, robiło mu się niedobrze. Miał anielską cierpliwość, jeśli był pewien, że się w końcu doczeka, ale w tym wypadku ryzyko wydawało się dość spore. Ta kobieta mogła nigdy nie wrócić.

Ale na pewno spróbuje, prawda? Instykt ciągnął ją w kierunku domu. W ciężkich czasach wszyscy próbowali dotrzeć do swoich siedzib.

Zwłoka mogła być w pełni uzasadniona. We wtorek po południu wszystko zaczęło się sypać. Kate na pewno postanowiła przeczekać zamieszki, a stwierdziwszy, że pociągi nie kursują - pozostać w pracy do następnego dnia. Nadeszła środa - Kate zapewne miała nadzieję, że policja przywróci porządek i kursowanie pociągów choćby w ograniczonym zakresie. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Czy w jej miejscu pracy była stołówka? W tej sytuacji spędziła kolejną noc w pracy przy zapewnionym minimum wyżywienia. W czwartek znów to samo. Ale do tego czasu w stołówce musiało już brakować żywności i wszyscy na pewno rozpaczliwie chcieli wrócić do swoich domów. W radiu nadal nie podawano nowych wiadomości, a na ulicach nie pojawili się funkcjonariusze policji, by zaprowadzić porządek. W piątek dla niej i jej kolegów stanie się oczywiste, że nie mogą tam pozostać w nieskończoność, a zamieszki na pewno wygasły kiedy złupiono już wszystko, co się dało.

To właśnie dziś - skostatował Ash - powinna ruszyć w drogę powrotną do domu, maszerując wraz z innymi wędrowcami głównymi arteriami wylotowymi z Londynu. Na piechotę powinno jej to zająć pięć, może sześć godzin. O ile nic jej nie opóźni ani nie zatrzyma.

Powinna dzisiaj się tu zjawić.

Dla Asha brzmiało to trochę jak pobożne życzenie. Nie mógł jednak uczynić nic innego. A może powinien wrócić do domu Sutherlandów i tam zaczekać? To na nic... Sutherland ostrzegł ją, by trzymała się z daleka od domu. W notesie było jeszcze wiele innych nazwisk, które mógł sprawdzić jedno po drugim. Ale większość z nich zamieszkiwała dość daleko od Londynu - co sprawdził na mapie drogowej znalezionej przy telefonie w domu Kate.

Postanowił, że najlepiej będzie, jeśli zaczeka do jutra. A wówczas, jeśli Kate nadal się nie pokaże, wróci do Sutherlandów. Mogła się tam zjawić córka, żona albo nawet sam Sutherland, aby zabrać kilka najpotrzebniejszych rzeczy... instynkt każący wracać do domu jest wyjątkowo silny.

Tak. Właśnie tak zrobi. Ash postanowił, że jutro z samego rana wróci do Londynu.

Rozdział 72

godz. 7.51 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

- Lee, proszę, nie wychodź na zewnątrz! - zapiszczał Jacob, ciężko odkładając nóż i widelec. Uderzyły z brzękiem o talerz i spadły na blat. Chłopiec zeskoczył z krzesła, obiegł stół i złapał ją za rękę. - Proszę cię, nie idź!

Spojrzała na braciszka, na którego obliczu malowało się zatroskanie.

- Posłuchaj, Jakey, jest już bezpiecznie. Żli chłopcy zjawiają się tylko nocą. W dzień nic nam nie grozi - powiedziała, choć jej pewność siebie nie była w pełni uzasadniona.

- Ale kiedy wychodziłaś ostatnio, nie było cię tak długo. Już myślałem, że... umarłaś.

- Nic mi nie będzie, Jake. Zajrzę tylko do naszych sąsiadów to wszystko. Możesz mnie obserwować z okna sypialni Jill, co ty na to? Będziesz nade mną czuwał.

Jacob patrzył na nią w milczeniu. Był chorobliwie blady i wyglądał nienaturalnie staro - jego skórę pokrywały bruzdy, zmarszczki i wgłębienia będące dziełem ciągłego zatroskania. Zastanawiała się, czy miał jakieś podejrzenia, co stało się z Danem. Jeżeli domyślał się, że tamten leży w jakiejś ciemnej uliczce....

Dość, Leona, myśl o czymś innym, o czymkolwiek.

Nie byłoby dobrze, gdyby się teraz rozkleiła i rozplakała, zwłaszcza że chciała uspokoić skołatane nerwy Jacoba.

- Nic mi nie będzie. Skończ swoją porcję sardynek, dobrze?

Chciała zajrzeć do DiMarciów, parę domów dalej. Do sąsiadów DiMarciów włamano się ostatniej nocy. Leona słyszała hałasy - były to niepokojące, mrożące krew w żyłach odgłosy. Tego było dla niej za wiele, zabrała Jacoba i zniosła do pokoju na górę, żeby położyć go spać; tu przynajmniej odgłosy plądrowanego domu były mocno przytłumione.

Niedługo po śniadaniu wyszła z domu i serce na moment zastygło jej w piersi. Na drzwiach wokół zamka dostrzegła zdrapaną farbę i kilka wgłębień. Ktoś po cichu próbował się włamać do środka. Zastanawiała się, czy to paru członków gangu zamierzało na własną rękę wtargnąć do domu Jill, podczas gdy ich kompani byli zajęci gdzie indziej? A może to robota kogoś innego?

Tak czy owak, wyglądało na to, że nadchodziła ich kolej, jeśli nie tej nocy, to na pewno

niebawem. Pomyślała o całej tej bandzie... złych chłopcach wdzierających się do domu, ochrypłych pijackich krzykach, odgłosach przewracanych mebli i tłuczonych rzeczy, chwytających rękach i... odnajdujących Jacoba i ją?

Czas uciekał.

Rozpaczliwie chciała odnaleźć innych ludzi, do których mogliby oboje dołączyć. Z przyjemnością podzieliłaby się z nimi zapasami żywności w puszkach oraz butelkowanej wody, jakie im jeszcze zostały. Nie wystarczyłyby na długo, ale bez wahania oddałaby tygodniowy zapas prowiantu za obecność innych osób, najlepiej dorosłych, przy których poczułaby się bezpiecznie.

Leona przypomniała sobie dziecięcą fantazję - świat zamieszkiwany wyłącznie przez nastolatków, atrakcyjnych, młodych, pełnych energii, wigoru i chęci do zabawy. Napisała nawet w szkole esej na ten temat. Świat będący niekończącą się zabawą, brak kogokolwiek, kto mógłby kierować dziećmi, brak rodziców, którzy mówiliby im, o której mają skończyć imprezę, kazali ściszyć muzykę, kontrolowali, ile wolno im wypić, albo następnego ranka zrywali ich z łóżka, aby nie spóźnili się do szkoły lub na uczelnię.

Zaśmiała się słabo. To było to, jej fantazja przez ostatnie kilka nocy rozgrywała się na tej właśnie ulicy. Ale to nie była fantazja, raczej koszmar, który przywiódł jej na myśl jedną z lektur szkolnych.

Władca much.

Pokonała krótką ścieżkę i wyszła przez furtkę na St Stephen's Avenue. Śmieci przybywało. Nie tylko porzuconych butelek i puszek, lecz także połamanych mebli i fragmentów porcelany. Pośrodku ulicy leżał poplamiony piwem materac ze śladami krwi i czegoś jeszcze, o czym nawet wołała nie myśleć.

To było ich erotyczne gniazdko.

Tutaj to robili ze swoimi dziewczynami z gangu, Smerfetkami.

Dom po prawej, obok DiMarciów, został spustoszony przez gang - o tym akurat wiedziała. Widziała, jak się tam włamywali ubiegłej nocy. Ale serce zamarło jej w piersi, gdy podeszła do domu DiMarciów. Ich także odwiedzili. Leona liczyła, że to do nich dołączy z Jacobem. Lubiła to małżeństwo. Ufała im. Eduardo, który pracował jako taksówkarz, był potężnym Portugalczykiem o zaraźliwym śmiechu. To był zabawny facet. Ale Leona wiedziała, że umiał sobie radzić. W zeszłym roku przyłapał dwóch chłopaków, którzy próbowali włamać się do samochodu stojącego przy chodniku. To byli chłopcy z pobliskiej dzielnicy White City, najwyraźniej liczyli tu na łatwy łup i chcieli zwinąć jakąś brykę. Pan DiMarcio nieźle im dołożył. Leona przypomniała sobie, że chłopcy próbowali wnieść na

niego skargę, ale sprawa chyba nie trafiła do sądu. Pani DiMarcio, niejako dla kontrastu, była szczupła, zawsze elegancko ubrana, kulturalna i wykształcona. Leona żałowała, że nie przyjęła złożonej we wtorek propozycji, aby wraz z Jacobem wyjechali we czwórkę z miasta, choć, rzecz jasna, nie spotkaliby się wtedy z rodzicami, kiedy oboje wrócą w końcu do domu.

Drzwi domu DiMarciów zostały sforsowane.

Wiedziała, że tamci nie wyjechali. W środku Leona widziała delikatne poruszenie firanki w jednym z okien.

Zastanawiała się, czy zdołali uciec; może kiedy plądrowano sąsiedni dom, uznali, że najrozsądniej będzie wymknąć się cichcem i poszukać innego domu, choćby przy tej samej ulicy, gdzie ktoś zgodziłby się ich przyjąć. Gdyby zapukali do domu Jill, Leona przyjęłaby ich z otwartymi ramionami.

Spojrzała przez ramię w głąb ulicy, w stronę domu Jill. W oknie na piętrze dostrzegła jasne kosmyki włosów patrzącego na nią Jacoba. Pomachał do niej. Odmachała mu, a potem ruszyła ścieżką, zbliżyła się do domu i przez otwarte drzwi weszła do środka.

Wewnątrz panował nieopisany bałagan. Podłoga była usłana resztkami połamanych rzeczy: talerzy drogiej (sądząc z wyglądu) porcelany oraz figurek kotów, które zbierała pani DiMarcio. Ściany poorane złozeniami, pełne rys i wgłębień po uderzeniach. Drogie tapety zwisały w strzępach, tu i ówdzie widniały namalowane sprayem graffiti.

W kuchni, rzecz jasna, nie zostało nic, co nadawałoby się do zjedzenia lub wypicia. Żli chłopcy byli jak szarańcza.

Leona odetchnęła z ulgą, nie odnalazszy jak dotąd, żadnych śladów przemocy wobec ludzi. Szybko przeszła przez salon i jadalnię, która wychodziła na nieduży ganek. Wszędzie napotykała zniszczone, przewracane lub połamane meble.

Z coraz większym przekonaniem, że tamci uciekli, zanim zjawili się źli chłopcy, postanowiła zajrzeć na górę. Musiała mieć pewność, że faktycznie zdołali się wymknąć na czas. Weszła szybko po schodach, bo wiedziała, że powolne pokonywanie kolejnych stopni tylko wzmogłoby w niej zaniepokojenie wywołane każdym, nawet najcichszym skrzypnięciem.

Dotarła do szczytu schodów i ujrzała grube nogi pana DiMarcio wystające zza drzwi do sypialni.

- Boże, nie - westchnęła Leona.

Przebiegła przez podest i ujrzała całe jego ciało leżące w przejściu. Miał zmasakrowaną głowę. Twarz była tak posiniaczona i pokryta ranami, że prawie go nie poznała. Najprawdopodobniej zmarł wskutek upływu krwi od ran kłutych. Miał ich kilka na klatce

piersiowej, ramionach i dłoniach.

Walczył z nimi gołymi rękami.

Wyobrażała go sobie, jak, klnąc pod nosem po portugalsku, zadaje potężne ciosy i wymachuje dziko masywnymi łapskami. Ale oni mieli noże i pocięli go nimi bez litości niczym sfora psów atakująca niedźwiedzia.

- Och, panie DiMarcio - wyszeptała.

Wiedziała, że tak zawzięcie mógł walczyć tylko w obronie żony. Z ciężkim sercem domyśliła się, co ujrzałaby w sypialni, gdyby przestąpiła zwłoki i zajrzała do środka. Nie zrobiła tego, ale spoglądając na ścianę naprzeciwko wejścia, dostrzegła w popękany lustrze na toalecie odbicie gołych nóg pani DiMarcio. Gołych nóg pokrytych sińcami, zadrapaniami oraz krwią, ciemną i zaschniętą na prześcieradle pod nimi.

Przez chwilę zbierało się jej na mdłości. Przewyciężyła je w sobie, gdy poczuła nieprzeparty gniew.

- Pieprzone skurwiele! - syknęła z wściekłością. Wiedziała, że gdyby miała teraz w ręku pistolet, a jeden z tych tchórzliwych drani kuliłby się przed nią, nie zawahałaby się, tylko pociągnęłaby za spust.

- Pieprzone ścierwa! - krzyknęła gniewnie. Jej głos odbił się echem wśród ścian, a potem zapadła cisza.

Ale nie całkiem.

Usłyszała jakieś poruszenie. Ktoś był wraz z nią na górze i przypuszczalnie zaskoczył go jej krzyk, do tego stopnia, że przypadkiem coś potracił i przewrócił na podłogę w pokoju obok.

O cholera, o Boże, o kurwa.

W nogi? Tak.

Odwróciła się szybko, przestępując stopy pana DiMarcio, i pobiegła w stronę schodów. Zbiegła po nich, omal nie upadając. U podnóża schodów zebrała się na odwagę i obejrzała przez ramię, ale niczego nie zauważyła ani nie usłyszała. Ruszyła w stronę otwartych drzwi i wypadła na skąpaną w słońcu ulicę. Przebiegła na drugą stronę, wymijając pogruchotane meble, i skrzyła w stronę domu Jill. Przy bramie znów spojrzała wstecz i spostrzegła, że zasłona w oknie na piętrze lekko zafalowała.

Boże, tam ktoś był.

Załomotała otwartą dłonią do drzwi i po chwili usłyszała szcęk otwieranej zasuwki.

- C-co się stało, Lee? - spytał Jacob.

Spojrzała na niego i uznała, że odtąd powinna być wobec niego szczerą.

- Będziemy musieli się bronić, Jake.

Nie odpowiedział.

- Dobra... dobra - w głowie miała mętlik. - Widziałeś ten film *Kevin sam w domu*?

Pokiwał głową.

- Mam na myśli pułapki i takie tam... Jak w filmie... na wypadek, gdyby przyszli tu źli chłopcy.

- Ale nie przyjdą tu, prawda?

Leona była zbyt zmęczona i przerażona, aby wysilić się choćby na odrobinę optymizmu. Jeżeli mieli się zjawić tej nocy, Jacob musiał wiedzieć.

- Dziś w nocy mogą tu przyjść.

Nie zaczął histeryzować, czego się obawiała. Skinął tylko głową i rzekł spokojnie:

- Dobrze, to przygotujmy się na nich.

Rozdział 73

godz. 16.23 czasu Greenwich na rogatkach Londynu

Na południe od Coventry, w poprzek M1 była blokada, która zmusiła Jenny do objazdu kilkoma bocznymi szosami, częściowo zatarasowanymi przez porzucone auta, autokary i ciężarówki, a także jedną lub dwiema drogami wiejskimi - kilka z nich było całkiem nieprzejezdnych z uwagi na pozostawione na nich samochody. Ze dwa razy się zgubiła, aż w końcu odnalazła drogę na zjazd do Londynu. Zmarnowała większą część dnia, klnąc i szlochając z frustracji, w miarę jak czas mijał, a ona ani trochę nie zbliżyła się do dzieci. Wskaźnik paliwa w aucie pana Stewarta przez ostatnią godzinę niepewnie kołysał się przy czerwonej kresce z napisem „pusty”. Gdy ponownie trafiła na M1, ucieszyła się, a ujrawszy w oddali pierwsze zabudowania Londynu, poczuła się jeszcze różnie - i wtedy napotkała kolejną blokadę.

Jenny zwolniła, kiedy tylko ją zobaczyła - barierę ustawioną w poprzek M1 i zjazdu na M25. Była złożona z trójkątnych betonowych bloków ustawionych jeden przy drugim, aby uniemożliwić wszelkim pojazdom próbę przebiccia się dalej. Za blokami znajdowała się zapora z drutu kolczastego. A jeszcze dalej kilkudziesięciu żołnierzy, którzy patrzyli, jak się do nich zbliża.

Zatrzymała się przed betonowymi blokami i wysiadła.

- Przykro nam, kochanie, nie możemy cię przepuścić - zawołał zza barykady jeden z żołnierzy.

Jenny poczuła, że z rozpaczy i zmęczenia opadają jej ręce.

- Dlaczego? - zapytała.

- Rozkazy.

- Dajcie spokój - odrzyknęła - czyje rozkazy?

- Nie wolno nam nikogo wpuszczać ani wypuszczać z Londynu - odrzekł żołnierz.

- Dlaczego?

Żołnierz wzruszył ramionami.

- Takie mamy rozkazy.

Poczuła, jak wzbiera w niej gniew. To stało się tak nagle, że całkiem ją zaskoczyło.

- Do kurwy nędzy! Siedzicie tu sobie, idioci, i zbijacie baki, a tam - wskazała na autostradę - ludzie się zabijają o wodę i żywność!

Żołnierz nie odpowiedział, jego twarz pozostała beznamiętna.

- To jak koniec świata! Kobiety są gwałcone, mężczyźni walczą i mordują się wzajemnie. A wy nic nie robicie! Tylko tu, kurwa, siedzicie!

Żołnierz wciąż patrzył na nią w milczeniu, w końcu jednak jakby uznał, że zasługuje na odpowiedź, bo odparł:

- Wiem, że jest ciężko. Radziłbym... wrócić do domu, zamknąć się w nim na cztery spusty i cierpliwie czekać, aż sytuacja się ustabilizuje.

- Właśnie próbuję to zrobić! - Wskazała na sylwetkę miasta w oddali, za nimi. - Tam właśnie mieszkam. Chcę wrócić do domu, do dzieci. Proszę... przepuście mnie - rzuciła, łamiącym się głosem. Postąpiła kilka kroków naprzód, stając tuż przed zaporą z drutu kolczastego, o metr przed żołnierzem, który się do niej odezwał. - Błagam - wyszeptowała.

Żołnierz rozejrzał się na prawo i lewo, po czym rzekł półgłosem:

- Posłuchaj, nie możemy przepuścić twojego auta i nawet nie próbuj wjechać do miasta inną drogą. Na wszystkich są blokady. - Zniżył głos do szeptu. - Ale... jest wiele dróg, aby dostać się tam... pieszo... rozumiesz?

Jenny popatrzyła dokoła. Miał rację. Mogła zostawić wóz na poboczu, zejść z autostrady i pójść dalej na piechotę. Żołnierze mogli zablokować wszystkie autostrady, ale, rzecz jasna, Londyn był rozległą aglomeracją, do której można było dotrzeć nie tylko autostradami - były tu wąskie i mniejsze dróżki, alejki rowerowe i nieużytki zasłane różnymi śmieciami.

Pokiwała głową i podziękowała za podpowiedź. Wsiadła do samochodu, zawróciła i ruszyła z powrotem wzdłuż M1. Przejechała spory kawałek, by upewnić się, że nie mogli jej już zobaczyć, po czym zatrzymała wóz na poboczu.

- Cóż, najwyżej przejdę pieszo przez północny Londyn, nie ma sprawy - powiedziała do siebie. - Jak to daleko? Dzień marszu?

Dzień, o ile nic mnie nie zatrzyma.

Zdołała dotrzeć tak daleko. Od domu dzieliło ją zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów. Już blisko. Poprzysięgła sobie, że nic jej już nie zatrzyma. Wysiadła z samochodu i powiodła wzrokiem po przemysłowej dzielnicy, którą było widać z pobocza. Ani żywego ducha. Nic nie wskazywało na to, aby działo się tam coś niedobrego.

Choć oczywiście w każde inne piątkowe popołudnie przy tej walcowni powinny się krzątać dziesiątki robotników, niektórzy z nich zwykle pili o tej porze herbatę, inni robili przerwę na papierosa; powinien dymić komin fabryki płytek ceramicznych, a przed

magazynem jeździłby wożący palety wózek widłowy...

Jenny zlustrowała wzrokiem wymarły krajobraz. Poza terenem zakładów przemysłowych, patrząc na południowy zachód ku centrum Londynu, tam gdzie zamierzała się udać, widać było bijące w niebo słupy dymu, nie z fabryk jednak, lecz z wypalonych aut, domów i sklepów - z miejsc, gdzie w ostatnim tygodniu trwały gwałtowne rozruchy.

Tam coś się działo, tam byli ludzie.

Tam są moje dzieci.

Wzięła dwie ostatnie butelki z wodą i włożyła do torby. Zatrzaskała drzwiczki auta, przeszła przez pobocze i przełożywszy nogę nad sięgającą do pasa metalową barierą, stanęła na trawiastym nasypie. Opadał ku opuszczonym zakładom przemysłowym.

- No dobrze - mruknęła do siebie.

We wtorek lub środę nie odważyłaby się przejść samotnie bez broni przez taką okolicę. Ale dziś był piątek. Ostatnie dwa dni na stacji benzynowej i noc w Travelodge odmieniły ją. Wiedziała, że w razie potrzeby umiałaby sobie poradzić, zrobiłaby to, co konieczne, aby przeżyć. Dostrzegła krótką metalową rurkę leżącą przy budynku walcowni. Schyliła się, podniosła ją i zważywszy najpierw w jednej, później w obu rękach, zamachnęła się kilka razy, a głośny świst, kiedy rurka przecinała powietrze, dodał jej otuchy.

To na razie wystarczy.

Gdyby napotkała po drodze jakiegoś młodego ogiera, który zechciałby się z nią zabawić, postanowiła, że najpierw walnie go rurką, a ewentualne pytania odłoży na później.

Spojrzała na zegarek. Było prawie wpół do piątej; uznała, że do zmierzchu zostało jeszcze około czterech godzin. To sporo czasu, aby znaleźć jakiś bezpieczny ciemny kąt, w którym mogłaby się zaszyć, podczas gdy szaleńcy, gangi i kto tam jeszcze znajdował się obecnie na szczycie łańcucha pokarmowego drapieżców, będą kontynuować nocną zabawę.

Prawie jestem w domu.

Jutro z samego rana powinna wreszcie dotrzeć do celu.

A Leona i Jacob będą tam, wystraszeni, to pewne, ale zdrowi i cali.

Raz jeszcze zamachnęła się metalową rurką i uderzyła nią w otwartą dłoń. Towarzyszący temu odgłos wydał się jej zadowolający

- No dobrze - powtórzyła, a jej głos odbił się echem od metalowych ścian pobliskiej walcowni.

Rozdział 74

godz. 22.27 czasu lokalnego
nad Europą

Andy wyjrzał przez okno boeinga 727, To była cywilna maszyna należąca do floty Gojet; jeden z samolotów obsługujących europejskie trasy w dni świąteczne. Znajdowali się teraz nad terytorium Węgier, niedaleko Budapesztu. Na zewnątrz było ciemno, choć oko wykol. Żadnych pomarańczowych punkcików znamionujących główne autostrady ani minikonstelacji bursztynowych gwiazd oznaczających większe lub mniejsze miasto - jedynie nieprzenikniona czerń.

Samolot był wypełniony do ostatniego miejsca, wszystkie fotele zostały zajęte, głównie przez żołnierzy z różnych jednostek; żaden z nich nie miał przy sobie ryszunka, uprząży bojowej ani broni. Pośród nich garstka cywilów, prywatnych ekspertów, jak Andy, którzy utknęli w tym chaosie, ale mieli dość szczęścia, by załapać się na pospiesznie zorganizowany lot repatriacyjny.

Westley siedział obok niego, reszta plutonu - zaledwie sześciu ludzi - w dwóch rzędach, po trzy fotele za nimi. Wszyscy byli pogrążeni we śnie.

- Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu wracamy do domu - rzekł starszy kapral. Skinął w stronę okna. - Co widać na zewnątrz?

- Nic. Kompletnie nic. - Andy odwrócił się do niego. - Odkąd wystartowaliśmy, nie zobaczyłem ani jednego światła.

- A więc nie jest dobrze, prawda?

- Nie jest.

- Czy myślisz, że u nas... jest równie źle jak tam... skąd się właśnie wydostaliśmy? - Westley przekrzywił głowę i wskazał ręką za siebie.

- Nie wiem. Myślę, że sytuacja robi się tam coraz bardziej rozpaczliwa. To już prawie tydzień, odkąd nie ma ropy. Nie wiem, jak sobie radzą. Chciałbym usłyszeć jakieś wiadomości.

- Chłopak z jednej z innych jednostek mówi, że są miejsca, gdzie jest całkiem dobrze, i takie, gdzie jest naprawdę paskudnie. Na przykład w Londynie panuje kompletny chaos, ale są miasta, gdzie jest względnie spokojnie.

Andy pokiwał głową. Mógł sobie wyobrazić, jak teraz wygląda Londyn. To niełatwe miejsce, aby zaprowadzić porządek. Był zbyt wielki, zbyt przeludniony. Domyślał się, że w wielu mniejszych miasteczkach, gdzie mieściły się koszary i bazy wojskowe, a także na terenach wokół newralgicznych placówek, składów paliw i magazynów żywności zapewniono jaki taki ład. Jednak resztę kraju, zwłaszcza duże aglomeracje miejskie, pozostawiono - jak sądził - samym sobie. Oczywiście wyobraźni widział farmerów wycierających z kurzu stare strzelby i wymieniających pociski z drobnym śrutem na coś grubszego, zazdrośnie strzegących swoich skromnych poletek; widział też właścicieli małych sklepików, tych, których nie zdołano jeszcze ogołocić z towaru, barykadujących się w środku, uzbrojonych w kije bejsbolowe i rzeźnicze noże.

Jak długo potrwa taki stan rzeczy?

Domyślał się, że w najlepszym razie miesiąc lub dwa. Tyle mogła zająć naprawa uszkodzonej infrastruktury naftowej: wysadzonych odcinków rurociągów i rafinerii, w których dokonano aktów sabotażu.

Możliwe, że jakiś czas później handlowa komunikacja lotnicza zostanie przywrócona i z Afryki Południowej znów przybędzie transport pomarańczy, jagnięcina z Nowej Zelandii i brukselka z Rumunii.

Wielkie kompanie naftowe... rekiny światowego biznesu... to właśnie oni na pierwszym miejscu nasuwali się na myśl, jeżeli chodzi o sprawców tego niebywałego zdarzenia. Ale jak mógł się przekonać Andy, to, co się stało, wywołało nieodwracalne straty na rynku naftowym. A kiedy świat się z tego otrząśnie... o ile w ogóle się otrząśnie, stanie się nadwrażliwy na uzależnienie od ropy i tych coraz bardziej zmniejszających się rezerw surowca, jakie jeszcze pozostały. Nie potrafił odnaleźć żadnego motywu natury ekonomicznej, który mógłby być dla kogokolwiek zyskowny - i to do tego stopnia, żeby uzasadnić taki krok. W tej grze nie było zwycięzców.

Jedynym sposobem, aby odpowiedzieć na pytanie, kto za tym wszystkim stoi, mogło być sprawdzenie tego za kilka miesięcy - albo nawet za kilka lat. Spojrzenie wstecz, aby stwierdzić, kto najmniej ucierpiał albo najwięcej zyskał na całym tym chaosie. Obecnie Andy widział jedynie miliony, setki milionów albo nawet miliardy ludzi, którzy rozpaczliwie walczyli o życie, ponieważ ktoś tymczasowo postanowił zakręcić kurek z ropą.

Jakże kruchy i delikatny jest ten nasz świat.

W swoim raporcie użył pewnej metafory, z której był szczególnie dumny i która, jego zdaniem, odzwierciedlała bardzo wyraźnie słabości i zagrożenia współczesnego świata, pełnego najróżniejszych współzależności. Przerwanie dostaw ropy, choćby na krótko, było

jak zator lub udar, jakiego może doznać człowiek. I tym właśnie okazało się zakręcenie kurka naftowego - globalnym gospodarczym zawałem serca światowej gospodarki.

Jego powieki zaczęły się robić ciężkie. Kojący szum silników odrzutowych niosących ich wysoko w górze nad nieoświetloną Europą podziałał na niego jak proszek nasenny. Nieprzespany tydzień dał mu się w końcu we znaki i głowa opadła Andy'emu na piersi, a ostatnią myślą, jaka zaświtała mu w głowie, było to, że Jenny i dzieciaki z pewnością radzą sobie w tej sytuacji lepiej niż inni.

Rozdział 75

godz. 22.05 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Żli chłopcy wrócili tak jak w minione trzy wieczory, zjawiając się po dwóch lub trzech już po zapadnięciu zmierzchu, kiedy zrobiło się całkiem ciemno. Tej nocy nie byli tak zuchwali jak poprzednio - nie pogwizdywali ani nie pokrzykiwali butnie jak dotychczas.

Uznała, że tej nocy nie chodzi im o rozrywkę. Kierowała nimi konieczność; potrzeba zaspokojenia głodu i pragnienia. Ta niewielka uliczka była ich spiżarnią. Od wtorku zapewniała im przetrwanie. Będą tu wracać, dopóki nie splądrują ostatniego domu, i dopiero wtedy przeniosą się gdzieś indziej.

Dziś po południu wychodziła kilka razy z domu, aby z pomocą narzędzi znalezionych w szafce pod zlewem w domu Jill sporządzić kilka najprostszych pułapek oraz broni. Oby okazały się na tyle skuteczne, że zniechęcą członków gangu i skłonią ich do poszukania sobie jakiegoś innego, łatwiejszego do splądrowania domu.

Jeszcze tylko jedna noc.

Leona była pewna, że mama lub tato zjawią się najpóźniej jutro. Czy to instynkt? A może pobożne życzenie? Lub świadomość, że byłoby nie do pomyślenia, gdyby w ogóle się nie zjawili.

Po odnalezieniu dziś rano ciał państwa DiMarciów, zamartwiając się, że ich dom mógł zostać wybrany przez gang jako następny do ograbienia, przeliczyła domy przy St Stephen's Avenue i oceniła, ile z nich zostało splądrowanych. Przy tej krótkiej zadrzewionej ulicy stało dwadzieścia siedem domów. Do piętnastu, włącznie z ich własnym, członkowie gangu zdążyli się już wdrzeć. Leonę kusilo, aby zajrzeć do środka, ale przypomniała sobie ostrzeżenia taty. Była pewna, że do sześciu domów tamci włamali się ubiegłej nocy. Najwyraźniej nie wydzielali sobie konkretnej liczby budynków, lecz plądrowali je tak długo, dopóki im się nie znudziło. Wszystkie sześć znajdowało się bardzo blisko domu Jill - niebezpiecznie blisko. Prócz domu Jill pozostało jeszcze kilka nietkniętych, otoczonych przez spustoszone budynki.

Patrzyła, jak zbierają się przed wejściem do ogrodu Jill.

Zachowywali się zupełnie inaczej niż poprzednimi wieczorami. Nie byli już tak

bezczelni, zawadiaccy ani hałaśliwi. Chyba nawet do nich zaczęła docierać powaga sytuacji. Nie chodziło już o ubaw, gdy przestaje funkcjonować prawo i porządek; także dla nich sytuacja zaczęła się komplikować. Chodziło o zdobycie tego, czego potrzebowali, aby przetrwać - jedzenia i picia. Łupy z wtorkowej nocy - zapasy z monopolowego, szybko się wyczerpały. Kolejne noce łupieżczych podbojów też zaspokoily ich tylko doraźnie. Znajdowanie zapasów, które pomogłyby im przeżyć, stawało się coraz trudniejsze. Domyśliła się, że już wkrótce, kiedy ogołocą ostatni dom, zwrócą się przeciw sobie, aby zwiększyć w ten sposób szanse przetrwania.

Z tego, co zdołała dostrzec przez żaluzje, wyglądali na trzeźwych, głodnych i spragnionych... a także po raz pierwszy nieco wystraszonych. Może hierarchia w ich grupie zaczęła się zacierać.

- Wrócili? - spytał Jacob, dostrzegając wyraz jej twarzy

- Tak.

Jego twarz stała się szara jak popiół.

Leona wysiliła się na uśmiech.

- Nie martw się, Jake. Mamy naszą specjalną broń. Poradzimy sobie. Pamiętasz, jak się spisał ten dzieciak z filmu *Kevin sam w domu*. prawda? Dał im popalić, no nie?

Jacob pokiwał głową, usiłując wykrzesać z siebie tyle samo zuchwałości, co jego siostra.

Na zewnątrz grupa złych chłopców powiększała się. Zauważyła, że nie było wśród nich Smerfetek. Co to oznaczało? Że pozostawiono je na melinie, gdzie miały być bezpieczne? Polowanie i zbieranie było zadaniem dla mężczyzn, a do nich należało jedynie rozkładanie nóg i zapewnienie chłopcom odrobiny rozrywki?

A może po prostu znudziły im się i pozbyli się ich?

Zauważyła starszego chłopca, tego, który przedwczoraj w nocy zadźgał drugiego nożem. Stał pośrodku ulicy w koszulce z logo Nike. Widziała, jak mówił coś, mocno gestykulując jak prawdziwy chłopak z ulicy. Najwyraźniej pełnił funkcję ich przywódcy, bo inni, młodszy, niżsi i mniej pewni siebie, tylko potakiwali, wsłuchując się w to, co mówił.

I nagle zrozumiała, czemu wydał się jej znajomy. Widziała go już wcześniej. Z bliska.

50 Cent.

Jeden z trzech, którzy zaatakowali ją i Dana w środę. Przyłgnęła do szyby, aby lepiej mu się przyjrzeć.

Tak. To on.

On i jeden z jego blockersów rzucili się w pościg za Danem i - czego była już niemal pewna - zabili go.

Nagle tamten machnął ręką w stronę Leony i wszyscy członkowie gangu spojrzeli w jej kierunku.

Cholera.

Odsunęła się od okna, licząc, że tamci nie zdążyli jej zobaczyć. 50 Cent wskazał następnie na dom naprzeciwko, a tamci natychmiast odwrócili wzrok w tę stronę.

Zastanawiają się, do którego domu mają się teraz wedrzeć. Entliczek, pentliczek.

Bawili się w wyliczanki.

Sięgnęła po broń, kij do palanta z powbijanymi w niego piętnastocentymetrowymi gwoździami. Trochę za bardzo się rozpędziła z tymi gwoździami i drewno na końcu kija zaczęło pękać. Musiała owinąć go taśmą klejącą, żeby całkiem się nie rozpadł. Nie była pewna, czy nie pęknie przy pierwszym uderzeniu - ale to wszystko, co miała.

Jacob trzymał w ręku plastikowy kij. Leona wbiła w niego kilka mniejszych gwoździ. Uznała, że gdyby Jacob uderzył nim kogoś w twarz, mógłby zapewne wyrzucić mu niewielką krzywdę. Przez całe popołudnie chłopiec ćwiczył, wymachując kijem i imitując uderzenia.

Leona martwiła się, że jej brat przypadkiem sam zdzieli się kijem i będzie musiała zabandażować mu głowę.

Mogli opuścić dom dziś po południu - zabrać kilka butelek wody i ruszyć w drogę. Ale dokąd? Dlatego postanowili zostać. To jedyne miejsce, do którego mogą dotrzeć ich rodzice. Gdyby zostawili ten dom, byłiby zdani wyłącznie na siebie.

Chłopiec ścisnął mocno w dłoni swoją niesprawdzoną broń, która jednak wyraźnie dodawała mu pewności siebie - nie czuł się bezradny. To było dla niego jak bezpieczny ciepły kocyk.

50 Cent, niekoronowany przywódca gangu, ten, którego widziała, gdy ugodził młodego chłopaka poprzedniej nocy, przestał mówić i w milczeniu spojrzął najpierw w kierunku Leony, a potem na dom naprzeciwko. To on podejmował decyzję.

Błagam nie... nie.

Skinął ręką w stronę domu naprzeciwko, a Leona aż odetchnęła z ulgą. Żli chłopcy odwrócili się do niej plecami i ruszyli całą chmarą w stronę domu naprzeciwko. Leona zauważyła, jak w jednym z okien zafalowała zasłona i przypomniała sobie nazwisko rodziny, która tam mieszkała: McAllisterowie. Wprowadzili się niedawno, zaledwie pół roku temu. Przypomniała sobie, jak mama mówiła, że jest to miłe młode małżeństwo z małym dzieckiem i niemowlęciem.

Wyobraziła sobie pana McAllistera, tuż za drzwiami, ściskającego w dłoniach jakąś

pro wizoryczną, sporządzoną naprędce broń i dygocącego tak, że jego pięty bębnią o podłogę, ale kierowanego głębokim, płynącym z serca przekonaniem, że póki tchu mu starczy w piersiach, będzie do ostatka walczył za swoją rodzinę, tak jak w obronie swojej żony bił się na gołe pięści pan DiMarcio.

Gang zaczął forsować drzwi frontowe, kopiąc raz po raz w zamek tuż przy framudze.

Spojrzała w stronę drzwi w domu Jill zabarykadowanych ciężkimi meblami, które przyciągnęli tam z Jacobem dziś po południu. Barykada powinna choć odrobinę powstrzymać tę bandę, choć, rzecz jasna, nie zniechęci ich, gdy postanowią za wszelką cenę się wedrzeć.

Frontowe drzwi domu McAllisterów ustąpiły przy kolejnym kopnięciu. Po jeszcze jednym z okolic zamka posypały się drzazgi. Ostatni kopniak i drzwi uchyliły się do wewnątrz. Ubiegłej nocy źli chłopcy gromkimi okrzykami kwitowali każde sforsowane drzwi, jak bywalcy pubu śmiali się na dźwięk upuszczonego dzbanka z piwem. Ale nie dziś. Byli mniej zawadiaccy. Bardziej zdeterminowani. Bardziej skupieni na celu.

Zauważyła, jak wchodzi do ciemnego wnętrza domu.

- Zakryj uszy, Jake - rzekła.

Posłusznie wykonał polecenie.

Chwilę potem rozległy się przerażające, stłumione dźwięki, które spodziewała się usłyszeć - odgłosy ostatniej walki pana McAllistera.

Godzinę zajęło im skończenie tego, co robili wewnątrz domu. Do środka weszli wszyscy, ponad dwudziestu chłopaków. Tym razem nie było wychodzenia na ulicę czy wyrzucania na zewnątrz mebli. Nie wyglądało to już na beztruską imprezę nastolatków. Było znacznie ciszej... rzecz jasna, kiedy ucichły już dochodzące ze środka krzyki.

Niebo całkiem pociemniało. Kiedy w drzwiach frontowych spostrzegła promienie latarek, zrozumiała, że kolej na nich.

- Jacob, idź na górę do naszej kryjówki - wyszeptwała.

- Nie chcę iść sam.

- Na górę! Natychmiast!

Usłyszała jego drżący oddech w ciemnościach... a może to był jej własny?

- Jazda! - wyszeptwała.

Leona poczuła, jak chłopiec sięga jedną ręką, by objąć ją w talii.

- Proszę cię, nie umieraj.

- Cholera... nie zamierzam umierać, jasne? A teraz... idź już.

Puścił ją i usłyszała, jak idzie w stronę schodów.

Na ulicy znów zrobiło się tłoczno, gdy członkowie gangu opuścili dom naprzeciwko. 50 Cent i paru innych wyglądali na lekko rannych. Jeden czy dwóch wyło z bólu wskutek odniesionych ran.

Przez chwilę Leona łudziła się nadzieją, że młody ojciec z naprzeciwka, pan McAllister, zdołał wybić im z głowy bojowego ducha, zanim zakatowali go na śmierć. Ale już po chwili zobaczyła, jak po krótkiej wymianie zdań otwierają furtkę do ogrodu Jill i mała, kilkusobowa grupka podchodzi do drzwi frontowych.

Ścisnęła mocniej trzonek kija.

Pierwsze uderzenia były szybkie i bardzo głośne, łomotanie, które sprawiło, że barykada z mebli ustawiona pod drzwiami niebezpiecznie się zachwiała. Po drugim uderzeniu usłyszała trzask.

Gdyby tylko był tutaj Dan.

Parę kolejnych silnych uderzeń i nagle ujrzała promień latarki przebijający się przez barykadę z mebli. Udało im się wybić niedużą dziurę w drzwiach. Zapaliła latarkę i poświeciła w tamtą stronę. Dostrzegła czyjąś twarz w postrzępionym otworze na wysokości dolnego panelu drzwi.

- Wynocha! - krzyknęła przeraźliwie.

Twarz w jednej chwili zniknęła. Usłyszała głosy na zewnątrz, ciche szepty, jakby tamci naradzali się między sobą. Wreszcie jeden z nich ukląkł i zawołał przez otwór. To był 50 Cent.

- Podejdz i otwórz drzwi!

- Idźcie stąd! - zawołała. - Nic tu nie mamy! Kompletnie nic!

- No jasne - odparł. - Nie pogrywaj ze mną. Otwórz drzwi, bo i tak je wyważymy.

Nie odpowiedziała.

Głos dobiegający przez otwór zmienił ton.

- Posłuchaj, otworzysz nam, podzielisz się tym, co masz, a my cię puścimy.

Chciała zapytać, czy mówi poważnie. Wiedziała jednak, że były to ciche obietnice.

Jego twarz znów pojawiła się w postrzępionym otworze. Poświeciła na niego latarką i odruchowo przymrużył oczy.

- Jak wyglądasz? - zapytał, a potem wyjął latarkę i skierował na nią. Promień światła omiół jej twarz i całe ciało od stóp do głów. - Och, ja cię znam. To ciebie, suko, spotkaliśmy w markecie, no nie? - Znów się zaśmiał, z pozoru zwyczajnie, ale w jej uszach zabrzmiało to raczej jak odrażający rechot.

- Będiesz moja, kiedy tu wejdziemy - uśmiechnął się. Włożył rękę przez otwór, a potem

omiótl latarką barykadę pod drzwiami. - Myślisz, że to nas powstrzyma? - rzucił, śmiejąc się. Po chwili zniknął i usłyszała, jak naradza się z innymi.

Spróbuj dostać się tu inaczej.

Wbiegła do pokoju w chwili, gdy przez okno pośród deszczu odłamków rozbitej szyby wpadła pierwsza cegła.

Pierwszy z wyrostków wdzierał się właśnie do środka przez okno; postawił stopę na leżącej tam desce, szerokiej desce, którą ponabijała dziś po południu długimi gwoździami.

- Oż kurwa! Ja pierdołę... tu coś... kurwa! - ryknął, cofając nogę.

Kolejny zaczął wchodzić powoli przez okno, sięgając obiema rękami, by wyczuć, gdzie położona była deska. Odnalazł ją, wyrwał i wyrzucił do ogrodu.

- Podstępna mała suka. - Usłyszała z zewnątrz głos jednego z nich.

W oknie pojawił się kolejny i wiedziała, że tym razem będzie musiała użyć kija.

Trafiła go w czubek głowy; kilka gwoździ przebiło jego czapczkę bejsbolową i z nieprzyjemnym chrupnięciem wgrzyzło się w czaszkę. Chłopak drgnął konwulsyjnie, unosząc kurczowo jedną rękę, by sprawdzić, co przyczepiło mu się do głowy. Uwolniła broń przy wtórze głośnego, przyprawiającego o mdłości dźwięku, a chłopak wypadł przez okno na zewnątrz.

Usłyszała okrzyki kilku z nich.

- Kurwa! Ta suka zabiła Steve'a! Zabiła Steve'a!

Drugie okno, tuż obok pierwszego, rozprysło się w drobny mak. Zaczekała z uniesionym kijem, ale przez kilka sekund nic się nie działo. Wreszcie spostrzegła w oknie jakiś wielki kształt. Przesłonił promienie latarek i zaczął wdzierać się do środka. Zapaliła swoją latarkę i stwierdziła, że tamci wpychali do środka materac; zamierzali użyć go jako prowizorycznej tarczy za którą mogli się skryć, czekając, aż kolejni wedrą się do domu.

Zamachnęła się kijem, licząc, że zdoła wyrwać materac z rąk tamtych. Gwoździe rozdarły materiał, odsłaniając znajdującą się pod nim gąbkę.

- Jazda stąd! Wynocha! - krzyknęła coraz bardziej piskliwym i łamiącym się głosem.

- Nadchodzimy! - zawołał ktoś z zewnątrz śpiwnym głosem.

Uciekać do kryjówki! I to już!

Zamierzając się kijem w materac i zadając kolejne ciosy, Leona nie zauważyła, gdzie stoi. Plecami niemal dotykała drugiego wybitego okna. Nagle poczuła parę rak chwytających ją za lewy nadgarstek i kolejną dłoń przesuwaną się po ramieniu, by złapać za włosy. Krzyknęła z bólu, gdy dłoń szarpnęła z całej siły, omal nie wyrywając jej pęku włosów z cebulkami.

Boże! Złapali mnie!

Mocno uderzyła głową o framugę, podczas gdy dłońmi z całej siły odepchnęła się od tkwiących w niej nadal postrzępionych odłamków szkła wybitej szyby. I wtedy pojawił się znikąd, wyłaniając się z ciemności salonu; dostrzegła śnieżnobiałą twarz, oczy jak szklane kulki ukryte za szklami okularów, usta wykrzywione grymasem wściekłości. Poczowała podmuch powietrza i zobaczyła tuż obok siebie rozmytą jasnoniebieską smugę. Plastikowy kij trafił w przedramię tego, który trzymał ją za włosy

- Puść moją siostrę! - zawył Jacob. Wyrwał kij, pozostawiając na ciele tamtego kilka otworów, a potem uderzył ponownie.

Dłoń natychmiast puściła i znikła za oknem, zabierając ze sobą wbity w nią plastikowy, najeżony gwoździami kij.

Leona schyliła się i wbiła zęby w dłonie trzymające ją za nadgarstek. One także puściły. Materac został już wepchnięty do salonu i poczuła, że ona i Jacob stracili swoje główne atuty Tamci i tak wedrą się do domu.

Wzięła Jacoba za rękę i wyprowadziła go z salonu do holu, kierując się ku schodom na górę.

Rozdział 76

**godz. 22.09 czasu
Greenwich Londyn**

Kiedy niebo zaczęło ciemnieć, zrozumiała, że ma tylko tyle czasu, ile pozostało do zapadnięcia nocy. Jenny uznała, że po zmierzchu na ulicach było niebezpiecznie. Kawałek rury znalezionej wcześniej tego dnia wydawał się jej potężną maczugą mogącą jednym ciosem pozbawić kogoś życia. Ale takie miała wrażenie za dnia, kiedy było jasno. Wtedy czuła się znacznie odważniejsza. Teraz robiło się już ciemno, a każdy cień zdawał się skrywać w sobie wygłodniałego upiora tylko czekającego na dogodną okazję, by rzucić się na nią, kiedy podejdzie bliżej.

Teraz rura w jej dłoniach wydała się równie skuteczna i groźna jak balony, z których klowni robią na przyjęciach zabawne zwierzaki.

Nogi miała ciężkie, obolałe i z mnóstwem pęcherzy - musiała przejść pieszo z Watford dobrych piętnaście albo dwadzieścia kilometrów.

Po drodze policzyła zauważone osoby: 47 - to wszystko. Większość z nich dostrzegła w oknach domów, wyglądających przez żaluzje i spoza zasłon, inni buszowali w zdemolowanych sklepach albo chowali się w mrocznych skorupach swoich domów.

Kiedy minęła roгатki północno-zachodniego Londynu, wchodząc do Kenton i widząc pierwsze ciała leżące na chodnikach i zasłanych śmieciami ulicach, postanowiła je także policzyć.

Zrezygnowała, gdy doszła do stu.

Obchodząc Wembley od północnego wschodu i widząc w oddali charakterystyczne kształty stadionu, wiedziała, że dotarła do Edgware. Minęła dwudziesta druga, kiedy Jenny uznała, że dobrze byłoby znaleźć jakąś dogodną kryjówkę, gdzie mogłaby przeczekać do rana, mimo iż Shepherd's Bush znajdowało się zaledwie o parę kilometrów stąd. Ironią losu byłoby, gdyby na tak krótkim dystansie padła ofiarą napaści.

Natknęła się na sklep meblowy, z którego wyniesiono część sprzętów. Zabawne: ktoś pomyślał, że właśnie teraz nadarza się okazja, by zdobyć upragnioną skórzaną kanapę czy fotel. Była przekonana, że w środku raczej nikt się nie czai. Nie było tu wody ani jedzenia. Miejsce sprawiało wrażenie względnie bezpiecznego.

Znalazła wygodną kanapę we frontowej części sklepu, skąd mogła wyglądać na ulicę przez nietkniętą szybę wystawową i gdzie przed spojrzeniami innych chroniło ją wysokie oparcie i boczne podłokietniki kanapy. Bezpiecznie, miękko i wygodnie - idealne miejsce, aby zwinąć się w kłębek i leżeć cichutko, obserwując ciemniejące niebo i czekając na wschód słońca. Dopięła resztkę wody z ostatniej butelki.

Obudziła się gwałtownie. Było ciemno. Fosforyzujące wskazówki jej zegarka pokazywały 22.31. Coś ją obudziło. Jakiś dźwięk? Nic teraz nie słyszała.

W sklepie było całkiem ciemno.

Na zewnątrz natomiast mrok nocy rozjaśniała słaba poświata księżyca. Nie potrafiła wychwycić żadnych szczegółów, jedynie zarysy budynków naprzeciwko. Nie dostrzegła żadnego poruszenia. A jednak coś obudziło ją z głębokiego snu. To musiało być coś głośniego, skoro ocknęła się tak gwałtownie.

I nagle zdała sobie sprawę, że to nie było nic z zewnątrz, żaden hałas z ulicy. Nie obudziło jej też nic, co znajdowałoby się w sklepie, obok niej. To było w niej samej. Wewnętrzny alarm, przeraźliwy, ostrzegawczy wrzask, głos intuicji informujący ją, że coś złego dzieje się właśnie teraz z jej dziećmi.

- O nie - wyszeptała do siebie.

Złajała się w myślach, odzyskując resztki zdrowego rozsądku.

To tylko koszmar, Jenny, Bóg jeden wie, że po tym, co przeszłaś w tym tygodniu, długo powinnaś mieć same koszmary...

Tak... koszmar. To było to. Ale odczucie było naprawdę silne; wszechogarniające wrażenie, że jest ścigana, osaczana i ucieka przed niechybną śmiercią.

Typowe dla większości koszmarów, Jen. To nie to, co myślisz.

Naprawdę? Instynkt macierzyński? Oczywiście, że nie. Upomniała się, że tego typu bzdety były dobre w rubrykach z listami do redakcji najróżniejszej prasy kobiecej albo w tzw. opowieściach z życia wziętych, gdzie przygłupie mamuśki opowiadały o przeczuciach związanych z ich dziećmi rozpaczliwie potrzebującymi pomocy.

Ale to doznanie było tak dojmujące, tak realne, że Jenny mimowolnie usiadła i przyłożyła rękę do piersi. Poczowała ból, coś w jej wnętrzu sprawiało, że cierpiała fizycznie jak przy wrzodzie żołądka, który jakimś cudem zagnieździł się wyżej, w klatce piersiowej.

- Błagam... błagam - zawołała, wielkie łzy spływały w absolutnej ciemności po jej twarzy, a dłoń desperacko rozmasowywała mostek.

Ogarnęła ją przemożna chęć, aby wybiec na ulicę i pognać jak najszybciej w stronę

domu. Ile jej jeszcze zostało do pokonania... może jakieś dziesięć kilometrów? Mogłaby znaleźć się w domu w ciągu godziny. Ale na zewnątrz było tak ciemno... w którą stronę powinna pobiec? Mogłoby się okazać, że w ciemnościach pomyli drogę i nad ranem znajdzie się gdzieś na dalekich przedmieściach Finchley.

Twoje dzieci cię potrzebują, Jenny, ale musisz być rozsądna. Nie możesz zachowywać się bezmyślnie, to był tylko zwykły koszmar. Połóż się. Odpocznij. To tylko zły sen... tylko zły sen. Już jutro zobaczysz się z dziećmi.

Jenny zrobiła, co podpowiadał jej głos rozsądku. Położyła się. Ale nie była w stanie usnąć.

Rozdział 77

godz. 22.11 czasu

Greenwich Shepherd's Bush, Londyn

Leona zaciągnęła Jacoba na górę.

Na piętrze pobiegli przez podest i wpadli do gościnnej sypialni Jill. W rogu pomieszczenia znajdowała się umywalka. Była popsuta. Jill miała się tym zająć, ale - jak powiedziała - *ciężko w Londynie o dobrego hydraulika*.

Umywalka była wpuszczona w ścianę, a wnękę w ścianie poniżej, gdzie kiedyś zostaną poprowadzone rury, zabezpieczono płytą ze sklejki i drzwiczkami dobranymi tak, by pasowały kolorem do ściany sypialni.

Leona wiedziała, że zmieszczą się tam oboje, wypróbowali to dziś po południu. Po namyśle wyjęła spod zlewu w kuchni jedną z perkalowych ściereczek Jill i przypięła ją pinezkami do ściany, aby jeszcze lepiej przesłonić fragment ścianki. Miała nadzieję, że żadnemu ze złych chłopców nie wpadnie do głowy, aby zajrzeć pod ścierkę i pociągnąć za mały mosiężny uchwyt.

Na to w każdym razie liczyła.

Uniosła jeden z rogów ścierki i otworzyła drzwiczki.

- Wchodź.

Jacob wpełzł do środka. Wgramoliła się za nim, podciągając kolana pod brodę i oplatając je mocno ramionami; skulona i przygarbiona, z trudem mieściła się obok niego. Pociągnęła drzwiczki ku sobie, mając nadzieję, że ścierka nie zaczepi się o uchwyt i opadnie swobodnie, przesłaniając ich kryjówkę.

- Czy jesteśmy bezpieczni, Lee? - wyszeptał Jacob.

- Tak. Jesteśmy bezpieczni. Ale bądź teraz cicho, dobrze?

Poczuła, że drży, kiedy bezgłośnie pokiwał głową.

Hałasy z dołu świadczyły, że kilku z nich dostało się do wnętrza domu. Słyszała, jak przesuwały barykadę z mebli w głąb holu, a potem bezceremonialnie i brutalnie je przewracają. Usłyszała kroki w korytarzu, trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek aneksu kuchennego, gdy pierwsi chuligani dotarli tam w poszukiwaniu najważniejszego - czegoś do picia, obojętnie, alkoholowego lub nie. Liczyło się tylko zaspokojenie pragnienia.

Wiedziała, że bez trudu znajdą zapas dwulitrowych butelek z wodą ukryty w składziku i zapewne wypiją wszystko.

W kuchni coś się działo. Usłyszała gniewne krzyki, odgłosy szamotaniny, a następnie bójki. Wyglądało na to, że choć 50 Cent był nominalnie przywódcą, nie istniał ustalony porządek w kwestii podziału łupów. Każdy brał, ile chciał i ile zdołał zgarnąć.

Hałasy z kuchni ustały po kilku minutach... Zaspokajali pragnienie.

Cały msz zapas wody przepadnie.

W innych okolicznościach ta myśl by ją przeraziła; świadomość, że następnym razem może przyjdzie im napić się wody z Tamizy albo z któregoś z cuchnących, pełnego mikrobów zbiorników na wodę na dachu, nagranych od słońca przez ostatnich parę dni.

Na razie jednak koncentrowała się na chwili obecnej, na tym, by nikt ich nie odnalazł przez kolejne dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści minut. To więcej czasu, niż potrzebowali źli chłopcy, aby znaleźć starannie poukładane zapasy wody i żywności, zabrać je, a następnie zdecydować, który dom odwiedzą tej nocy jako następny.

Ale nie tylko o to im chodzi, prawda?

Wzdrygnęła się na samą myśl, jej ramiona i nogi zadrżały gwałtownie.

- Co się dzieje? - wyszeptał Jacob.

- Ciii.

Bo oni nie przyszli tu tylko po wodę i jedzenie? Będą szukać zastępstwa dla Smerfетки, seksualnej niewolnicy. A jeśli będzie miała pecha, skończy jak pani DiMarcio.

Powinniśmy byli uciekać.

Leona zrozumiała, że popełniła poważny błąd, zostając tutaj. Powinni byli uciec stąd jeszcze po południu. Ci chłopcy na dole - nie, „chłopcy” było niewłaściwym słowem - Leona zdała sobie sprawę, że w ostatnich dniach już tak o nich nie myśli. Teraz postrzegała ich jak dzikie stworzenia, drapieżniki, ogry, trolle albo gobliny. Przywodzili jej na myśl stado pawianów, które kiedyś widziała podczas rodzinnej wyprawy do zoo, wiele lat temu - myślące jednotorowo zwierzęta, kierowane siłą najprostszych potrzeb: zaspokojenia pragnienia, głodu... seksu.

Boże, trzeba było wynieść się stąd dziś po południu.

Usłyszała kroki na schodach - było ich wielu, kilkunastu, może więcej. Wchodzili po schodach, by ją odnaleźć. Bo wiedzieli, że wciąż musi być gdzieś tu, w domu. Wiedzieli o tym i szli po swoją nagrodę.

Leona uświadomiła sobie, że gdyby była bystrzejsza, zostawiłaby tylne drzwi otwarte, sugerując, że ona i chłopiec uciekli, gdzie oczy poniosą. Ale, rzecz jasna, nie myślała

perspektywicznie, nie była na tyle bystra, a oni wiedzieli teraz, że musi nadal ukrywać się gdzieś w domu. Mieli kolejną grę... zabawę w chowanego, gdzie nagrodę specjalną otrzyma ten, kto znajdzie ją pierwszy i wywlecze na siłę z kryjówki.

Drzwi do sypialni gościnniej otworzyły się i czterech czy pięciu z nich weszło do środka. Chichotali. Teraz, kiedy zaspokobili już pragnienie, nadszedł czas na zabawę i gry Podniecenie, ekscytacja, radość z polowania i obietnica zabawy, jaką będą mieli, kiedy ją odnajdą i zaczną gwałcić, sprawiały, że chichotali jak mali chłopcy dzielący między sobą wspólny wstydlivy sekret, żarcik zrozumiwały wyłącznie dla nich. Czują wyraźnie falujące drżenie cienkich jak patyki ramion Jacoba. Oddychał płytko, nerwowo. Gdyby nie to, że tamci robili tyle hałasu, na pewno musieliby go usłyszeć.

- Tsk... tsk... tsk... Hej, cipciu! Cipeńko! - zawołał jeden z nich takim tonem, jakby przywoływał domowego pupila.

Pozostali wybuchnęli śmiechem.

Leona skuliła się jeszcze bardziej, gdy wąska smużka światła prześlizgnęła się po jej dłoni. Ktoś latarką przepatrywał cały pokój i jej promień odnalazł wąską szczelinę w ścianie pod umywalką.

Znów ten chichot... à la Beavis i Butt-head. Kiedyś ta kreskówka wydawała się jej zabawna. Ich chichot, nie wiadomo w sumie dlaczego, zawsze ją śmieszył. Teraz mroził jej krew w żyłach jak dźwięk noża wysuwającego się z pochwy.

Lodowate palce strachu ścisnęły ją za gardło, zbyt długo wstrzymywała oddech, musiała w końcu wypuścić powietrze. Gdy to zrobiła, z jej ust dobył się również cichy zduszony jęk.

- Słyszałeś to?

- Ona tu jest?

- Cholera, chyba tak.

Usłyszała, jak rozchodzą się po pokoju, otwierają drzwi szafy, zaglądną do szafki... a potem dłoń jednego z nich odgarnęła ścierkę i sięgnęła do mosiężnego uchwyty na drzwiczkach poniżej.

O Boże, to koniec.

Leona pochyliła się i ucałowała Jacoba w czubek głowy, bo wiedziała, że nie będzie miała następnej okazji, aby to zrobić.

- Bądź dzielny, Jakey - wyszeptała mu do ucha.

Wołanie z dołu.

Kolejny ponaglący okrzyk, a potem wrzask.

- Co jest? - Usłyszała głos dochodzący z zewnątrz, tuż spoza panelu ścianki.

- Cholera wie.

Leona usłyszała jakiś łoskot na dole, przeraźliwy hałas i szamotaninę, jakby ktoś rozpaczliwie starał się wydostać z zagraconego salonu na ulicę.

A potem rozległ się strzał!

I krzyk jednego z tamtych.

Później dało się słyszeć jeszcze kilkanaście strzałów.

Głos z dołu wołał:

- Pieprzona dresiarzka hołota! Palanty!

Znów łomot i głośny, rozdzierający trzask.

Chłopaków w salonie ogarnęło śmiertelne przerażenie.

- Niech to szlag! Oni mają klamy! - jak nas dorwą, to po nas!

Leona usłyszała ich kroki w sypialni, a potem tupot stóp, kiedy całym tabunem zbiegali po schodach. Hałas dochodzący z dołu trwał jeszcze jakieś pięć minut; krzyki, wrzaski, szamotanina, odgłosy walki i od czasu do czasu suchy rozdzierający huk wystrzału.

Stopniowo zamieszanie zaczęło ustawać, w miarę jak walki przeniosły się z wnętrza domu na ulicę.

Rozróżba trwała jeszcze dobrych parę minut, ale jej odgłosy powoli cichły, gdy najbardziej zacięte walki zaczęły przesuwać się coraz dalej w głąb ulicy.

Aż w końcu zapadła cisza.

- Czy źli chłopcy już sobie poszli, Lee? - wyszeptał Jacob.

- Chyba tak - odparła.

- Czy powinniśmy już stąd wyjść?

Leona nie była jeszcze gotowa na opuszczenie ich małej kryjówki. Było tu ciasno, niewygodnie, duszno i zaczęły jej drętwieć od skulonej pozycji nogi, ale na razie wolała być tu niż gdziekolwiek indziej.

- Może zostaniemy tu jeszcze trochę, co ty na to?

- Pewnie, że tak - odparł Jacob.

Rozdział 78

godz. 23.59 czasu Greenwich

Guildford

Pobożne życzenia się ziściły. Niewyraźnie zaszurały stopy w korytarzu, a po chwili rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Ash zareagował błyskawicznie: odkąd pierwszy raz usłyszał kroki, do chwili, gdy skrzypnęły drzwi, upłynęło zaledwie kilka sekund, ale to wystarczyło, by się ożywił i był gotów rozprawić się z każdym towarzyszem podróży, którego mogła tu przyprowadzić.

Kiedy weszła sama, mimo iż było całkiem ciemno, natychmiast zorientowała się, że coś jest nie tak.

Zanim zdążyła się odwrócić i wyjść, już był przy niej, oplatając ramieniem jej szyję, przykładając ostrze noża do policzka i nachylając się tak, że niemal dotykał ustami jej ucha.

- Kate, wieki na ciebie czekałem.

Krzyknęła, lecz natychmiast stłumił ten dźwięk, zatykając jej usta dłonią.

- Już myślałem, że nigdy nie wrócisz do domu, Kate.

Zaczęła się szamotać w jego mocnym uścisku.

- Spokojnie, nie szarp się tak. Mógłbym ci wykłuć oko.

Kate spuściła wzrok na lśniący przedmiot tuż przy jej twarzy i w jednej chwili przestała się wrywać.

- Tak lepiej. A teraz chciałbym chwilę z tobą pogawędzić, Kate. Usiądźmy Zapalimy świece, abym mógł widzieć, co robisz, dobrze?

Pięć minut później na talerzu stała przyniesiona z kuchni zapalona świeca zapachowa. Kate siedziała na podłodze z rękoma sklejonymi taśmą za plecami, a Ash kucał przy niej, kołyszając trzymanym w dłoni nożem jak wahadłem tuż przed jej twarzą.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że mógł to lepiej rozegrać.

- Proszę! Proszę - wychlipała.

Ash pokpił sprawę. Każdemu może się zdarzyć, skonstatował. Myślisz sobie, że jesteś najlepszy w tym, co robisz, a potem uświadamiasz sobie, że wciąż popełniasz błędy.

Jego błąd polegał na tym, że pozwolił, by Kate domyśliła się, iż chodzi mu o córkę Sutherlanda. Mógł... ba, powinien sprawić, żeby sądziła, iż idzie o Jill. Kate, rzecz jasna, nie

dbała o przyjaciółkę siostry. Powiedziała, że spotkała ją raz czy dwa, Jenny od czasu do czasu o niej opowiadała... ale z pewnością nie ryzykowałaby życia, aby ochronić tę kobietę. Wydawało się natomiast, że była gotowa wytrzymać sporo, by ocalić dzieci swojej siostry.

- N-n-nie wiem, gdzie ona mieszka... proszę...

- Czy mieszka blisko nich?

Na jej twarzy pojawił się cień jakiejś reakcji, jeden z tych mimowolnych mikrotyków, które trudno kontrolować i na które wyszkolony specjalista od prowadzenia przesłuchań, negocjator zajmujący się uwalnianiem zakładników... czy choćby handlowiec robiący interesy na dużą skalę stara się zwracać uwagę bardziej nawet niż na wskazania wariografu.

- A więc mieszka gdzieś w pobliżu? - rzekł z uśmiechem.

Kate pokręciła głową.

- Za późno, Kate. Jesteś bardzo ekspresyjna i twoja śliczna buzia właśnie mi to powiedziała. Podejrzewam, że teraz wystarczyłoby już tylko wziąć do ręki książkę telefoniczną, odnaleźć wszystkie J. Harriotts i znaleźć adres najbliższy domu, pod którym mieszka twoja siostra. Ale za dużo z tym zachodu. I wiesz co? Czas mnie goni. Będzie łatwiej, jeśli sama mi powiesz... Co ty na to?

Pokiwała głową.

Ash westchnął.

- O rany. - Delikatnie przycisnął czubek noża do jej lewego policzka, tuż pod okiem. - Jak to zrobimy? Zaczniemy od palców? Czy może od twojej twarzy? Jak uważasz?

- P-p-proszę nie rób mi krzywdy - wyszeptała.

Pogładził zarost na brodzie - zwykle miał starannie przyciętą bródkę, ale przez ostatnie dwa dni trochę się zapuścił i wyglądał ciut niechlujnie.

- Masz bardzo ładną twarz, Kate. Byłoby strasznie, gdybyś nie miała nosa, prawda? Albo gdybyś straciła dolną wargę.

- O Boże, n-nie! - jęknęła.

Uśmiechnął się i spojrzał na swój nóż.

- Przez lata to wąskie ostrze sporo się napracowało. Wbijałem je w ciała wielu różnych ważnych ludzi... o kilku z nich może nawet słyszałaś, o ile przeglądasz uważnie niedzielne wydania gazet. Nie martw się, będziesz w dobrym towarzystwie.

Kate stłumiła w sobie szloch.

- Nóż jest bardzo ostry, nie musiałbym się nawet specjalnie wysilać, aby przeciąć skórę i chrząstki tego twojego ślicznego noska.

Wzdrygnęła się i łza spłynęła po jej policzku. Ash otarł ją czule.

- Myślę, że jesteś już gotowa, aby mi to powiedzieć prawda?

Skinęła głową.

- No to słucham.

- C-co chcesz zrobić z m-moją siostrzenicą? - wyszeptała Kate.

Uznał, że tym razem dobre kłamstewko będzie w pełni usprawiedliwione.

- Chcemy z nią tylko pomówić, Kate. To wszystko. Ma to związek z pracą jej ojca.

- N-nie zrobisz jej krzywdy?

Ash pokręcił głową.

- To jeszcze dziecko. Za kogo ty mnie uważasz? Na Boga, mam siostrę w jej wieku. Nie, Kate, nie skrzywdzę jej. Ale muszę z nią jak najszybciej porozmawiać.

Znów spojrzała na nóż oddalony o centymetry od jej twarzy.

- Kim jesteś? - spytała.

Ash aż wybałuszył oczy ze zdziwienia!

- No, no, teraz to ty mnie zadajesz pytania? - zaśmiał się.

Ona też uśmiechnęła się niepewnie w nadziei, że to mogło jej jakoś pomóc.

- Skoro pytasz, jestem z tajnych służb, ale, rzecz jasna, nie mogę zdradzić z jakiego wydziału. Powiem tylko, że wykonuję ważną misję z ramienia rządu.

Wiedział, że to nie zabrzmiało przekonująco, ale przerażona, zdesperowana Kate może dać się nabrać.

- A-ale nie masz wcale brytyjskiego akcentu - rzekła z powątpiewaniem w głosie.

Cóż, warto było spróbować.

Ash uśmiechnął się.

- Masz rację, nie jestem Brytyjczykiem, ale uwierz, jeżeli zaraz nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, okaleczę cię w naprawdę potworny sposób.

- Jill mieszka przy tej samej ulicy co oni - rzuciła natychmiast Kate.

Ash skrzywił się.

Wiedziałem.

- A konkretnie?

- ...Parę domów dalej, po drugiej stronie ulicy

Widziałeś ją, ty pieprzony idioto. Widziałeś ją, prawda? Rozładowywali furgonetkę... a potem, kiedy wyglądała przez okno w tamtym domu, spojrzała wprost na ciebie.

Zaklął pod nosem. To mogła być ona. W obu wypadkach nie był na tyle blisko, by móc się jej dobrze przyjrzeć, ale chyba tak, kiedy się teraz nad tym zastanowił, to faktycznie była ta dziewczyna ze zdjęcia - miała tylko inny kolor włosów i była szczuplejsza niż na fotografii.

Przypomni  sobie nawet,  e zwr ci  uwag  na pewne podobie stwo, ale, na mi o  bosk , kto by by tak g pi, aby ukrywa  si  pi cdziesi  metr w od domu?

Cholera.

M g  j  dopa  si  ju  wczoraj.

Kate spojrzala na niego z przeje ciem, dostrzegaj c gniew i wyraz zadumy na jego twarzy.

- Co zamierzasz ze m-mn ...?

- Och, stul dzi b! - warkn  z irytacj  w g losie, b yskawicznie przecia aj c ostrzem no a po jej gardle i odstepuj c do ty u o krok, kiedy z rozplataney t tnicy buchn ła krew, zalewaj c nieskazitelnie kremowy dywan na wprost niej.

Wyta  ostrze, a ona tymczasem otr sn ła si  z szoku i zda  sobie spraw , co si  w alnie sta . Wi a si  po pod odze, pr buj c uwolni  r ce. Ash nie mia  pojecia, czemu to robi a, przy o enie r k do rozplataney t tnicy szyjnej i tak nic by teraz nie da .

Spojrzal na ni  i u miechn  si .

- To nic osobistego, Kate. Po prostu z regu y wol  pozostawi  po sobie zw oki ni  gadatliwych  wiadc w.

Pr bowa a co  powiedzie , ale z jej ust doby  si  tylko zduszony bulgot, po czym osun ła si  do przodu, na kolana, opieraj c si  czo em o dywan. Krew zacz ła si  rozbryzgiwa  woko o, gdy rana na jej szyi otworzy a si  jeszcze bardziej.

- Grzeczna dziewczynka, w ten spos b szybciej b dzie po wszystkim. - Ruszy  w stron  frontowych drzwi. - Wobec tego ja ju  p jd .

Sobota

Rozdział 79

godz. 4.21 czasu Greenwich

Heathrow, Londyn

Wylądowali na lotnisku Heathrow kilka minut po czwartej nad ranem.

Andy obudził się z głębokiego snu dwadzieścia minut przed końcem lotu. Najwyraźniej jego ciało musiało wyczuć zmianę ciśnienia lub może obudził go narastający gwar i ożywienie dokoła. Gdy kilka razy wyrztał przez okno, w miarę jak samolot obniżał powoli pułap lotu, zobaczył tę samą czarną pustkę - żadnej aktywności - jak wcześniej nad Europą.

Dopiero przy ostatnim podejściu na Heathrow zauważył ciąg świateł oznaczających pas do lądowania, a na niebie pulsujące lampy nawigacyjne kilkunastu innych maszyn, które właśnie miały lądować lub niedawno wzbiły się w powietrze.

Nie było komunikatów od kapitana. Cały lot odbywał się w osobliwej ciszy Wylądowali ciężko, odbijając się kilka razy kołami, po czym szybko zjechali z głównego pasa, podążając za wojskową ciężarówką zamiast jak zawsze za lotniskowym łazikiem.

Gdy w końcu samolot zatrzymał się wśród wielu innych maszyn wojskowych, transportowców hercules C-130, tristarów oraz odrzutowców pasażerskich, po raz pierwszy usłyszeli głos pilota.

- Ee... tu mówi wasz pilot, kapitan Andrew Melton. Przylecieliśmy samolotem Gojet, który obecnie pełni służbę jako jednostka wojskowa. Wróciliśmy do domu, znajdujemy się na terytorium Wielkiej Brytanii - zmęczony głos płynął z głośników w kabinie. Kilku żołnierzy zareagowało gromkim aplauzem. - Ale... jak się zapewne domyślacie... w ciągu ostatniego tygodnia w Wielkiej Brytanii wiele się zmieniło. Od kontroli lotów dowiedziałem się właśnie, że Heathrow znajduje się od dwóch dni pod jurysdykcją wojskową.

Andy widział przez okno, jak ze stojącego nieopodal easy jeta 727 wysiadają pasażerowie. Byli to głównie wojskowi, choć dostrzegł wśród nich kilku cywilów, parę kobiet i jedno lub dwoje dzieci.

Szczęściarze. Ale mieli wakacje.

Pierwszeństwo w powrocie do kraju mieli, rzecz jasna, wojskowi. Nie chodziło o cywilów, którzy utkwili gdzieś na urlopiach i wakacjach, lecz o żołnierzy. Zważywszy na obecną sytuację, Andy uznał to posunięcie za całkiem logiczne.

- Powiedziano mi, że najpierw samolot mają opuścić wojskowi, a dopiero potem cywile - rzekł kapitan. - Nie wiem, jakie wdrożono tu procedury odpraw, ale wszyscy pasażerowie zostaną im poddani po opuszczeniu maszyny. Właśnie takiego zwrotu polecono mi użyć.

Westley spojrział na Andy'ego i skinął głową.

- Wygląda na to, że tu nasze drogi się rozchodzą.

- Taa.

Obaj wyrzeli przez okno na lądowisko skąpane w świetle reflektorów. Widzieli kolejki osób, które właśnie opuściły samoloty, ciągnące się przez całą połąć lotniska aż do odległego terminalu. Kiedy pasażerowie wysiadali z kolejnych maszyn, czuwali nad nimi uzbrojeni żołnierze wyglądający jak strażnicy więzienni konwojujący groźnych przestępców.

Pilot znów się odezwał:

- Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, z tego, co się dzieje. Od czasu wybuchu tego kryzysu w poniedziałek władzę przejął sztab kryzysowy i na terenie całego kraju ogłoszono stan wyjątkowy. Nie wiem konkretnie, jakie obowiązują zakazy, ale z całą pewnością wszystko się pozmieniało... ee... chwileczkę.

Z głośników dobiegł trzask, kiedy pilot zmienił kanał, i teraz słychać było już tylko cichy szum.

- Okej - z głośników znów popłynął głos pilota. - Przystawiają nam schodki. Kiedy drzwi się otworzą, proszę cały personel wojskowy o opuszczenie maszyny.

Andy usłyszał cichy stukot, kiedy ruchome schody podjechały i lekko uderzyły w kadłub. Po chwili drzwi samolotu otworzyły się z głośnym szczęknięciem. Do wnętrza wtargnął hałas z zewnątrz: jęk silników odrzutowych stojących opodal samolotów, odległy ryk odrzutowca, którzy szykował się do lotu, i wycie innego, który właśnie wylądował.

Westley odpiął pas bezpieczeństwa i stanął w głównym przejściu między fotelami. Przeciągnął się ze znużeniem, a potem powiódł wzrokiem po niedobitkach ze swojego plutonu.

- Ruszcie się, chłopcy - powiedział. - Hej, Derry, obudź się, mięczaku.

Przejście wypełniło się żołnierzami, w większości rozebranymi do oliwkowych podkoszulków, z pustynnymi bluzami kamuflażowymi przewiazanymi wokół talii lub przewieszonymi przez ramię. Andy rozejrzał się dokoła: na miejscach pozostało około dwudziestu ludzi, głównie cywilnych doradców, takich jak on.

W przejściu z przodu pojawił się oficer.

- W porządku, chłopcy, idziemy. Zejdźcie po schodkach, na zewnątrz czeka już na was ciężarówka - zawołał donośnie.

Westley odwrócił się do Andy'ego i wyciągnął rękę.

- To chyba tyle.

Andy uściśnął mu dłoń.

- Ano tak. Uważaj na siebie, dobra? Za dużo razem przeszliśmy, abyś miał teraz dać się przejechać jakiemuś wózkowi bagażowemu.

- Święta racja, sir - zaśmiał się starszy kapral.

- Wiesz co? Może nawet pozwolę ci, żebyś mówił mi „Andy”, a nie „sir”.

- Przepraszam. Kwestia przyzwyczajenia.

- Uważaj na siebie, Westley

- Najgorsze mamy już za sobą. Tu chyba gorzej już być nie może?

Andy pokiwał głową.

- Pewnie tak.

- Może się spotkamy, kiedy sytuacja trochę się poprawi?

- Stawiam piwo tobie i całej reszcie plutonu - rzekł Andy.

Westley zaśmiał się.

- Pewnie tego pożałujesz. - Puścił jego dłoń. - Trzymaj się, Sutherland.

- Ty też.

Westley pokiwał głową, uśmiechnął się, a potem powoli oddalił. Powiedzieli sobie wszystko, co było trzeba. Starszy kapral odwrócił się do swoich ludzi.

- Dalej, chłopcy, słyszeliście, co powiedział oficer, wykonać rozkaz, z życiem! - warknął.

Żołnierze z jego plutonu przeszli obok Westleya, a mijając Andy'ego, kolejno się z nim pożegnali.

- Powodzenia, chłopaki - rzekł Andy, patrząc, jak jeden po drugim opuszczają maszynę.

Westley już miał pójść za nimi, gdy nagle przystanął, zawrócił i pochylił się nad fotelem tuż przy Andym.

- Nawiasem mówiąc, zostawiłem ci mały prezent - wyszeptał - może ci się przydać.

Andy odprowadził tamtego wzrokiem i dopiero wtedy spojrzał na fotel po prawej. Nic tam nie było. Zaraz potem przeniósł wzrok na oparcie fotela przed sobą i zobaczył, że jedna z torebek „awaryjnych” wydaje się dziwnie pękata. Domyślił się, co to było. Odczekał, aż ostatni żołnierz opuści samolot, i dopiero wtedy sięgnął do uchwyty przy oparciu po torebkę, a następnie zajrzał do środka.

Tak.

Wyjął z niej pistolet oraz dwa zapasowe magazynki i włożył do obszernej kieszeni spodenek przy udzie.

Rozdział 80

godz. 10.03 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Leona drgnęła w absolutnych ciemnościach. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest, i nagle sobie przypomniała. Próbowwała poruszyć rękoma i nogami, ale były odrętwiałe i gdy w końcu zdołała zmusić je do posłuszeństwa, jej kończyny przeszył ból, jakby wbijano w nie tysiące niewidzialnych szpilek.

Otworzyła drzwiczki i do ich kryjówki wpłynęło słabe światło. Dotarło do niej, że musiała zasnąć.

- Chodź, Jakey - rzekła do braciszka.

Poruszył się szybko, ziewając nieznacznie.

Wygramoliła się spod umywalki, pomogła wyjść Jacobowi, po czym, świadomi tego, że w domu wciąż mogą być ludzie z gangu, cichaczem przeszli przez pokój i przystanęli w korytarzu.

Zajrzeli do wszystkich pokoi. Nikogo tam nie było. Pokoje, rzecz jasna, splądrowano. Zeszli na palcach po schodach i natknęli się na prawdziwe pobojuwisko w pomieszczeniach na parterze.

Salon, kuchnia i gabinet Jill były kompletnie zdemolowane. Wydawało się, jakby cały dom został uniesiony na kilka metrów, po czym opuszczony z powrotem na ziemię. Spozrzegła na ścianie salonu rząd postrzępionych dziur i stwierdziła, że to otwory po kulach. Na boazerii i dalej, na parkiecie w holu zauważyła ślady krwi oraz rozmazaną smugę posoki, jakby wleczono tędy ciało lub ktoś ciężko ranny rozpaczliwie czołgał się po podłodze, usiłując ocalić życie.

Barykadę z kuchennych krzeseł, stołu i kilku ciężkich kufrów odsunięto na bok, drzwi frontowe zaś wisiały na ostatniej śrubie przytrzymującej je przy framudze. Zakołysały się przy wtórze lekkiego skrzypnięcia. W kuchni napotkała dwa ciała chłopców młodszych od niej o parę lat, piętnasto-, może szesnastolatków, o gładkich, delikatnych, jakby porcelanowych obliczach. Wydawało się, że spali. Mieli zamknięte oczy i leżeli obok siebie w kałuży niemal czarnej krwi, która przez noc rozlała się po całej podłodze. Kilka szafek kuchennych zostało roztrzaskanych przez kule. Pod stopami odłamki szkła kruszyły się i

pękały na terakotowej posadzce.

Jacob wszedł do środka, zanim zdołała go zatrzymać.

- Och - powiedział.

- Jake... wyjdź stąd... szybko.

Nawet nie drgnął, lecz z fascynacją gapił się na dwa ciała.

- Oni nie żyją, prawda? - spytał z nutą trwogi w głosie.

- Tak, Jake. Oni nie żyją.

- Czy ktoś ich zastrzelił?

- Taa.

W kuchni Leona naliczyła kilkanaście otworów po kulach. Ktoś wystrzelał tu sporo amunicji. Jeden z zabitych chłopców wciąż trzymał w dłoni nóż rzeźnicki, drugi miał kij bejsbolowy

Niezbyt równa walka.

Rozpoznała obu z nich jako członków gangu, który terroryzował tę ulicę przez kilka ostatnich wieczorów. Domyśliła się, że ubiegłej nocy musiało dojść do starcia między złymi chłopcami a jakąś inną grupą, być może konkurencyjnym gangiem z White City.

Ale tamci mieli broń palną.

Wyprowadziła Jacoba z kuchni, dosłownie odciągając go od ciał, którym przyglądał się z głęboką fascynacją.

I wtedy go dostrzegła przez otwarte frontowe drzwi, jak leżał wśród chwastów w ogrodzie przed domem; wychwyciła delikatne poruszenie.

- Wejdź do salonu i zostań tam - poleciła Jacobowi.

- Dlaczego?

- Wyjrzę na chwilę na zewnątrz.

- Bądź ostrożna, Lee - wyszeptał Jake, wchodząc do salonu, by usiąść przed strzaskanym ekranem plazmowego telewizora Jill, jakby chciał go uruchomić telepatycznie.

Leona wyszła z domu i zbliżyła się do ciała wijącego się na ziemi.

Rozpoznała go.

50 Cent.

Gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że został postrzelony w bark. Jego koszulka z logo Nike niemal cała przybrała odcień ciemnej sepii, kiedy tak leżał na kamieniach przylepiony do nich krzepnącą krwią. Wyglądał na osłabionego, w ciągu ostatniej nocy stracił zbyt wiele krwi, by mógł długo pożyć. Leona spodziewała się, że jego podwładni z gangu wrócą po swojego przywódcę.

Najwyraźniej jednak nie.

To tyle w kwestii lojalności grup nieformalnych - wbrew temu, co raperzy mówili o swoich ziomalach, nie łączyła ich wcale braterska więź, byli raczej jak sfera dzikich bestii współpracujących pod czujnym nadzorem samca alfa. A kiedy coś mu się stało, reszta pierzchała, pozostawiając nieszczęśnika, by wykrwawił się na śmierć gdzieś na szorstkim żwirze.

W jednym ręku trzymał pistolet, który rozpaczliwie usiłował podnieść z ziemi, aby wycelować w Leonę, ale tylko szorował nim po kamieniach.

Uniósł wzrok, rozpoznał ją i uśmiechnął się.

- Kochanie - wychrypiał. - Pomóż mi.

Leona uklękła przy nim i sięgnęła po broń. Ścisnął ją mocno, ale rozwarła mu palce i wyłuskała pistolet z jego dłoni bez większego wysiłku.

- Potrzebuję pomocy - wychrypiał z ogromnym trudem.

To był chyba odpowiedni moment.

- Wczoraj w nocy rozpoznałeś mnie, zgadza się? To ty zapytałeś, czy mam fajki przy centrum handlowym.

Tamten nie odpowiedział.

- Co zrobiliście z moim chłopakiem?

50 Cent prawie niedostrzegalnie pokręcił głową.

- Uciekł.

I wtedy spostrzegła wystający spod zaplamionej krwią koszulki wisiołek w kształcie krzyża ankh.

Wisiołek Dana.

Leona wiedziała, że nie musi wychwytywać nieszczerej nuty w głosie tamtego, by wiedzieć, co się stało z Danem. Ruchem tak szybkim, że nie pozostawił chwili na wewnętrzną debatę, przyłożyła pistolet do głowy rannego, zamknęła oczy i pociągnęła za spust.

W ciepłym powietrzu południa unosiła się dławiąca woń, mieszanina fetoru gnijącej kapusty i palonych opon. Dostrzegła na horyzoncie kilka cienkich słupów ciemnego dymu. Londyn nie tyle płonął, ile raczej tlił się w niektórych miejscach. Ale w powietrzu wyraźnie rozchodziła się woń spalenizny. Po chwili Leona uznała, że jednak lepiej będzie oddychać przez usta.

Szli wzdłuż Uxbridge Road zaśmieconej jeszcze bardziej niż we środę, kiedy ostatni raz wyszli z domu. Wśród stert śmieci spostrzegła dwa większe kształty - jak się okazało, przykryte rzeczami ciała. Odwróciła od nich uwagę Jacoba, mijając zwłoki. Przeszli obok

Shepherd's Bush Green, a potem minęli rondo, gdzie zwykle były ogromne korki, mnóstwo aut, furgonetek i ciężarówek trąbiących, ale niemogących się wyrwać z tej ciasnoty. Dziś miejsce to wyglądało niczym olbrzymia wyspa traw z dużą bezsensowną rzeźbą przedstawiającą niebieski termometr pośrodku. Na jego szczycie siedziały wrony i obserwowały ich cierpliwie.

Co się stało ze wszystkimi gołębiami?

Zastanawiała się, czy świat ptaków odzwierciedlał ten ludzki. Wrony były jak członkowie gangu, a gołębie gdzieś się pochowały

- Boję się - szepnął Jacob.

- Bez obawy, teraz mamy to - odparła ze spokojem, zadzierając bluzkę o parę centymetrów, by pokazać pistolet zatknięty za pasek dzinsów.

- Mogę z niego strzelić?

- Nie.

- A ty mogłaś - poskarżył się.

- Wypalił, kiedy go podnosiłam - skłamała, czując nieprzyjemny ucisk w dołku.

Wiedziała, że obraz tego, co się stało, jeszcze przez wiele lat będzie nawiedzał ją w snach.

- A mogę chociaż potrzymać?

- Nie.

Minęli rondo i ruszyli w stronę Holland Park, gdzie rezydencje miały w cenie o jedno zero więcej i wyglądały wspanialej niż ich skromny domek. Zauważyła, że tu oznak plądrowania i zamieszek było znacznie mniej. Ulicę nadal zaścięłały rozmaite odpadki, ale była ona łatwiejsza do przejścia niż te w Shepherd's Bush. Leona domyślała się, że ludzie tutaj nie musieli się uciekać do rabunków. We wszystkich domach były dobrze zaopatrzone spiżarnie, a nastolatki, stojący zwykle na każdym rogu, przebywali teraz zapewne w kilkupoziomowych rezydencjach swoich rodziców, pomagając matce i ojcu uszczuplić zawartość ich piwniczki z winem.

- Jestem pewna, że znajdziemy tu coś do jedzenia i picia - rzekła.

- To miejsce wygląda znacznie lepiej niż nasza okolica.

- Tu mieszkają naprawdę bogaci ludzie - powiedział.

- Tak, a w ciężkich chwilach to im zwykle powodzi się najlepiej.

Pięć minut później spostrzegli mały sklepik w głębi ślepej uliczki ozdobiony koszami kwiatów; osiedlowy sklepik, mały, śliczny i nietknięty przez chaos mijającego tygodnia. Metalowe rolety opuszczono przypuszczalnie, jak tylko zaczęły się pierwsze kłopoty, ale pomijając widoczne w nich wgniecenia, gdy ktoś próbował je sforsować, i stłuczoną, lecz

niewybitą szybę w jednym z okien, najwyraźniej nikt nie zdołał dostać się do środka, aby go splądrować.

- Czy tam jest jedzenie? - spytał Jacob.

- Akurat tyle, ile nam trzeba. Cofnij się.

Leona wymierzyła z pistoletu w masywną kłódkę u dołu żaluzji i powoli ściągnęła spust.

Jacob aż pisnął z podniecenia, podskakując dziko, kiedy rozległ się wystrzał. Kłódka rozleciała się na kawałki, a szklane drzwi za żaluzjami rozprysły się w drobny mak.

- Tak! - zawołał Jacob, kiedy dym już się rozwiął, a szkło przestało się sypać na chodnik.

- Ale ekstra!

- Zostań tu - rzekła.

Podniosła żaluzje i weszła do sklepu, trzymając bron przed sobą i nerwowo przeglądając mroczne wnętrza.

- W porządku - zawołała do Jacoba. - Chyba nikogo tu nie ma.

Wszedł za nią do środka.

To był nieduży sklepik, piekarnia i delikatesy. Mięso się zepsuło, poczuła tę woń, a na większości chlebów pojawiły się sine wykwity pleśni. Na półkach zostało jednak sporo puszkowanej żywności, a dwie chłodziarki pełne były butelek i puszek, co prawda ciepłych, ale to akurat nie miało znaczenia.

Wyjęła butelkę wody i napiła się, po czym dała butelkę Jacobowi. Pokręcił głową.

- Nie chce ci się pić?

- Tak, ale chcę coś - odparł, podchodząc na palcach do chłodziarki i wyjmując litrową butelkę napoju.

- Mama dostałaby apopleksji, gdyby zobaczyła, co pijesz. To tylko cukier i chemia.

Jacob wzruszył ramionami, odkręcił nakrętkę i wypił parę łyków.

- Nie do wiary - rzekła, uśmiechając się szeroko. - Trafiliśmy na żyłę złota.

- Koniec z sardynkami - dodał Jacob, ocierając usta dłonią i głośno bekając.

Leona spojrzała na uniesione żaluzje.

- Zgarnijmy jak najszybciej, ile się da. Inni ludzie mogli usłyszeć strzał.

Opodal natknęli się na torbę na zakupy w szkocką kratę, taką jaką uwielbiają starsze panie. Zapelnili ją tyloma puszkami i butelkami, ile zdołali w niej zmieścić. Leona znalazła jeszcze kilka metalowych koszyków i je także zapelniała. Dwa lżejsze koszyki dała Jacobowi, a sama ustawiła pozostałe pełne kosze na równie pełnym wózku na kółkach.

Gdy wyszli ze sklepiku w ślepią uliczkę, dostrzegli kilka osób ostrożnie zbliżających się

do wejścia; przypuszczalnie zwabił je tu huk wystrzału i brzęk tłuczonej szyby. Para starsuszków, która znalazła się najbliżej, spojrzała na nich niepewnie.

- Czy sklep jest teraz... otwarty? - spytał mężczyzna.

- Tak, śmiało - rzucił Jacob, uśmiechając się od ucha do ucha.

Starsuszkowie podziękowali skinieniem głowy i czym prędzej weszli do środka.

- Powinniśmy już iść - rzekła Leona. - Zaraz zrobi się tu tłoczno.

Wyszli ze ślepej uliczki i skręcili w prawo w Holland Park Avenue, w stronę ronda. Po drodze minęli kilka osób, które z zaciekawieniem gapiły się na ich łupy i przyspieszywszy kroku, pognały w stronę, skąd nadeszli.

- Musimy być ostrożni - stwierdziła Leona. - Kiedy będziemy bliżej domu, ktoś może próbować odebrać nam to, co mamy. - Poklepała wypukłość przy biodrze. Pistolet wyraźnie dodawał jej pewności siebie.

Mijając wytworne rezydencje, Leona dostrzegła dziesiątki osób obserwujących ich z zaciekawieniem z balkonów i wyglądających spoza zasłon lub żaluzji. Ulica mogła być opustoszała, ale najwyraźniej wciąż wiele osób ukrywało się w swoich domach. W każdym razie w tej dzielnicy

Dotarli do ronda; wrony wciąż siedziały na wielkim niebieskim termometrze, leniwie obserwując bieg wydarzeń. Leona zauważyła kogoś na drodze przed nimi, kto szybkim krokiem przechodził przez rondo. Kobieta w białej bawełnianej spódnicy, trzymająca pantofle w jednym ręku, odwrócona do nich plecami, ominąwszy trawiastą wysepkę, powoli zaczęła znikać im z oczu.

Jej włosy, ruchy wszystko to wyglądało znajomo.

- Mama? - zawołała Leona, ale nie dość głośno.

Kobieta szła dalej, powiększając dystans między nimi. Leona widziała tylko jej głowę kołyszącą się ponad trawiastą wysepką.

- Mamo! - krzyknęła łamiącym się głosem. Krzyk odbił się echem od wysokich budynków po obu stronach ulicy, a kobieta na rondzie zastygła w bezruchu.

Obejrzała się do tyłu.

Nawet z odległości dwustu metrów, gdy jej twarz przypominała blady owal, Leona natychmiast ją rozpoznała.

- Mamo!

Kobieta rozglądała się niepewnie, nie wiedząc, skąd dochodziło wołanie. Leona puściła wózek i pomachała energicznie. Ten ruch przykuł wzrok kobiety i po chwili Leona usłyszała coś, co zabrzmiało jak głos jej matki, pełen zdumienia, szoku, radości i łez.

- Leona? - bardziej zapytała, niż powiedziała kobieta.

- O Boże... to mama! Jake! To Mama!

Jacob także postawił koszyk na ziemi, kilka puszek i butelek potoczyło się po chodniku, ale to nie miało już dla nich znaczenia. Schwyciła braciszka za rękę i pobiegła z nim w stronę ronda, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że szlocha, podobnie jak Jacob, a łzy płyną strużkami po jej policzkach. Padli sobie w ramiona, tuląc się do siebie we troje i ściskając z przejęciem.

- O Boże, o Boże! - szlochała Jenny, obejmując ich z całej siły. - Dzięki Bogu, że nic wam nie jest!

Leona chciała coś powiedzieć, ale z jej ust dobywał się tylko nieartykułowany jęk.

- Mamusiu! - zawołał Jacob. - Tak tęskniłem! Tak bardzo tęskniłem!

- Ja też za tobą tęskniłam, kochanie. Tak się o was bałam.

- Walczyliśmy - rzekł Jacob. - Było strasznie.

Jenny spojrzała na Leonę, a ta pokiwała głową; jej usta drżały, z oczu płynęły łzy.

- Leona? Kochanie?

Dziewczyna otarła twarz rękawem.

- Tak. Zaatakowali dom. Omal... omal...

- Omal nie zginęliśmy, mamusiu - dokończył Jacob. - Ale teraz mamy prawdziwy pistolet - dorzucił pospiesznie.

Rozdział 81

godz. 11.35 czasu Greenwich

Heathrow, Londyn

Wydawałoby się, że tu, w hali odlotów terminalu 3, jest zwykły upalny poranek - pomyślał Andy. Jakby nic się nie zmieniło od ostatniego razu, gdy przechodził tędy dwa tygodnie temu, wybierając się do Iraku, gdzie miał skontrolować północny rurociąg i stacje pomp. Tym razem jednak sklepiki i bary szybkiej obsługi były pozamykane, metalowe rolety opuszczone, a na widocznym za wielkimi oknami polu startowym panował spory ruch.

Widział żołnierzy schodzących ze znużeniem z pokładów wojskowych i cywilnych odrzutowców, różne formacje i jednostki - jedni w pustynnych khaki, inni w zielonych kamuflażowych mundurach polowych. Z tyloma mężczyznami w mundurach, zagubionymi, zmęczonymi i zdezorientowanymi, to miejsce musiało wyglądać jak port w południowej Anglii dzień po Dunkierce.

Andy uznał, że prócz niego w hali odlotów musi znajdować się około dwustu ludzi. Byli to cywile, głównie mężczyźni, ale też kilka kobiet i dzieci. Przede wszystkim biznesmeni i urlopowicze, których nieoczekiwane wydarzenia zastały w różnych miejscach na świecie - gromadka brytyjskich szczęściarzy, tych, którzy zdołali jakimś sposobem załapać się na lot którąś z maszyn przewożącą do kraju personel wojskowy. Większość z nich wyglądała na wyczerpanych, odwodnionych, wielu leżało i spało na długich niebieskich kanapach.

Czekali w hali odlotów od kilku godzin, nie otrzymawszy żadnych informacji. Gdyby nie to, że byli wyczerpani, zapewne już dawno zrobiliby się tu gorąco. Obiecano im, że ktoś się zjawi, porozmawia z nimi i powie, co dalej.

W końcu faktycznie przyszli jacyś ludzie - kobieta w towarzystwie dwóch uzbrojonych policjantów i młody mężczyzna z notesem na podkładce. Ona miała przy pasku krótkofalówkę, a na piersi przypiętą plakietkę służbową, dzięki czemu wyglądała oficjalniej.

- Halo! - zawołała. - Proszę posłuchać!

Osoby w hali, włącznie z Andym, szybko zebrały się wokół niej.

- Przepraszam, że kazaliśmy wam tak długo czekać. - Kobieta wyglądała na równie wzburzoną, znękaną i wystraszoną jak oni. - Wszyscy zostaniecie przewiezieni do bezpiecznej strefy, gdzie do ustabilizowania się sytuacji nie zabraknie wam wody ani

żywności.

- Co właściwie dzieje się w kraju? - spytał ktoś stojący za Andym.

Kobieta, której nazwisko odczytał na plakietce, była pracownicą Obrony Cywilnej. Pokręciła głową.

- Obawiam się, że w całym kraju zrobił się spory bałagan. Sztab kryzysowy utworzył specjalne strefy bezpieczne, gdzie łatwiej jest nam kontrolować wydarzenia i rozdzielać racje żywności oraz wody. Poza tymi obszarami... cóż... - znów pokręciła głową - ...nie jest dobrze.

- Gdzie są te „bezpieczne strefy”. Ile ich jest, czy są duże?

Odwrociła głowę w stronę, skąd przyszła ze swoim orszakiem.

- Nie wiem, ile ich jest konkretnie. Ale w stolicy Millennium Dome pełni obecnie funkcję punktu werbunkowego i centrum zaopatrzenia. Mamy też inne bezpieczne strefy z ośrodkami przechowywania i racjonowania zapasów w Battersea oraz Leatherhead. Te strefy są strzeżone przez policję i wojsko, by zapewnić...

- Strzeżone? Przed kim? - rzucił gromkim głosem Andy

Zamyśliła się przez chwilę, zanim mu odpowiedziała:

- W bezpiecznych strefach mamy zapasy żywności i wody mające zapewnić przetrwanie części populacji przez dłuższy czas. Ale obawiam się, że dla wszystkich nie starczy

Tłum zadrżał, rozległy się pierwsze stłumione jeszcze głosy i szepty.

- Czy ludzie tam umierają?

Co za głupie pytanie - pomyślał Andy.

Kobieta skinęła głową.

- Mamy liczne przypadki rozruchów, niepokoju i chaosu. Kilka dni temu przestał działać system zapewniający w całym kraju dopływ bieżącej wody. Ludzie piją brudną wodę, chorują... i, tak, niektórzy z nich w końcu umrą. Widzieliśmy w telewizji, co się działo w innych krajach po katastrofach w rodzaju tsunami; choroby zakaźne, zepsuta żywność, skażona woda... i wiele innych rzeczy. Dopóki ropa znów nie zacznie płynąć, zapasy czystej wody pitnej i niezepsutej żywności to podstawa. Są najważniejsze.

- Kiedy znów popłynie ropa? - zapytał ktoś z tłumu.

- Nie potrafię odpowiedzieć - uśmiechnęła się do nich uspokajająco. - Ale kiedy to nastąpi... będziemy na najlepszej drodze do ustabilizowania sytuacji. Dołożymy wszelkich starań, by dostarczyć leki oraz zapasy wody i żywności tym, którzy potrzebują ich najbardziej. Tymczasem robimy, co w naszej mocy, by jak najwięcej osób było w stanie przetrwać ten... kryzys... w którejś z bezpiecznych stref.

Skinęła na stojącego obok mężczyznę z notatnikiem w dłoni.

- Musimy spisać państwa nazwiska oraz niezbędne szczegóły, zajrzeć do waszych paszportów, jeżeli je macie... a kiedy już się z tym uporamy, na zewnątrz czekają wojskowe ciężarówki, które dowiozą was do bezpiecznych stref w Leatherhead albo Battersea. Gdybyście zechcieli ustawić się w kolejce, moglibyśmy już zacząć.

Tłum wokół niej posłusznie utworzył długi ogonek, a młody mężczyzna przysunął sobie jedno krzesło, aby usiąść, i drugie, którego zamierzał użyć zamiast biurka. Dwaj uzbrojeni policjanci w kamizelkach z kevlaru, z pistoletami maszynowymi trzymanymi niedbale w rękach cofnęli się o krok; być może wyczuli, że tłum jest zbyt zmęczony i wyczerpany, aby sprawiać jakiegokolwiek kłopoty

Kobieta tymczasem, zakończywszy swoje zadanie i znalazłszy zaciszne miejsce między dwiema plastikowymi roślinami w doniczkach, nie zważając na tabliczkę na ścianie za nią, zapaliła papierosa.

Andy podszedł do niej. Z bliska ujrzał, jaka była zmęczona i wyczerpana - miała wielkie sińce pod oczami, a jej dłoń drżała nerwowo, gdy unosiła papierosa do ust.

Spojrzała na niego, gdy pokonał ostatnie kilka metrów, jakie go od niej dzieliły. Omal nie posłała mu uspokajającego uśmiechu... ale chyba uznała, że za wiele z tym zachodu.

- Słucham? - rzekła, wydmuchując dym nosem.

- Czy mam wybór?

- Że co, proszę?

- Czy mam wybór? A gdybym nie chciał trafić do którejś z tych bezpiecznych stref?

- Nie chce pan? - Była szczerze zdziwiona. - A to czemu? - spytała, zaciągając się dymem z papierosa.

- Muszę dotrzeć do domu, do mojej rodziny

Wzruszyła ramionami.

- Rozumiem.

Andy odwrócił się.

- Wszyscy ci ludzie - rzekł, wskazując kolejkę stojącą pośrodku hali - umrą w tych waszych bezpiecznych strefach. Wie pani o tym, prawda?

- Słucham?

- Ilu ludzi zgromadziliście w Battersea, Leatherhead i Dome?

- No... nie wiem dokładnie. Jestem tylko okręgowym koordynatorem.

- Proszę strzelać.

- Kurczę, nie wiem - pokręciła głową, zbyt zmęczona i zdenerwowana, by wdawać się w tego typu rozmowy

- Sto tysięcy? Milion?

- Może z pół miliona wokół Londynu i w innych miejscach także. Proszę posłuchać, robimy, co w naszej mocy...

- Nie wątpię. Ale czy macie dość żywności i wody, by starczyło im na pół roku? Dziesięć miesięcy? Albo nawet na rok?

- Co takiego? - rzuciła, a jej brwi połączyły się w jedną kreskę w grymasie zakłopotania. - O czym pan mówi, do cholery?

- O stabilizacji.

- Proszę posłuchać - rzekła, strzepując popiół do jednej z doniczek i rzucając jakby od niechcenia okiem na tabliczkę z napisem „Zakaz palenia” na ścianie opodal - ropa znów zacznie płynąć i to już niebawem. To nie potrwa aż rok. Wysadzono fragmenty rurociągu, uszkodzono kilka rafinerii, ot i wszystko. To w sumie nic wielkiego.

Andy pokiwał głową.

- Jak długo może potrwać naprawa uszkodzeń? Jestem pewna, że fachowcy już teraz nad tym pracują. Ropa znów zacznie do nas docierać nie dalej jak za kilka tygodni, jasne? Więc daj mi pan spokój, wróć do kolejki i pozwól wypalić w spokoju papierosa. - Wzruszyła ramionami w przeproszającym geście. - To był naprawdę cholernie długi dzień.

Andy zbliżył się do niej jeszcze o krok i zniżył głos:

- Ktoś tam, na samej górze, kto kieruje tą akcją, jest wyjątkowo naiwny, sądząc, że w ciągu paru tygodni znów wszystko będzie pięknie i cacy.

- Ale... to co? Chce pan, żebyśmy pana puścili?

Andy pokiwał głową.

- Taa. Zaryzykuję przetrwanie poza jedną z waszych bezpiecznych stref.

Zgasiała papierosa i wrzuciła niedopałek do doniczki.

- W porządku. To pana pogrzeb. Każę jednemu z chłopców odprowadzić pana poza obszar chroniony. - Przez chwilę rozmawiała przez krótkofalówkę. - Niedługo ktoś po pana przyjdzie - oznajmiła.

- Dzięki - rzekł Andy i odwrócił się, by usiąść.

- Chwileczkę - rzuciła kobieta.

Znów na nią spojrział.

- Naprawdę sądzi pan, że to potrwa tak długo? Pół roku?

- Jasne. Ropa może znów zacząć płynąć choćby w przyszłym tygodniu, ale skąd miałyby do nas dotrzeć żywność? Sprowadzamy kawę z Brazylii, ziemniaki z Ukrainy, z Hiszpanii jabłka... proszę się nad tym zastanowić. Czy ci wszyscy zagraniczni hodowcy i rolnicy wciąż

mają swoje gospodarstwa? Czy ci ludzie wciąż żyją? A może są ranni lub chorzy? A jeżeli zbiory przepadły, bo rolnik nie miał paliwa do swojego traktora? A co z tymi, którzy skupują plony, sortują je, przetwarzają i zajmują się ich dystrybucją? Co z kolejnymi ogniwami łańcucha, które sprawiają, że żywność trafia od wytwórców, hodowców, rolników czy producentów na całym świecie, w tym także do najbliższego supermarketu niedaleko pani domu? Czy te firmy nadal istnieją? Czy wciąż funkcjonują? A może zakłady i przetwórnice splądrowano i puszczono z dymem? Co z tamtejszą siłą roboczą? Czy ci ludzie jeszcze żyją? A może leżą w swoich domach, wyrzucając z siebie flaki, bo pili tę samą wodę, którą wcześniej zanieczyścili odchodami?

Kobieta zamilkła.

- To zaledwie kilka pytań, które akurat mi się nasunęły, a które powinien zacząć sobie zadawać człowiek z samej góry, który nadzoruje tę akcję - rzekł oschle Andy. - Nie chodzi tylko o rozdawanie butelkowanej wody i batonów energetycznych przez kolejne dwa tygodnie. Ropa przestała płynąć... choćby tylko przez ten tydzień, ale skutecznie rozwalila wszystko... cały świat stanął na głowie.

- Nie może być aż tak źle - zaoponowała.

- Ogólna awaria całego systemu. Wszystko się zawiesiło. Po czymś takim system świata już się nie reinstaluje.

- A pan woli ryzykować życie poza wyznaczonymi strefami? Tam nie ma żywności, nie ma nic. To, co było, zostało doszczętnie złupione. Nie uważa pan, że postępuje, delikatnie mówiąc, nierozsądnie?

- Za pół roku Millennium Dome i cała reszta waszych bezpiecznych stref zmieni się w obozy śmierci.

Kobieta spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Och, daj pan spokój.

Andy spostrzegł dwóch uzbrojonych policjantów wchodzących do hali odlotów i kierujących się w ich stronę.

- O - rzekła - już tu są. - Wyciągnęła rękę i położyła na jego ramieniu. - Może jednak dołączy pan do kolejki? Mogę ich odesłać. W Londynie jest teraz naprawdę niebezpiecznie.

Wiedział, że ta prośba była podyktowana szczerym współczuciem. Chciała dla niego jak najlepiej.

- Dzięki, ale teraz wolę raczej odnaleźć moją rodzinę i zamierzam zabrać ją stąd możliwie jak najdalej od wszystkich. Ostatnim miejscem, w jakim chciałbym się znaleźć za pół roku, jest przeludniony obóz z tysiącami innych osób.

Zjawiała się policyjna eskorta, a kobieta poinstruowała mundurowych, że mają wyprowadzić Andy'ego z budynku i dalej poza obszar chroniony wokół terminalu.

Na pożegnanie kobieta życzyła Andy'emu powodzenia.

Rozdział 82

godz. 14.32 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

- Dlaczego? - spytała Jenny, patrząc na córkę. - Czemu to takie ważne, żebyśmy nie wracali do naszego domu?

Leona pokręciła głową.

- Tak powiedział tato.

- Wiem, co powiedział, ale sądził, że będzie tu Jill, aby się wami zająć. Sądziłam, że dlatego kazał wam tu przyjechać.

Jenny spojrzała na dwa ciała w kuchni, na kałużę krwi i rozbryźnięte ślady posoki na ścianach i szufladach.

- Nie możemy tu zostać. Nie chcę, by Jacob oglądał takie sce...

- Musimy tu zostać, mamó - rzekła Leona. - Nie możemy wrócić do domu.

Jenny schwyciła ją za ramiona i odwróciła ku sobie.

- Dlaczego?

Wiedziała, że córka chce jej coś powiedzieć.

- Chodź. Nie możemy tu rozmawiać - rzekła, zerkając na trupy. Wyprowadziła dzieci na ganek na tyłach domu, gdzie było nieco spokojniej i nie musiały się stresować widokiem nieboszczyków. Usadowiła Leonę w wiklinowym fotelu i przystawiła obok drugi. Jacob usiadł Jenny na kolanach i mocno się do niej przytulił. Zaczęła go kołysać, choć nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Dalej, Lee. Nic z tego nie rozumiem.

Leona milczała przez chwilę, obserwując Jacoba. Jego powieki stały się ciężkie i po paru minutach wyraźnie słyszalny równy oddech chłopca uświadomił im, że chłopiec zasnął.

- W naszym domu nie jest bezpiecznie - wyszeptała Leona.

- Co? - Jenny pokręciła głową zdezorientowana. - Na pewno bezpieczniej niż tutaj.

- Mamó. - Leona uniosła wzrok, by na nią spojrzeć. - Myślę, że tato próbował mi to powiedzieć przez telefon... chciał mi powiedzieć, że ktoś chce mnie dopaść.

- Co takiego?

- Jakiś mężczyzna... albo może kilku. Nie jestem pewna.

- O czym ty mówisz, u licha?

Leona osunęła się głębiej w fotelu.

- Pamiętasz nasz wyjazd do Nowego Jorku?

- Oczywiście. Kto mógłby zapomnieć tak ekstrawaganckie święta?

- Dla taty to był wyjazd służbowy, a dla nas wycieczka, prawda?

- Oczywiście.

- Tato sporządził na piśmie coś ważnego i miał to przekazać komuś ważnemu.

Jenny skinęła głową. Wiedziała, że cała ta sprawa było mocno poufna, Andy zaś przez całą drogę wydawał się dziwnie spięty i podenerwowany. Przypomniała sobie, że odniosła wrażenie, jakby w tym konkretnym zleceniu było coś... niezwykłego.

- To chyba ma z tym jakiś związek - rzekła Leona, wykonując gest obiema rękami - z tym, co się teraz dzieje.

Jenny znów pokiwała głową. Jacob zamruczał coś pod nosem zaskoczony nagłym poruszeniem. Chciała powiedzieć, że to było szaleństwo. Coś ją jednak powstrzymało. Sugestie Leony brzmiały absurdalnie... mimo to, jeśli miała rację, pewne rzeczy z okresu minionych ośmiu lat nabierały sensu - miały początek właśnie wtedy, podczas podróży do Nowego Jorku: jego obsesja na temat Szczytu Wydobycia Naftowego, prywatności, stopniowe odcinanie się od świata... to wszystko zaczęło się od tego wyjazdu.

Nie zapominaj o jego szczególnej dziedzinie wiedzy Jenny tym się właśnie zajmował... przerwanie dostaw ropy naftowej na skalę globalną... a to dzieje się właśnie teraz, na naszych oczach.

- Mamo - rzekła Leona - tato nigdy nie miał zobaczyć się z tymi ważnymi ludźmi, dla których sporządził swój raport, na tym to właśnie polegało. Tak mi powiedział.

- Tak ci powiedział? A czemu nie powiedział tego mnie? Czemu dowiaduję się o tym dopiero teraz?

- Bo to nie tato ich widział... tylko ja.

- Co takiego?

- W tym eleganckim hotelu. Pamiętasz, jak poszłam po coś na górę? Pomyliłam pokoje i weszłam do sąsiedniego. Zobaczyłam kilku mężczyzn. I nawet wtedy zorientowałam się, że to ważni ludzie... z rodzaju tych, którzy rządzą całym państwami.

- O Boże.

- A teraz, kiedy wybuchła cała ta afera z ropą... - głos Leony zadrzał - ...myślę, że postanowili mnie zabić.

Rozdział 83

godz. 21.00 czasu Greenwich
gabinet sztabu kryzysowego Kobry,
Londyn

Malcolm spojrzął na dwóch innych członków komitetu Kobry.

- Myślę, że grozi nam utrata kontroli nad sytuacją.

Dwaj pozostali skupili na nim srogi wzrok.

- Im dłużej przeciąga się ta sytuacja, tym trudniej będzie później pozbierać do kupy to, co zostało.

- Ta sytuacja będzie trwać tak długo, jak oni uznają to za konieczne - powiedział sir Jeremy Bosworth.

- W tej kwestii nie mamy najmniejszego wyboru.

Malcolm westchnął.

- Wiem, rozumiem, że wszyscy w tym tkwimy, ale poziom wyczerpania wywołany przez tę sytuację nie rozkłada się równo, panowie. Doświadcza nas znacznie bardziej i dotkliwiej niż innych. Niepokoję się, że zanim zostaną spełnione satysfakcjonujące i zakładane warunki, w tym kraju nie pozostanie już nic do uratowania.

- Przesadzasz, Malcolm - odparł drugi mężczyzna, Howard Campbell - Wszyscy musimy zachować spokój, póki ta heca trwa.

- Przesadzam? Wątpię. Zdajecie sobie sprawę z panujących tam na zewnątrz warunków?

- Oczywiście. Sytuacja nie jest za ciekawa - odparł sir Jeremy

- Bezpieczne strefy, które utworzyliśmy, by zogniskować rezerwy środków i zasobów ludzkich, nie funkcjonują tak, jak zakładaliśmy. Brak nam ludzi, aby je utrzymać, nie mamy dostatecznie dużo wojska na naszym terytorium.

- Większość naszych wojsk pełniących służbę za granicą wróciła już do kraju, prawda?

- Wciąż sporo naszych żołnierzy pozostaje na terytorium innych państw. Mamy kłopoty z przetrzuceniem ich do kraju. A gdyby nawet to się nam udało, i tak byłoby ich za mało, aby rozegrać wszystko jak należy.

- Dysponujemy sporą liczbą rezerwistów, na których możemy liczyć, zgadza się?

Malcolm skinął głową.

- Ale większość z nich nie zgłosiła się do swoich jednostek, a spośród tych kilku tysięcy, których mamy, wielu opuściło już posterunki. Dodam tylko, że straciliśmy też wielu policjantów.

- To zrozumiałe - powiedział Jeremy - Ludzie chcą być ze swoimi rodzinami.

Malcolm spojrział na niego.

- To cię nie martwi, prawda?

- Owszem, martwi. Ale musimy nadal patrzeć na to wszystko z szerszej perspektywy. Bo o to tak naprawdę w tym chodzi - o szerszą perspektywę.

- Powiem szczerze. Obawiam się, że zanim oni uznają, że osiągnęli swój cel, i radośnie to nam zakomunikują, będzie już za późno, aby opanować sytuację.

- Nie czas na sentymenty i wątpliwości, Malcolm - rzekł Howard. - Chyba nie robisz się miękki?

- Nie robię się miękki. Tyle że chciałbym mieć jeszcze czym rządzić, kiedy już będzie po wszystkim.

- Daj spokój, Malcolm. Nie spierajmy się jak politycy Jesteśmy ponad to.

- Masz rację. - Malcolm uśmiechnął się do nich. - Sugeruję jedynie, że powinniśmy zacząć myśleć o zahamowaniu całego tego mechanizmu. Bo mam wrażenie, że rozpędził się trochę bardziej, niż wszyscy się spodziewaliśmy.

Jeremy wzruszył ramionami.

- Muszę przyznać, że wtorkowe rozruchy trochę mnie zaskoczyły. Twój człowiek, Charles, zrobił doskonałą robotę i przeraził wszystkich na śmierć.

Howard powiódł wzrokiem od jednej twarzy do drugiej.

- Wiesz, że nie możemy tego zrobić. Nie możemy wprowadzić żadnych działań stabilizacyjnych, dopóki nie otrzymamy konkretnego polecenia. Masz związane ręce.

Malcolm wyczuł w tych słowach zawołowaną groźbę. Oni raczej nie mieli zwyczaju wybaczać koledze, który podejmował działania na własną rękę.

- Nie mówię tu o procedurach stabilizujących. Uważam jedynie, że przez ten tydzień byliśmy trochę zbyt... nadgorliwi. Osiągnęliśmy żądany rezultat o wiele szybciej niż nasi koledzy gdzie indziej. To moja wina. Nie wziąłem pod uwagę kruchej i niestalej struktury tego kraju oraz wszystkich jego słabych punktów.

Howard wychylił się do przodu i w geście pocieszenia oparł dłoń na ramieniu Malcolma.

- Nigdy nie przypuszczaliśmy, że to będzie proste, ale wszyscy się na to zgodziliśmy. Przyszłe pokolenia bez wątpienia osądzą nas surowo, uznając za bezlitosnych okrutników bez serca. Ale rozumieją, na pewno rozumieją.

Rozdział 84

godz. 21.15 czasu Greenwich

Londyn

Hammersmith bez żadnych świateł? To wyglądało jak prawdziwe miasto duchów. W normalny sobotni wieczór to miejsce wypełniałby gwar ludzi wychodzących z metra, kręcących się po centrum handlowym i próbujących przejść przez ruchliwe skrzyżowanie. Puby pękałyby w szwach, a wychodzące z nich grupki dwudziestoparolatków debatowałyby, co zrobić dalej z tak miło rozpoczętym wieczorem.

Nie powinno tak być; te wysokie budynki, ciemne i bez życia, wejście do centrum handlowego wyglądające jak mroczna czeluść.

I jeszcze ta wyczuwalna wszędzie woń. Po raz pierwszy zwrócił na to uwagę w drodze na północny wschód z Heathrow, przemierzając Hounslow. To był smród worków na śmieci rozerwanych przez miejskie lisy i pozostawionych, by przez kilka dni, o wiele za długo, prażyły się na słońcu. Przechodząc przez Kew, zwrócił uwagę, że ten odór miał w sobie coś więcej - słaby fetor rozkładu - pierwsze zwłoki zaczynały już cuchnąć. Andy zauważył tylko kilkanaście ciał. To było w pewnym sensie pocieszające. Biorąc pod uwagę założenia, jak miał wyglądać Londyn w przypadku sprawdzenia się jego katastroficznego scenariusza, oczyma duszy widział ulice zasłane ciałami martwych i konających. Wyobrażał sobie rynsztoki wypełnione wymiocinami tych, którzy w przyptywie rozpaczony mogli próbować pić wodę z Tamizy, płyny wyciekające z urzędów klimatyzacyjnych albo nawet gorzej.

Zanim dotarł do Hammersmith do mieszaniny woni doszedł jeszcze odór nieczystości.

No jasne, przecież toalety nie działają. Przez parę dni sporo się musiało tego nazbierać.

Pięknie.

Andy od opuszczenia obszaru chronionego wokół terminalu 3 na Heathrow zobaczył w sumie z pięćdziesiąt osób. Wszystkie były w kiepskim stanie, zdradzały objawy zatrucia pokarmowego, najwyraźniej ludzie ci musieli spożyć zepsutą żywność albo pić skażoną wodę.

Słońce zaszło. Teraz na bezchmurnym niebie widać było tylko czerwoną łunę.

W pewnej chwili kopnął leżącą na ziemi puszkę, która z brzękiem potoczyła się po pustej ulicy. Ten dźwięk go zaskoczył, podobnie jak stadko ptaków w pobliżu, które wzbiły się w

powietrze i odleciały, trzepocząc szaleńczo skrzydłami.

Wyciągnął pistolet, prezent od starszego kaprała Westleya. Musiał przyznać, że czuł się świetnie, trzymając broń w dłoni. Nie spodziewał się, że może się tak czuć - piekielnie pewny siebie i absolutnie zadowolony z nabitym pistoletem w rękę.

- Dzięki, Westley - wymamrotał pod nosem.

Zaczęło się robić ciemno, ale on był już blisko domu - do przejścia zostały mu jeszcze trzy czy cztery kilometry. Ruszył wzdłuż Shepherd's Bush Road w stronę Green, mijając po lewej supermarket Tesco. W ostatnich promieniach słońca dostrzegł kilka osób grzebiących w niedużej stercie odpadków na parkingu przy markecie jak mewy na wysypisku śmieci.

Kilka minut później patrzył już na panoramę trójkątnego Shepherd's Bush Green i znajdujące się na jego obrzeżach ciemne ciągi sklepików. To była jego dzielnica, był o krok od domu.

Wcześniej łudził się nadzieją, że kiedy w końcu tu dotrze, odkryje w aglomeracji Londynu enklawę, gdzie ludzie potrafili się zjednoczyć, zablokowali wszystkie drogi i po równo rozdzielali najpotrzebniejsze podstawowe rzeczy między wszystkich mieszkańców. Bądź co bądź, to na tym terenie miała siedzibę BBC. Na jedno osiedle komunalne w tej dzielnicy przypadało kilka innych, gdzie mieszkali z reguły spokojni, zrównoważeni przedstawiciele klasy średniej, pracownicy średniego szczebla w wielkich Firmach oraz mediów. Tu sprzedawał się równie dobrze „Guardian”, jak „Sunday Sport”.

Czy jednak powinien był się ludzić - niebieskie czy białe kołnierzyki, jeżeli głód zajrzy ci w oczy, zrobisz wszystko, co w twojej mocy, aby przeżyć - nieważne, czy wywodzisz się z klasy średniej, czy z niższej i czy zazwyczaj czytujesz brukowca, czy któryś z dzienników. Zdrap wierzchnią warstwę, a pod nią wszyscy jesteście tacy sami.

Minął Green i odbił w lewo w Uxbridge Road, by ujrzeć to, czego się spodziewał: śmieci zaściewające ulicę, powybijane witryny we wszystkich sklepach... i jedno lub dwa ciała.

Nagle zaczął biec. Teraz, kiedy był już zaledwie o pięć minut od domu, zapomniał o zmęczeniu po przejściu ostatnich dwudziestu paru kilometrów. Serce zaczęło tłuc mu się w piersi jak oszalałe, gdy ogarnął go lęk, co może zastać, kiedy w końcu otworzy frontowe drzwi domu Jill.

- Boże, błagam, niech będą cali i zdrowi - wyszeptał.

Jego kroki odbijały się echem wzdłuż pustej ulicy, gdy trucht zmienił się w sprint, a Andy wciąż powtarzał pod nosem tę dwulicową, ateistyczną modlitwę.

Niech będą cali i zdrowi, niech będą cali i zdrowi, niech będą cali i zdrowi...

Gdy z Uxbridge Road skręcił w lewo w St Stephen's Avenue, biegł jak szalony, a serce

nieomal podeszło mu do gardła.

I właśnie wtedy ich ujrzął; stali na wprost niego w poprzek ulicy, blokując mu drogę. Trzej ludzie, trzej mężczyźni, jak zdołał się domyślić po ich ciemnych sylwetkach. Stali tam, jakby na niego czekali, jakby byli pewni, że się zjawi.

Andy wyciągnął zza paska pistolet i szybkim ruchem uniósł go oburącz przed sobą.

- Mam broń, więc spieprzajcie i przepuście mnie! - krzyknął do nich.

Żadnej odpowiedzi. Trzy ciemne postacie stały w kompletnym bezruchu. I nagle mężczyzna pośrodku ruszył wolno w jego stronę. Andy zdecydowanym ruchem przeładował broń i wycelował.

- Jeszcze krok, a rozwalę ci łeb, koleś. Ciemna postać znieruchomiała.

- Doktor Andrew Sutherland?

Rozdział 85

godz. 21.51 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Jenny siedziała u szczytu schodów, trzymając na udach pistolet zdobyty przez Leonę. Choć jej dzieci się opierały, przekonała je, że powinny pójść na górę i trochę się przespać. Były wyczerpane i potrzebowały odrobiny odpoczynku. Dopiero gdy zapewniła je, że będzie trzymać straż na schodach, dały się przekonać.

Ona też była zmęczona, ale zbyt wiele myśli kłębiło się w jej głowie. Nie ma mowy, aby usnęła. Najbardziej nurtowało ją wyznanie Leony.

Z jednej strony wprowadziło to nowy poziom zagrożenia do całej tej łamigłówki - świadomość, że gdzieś tam jacyś nieznani ludzie mogli szukać jej córki tylko w jednym celu. Aby ją zabić. Z drugiej zaś strony była wściekła, że służbowe sprawy Andy'ego naraziły jego córkę, ba - całą ich rodzinę, na śmiertelne niebezpieczeństwo. Była zła, że nigdy nie przyznał się, iż prowadzone przez niego interesy mogły zetknąć ich rodzinę z wyjątkowo niebezpiecznymi ludźmi. Była zła, że zmusił córkę do zachowania tego wszystkiego w tajemnicy.

No i jeszcze zasmucił ją fakt, że tak długo był zmuszony w samotności borykać się z dręczącymi go obawami i niepokojami. To wiele tłumaczyło... wyjaśniało nawet dziwne nawyki, jakie Andy wyrobił sobie przez kilka ostatnich lat; jego irytujący zwyczaj odsłuchiwania sygnału w domowym telefonie za każdym razem, kiedy kończył rozmowę, rytualny obchód i sprawdzanie wszystkich drzwi oraz okien na parterze tuż przed snem. Jenny podejrzewała, że przejawiał pierwsze symptomy nerwicy natręctw.

Teraz już wiedziała, dlaczego to robił.

Chryste.

Aż się wzdrygnęła. Walka z dresiarzami to jedno, ale bycie obserwowanym przez Wielkiego Brata to coś zupełnie innego.

- Doktor Andrew Sutherland? - powtórzyła stojąca przed nim niewyraźna postać.

- Powiedziałem, ani kroku dalej, bo rozwalę ci łeb!

Andy żałował, że Westley nie zostawił mu SA-80 z noktowizorem. Sylwetki szybko

zlewały się z ciemniejącym niebem i kto wie, czy tamci nie patrzyli na niego przez celownicze urządzenie noktowizyjne, szykując się, by wpakować mu kulkę między oczy.

- Spokojnie, Andy.

Głos brzmiał znajomo, nawet bardzo.

- Kto tam? Znam cię.

- Cześć, Andy. To ja.

Mike? Sądząc po głosie, to Amerykanin.

- To ty, Mike?

- Tak. Co u ciebie?

- Co... co ty tu robisz? - zapytał i spojrzał na pozostałą dwójkę. - Kim są ci dwaj?

Postać pośrodku (jak się domyślał, Mike) postąpiła jeszcze krok naprzód, a Andy poczuł, że ciężka dłoń opiera się na jego pistolecie, kierując go delikatnie ku ziemi.

- Musimy pomówić, Andy, i musimy bardzo szybko porozmawiać o twojej rodzinie.

Te słowa zmroziły mu krew w żyłach.

- O Boże. O co chodzi? Czy nic im nie jest?

Mike nie odpowiedział od razu.

- Nie wiemy. Chodzi o twoją córkę, Andy. O Leonę. To o nią się martwimy. I o niej musimy pomówić.

Andy wpatrywał się w ciemną postać przed sobą.

Boże, on jest z tamtymi!

Andy uniósł broń.

- Nie zbliżaj się, bo strzelam! Ja nie żartuję!

Mike podchodził do niego powoli.

- Andy, przyjacielu, wybacz, ale w tej chwili ktoś celuje prosto w twoją głowę. A poza tym - Mike zaśmiał się - wiem, że mamy z ciebie strzelec. Opuść broń albo obawiam się, że twój mózg rozmaże się po całej ulicy.

Andy podejrzewał, że tamci dwaj też do niego mierzyli. Opuścił broń.

Mike rzucił ostro do swoich ludzi:

- Wprowadźcie go do środka.

Tamci rozbili go, schwycili brutalnie pod pachy i zawlekli przez wąską ulicę w stronę niewielkiego domu z ogrodem; budynek musiał zostać splądrowany w ciągu ostatnich paru dni. Wprowadzili go przez furtkę do ogrodu, a stamtąd do wnętrza domu, po czym bezceremonialnie pchnęli na fotel.

Było tak ciemno, że nic nie widział. Poczuł, że ktoś przeszedł, ocierając się o jego nogi, a

po chwili jego oczy oślepiło światło ręcznej lampy sodowej. Mike klęczał przed nim z pistoletem w dłoni i choć w niego nie celował, broni również nie odłożył.

- Andy - rzekł - widziałeś ten film z Keanu Reevesem i Laurence'em Fishburne'em...
Matrix?

Andy potaknął bezgłośnie.

- Pamiętasz niebieską pigułkę?

Pokiwał głową - przypomniał sobie scenę, kiedy jedna z postaci, grana przez Keanu Reevesa, otrzymuje propozycję, aby zapomnieła wszystko, co wie, i przygotowała się na poznanie nowej rzeczywistości. Wizualną metaforą miała być niebieska pigułka.

- Tak... niebieska pigułka... pamiętam. I co?

- Cóż... wygląda na to, że czas już na twoją niebieską pigułkę.

Jenny usłyszała to wyraźnie - w ciemnościach, gdzieś na dole, szelest materiału ocierającego się o inny materiał, lekkie, ledwie wyczuwalne odgłosy tarcia, gdy ktoś lub coś się porusza.

Wstrzymała oddech, nasłuchując.

Po chwili znów usłyszała ten szelest, a po nim skrzypnięcie jednej z klepek parkietu w holu.

Sięgnęła po leżący na jej udach pistolet i wymierzyła w dół schodów.

- Słyszę cię - rzuciła niemal szeptem, ale słowa i tak zabrzmiały donośnie wśród niezmaconej nocnej ciszy

Skrzypnięcie i szelest natychmiast ucichły. Dla Jenny było to tym bardziej przerażającym potwierdzeniem, że na dole faktycznie ktoś jest, że to nie tylko wytwór jej wyobraźni.

- M-mam broń i nie zawaham się jej użyć - wyszeptała.

Znów cisza.

I nagle wyczuła coś na najniższym stopniu.

- Stój, bo strzelam! - syknęła.

- Pani Sutherland? - zabrzmiał łagodny męski głos.

Wzdrygnęła się, usłyszawszy nagle wypowiedziane z dołu swoje nazwisko.

- Kto tam? Kim pan jest?

- To, kim jestem, nie ma znaczenia - odparł głos. - Przychodzę w konkretnej sprawie. Jestem tu, bo sto metrów stąd są mężczyźni, którzy przybyli, aby zabić pani córkę.

- Co takiego? - wysapała.

- Idą tu po nią, będą tu za kilka sekund, nie ma chwili do stracenia.

- Kim pan jest, do cholery?

- Jak już mówiłem, to bez znaczenia. Muszę zabrać stąd pani córkę, zanim będzie za późno.

- Myślę, że części tego sam się domyśliłeś, Andy - rzekł Mike - w związku z wydarzeniami rozgrywającymi się na świecie, mam rację?

- Mój raport - zgodził się Andy - To, co się dzieje, opiera się na moim raporcie.

- Tak, na twoim raporcie. - Mike uśmiechnął się. - Na pewno zastanawiałeś się, do kogo trafił wiele lat temu. Sporo rozmyślałeś, gdy jechaliśmy ciężarówką przez Irak, mam rację?

Andy patrzył na pistolet oddalony od niego zaledwie o parę centymetrów. Czy był dostatecznie szybki?

- Cóż, przekazałeś ten raport właściwym ludziom. Co powiedzieli, gdy po raz pierwszy się do ciebie zwrócili? Że są ekspertami do spraw bezpieczeństwa pracującymi dla kilku anonimowych klientów z branży naftowej?

Andy skinął głową.

- Mniej więcej tak to ujęli.

- Nigdy nie przeszło ci przez myśl, że to mogą być terroryści? Albo pośrednicy działający na rzecz jakiegoś obcego, wrogiego państwa?

- Gdybym tak pomyślał, nie przekazałbym im tego raportu.

- Chyba faktycznie tak byś postąpił, nie zważając na honorarium. Było spore, prawda?

Andy wzruszył ramionami.

- Ci ludzie cenią sobie anonimowość. To dla nich bardzo ważne, zwłaszcza teraz, kiedy zrobili, co chcieli, kiedy powalili cały świat na kolana. Wiesz, że miliony ludzi umrą z głodu. Wybuchną setki wojen - rzecz jasna, na niewielką skalę - w których zginą kolejni ludzie. Odezwią się stare waśnie, zostaną przypomniane dawne konflikty, podczas gdy świat będzie się borykał z tymczasowym brakiem stabilizacji. To nie jest odpowiedni moment, aby podać nazwiska tamtych do publicznej wiadomości. I tu powstaje pewien problem - rzekł Mike - bo twoja córka jest ich w stanie zidentyfikować.

Andy spojrzał na Mike'a.

- Pracujesz dla nich, prawda?

- Ależ pani Sutherland, proszę odłożyć broń. Nie mamy na to czasu.

- Pytam jeszcze raz, kto tam jest?

- Ludzie, źli ludzie, ci, którzy stoją za tą katastrofą. To jest ze sobą ściśle powiązane, wszystko łączy się ze sobą.

- A z panem? - spytała, zwracając się do głosu u podnóża schodów.

- Ze mną? Im mniej pani wie, tym lepiej. Powiedzmy, że jestem... kimś w rodzaju najemnika... może być?

- Wynajęto pana... ale po co?

- Rzecz jasna, abym odnalazł i ochronił pani córkę. Naprawdę nie czas teraz na to - ciągnął. - Niech pani trzyma ten pistolet, skoro pani chce, byle tylko bezpiecznik nie był zwolniony. Proszę ją stamtąd wyprowadzić, zabierzemy ją w bezpieczne miejsce, a wówczas będzie mogła pani znów zwolnić bezpiecznik, wymierzyć we mnie i pytać, o co tylko pani zechce.

To brzmiało przekonująco. Całym sercem pragnęła, aby ten głos należał do obrońcy, a nie do kata jej córki.

- Czy mogę panu zaufać? - spytała.

- Co mam odpowiedzieć, pani Sutherland? Nie? To głupie pytanie. Zważywszy na sytuację i to, że nie mamy już czasu.

Faktycznie głupie.

- Pani Sutherland? Czy mogę wejść i zabrać stąd pani córkę?

Usłyszała skrzypnięcie stopnia pod jego ciężarem.

- Ani kroku dalej! - syknęła.

- Dobrze - odparł głos. - Już się stąd nie ruszę.

Boże, jak bardzo pragnęła mu zaufać.

Powiedział, że mogę zatrzymać broń, tak? Właśnie tak. Czy gdyby chciał skrzywdzić Leonę, pozwoliłby mi zatrzymać broń?

Już miała opuścić pistolet i z pewnym wahaniem przyjąć jego pomoc, gdy nagle coś zaświtało w jej głowie.

- Skąd pan wiedział, że Leona jest tu, a nie w swoim domu?

Mike spojrzał na Andy'ego.

- Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

Wtem usłyszeli następujące po sobie trzy strzały.

Kurwa.

Andy sięgnął ręką, schwycił lampę i cisnął nią o ścianę. Lampa rozpadła się na kawałki i w pokoju zapanowała ciemność. Zanim trzej mężczyźni otrząsnęli się z chwilowego zaskoczenia, Andy był już na nogach. Z całej siły pchnął Mike'a, przewracając go na wznak, i odepchnął jednego z jego ludzi, po czym wybiegł z pokoju do holu, a stamtąd przez otwarte

frontowe drzwi na skapaną w księżycowym blasku ulicę.

Jego stopy zadudniły na asfalcie, kiedy omijał materac, połamane fragmenty stołu i krzeseł oraz rozmaite potłuczone bibeloty rozsypane po całej ulicy.

Przebiegając obok ich domu po lewej, na moment spojrział w tamtą stronę. Do niego także się włamało jak do innych domów, frontowe drzwi były otwarte na oścież, ogród od frontu zaścielały resztki zniszczonych sprzętów.

Na wprost niego, po prawej stał dom Jill.

Kopniakiem otworzył furtkę i w parę sekund pokonał ścieżkę. Frontowe drzwi były zamknięte. Widział, że zostały uszkodzone, o czym świadczyła strzępiasta dziura w jednym z dolnych paneli. Napał na drzwi ramieniem; ostatni zawias ustąpił, a drzwi z hukiem grzotnęły o podłogę w holu.

- Jenny! - zawołał, a echo jego głosu odbiło się od ścian domu.

Odpowiedzi nie było, jedynie cisza, która zmroziła mu krew w żyłach, wraz ze świadomością, że niewiele brakowało, a zdążyłby na czas, by ocalić rodzinę.

Słyszał przecież strzały oddane przez egzekutora, jeden do jego żony i po jednym do dzieci. Teraz było już po wszystkim.

I wtedy to usłyszał, cichy szloch dochodzący ze szczytu schodów. Nie widział zupełnie nic, ale dźwięk ten przybierał na sile i stawał się wyraźniejszy, spływając w dół schodów, aż w końcu znalazł się tuż przy nim. W słabym świetle księżycy ujrzał wyciągające się ku niemu dwie blade dłonie.

- Boże, Andy! - zawołała Jenny, obejmując go z całej siły i wtulając twarz w jego ramię. - Andy! Andy! - zaszlochała, nie próbując się nawet opanować.

- Jenny - musiał zapytać. - Co z dziećmi, Jenny?

Spojrzała na niego.

- Nic im nie jest.

- Słyszałem strzały.

Już miała odpowiedzieć, kiedy padło na nich światło latarek i usłyszeli odgłos biegnących stóp na ulicy przed domem.

- Boże! - jęknęła, puszczając Andy'ego i sięgając po pistolet.

- Daj mi go - powiedział.

Podawała mu pistolet, a on wymierzył z niego w przestrzeń nad promieniem pierwszej latarki.

- Kim oni są? - szepnęła, gdy promień latarki znieruchomiał, a kroki ucichły.

- Jeszcze nie wiem.

- Andy! - zawołał Mike z ciemności, tuż za furtką. - Nie bądź głupi, nas jest trzech, a ty jeden! Opuść broń!

Andy nie miał zamiaru się poddać. W ciągu ostatniej minuty był już gotów uwierzyć, że jego rodzina została zamordowana, przekonał się, że nic im nie jest, i teraz, kto wie, czy wszyscy nie zginą z rąk tych tajemniczych mężczyzn.

- Kim ty jesteś, do cholery, Mike? - wychrypiął.

- Jesteśmy tymi dobrymi, Andy, my jesteśmy ci dobrzy, uwierz mi - odparł Amerykanin zdyszany po długim biegu głosem.

- On powiedział, że przyjdą tu jacyś ludzie, aby zabić naszą córkę - rzekła Jenny.

- On? - powtórzył Mike. - Czyli kto?

Andy spojrzał na nią.

- Był tu jeszcze przed chwilą, na schodach. Powiedział, że przysłano go, by chronił Leonę. Kazałam mu się nie ruszać - głos zaczął się jej łamać - ale on nie słuchał, więc strzeliłam... a wtedy on uciekł.

- Andy - rzekł Mike - oni tu są, wiedzą, gdzie ona jest. Musisz mi zaufać.

Andy wciąż nie opuszczał broni, - Zrozum, gdybyśmy chcieli zabić twoją córkę, nie rozmawialibyśmy z tobą, tylko przestąpili nad ciałem twoim i twojej żony i weszlibyśmy do środka. Zastanów się nad tym.

Od szczytu schodów Andy usłyszał przepelniony ekscytacją głos Jacoba:

- Czy tatuś wrócił?

Rozdział 86

godz. 22.25 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Siedzieli wszyscy razem w zdemolowanym salonie oświetlonym jedynie przez kilka zapachowych świec, które Jenny znalazła w szufladzie w kuchni. Andy i jego rodzina zebrali się na skórzanej sofie pokrytej plamami i pełnej rozległych nacięć, Mike zaś zajął miejsce naprzeciw nich na drewnianym krześle z kuchni, jedynym, które nie zostało połamane w drobny mak.

- U podnóża schodów są ślady krwi. Chyba w coś trafiłaś - powiedział.

- On podchodził coraz bliżej - wyszeptała Jenny.

- Postąpiłaś słusznie - odparł Mike. - Gdybyś pozwoliła mu zbliżyć się jeszcze krok, ty i twoje dzieci zostalibyście - spojrzał na przerażoną twarzyczkę Jacoba - ...cóż, osiągnąłby swój cel.

- Znaczy mnie? - spytała Leona.

Mike przytaknął.

Andy potrząsnął głową.

- Posłuchaj, Mike, jeżeli faktycznie tak masz na imię...

Amerikanin uśmiechnął się.

- Tak, na pierwsze...

- Naprawdę nie mam pojęcia, kim jesteś. W Iraku wydawało mi się, że cię poznałem... ale teraz niczego już nie jestem pewien. Wiem tylko, że jakieś wysoko postawione skurwiele chcą dorwać moją córkę. Kim oni są, Mike? I gdzie właściwie w tym wszystkim jest miejsce dla ciebie i twoich współpracowników? - Spojrzał znacząco na jednego z ludzi Mike'a pełniącego wartę w holu.

- Mogę opowiedzieć ci więcej o nas niż o nich - odparł. - I dlatego twoja córka jest dla nas tak ważna.

- No to zacznijmy od was.

- Pracuję dla... nazwijmy to, agencji. To niewielki wydział należący niegdyś do Federalnego Biura Śledczego, ale to dawne dzieje. Teraz utrzymujemy się z prywatnych funduszy i to pozwala nam nie rzucać się w oczy. W tej agencji zajmujemy się tylko jednym,

Andy... staramy się odnaleźć tamtych. - Poglądził się po brodzie, zastanawiając się, co ma powiedzieć dalej.

- Oni... są tak sprytni, że nawet nie mają dla siebie nazwy. Nie mają logo, motta ani nawet centrali, nie rezydują w jednym konkretnym kraju, nie łączy ich przynależność polityczna ani ideologia, są po prostu bogaci i wpływowi. To jakby klub. Nasza mała agencja została założona czterdzieści lat temu, a konkretnie w sześćdziesiątym trzecim roku, po tym jak klub uznał, że umieścili w Białym Domu niewłaściwego człowieka.

- Mój Boże... Kennedy?

Mike pokiwał głową.

- To jego brat Robert zorganizował naszą małą grupę po zamachu w Dallas. Właśnie dlatego ci dranie jego także zlikwidowali. Od tamtej pory musieliśmy działać poza systemem.

- Cholera - wyszeptał Andy.

- No właśnie. Osiem lat temu wykonałeś pewne zlecenie dla grupy bardzo niebezpiecznych i potężnych ludzi. Przełamanie otaczającego ich muru milczenia było praktycznie niemożliwe. Przez czterdzieści lat dowiedzieliśmy się jedynie, że w skład ich grupy wchodzi stu sześćdziesięciu członków, z czego dwunastu podejmuje najważniejsze decyzje.

- Musicie się chyba domyślać, kim są ci ludzie?

- Domyślamy się. I niewiele ponad to. Trafił nam się tylko jeden informator... jeżeli jesteś obeznany z polityką europejską, jego nazwisko zapewne nie byłoby ci obce... spotkał się z nami zaledwie dwa razy, zanim go dopadli. To były krótkie spotkania. - Przeniósł wzrok z Andy'ego na Leonę.

- Tak oto dochodzimy do waszej dwójki - westchnął. - Andy, wykonałeś zlecenie dla Dwunastu - nieomal miałeś z nimi bezpośredni kontakt. Czy miałeś pojęcie, z kim właściwie się zetknąłeś?

- Sądziłem, że to baronowie naftowi.

Mike zachichotał.

- Świat i władza opierają się na modelu piramidy. Wszystkim mylnie się wydaje, że miejsce na wierzchołku tej piramidy zajmuje rząd. To nieprawda. Wcale tak nie jest. Rządy są dla tamtych jedynie narzędziem, z którego korzystają. Są korporacje, które stanowią część większych korporacji, a te z kolei są własnością innych, znacznie większych korporacji. Im są one większe, tym mniej ludzie o nich wiedzą, w przypadku tych z górnej półki nie znają nawet ich nazw. Koniec końców, te olbrzymie korporacje są własnością banków, które z kolei są kontrolowane przez większe banki, a ich nazwy nie są znane ogółowi społeczeństwa...

ostatecznie te największe banki są własnością akcjonariuszy; bardzo bogatych, stroniących od świata akcjonariuszy. Gdybym miał zaryzykować i odgadnąć, kim są członkowie Dwunastu, zacząłbym właśnie od nich.

- Ale wygląda na to - uśmiechnął się do Leony - że miałaś okazję zobaczyć kilku z nich. Co ważniejsze, rozpoznałaś twarz jednego z nich; to ktoś, kogo pokazano w telewizji tuż przed tym, jak wszystko zaczęło się walić, zgadza się?

Leona pokiwała głową.

- Nie wiem, kim on jest, nie znam jego nazwiska.

- Nieważne. Teraz zrobimy tak: zabierzemy cię stąd w bezpieczne miejsce, a potem pokażemy ci całą masę zdjęć, a ty powiesz nam, czy jest wśród nich ktoś, kogo wtedy widziałaś.

Mike odwrócił się do Andy'ego.

- Twoja córka dysponuje obecnie chyba najistotniejszymi informacjami na świecie. To prawdziwa żyła złota. Dzięki temu dla nas jest bezcenna, a dla nich stanowi zagrożenie.

- A co z mężczyzną, który tu był? - spytała Jenny. - Czy on był jednym z nich?

Mike był oszczędny w słowach.

- Odszedł, ale zapewne niedaleko. Zaczekamy tu do świtu.

- A jeśli on wróci? - zapytał Andy.

- Moi ludzie pilnują frontowych i tylnych drzwi. Są dobrze wyposażeni i wyszkoleni, mają noktowizory i kamizelki kuloodporne - to prawdziwi zawodowcy.

Jenny pokręciła głową.

- Prawie dałam mu się nabrać. Był taki przekonujący.

- I zabójczy - wtrącił Mike. - Wydaje mi się, że to ktoś, kogo znamy. A przynajmniej znamy jego dokonania. To ich najlepszy agent terenowy, spec od mokrej roboty - tamci wielokrotnie korzystali z jego usług. Pracuje sam, niezależnie. Nigdy go nie widziałem, ale oglądałem efekty jego działań. - Przerwał. - Paskudna sprawa. Szkoda, że nie mamy więcej informacji na jego temat.

Jenny odwróciła się do Andy'ego.

- Jesteśmy bezpieczni, prawda? To znaczy dzieci... ty i ja?

Andy ścisnął ją za rękę.

- Myślę, że teraz już tak - odparł wykończony. - Przetrwaliśmy najgorsze, Jen.

Mike wstał i poklepał Andy'ego po ramieniu.

- W Iraku pani mąż okazał się prawdziwym samcem alfa, urodzonym dowódcą, błyskotliwym strategiem i dobrym towarzyszem na polu walki. Jeżeli wciąż nie potrafi pani

zaufać mnie, to przynajmniej niech pani zaufa jemu.

Jenny spojrzała na męża.

- Ufam ci - rzekła. - Przepraszam, że... no wiesz, wcześniej bywało z tym różnie.

- Może powinniście się trochę przespać, o ile zdołacie, rzecz jasna. Wyruszamy o świcie - powiedział Mike. - Zabierzemy was w bezpieczne miejsce.

- Dobra. Prześpimy się tutaj, jeżeli można.

- Można. Tu przynajmniej mogę mieć was na oku - odparł uspokajająco. - Zdrzemnijcie się. Ja pójdę i sprawdzę, co u moich chłopców.

Mike wyszedł z pokoju i zostawił ich przytulonych na sofie. Jacob, choć zaspany, próbował jeszcze zadawać pytania, na które Andy ani Jenny nie potrafili właściwie odpowiedzieć. Wreszcie wtuleni w siebie, wymieniwszy szeptem jeszcze kilka słów i uрониwszy parę łez ulgi, Jenny, Leona i Jacob usnęli.

Andy poczuł, że zmęczenie nagromadzone przez cały miniony tydzień zaczyna w końcu dawać mu się we znaki. Szept równych, spokojnych oddechów jego śpiącej rodziny i odległe głosy Mike'a rozmawiającego z kolegami na zewnątrz wyciszyły go i dodały otuchy do tego stopnia, że pozwolił sobie zapaść w sen.

Rozdział 87

godz. 23.36 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Ta fartowna suka oddała do niego trzy strzały i raz udało się jej trafić. Kula, wchodząc w ciało, strzaskała obojczyk, a opuszczając je, wyrwała spory fragment tkanek na wysokości barku, pozostawiając duży otwór wylotowy

Zamierzał wejść po schodach i wykończyć ją jednym szybkim cięciem, a potem wypruć flaki dzieciakom, zanim którekolwiek z nich zdążyłoby mrugnąć. Wiedział, że odgłos wystrzału natychmiast ściągnie tamtych.

Zostałby uwięziony na górze, nie mając dokąd uciec.

Ash wymknął się przez frontowe drzwi i przysiadł wśród pobojowiska na ulicy. Sutherland minął go o kilka metrów, a pozostali trzej mężczyźni parę sekund później. Żaden z nich nie zauważył go przykucniętego pośrodku ulicy, widocznego wśród całego tego bałaganu dla wszystkich, którzy potrafiliby uważniej się przyjrzeć. Znieruchomiał, wiedząc, że nawet najdrobniejsze poruszenie zwróciłoby czyjąś uwagę, a potem obserwował ich z ciemności.

Kiedy ten wielki Amerykanin Mike zdołał pozyskać zaufanie pani Sutherland i weszli do środka... Ash mógł się poruszyć. Dostał się do domu naprzeciwko, wyjął kilka ubrań z szafy i porozrywał na pasy, aby użyć ich jako bandaża. Opatrzył mocno i starannie zranione miejsce, owijając je materiałem na ukos wokół szyi i pod lewą pachą, krzywiąc się przy każdym ruchu lewego ramienia. Opatrunek nie powstrzyma krwawienia, ale ucisk na ranę na pewno je spowolni.

Kula musiała uszkodzić nerwy lub ścięgna w lewym barku, bo jego ramię zwisało bezwładnie wzdłuż boku. Gdyby otrzymał postrzał w prawe ramię, to którego używał, posługując się nożem, mogłoby to stanowić pewien problem.

Siedząc w ciemnym domu, na trzeźwo oceniał sytuację.

Trzech na jednego.

Wszyscy mieli pistolety z noktowizorami i kamizelki kuloodporne, a on tylko nóż.

Ash uśmiechnął się; nie mieli żadnych szans.

Wiedział, że byli podenerwowani, w każdym cieniu będą dopatrywać się wroga. Ash miał

ugruntowaną reputację i zdawał sobie sprawę, że ci ludzie słyszeli o jego dokonaniach. To zawsze działało na jego korzyść - zostaną w domu do świtu, wolą nie ryzykować ucieczki nocą. Wystawią jednego człowieka na ganku za domem, a drugiego przy frontowym wejściu.

Wiedzą, że jestem ranny. Na podłodze zostały ślady krwi. To mogło dodać im pewności siebie i sprawić, że staną się nieostrożni.

Uśmiechnął się. Nawet tylko z jedną sprawną ręką mógł urobić ich jak wosk. Podejrzewał, że mogli nawet - wiedząc, że był ranny - spróbować pojmać go żywcem, gdyby nadarzyła się taka okazja, choć nie sądził, by byli aż tak głupi.

Chociaż, kto wie, skonstatował. Biorąc pod uwagę, że byli nabuzowani adrenaliną i pragnęli dopaść go możliwie jak najszybciej, wszystko mogło się zdarzyć.

Wiedział, co robić.

- To musi być ten sam facet, z którego usług korzystali już wcześniej - rzekł cicho Mike do mężczyzny stojącego wraz z nim w drzwiach. - Szkoda, że nie wiemy więcej o tym sukinsynu.

W milczeniu przepatrywał ulicę; słyhać było tylko lekki szum wiatru w konarach drzew wznoszących się po obu stronach alejki.

- Myślisz, że ten facet wróci? - zapytał niemal szeptem Blaine, lustrując ulicę przed nim przez noktowizor na swoim pistolecie.

- Oczywiście, że tak. Daj spokój, wiesz, z kim mamy do czynienia.

- Tak, ale chyba miałem nadzieję, że tym razem wyślą kogoś innego.

- Stawka jest zbyt wysoka, Blaine. Oni wysyłają tego gościa zawsze, gdy chcą coś posprzątać.

Blaine skinął głową i nerwowo oblizał usta.

- Spokojnie. Mimo iż jest naprawdę dobry, to przecież tylko człowiek.

- Czasami mam wątpliwości.

- Co?

- Czy jest tylko człowiekiem... - Blaine uśmiechnął się półgębkiem. - Bądź co bądź, w naszym dossier ktoś nadał temu facetowi przydomek Duch.

- Ktokolwiek to zrobił, był idiotą. To tylko znający się na rzeczy wolny strzelec, któremu jak dotąd dopisuje szczęście. Aż do teraz, ma się rozumieć. Żona Andy'ego wpakowała mu co najmniej jedną kulkę. Najbardziej martwi mnie, że ten facet mógł odpelznąć gdzieś, aby zdechnąć w ciemnym kącie. Byłoby dobrze, gdyby trafił w nasze ręce. Kto wie, jakimi informacjami na temat tamtych może dysponować.

- To trochę żenujące, no nie? Gdyby się okazało, że to w końcu niewykształcony cywil, w dodatku kobieta rozwalila słynnego Ducha.

- Blaine, jeszcze raz tak go nazwiesz, a osobiście cię zastrzelę - szepnął Mike, nie do końca żartując. - A teraz milcz i skup się.

- Tak jest.

Stali przez dłuższą chwilę w milczeniu, gdy nagle Blaine otworzył usta, by zadać kolejne pytanie.

- Ciii... mniej gadaj, więcej patrz - wyszeptał Mike.

- Tak jest szefie.

Wtedy właśnie Mike zauważył - albo przynajmniej tak mu się wydawało - jakiś ruch w oknie domu naprzeciwko. Klepnął Blaine'a w ramię.

- Na wprost, pierwsze okno po lewej, na piętrze.

Mężczyzna uniósł pistolet z noktowizorem.

- Cholera... tak... coś się tam poruszyło.

Mike musiał szybko podjąć decyzję.

Jest w tamtym domu na piętrze. Jest uwięziony, może się stamtąd wydostać tylko schodami na dół albo skacząc przez okno, ryzykując, że złamie nogę. Jest ranny, może dostał nawet dwie lub trzy kule. Mamy realną szansę przygwoździć dziś tego skurwiela. A jak złapiemy żywego, może nawet uda się skłonić go do mówienia. Taka premia.

- Możemy go dopaść, o ile zadziałamy szybko.

Blaine pokiwał głową.

- Kurwa, masz rację.

- Kryj się! - syknął Mike.

Przebiegł przez ulicę, gnając zygzakiem pomiędzy walającymi się na asfalcie stertami śmieci, podczas gdy Blaine wymierzył swój zaopatrzonej w noktowizor pistolet w okno domu naprzeciwko. Mike dał Blaine'owi znak, by dołączył do niego przy ścianie, tuż obok otwartych frontowych drzwi. Mężczyzna szybko i bezszelestnie przebiegł przez ulicę, by znaleźć się obok niego.

- W tym pokoju wciąż widać jakieś poruszenie. On coś tam kombinuje.

- Dobra, standardowa procedura sprawdzania jednego pokoju po drugim. Wiemy tylko, że parter jest czysty. Pójdę przodem.

Blaine pokiwał głową.

Mike wszedł do budynku pierwszy, mierząc z pistoletu z noktowizorem w stronę wąskich schodów na piętrze.

Wszystkie te domy są jednakowe: mała łazienka na górze, podest z krótkim korytarzem, troje drzwi po lewej, na drugim końcu pomieszczenie z bojlerem.

Zrobił kilka kroków i nagle przystanął, nasłuchując wszelkich odgłosów z góry. Było cicho, jeśli nie liczyć zawrota wiatru wpadającego przez wybite okna do wnętrza domu. Machnął ręką do Blaine'a, który cicho wspiał się po schodach, minął Mike'a i pokonał kolejnych kilka stopni, docierając niemal do szczytu schodów.

Czekali, by się przekonać, czy ich obecność została wykryta, czekali na jakąkolwiek reakcję. Ale nic nie przerywało ciszy, jeśli nie liczyć szelestu papierów i reklamówek niesionych wiatrem w głąb ulicy.

Mike wyminął podwładnego. Dotarłszy do szczytu schodów, wymierzył broń najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, patrząc uważnie przez noktowizor.

Jeżeli to Duch... to skurwiel jest bardzo podstępny i cwany. Wiedzieli o nim bardzo mało poza tym, że używał noża o długim cienkim ostrzu. Ludzie, którzy go spotkali i przeżyli - a było ich niewielu - opisywali, że miał śniadą cerę jak mieszkaniec Bliskiego Wschodu. Nie miał jednej tożsamości, posługiwał się milionem różnych nazwisk, innym do każdego zlecenia. I pracował wyłącznie dla tamtych. Mike słyszał o trzech tajemniczych zgonach, które zdawały się jego dziełem z uwagi na rodzaj śmierci ofiary. Jak choćby ten strażak z remizy 57 twierdzący uparcie, że wśród gruzów WTC odkrył kilka ładunków wybuchowych, które nie eksplodowały, a kilka dni później został zasztyletowany na ulicy w biały dzień, rzekomo przez nieznaną sprawców. Albo minister w rządzie Saddama Husajna, który miał do przekazania całemu światu wstrząsającą nowinę i nagle, ni z tego, ni z owego, poderżnął sobie gardło. No i był jeszcze ten rosyjski bankier lobbujący za sprzedażą ropy z pól Tengiz za euro, a nie za dolary - wszyscy oni zginęli od ciosów noża o długim wąskim ostrzu... noża tego nigdy nie odnaleziono. Mike był pewien, że ludzie ci byli ofiarami tego samego zabójcy.

Machnięciem ręki skierował Blaine'a na górę i wskazał łazienkę u szczytu schodów. Mężczyzna przecisnął się obok niego. Odliczywszy w myślach do trzech, wszedł śmiało do środka, by upewnić się, że w łazience nie ma nikogo.

- Czysto - wyszeptał.

Mike uznał, że nie ma sensu dłużej zachowywać się cicho. Ten mężczyzna musiał wiedzieć, że są w domu i szukają go.

- Wiemy, kim jesteś - rzekł. - Znamy twoje dokonania.

Bez odpowiedzi.

- Jesteś ich człowiekiem, pracujesz wyłącznie dla tamtych. Obserwowaliśmy cię.

Cisza.

- Jeżeli dojdzie do konfrontacji, najprawdopodobniej zginiesz. Jeżeli wyjdiesz do nas dobrowolnie i bez broni, będziemy mogli przynajmniej porozmawiać.

Słysząc było tylko lekkie trzepotanie zasłony we frontowym pokoju.

Cholera.

Mike miał nadzieję, że zdołają wziąć tamtego żywcem. Był zbyt niebezpieczny, by go lekceważyć. Gdyby musieli wziąć go siłą, powinni rozegrać to tak, aby zaatakować gładko i sprawnie i zabić go możliwie jak najszybciej.

Dał Blaine'owi sygnał, że zamierza sprawdzić kolejny pokój. Odliczył w myślach do trzech, po czym kopniakiem wyważył drzwi i wpadł do środka, przesuając trzymanym przed sobą pistoletem z boku na bok. Czysto.

Blaine sprawdził kolejny pokój. Znow nic.

Drogą eliminacji... pozostał już tylko jeden pokój.

- Ja go sprawdzę - szepnął Mike. - Oslaniaj mnie, chcę, żebyś był tuż za mną, kiedy tam wejde.

Mężczyzna pokiwał głową.

- Jasne, Mike.

Amerikanin wziął głęboki oddech, odliczył w myślach od pięciu do zera, uniósł rękę, dając Blaine'owi znak, aby zajął pozycję, skąd mógł widzieć opuszczane kolejno przez niego palce.

Trzy... dwa... jeden...

Mike kopnął w drzwi i wpadł do frontowej sypialni, przeturlał się po podłodze i zatrzymał pod przeciwległą ścianą. Wymierzył najpierw w lewo, a potem w prawo, lustrując pokój szybkimi, gwałtownymi ruchami. Jego wzrok w jednej chwili przykuło coś, co poruszało się przy oknie sypialni. To było prześcieradło zarzucone na coś, co wyglądało jak stojąca lampa, wiatr bawił się nim, trzepocząc jednym z rogów nakrycia. Właśnie to zobaczyli przez okno, stojąc u wejścia do domu Sutherlandów.

- Cholera! - mruknął Mike. - Czysto! - zawołał.

Nie ulegało wątpliwości, że wystrychnięto ich na dudka. Ten skurwiel celowo ich tu zwabił.

- Blaine! Wracaj, kurwa, do domu! Biegiem!

Mike odwrócił się, by wybiec z pokoju. Na podeście, u szczytu schodów zobaczył ciało Blaine'a leżącego, jakby uciął sobie drzemkę. I właśnie wtedy poczuł przeraźliwie mocny cios w nerki. Jego ciało eksplodowało bólem i w pierwszej chwili pomyślał, że oto celny cios pięścią dosięgnął jednego z wrażliwszych ośrodków nerwowych. Kiedy jednak sięgnął ręką

do boku, poczuł wystającą z ciała rękojeść i wilgoć na palcach.

- O kurwa - stęknął. Coś odnalazło ośmiocentymetrową szczelinę pomiędzy przednimi i tylnymi płatami jego kamizelki.

- Tak - usłyszał głos szepczący mu wprost do ucha - umierasz. Zostało ci nie więcej niż pięć minut życia. Jeżeli się położysz, pociągniesz może ze dwie minuty dłużej.

Mike poczuł, że uginają się pod nim nogi, a kiedy osuwał się na podłogę, ktoś wyjął ostrze noża z jego ciała, a potem silne ręce ujęły go pod pachy. Chwilę później został delikatnie położony.

Rozdział 88

godz. 23.54 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Ash ukląkł nad nim. Zapalił latarkę i obejrzał ranę na ciele mężczyzny. Krew tryskała z rany w rytm uderzeń serca konającego.

- Zrozum - rzekł łagodnie Ash - twoja śmierć będzie względnie bezbolesna. To, co najboleśniej, masz już za sobą. Wykrwawisz się dość szybko. Wybacz, że nie pozwoliłem ci umrzeć natychmiast - rzekł z lekką nutą żalu.

Umierający spojrzał na niego z mieszaniną gniewu i zdumienia. Ash potrafił zrozumieć jego gniew... tak się dać wciągnąć w pułapkę i zaszlachtować... kto by pomyślał?

- Domyślałem się, że ty jesteś Mike - powiedział. - Tak, to głupi numer. Prześcieradło zarzucone na lampę i drobna pomoc nocnego wiatru.

- Pieprzony tani trik - jęknął Mike.

- Pozwól, że cię o coś spytam. Wierzysz w Boga?

Mike zaśmiał się zuchwale i skrzywił z bólu.

- Nie, bo co?

- Może to właściwy moment, by odnaleźć w sobie odrobinę wiary? Nigdy nie wiadomo, co czeka po drugiej stronie.

- Wiesz... mój przyjaciel zapewnił mnie... że Bóg przyjmuje też ateistów... nie wpuszcza tylko skończonych palantów.

To było całkiem zabawne - spodobała mu się buta tego Amerykanina, jego zuchwałość w obliczu śmierci. Naprawdę godne podziwu.

Mike wychrypiął coś niewyraźnie, słabnącym głosem.

- Pytasz o swojego drugiego kolegę w domu? Tak, obawiam się, że on także nie żyje. Załatwiłem go pierwszego. Pewno nawet nie słyszałeś, jak upadał, prawda? Byłeś zbyt zajęty pogawędką przy frontowych drzwiach.

Mike schwycił go za rękę.

- Opuść... tej... rodzinie - rzęził, z trudem chwytając powietrze.

- Przykro mi, są na mojej liście do załatwienia - odparł Ash, a potem uśmiechnął się do niego z odrobiną współczucia, gdy Amerykanin gorączkowo próbował zaczerpnąć tchu.

- Wiemy, że od dawna nas obserwujecie, ta wasza marna mała agencja. Co najzabawniejsze, my też próbowaliśmy was namierzyć.

A więc tamci o nich wiedzieli i próbowali pozbyć się uciążliwego prześladowcy, podczas gdy ta mikroskopijna agencja robiła dokładnie to samo; przez cztery dekady obie organizacje ściagały się nawzajem jak dwa ślepe drapieżniki, a ich delikatne tropy odcisnęły się na kartach współczesnej historii.

Szczerze mówiąc, agencja nie była żadnym przeciwnikiem dla ludzi, na których zlecenie Ash pracował jako czyściciel. Złożona z kilkudziesięciu agentów terenowych i działających zza biurka, funkcjonująca wyłącznie dzięki „czarnym funduszom”, nie mogła się mierzyć z bogactwem, władzą i wpływami, które ustanawiały światowych przywódców, wszczynały wojny i kładły im kres oraz wyznaczały i kontrolowały globalne trendy ekonomiczne. To nie było starcie równego z równym, raczej Dawida z Goliatem.

Jednakże agencja nieźle się spisała, identyfikując i namierzając jedyne słabe ogniwo ich łańcucha, zdrając... zięcia i przyszłego dziedzica jednego z najpotężniejszych, jednego z Dwunastu. Ten młody mężczyzna, bankier, przedstawiciel niższego szczebla, nagle zaczął mieć opory i wątpliwości, zwyczajnie spanikował, lecz powiedział agencji dostatecznie dużo, by zainteresowała się osobą doktora A. Sutherlanda.

Oczywiście wszystkich tych niedogodności i uganiania się po tym zasranym kraju można było uniknąć, gdyby tylko pozwolili mu sprzątnąć tę dziewczynkę w hotelowym pokoju w Nowym Jorku wiele lat temu.

Hipokryci.

Przygotowywali się, by wcielić w życie plan mający w efekcie doprowadzić do zagłady setek milionów, a jednak zabrakło im ikry, aby na własne oczy zobaczyć śmierć jednego dziecka. Uznał, że pod wieloma względami ma więcej wspólnego z leżącym przed nim mężczyzną niż z uprzywilejowaną, rozpieszczoną elitą, dla której pracował.

- Prawie ich zdemaskowałeś. Prawie wygrałeś, przyjacielu. Ta dziewczyna mogła zidentyfikować dla was trzech spośród Dwunastu.

Ash wiedział, że znajdował się na uprzywilejowanej pozycji, wiedząc więcej niż ktokolwiek z przedstawicieli niższego szczebla. Obdarzono go niemal bezgranicznym zaufaniem, ponieważ był ich psem łańcuchowym. Znał tych dwunastu mężczyzn, nie byli wcale odważni, lecz słabi.

Wiedział, że tożsamość choćby jednego z nich wystarczyłaby tej nieustępliwej, zawziętej małej agencji. Znalezliby sposób, aby dotrzeć do zdemaskowanego członka, a potem zmusiliby go do mówienia, to nie byłoby wcale trudne.

- Dotarłeś tak blisko - rzekł Ash.

- Pieprz się - wycedził Mike. - Wiemy o was wszystko, tandeciarze.

Mike próbował się poruszyć, sięgnąć po broń leżącą na podłodze o kilkadziesiąt centymetrów od niego. Ash jakby od niechcenia kopnął ją dalej.

- Nie ruszaj się - ostrzegł Mike'a - bo szybciej się wykrwawisz. Chcę, żebyś wiedział, bo uważam, że na to zasłużyłeś, przyjacielu.

Amerikanin tylko lekko skinął głową.

- Wiecie o nas wszystko? - Ash zaśmiał się. - Nic nie wiecie. Tylko to, czego zdołaliście się dowiedzieć przypadkiem. Myślisz, że za tym wszystkim stoi grupa opasłych przemysłowców w drogich garniturach? To sięga znacznie wyżej. Możesz prześledzić szczeble władzy od banków, które są własnością banków, które także stanowią własność innych banków, a te należą do kilkunastu osób.

Mike zmarszczył brwi, usiłując przewalczyć ogarniającą go słabość, aby zrozumieć to, co właśnie usłyszał.

- Świat stanowi własność kilkunastu rodzin, na których czele stoi kilkunastu mężczyzn; nazwiska niektórych z nich są znane nawet największym, najbardziej bezmyślnym półgłówkom. Inni od zawsze trzymali się w cieniu. Uwierz mi, że ich wpływy, nawet pomijając ostatnie lata, były zawsze cholernie imponujące - nachylił się nad Mikiem i spojrzał na niego.

Żrenice Amerykanina nieznacznie się rozszerzyły, gdy konający z wolna, lecz nieuchronnie zaczął tracić przytomność.

- Ludzie, dla których pracuję... oznaki ich działalności możesz napotkać wszędzie, na kartach historii całego świata, jak odciski palców pozostawione na miejscu zbrodni. Weźmy na przykład drugą wojnę światową...

Mike na chwilę wstrzymał oddech.

- O tak - Ash uśmiechnął się - to była z ich strony mylne pojęta próba powstrzymania dalszej ekspansji komunizmu. Oni nigdy nie lubili powstań ludowych. To oni stworzyli Hitlera, utorowali mu drogę.. dopóki robił, co mu kazano, był nie do ruszenia. Ale, rzecz jasna, w którymś momencie zaczął odbiegać od scenariusza, a reszta, jak to się mówi, jest historią.

- Wojna...?

- Tak, oczywiście, została przez nich zaaranżowana.

Mike próbował coś powiedzieć, ale z jego gardła dobył się tylko cichy bulgot.

- Czy wiesz, że wojna secesyjna była tak naprawdę walką o władzę między członkami

niższego szczebla? W rzeczywistości ta wojna była starciem między dwiema grupami biznesmenów. A co z waszą wojną o niepodległość? To oni próbowali utrzymać władzę w koloniach, wykorzystując w tym celu Anglię. Oczywiście przegrali tę wojnę. Ale z drugiej strony, po drodze jakby kupili cały kraj dzięki lokatom kapitałów. - Ash zaśmiał się łagodnie. - Wasza historia, Mike, historia Ameryki... rozumiesz? Została napisana przez kartel europejskich rodów. Wojny, setki tysięcy zabitych młodych Amerykanów, bieda i niedola, wielki kryzys, dwie wojny światowe... to w ostatecznym rozrachunku nic innego, jak rozgrywająca się w sali konferencyjnej walka pomiędzy elitą rządzącą; bóle wzrostowe ich wpływów, przyjacielu.

Mike próbował coś powiedzieć. Z kącika jego ust wypłynęła strużka czarnej jak ropa krwi i spłynęła mu na brodę.

- Ale... czemu... to?

- Czemu to się dzieje? To co teraz? - dokończył Ash.

Konający skinął głową, to był prawie niedostrzegalny ruch. Ash spojrzął na nóż, który trzymał w ręku - trzeba było go wyczyścić. Otarł ostrze w rękaw bluzy Mike'a.

- Oni uznali, że trzeba zrobić coś takiego, korektę, poprawkę, drobne domowe porządki.

Ash przerwał.

- Kończy się, wiesz o tym? - powiedział. - Jest jej znacznie mniej, niż się ludziom wydaje... ropy, znaczy się. Tak, o wiele mniej niż rezerwy, o których się mówi. Dlatego oni uznali, że jest nas po prostu za dużo; tych, którzy w najlepsze korzystają z codziennych dobrodziejstw i luksusów ropy, tych, którzy chcą mieć wielkie auta, wielkie domy i niewyczerpany zapas energii elektrycznej oraz ropy, by zaspokajały ich potrzeby. Nie mogłoby wystarczyć jej na długo. Oni wiedzieli o tym dużo wcześniej. I zdawali sobie sprawę, że dojdzie do wybuchu wojen, strasznych wojen, może nawet z użyciem bomb atomowych... o te resztki ropy, jakie jeszcze pozostały. A przecież nikt by nie chciał, aby na świecie dochodziło do konfliktów z użyciem atomówek. Oni wiedzieli, że głód ropy, potrzeby natury ekonomicznej doprowadzą do zagłady całej ludzkości... po prostu zniszczyłaby się sama. Patrząc na to wszystko z ich perspektywy, a trzymając tę władzę w rękach od niemal średniowiecza, trudno się dziwić, że nie chcieli się z nią rozstawać... to oczywiste. Rozumiesz już, jakie to wszystko może być irytujące?

Wsunął nóż do pochewki przy kostce.

- I dlatego w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku na swoim zgromadzeniu podjęli decyzję. Postanowili usunąć ten czyrak, że pozwolę sobie na taki eufemizm. Wybrali rozwiązanie polegające na zdiesiątkowaniu całej ludzkości, na gruntownym zmniejszeniu

populacji naszego globu, zanim będzie za późno. Widzisz, Mike, ludzie, dla których pracuję... są jak opiekunowie po cichu sterujący biegiem wydarzeń, utrzymujący równowagę sił i sprawiający, że cała ta wielka machina nadal się obraca. Zrobili to dla nas wszystkich... bo trzeba to było zrobić.

Patrzył na twarz konającego Amerykanina. Wyglądało na to, że w tych szklistych oczach wciąż tliło się życie, był pewien, że Mike nadal go słyszy.

- Zatem decyzja została podjęta pod koniec dziewięćdziesiątego dziewiątego roku - Ash zaśmiał się łagodnie - podczas gdy owieczki wszędzie przygotowywały się, by świętować nadejście nowego stulecia, martwiły się tylko zagrożeniem ze strony pluskwy milenijnej, wystawnymi balami i bólem głowy następnego dnia. Właśnie wtedy postanowiono, że trzeba poczynić przygotowania do zakręcenia kurków.

Ash szturchnął Mike'a.

- Widzisz, najlepsze w ropie jest to, że ona jest dla nas jak tlen albo życiodajna krew... to idealny mechanizm kontroli. Jeśli odkręcisz kurki, świat ożywa z nową werwą, ale jeśli przykręcisz je dostatecznie mocno, wszystko się zatrzymuje. To idealny mechanizm jak pedał gazu w motocyklu.

Amerykanin wydał głośnie sapnięcie, które, jak uznał Ash, było jego ostatnim tchnieniem.

- Trochę to trwało, zanim wszystko przygotowali, jak rozumiesz, to był naprawdę ogromny projekt. I widzisz, wszystko od dziewięćdziesiątego dziewiątego...

Spojrzał na Mike'a.

Jego źrenice całkiem się rozszerzyły, oczy wpatrywały się niewidzącym wzrokiem w sufit. Już go nie słyszał.

- Wszystko, i to dosłownie wszystko, począwszy od dwóch odrzutowców pasażerskich, które rozbiły się w Nowym Jorku, wszystko od tamtej pory miało na celu tylko jedno: przygotowanie świata na tę... korektę.

Amerykanin był martwy.

- Szkoda - rzekł Ash, wsłuchując się przez chwilę w szum wiatru hulającego na podeście i schodach. Chciał, aby Amerykanin usłyszał to wszystko i zrozumiał, dlaczego to musiało się stać, może nawet zgodziłby się z nim, że należało podjąć takie kroki dla dobra całej ludzkości. Ale zapewne większość z tego, co powiedział, nie miało dla zmaczonego umysłu umierającego mężczyzny większego sensu.

- Szkoda.

Zamknął Amerykaninowi oczy i wstał, stękając z bólu. Żona Sutherlanda trafiła go w obojczyk i mimo iż sprawnie opatrzył ranę, wiedział, że nie jest dobrze - miał krwotok

wewnętrzny

Poczuł lekki zawrót głowy.

Niedobrze.

Wciąż pozostały mu jeszcze niedokończone sprawy do załatwienia.

Niedziela

Rozdział 89

godz. 00.01 czasu Greenwich

Shepherd's Bush, Londyn

Andy obudził się. Coś go zaniepokoiło; hałas - czyżby któreś z dzieci zaczęło się wiercić? Otworzył oczy i przez chwilę przyzwyczajał je do ciemności, siedząc w bezruchu i nasłuchując.

Tylko szum wiatru na zewnątrz. Mike i jego ludzie zamilkli, nie było już słychać stłumionych szeptów jak wcześniej.

To podejrzane.

Wyśliznął się spośród płataniny kończyn na sofie i cicho podszedł do drzwi wiodących na korytarz. Spojrzał w lewo i zobaczył słaby blask księżyca rzucający ulotne cienie gałęzi i liści przez otwarte drzwi frontowe na gładki parkiet podłogi.

Gdzie się podział Mike?

Odwrócił się w prawo, korytarz prowadził na tyły domu i ganek. Zastanawiał się, czy tam się wszyscy przenieśli. Jeśli tak, to bardzo by się zmartwił - zostawili frontowe drzwi bez dozoru?

Miękko, bezszelestnie zszedł do holu i stanął w drzwiach. Jego oczy, teraz bardziej nawykłe do ciemności, nie odnalazły w zasięgu wzroku sylwetki nikogo, kto trzymałby straż przed domem.

- Halo? - wyszeptał. - Spicie tam?

Nie doczekał się odpowiedzi i ze zgrozą stwierdził, że coś musiało się stać. Jego dłoń sięgnęła po pistolet zatknięty za pasek spodni. Gdy poczuł pod palcami szorstką węglowaną okładzinę na kolbie, odrobinę się uspokoił.

I wtedy wyczuł za sobą jakieś poruszenie.

Obrócił się gwałtownie, unosząc pistolet do strzału.

- Cholera! Tato! To ja! - jęknęła Leona.

Wypuścił powietrze.

- Chryste, Lee! Omal nie wpackowałem ci kulki między oczy. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Przepraszam - wyszeptała. - Nawiasem mówiąc, co ty tu robisz?

- Nie mogę znaleźć Mike'a i jego chłopców

Otworzyła usta, oczy nieomal wyszły jej z orbit.

- O Boże! - zawołała trochę za głośno.

Przyłożył dłoń do ust, dając znak, by zachowywała się ciszej.

Nie mogło dojść do walki. Przecież, gdyby padły strzały, na pewno hałas by nas obudził, prawda? Może wyszli do ogrodu od frontu, żeby coś sprawdzić?

Cofnął się o krok, aby wrócić do holu, i poślizgnął się na czymś. Spuścił wzrok i zobaczył ciemny ślad na podłodze.

- Masz latarkę? - zapytał szeptem.

Leona skinęła głową.

- Poświeć na podłogę.

Zapaliła latarkę i natychmiast odskoczyła jak oparzona na widok szkarłatnej kałuży rozlewającej się u ich stóp.

- O cholera! - syknęła.

Andy odebrał jej latarkę i omiótł jej promieniem ganek. Światło padło na jednego z ludzi Mike'a, skulonego w pozycji płodowej za wiklinowym fotelem nieopodal.

Są tutaj!

- Stań za mną! - wyszeptał jej do ucha. Zgasił latarkę, odwrócił się i ruszył korytarzem w stronę salonu. Kroki stawiał powoli, ostrożnie, szedł, trzymając pistolet przed sobą w wyciągniętej ręce i przesuwając ją raptownie z boku na bok.

Andy wiedział, że może zrobić tylko jedno. Obudzić Jenny i Jacoba, wyprowadzić ich z domu, a potem uciekać, uciekać... i jeszcze raz uciekać. Wchodził po schodach, celując w górę, w ciemną otchłań, która mogła skrywać wszystko.

Dotarli do otwartych drzwi salonu. Usłyszał, jak Jacob się wierci; nie oddychał już spokojnie, lecz szybko i nerwowo, jakby z trudem łapał powietrze.

- Jenny, musimy natychmiast opuścić to miejsce - rzekł, ponownie zapalając latarkę.

Promień światła padł na stojącego w pokoju Jacoba. Ciemne przedramię opasywało jego wąskie barki, a ponad czupryną jasnych włosów Andy spostrzegł ciemne oblicze uśmiechającego się złowieszczo mężczyzny. Czubek noża o długim wąskim ostrzu wpijał się w bladą szyję chłopca i wydawało się, że gdyby nacisk na nóż wzmógł się choć odrobinę, z powstałego w ten sposób zagłębienia trysnęłaby krew.

Jenny klęczała na podłodze, kołysząc się w przód i w tył - zbyt przerażona, by płakać, i zbyt przerażona, aby oddychać.

- Rzuć broń, Andy Sutherland - rzekł ze spokojem mężczyzna.

Andy wciąż niewzruszenie celował do tamtego.

Jeżeli rzucisz broń, nie będziesz miał już żadnych atutów.

- Ani myślę, stary - odparł Andy

Jenny odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Co takiego? Andy! Na miłość boską! Rzuć pistolet!

Uciszył ją machnięciem ręki.

- Nie mogę tego zrobić, Jenny. Jeżeli to zrobię, wszyscy zginiemy.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Pani mąż myśli całkiem rozsądnie, zważywszy na obecne okoliczności, pani Sutherland.

- Przeniósł wzrok na Andy'ego. - Możemy przez chwilę pogawędzić. Chyba nawet mam na to ochotę. Nawiasem mówiąc, możesz mi mówić Ash.

Nie spieszy mu się. To oznacza...

- A co z innymi? - Andy skinął głową w stronę frontowych drzwi. - Są gdzieś tam... martwi?

Ash pokiwał głową.

- Trochę za bardzo zależało im na tym, żeby wziąć mnie żywcem.

- Chodzi w dalszym ciągu o to, co mojej córce wydawało się, że zobaczyła, tak?

- O to, co wiemy, że zobaczyła. Widzisz, ta urocza młoda dama - powiedział, wykonując gest dłonią, w której trzymał nóż, szybki ruch nadgarstka i na moment odsunął ostrze noża od szyi Jacoba - wie dostatecznie dużo, by mogła się okazać wyjątkowo niebezpieczna. Kiedy sytuacja znów zacznie się klarować...

- I tu akurat bardzo się mylicie - Andy uśmiechnął się drwiąco - jeżeli wydaje się wam, że ta sytuacja mimo wszystko się wyjaśnia.

Ash uniósł brew w pytającym geście.

- Coś takiego? Naprawdę wierzyłeś, że sytuacja wróci do normy? - zapytał Andy z niedowierzaniem.

- Oni dołożą wszelkich starań, aby ropa znów zaczęła płynąć, rzecz jasna, w swoim czasie.

- To nie działa w ten sposób. Wydawało mi się, że wyłożyłem to najprościej, jak potrafiłem, w moim cholernym raporcie. To droga bez powrotu. Nie ma mowy, żeby po czymś takim świat zdołał się otrząsnąć. Nie wiem, dla jakich matolew pracujesz, ale musisz powiedzieć, że spieprzyli sprawę koncertowo.

Ostrze powróciło do szyi Jacoba.

- Nie wiem. Ty jesteś wielkim ekspertem.

Andy pokiwał głową.

- Tak... tak, w rzeczy samej. Poświęciłem dostatecznie dużo czasu na to zagadnienie przez ostatnie lata.

- Tak czy owak, mam tu swój cel. - Uzbrojona w nóż ręka znów odsunęła się od szyi Jacoba, czubek ostrza wskazał na Leonę. - Chodzi mi o nią.

Leona zaszlochała.

- Och, proszę...

Ash wzruszył ramionami, wydymając wargi w geście współczucia.

- Obawiam się, że to nieuchronne, moja droga. Jakkolwiek rozwiążemy tę sytuację, nie mogę pozwolić ci odejść. Mogę jednak zrobić to, co trzeba, szybko i bezboleśnie.

- Chryste Panie! O Boże! Andy nie pozwól mu! Nie pozwól mu! - zawołała Jenny.

- Naprawdę nie wyobrażam sobie, jak mógłbyś mnie powstrzymać - rzekł Ash.

Andy spostrzegł przesiąknięty krwią materiał owinięty mocno wokół jego barku.

Czy przez cały czas krwawi? Czy mogę grać z nim na zwłokę, dopóki nie zemdleje z upływu krwi?

- Posłuchaj, to koniec. Już po wszystkim. To się wydostało spod kontroli. Ci, dla których pracujesz, kimkolwiek są, nie zdołają naprawić wyrządzonych szkód. Mają przerąbane, podobnie jak my... i ty także. To, co zobaczyła moja córka, tak naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia - tłumaczył Andy. - Już nie. Bo kiedy raz coś się posypie na taką skalę, jak oni to zrobili, nie ma już powrotu do stanu poprzedniego.

- A ja myślę, że gadasz bzdury.

- Doprawdy? Jak długo potrwa, zanim saudyjskie rafinerie znów podejmą pracę? Jak długo potrwa, nim ruszą rafinerie w Baku czy rafineria Paraguana? Moim zdaniem dobrych parę miesięcy. To dość czasu, aby sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej. Chiny i Rosja z pewnością dostrzegą w tym wszystkim okazję, aby uszczknąć coś dla siebie, rozgorzeją nieuregulowane spory o granice, gospodarka Stanów Zjednoczonych runie jak domek z kart. Nie zapomnij, że amerykańska gospodarka przez ostatnich trzydzieści lat opierała się wyłącznie na petrodolarach i ropie naftowej. A o nich możesz spokojnie zapomnieć. To już przeszłość.

- I dlatego powinienem darować życie twojej córce? Mam ją puścić wolno?

O kurwa, czyżbym miał szansę go przekonać?

- Wiesz, może świat potrzebował czegoś takiego - rzekł Andy.

Ash przyglądał mu się z uwagą.

- Żyjemy na planecie, która jest w stanie swobodnie wyżywić ilu ludzi? Dwa miliardy?

Trzy miliardy? - ciągnął Andy - Nie wiem, kto za tym stoi, i nie wiem, dlaczego ci ludzie to zrobili. Ale... może coś takiego powinno się było wydarzyć?

- Oczywiście, że tak - rzekł Ash powoli, jakby z rozleniwieniem.

Postaraj się, aby to dobrze zabrzmiało, Andy.

- No to posłuchaj. Może zgadzam się z ludźmi, dla których pracujesz? Hm? Dobra, to, co się stało, to nic przyjemnego. Ale przynajmniej doszło do globalnego poświęcenia, wszyscy za to zapłacili, zgadza się? A nie tylko, dajmy na to, Trzeci Świat.

Ash przytaknął.

- Teraz rozumiem, że to musiało się stać. To było nieuniknione. Nawet gdybyśmy wiedzieli, nie zamierzamy rozgłaszać wszem wobec całemu światu, kto za tym stoi. - Odwrócił się do Leony. - Prawda, kochanie?

Leona energicznie pokręciła głową.

- N-n-nie.

- Proszę... ona nie musi umrzeć.

Ash zachwiał się lekko.

- Prawie mnie przekonałeś. Ale przyjąłem zlecenie.

- Zlecenie? - Andy pokręcił głową. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że pieniądze, jakie za to dostaniesz, jeżeli jeszcze nie są, to za tydzień będą kompletnie bezwartościowe.

Ash zmarszczył brwi rozdrażniony tym, co usłyszał.

- Nie chodzi o pieprzoną forszę - uciął.

Andy zwrócił uwagę, że głos tamtego zaczął brzmieć bełkotliwie.

- To o co, na miłość boską? Czemu moja córka musi umrzeć?

Ash westchnął, jego chwyt się rozluźnił i czubek noża znów odsunął się od zadraśniętej skóry na szyi Jacoba. Wydał wargi, myśląc intensywnie.

- Widzisz, tu chodzi o dokończenie roboty.

Chryste. Nie chodzi o pieniądze czy przekonania...

- Nie bez powodu znam ich tożsamość... tożsamość Dwunastu najpotężniejszych ludzi na świecie. Znam ich nazwiska, bo jestem wiarygodny. I zawsze realizuję zlecenie do końca. Nigdy nie pozostawiłem żadnego kontraktu niedokończonego. Jestem najlepszy spośród wolnych strzelców. Najlepszy na świecie. To coś znaczy...

Tu chodzi o dumę. Nie zdołam przemówić mu do rozsądku...

- ...przynajmniej dla mnie. Jestem, kim jestem. I stałem się najlepszym specjalistą w swoim fachu. Sam do tego doszedłem. Ciężką pracą. Mam swoją renomę. Zrozum, tak naprawdę jej życie nic mnie nie obchodzi. Zabijałem znacznie młodsze i bardziej niewinne

ofiary. Uwierz mi. To splywa po mnie jak woda po kacze.

Ash zawahał się nieznacznie.

- Nie zamierzam wysłuchiwać kolejnych żarliwych błagań o litość, o darowanie życia, to nic nie da. Kurwa... wiesz co?

Ash najwyraźniej spodziewał się, że Andy odpowie.

- Co?

- To wszystko coraz bardziej zaczyna mnie nużyć.

Cholera, czyżby jednak słabł? Czy to rana tak mu się daje we znaki?

- Posłuchaj. Moja propozycja brzmi następująco. Rzucisz broń i dostaniesz swojego ślicznego małego synka całego i zdrowego, ale w zamian wezmę twoją córkę.

- Boże... nie... tylko nie to! - zawołała Jenny.

- Stul dziób! - warknął Ash, po raz pierwszy unosząc głos. - W przeciwnym razie załatwię go w okamgnieniu i zajmę się tobą, Sutherland, wypruję ci flaki, zanim zdążysz się zorientować, co się stało. A potem, rzecz jasna, zajmę się twoją żoną i córką i daję ci słowo, że wcale nie będę się spieszył, żeby z nimi skończyć. I jak? Co powiesz na moją propozycję?

- Ash znów lekko się zakołysał. - Czas podjąć decyzję. Masz... powiedzmy, pięć sekund. Pięć...

Leona chwyciła się Andy'ego i zawołała przeraźliwie:

- Tato! Błagam! Nie pozwól, żeby mnie zabił!

- Cztery...

Oczy Jacoba przepełniło przerażenie.

- Trzy...

Jenny szlochała, klęcząc na podłodze; zupełnie straciła nad sobą panowanie. Leona także osunęła się na kolana.

- Dwa...

Andy zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru.

Rozdział 90

Wystrzelił.

Kula o kilka centymetrów ominęła jego syna i trafiła Asha w pierś, wrywając w niej strzępiastą dziurę i odrzucając go na ścianę. Pociągnął Jacoba za sobą, przewracając się wraz z nim na podłogę; nóż wciąż trzymał przytknięty do szyi chłopca. Andy przebiegł przez pokój, uświadamiając sobie podczas pokonywania trzema susami odległości, jaka go od nich dzieliła, że wystarczyłoby jedno konwulsyjne drgnięcie ręki, aby tamten zatopił nóż w gardle jego syna. W którymś momencie wypuścił z dłoni latarkę; przetoczyła się po podłodze, świecąc to w jedną, to w drugą stronę.

Dał susa w stronę, gdzie upadł tamten mężczyzna, i ciężko wylądował na wijącym się jak piskorz Jacobie. W ciemnościach dłonie Andy'ego pracowały gorączkowo, poszukując noża, zanim bezlitosne ostrze zagłębi się w ciele chłopca, aby pozbawić go życia.

Jenny słyszała odgłosy zażartej walki dwóch mężczyzn szamoczących się w ciemnościach i zduszony głos Jacoba, płaczącego, prawdopodobnie ściśniętego pomiędzy nimi, z nożem być może nadal znajdującym się o centymetry od jego szyi lub twarzy. Schyliła się po leżącą na podłodze latarkę, podniosła ją i poświeciła w stronę, gdzie trwała walka.

Dostrzegła wierzgające gwałtownie nogi tamtego mężczyzny i Andy'ego, splecionych w morderczym uścisku. Zauważyła też rączkę Jacoba wylaniającą się pomiędzy torsów mężczyzn i zadającą desperacko pozbawione siły i całkiem nieskuteczne ciosy zarówno facetowi z nożem, jak i Andy'emu.

Słyszała, jak obaj mężczyźni sapią z wysiłku, i nagle w całej tej plątaninie kończyn dostrzegła błysk noża. Andy schwycił długi nóż tamtego mężczyzny za ostrze, nie zważając na to, że rozcinało mu ono palce aż do kości, a krew płynąca z ran rozpryskiwała się dokoła, zachlapując pobliską ścianę.

Mężczyzna szarpnął się w bok, pociągając za sobą Andy'ego. Wtem Jenny ujrzała, że Jacob zaczął coraz bardziej wyslizgiwać się pomiędzy walczących. Podeszła do niego, złapała go za rękę i pociągnęła z całej siły ku sobie. Upadł wraz z nią na podłogę, ale uwolnił się wreszcie od walczących mężczyzn.

- Zastrzel go, Andy! - krzyknęła, kiedy odciągnęła Jacoba na bezpieczną odległość. - Zastrzel go!

Mężczyźni potoczyli się po podłodze, przeturlali za sofę i w tańczącym świetle latarki mogła dostrzec jedynie dwie pary nóg wierzgających, kopiających i splatających się ze sobą... i kolejne rozbryzgi krwi zachlapującej ścianę.

- O Boże, mamó! - zawołała Leona. - On zabije tatę! On zabije tatę!

Jenny rozejrzała się po podłodze w nadziei, że podczas tej szamotaniny pistolet mógł im wypaść i kto wie, może leżał gdzieś nieopodal.

Nagle błysnęło, jakby ktoś odpalił fajerwerki, i w tej samej chwili usłyszeli huk wystrzału.

Obie pary nóg znieruchomiały. Jenny patrzyła na nie przez chwilę, nie mogąc się poruszyć; nie miała odwagi zajrzeć za sofę.

- Andy?

I wtedy nogi Asha zaczęły podrygiwać, krótko, nerwowo, konwulsyjnie. Nogi Andy'ego spoczywały nieruchomo.

- Andy? - zawołała.

Nogi Asha znieruchomiały.

- O cholera!

Głos Andy'ego.

- O cholera! - powtórzył Andy.

- Tato, nic ci nie jest? - zawołała drżącym głosem Leona.

- Jezu, to obrzydliwe - westchnął Andy.

Jenny patrzyła, jak silnym wierzgnięciem zrzucił leżące na nim ciało, i chwilę później ujrzała jego pokiereszowane krwawiące dłonie na oparciu sofy.

- Nie pozwól dzieciakom się tu zbliżyć, Jenny. Niech nie podchodzą - wymamrotał. - Przód mojej koszuli jest cały uwalany mózgiem tego faceta.

Zobaczyli twarz Andy'ego, który podniósł się powoli i skrzywił na widok ciemnej plamy czegoś gęstego i ciemnego na koszuli.

- Tatuś wygrał - wyszeptał Jacob z wyraźną trwogą w głosie. - Pokonał złego typy.

- O Boże, Andy - rzuciła Jenny. To było wszystko, co w tej chwili potrafiła z siebie wydobyć. Na słowa „Boże, jak ja cię kocham przyjdzie czas później. Na razie Jenny mogła jedynie zaszlochać z ulgą.

Andy uniósł wzrok znad rozmazanych szczątków czaszki Asha i jej zawartości na swojej koszuli, po czym uśmiechnął się głupkowato do żony i dzieci.

- Powiniennem był najpierw zdjąć tę koszulę. Bardzo ją lubiłem.

Leona i Jenny uśmiechnęły się przez łzy. Jacob wyszczerzył się dumnie do ojca, po czym

z odrazą i fascynacją zarazem zaczął przyglądać się krwawej plamie na jego torsie.

- A to co takiego? - zapytał Jake, wskazując na kolejną powiększającą się szybko szkarłatną plamę nieco niżej na jego koszuli.

Andy spuścił wzrok i zobaczył niedużą smukłą rękojeść wystającą z jego ciała na wysokości podbrzusza.

- No to pięknie - wymamrotał, zanim ciężko osunął się na podłogę.

Epilog

To już osiemnaście miesięcy. Minęło osiemnaście miesięcy odkąd świat runął w gruzy.

Tęsknię za Andym. Tak bardzo mi go brak. I dzieci też za nim tęsknią.

Nie wiem, jak przeżyliśmy jak udało się nam przetrwać. Ten okres wydaje mi się rozmytą plamą, jeden dzień zlewa się z następnym. Wiem, że niedługo po tamtej nocy wyjechaliśmy z Londynu. Pamiętam, że Leona musiała siłą wywlec mnie z naszego domu, z naszej sypialni, gdzie zostawiliśmy Andy'ego.

Leona była istnym filarem mocy. Ja długo nie nadawałam się do niczego. Wywiozła nas z Londynu, a na wsi znaleźliśmy w końcu społeczność, która zgodziła się nas przyjąć.

To bardzo życzliwi, zupełnie inni ludzie, miłośnicy tradycji historycznych; takich jak oni można było niegdyś oglądać na wielkich widowiskach plenerowych, gdzie odtwarzali bitwy z czasów angielskiej wojny domowej. Zwyczajni ludzie, mający pracę i spłacający raty za dom (dopóki to wszystko nie upadło, ma się rozumieć), ale ich zainteresowania, będące dla nich drugim życiem, pomogły im kultywować i przyswajać sobie umiejętności z dawnych czasów, ukształtowane kiedyś, zanim wszystko zaczęła wykonywać za nas ropa. To zupełnie inni ludzie, nigdy dotąd takich nie spotkałam; do mistrzostwa opanowali podstawowe zasady przetrwania, te najistotniejsze... jak wyrabiać mydło, jak z ziarna zrobić chleb. Rozumiecie? Najprostsze rzeczy.

Stale jest coś do zrobienia, ciągle jesteśmy zajęci i w sumie może to dobrze.

Mamy w tej społeczności kilka urządzeń radiowych na dynamo i od czasu do czasu odbieramy komunikaty nadawane przez BBC World Service. Przez pewien czas tuż po pierwszym tygodniu wydawało się, że wszystko jakoś wróci do normy. Naprawiono rurociągi i ropa znów zaczęła płynąć, choć zapewne nie w takich ilościach jak dawniej. Ale sprawy zaszły za daleko, fundament świata uległ zbyt poważnym uszkodzeniom. Słyszeliśmy upiorne opowieści docierające z około dwudziestu „bezpiecznych obszarów” ustanowionych przez rząd. Pod koniec drugiego miesiąca wyczerpały się zapasy i ludzie zgromadzeni w nich rzucili się sobie nawzajem do gardeł. Słyszeliśmy, że to samo wydarzyło się w innych krajach na całym świecie. Wydaje mi się, że najmocniej ucierpiały Stany Zjednoczone.

W następnych miesiącach doszło do kolejnych niepokojów na szeroką skalę... wybuchła krótkotrwała wojna pomiędzy Chinami, Indiami i Rosją o pola roponośne Tengiz. Zaczęło się

od czołgów i piechoty, a skończyło na eksplozjach kilku bomb atomowych. Wkrótce jednak ten konflikt wygasł na dobre. Może w ostatniej chwili ktoś doznał olśnienia, ktoś odzyskał zdrowy rozsądek, a może sami żołnierze stwierdzili, że nie chcą dłużej walczyć. Albo, co równie prawdopodobne, zabrakło im ropy, która była niezbędna do kontynuowania działań zbrojnych.

Wieczorami, kiedy cała społeczność zbiera się w jednym miejscu, często dyskutujemy o tym, kto był za to wszystko odpowiedzialny. Bo, jak zapewne rozumiecie, teraz dla wszystkich jest już oczywiste, że ktoś musiał to zaplanować. Teorii jest wiele i różnią się między sobą. Najczęściej powtarzana głosi, że był to spisek muzułmanów, aby unicestwić dekadentcki, zachodni styl życia lub na odwrót, dokonana przez Amerykę próba destabilizacji wszystkich jej ekonomicznych rywali za jednym zamachem... ale coś poszło nie tak i Amerykanom też się oberwało.

Żadna z tych teorii mnie nie przekonuje, ale nie znam się na tyle dobrze na polityce, aby wysnuć inną, lepszą teorię. Andy by wiedział. On wiedział wszystko o tego typu sprawach.

Jak już wspomniałam, mamy teraz sporo pracy. Roboty jest mnóstwo, rozwijające się uprawy wymagają opieki, a gdy już dojrzeją, trzeba zebrać plony. Kopiemy studnie, aby dostać się do zwierciadła czystej wody pod nami, mamy też zwierzęta, którymi należy się zająć. Do obowiązków Jake'a należy opieka nad kurami, karmi je i zbiera jajka. Kiedy będzie starszy, będzie też musiał od czasu do czasu którąś zabić, oskubać z piór i wypatroszyć.

Leona przeżywa teraz gorszy okres. Była silna, kiedy jej potrzebowałam. Teraz ledwie sobie radzi. Widać, że jest jej ciężko. Wiem, że brakuje jej ojca, i zdaję sobie sprawę, że pewne wydarzenia, jakie miały miejsce, zanim dotarłam do domu, wywarły na nią traumatyczny wpływ. Często ma łzy w oczach.

Jacob też strasznie tęskni za Andym. Ale jest również dumny z ojca i opowiada wszystkim, którzy tylko zechcą go wysłuchać, że jego tato był prawdziwym superbohaterem. To cudowne, że tak myśli o Andym.

Tak czy owak, żyjemy i moje dzieci w końcu dojdą do siebie. Sytuacja też kiedyś się wyklaruje. Wszystkie te puste miasta, pełne wypalonych domów i splądrowanych sklepów... któregoś dnia ludzie do nich powrócą. Ale kiedy wszystko wreszcie wróci do normy, będzie inaczej, już nie tak jak kiedyś.

Jak zwykł mawiać Andy... epoka ropy dobiegła końca.

Tak jak wcześniejsze epoki: kamienia, brązu, pary... wszystkie prędzej czy później przemieły. Miejmy nadzieję, że cokolwiek ją zastąpi, świat, jaki wówczas nastanie, będzie w mniejszym stopniu opętany chciwością i żądzą posiadania rzeczy materialnych: bibelotów,

rozmaitych gadżetów, nic niewartych świecidełek. Zastanawiam się, co dzieci moich dzieci powiedzą na widok wyblakłych katalogów firm wysyłkowych, na które bez wątpienia się natkną, a które oferowały wszystko, co było napędzane energią elektryczną: wielkie, masywne jak wszystko, co amerykańskie, lodówko-zamrażarki, ekstrawaganckie grzejniki na patio, elektryczne szybkoobrotowe szczoteczki do zębów czy automatyczne otwieracze do konserw.

Boże, czy naprawdę aż tak bardzo zgnuśniliśmy?

Tak właśnie powiedziałby Andy, czyż nie? Chryste, ależ za nim tęsknię.

A teraz muszę coś powiedzieć, i to na głos.

Jestem pewna, że nie możesz tego usłyszeć, Andy, bo ciebie już nie ma. Nie patrzysz na nas z góry, prawda? Z tym niebem to przecież nonsens. Po prostu cię nie ma, i już. Ale mimo wszystko muszę to powiedzieć, choćby samej sobie.

Przepraszam. Zawsze cię kochałam, tyle tylko że na pewien czas jakoś o tym zapomniałam. Wróciłeś do nas i ocaliłeś nas wszystkich. Nasz syn i nasza córka na zawsze zapamiętają cię jako bohatera.

I ja także.

Kocham cię, Andy.

Od autora

Pomysł tej książki narodził się cztery lata temu, kiedy na forum internetowym natknąłem się na zwrot wymieniany raz po raz przez dwóch internautów. Toczyli oni zażartą dyskusję na tematy związane z geologią i termin „Szczyt Wydobycia Naftowego” powtarzał się wielokrotnie. Jako że pisany był wielkimi literami, oznaczało to, że ma on charakter użytkowy i jest powszechnie znany ludziom zajmującym się tą tematyką. Zciekawiony wpisałem go w Google.

I tak oto, można by rzec, używając wyświechtanego frazesu, rozpoczęła się moja odkrywcza podróż. W internecie znajdują się setki, a może nawet tysiące stron poświęcone Szczytowi Wydobycia Naftowego. Zanim powiem coś więcej, powinienem chyba wyjaśnić, co oznacza ten termin. Krótko mówiąc, odnosi się do sytuacji, kiedy cała łatwa do pozyskania ropa zostanie już wydobyta z ziemi poza tą trudniej dostępną i droższą, jeżeli chodzi o procesy przetwarzania. Wśród geologów i ekspertów w dziedzinie przemysłu petrochemicznego trwa zagorzała debata na temat tego, ile zostało jeszcze złóż ropy naftowej. Wnioski oscylują od ponurego, katastrofalnego scenariusza, wedle którego szczyt wydobycia już został osiągnięty i zapasy szybko się wyczerpują, po radośnie optymistyczną wersję, zgodnie z którą mamy przed sobą jeszcze od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat spokojnego wydobycia. Wszyscy wszelako są zgodni w jednej kwestii - naszego całkowitego uzależnienia od tego surowca. Jeżeli czytacie te słowa po uprzedniej lekturze niniejszej książki, nie muszą chyba uciekać się do powtórzenia ostrzeżeń, jakich Andy udzielał swojej rodzinie. Faktem jest, że w obecnej epoce postępującej globalizacji świat został uwikłany w jedną wielką sieć zazębiających się współzależności: sprowadzamy wędliny z jednego kraju, tenisówki z innego, a telewizory plazmowe jeszcze skądinąd... tak czy owak, z daleka.

Czy zabraknie nam ropy naftowej, czy też świat zbliża się do krawędzi nowej wojny religijnej bądź ekonomicznej - o charakterze światowym - gdy dojdzie do globalnego starcia pomiędzy starymi a nowymi mocarstwami gospodarczymi lub może do dramatycznej zmiany w klimacie Ziemi, która zagrozi miliardom jej mieszkańców i wywoła masową migrację - w dowolnym z tych scenariuszy, jeśli będziemy tak bardzo uzależnieni od produktów wytwarzanych, paczkowanych i dostarczanych z odległych zakątków naszej planety... cóż, wygląda na to, że aż się prosimy o kłopoty. A Wielka Brytania jest tu dobrym przykładem.

Gdy zgasną światła to powieść, którą chciałem - nie, musiałem napisać od... chyba od 11 września. Właściwie to nie jest książka o Szczycie Wydobycia Naftowego, stanowił on dla mnie jedynie punkt wyjścia całej fabuły. Nie, to powieść o tym, jacy staliśmy się rozleniwieni i wygodni. Jak łatwo nas teraz zranić. Jak bardzo staliśmy się uzależnieni od systemu. Jak bardzo jesteśmy nieprzygotowani do podjęcia działań w obronie nas samych i naszych dzieci. W ciągu ostatnich dwóch, trzech dekad podwaliny naszego społeczeństwa runęły w gruzy, czy stało się to za czasów premier Thatcher, czy może Blaira, nie wiem, nie potrafię tego stwierdzić. Ale tak się właśnie stało. Fundament runął.

Oto gdzie się znajdujemy obecnie: upiorne wypadki z 7 lipca, gwałtowny wzrost przestępczości w Londynie; gromady bezstresowo wychowywanych, zniechęconych do wszystkiego dzieciaków przynoszących do szkoły noże; media, które dzień i noc wtłaczają nam do mózgów swoją ideologię: bierz, co ci się należy, i olewaj całą resztę; programy typu reality show celebrytów zdobywaną bez wysiłku ulotną sławę i wywyższające ją ponad coś tak staroświeckiego, jak „osiągnięcia”; korporacje bezczelnie ograbiające fundusze emerytalne swoich pracowników; premier, który łąc w żywe oczy, wmanipulował nas w nieuczciwą, wszczętą z niegodnych i fałszywych pobudek wojnę; politycy wszelkich maści stawiający na pierwszym miejscu siebie i swoje dobro. Śmiem twierdzić, że wszystko to jest niczym widoczne gołym okiem pęknięcia na fundamencie naszego społeczeństwa, pęknięcia sięgające daleko w głąb niego, aż do znajdujących się daleko w dole, bardzo niebezpiecznych uskoków.

A niech mnie... to ci dopiero tyrada, no nie? Nie zamierzałem wygłaszać tak długich mów. Ale co tam, „od autora” to dla mnie jedyna okazja, aby zrzucić kamień z serca, nie martwiąc się przy tym o fabułę, postaci i rozwój akcji.

Tak czy owak, chciałbym wierzyć, że *Gdy zgasną światła* pozostanie z wami, nawet kiedy zamkniecie książkę i odłożycie ją na półkę. Mam nadzieję, że Andy’emu Sutherlandowi udało się coś osiągnąć, że od tej pory cały świat będzie się wam wydawał inny - bardziej nietrwały, kruchy i delikatny. Wszak mieć świadomość zagrożenia to też na swój sposób przygotowanie na wypadek, gdyby miało ono nastąpić.

Sam nie wiem... czy tylko ja mam takie odczucie? A może i ty również, czytelniku? Nie wydaje ci się, że coś nadchodzi, coś już się zbliża... może jakaś korekta?